cyfrant

Tako rzecze Lem

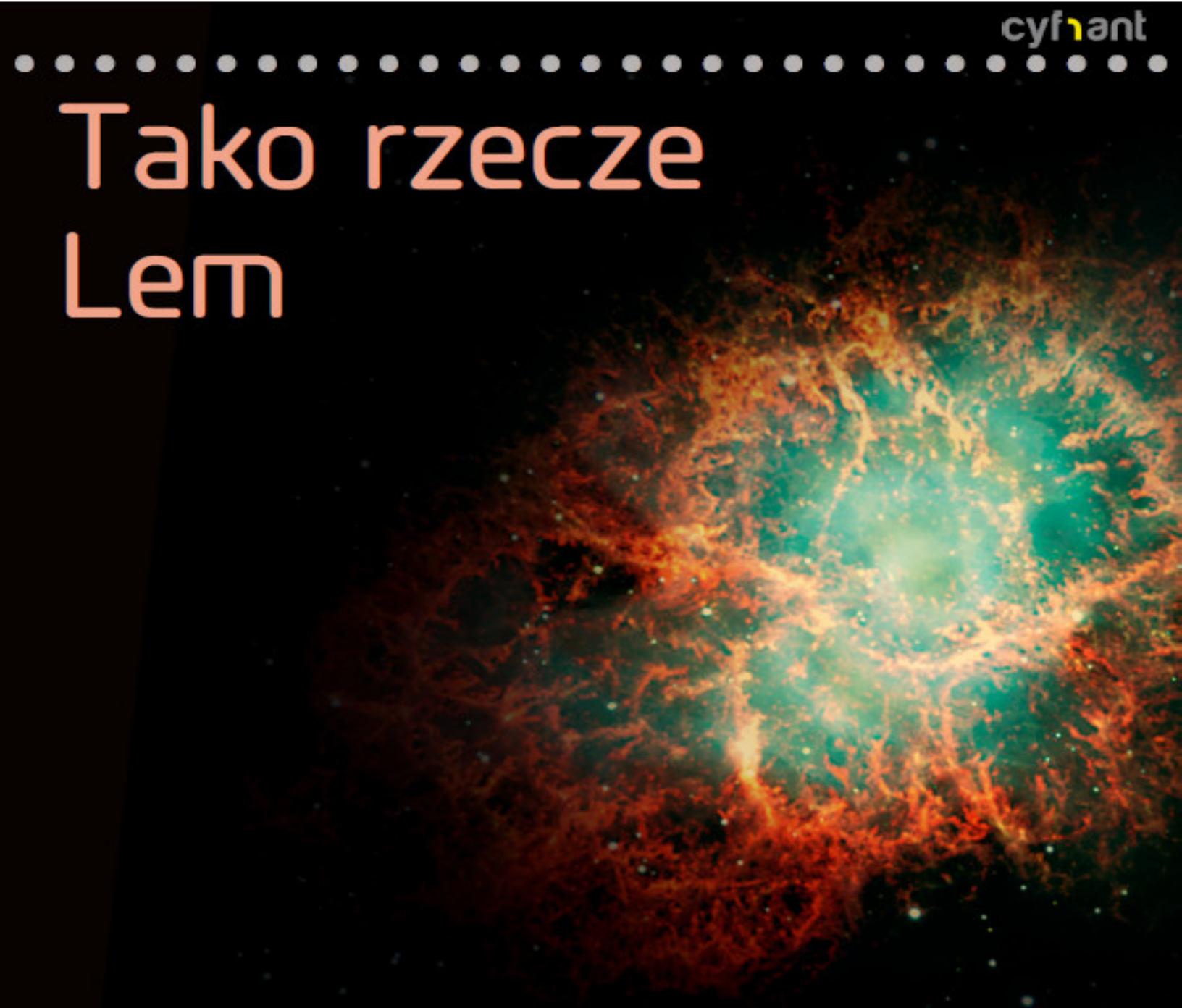

ze Stanisławem Lemem
rozmawia

Stanisław Bereś

Stanisław Lem
Stanisław Bereś
"Tako rzecze Lem"
© Copyright by Barbara i Tomasz Lem, 2013
© Copyright by Stanisław Bereś, 2013
projekt okładki: Anna Maria Suchodolska
korekta: Tomasz Lem
© Copyright for this edition: Pro Auctore Wojciech Zemek
www.cyfrant.pl
ISBN 978-83-63471-35-4
Kraków
2013
Wszelkie prawa zastrzeżone

TAKO RZECZE LEM

ze Stanisławem Lemem rozmawia Stanisław Bereś

Spis treści

O starych i nowych rozmowach ze Stanisławem Lemem
Czas nieutracony
W pajęczej sieci
Golem
Rozczarowania filmowe
Gusta i dyzgusta
Księga skarg i wniosków
W cywilizacyjnej jamie
Wyjaśniać świat
Pasja filozofowania

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

Lube czasy
Wizja lokalna
Summa, czyli panta rhei

Nota wydawnicza
Indeks nazwisk
Przypisy

O starych i nowych rozmowach ze Stanisławem Lemem

Pierwszą serię rozmów ze Stanisławem Lemem przeprowadziłem pomiędzy listopadem 1981 roku a sierpniem roku 1982, a zatem w czasie szczególnym, gdy konflikt pomiędzy komunistyczną władzą a Solidarnością został rozgrzany do czerwoności, a wkrótce potem skończył się stanem wojennym. Zarówno oczekiwanie najpierw na nieuchronną interwencję zbrojną (czego pisarz był absolutnie pewien), jak i obserwowanie później deptania wolnościowych aspiracji społeczeństwa oraz spychania kraju w moralne i ekonomiczne bagno, były dla obu rozmówców okresem wyjątkowo przykrym. Dla Lema szczególnie, bo wytrącało go to z normalnego rytmu pracy. Być może — paradoksalnie — właśnie dlatego powstały te rozmowy. Zapewne nie był to jedyny powód, ale na pewno pisarz — poruszony do żywego zachodzącymi wypadkami — właśnie w tych spotkaniach odnajdywał ucieczkę i możliwość zdystansowania się wobec agresywnej rzeczywistości.

Wkrótce potem zresztą, nie mogąc znieść sytuacji w Polsce, Stanisław Lem wyjechał za granicę na kilka długich lat, by powrócić dopiero po upadku komunizmu. *Rozmowy* ukazały się w 1987 roku w Wydawnictwie Literackim, ale ich wydanie poprzedziła wcześniejsza o rok edycja niemiecka pt. *Lem über Lem. Gespräche*, opublikowana w Insel-Suhrkamp Verlag. Na skutek ingerencji cenzorskich — jak poinformował mnie pisarz — wydanie polskie zostało okrojone o rozdział *Czarna bezwyjściowość sytuacji* oraz okaleczone serią drobniejszych cięć, we fragmentach dotyczących oceny ówczesnych wypadków w kraju. Z perspektywy lat należy dopowiedzieć, że prawdopodobnie nie miały one charakteru formalnego zapisu i rozegrały się w ramach negocjacji redakcyjnych, bo nigdy nie widziałem żadnego dokumentu potwierdzającego interwencję GUKPPiW ani pisarz nie powoływał się na konkretne pismo.

W drugiej edycji z roku 2002 książka wróciła do oryginalnego tytułu *Tako rzecze… Lem*, zmienionego w pierwszym wydaniu – z powodów dla obu autorów nieznanych i zagadkowych – na *Rozmowy ze Stanisławem Lemem* (aluzja do *Tako rzecze Zaratustra* Fryderyka Nietzschego nie mogła wszak niepokoić cenzora, z kolei „autor” wielokropka nigdy się nie ujawnił), dodano też trzy nowe rozdziały (*Lube czasy*, *Wizja lokalna* i *Summa*, czyli *panta rhei*), zwiększając jej objętość o jedną trzecią (ok. 180 stron). Powstały one w wyniku kolejnej serii rozmów nagranych we wrześniu i grudniu 2001 roku, ponieważ doszliśmy wraz ze Stanisławem Lemem do wniosku, że czas dzielący oba wydania domaga się aktualizacji — ze względu na inną już sytuację polityczną w kraju i na świecie, dynamiczny postęp na polu nauki oraz głębokie przemiany cywilizacyjne, które dokonały się w ciągu tych dwudziestu lat. Z kolei rozdział pt. *Czas nieutracony* został uzupełniony o partie skreślone w wyniku cenzorskich nacisków (głównie reminiscencje lwowskie z okresu „sowieckiego”),

przywrócono także wspomniany wcześniej rozdział pt. *Czarna bezwyjściowość sytuacji*, zawierający przemyślenia pisarza na temat sytuacji Polski w dobie stanu wojennego. W obecnym wydaniu zostaje on pominięty ze względu na swą polityczną doraźność (reakcja pisarza na stan wojenny).

Przygotowując w 2002 roku to pełne wydanie *Tako rzecze Lem*, napisałem, że budzi respekt, a czasem nawet zaskakuje, ponieważ jego partie sprzed dwudziestu lat na ogół zachowały aktualność, a co więcej zyskały dopełnienie i komentarz w nowych rozdziałach, przynoszących spojrzenie Lema na zjawiska końca XX i początków XXI wieku. Pisarz dokonał w nich ponownej „wizji lokalnej", analizując najważniejsze kwestie cywilizacyjne, naukowe, polityczne, kulturalne i obyczajowe swoich czasów. Z równą werwą intelektualną jak w czasach stanu wojennego komentował własne sądy sprzed dwudziestu lat, zastanawiał się nad konsekwencjami ówczesnych wydarzeń, formułował nowe koncepcje i hipotezy, a zarazem — nie mniej surowo niż dawniej — „wymierzał sprawiedliwość widzialnemu światu". Jeśli coś się zmieniło, to może sposób i intensywność ekspresji rozczarowania do świata. O ile wcześniej miała ona charakter półżartobliwych uwag lub przestróg, to w nowych partiach przechyliła się w utyskiwanie, by nie rzec malkontenctwo, obracając się nawet przeciwko dawnym świętościom (np. postępowi technicznemu, głównie komputeryzacji i informatyce). Ponieważ jednak pisarz do perfekcji opanował poetykę wisielczego humoru, nawet te fragmenty rodzą nasz uśmiech.

Wbrew pozorom, kompozycja tomu – poza trzema ostatnimi rozdziałami – nie odpowiada rzeczywistemu porządkowi rozmów, a raczej głośnych medytacji tego wybitnego pisarza o aspircjach filozofa, który – jak sam mówił – „pozjadał wszystkie rozumy", autora wielu niezapomnianych książek, które stały się elementarzem

kilku pokoleń Polaków. Materiał zgromadzony w tym wydaniu stanowi mniej więcej dwie trzecie tekstu uzyskanego w wyniku przeniesienia rozmów na papier. Jeden rozdział, znacznie lżejszy gatunkowo i nie pasujący do kompozycji książki, a także spore partie dyskursywne, zawierające powtórzenia, addenda, niezliczone dygresje oraz okazjonalne wątki, pozostały w szufladzie. Nawet w obecnym, poszerzonym znacznie wydaniu nie ma dla nich miejsca.

Stanisław Lem był rozmówcą tyleż urzekającym, co kłopotliwym. Jego niewiarygodnie rozległy horyzont wiedzy, pozwalający mu penetrować najbardziej wysunięte przyczółki współczesnej nauki, a częstokroć nawet przekraczać jej aktualne rozpoznania, pomnożony przez temperament gawędziarza i polemisty, ustawiał go z miejsca w pozycji mędrca i preceptora, co znacznie utrudniało rozmowę, bo jak okiełznać filozofa-wieszcza, który na dodatek bywa od czasu do czasu Swawolnym Dyziem. Autor *Summy technologiae* łamał więc *a priori* uzgodnione osie tematyczne i problemowe, prowadząc często — równolegle do porządku rozmowy narzucanego przez kolejne pytania — dialog z samym sobą, a zarazem z najnowszymi teoriami i koncepcjami, które zrodziła przyrodoznawcza i antropologiczna refleksja naszej doby. Aby podjąć prawdziwie partnerską i kompetentną dyskusję naukową z Lemem, potrzebny byłby poziom wiedzy, jaką dysponuje wyłącznie zespół ekspertów kilkunastu dyscyplin, zwłaszcza nauk ścisłych. Taką wiedzę zaś posiadała w Polsce tylko jedna osoba — właśnie bohater tej książki. Dlatego zapewne tak często sam sobie stawiał — niejako ponad moją głową — pytania, rozstrzygał wątpliwości i poszukiwał satysfakcjonujących go rozstrzygnięć. Choć czytając trzy ostatnie rozdziały, powstałe — jak wspomniałem — dwadzieścia lat po pierwszych rozmowach, zauważymy, że relacje pomiędzy rozmówcami stały się mniej formalne, ulegając pewnej

familiaryzacji. Dlatego więcej w tej partii zderzeń poglądów i sporów, a przy tym poufałości, co widać we wzajemnym podszczypywaniu się i żartach. Mówiąc prosto, relacja mistrz–uczeń została tutaj zastąpiona jakąś nową jakością komunikacyjną, dla której nie mam adekwatnej nazwy, ale *koń jaki jest każdy widzi*.

Układ tej książki jest efektem przekomponowania i uporządkowania magmowatej materii prowadzonych przez nas rozmów — pełnych dygresji, skojarzeń i swobodnych dywagacji. Lecz żaden porządkujący zabieg nie zatrze specyfiki efektownego i żywego stylu Lemowej gawędy — tryskającej fajerwerkami anegdot, żartów oraz paradoksów, ale przecież podejmującej konfrontację z najtrudniejszymi pytaniami naszej doby; pełnej swady, brawury i przeskoków myślowych, ale zawsze pozostającej w obrębie procedur naukowego myślenia o świecie.

Tako rzecze Lem jest pasjonującą i barwną opowieścią o życiowych losach i artystycznej drodze Stanisława Lema, o jego miejscu w polskiej i światowej literaturze; przynosi rozważania na temat sytuacji nauki i kultury na przełomie XX i XXI wieku oraz miejsca człowieka w tworzonej przez niego cywilizacji; roztrząsa podstawowe kwestie polityczne, społeczne i moralne, jakie stawia przed nami obecny — wrzący jak lawa — świat; pragnie zgłębić tajemnice kosmosu i prawa, jakie nim rządzą; rozważa możliwości i ograniczenia poznawcze istoty ludzkiej; formułuje filozoficzną diagnozę aktualnego dorobku myślowego i kulturowego ludzkości.

W jakim stopniu problemy podjęte na tych kartach przez zdumiewającego nas rozległością erudycji i intelektualną żywotnością pisarza-filozofa pozwalają nam dotrzeć do źródeł wiedzy na temat kosmosu, ludzkiej cywilizacji oraz duszy mieszkańca ziemskiego globu w początkach nowej ery, przyjdzie rozsądzić samemu czytelnikowi. Warto jednak — czytając tę książkę — pamiętać, że jest ona nie tylko próbą bilansu myślowej drogi pisarza, ale również

uzupełnieniem i autokomentarzem do jego rozważań, które przez 60 lat — na przemian w groteskowej, realistycznej, fantastycznej, eseistycznej oraz filozoficzno-teoretycznej tonacji — podejmował w swoich kolejnych utworach. Tom *Tako rzecze Lem*, który właśnie oddajemy Państwu do rąk, jest więc tylko tym, czym być może — zapisem rozmów, przeprowadzonych w nadziei, że pomogą nam zrozumieć sens tej niezwykłej przygody, jaką jest egzystencja każdego z nas, ludzi, i innych mieszkańców ziemskiego globu, a także dzieje całego wszechświata, który wynurzył się z nicości i zmierza nie wiadomo dokąd. Stanisław Lem odpowiada tutaj tylko na te pytania, na które odpowiedzieć mógł, chciał i zdążył, gdyż inaczej — jak powiedział z rezygnacją w trakcie jednego ze spotkań, zanurzony w półmroku i obłokach tytoniowego dymu, pomiędzy włączonym magnetofonem kasetowym Grundig, regałami ciężkimi od książek i zmęczonym rozmówcą — „musielibyśmy tak rozmawiać do końca świata”. Wiele jest bowiem jeszcze pytań i odpowiedzi, z którymi byłby w stanie i chciał się zmierzyć, ale czas Mędrca — w przeciwieństwie do czasu wszechświata — nie jest nieskończony. Dziś wiemy o tym znacznie boleśniej niż wtedy, kiedy te rozmowy powstały.

Stanisław Bereś

Wrocław, 9 sierpnia 2012

Czas nieutracony

Stanisław Bereś: — *Porozmawiajmy najpierw o pana życiu, którego wczesne epizody zostały utrwalone w „Wysokim Zamku”. Późniejsze ukryte są być może w losach Karola Wilka z „Czasu nieutraconego” lub Stefana Trzynieckiego ze „Szpitala Przemienienia”. Możliwe też, że coś z pana osobowości lub temperamentu przeniknęło do pilota Pirxa bądź Trurla. Tego jednak nikt oprócz pana nie jest w stanie poskładać w całość. Zechce pan cofnąć się wraz ze mną w przeszłość?*

Stanisław Lem: — Dobrze, spróbujmy, choć muszę się przyznać, że okres, w którym pisałem *Wysoki Zamek*, był czasem po temu najwłaściwszym, gdyż dzisiaj wielu szczegółów nie potrafię już odtworzyć i ewakuować z pamięci. Przede wszystkim muszę tu jednak oświadczyć, że nie jest to żadna powieść, co niejednokrotnie twierdziła krytyka. Tam nie ma ani jednego elementu fikcyjnego, a jeśli można mówić o jakimś kłamstwie, to chyba tylko w tym sensie, w jakim sztukę pojmować możemy jako „piękne kłamstwo”. I na przykład cała ta historia z „państwem legitymacyjnym”, która wydawała się krytykom zmyśleniem, od początku do końca jest autentyczna, z tym jednym może zastrzeżeniem, że jej

kulisy metafizyczne zostały dobudowane już przez dojrzałego Lema.

— *Przyznam się, że oprócz tego „legitymacyjnego" epizodu, w znacznym stopniu wykreowana wydała mi się postać tego samotniczego i stroniącego od świata dziecka*.

— Bez wątpienia opisałem w tej książce wszystko możliwie wiernie, co najwyżej nie miałem jeszcze wtedy świadomości, że byłem w istocie dzieckiem samotnym, że gustowałem w tej swojej samotności, że nie potrzebowałem zanadto kolegów, i że przedkładałem swoje ówczesne dziwaczne rozmyślania nad towarzystwo bliźnich. Widocznie byłem naturą od początku dosyć samotniczą. A że dziecko nie ma możliwości dokonania takiej samooceny, więc dziś dopiero widzę, że nie było to całkiem zwyczajne dzieciństwo.

— *Brak dziecięcych i młodzieńczych przyjaźni na ogół rekompensuje silny związek z ojcem lub matką*.

— Jeśli chodzi o moje stosunki z ojcem i matką, wolałbym ograniczyć się do tego, co napisałem w *Wysokim Zamku.*

— *Jak pan woli, chociaż przyznam, że intryguje mnie pana matka. Rolę ojca w kształtowaniu się pańskiej osobowości łatwo można odtworzyć z tej książki, o matce natomiast nie wiemy prawie nic. Tu pod spodem czai się stereotyp: ojciec jako pierwiastek intelektualny, matka zaś jako moralny…*

— Rozumiem, ale tutaj do żadnych archetypów się pan nie dokopie. Matka pochodziła z bardzo ubogiej rodziny z Przemyśla, więc małżeństwo mojego ojca wśród jego krewnych uchodziło za wręcz morganatyczne. Nieraz niestety dawali mojej matce w różny sposób do zrozumienia, że w tym fakcie jest coś niewłaściwego.

Cóż, nie miała ona właściwie żadnego fachu i była po prostu gospodynią domową. Nasze stosunki były nader poprawne, niemniej zawsze lgnąłem bardziej do ojca i pewnie dlatego wywarł silniejszy wpływ na moją osobowość, co widać zresztą po moich zainteresowaniach.

Matka oczywiście zawsze była w domu, cerowała skarpetki i zajmowała się mną, ale nigdy nie stała się moim powiernikiem. Tę rolę pełnił ojciec. I chociaż był bardzo zajęty, wysoko sobie ceniłem te małe kąski czasu, które wyrywał dla mnie kosztem swojej pracy.

— *W „Wysokim Zamku" występuje jeszcze postać wuja. Miał pan z nim dość bliski kontakt.*

— To był brat matki, który podobnie jak mój ojciec był lekarzem laryngologiem. Ojciec zajął się nim w latach, kiedy studiował, więc nasze stosunki były dość koleżeńskie. Dziś często zdarza się, że do wuja mówi się po imieniu, ale wtedy zasady były zdecydowanie inne. Zwracanie się do wuja *per* Gienek zdawało się czymś niezwykłym. Miał szeroki gest i podczas kiedy moja matka uważała, że pięćdziesiąt groszy na tydzień to jest przesadnie duża gaża dla gimnazjalisty, on sądził inaczej i nieraz dawał mi pięć złotych z Piłsudskim, co sprawiało wrażenie, jakby na moją głowę spadał złoty deszcz.

— *Który natychmiast zamieniał pan na chałwę?*

— A oczywiście, ale kupowałem również druciki do eksperymentów, jakieś motorki, maszyny Wimshursta, urządzenia elektrostatyczne, induktory, rurki próżniowe itp. To wszystko w *Wysokim Zamku* nie zostało przesadzone nawet o włos. Kiedy wydaliśmy wraz z żoną dziecko na świat, próbowałem po latach — nieświadomie zresztą — kopiować samego siebie, kupując swojemu synkowi niezliczone cudeńka metalowe i elektrotechniczne, i nie mogłem zrozumieć, dlaczego interesuje się tym znacznie mniej niż ja w swoim czasie. Cóż, znane to zjawisko, że kiedy się chce kogoś szczególnie miłego ugościć, kupuje mu się przede wszystkim te rzeczy, które lubi się samemu.

— *Więc ojciec, wuj, elektryczne maszynki oraz legitymacje to już wszyscy towarzysze pańskiego dzieciństwa?*

— Rzeczywiście, faktem jest — co dziś konstatuję z ubolewaniem — że byłem samotniczą naturą i nie miałem

ani bardzo bliskich, ani nawet bliskich przyjaciół. Zabiegałem o nich, ale i w latach chłopięcych, kiedy nietrudno o powierników, nie zawarłem żadnej przyjaźni. Tuż przed wojną — o tym chyba nie wspominałem w *Wysokim Zamku* — kiedy miałem jakieś siedemnaście lat, zacząłem pisać wiersze. Były bardzo niedobre, ale przywiązałem się do nich, więc kiedy w czasie okupacji zostawiłem je w „spalonym" mieszkaniu, miałem głębokie przekonanie, że kultura narodowa ponosi wielką stratę. Gdyby ci gestapowcy znali język polski i przejrzeli ten brulion z patriotycznymi wypocinami, zapewne byliby wstrząśnięci! Ogólny wniosek z tego jest taki, że dość wolno dojrzewałem i raczej późno dochodziłem rozumu.

— *Lata gimnazjalne są w „Wysokim Zamku" dość szczegółowo opisane, ale na 1939 roku relacja się urywa, bo wybucha wojna, a do Lwowa wkraczają Rosjanie. Tego oczywiście nie mógł pan w latach PRL-u opisać.*

— Tak się złożyło, że maturę zdałem na początku lata, a wraz z jego końcem wybuchła wojna i w bardzo krótkim czasie Polska upadła. To był dla mnie straszny moment, ciągle do niego wracam. Z góry, ulicą Sykstuską z Cytadeli, zjeżdżała polska artyleria konna, a tu nagle z bocznych ulic wjechali na koniach Sowieci (nie wiedzieć czemu, wszyscy z mongolskimi gębami). Każdy z nich miał w jednej ręce nagan, a w drugiej granat zaczepny. Kazali naszym żołnierzom rozpiąć pasy, wszelką broń rzucić na ulicę, armaty z końmi zostawić i pójść sobie. Staliśmy jak porażeni i płakaliśmy. Widzieliśmy, jak Polska upada! Dozorca, który był świadkiem Jehowy, okrywał porzucone konie derkami z jaszczów. Co się potem stało, już mi się rozpuściło w pamięci.

— *Jaka była proporcja sił?*

— To był cały pułk polski, który po rozwinięciu kończył się na Cytadeli.

— *Ale pana słowa sugerują, jakby Sowietów było zaledwie kilkunastu.*

— Bo tylu ich było w moim najbliższym polu widzenia. Ale w całym mieście na tyle dużo, że cały Lwów natychmiast się poddał.

W tej scenie jest faktycznie coś niesamowitego, ale nie uświadamiam sobie, co? Że to się odbyło bez jednego wystrzału, w milczeniu, jakby we śnie…?

Tak, dokładnie tak było. Czy te mongolskie mordy coś wołały (pewnie tak), tego nie pamiętam. Szczególne wrażenie zrobiło na mnie to, że Sowieci nie wzięli nawet naszych żołnierzy do niewoli, nic im nie zrobili, tylko kazali im sobie pójść (*paszoł won*). Tak skończyła się dla mnie Polska. Ten obraz, widziany sprzed bramy domu, utrwalił mi się na całe życie.

— *Czy Rosjanie zabijali ludzi w mieście? Rabowali, gwałcili?*

— Wtedy jeszcze nie, bo dopiero co weszli.

— *Na gwałt i rabunek wystarczy parę minut.*

— (*stanowczo*) Nie, nie, oni początkowo zachowywali się przyzwoicie, podobnie jak później Niemcy. Póki wchodziła armia regularna, wszystko odbywało się w dość cywilizowany sposób. Dopiero gdy przyszło NKWD, zaczęły się dziać rzeczy straszne: wywózki, selekcje itd. Tak samo było potem z Niemcami. Dopiero to, co przychodziło w ślad za pierwszymi oddziałami, dawało, jak to się mówi, ludziom w dupę. Oczywiście zdarzały się wyjątki takie jak komando, które zamordowało polskich profesorów Uniwersytetu Lwowskiego wraz z Boyem. Ciekawie o tym napisał profesor Steinhaus. Jego książka jest świetna, ponieważ on jest zimny w swych obserwacjach i jednakowo bezwzględnie traktuje Sowietów i Niemców.

— *Pojawienie się bolszewików na ulicach Lwowa musiało być dla mieszkańców pełnym zaskoczeniem.*

— Wie pan, do tego stopnia, że kiedy przyszedł do nas *na kwartiru* enkawudysta Smirnow, moja matka wyrzuciła go po prostu za drzwi. Kiedy ojciec o tym usłyszał

po powrocie do domu, a miał jakie takie pojęcie o bolszewikach, okropnie się zdenerwował. Na szczęście komisarz okazał się poczciwym człowiekiem. Po jakimś czasie po prostu wrócił i wprowadził się do największego pokoju. Kiedy Rosjanie uciekli w 1941 roku, cały jego pokój był zasłany zeszytami, w których zapisywał wiersze. Był poetą.

— *Co pewnie nie przeszkadzało mu w skutecznych aresztowaniach i organizowaniu wywózek.*

— (*energicznie*) Ależ oczywiście! Gdy się ubierał wieczorem w swój specjalny mundur, wiedzieliśmy, że zaczyna się nowa akcja, więc wraz z kolegami biegliśmy do rodzin *bieżeńców*, którzy nie mieli w paszportach wpisanego Lwowa jako miejsca urodzenia. Ukrywaliśmy ich za spuszczoną blaszaną żaluzją w wypożyczalni książek „Ewers". Robiliśmy to zresztą nie ze względów patriotycznych, ale Rosjanom na złość.

— *Czy taki lokator chronił przed represjami?*

— Owszem, jak długo tam mieszkaliśmy, mieliśmy bardzo dobry papier na drzwiach, że jest to mieszkanie zarekwirowane przez komendanturę. To się nazywało wówczas *order*, czy jakoś tak, co oznaczało, że mieszkanie jest w całości zajęte. W tym sensie Smirnow bardzo dobrze nas chronił.

— *Ile we Lwowie było fal wywózek przed wejściem Niemców?*

— Trudno mi powiedzieć. Było to w końcu miasto liczące około 360 tysięcy mieszkańców. Klucz był taki: najpierw brali *bieżeńców*, bo najłatwiej było sprawdzić, jakie mają papiery. Potem zapanował klucz klasowy, a później — ku powszechnemu zdumieniu — wywożono przedwojennych komunistów (bardzo ich Sowieci nie lubili, oj bardzo).

— *Pański ojciec też wyjątkowo źle plasował się w sowieckich tabelach. Wzięty lekarz z dużego miasta to burżuj.*

— Ale lekarzy nie brali, bo byli im potrzebni. Szpital został natychmiast przemianowany na poliklinikę. To było wszystko. Nie było oczywiście mowy o prywatnej praktyce.

— *Nawet lewej?*

— Lewa naturalnie była.

— *Pan wspomniał, że ojciec miał pojęcie o bolszewikach. Co to znaczy?*

— Był kiedyś rosyjskim jeńcem z austro-węgierskiej armii w Turkiestanie, więc bardzo dobrze znał rosyjski, ponieważ był pośrednikiem pomiędzy grupą niemieckojęzycznych oficerów i dowódcą obozu jenieckiego nad rzeką Syr-darią. To były bardzo liberalne czasy, więc mój ojciec miał tam psa, a nawet leczył chorych. Pies nazywał się Sralik, ponieważ robił kupy wszystkim pod łóżkami, z wyjątkiem łóżka swojego właściciela. Ojciec nauczył się tam pić kumys, czyli sfermentowane mleko kobyle. Kiedy pierwszy raz dostał je do wypicia, kazali mu najpierw zamknąć oczy. Pomyślał, że pije cienkie wino.

— *Pana ojciec był oficerem, prawda?*

— Oczywiście, był *oberarztem*. Ze względu na bohaterską postawę, Rosjanie pozwolili jego jednostce iść do niewoli przy szabli, ale zaraz potem, na pierwszej stacji za Przemyślem, wszystkie szable im zabrali. Kiedy ojciec uciekł i przedarł się bliżej naszych stron, był już maj. Jako oficer w mundurze został natychmiast rozpoznany, i prowadzono go na rozstrzelanie, ale na szczęście dostrzegł go stojący na chodniku fryzjer, znajomy ze Lwowa, który znał jakiegoś „czerwonego” komendanta, więc do niego natychmiast pobiegł i ojca wyciągnęli. Gdyby wtedy nie było go na tym chodniku, dziś bym z panem nie rozmawiał. To jest zabawne, ale ojciec doktora Krausa, który zaprosił mnie z żoną w Berlinie do Wiednia jako gości Österreichisches Institut für Literatur, też był oficerem austriackim. Pracował przy wyrębie lasów na północy Rosji. Kiedy wracali do domów, zatrzymali ich „czerwoni” i kazali im pokazać ręce. Kto miał na dłoniach nagniotki — ocalał,

kto miał białe dłonie — został natychmiast zabity. Kraus miał odciski, bo pracował jako drwal. To go uratowało. Wszystko to było oczywiście sprzeczne z konwencją genewską, ale u Sowietów, jak pan widzi, zabijanie szło piorunem.

— *Co się działo w mieście po wejściu Sowietów?*

— Kiedy weszli do Lwowa, ojciec zaraz przytomnie zaprowadził mnie do sklepu przy placu Smolki, który był już zupełnie pusty, bo został obrabowany, ale właściciel wyciągnął jeszcze z jakiegoś zakamarka płaszcz w pepitkę. To było bardzo mądre pociągnięcie, bo potem już niczego porządnego nie można było kupić. Z tego okresu wszystko pamiętam we fragmentach. Na przykład w pokoju służbowym, w którym za polskich czasów mieszkała służąca, stał lity kaflowy piec. Paląc papierosy, wrzucaliśmy do niego niedopałki. Później, jak przyszli Niemcy, wymiatało się je i rozkruszało śmierdzący, niedopalony tytoń, żeby coś zapalić. Było wiele egzotycznych produktów tego czasu, na przykład ohydne, gilzowe papierosy „Biełomorkanał". Nie znosiłem ich. Pewnego dnia, po zdaniu egzaminu, kupiłem sobie sowieckie cygaro… (*śmiech*) Myślałem, że się uduszę. Trochę mi się już plącze, z wyjątkiem dziewcząt, co było za pierwszych, a co za drugich Sowietów…

Co się wtedy jeszcze ciekawego działo? Znikła chałwa, natomiast pojawił się tzw. *urjuk* — maleńkie, mocno zasuszone morele. Sowieci wprowadzili swój system kartkowy. Otóż ludziom na stanowiskach rozdawali bloczki z kuponami, na których wybito ceny w procentach. Cokolwiek się wtedy kupowało, część płacono w rublach, a część w kuponach. Jeśli ktoś był na przykład lekarzem, płacił 20–25 procent mniej. Byli jednak i tacy, którzy płacili 75 procent mniej. Ojciec był wtedy ogromnie zapracowany, a mama zajmowała się domem.

W tym czasie uczyłem się do egzaminów na politechnikę (oczywiście sowiecką) w naszym dawnym pokoju służbowym, ponieważ jadalnia została zajęta — jak

wspomniałem — przez enkawudystę. Uczył mnie młody człowiek o nazwisku Lubelski, którego spotkałem później po dwudziestu latach na kiermaszu książki pod Pałacem Kultury. Miał elektryzujące niebieskie oczy. Poznał mnie, choć był już znacznie starszy. Nauczył mnie dość porządnie geometrii wykreślnej Monge'a, która była niezmiernie przydatna do egzaminu. W końcu zdałem go, ale nie zostałem przyjęty, bo mój ojciec okazał się burżujem.

— *Pójście na studia to był sposób na przetrwanie?*

— Pewnie. Coś trzeba było robić, dlatego już od 1939 roku zostałem studentem we lwowskim Instytucie Medycznym, jednakże dostałem się tam dość okólną drogą, bo ojciec wykorzystał swoje dawne znajomości. Ponieważ przed laty był przez jakiś czas asystentem profesora Jurasza, który był jednym z twórców polskiej otolaryngologii, więc przy jego pomocy i profesora Parnasa, bardzo znanego biochemika, zostałem wkręcony na listę zdających na medycynę. Poszedłem niechętnie, ale rozumiałem, że jeżeli nie zacznę studiów, stanie się coś złego.

— *A co by było, gdyby się pan tam nie dostał?*

— Groził mi pobór do Armii Czerwonej. Niczego w życiu tak się nie bałem jak *powiestki* z Wojenkomatu. Byłem już zresztą badany, na szczęście mam dalece posunięty astygmatyzm i naprawdę się nie nadawałem do wojska. Przed samym wybuchem wojny wystrzelałem co prawda złotą odznakę strzelecką (*śmiech*), ale dla sowieckich komisji byłem niezdatny do służby również dlatego, ponieważ zasiadali w nich przyjaciele mojego ojca.

— *Kim byli pańscy koledzy na studiach?*

— Towarzystwo było dzikie. Pamiętam niejakiego Sinielnikowa, z głębi Rosji, ubranego tak, jakby wcisnął na siebie garnitur z najmłodszego brata. Jego ubiór miał zresztą rozmaite braki. Pojawiło się trochę Żydów, wyciągniętych z zabitych dechami prowincji. Była na przykład na naszym roku bardzo przystojna Żydówka

o nazwisku Kaufman — złotowłosa blondynka o oczach błękitnych jak niebo. Niestety tak straszliwie żydłaczyła, że aż przykro było słuchać. Na pewno ją później Niemcy zabili. Sporo było ludzi z nor i dziur prowincjonalnych, którzy nie mieli wcześniej żadnej szansy życiowej, a teraz pchali się na studia.

Uczyłem się z Anką Pawlikowską, ale muszę powiedzieć, że te nasze dziewczyny były strasznymi kujonkami. Była też wśród nas „biała” Rosjanka, która udawała, że nią nie jest. Chodziłem z nią tu i tam. Było też u nas sporo Ukraińców. Jeden z tych łotrów pożyczył ode mnie *Komizm* Bystronia i do dzisiaj nie oddał. A było to cenne wydanie, bo powojenne edycje były już ocenzurowane, gdyż znajdowało się tam sporo dowcipów antyżydowskich. Był tam na przykład rzekomy fragment *Konrada Wallenroda*: „finwo kamen Litwakes zi kamen von nachtpromenade”. To nie jest oczywiście żaden język żydowski, on to wymyślił. Z powojennego wydania Bystronia to wszystko zniknęło. Było też dużo normalnych studentów Polaków, którzy i tak by się dostali na studia.

— *A jak prezentowała się kadra profesorska?*

— Była niewielka liczba wykładowców z głębi Rosji, byli Ukraińcy, ale większość stanowili Polacy. Parazytologię wykładała Rosjanka, strasznie przeciągając: *fascioooola hepátiquaaa*. Musieliśmy wkuwać na pamięć wszystkie łacińskie terminy, ponieważ jednak egzaminy były przeważnie po polsku, jakoś dało się wytrzymać. Tylko fizykę wykładał nam Ukrainiec Łastowećkyj, którego później zastrzeliło polskie podziemie, więc Ukraińcy w odwecie natychmiast zabili młodziutkiego polskiego profesora historii, Bolesława Jałowego. Wtedy Pańczyszyn, ideologiczny przywódca Ukraińców, ukrył się na górze w cerkwi św. Jura i tam zmarł na serce. Trzech lekarzy ukraińskich podpisało akt zgonu, żeby było jasne, że to nie jest kolejny cios odwetowy…

— *Więc były też wykłady po ukraińsku?*

— Były, ale ja znałem ten język, toteż nie stanowiło to dla mnie problemu. Generalnie jednak wykłady w większości wygłaszano po polsku, bo wielu wykładowców, jak profesor Markowski, nasz anatom, oświadczyło, że nie znają ani rosyjskiego, ani ukraińskiego. W tej sytuacji rosyjscy słuchacze byli raczej przegrani.

Po pierwszym roku studiów odbyły się egzaminy i zostałem zaliczony do *otliczników*, co oznacza, że miałem same oceny bardzo dobre. Młodszych studentów na ogół osobiście nie znałem, bo to wszystko było jakoś dziwnie rozsypane, poza tym byliśmy zorganizowani w dwa tak zwane *potoki* po 200 osób na każdym kursie akademickim, co oznacza, że profesorowie musieli wykładać dwa razy to samo: raz przed południem, drugi raz po południu. To był morderczy system.

— *Czy z perspektywy studenta było widać postępującą sowietyzację?*

— Skąd! Żadnej sowietyzacji.

— *Studenci nie byli więc przez władze uczelni straszeni lub indoktrynowani?*

— Powiem panu, że nawet niespecjalnie. Kiedyś po sesji egzaminacyjnej wezwano nas wczesnym letnim popołudniem na ulicę Mickiewicza do domu jakichś zamożnych osób, które bez wątpienia wywieziono. Wszystkie meble były prześliczne, białe, empirowe. Zamknięto nas w pięknej dużej sali, gdzie siedzieliśmy, kompletnie nie wiedząc, o co chodzi. Wzywano nas pojedynczo, a ci, którzy znikali, już się więcej wśród nas nie pojawiali. Kiedy przyszła moja kolej, okazało się, że dają mi szansę wstąpienia do Komsomołu. Powiedziałem, że od dawna jest to moim marzeniem, ale jestem nieprzygotowany i muszę się do tego jeszcze dobrze podkształcić. Oni na to zaczęli mi tłumaczyć, że mnie podkształcą w organizacji, ale ja się uparłem, że muszę do tego sam dojrzeć.

To było moje pierwsze spotkanie z sytuacją, gdy musiałem zrobić jakiś unik. Moim zdaniem, to zagranie było zręczne, chociaż niezaplanowane ani nieprzemyślane. Po prostu, gdy usłyszałem słowo Komsomoł, natychmiast powiedziałem, że kocham szalenie, ale wstąpić nie mogę, bo jestem niedojrzały duchowo. Wypuszczono mnie innym wyjściem i nie miało to żadnych konsekwencji. Czyli można było postąpić w ten sposób.

— *Ale jakieś szkolenia z marksizmu chyba być musiały?*

— Owszem, były takie szkolenia na medycynie. Prowadził je profesor Hrudnyna, co znaczy po ukraińsku mostek (ten pod żebrami). Byłem wtedy jeszcze młodzieńczo bezczelny, więc mu powiedziałem, że mogę z nim o Marksie rozmawiać, ale wyłącznie po niemiecku, bo w tym języku go czytałem. On znał tak niemiecki jak pan japoński, więc mogłem bredzić jak Piekarski na mękach. Co ja mu tam wygadywałem? Bóg jeden wie.

— *A nie było we Lwowie żadnych uroczystości masowych? Na przykład święta oswobodzenia Lwowa spod polskiego jarzma?*

— (*posępnie*) Pamiętam dobrze manifestację z okazji 1 Maja w 1940 roku. Szliśmy w pochodzie ulicą Legionów, która wtedy nazywała się już jakoś inaczej, i nie tylko boczne ulice były zamknięte szpalerami wojska, ale także wloty do tych ulic z przeciwnych stron zablokowano. Wszystkie okna były zamknięte, a miasto wymarłe jakby po ataku atomowym. Wszyscy się pochowali jak szczury, nikogo absolutnie nie było widać. Wtedy właśnie zrozumiałem, co to za system i jak działa.

— *Czy miał pan świadomość ogromu represji wobec ludności polskiej?*

— Niespecjalnie. Mieliśmy dalekich krewnych, ziemian na Podolu, którzy posiadali kilka tysięcy hektarów pod Nowosiółką. Część z nich uciekła, część została wywieziona. Byli nam jednak na tyle obcy, choć byli to jacyś powinowaci, że wydarzenie to nie wywarło na mnie dużego

wrażenia. Żyłem w świecie rozmaitych młodzieńczych zwidzeń, a poza tym kułem do egzaminów.

Lwowa nigdy nie opuszczałem, dlatego nie miałem bladego pojęcia, co się działo na prowincji. U nas zresztą też. Potem dopiero, po wielu latach, dowiedziałem się o tym z książek. Cóż to były za okropne historie! Jakiś Żyd ukrył swego ojca pod stromą podłogą amfiteatralną, a kiedy ten ojciec tam umarł, syn pokroił trupa na kawałki. Straszne rzeczy się u nas działy, zwłaszcza za Niemców. Tam na miejscu nic wówczas jednak nie widziałem. Owszem, widziałem takie ciekawostki, jak na przykład czołgi systemu *christie*. Sowieci ściągnęli je zresztą z amerykańskich modeli. T-34 pojawił się znacznie później.

— *Czy pan, rodzice lub ktoś ze znajomych miał kontakt z Rosjanami? Jak oni się zachowywali?*

— Byliśmy bardzo silnie izolowani od politycznej bandy rosyjskiej, która przyjechała objąć stanowiska na „ziemiach przyłączonych”. Mówiono mi już po wojnie, w Moskwie, że był to najgorszy element sowiecki — same szumowiny. Nikt z szanujących się Polaków, nawet jak mógł, nie pchał się do nich. To było nie tylko nieprzyjemne, ale i niebezpieczne.

— *Czyli w ogóle nie docierało do pana, że wokoło trwa intensywna eksterminacja żywiołu polskiego?*

— Dochodziły wiadomości, że tego wywieźli lub tamtego wywieźli, ale potem przychodziły od nich listy, ponieważ poczta funkcjonowała. W ten sposób ludzie jakoś się pocieszali. Przez pierwszych kilka miesięcy po wejściu Sowietów było naprawdę strasznie. Kiedy jechały pociągi do Rosji, mówiło się: „skóra, manufaktura, skóra, manufaktura”. A gdy wracały, mówiono: „spiczki, machorka, spiczki, machorka”. Oprócz machorki i spiczek faktycznie niczego nie było w *magazinach*.

Miałem paczkę kolegów, z którymi urządzaliśmy ataki na kolejki. Ustawialiśmy się w klin w stylu Aleksandra Macedońskiego i atakowaliśmy głowę ogonka. Ale

w środku, w sklepie, nie było już wówczas nic. Co najwyżej kawałek andruta sklejony gorącą masą kakaową lub junaki (najtańsze wówczas papierosy, których fabryka znajdowała się pod Lwowem). Dopiero po jakimś czasie zaczęły się pokazywać jakieś towary sowieckie. Coś więcej zaczęło mi świtać w głowie, kiedy w kinie „Marysieńka” zobaczyłem sowiecką kronikę, w której pokazywali fabrykę moskiewskiej czekolady „Krasnyj Oktiabr’”, a w niej pracownice, pakujące czekoladowe cukierki. Od razu zrozumiałem, że w tym systemie nigdy czekoladek już nie zobaczę. Natomiast z kina „Marysieńka” mam jeszcze inne, tym razem bezpartyjne wspomnienie. Kiedy występował tam Teatr Miniatur, pewną silnie rozebraną panią (miała całą talię gołą) jeden krzepki pan podniósł w górę jedną ręką, a jego dłoń zagłębiła się w jej ciele tak, jakby to było ciasto. (*śmiech*) Zrobiło to na mnie piorunujące wrażenie.

— *Ale niech mi pan, na miłość boską, opowiada o sowieckiej okupacji, a nie o występach cyrkowców.*

— Proszę zwrócić uwagę, że to też należało do realiów tego czasu. Pamiętam tysiące anegdot o krasnoarmiejcach, które ludzie podawali sobie z ust do ust. Niektóre z nich zapewne były prawdziwe. Na przykład, wchodzą dwaj Rosjanie do sklepu i wskazując na naftalinę leżącą na półkach, pytają: „A co to za białe kulki leżą tam na górze?” Kiedy dostawali je do ręki, wkładali do ust i połykali. Nawet się nie krzywili! Albo o żonach *komandirów*, które chodziły w koszulach nocnych do teatru. Była też ładna historia o jakimś facecie, który w muszli klozetowej mył głowę, a kiedy woda przestawała lecieć, gonił z wściekłością za właścicielką. Nas te opowieści oczywiście strasznie bawiły, bo byliśmy w końcu bezbronnymi, małymi istotami w łapach tępego i wściekłego goryla. Podobnych historii nie opowiadano już jednak o Niemcach po ich wkroczeniu do Lwowa w 1941 roku, bo oni byli kompletnie nie do śmiechu.

— Relacje pamiętnikarskie potwierdzają, że okres pierwszej okupacji sowieckiej traktowano jako półokupację (mimo że były wywózki), natomiast okupację niemiecką uważano za prawdziwą. Skąd ta różnica?

— Bo ci Rosjanie to był rzeczywiście *grand guignol*. Oni byli czasami niemożliwi… (*śmieje się)* Można było przyjść do krasnoarmiejca i zapytać: „A kopalnie włóczki u was są?” A on zawsze z kamienną twarzą odpowiadał: „Oczywiście, są”. Do żołnierza niemieckiego nikt by z takim pytaniem nie poszedł. Rosjanie rzecz jasna byli groźni, ale ze sporą przymieszką groteski i absurdu. To były tak różne mentalności — niemiecka i sowiecka. Kiedy Rosjanie podeszli pod Poznań i rozpoczęli ostrzeliwanie miasta, żołnierze na polach zaczęli w kociołkach podgrzewać świńską tuszonkę. Na to amerykański korespondent pyta ich, jak mogą zajmować się w takim momencie żarciem, i to na otwartej przestrzeni, gdzie w każdej chwili może się zacząć ostrzał. A oni na to: „*Niczego, nas mnogo*”.

— No tak, ale też stopień infiltracji podziemia polskiego za Sowietów był znacznie większy niż za Niemców.

— Bo Rosjanie mieli taką przewagę liczebną, że o tej samej godzinie, na przykład o północy lub o drugiej w nocy, mogli wprowadzić swoich żołnierzy do wszystkich domów we Lwowie w towarzystwie dozorców. Niemców już na to nie było stać.

— Jako dziecko pamiętam atmosferę lat stalinowskich. Bez wątpienia ludzie się bali: w domu rozmawiali półgłosem o sprawach politycznych, przed dziećmi ukrywali prawdziwe opinie.

— Czegoś takiego we Lwowie absolutnie nie było. To był w końcu pierwszy rok okupacji i nikt jeszcze nie wiedział, co nas czeka. Wiadomo było tylko, że wywożą *bieżeńców* oraz część administracji polskiej. Tyle wiedzieliśmy, oczywiście. Pełną prawdę o tym wszystkim odkryłem dopiero po wojnie dzięki „Zeszytom Historycznym”

Giedroycia. Siedząc zaś tam, na miejscu, nie wiedziałem prawie nic.

— Moja mama, która jest w pana wieku i pochodzi spod Kamieńca, mówi, że w czasie okupacji sowieckiej dziadkowie nie mieli złudzeń co do tego, że zostaną wywiezieni, i zawsze byli spakowani do transportu. Oczywiście każdej nocy bali się okropnie.

— U nas tak wtedy nie było. Więcej strachu mieliśmy, kiedy Rosjanie przyszli po raz drugi, czyli kiedy nas, jak to się wówczas mówiło, „wyzwolili”. Wtedy rzeczywiście baliśmy się.

— To znaczy, że za „pierwszych” Rosjan społeczeństwo polskie nie miało świadomości, że na większość został już wydany wyrok śmierci albo deportacji?

— A w jaki sposób można się było czegoś takiego dowiedzieć? Albo od sąsiadów, albo z radia czy z prasy. A prasa to był wówczas „Czerwony Sztandar”.

— Ale pana ojciec nie mógł mieć złudzeń co do bolszewików. Znał ich przecież doskonale. Nie bał się?

— Nie miał żadnych złudzeń, ostatecznie omal go nie rozstrzelali. On był jednak strasznie skrytym człowiekiem. Jeżeli przeżywał jakieś lęki, nigdy się nimi ani ze mną, ani z moją matką nie dzielił. Swoje emocje zawsze trzymał na bardzo krótkiej lonży. O rozmaitych zagrożeniach często więc dowiadywałem się dopiero *ex post*. Taki miał po prostu charakter.

— Można więc powiedzieć, że jak na te okropne czasy, życie obeszło się z panem łaskawie.

— Mnie to wszystko naturalnie łatwo mówić tylko dlatego, bo nigdy nie siedziałem w łagrze, więc nie doświadczyłem najgorszego. Za „pierwszych” Sowietów miałem tylko jeden przykry moment, który zawdzięczałem zresztą swojej pasji i bezmyślności. Miałem bowiem taką słabość, że budowałem różne modele metalowe i skonstruowałem między innymi mały czołg i armatkę.

Potem robiłem zdjęcia tym swoim dziełom. Mimo że ojciec zabronił mi tego, zaniosłem film do wywołania do fotografa. Kiedy przyszedłem po odbitki, właściciel zakładu powiedział mi: „Tam na piętrze ktoś czeka na pana”. Był to naturalnie enkawudysta. Wytłumaczyłem mu natychmiast, co to jest, i nic się w końcu nie stało, ale była to jednak lekcja roztropności, bo zaprzestałem później podobnych praktyk. Być może Rosjanie nie wydawali się nam tak groźni, bo niczego nie niszczyli w mieście. Pomnik Smolki na placu Smolki i pomnik Mickiewicza na placu Mickiewicza stoją do dzisiaj.

— Wspomniał pan „Czerwony Sztandar”… Czytałem kolaboracyjne pisma sowieckie czterdzieści lat później i przyznam, że nawet wówczas była to zwalająca z nóg lektura. Czy często czytał pan takie rzeczy?

— Studiowałem wyłącznie komunikaty dotyczące sytuacji politycznej. Chcieliśmy się po prostu dowiedzieć, czy Lwów będzie polski, i to było najważniejsze.

— Wertując „gadzinowe” „Nowe Widnokręgi”, napotykałem często wyrazy radości z tego, że «Polska panów upadła». Musiał pan czytać takie teksty. I co?

— To było zupełnie inaczej, niż pan myśli. Nic mnie to wówczas nie obchodziło. Pan ciągle zapomina o mojej ówczesnej mentalności. Nie wiem, czy pan wie, ale studenci dostawali wtedy po 120 rubli miesięcznie. Proszę zgadnąć, co zrobiłem ze swoim pierwszym stypendium.

— ???

— Poszedłem na plac Mariacki do sklepu pomocy naukowych i kupiłem rurki Geisslera, bo robiłem wówczas induktor, w którym świeciło… No, taki byłem. Wykonałem też wtedy inną obłąkaną rzecz, bo kiedy przyszła zima i zapanowały mrozy, z futerału od piłki futbolowej, do której nie miałem tak zwanej duszy, uszyłem sobie czapkę, na podobieństwo pilotek, jakie nosili czołgiści (taką z pasków). Ojciec nie był bynajmniej zachwycony moim

nowym nakryciem głowy. (*śmiech*) Ale w końcu takie jest życie.

— Z „Mojego wieku” Wata lub z „Wielkiego strachu” Stryjkowskiego dowiadujemy się o funkcjonowaniu środowiska literackiego we Lwowie. Czy miał pan z nim jakikolwiek kontakt?

— Do matury nic mnie to nie obchodziło, bo głównym moim zajęciem była gra na obronie podczas meczów piłki nożnej. Nie znałem ani jednego pisarza, nie wiedziałem w ogóle, że jest jakiś związek literatów we Lwowie, ani że istnieje jakaś Wanda Wasilewska. Miałem wtedy siedemnaście lat i tyle wiedziałem o tej całej awanturze, co pan o tym, co się dziś dzieje w Chinach. Kontaktów ze środowiskiem literackim nie miałem żadnych, bo mi wtedy nawet do głowy nie przychodziło, że kiedykolwiek w życiu będę coś pisał. Czytałem książki, i to wszystko. A na co dzień siedziałem nad *Anatomią człowieka* Adama Bochenka, bo podręczników rosyjskich w ogóle wtedy nie było. A cała ta historia literatów, opisana w *Wielkim strachu* Stryjkowskiego, to są dla mnie jakieś legendy.

— Czy po ataku Niemców na Rosję łudzono się nowymi nadziejami?

— Ja byłem wtedy strasznie ciekaw, jak to się rozwinie. W latach 1941–1942 wielu ludziom wydawało się, że Rosjanie dostaną tak strasznie w dupę, że uciekną za Ural. Ale my w to nie wierzyliśmy.

— Czyli w co wtedy wierzyliście?

— Powiedzieć prawdę? Wierzyliśmy w Polskę. Na tym polegało nasze szaleństwo.

— W 1941? Z takimi przeciwnikami na głowie? Trudno w to uwierzyć. Chyba że po szklance bimbru.

— W okresie lwowskim nie miałem jeszcze bladego pojęcia o Katyniu i losie polskich oficerów. Wielu rzeczy nie wiedzieliśmy, więc wierzyliśmy w to, czego pragnęliśmy.

— Jak pan pamięta 22 czerwca 1941 roku?

— Gdy wybuchła wojna, w mieście zagotowało się. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy panikę Ruskich i ich masową ucieczkę. Smirnow też uciekł. Nie mogę powiedzieć, że byłem nieszczęśliwy z tego powodu. Moc olbrzymich sowieckich czołgów w żółtopiaskowym kolorze, z lufami odwróconymi w tył, uciekało ulicą Gródecką, zwaną wtedy *„Dawaj nazad”*. Po krótkim czasie przyjechały, wyglądające zupełnie jak chrząszcze, małe tankietki niemieckie — sine, szmelcowane. W każdej stał Niemiec.

Pod Lwowem stacjonowało jakieś silne zmotoryzowane zgrupowanie sowieckie, więc haratanina trwała dość długo, ale w końcu Niemcy dali sobie radę. Nie byliśmy w to uwikłani bezpośrednio, do żadnych ulicznych walk nie doszło.

— *Czyli mieszkańcy Lwowa dowiedzieli się, że Niemcy wkraczają do miasta, dopiero w momencie, gdy pojawili się na ulicach?*

— No, pewno.

— *Czy chroniono się do piwnic? Jak to wyglądało?*

— Nic takiego wtedy nie widziałem.

— *Po prostu nagle czołgi pojawiły się na ulicach?*

— Tak, ale najpierw masowo uciekali Rosjanie. Głównie cywile. Wojskowych w ogóle wtedy nie widziałem. Czołówka niemiecka była za to wyłącznie zmotoryzowana, żadnych pieszych. Nagle na ulicach pojawili się motocykliści z okularami na hełmach, i już było po wszystkim. To stało się bardzo szybko.

— *Czy na ulicach widać było wiwatujące tłumy?*

— Podobno Ukraińcy życzliwie witali Niemców, ale ja tego na własne oczy nie widziałem. W każdym razie wyszli na wierzch. Wtedy też po raz pierwszy mój kolega z gimnazjum, Miśku Wołk, odezwał się do mnie na ulicy po ukraińsku. *„Miśku, ty szczo, zdurił*?” — zapytałem. Nigdy bowiem wcześniej nie rozmawialiśmy po ukraińsku, bo uczniowie ukraińscy bardzo się pilnowali w szkole. Wiedziałem, że byli grekokatolikami, więc mogli mówić

w swoim języku, ale oni nigdy tego nie robili poza godzinami ukraińskiego w gimnazjum. Do matury uczył nas w polskim gimnazjum Ukrainiec — profesor Turczyn.

— *A Niemcy zrobili jakąś defiladę w mieście?*

— Zrobili, ale ja się nie pchałem. Na trasie pojawiły się tylko hitlerowskie jednostki zmotoryzowane.

— *A czy było coś wiadomo na temat masowych mordów w więzieniach? Było jasne, że to Sowieci zrobili?*

— Nie wiadomo, kto podpalił Brygidki. Może Niemcy, ale raczej Sowieci. Mury więzienia były bardzo grube, więc paliły się bardzo źle. W piwnicach faktycznie całymi stosami leżały trupy. Zajrzałem tam. Straszny widok! Z powodu upałów, bo to był lipiec, zwłoki rozdymały się do nieprawdopodobnych rozmiarów. Zaraz potem przyjechała jakaś niemiecka kronika filmowa PKB Berichte, więc wolałem nie brać udziału w tym spektaklu…

— *Czy pan wierzy w teorie Wiktora Suworowa, który twierdzi od lat, że klęska Sowietów w 1941 roku była tak frontalna, ponieważ byli zajęci przygotowaniami do wojny ofensywnej, więc sprzęt i armie mieli ściągnięte pod granicę?*

— Nie, moim zdaniem nie byli przygotowani do żadnej wojny — ani ofensywnej, ani defensywnej. Dopiero mieli się do niej przygotować. Koncepcja Stalina była bowiem taka, że państwa zachodnie, czyli Francja, Niemcy i Anglia, osłabną, walcząc ze sobą, a wtedy Armia Czerwona wejdzie w nich jak nóż w masło, nie prędzej jednak niż w 1942 lub 1943 roku. Ale on sam przygotował sobie równocześnie piłę na własną gałąź, bo zrujnował swój sztab generalny — Tuchaczewskiego rozstrzelał, a Rokossowskiego musiał później wyciągać z łagrów. On zresztą jawnie nienawidził potem wszystkich służb politycznych typu NKWD.

— *Czytałem biografię Tuchaczewskiego. On wcale nie był genialnym dowódcą, jak głosi legenda, wręcz przeciwnie — był politycznym karierowiczem. Stalin nie popełnił błędu,*

pozbywając się go, bo taki dowódca armii nie nadawał się do wojny z Zachodem.

— Widać tylko carscy dowódcy, którzy przeszli na stronę „czerwonych”, mieli jakieś doświadczenie. Ale to jest materia, na której się nie znam.

— *Jak się pan urządził pod niemieckimi rządami?*

— Przez całe lato czterdziestego pierwszego roku rodzina rozważała, co ze mną zrobić, bo Niemcy zamknęli wszystkie uczelnie, a ja wyrażałem absolutną niechęć do jakiejkolwiek działalności urzędniczej. I wtedy przez jakiegoś znajomego ojca udało się załatwić dla mnie pracę fizyczną w niemieckiej firmie Rohstofferfassung, która zajmowała się odzyskiwaniem surowców. Pracowałem w garażach i nie umiałem kompletnie nic. Jedyną podstawą zatrudnienia było tak zwane „zielone” amatorskie prawo jazdy, które zrobiłem tuż przed wybuchem wojny. Byłem nawet nie mechanikiem samochodowym, ale pomocnikiem do wszystkiego. Moim mistrzem był pan Tadeusz Solakiewicz. Zarabiałem 900 okupacyjnych złotych i usiłowałem się przekwalifikować, gdyż praca przy silnikach mnie nudziła. Za Niemców każdy starał się uzyskać w dokumentach wyższą kwalifikację zawodową, niż rzeczywiście ją posiadał, więc zatrudniony byłem jako *Autoelektriker und Automechaniker.* Dlatego również zacząłem się uczyć spawania, co jakoś tam w końcu opanowałem, ale spawaczem byłem bardzo marnym. I tak się to powoli obracało.

Od czasu do czasu, co było zresztą najciekawsze w ówczesnej egzystencji, moja firma organizowała wyprawy samochodami na wielkie pobojowiska gdzieś pod Gródkiem Jagiellońskim i Rawą Ruską, gdzie jako spawacz, za pomocą tlenu, autogenowymi palnikami ciąłem korpusy zniszczonych czołgów. Miałem butlę z tlenem i przetwornicę, a na gębie maskę. Podejrzewam, że wszystko to, jako złom żelazny, jechało do Kruppa. Nie miałem jednak poczucia, że robię coś brzydkiego.

Organizowano nam też wyprawy do „Beutepark der Luftwaffe” na terenach Targów Wschodnich, gdzie znajdowały się olbrzymie ilości sprzętu wojskowego, porzuconego przez wycofujące się wojska radzieckie. Pamiętam, że były tam zupełnie nie uszkodzone samochody.

— *Czy Targi Wschodnie to po prostu tereny wystawowe?*

— Tak, Niemcy ściągali tam rozbite pojazdy sowieckie. Był tam też park zdobycznych trofeów lotnictwa.

— *Słyszałem, że w czasach niemieckich brał pan udział w ruchu oporu.*

— To oczywiście przesadzone. Kiedyś zlecono mi rozbieranie dużego pojazdu sanitarnego, pod którym w śniegu (była wtedy zima) znalazłem woreczki z prochem i trochę naboi. Postanowiłem przekazać to wszystko jakiejś podziemnej organizacji. Dziś już nawet nie potrafię zrekonstruować, jak to było, i nie podam panu żadnych konkretów, ale za okupacji częstokroć tak się zdarzało, że brało się udział w czymś, o czym nie można było nic powiedzieć. Wiem, że były takie wypowiedzi, jakobym należał do ruchu oporu. Ale prawdę powiedziawszy, cały mój wkład polegał na tym, że spiknąwszy się z facetami, którzy pracowali dla jakiejś podziemnej organizacji (nie wiem nawet jakiej), dostarczałem im przez jakiś czas odnalezione materiały wybuchowe, wymontowane z rosyjskich wraków płaskie radia czołgowe i bagnety. W sumie pod kombinezonem dość dużo rozmaitych rzeczy wynosiłem, które przekazywałem tym ludziom. Kontakty były jednak luźne. Tak mnie nauczono, żeby jak najmniej pytać i nie starać się wiedzieć więcej, niż należy. Mam dostarczać materiały, które idą na walkę z Niemcami, i koniec. Nie wiem więc niczego konkretnego. Miałem tylko przyjemne uczucie, że w jakiś sposób się patriotycznie przyczyniam, bo wiedziałem na pewno, że to była organizacja polska. We Lwowie panowała wtedy dość skomplikowana sytuacja, bo spore grupy ludności liczyły

na to, że Niemcy poprą plany powstania Samostijnoj Ukrainy.

Pod schodami garażu miałem dołek, w którym ukrywałem amunicję lotniczą i wymontowywane z wraków samolotów sowieckich sztuczne horyzonty i szybkościomierze, przekonując się notabene, ku swojemu zdziwieniu, że wszystkie miały napisy „made in Germany” (*śmiechy*). Wszystko to ukrywałem, trochę dla wyższych celów, a trochę dla siebie, bo miałem mentalność szczura lub kota.

Oczywiście, dzięki kontaktowi z podziemiem miałem nieco lepsze samopoczucie, gdy wynosiłem te woreczki z prochem. Ale to nie wynikało z patriotyzmu — ja to robiłem w gruncie rzeczy z ciekawości, bo wyglądały bardzo ładnie, jak sztony do gry. To były spore białe, kilogramowe płócienne woreczki. Dopiero potem powiedziano mi, że są to ładunki do najcięższej artylerii.

Kiedyś siedzieliśmy z kolegami w garażu i piekliśmy obierzyny ziemniaczane na żelaznym *dauerbrennerze*, gdy dla hecy otworzyłem klapę i wrzuciłem w ogień niewielką garstkę prochu z takiego woreczka. Był tak sakramencki wybuch, że rura kominowa wyleciała ze ściany, a my wszyscy wyglądaliśmy jak Murzyni. Kiedy indziej przyniosłem z tego „Beuteparku” świecę dymną i zapaliłem ją, ale za cholerę nie można było jej zgasić… A przed bramą chodził wartownik niemiecki! Takie były moje ówczesne zmartwienia. Taka jest trywialna prawda. Nie byłem żadnym bohaterem. Naokoło szalała wojna, a ja węszyłem za staruszką od naleśników z serem i marmoladą (*śmiech*).

— *Wiadomo, że przez długi czas za okupacji niemieckiej ukrywał się pan pod innym nazwiskiem. Dlaczego? W tamtych latach oznaczało to zejście do podziemia lub zagrożenie ustawami norymberskimi.*

— Ani jedno, ani drugie. Ukrywałem przez jakiś czas Żyda.

— *W domu? I co?*

— No skąd! Na piętrze w garażu. Ten chłopak nazywał się Tiktin i chodził o rok niżej do innego gimnazjum. Znaliśmy się z widzenia. Nie pamiętam, może kiedyś graliśmy razem w piłkę nożną? Dopadł mnie na ulicy, gdy żydowscy policjanci, którzy podobnie jak granatowa policja nosili czapki mundurowe, tylko pod celofanem mieli gwiazdę Dawida, odprowadzali Żydów do roboty. To było rano, gdy wyszedłem na podwórze przed garażem. Przez cały czas chodził tam przy posterunku lotnik niemiecki. Ten mój znajomy musiał mnie już wcześniej zobaczyć, bo natychmiast znaleźliśmy się w środku. Był w cywilnym ubraniu, w oficerkach, z gołą głową. Okazało się, że uciekł. Zdarzyła mu się dość dziwna historia: miał ze znajomymi uciekać, korzystając z pomocy węgierskich żołnierzy, ale kiedy przyszli w umówiony punkt, wpadli w zasadzkę, bo ci Węgrzy przyszli w towarzystwie uzbrojonego Żyda, który był zaufanym gestapo lub policjantem. Z miejsca zaczęło się rozstrzeliwanie. Wtedy uciekł. Jak trafił do mnie, nie mam bladego pojęcia.

— *Nie wahał się pan?*

— Byłem w rozterce: co robić? Jasny dzień, niedługo przerwa, a po drugiej stronie podwórza mieszka ta starsza pani, która robi pyszne naleśniki. Więc rzekłem: „chodź”, i wciągnąłem go do garażu. Ale to nie było żadne ukrycie, bo codziennie przychodziło tam dużo ludzi. To wszystko było dość wariackie, bo garaż w ogóle nie był zamykany, wystarczyło wejść na górę z latarką (tam nie było światła), by zauważyć chłopaka, chowającego się po jakichś zakamarkach. Ale jak długo tak można? W końcu mu powiedziałem: „Nie możesz tu siedzieć wiecznie”. Po jakimś czasie odszedł, a ja uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie wpadnie, będzie przesłuchiwany, a Niemcy będą go wypytywać, gdzie się ukrywał. Wtedy powie, że u mnie. Jak sobie to uświadomiłem, zrobiło mi się gorąco… dlatego przeprowadziłem się do pewnej staruszki,

u której mieszkałem tak długo, aż mi zmieniono papiery na nazwisko Jana Donabidowicza.

— *To jak, pracował pan później pod nowym nazwiskiem?*

— Do warsztatów już nie wróciłem, bo uznano, że będzie zdrowiej dla mnie, gdy zamieszkam z rodzicami (oczywiście już na fałszywych papierach). Przeniosłem się więc na ulicę Zieloną, gdzie mieszkałem w sublokatorskim pokoiku u państwa Podłuskich. Wtedy już nie pracowałem i pozostawałem na utrzymaniu ojca. Był to okres, gdy zaczęło się już mówić o Rosjanach i wielkich zimowych ofensywach.

— *Czy kiedy ukrywał pan tego znajomego Żyda, czuł pan zagrożenie, nacisk ze strony Polaków? Czy ktoś panu groził lub szantażował? Odczuwał pan strach?*

— Chcę powiedzieć to jasno: zmusiła mnie do tego sytuacja. Nie potrafiłem mu powiedzieć: „Idź sobie!” Wiedziałem, że nie umiem mu w żaden sposób pomóc, ale takie zdanie nie przeszło mi przez gardło. Czasami prawidłowo reagujemy ze wstydu i nieśmiałości, a nie ze szlachetnych pobudek. Ja w każdym razie nie byłem aż taki szlachetny. Ale wkrótce potem zacząłem myśleć: przecież on (za przeproszeniem) musi się gdzieś załatwiać, prawda? Więc zrobi to na strychu, bo gdzie indziej. Potem będzie śmierdziało i ktoś to poczuje. Poza tym, owszem, mogę mu przynieść coś do jedzenia, ale jak długo to może trwać? Nie pamiętam już, ile czasu go ukrywałem, ale dłużej naprawdę już się nie dało. Kiedy odszedł, poczułem kolosalną ulgę, lecz jednocześnie zrozumiałem, że jeśli wpadnie, pociągnie mnie za sobą, bo na przesłuchaniu na pewno będzie mówił prawdę. Tych parę dni to zatem nie jest powód do żadnej chwały, bo znalazłem się w sytuacji w pewnym sensie przymusowej. Pod taką presją psychiczną nigdy wcześniej nie byłem. Oczywiście rozumiałem sytuację tego znajomego Żyda, ale nie umiałem nic więcej dla niego zrobić.

— *Nie wie pan, co się z nim stało?*

— Nie miałem o nim później żadnej wiadomości. Na pewno zginął. To było w tym okropnym okresie, gdy żydowscy milicjanci, o czym później się dowiedziałem od Grynberga, wciąż jeszcze wierzyli Niemcom. Właśnie wtedy jakiś *pieriewoźnik* całą swoją rodzinę pomagał pakować do Treblinki (a jeśli nie pakował, to w każdym razie nie przeszkadzał i nie poszedł z nimi). Potem pytał ludzi: „Czy ja jestem mordercą?”

— *Kiedy w takim razie napisał pan „Człowieka z Marsa”? Chyba nie w tych warsztatach?*

— Napisałem go pod koniec okupacji, gdy uciekłem już z tych idiotycznych garaży. Miałem wszystkiego dość, ręce zżarte smarami i mydłem piaskowym, chodziłem ciągle usmarowany jak kominiarz. Na dodatek mieliśmy stale jakieś nocne remonty. Posiadałem wprawdzie nocną przepustkę, ale baliśmy się wychodzić, bo wiadomo było, że ukraińska policja może Polaka rozwalić na ulicy. Co z przepustki trupowi? Całymi nocami siedzieliśmy więc w tym cholernym garażu. Ta historia z Żydem była też dla mnie rodzajem okazji, żeby rzucić te pracę. Potem miałem już swobodę, więc zapisałem się do wypożyczalni książek, czytać mogłem, ile chciałem. Napisałem wtedy *Człowieka z Marsa*, ale do głowy mi nawet nie przychodziło, że kiedykolwiek sprzedam go jakiemuś pismu za 26 tysięcy starych złotych. Potem długo się wstydziłem, ale podczas stanu wojennego jacyś moi entuzjaści odnaleźli to opowiadanie, wydrukowali nielegalnie i przynieśli mi w postaci druku drugoobiegowego. Nie miałem z tym jednak nic wspólnego.

— *Jakie były pańskie lektury w tym okresie okupacji?*

— Kiedy pracowałem jeszcze jako robotnik, moje życie umysłowe niemal przestało istnieć. Wie pan, dojście do pracy, powrót, osiem godzin fizycznego wysiłku, często przez noc trzeba było wykonywać akordowe prace. To wszystko nie sprzyjało rozwojowi umysłowemu. Nie mogła tego załatać jedna czy druga książka.

Poetą, którego dziwnie chętnie wtedy czytałem, był Rilke. To zresztą jedyny pisarz niemiecki, którego mogłem wówczas strawić. Miałem jego dwa skromne zbiorki, wydane w 1941 roku w Lipsku. Mam je do dzisiejszego dnia. Przez pewien czas usiłowałem go nawet przekładać i nieraz w trakcie pracy plątał mi się po głowie jakiś czterowiersz, ale na ogół nie bardzo mi się to udawało. W latach okupacji miałem jeszcze dość mierne pojęcie o języku niemieckim, bo z gimnazjum wyniosłem ubogie wiadomości, ale krążąc wokół tej poezji, doszedłem do pewnej sprawności w czytaniu. Z czasem coraz głębiej byłem w stanie wchodzić w stylistykę, frazeologię i językowe smaczki Rilkego. Mocno wpłynęło to na moje wczesne próby literackie, a zwłaszcza na *Obłok Magellana*, gdzie różnego rodzaju „piękności" stylu i językowe „kwiecie" są w dużej mierze transpozycją mojego zakochania w Rilkem.

— *Słyszałem, że próbował pan pisać ulotki po niemiecku w ramach akcji antypropagandowej.*

— Rzeczywiście, za czasów niemieckich miałem kontakty z jakąś podziemną grupą warszawską i liczyłem, że będę mógł brać udział w „Akcji N". Otrzymałem nawet na próbę artykuły Goebbelsa z gazety „Das Reich" i miałem za zadanie napisać tak zwaną kontrę, ale niestety porobiłem błędy gramatyczne i przepadłem. Nie było rady. Podejście do sprawy w konspiracji było ściśle pragmatyczne — trzeba coś konkretnego robić, a nie napawać się uczuciami patriotycznymi…

— *Mówiliśmy wcześniej o pismach kolaboracyjnych. W podejściu Polaków do „gadzinówek" sowieckich i niemieckich widać sporą różnicę. „Nowy Kurier Warszawski" był jednoznacznie wstrętny, ale sowiecką „Prawdę Wileńską" lub „Nowe Widnokręgi" czytano. Skąd ta różnica?*

— Ja w czasie okupacji kupowałem we Lwowie „Krakauer Zeitung", a później ilustrowany tygodnik „Die Wehrmacht",

„Das Reich” oraz „Der Adler”. Pamiętam z tych lektur podziw dla militarnej siły niemieckiej, o czym później trafnie pisał Kijowski. Była to fascynacja pokonanych dla ich nurkujących bombowców i marszu na Stalingrad. Bardzo rzadko miewałem za to w ręku polskojęzyczną szmatę okupacyjną.

— *Dlaczego?*

— A po co? Miałem możliwość nasłuchu Londynu. A jak już coś czytałem, to po niemiecku. Kiedy zaś zaczęli się zbliżać Rosjanie, wszystko już było inaczej.

— *Jak się o tym we Lwowie mówiło?*

— To delikatna sprawa. Nikt niczego tak naprawdę nie wiedział, podczas gdy w rzeczywistości już zapadły, nie znane nam, porozumienia dotyczące przyznania tych terenów Sowietom. Mieliśmy perspektywę mrówek, proszę pana.

— *Czy tym razem, po nadejściu Rosjan, we Lwowie były walki uliczne?*

— To było tak… Rosjanie po pewnym czasie przejęli od Wehrmachtu metodę obchodzenia miast od zachodu, co zwykle dla Niemców było zaskoczeniem. W tym czasie mieszkałem sam, bo miałem wynajęty pokój na Zielonej. Nagle rozeszła się wiadomość, że zbliża się dywizja „Hałyczyna” i morduje wszystkich mężczyzn. To była formacja „SS Galizien”. Uciekliśmy więc na Pohulankę, aby schować się w tym małym lasku. Co człowiek robi w takich chwilach, przekonałem się, gdy już wróciłem. W plecaku miałem jedną skarpetkę, garść kostek cukru, zmiętą koszulę i jakiś but.

Przyjechali czołgami Sowieci, potem się wycofali, ale przez krótki czas byliśmy strefą niczyją — na linii frontu. Niemcy siedzieli wysoko na Cytadeli i strzelali do rosyjskich czołgów na ulicach. Przyszedł mi wtedy do głowy świetny pomysł, aby pójść do domu i wykąpać się, ale gdy pociski zaczęły nadlatywać, z szaloną szybkością opuściłem wannę. Gdy zbiegałem z piętra do piwnicy z wiadrem pełnym wody,

przez okno widziałem zieleń Pohulanki. Ktoś stamtąd strzelił. Wtedy jednym susem z półpiętra znalazłem się na parterze. Niestety, wiadro się przewróciło i woda się wylała. Nie próbowałem już drugi raz jej przynieść. Bo kurek był na półpiętrze.

— *Kiedy obca armia wchodzi do miasta, siedzi się w piwnicach, a nie biega po piętrach.*

— Co zrobić, taki byłem! Później zresztą bardzo chciałem napić się barszczu i pobiegłem z piwnicy do kuchni. Akurat wtedy Niemcy rzucili bombę przeciwczołgową (czołgi stały na ulicy, wzdłuż naszych domów). Gruchnęło jak diabli! Do dziur w ścianie, półtora metra ode mnie, można było rękę włożyć.

— *Co się stało z barszczem?*

— Nie wiem. Z garnuszka zostało mi tylko samo ucho, a na głowie miałem ramę okienną… Z rozciętego czoła lała mi się krew. Gdy zszedłem do piwnicy, wszyscy patrzyli na mnie jak na trupa, który wstał z grobu.

Potem był moment, kiedy do solidnej, żelaznej bramy, która została zamknięta na noc, zaczęli dobijać się Niemcy. Ludność w piwnicy podzieliła się: jedni mówili, że trzeba ich wpuścić, drudzy zaś, że lepiej nie, bo nas wykończą.

— *Czy to znaczy, że Niemcy z powrotem weszli do miasta?*

— Tak. W miejskich walkach pojedyncze oddziały ciągle się tasowały. Niemcy uciekli, ale znowu wrócili. Sowieci, którzy wcześniej weszli do miasta, też mówili: „*My wierniomsja”.* I rzeczywiście, wrócili. A ukraińska dywizja „Hałyczyna” została rozbita pod Brodami w proch. Ale o tym dowiedziałem się już później, z książek.

Gdy Cytadela ucichła, pomyślałem, że cały Lwów jest już sowiecki. Nie pytając więc nikogo o zdanie, poszedłem do taty i mamy, którzy mieszkali wtedy koło Gródeckiej, w jakiejś bocznej ulicy. Nie doszedłem jednak do nich, gdy nagle usłyszałem gruchot gąsienic. Wokół mnie zrobiło się pusto. Naprzeciw jechała „Pantera”. Chciałem się schować

do jakiejś bramy, ale wszystkie były zamknięte. Nie było się gdzie ukryć.

— *Czołg jechał ulicą?*

— Tak, środkiem. Dookoła mnie nie było żywego ducha. Nie wiedziałem jednak, że w kępie krzaków, po lewej stronie, jest zamaskowane sowieckie działo przeciwpancerne, które strzeliło. Pamiętam do dziś siłę podmuchu przelatującego koło mnie pocisku. Trafił z dość bliska tam, gdzie jest obrotowa szyja wieżyczki. Skosił ją i Niemcy nie mogli wyjść. W środku zaczęło się palić, strasznie krzyczeli.

— *Było widać, jak się palą?*

— No nie. Przecież przez pancerz nie widać. Wieżyczka nie została zerwana, tylko zniekształcona w ten sposób, że oni nie mogli się wydostać. Nie czekałem, co będzie dalej, tylko dałem dyla, zwiałem. Gdy po kilku dniach przyszedłem w to miejsce, wielki traktor „Staliniec" odciągał tę „Panterę". Była tak spalona, że nie toczyła się na rolkach, bo przysmażyły się do gąsienic. Z ciekawości wlazłem na wrak i zobaczyłem w środku osmalone czaszki Niemców. Nigdy więcej nie chciałbym czegoś takiego zobaczyć. Są to wspomnienia, które zostają na zawsze, jak na taśmie kinematograficznej.

Nie pamiętam, co się działo później. Wiem tylko, że szedłem do ojca. Po drodze spotkałem kogoś, kto mi powiedział, że Sowieci zdejmują właśnie spod Politechniki posterunki AK z czerwonymi opaskami. A tu mój ojciec akurat schodzi po schodach z opaską na ramieniu „Lekarz Armii Krajowej". Zawróciłem go natychmiast do mieszkania. Wolałem, aby Sowieci nie zabrali mi taty.

Sowieci przeprowadzili tę akcję bardzo gładko. Pamiętam, że w pierwszym, drugim, a nawet trzecim dniu po wejściu ich oficerowie (stopni nie kojarzę) siedzieli w autach i rozmawiali z akowcami. Pozorowali, że są sojusznikami lub czymś w tym rodzaju. A potem nagle, w ciągu jednego dnia, wszystko spacyfikowali. Byłem więc

niby blisko wydarzeń, ale widziałem tylko drobne, ułamkowe fragmenty.

Wkrótce potem od spotkanego na ulicy kolegi dowiedziałem się, że nasze indeksy, oddane do dziekanatu przed wkroczeniem Niemców, zostały wyrzucone na śmieci, ale nie zginęły, ponieważ przyjechał dwukółką archiwariusz z kościoła Bernardynów i zabrał wszystkie. Pognałem do Bernardynów, a ów ojciec z łatwością odnalazł mój indeks ze wszystkimi danymi dotyczącymi zdanych egzaminów.

— *Przewidujący gość…*

— Jasne, wiedział, że Rosjanie wrócą. Miał też wszystkie pieczątki i za drobną opłatą chciał mi podbić egzamin, którego nie zdałem. Odpowiedziałem mu, że nie może tego zrobić, bo przecież ja go nie zdałem. Popatrzył tylko na mnie i pokiwał głową jak nad głupim. Nic więcej nie powiedział. A ja wziąłem ten indeks i wpisałem się na drugi rok Lwiwskogo Dierżawnego Medicznogo Instituta. Potem, kiedy przyjechałem jako repatriant do Polski i wpisałem się na trzeci rok studiów, zorientowałem się, że wielu spośród moich kolegów znalazło się na wyższych rocznikach. Niektórzy posiadali już nawet dyplomy. Cóż, byli bystrzejsi i skorzystali z tej propozycji, wychodząc ze słusznego — jak się zdaje — założenia, że czego się nie wie od razu, tego się można z czasem nauczyć.

Gdy studiowałem na drugim roku, przyjechał do Lwowa profesor Worobiow, z którym przypadliśmy sobie do gustu. Ja dlatego, że interesowałem się teorią ewolucji i biologią, on zaś, jako uczeń Pawłowa, uważał się za coś lepszego niż przeciętny wykładowca i usiłował wyjść poza akademicką rutynę. Wtedy właśnie zacząłem pisać pracę pt. *Teoria funkcji mózgu*. Była to jedna wielka dziecinada, którą wówczas traktowałem śmiertelnie poważnie, przesiadywałem całymi dniami w bibliotece, czytałem Sherringtona i przekopywałem rozmaite materiały naukowe. Była to, jak widać dzisiaj, nieudolna fantastyka

naukowa, aczkolwiek wtedy uważałem, iż piszę pracę *stricte* naukową. Miała około stu pięćdziesięciu stron i posiadała całą moc wykresów. Ze względów sentymentalnych zachowałem ją do dziś, ale ukryłem głęboko przed światem. Oczywiście Worobiow nie mógł tego ocenić, gdyż musiałbym wszystko przełożyć na język rosyjski. Widząc jednakże mój zapał i to beznadziejne wielogodzinne ślęczenie w bibliotece, napisał mi piękne polecenie, dzięki któremu zostałem wolontariuszem, jakby honorowym asystentem, przy jego katedrze. Nie miałem z tego tytułu żadnych poborów, czyniłem to *con amore*.

Worobiow, który nie miał ręcznego zegarka, przychodził na wykłady z blaszanym budzikiem, który chodził tylko wtedy, kiedy leżał na boku. Profesor kładł go na katedrze i mówił przez czterdzieści pięć minut, kontrolując czas, ale ponieważ miał spodnie tak wyświecone na tyłku, że nie mógł obrócić się tyłem, więc żeby rzucić okiem na budzik, wykręcał się bokiem. Takie drobnostki się dostrzegało.

— *Ilu Polaków było na roku? Jak się czuli w nowej rzeczywistości?*

— O żadnych konspiracjach nic mi nie było wiadomo. Obserwowałem natomiast różne nieprzyjemne rzeczy, gdy zostałem asystentem (też wolontariuszem) pewnego polskiego fizjologa, który przyjechał z Armią Czerwoną. Nie chcę wymieniać jego nazwiska, bo być może jego krewni jeszcze żyją, a ja nie zamierzam składać donosów na zmarłych. Miał wykształcenie polskie, ale z odchyleniem komunistycznym. Urzędował na ulicy Jagiellońskiej w małym teatrze, który został oddany Polakom. Często przychodziły do niego ubrane na czarno niewiasty, by prosić o ratunek dla aresztowanych synów. Byłem asystentem, więc tylko je wpuszczałem. Co tam z nimi jednak omawiał, nie wiem.

— *Brał łapówki za wyciągnięcie z więzienia?*

— Niczego konkretnego nie wiem, bo nie podsłuchiwałem. Raz wszedłem do niego i mówię: „Pan

wybaczy, profesorze, ale słyszę, że rośnie wobec pana niechęć w związku z tą działalnością”. On na to się uśmiechnął i pokazał mi list z wyrokiem śmierci, a potem otworzył szufladę, w której leżał duży rewolwer. „Dali mi go towarzysze sowieccy — powiedział — ale nie noszę”. Niedługo potem przychodzę rano i pytam naszego starego Józefa, czy jest już profesor, a on na to, że leży na anatomii patologicznej. „A co on tam robi?” — pytam. Józef nic nie odpowiedział. Poszedłem więc zobaczyć, co robi profesor. Oczywiście leżał martwy. Dostał przesyłkę, która po otwarciu urwała mu obie ręce, a jego żonę oślepiła. Była to robota podziemnej organizacji. Cała ta historia zrobiła na mnie spore wrażenie, ale w sumie był to tylko jeden okruch wielu spośród wydarzeń przesypujących się jedne w drugie.

— *Jak wyglądała wówczas pana świadomość polityczna? Czy czuł się pan obywatelem okupowanego kraju?*

— Nie. Myślałem o Polsce jak o czymś, co na pewno wróci. Nie byłem jednak w tym czasie, jak by to powiedzieć, suwerenny w swoich decyzjach. Byłem ciągle jeszcze jak szczeniak, o którym decydował ojciec z matką. Wierzyłem więc w to, w co i oni wierzyli. A zatem w to, że Lwów zostanie polski. Koniec.

— *Kiedy ta wiara się załamała?*

— Kiedy ojciec przyszedł do domu i powiedział, że musimy się pakować, bo w przeciwnym razie zostaniemy obywatelami sowieckimi. To straszne! Trzeba było jechać, inaczej wywieźliby nas. Ale o tym się w ogóle nie mówiło. Zaczęliśmy się przygotowywać do drogi.

— *To był jeden z ostatnich transportów do Polski, prawda?*

— Tak, dlatego też straciliśmy prawie wszystko. Meble, instrumenty lekarskie ojca. Za to wszystko ojciec dostał zaledwie sześćset rubli. Zabraliśmy ze sobą dwie, trzy skrzynki i kilka książek. A ojciec miał olbrzymią bibliotekę medyczną polsko-niemiecko-francuską. Wszystko diabli

wzięli! Dziś jeszcze potrafiłbym odtworzyć to sześciopokojowe mieszkanie z pamięci.

— *Skąd ojciec dowiedział się, że to ostatni moment na wyjazd? Z prasy? A może była jakaś masówka?*

— Nie wiem, gdzie i czego ojciec się dowiedział. Mnie interesowało tylko, aby znaleźć deski, zrobić skrzynki i pakować się. Musieliśmy się spieszyć, bo to był jeden z ostatnich pociągów. Oczywiście nie robiłem ojcu wyrzutów, bo mnie samemu nie paliło się przecież do tego, żeby opuścić Lwów.

— *Na co pana ojciec liczył? Moi dziadkowie byli prostymi ludźmi ze wsi, a zabierali się zaraz na początku.*

— Mój ojciec nie lubił jakichkolwiek podróży. Opuścił rodzinne strony, gdy był jeszcze kawalerem i jeńcem carskim. Potem tylko raz pojechał do Truskawca, gdy miał kamień nerkowy. Cały czas przesiedział w jednym miejscu i grał w brydża. Tak właśnie wyglądała ta kuracja. We Lwowie zostaliśmy o wiele za długo, dlatego, że moi rodzice, choć nie należeli do tych niezłomnych, którzy wierzyli, że stanie się cud i Lwów zostanie przy Polsce, to jednak nie mogli przez długi czas zdecydować się na porzucenie wszystkiego i wyjazd.

— *Co przeważyło?*

— Wyjechaliśmy dopiero wtedy, gdy przed ludnością polską postawiona została ostateczna alternatywa: przyjęcie radzieckiego paszportu lub wyjazd do Polski. Ci, którzy wyjeżdżali w 1945 roku, mogli zabrać ze sobą meble. My po zapisaniu się do PUR-u (Państwowy Urząd Repatriacji) wyjechaliśmy ze Lwowa ze szczątkami dobytku.

— *Jak wyglądało opuszczanie domu? Były lamenty i płacze?*

— Pamiętam, że ojciec kazał mi wypisać na tych skrzynkach imię i nazwisko, a ja napisałem tylko: Lem. „Nie ma drugiego Lema we Lwowie” — argumentowałem. Zaraz potem na dworcu, tuż obok naszych rzeczy, zobaczyłem

ogromną kupę skrzyń z napisem: „Władysław Lem”. Skąd mogłem wiedzieć…?

— *A ile było tych skrzynek?*

— Naszych było bardzo mało, ponieważ nie wolno było powyżej jakiejś tam (nie pamiętam już jakiej) wagi brać ze sobą żadnych mebli. Pojechało więc z nami tylko biurko ojca, moja maszyna do pisania i trochę książek. Później sporo z nich zgubiłem. Moja biblioteka była zresztą ogromna, bo ojciec bardzo dbał o to, żebym miał klasykę: całego Fredrę w oprawie płóciennej, ciemnogranatowe wydanie Słowackiego, encyklopedie Trzaski, Everta i Michalskiego, „Wiedzę i życie”. Oczywiście wiedziałem, że wszystko to muszę na zawsze zostawić.

— *Czy w tych transportach Rosjanie okradali repatriantów?*

— Nie. W tym, w którym jechaliśmy — nie.

— *A kto ten transport obsługiwał, Rosjanie?*

— Pamiętam tylko, że w naszym wagonie, w którym jechaliśmy, była pewna starsza pani z bardzo przystojną młodą córką, której narzeczony czekał na nich w Krakowie. Cały czas rozważało się tylko, jak się — że tak powiem — załatwić, skoro niebezpiecznie było wysiadać podczas postojów pociągu, bo można było zostać w szczerym polu. Z tego powodu wszystkie zasady savoir-vivre’u po kolei padały, a z czasem zdarzało się wystawianie na zewnątrz bardzo ładnej gołej pupy. Napisałem nawet kiedyś artykuł o tym, jak przymusowe okoliczności całkowicie łamią zasady obowiązujące między obcymi sobie ludźmi. Rosjanie w ogóle się nie pokazywali. Gdy pociąg przeszedł przez granicę i dojechał do Przemyśla, na pewno była w nim już tylko polska obsługa.

— *No tak, ale na stacji we Lwowie Rosjanie mogli jeszcze sporo narabować. Znam relacje o tym, jak na przykład okradali Niemców podczas repatriacji z Breslau. Polacy zresztą też…*

— We Lwowie nikt nie rabował, może dlatego, że nie było co. Zegarka nie miałem, biurko ojca było stare, a poza tym, co więcej? Lampa solux, dwie skrzynki z instrumentami lekarskimi…

— *Maszyna do pisania to dla Rosjan była dobra zabawka.*

— Ale nikt nie próbował nam jej zabrać. Nie wiem, dlaczego. Nie mieliśmy żadnych specjalnych papierów. Jeśli chodzi o samą podróż, nie mam żadnych wstrząsających wspomnień. Pewne wrażenie zrobiło na mnie tylko, gdy na dworcu w Krakowie jakiś chłopak wołał do drugiego: „Anteeek”, z akcentem na ostatniej sylabie. Zrobiło to na mnie kolosalne wrażenie dlatego, że było tak odległe od naszych lwowskich zaśpiewów. Pociąg zresztą miał jechać dalej, ale nas wyjęto z wagonu, bo mieliśmy w Krakowie pewnego znajomego, z którego żoną przyjechaliśmy. Pani Ola — dawna „biała” Rosjanka — była naszą bliską przyjaciółką. Mówiła po polsku z rosyjskim akcentem. Wyszła za kolegę ojca, który też był laryngologiem. Wyjechał do Krakowa wcześniej niż my, bo we Lwowie zaczęła mu się pod nogami palić ziemia, choć nie wiem dobrze, dlaczego. Został zatrudniony w fabryce zgrzebeł końskich i systematycznie co niedziela chodził na wyścigi konne. Prowadził dosyć luksusowe życie. To on przygotował nam lokum przy ulicy Śląskiej 3 mieszkania 2 w Krakowie. Były tam tylko dwa pokoje. On z żoną mieszkał w jednym, a my z matką i ojcem w drugim. Była tam też mała nyża, w której pierwszy raz przyjmowałem moją przyszłą narzeczoną.

— *Kilkakrotnie powiedział pan w swoich wywiadach, że do Lwowa nigdy już pan nie pojedzie. Dlaczego?*

— Jeśli się ma kogoś ukochanego, na przykład kobietę, i ktoś ją nam zabierze i ona ma z tym kimś później dzieci, to ja — będąc dorosłym — wolę się z nią już nie spotykać. Bo co możemy sobie powiedzieć? To miasto też jest mi już obce. To są kamienie. Cóż mnie one mogą dziś obchodzić?

— *Więc o odzyskaniu rodzinnej kamienicy pan nie myśli?*

— Mój ojciec po przyjeździe do Krakowa powiedział: „Polska powstała w sposób cudowny po pierwszej wojnie światowej, ale żeby to się miało zdarzyć drugi raz — w to nie wierzę”. I zaraz potem wszystkie papiery świadczące o tym, że jest właścicielem dwóch kamienic, podarł i wyrzucił do śmieci. W jego oczach była to sprawa kompletnie przegrana.

Ale czy to są największe straty? Wydaje mi się, że te dwie olbrzymie „kosiarki”, które przeszły przez nasz kraj, niemiecka oraz sowiecka, wygoliły nas kompletnie z elit kulturotwórczych. Prawie siedemdziesiąt procent oficerów rezerwy straciliśmy w obozach Ostaszkowa i Katynia. Sam tylko Lwów poniósł kilkudziesięcioprocentowe straty. Zginęli ludzie, którzy mogliby coś zacząć na nowo, więc była to ruina elementarnych międzyludzkich powiązań, które powodują wyłanianie się konsolidujących elit. Nasze straty w tym najcenniejszym materiale państwowotwórczym były znacznie większe aniżeli w Niemczech.

— *Jak się pan urządził w Krakowie zawodowo?*

— Ktoś powiedział mi wówczas, że mógłbym zarabiać dość dużo, nie pamiętam dziś ile, jako spawacz. Kusiło mnie to poważnie, gdyż ojciec, rocznik 1879, nie był już młodym człowiekiem, a życie w Krakowie należało zaczynać praktycznie od zera. Niestety, a może na szczęście, mój ojciec nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłbym przerwać rozpoczęte we Lwowie studia, a ponieważ i ja nie miałem specjalnych złudzeń co do moich zdolności spawalniczych, przez pewien czas igrałem tymi myślami, aż w końcu się zdecydowałem i zapisałem się na medycynę.

— *Z tego okresu pochodzą pierwsze pańskie teksty, które przy odrobinie cierpliwości można wyskrobać z ówczesnych czasopism. Większość z nich — konstatuję ze złośliwą satysfakcją — to wiersze.*

— Że niedobre? *(śmiech)…* Pod koniec tego samego roku lub na początku następnego zacząłem chodzić ze swoimi wierszami po różnych redakcjach, na przykład do Karola Kuryluka, gdy „Odrodzenie” było jeszcze w Krakowie. Podobnie jak inne światłe osoby, wyrzucał mnie z nimi z redakcji, za co jestem mu zresztą do dziś bardzo wdzięczny. Pamiętam też długie rozmowy z Przybosiem, który tłumaczył mi, że piszę trochę pod Leśmiana, a trochę nie wiadomo pod kogo, że moja wersyfikacja strofkowa, której się trzymałem jak pijany płotu, jest bezwartościowa, ale to wszystko było na nic. Ja wiedziałem swoje i bardzo lubiłem rymy, a na dodatek krystaliczną wersyfikację. Wszystkie te „dzieła” wydrukowałem u Turowicza w „Tygodniku Powszechnym”. Można je odnaleźć w moich *Wierszach młodzieńczych*.

— Ale równocześnie drukował pan przecież w „Kuźnicy”…

— Rzeczywiście, napastowałem także Stefana Żółkiewskiego, ale „Kuźnica” wydrukowała mi tylko jedno lub dwa opowiadania. Pamiętam, że któreś z nich było o jakimś czołgu i nazywało się *KW-1*. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Kiedy biorę do ręki fragmenty z tamtych lat, wydaje mi się, jakbym czytał teksty kogoś zupełnie obcego. Nie ma żadnej więzi pamięciowej pomiędzy mną dzisiejszym a tym, który tamte rzeczy pisał.

— Publikował pan w czasopismach, pomiędzy którymi przebiegała ideowa, światopoglądowa i polityczna linia frontu.

— To, że drukowałem u Turowicza, było zapewne dziełem przypadku, podobnie zresztą jak w przypadku „Kuźnicy”. Publikowałem w „Tygodniku Powszechnym”, choć nigdy nie byłem katolikiem. Mój ojciec był agnostykiem, a i ja, jak dalece sięgam pamięcią, zawsze byłem niewierzący, co zapewne wiązało się z moimi samodzielnymi studiami nad biologią i teorią ewolucji. A może po prostu odpowiadał mi klimat redakcji? Muszę jednak dodać, że i tam były

jakieś małe incydenty, kiedy na przykład ksiądz Piwowarczyk po dostarczeniu przeze mnie wierszyka o jednej Marysi uznał za niewłaściwe, abym za pomocą organu Kurii Książęco-Metropolitalnej uwodził panienki. Ale że był to człowiek bardzo liberalny, więc jakoś to wszystko szło. Potem wydrukowałem u niego jeszcze jedno, dwa lub trzy opowiadania.

W tych latach sprawy polityczne bardzo mało mnie interesowały, więc w drukowaniu jednocześnie w „Tygodniku Powszechnym” i w „Kuźnicy” nie widziałem niczego niewłaściwego. Orientowałem się naturalnie, co się w Polsce dzieje, ale jednak nie wkraczało to zbyt gwałtownie w moje życie. Bardziej doskwierały mi twarde warunki ówczesnego życia, gdyż ojciec pracował w szpitalu, jego pensja była skromna, a ja tylko od czasu do czasu przynosiłem honorarium za jakiś wiersz. Moja sytuacja finansowa była zatem nie do pozazdroszczenia i dlatego robiłem coś, co dziś wydaje się może śmieszne, mianowicie (dzięki Wiśce Szymborskiej) pisałem wierszyki do „Kocyndra Śląskiego”.

— *Jakiego typu?*

— „Był raz sobie pewien zbrodzień, / który lubił trupa co dzień…” (*śmieją się obaj*) Każdy grosz, który zarobiłem za takie wiersze lub za opowiadania w „Tygodniku Powszechnym” przynosiłem natychmiast rodzicom na ulicę Śląską. Było tam angielskie pudełko po papierosach, do którego wkładałem pieniądze. To była nasza wspólna kasa. Byliśmy tak biedni, że jak kiedyś kupiłem sobie w pobliżu Kleparza za czterysta złotych kilogram szarych renet, które strasznie lubiłem, wydawało mi się, że dokonałem niebywale grzesznego uczynku. Do dziś to pamiętam. Kiedyś — jedyny raz w tamtych czasach — wiozłem taksówką swoją przyszłą żonę z ulicy Sarego na Śląską, przejeżdżając przez Mały Rynek koło kościoła św. Barbary — miałem wtedy wrażenie, jakbyśmy jechali rydwanem. Ekspens był straszliwy. To był dla mnie trudny

okres, ale gdy ma się dwadzieścia pięć lat, a na dodatek jeszcze od natury dany zastrzyk optymizmu, wydaje się, że jednak jakoś to będzie.

— *Dla pana ojca musiała to być jednak stresująca sytuacja. Miał już około siedemdziesiątki, a na głowie całą rodzinę.*

— Ale był niezmordowany do końca. W dniu śmierci jeszcze pracował. Moja żona zachowała zdjęcie, na którym widać, jak ojciec leży na kanapie i pali papierosy. Zaraz potem poszedł na pocztę za rogiem, w alejach. Przyniesiono go stamtąd martwego. Miał zapaść. Do ostatniej chwili był w ruchu.

Próbowałem zarabiać jak umiałem. Przez pewien czas dostawałem pięćset nowych złotych, pracując na pół etatu u doktora Choynowskiego w „Życiu Nauki", gdzie zamieszczałem różne hocki-klocki i nosiłem paczki z książkami. Kiedy jednak straciłem to honorarium, znów stałem się nikim, bo nie miałem żadnej posady.

— *A jak wszedł pan do zespołu Choynowskiego?*

— Kiedy przyjechałem do Krakowa, kończyłem właśnie *Teorię funkcji mózgu*, którą zacząłem pisać jeszcze u Worobiowa we Lwowie. Rychło zorientowałem się, że jest ona jakaś niedostateczna i poszedłem w stronę rozprawy filozoficznej. Jednym słowem, wlazłem na jeszcze wyższe piętro absurdu. Mówiąc w ogromnym skrócie, była to wielka, niezmiernie pracochłonna, na wieleset stron maszynopisu rozłożona brednia. Można powiedzieć, że było to coś w rodzaju paranauki, podobnie jak Steiner lub inne tego typu mętniaki. Parałem się zatem mętniactwem, nie wiedząc jeszcze, że istnieje jakaś prawdziwsza nauka. Ale czyniłem to z czystej miłości i efekt tych moich wysiłków był taki, że z czasem produkowałem — jak mi się wydaje — coraz bardziej autentyczne treści. Zarówno w dziedzinie przemyśleń naukowo-filozoficznych, jak i w dziedzinie beletrystyki. Można powiedzieć, że tak

jak małe dziecko uczy się chodzić, tak i ja uczyłem się myśleć, wciąż się potykając i przewracając.

Przełomowym momentem w moim rozwoju umysłowym stało się właśnie spotkanie z doktorem Mieczysławem Choynowskim, który wywarł ogromny wpływ na moje całe życie. Już nie pamiętam, kto mnie do niego skierował. Mieszkał wtedy w cudownej rezydencji przy ulicy Chopina, skąd dokładnie tego dnia, którego zjawiłem się u niego ze swoją „bezcenną" pracą, wyrzucił go konsul sowiecki (oczywiście nie wolno było o tym mówić). Otrzymał nowe mieszkanie w narożnym domu w alei Słowackiego 66, mniej więcej osiemdziesiąt metrów od klitki, w której wówczas mieszkałem. Była to — jak wspomniałem — nyża bez drzwi o powierzchni trzech metrów kwadratowych, w której znajdował się stos książek, nieduże łóżko, maleńkie biureczko lekarskie ojca (trzymam je do dziś w piwnicy) oraz grzyb na ścianie. Miałem tam również maszynę do pisania „Underwood", którą włóczyłem ze sobą przez całą okupację. Otrzymałem ją jeszcze przed wojną w prezencie i od dwunastego roku życia pisałem na niej właściwie wszystko.

Choynowski był doktorem filozofii, okupację spędził w Warszawie, interesował się praktycznie wszystkim. Był brutalnym weredykiem, co go dość dużo kosztowało i dlatego też kariery w Polsce nie zrobił. Po przeczytaniu mojej pracy powiedział mi, że nie ma żadnej wartości, a wszystko, co w niej napisałem, to jedna wielka brednia. Ale widocznie uznał, że coś tam we mnie jest, gdyż stał się moim preceptorem naukowym, zaczął mi pożyczać książki ze swojej biblioteki, mówił, co mam czytać, i tak się rozpoczęła moja domowa, chałupnicza edukacja. Nakrzyczał na mnie bardzo, gdy dowiedział się, że nie znam języka angielskiego, tylko niemiecki, francuski i rosyjski, polecając mi natychmiastową naukę. Nie bardzo mi się to uśmiechało, ale pałałem tak dziką ciekawością do niezliczonych dzieł z jego biblioteki, że, chcąc nie chcąc,

przysiadłem fałdów. Dostarczał mi głównie strasznie nudne lektury z zakresu logiki formalnej, np. czeskiego logika Dubislava. Gdy otrzymywał nowe książki, natychmiast przybiegałem i przynosiłem do domu jakąś *Cybernetykę* lub *Teorię informacji*, bo to było tylko kilka kroków ode mnie.

Doping przyszedł też z innej strony. Choynowski założył bowiem Konwersatorium Naukoznawcze Asystentów Uniwersytetu Jagiellońskiego i w jego imieniu zaczął zwracać się do niezliczonych instytucji naukowych z Kanady i Stanów Zjednoczonych z prośbą o przysłanie książek dla zupełnie wyposzczonej nauki polskiej. I rzeczywiście już wkrótce zaczęły one napływać całymi pakami. Widząc takie skarby, niedostępne dla mnie ze względów językowych, zabrałem się ze wszystkich sił do angielskiego. Nie mogę powiedzieć, aby to była typowa nauka, bo zaczęła się od *Cybernetics or Control and Communication in the Animal and the Machine* Norberta Wienera, którą czytałem niemal jak Champollion hieroglify na egipskich grobowcach — powoli, strona po stronie, ze słownikiem w ręku. Potem coraz szybciej i w ten sposób nauczyłem się biernie posługiwać tym językiem. Do dziś zresztą nie mówię porządnie po angielsku, ale czytam i piszę swobodnie. Pochłaniałem więc jedną po drugiej książki, które przychodziły do konwersatorium (przekazywane później różnym uniwersytetom), biorąc je przeważnie do domu i wpadając do Choynowskiego w różnych porach na uczone pogawędki. Pożyczałem tylko te pozycje, które mnie interesowały, a więc dzieła matematyczne i biografie słynnych uczonych.

Choynowski, który był demonem aktywizmu, uruchomił równocześnie wydawanie miesięcznika o nazwie „Życie Nauki”. Po jakimś czasie zacząłem do niego pisywać. Mój mentor zaś, uznawszy, że moje wkuwanie daje już jakieś rezultaty i że udało mi się wyperswadować brednie, które uprzednio brałem za filozofię, dawał mi do omówienia rozmaite, również potwornie nudne, książki

o neopozytywizmie i logice formalnej, więc musiałem się intensywnie dokształcać, wkuwać znaczki logiczne i wertować stosy książek. A wszystko oczywiście sam, bo przecież nikt mnie z tego nie odpytywał. Kiedy byłem na przedostatnim roku studiów, był to już rok 1947, Choynowski powierzył mi prowadzenie w „Życiu Nauki" stałego przeglądu prasy naukoznawczej.

— *I tak sam sobie wykopał grób?*

— Niestety, przysłużyłem mu się fatalnie i bez wątpienia w sporej mierze przyczyniłem się do tego, że „Życie Nauki" zostało wyrzucone na bruk, bowiem w jednym z kolejnych przeglądów przedstawiłem „jednostronnie" — jak się to wówczas nazywało — rolę weismanistów i morganistów w walce z sowieckim biologiem Trofimem Łysenką. Ponieważ miałem ugruntowane przekonanie co do tego, że nieprawdą jest, jakoby weismaniści, morganiści i mendeliści stanowili zgniłą reakcję, a Łysenko „potrząsał nowości kwiatem", ale że jest akurat odwrotnie, więc odpowiednio spreparowałem stenogram dyskusji, w której udzieliłem ich wrogim poglądom dość dużo miejsca, natomiast z Łysenki powybierałem tylko co osobliwsze kwiecie jego teorii. Zrobiły się z tego nieprzyjemności, gdyż cenzura najpierw chciała zdjąć ten tekst, ale na skutek interwencji mojego protektora, który udowodnił prawdziwość cytatów, udało się go wydrukować. Cenzura była wtedy dość młoda, więc nie działała jeszcze jak należy i takie reklamacje czasem się udawały. Zaraz jednak po ukazaniu się pisma Eugenia Krassowska z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego rzuciła grom na nasz periodyk, usiłując się koniecznie dowiedzieć, co za potwór tak spreparował tekst świętej prawdy. Śledztwo niczego nie wykazało, gdyż podpisywałem się wówczas jakimś skrótem, a Choynowski był lojalny i mnie nie zdradził. Przez jakiś czas pismo jeszcze funkcjonowało w Krakowie, ale było już wiadomo, że zbierają się nad nim chmury.

Rzeczywiście, na początku 1950 roku Choynowskiego pozbawiono funkcji redaktora naczelnego, a „Życie Nauki” przeniesiono do Warszawy, gdzie nowym redaktorem został Zygmunt Leśniadorski, bo miał giętki grzbiet. Konwersatorium weszło w okres intensywnego zmierzchu. Jak każda społeczna, czyli oddolna, inicjatywa zostało po prostu zlikwidowane.

— I co stało się wtedy z Choynowskim? Wiem, że w końcu wylądował za granicą.

— Przez jakiś czas staraliśmy się rozwijać gorączkową działalność i robiliśmy różne dziwne, jak na owe lata, rzeczy. Na przykład Choynowski zapałał potem miłością do badań psychologicznych za pomocą testów. W ten sposób ocenialiśmy poziom kandydatów na wyższe studia oraz studentów, aby odsiewać zdolnych od niezdolnych, badać postępy w nauce oraz ewentualnie potem sprawdzać selektywną jakość testów. To była metoda amerykańska, którą stosowaliśmy na wydziale lekarskim, porównując rzeczywiste osiągnięcia studentów z antycypowanymi przez testy sukcesami. Nietrudno się domyślić, że musiało się to spotkać z zastrzeżeniami, bo przecież wiadomo, że test to wymysł „nauki burżuazyjnej”.

Coraz mniej miałem ochoty do tego ciągłego szarpania się. Był już rok 1950 i panował bardzo silny mróz stalinizmu. Wiedziałem też już, że to, czego mógłbym się dowiedzieć na biologii, to nie jest biologia, tylko magia i szamaństwa Łysenki, więc postanowiłem zrezygnować ze studiów. Konwersatorium właściwie już wtedy nie istniało, a Choynowski wylądował jako psycholog w Kobierzynie. Sporadycznie go jeszcze odwiedzałem, ale nasze więzi zaczęły się rwać. Z czasem straciłem z nim kontakt, bo miałem inne zmartwienia.

To był skończony weredyk, który potrafił powiedzieć publicznie, że wszystko, co się pisze o marksistowskiej psychologii, jest bez sensu. Tak wówczas, niestety, nie można było. To było oczywiście z jego strony bardzo

heroiczne, ale on już był taki wariat. Zresztą później niewiele już dokonał w życiu, bo był z tych, co strugają ołówek…

— I pozostał z wielką pretensją do świata. Rozmawiałem z nim przed śmiercią, w Meksyku, i był to jeden wielki żal.

— Pisał i do mnie, że zmarnował życie, a ja nie. Odpisałem mu na to, że nie wiem, czy zmarnował życie, ale na pewno wprowadził mnie na tory prawdziwej nauki i prawdziwego widzenia świata, za co jestem mu dozgonnie wdzięczny. Z tego listu dowiedział się zresztą, że kiedy konwersatorium zostało zlikwidowane, wraz z nieżyjącym już Jurkiem Wróblewskim, późniejszym rektorem uniwersytetu w Łodzi, oraz z innymi, wynieśliśmy do domów nieco zakazanych książek amerykańskich przed całopaleniem. Proszę sobie wyobrazić, że on mi to kazał w „Trybunie Ludu” ogłosić i przeprosić za dokonanie tak haniebnego uczynku. Był niestety już zupełnie wykorzeniony. Trudno było kontynuować z nim korespondencję.

— Ten Choynowski, którego poznałem w Mexico City, był już starym, schorowanym człowiekiem po ciężkim wylewie. Domyślam się jednak, że w tamtych latach musiał być wybitnym uczonym?

— Nie był może wybitnym uczonym, ale na pewno genialnym organizatorem, bezgranicznie zakochanym w amerykańskich metodach statystyki. Całe konwersatorium to był tylko on. Pracowali tam oczywiście rozmaici asystenci, między innymi magister Oświęcimski, z którym ułożyłem pierwszy dialog o niemożliwości wskrzeszenia człowieka z atomów.

— Czyli już wtedy zaczął pan pracę nad „Dialogami”? Nie wiedziałem. Kto był Hylasem?

— Nie, to było inaczej. Najpierw ja wymyślałem zarys, potem przychodził Oświęcimski z kontrargumentami, które miałem po kolei obalać, a dopiero potem robiłem z tego pełny dialog Hylasa z Filonousem. Nie miałem zresztą

pojęcia, że z tego powstanie kiedyś książka. Nawet sama myśl, że można by wtedy coś takiego opublikować, wydawała się szalona.

— *Mnie się to też wydaje wariackie. Pisanie u progu socrealizmu surowej analizy funkcjonowania totalitaryzmu nie było pomysłem bezpiecznym.*

— Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, w jaki sposób ta książka wyskoczyła z mojej głowy. To znaczy nie wiem, jak to we mnie wezbrało, że włożyłem do niej swoją najlepszą wiedzę o funkcjonowaniu systemu komunistycznego. A dlatego nie mogę sobie przypomnieć, bo każda książka zaciera zwykle ślady swojego powstawania, tak że w końcu w ręku pozostaje tylko tekst. Jedno wiem, że były to wszystko moje chałupnicze pomysły, które przełożyłem starannie na cybernetyczny język, co niewątpliwie pomogło.

— *Kto jeszcze pracował z panem w konwersatorium?*

— Był też z nami sympatyczny gleboznawca Komornicki i prawnik Jurek Wróblewski, którego narzeczona (oboje już niestety nie żyją) pod okiem swojego taty przyrządzała znakomite smażone kartofelki, na które przychodziłem regularnie wieczorami, gdy już zostałem zewsząd wyrzucony. Prowadziliśmy razem niezliczone kosmiczne dyskusje.

— *No dobrze, konwersatorium zostało rozbite, studiów pan jeszcze nie skończył, pieniędzy ciągle nie było, pozostawało jakieś dorywcze pisanie. W jaki zatem sposób wszedł pan do literatury?*

— Gdzieś około 1948 roku, po rozmaitych wierszowanych grafomaniach, które doprowadzały do rozpaczy Przybosia, Kuryluka i Bieńkowskiego, zacząłem pisać swoją pierwszą powieść — *Szpital Przemienienia*. Nie potrafię powiedzieć, skąd mi się to wzięło, ale na pewno ma to duży związek z miejscowością Przegorzały, w której mieszkali moi przyjaciele — Hala Burtan i Romek Hussarski…

Tam jest nawet taki sam jak w książce krzyż na rozstajach, bo krajobraz powieściowego Bieżyńca to dokładnie Przegorzały, widziane częściowo z okien ich domu. Jeśli coś ze świata realnego weszło do tej powieści, to chyba tylko krajobraz. Wszystko inne wymyśliłem w stu procentach, bo przecież nigdy nie byłem w żadnym szpitalu wariatów — ani jako chory, ani jako lekarz — ani nigdy nie znałem żadnego Pajączkowskiego. Wszystko jest tam od początku do końca zmyślone i, dalibóg, tylko poetyckie zmierzchy i aura tego miejsca są „prawdziwe".

— *A gdzie są Przegorzały?*

— Na samej granicy Lasku Wolskiego, pośród pagórkowatego podkrakowskiego krajobrazu. Jest tam duży sad, który dziś jeszcze, robiąc nieco bokami, rodzi trochę jabłek. Przesiadywałem w nim godzinami. A obok w ogrodzie zoologicznym żyły żubry. Gdy się leniły, można z nich było ściągać całe płachty skudlonej sierści, z której matka Romka robiła swetry. Dziwi się pan? Miała kądziel! Takie wówczas były czasy. Dom w Przegorzałach należał do Hali Burtan (to była zamożna rodzina, dawni posiadacze Ćmielowa), ale państwo ludowe zajęło go na przytułek, więc z litości zostawiono im w bocznej klatce schodowej jedno pomieszczenie. Tam się moja powieść rodziła i tam też powstała rzeźba Chrystusa, z którą spadliśmy ze schodów, rozwalając ją dokumentnie. Kiedy bowiem Romek Hussarski, który zresztą pisał też wiersze, poślubił Halinę i osiedli na szczątkach jej rodowych posiadłości, urządzili tam sobie dwie pracownie rzeźbiarskie, gdzie rzeźbili jak szaleni.

— *Wszystko to rysuje się dość beztrosko jak na lata stalinowskie.*

— Wie pan, bywało też nieprzyjemnie. Kiedy w 1947 roku miałem zdawać egzamin z położnictwa, poszedłem na chwilę do Romka, który jeszcze wtedy był szczupłym kawalerem i mieszkał na ulicy Łobzowskiej. Wychodząc,

poprosiłem matkę, żeby zagrzała mi kawę, bo zaraz wrócę. Wróciłem po kilku tygodniach, bo wlazłem do „kotła”.

— *U niego w domu?*

— Tak, było tam mnóstwo różnych osób, jak choćby Zosia Puget — rzeźbiarka, Staszek Surdel i cała masa innych plastyków, którzy przychodzili tak jak ja z wizytą i „wpadali”. To było dwupokojowe mieszkanie. W drugim pokoju mieszkał człowiek, z powodu którego zrobiono „kocioł”, ale on uciekł nocą przez okno z drugiego piętra na związanych prześcieradłach. Ja tylko tyle dokonałem, że napisałem na kartce, co się ze mną stało, i wyrzuciłem ją przez okno. Mój ojciec na Śląskiej już po kilkunastu minutach otrzymał tę wiadomość. Ten, kto przechodził pod domem, to nie był ani mój brat, ani swat. Ale takie były wtedy jeszcze więzi międzyludzkie, pomagano sobie, nie tak jak teraz. W nadzwyczajnych czasach z ludźmi dzieją się czasem dobre rzeczy.

— *No i co robiliście w tym „kotle”?*

— Jak się tak siedzi z kimś przez trzy tygodnie na małej przestrzeni, to bardzo zbliża. Nic się tam nie robiło, tylko rzeźbiło, głównie dla kościołów. Wykonałem jedyną w swoim życiu rzeźbę w gipsie, która przedstawiała głowę neandertalczyka. Jak przystało na pracownię rzeźbiarską, było tam kupę gliny i gipsu. Ja nie miałem nic do roboty, a czasu było w bród, więc z nudów wykonałem to dzieło. Do dziś gdzieś się wala po domu. Na szczęście dla sztuki nie poszedłem dalej tą drogą.

— *Ile tam osób było?*

— Sporo! Mieliśmy tam poważne trudności aprowizacyjne, ale dzięki Bogu ubecy donosili nam trochę żarcia, bo inaczej byśmy wyzdychali z głodu. Zajmowałem się wtedy wydawaniem posiłków i opiekowałem się pewnym starszym panem, który był inżynierem. Później z koleżanką jego córki chodziłem na dłuższe spacery, co jednak konsekwencji erotycznych nie miało, bo wkrótce wpadłem na schodach na pewną panienkę, która schodziła

po ciemku. Nie było elektryczności, więc świeciłem zapałką, i tak w jej świetle zobaczyłem po raz pierwszy moją przyszłą żonę, Basię Leśniakównę. Ona zresztą wcale nie chciała wychodzić wtedy za mnie za mąż, bo miała zaledwie dziewiętnaście lat. Za nikogo zresztą nie chciała wychodzić. Na szczęście istniała jeszcze instytucja narzeczeństwa.

— *Ona była wtedy studentką?*

— Moja żona znalazła kiedyś zaadresowany do mnie na „Astorię” telegram, w którym napisała: „Zdałam egzamin”. Domyśliliśmy się, że to była fizjologia, a zatem drugi rok studiów. Na dłuższy telegram nie było jej stać.

— *A jak się skończyła ta historia z UB?*

— Dobrze, nie było żadnych innych konsekwencji. Dopiero później, w 1950 roku, w Krakowie zdarzyła mi się inna humorystyczna sytuacja, gdy zostałem aresztowany jako szpieg amerykański koło Kurzej Stopki.

— *A za co? Co takiego pan robił?*

— Trzeba wyjaśnić, że było to blisko Dowództwa Okręgu Wojskowego, a ja miałem ze sobą ogromnego rocznego wilczura, pięćdziesiąt osiem kilogramów żywej wagi, którego ofiarowała mi Hala Burtan. Bardzo byłem do tego psa przywiązany. Ponieważ dodatkowo na szyi miałem aparat fotograficzny, płaszcz w kratkę i ciemne okulary, więc było absolutnie jasne, że jestem amerykańskim szpiegiem. Zaaresztował mnie zatem polski wartownik. Prowadzili mnie (z jakimś drugim) pod karabinem, jezdnią przez Grodzką i Rynek, aż na ubecję. Do tego stopnia mi się to podobało, że kiedy prowadzili mnie pod bronią, śpiewałem pieśni rewolucyjne. (*śmiechy*) Zamiast poważnie zastanowić się nad sobą, przez cały czas martwiłem się tylko o psa. Na szczęście, po wyjaśnieniu, że jestem studentem medycyny, wypuścili mnie.

— *Perypetie z ubecją odwiodły nas od opowieści o „Szpitalu Przemienienia”. Wróćmy do tej powieści. Ukazała się ona dopiero po wielu latach, i to w dodatku jako część większego cyklu narracyjnego. Jak to się stało?*

— Kiedy miałem ją już ukończoną, zaniosłem maszynopis do firmy Gebethner i Wolff, która wówczas mieściła się na Rynku. Wzbudziła tam pewne zainteresowanie, ale było to w momencie, gdy wydawnictwo było likwidowane przez czynniki państwowe, więc masa upadłościowa została przeniesiona, wraz z moją książką, do Warszawy. I tu zaczęły się bardzo mało zabawne lata. Był to bowiem okres, kiedy co kilka tygodni, nocnym pociągiem, najtańszą klasą siedzącą, jeździłem do Warszawy, na nie kończące się konferencje do „Książki i Wiedzy”, gdzie maglowano mój *Szpital Przemienienia.* Pani Wilczkowa wciąż paliła papierosy i tłumaczyła mi, że jest on chybiony ideologicznie i wsteczny, stąd trzeba mu zbudować „przeciwwagę dla kompozycyjnego zrównoważenia”. I tak wyduszano ze mnie dalsze części. Z każdym miesiącem tekst obrastał rozmaitymi recenzjami wewnętrznymi, które objawiały jego dekadenckość i kontrrewolucyjność. Była tego cała góra papieru i mnóstwo zmarnowanego czasu. Ale kiedy się ma dwadzieścia parę lat i pogodne usposobienie, to wiele można wytrzymać.

Część tej edukacji odbywała się za pomocą korespondencji. Tłumaczono mi, że tu trzeba coś przerobić, tam dodać, tam ująć itd. Wciąż stwarzano mi nadzieję, więc ciągle tę powieść na nowo pisałem i coś zmieniałem. Muszę powiedzieć, że choć mam skłonność do pisania wielowariantowego, jednak nikt mnie nie doprowadził do takiego stanu, jak ci panowie i panie w wydawnictwie. Sądząc, iż książkę uda się uratować, pisałem ją w nieskończoność, aż wyduszono ze mnie coś, czego wcale napisać nie miałem zamiaru. Na przykład swojego kolegę przerobiłem na komunistę Marcinowa. Ale to też nie pomogło! Nic nie pomagało. Wie pan, to jest taktyka salami, polegająca na zmuszaniu delikwenta do ustępstw za pomocą małych kroczków. Jak autor napisał już drugi tom, to napisze i trzeci. Jak zepsuł już trochę, to można doprowadzić go do tego, że zepsuje zupełnie. Oczywiście to

wszystko nic nie dało, bo książka ukazała się dopiero dzięki Październikowi. Dostałem nawet jakąś nagrodę za to paskudztwo, które powstało w wyniku przedłużenia o drugi i trzeci tom.

— *Czyli pana nie straszono, lecz jedynie pouczano, radzono i pomagano? Czuł pan, że ten mechanizm „zasysa" autora jak pompa próżniowa?*

— Jakieś ponure obrzydzenie odczuwam wobec tych wspomnień. Poza tym szczęśliwie życzliwy czas zatarł to już w mojej pamięci, bo wyjazdów i rozmów było niezmiernie dużo. Proszę pomyśleć, że od 1950 do 1954 roku ja to wciąż przerabiałem, przepracowywałem i wciąż było niedobrze. Zresztą podobnie postępowano z moimi kolegami po piórze; może nie zawsze dokładnie w ten sam sposób, ale to był los powszechny. Moja książka wędrowała więc od biurka do biurka, miała rozmaitych redaktorów, którzy godzinami maglowali moją duszę. Nie chcę wymieniać nazwisk tych specjalistów od ideologicznego „strugania", bo sami by się pewnie zdziwili, jak to było możliwe. Pisałem w niezliczonych wersjach — same koszmary.

— *Zachował pan może dokumentację tego „prania mózgu"?*

— Kiedy po latach odnalazłem te sterty pokreślonych maszynopisów, wszystkie wyrzuciłem i spaliłem. Nie chcę mówić, że przypominały protokoły przesłuchań, bo nie można było z tych papierów wyczytać, co mówił na przykład Wirski czy Kuropieska, ale w swojej „melodii" były do nich podobne. Kiedy „Czytelnik" chciał wznowić ten utwór, wyraziłem zgodę, lecz wyłącznie na pierwszą część, bo przecież dalsze tomy zostały na mnie wymuszone. Patrząc jednak na to wszystko z dystansu, myślę, że może dobrze się stało, bo gdyby mi lepiej szło, zostałbym całkowicie wessany.

Muszę powiedzieć, że w rzeczywistości koleje tej książki były o wiele bardziej skomplikowane, niż je tutaj przedstawiłem, lecz tyle czasu upłynęło, że nie da się tego

w sposób systematyczny odtworzyć. To był strasznie trudny okres, ale młodość pozwalała mi myśleć, że jakoś to będzie. Moim najbliższym przyjacielem był wtedy Aleksander Ścibor-Rylski, który mieszkał w Warszawie. Kiedy po długich rozmowach odprowadzał mnie na postój taksówek, żebym mógł wrócić nocnym pociągiem do Krakowa, zwykle powtarzał mi, że gdyby Gospodarz (czyli Bierut) wiedział o mojej książce, to na pewno by wyszła. To było na serio, bo on był wtedy jeszcze bardzo ideowy… Dopiero później tak mu się odmieniło, że napisał dla Wajdy scenariusz *Człowieka z marmuru* i *Człowieka z żelaza*. Kiedy powstały jego dwa opowiadania, *Czarne ściany* i *Morze Sargassa*, zorientowałem się, że przechodzi polityczną mutację.

— *No tak, ale Bierut wciąż jeszcze nie wiedział o „Szpitalu Przemienienia”. Jak to się zatem dalej potoczyło?*

— Ponieważ oprócz tej wciąż nie wydanej książki nie miałem nic na koncie, do czasu ukazania się *Astronautów* byłem raz wyrzucany ze Związku Literatów, a potem znów przyjmowany. W latach stalinowskich musiało się mieć w dowodzie osobistym pieczątkę, że jest się gdzieś zatrudnionym, bo inaczej było się podejrzanym „elementem”. Wtedy właśnie, gdy znów byłem wyrzucony, przyjechał do Krakowa na inspekcję Putrament, który w jakiejś małej restauracyjce namawiał mnie do wstąpienia do partii. Niestety okazało się…

— *Że jest pan znowu niedojrzały politycznie?*

— Tak, właśnie. *Notabene* on mi się wtedy zwierzył, że w Polsce dlatego jest tak źle, ponieważ nie mamy własnej Syberii, bo gdybyśmy mieli, wszystkie „elementy” można by wywieźć i byłoby świetnie.

— *Jako kandydat do wywiezienia coś pan mówił?*

— (*śmiechy*) Nie, broń Boże, ja się w ogóle nie odzywałem, tylko słuchałem. Ale na szczęście odzyskałem tę kandydaturę.

— Zaraz, zaraz, ale przecież pan był studentem, to po co jeszcze pieczątka w dowodzie?

— To nie było takie proste. W 1949 roku miałem już absolutorium studiów medycznych, ale ponieważ wszystkich moich kolegów brano do czynnej służby wojskowej, i to nie na rok albo dwa, ale tak, że na zawsze już zostawali w wojsku, postanowiłem nie zdawać ostatniej grupy egzaminów.

— Dobrze słyszę? Po medycynie szło się dożywotnio w kamasze?

— Tak, dożywotnio, bo wtedy bardzo brakowało lekarzy w wojsku. Ja się o tym dowiedziałem na krótko przed sesją. Od razu sobie pomyślałem, że nikt mnie nie może zmusić do tego, żebym zdał końcowe egzaminy, więc po prostu do nich nie przystąpiłem. Owszem, wzywano mnie, marszczono surowo brwi, kiwano palcem, ale jak można nakazać absolwentowi zdanie ostatnich egzaminów? Dlatego też nigdy dyplomu lekarskiego nie otrzymałem.

Kiedy więc wyrzucili mnie ze Związku Literatów, powstała dla mnie nieprzyjemna sytuacja, bo byłem absolwentem medycyny, ale z nieuregulowanym stosunkiem do służby wojskowej. Nie mówię już o tym, że oficjalnie nie mogłem zdać ostatniej grupy egzaminów, bo siedziałem w „kotle", o czym władze uniwersyteckie nie chciały słyszeć. UB też nie kwapiło się do wystawienia mi jakiegokolwiek zaświadczenia o tym, że mnie internowało na trzy tygodnie.

— Dlaczego więc, mając taki pasztet na głowie, nie próbował pan opublikować w wersji książkowej tych licznych opowiadań, które drukował pan wcześniej w „Co tydzień powieść": „Koniec świata o 8-mej", „Miasto atomowe", „Historia o wysokim napięciu", „Człowiek z Marsa"?

— Bo nie były oryginalne. Poza tym z czasem podnosiłem poziom narracyjny i nie fabularyzowałem już byle czego. Tamte teksty były pisane dla pieniędzy. Po prostu przez

długi czas nie potrafiłem „się odnaleźć” i nie wiedziałem, jakie posiadam talenty. Nie miałem jeszcze bladego pojęcia, do czego jestem stworzony. Te klasycyzujące wiersze, postrilkowskie, epigońskie, te kawałki prozy, które budziły silne niezadowolenie — po prostu tkwiło we mnie wiele z grafomana. A to się bardzo łatwo może przydarzyć. Wielu pisarzy posiada wąski szlak, na którym może stworzyć coś wartościowego, ale kiedy z niego schodzą, natychmiast popadają w grafomanię. Później pilnowałem się już, aby nie wyjść ze swojego *emploi*, ale początkowo nie wiedziałem przecież, jakie ono jest. Były to lata poszukiwań. A do *Szpitala Przemienienia* wciąż jestem głęboko przywiązany i sam się dziwię, jak ta książka ze mnie „wystrzeliła”, skoro wszystko, co pisałem wcześniej i nieco później, jest zdecydowanie słabsze. Słabsze, nieprawdziwe, koturnowe, nie swoje i postawione jakby na szczudłach. Nie umiałem jeszcze sobie głosu „ustawić”, odnaleźć właściwego stylu, nie wiedziałem, jak „się to robi” — po prostu nie wiedziałem nic.

— Gdy tak słucham o tej dziwnej sytuacji zawieszenia pomiędzy nie skończonymi studiami, grożącym wojskiem, półamatorskim pisaniem i awanturami z UB, zastanawiam się, jak to trawili pana rodzice.

— Rodzice niemało się namartwili, a szczególnie ojciec. Jego niepokoje potęgował szczególnie fakt, iż nie posiadałem właściwie żadnego zawodu. W czasach austriackich, kiedy studiował, też zdarzyło mu się popaść w stan zauroczenia literaturą — pisał wiersze, opowiadania, przestał zdawać egzaminy. Wtedy jego ojciec, czyli mój dziadek, wezwał go do siebie, przypomniał, że studiuje już dziesiąty rok bez żadnych efektów, i oświadczył, że jeśli chce mieć jeszcze coś wspólnego z obraną profesją, to niech zda brakujące egzaminy. Tak też się stało. Potem został lekarzem, wybuchła wojna i tak się to skończyło.

Ojciec więc dobrze wiedział, jak łatwo zejść z właściwej drogi, i chciał, żebym — jak to mówiła matka — miał jakąś

posadę. Ale aż tak bardzo mnie nie molestował, jak pan myśli. Przez swoje stare, lwowskie znajomości usiłował mi nawet pomóc w „przepchnięciu” zatrzymanego *Szpitala Przemienienia* (był o nim lepszego zdania niż o późniejszych *Astronautach*). Pamiętam, że kiedy przyjechał jakiś jego znajomy, który pracował bodaj w filii warszawskiego „Czytelnika”, ojciec udał się na rozmowę. Przez godzinę kręciłem się po ulicy, podczas gdy oni rozmawiali na temat możliwości wydania tej nieszczęsnej książki. Wyszedł stamtąd mocno zasępiony, gdyż przyjaciel wyjaśnił mu, że tego betonowego muru się nie przebije. Nie było mu dane ujrzeć drukiem tej książki, gdyż nie dożył odwilży. Doczekał jedynie wydania *Astronautów* i *Sezamu*.

— *A jak doszło do napisania „Astronautów”? To był pański debiut książkowy. Zaskakujący dystans dzieli go od „Szpitala Przemienienia”.*

— W 1950 roku w Domu Literatów w Zakopanem spotkałem się z pewnym grubym panem, z którym poszliśmy na spacer do Czarnego Stawu. Był to Jerzy Pański — prezes Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. W trakcie naszych górskich rozmów poruszaliśmy temat braku polskiej fantastyki. Zdradziłem się wtedy, że lubowałem się — już jako chłopiec — w powieściach Grabińskiego, Umińskiego, Verne’a i Wellsa. Tyle razy tę historię powtarzałem, że być może stworzyłem sobie jakąś jej sztampową kliszę, ale jest coś na rzeczy w tym, iż on zapytał, czy gdybym dostał umowę wydawniczą, podjąłbym się wykonania takiej pracy. A ja, nie wiedząc nawet dobrze, z kim mam do czynienia, bo był dla mnie po prostu jakimś grubym panem, który podobnie jak ja kręci się po „Astorii”, odpowiedziałem, że tak. Po jakimś czasie, ku swojemu zdziwieniu, otrzymałem pocztą umowę. Nie wiedząc jeszcze, co to będzie, napisałem tytuł *Astronauci…* i w stosunkowo krótkim czasie napisałem książkę. I to był mój debiut.

— *A potem były te straszne recenzje?*

— Szczególnie nieprzychylny i miażdżący był dwugłos Grzeniewskiego i młodej krytyczki, którą Dąbrowska uważała za wielką nadzieję prozy polskiej… Jak ona się nazywała?

— *Woźnicka? Ta, której pan potem odpowiadał?*

— Tak. Potem już nie wdawałem się w polemiki z krytykami, bo uznałem to za nonsens. Tym razem zniszczono mnie ideologicznie, choć spotkał mnie przy okazji honor, bo do sporu wmieszał się sam Antoni Słonimski, który delikatnie wyśmiał ideę rozszerzania filozofii marksizmu — co głosili moi recenzenci — na cały kosmos. On tego wprost nie napisał, ale wyraźnie wynikało z jego wypowiedzi, że jeśli poważnie traktować założenie, że walki klasowe wszędzie muszą toczyć się tak samo, to na planecie Wenus, jak na wszystkich planetach, musiałaby powstać KPW, czyli Komunistyczna Partia Wenus, która sprzeciwiłaby się próbom najazdu na Ziemię, a zatem sytuacja opisana przez Lema w *Astronautach* w ogóle by zajść nie mogła. Urządził sobie więc bardzo ładne chichy z moich antagonistów.

— *Słyszę tu już kilka razy o „Astorii” i poufałych stosunkach z wydawcami i pisarzami. Rozumiem więc, że mimo wcześniejszych kłopotów, był pan jednak już afiliowany jako pisarz.*

— Przy ulicy Krupniczej 22, w Związku Literatów, istniała sekcja prozy dla młodych pisarzy, gdzie odbywały się posiedzenia polegające na tym, że ktoś czytał fragment swojego utworu, a dookoła stołu chodził Kazimierz Wyka, komentował i najczęściej typował jako wielką nadzieję literatury polskiej Wilhelma Macha. Mach był rzeczywiście gejem, ale niestety nie mogę opowiedzieć, choć widziałem to na własne oczy, co wyrabiał w „Astorii”. W sekcji było wiele osób, które potem odpadły, ponieważ literatura to jest maraton, czyli długi dystans, więc najlepiej znamy tych, których widzimy na kolejnych okrążeniach. Tam właśnie poznałem bliżej Szczepańskiego. Kiedy wydał

Buty, otrzymałem od niego egzemplarz z dedykacją „z podziękowaniem za wszystkie otuchy”, bo zawsze mówiłem mu: „nie bój się, prawdziwa cnota krytyk się nie boi”. On już wtedy był niezłomny i walił prawdę po oczach. Pracował w tym czasie jako tłumacz w „Głosie Anglii”. A ponieważ głównym zajęciem władz, poza zamykaniem i rozstrzeliwaniem, było wówczas likwidowanie wszelkiej wolnej inicjatywy, więc „Głos Anglii” też szlag trafił.

— *Czy w tej sekcji prozy na Krupniczej początkujący pisarz był poddawany ideologicznemu „praniu mózgu”? Tomek Jastrun opowiadał mi kiedyś, jak jego ojciec musiał chodzić wraz z innymi literatami na liczne szkolenia na przykład o Bucharinie — „synu byka i dzikiej świni”.*

— Nie, ponieważ nie byłem członkiem ZLP, tylko kandydatem, czyli wciąż jeszcze wolnym ptakiem. Nie należałem też do ZMP ani do partii. W naszej sekcji tylko się czytało i omawiało utwory, a ja nie miałem się tam czym jeszcze wylegitymować. Nie mogłem im czytać maszynopisu, który był zatrzymany. Mogłem się tylko uwiarygodnić wierszami.

— *Mógł pan czytać opowiadania o tematyce wojennej…*

— Ale ja się wcale nie chciałem przechwalać takimi rzeczami jak *Miasto atomowe* lub *Człowiek z Marsa*.

— *Ale ja myślę o tekstach typu „KW-1” lub „Hauptsturmführer Köstnitz”. Miał pan też ostatecznie na koncie tematy współczesne, np. „Historię o wysokim napięciu”. To było wręcz w duchu epoki.*

— Niby tak, ale nie chciałem się z tym pchać przed oczy. Wiedziałem, że to jest pisane na odczep się, a mnie chodziło tylko o pieczątkę w dowodzie.

— *To co, nie pouczali, nie straszyli?*

— Kiedy opublikowano *Astronautów*, powiedziano mi w Warszawie na jakiejś naradzie: „Jeśli będziecie dalej pisać w «Tygodniku Powszechnym», nigdy więcej wam żadnej książki nie wydamy”. Wtedy rzeczywiście oddaliłem się od redakcji, ale stosunki towarzyskie utrzymywałem.

Znam doskonale cały pierwszy skład redakcyjny: ksiądz Piwowarczyk, Turowicz, Morstin-Górska, Starowiejska-Morstinowa (cudowna kobieta!), Żychiewicz i Jasienica, który porozumiewał się z Gołubiewem wyłącznie cytatami z *Trylogii*. Ale poza takimi ostrzeżeniami nic więcej nie było. Żadnych szkoleń ideologicznych w Związku Literatów nigdy nie przechodziłem.

— *A czy w sekcji młodych Związku Literatów nie załapał się pan nigdy na żadne stypendium twórcze?*

— Nigdy do nikogo nie występowałem o żadne zapomogi czy stypendia. Nigdy! Nie było mi to po prostu potrzebne. Tak jak Gombrowicz siedział w argentyńskiej studni i powoli się z niej wydrapywał, tak ja siedziałem w polskiej i wspinałem się do góry jak małpa po cembrowinie. Ale miałem już w Krakowie pewną reputację, dzięki której jednym tchem wymieniało się, zawsze obok siebie, trzy nazwiska: Meissner, Lem, Bunsch. Trójka pismaków, którzy coś tam sobie drapią dla popularnego czytelnika.

— *Ale w „Astorii" pan bywał, a pewnie w innych Domach Pracy Twórczej też?*

— Na okres kwitnienia traw musiałem wyjeżdżać na Pogórze. Na ogół do Domu Literatów „Astoria" koło Dolinki Białego. I tam, u pani Krasickiej, z tych prawdziwych Krasickich, która była kierowniczką, na maszynie przywiezionej ze Lwowa pisałem książkę za książką. Miałem tam jednak też rozmaite nieprzyjemności. Powiedziano nam kiedyś na przykład, że wszyscy zostaną usunięci z ośrodka, bo okazało się, że wykryto jakieś mikroskopijne ślady uranu w okolicznych skałkach. Usiłowaliśmy ratować dom za pośrednictwem Kruczkowskiego, ale potem okazało się, że tego uranu jest tyle, co kot napłakał, i na tym się skończyło.

Później pani Krasicka (była ziemianka zresztą, której mąż zginął w czasie wojny, więc samotnie wychowała trójkę dzieci) zaprosiła mnie do swojego pokoju i zapytała, dlaczego piszę na nią donosy do Warszawy. Byłem

zaszokowany, bo jak można udowodnić, że czegoś się nie zrobiło? Nie było to przyjemne.

— *Czy w takich miejscach, jak „Astoria”, panowała w latach stalinowskich atmosfera strachu, stłamszenia? Czy tam też człowiek musiał uważać na to, co mówi?*

— Nie. Raczej głównymi problemami były problemy socjalne. Ponieważ tam była tylko jedna łazienka, trzeba było wstawać o szóstej rano i czekać, aż rozpalą ogień w kuchni, żeby nagrzała się woda.

— *Jeśli dobrze liczę, w tym czasie zaczął pan uprawiać publicystykę i zideologizowaną popularyzację nauki na łamach „Nowej Kultury”. Niektóre z tych szkiców można odnaleźć w tomie „Wejście na orbitę”, za innymi trzeba się zanurzyć w prasie epoki. Czy mógłby pan poświęcić tej kwestii parę słów?*

— Kiedy „Tygodnik Powszechny” *de facto* przestał istnieć, bo została tylko skóra, a środek wilcy wyjedli i tam siedzieli, namówiono mnie do pisania felietonów dla „Nowej Kultury”, która powstała przez połączenie „Odrodzenia” i „Kuźnicy”. Przez jakiś czas pisałem, ale niczego wartościowego nie dokonałem, tylko się irytacji nabawiłem, gdyż Putrament wprowadzał do moich tekstów twórcze zmiany w rodzaju: „Jak słusznie powiedział Malenkow…” O żadnych sprostowaniach nie było nawet mowy, więc po jakimś czasie dałem sobie z tym spokój.

Pan oczywiście myśli, że ja pisałem teksty popularyzujące naukę sowiecką dlatego, że chciałem poprawić swoją sytuację, a tak naprawdę było odwrotnie, bo to było jeszcze za czasów „Życia Nauki”. Choynowski poprosił mnie, żebym jako pierwszą swoją poważną pracę napisał właśnie coś o sowieckich dokonaniach, argumentując, że „naciskają na nas, że jesteśmy jednostronni, proamerykańscy”. Tylko dlatego napisałem ten tekst. To był typowy artykuł osłonowy, który zresztą w niczym nam nie pomógł.

Potem była jakaś dziwna historia z fenolem. W Krakowie tworzyły się na ulicach wielkie kolejki przy ulicznych

studniach, bo smak fenolu w wodzie z kranów był tak silny, że nie można go było wytrzymać. W szpitalach odradzano picia wody, ale w Krakowie cenzura zdejmowała wszystko, co dotyczyło tej sprawy. Po wydrukowaniu w „Nowej Kulturze” mojego artykułu o zawartości fenolu w wodzie zrobiła się wielka awantura na szczeblu miejscowym i w Warszawie. Nie należę do ludzi tak zakochanych we własnym słowie, aby zbierać takie rzeczy, więc panu nie powiem, w którym to było roku, ale była taka historia. Parałem się więc nieco publicystyką, ale to był jeden z nielicznych wypadków, kiedy sprawa nabrała rozgłosu i po jakimś czasie dała realne skutki. Pisywałem też nieco do magazynu tygodniowego przy „Gazecie Krakowskiej”, który nosił tytuł „Zdarzenia” i zamieszczał moje krótkie felietoniki. Właśnie ich mizerną cząstkę opublikowałem potem w niskonakładowym tomie *Wejście na orbitę*. Nie pamiętam, co jeszcze ciekawego mogłem robić w tym okresie.

— *No, na przykład z Hussarskim napisał pan „Jacht »Paradise«„.*

— Pan czytał tę potworność?

— *No pewnie! To mój kultowy dramat. Najbardziej lubię scenę, w której amerykańska seksbomba karmi rekiny pomarańczami.*

— Był wtedy konkurs na sztukę teatralną i za pośrednictwem wspomnianego tu Pańskiego z „Czytelnika”, który — jak się później okazało — był nasłany z Moskwy, zostałem zaproszony do współuczestnictwa. Wtedy wymyśliłem tę straszliwą brednię, która była zupełnie luźnym projektem, i nie mając ani siły, ani ochoty, ani umiejętności do napisania tego samemu, namówiłem do współpracy Romka Hussarskiego. Ponieważ występowałem wtedy w prasie w roli „atomowca”, więc z tego zrodzili się generał, fizyk jądrowy i cała ta zimnowojenna afera.

— *Czy to zostało napisane dla pieniędzy?*

— Tak, ale wzięło się również stąd, że po wydaniu *Astronautów* nie miałem już nic w szufladzie. Pisałem wtedy *Sezam*, w którym jest zaczątek *Dzienników gwiazdowych*, a tu nagle podkusiło mnie, żeby wystartować w konkursie sztuk współczesnych. (*smętnie*) Niestety, *Jacht „Paradise”* został później, ku mojej hańbie, wysłany na ten konkurs.

— *Dlaczego we dwóch to napisaliście? Pan nieczęsto pracował w tandemie.*

— Żyliśmy blisko. Nie pamiętam już, czy ja dyrygowałem tym przedsięwzięciem, czy on, ale pewnie mam w tym swój walny udział. Sztuka została parę razy zagrana w Opolu, Łodzi i Szczecinie. Pozostały mi nawet z tych spektakli jakieś fotografie. Złych utworów pisanych pod dyktando powstało do licha i trochę.

— *Ale jak entuzjastyczne miał pan recenzje! Czytałem z niekłamaną satysfakcją.*

— Bardzo to nieszlachetnie z pańskiej strony. *(śmiech)* Z punktu widzenia warsztatowego była to rzecz pod każdym względem straszna, choć powiem panu, że na tle śpiewu radosnych traktorzystów, dobywającego się z gardzieli aktorów pod batutą innych dramatopisarzy, wydaje się to mniej potworne.

— *Jak wyglądały te inscenizacje?*

— Pierwszoplanową rolę amanta grał sam Edmund Fetting. Było tam parę pięknych scen, o których ze względów anegdotycznych godzi się wspomnieć. Jak pan pamięta, rzecz dzieje się na jachcie amerykańskiego milionera, który siedzi w towarzystwie fizyka atomowego i jeszcze bodaj kogoś — nie pamiętam, w którym to było akcie — w promieniach luksusowego słońca. Na pokład wkracza reprezentujący siły postępu i demokracji Murzyn, niosący na tacy owoce cytrusowe, a że w Polsce nawet ze świecą nie znalazłby pan wówczas takich specjałów, wykonano je z drewna. Więc kiedy on wszedł na premierze na scenę i potknął się, wówczas wszystkie te owoce potoczyły się po podłodze z łoskotem kul kręgielnianych.

Była też taka scena, w której występował Kazimierz Opaliński, grający fizyka, a mający już wówczas łysą jak kula bilardowa czaszkę, na którą mu nasadzono piękną, kunsztowną wiechę. Kiedy przechodził po trapie, zaczepił peruką o reję, na której przepięknie zadyndała, ale zdążył ją schwycić i na nowo przytwierdzić do głowy. Na takim mniej więcej poziomie się to wszystko odbywało. Jako autorzy musieliśmy z Romkiem bywać na każdym przedstawieniu.

— *Był pan dumny?*

— Co pan gada!? Doznawałem prawdziwego uczucia wstydu! Jak na złość, wyszło to później nakładem „Czytelnika” jako osobna książeczka. Byłem tak wściekły, że ją wyrzuciłem, czego się czynić bez wątpienia nie godzi. Nie znaczy to, że w ogóle jej nie mam, ale ją gdzieś ukryłem tak starannie, jak ktoś, kto zakopuje ślady dawnych zbrodni. Na szczęście już nigdy więcej niczego takiego nie popełniłem, bo to było rzeczywiście zupełne dno, na które wówczas zszedłem.

Jedyne, co na tym wszystkim zyskałem, to zbliżenie się do środowiska teatralnego. Ponieważ mam tu obowiązek mówić samą prawdę, więc dodam, że aktorów bardziej się boję niż wariatów, bo z tymi można sobie jakoś poradzić, a fakt, że ktoś może coś udawać na scenie, uważam za rzecz nienormalną. Zawód aktora jest dla mnie czymś koszmarnym. Mówię to dość brutalnie i prymitywnie, ale to jest fakt. Prawdopodobnie wzięło się to stąd, że sam jestem zupełnie niezdolny do odgrywania czegokolwiek, więc najwyższe trudności sprawia mi wyobrażenie sobie, że ktoś może być aktorem. (*refleksyjnie*) Tak, bardzo dziwne było dla mnie to środowisko. Jedyna korzyść z napisania tej sztuki to możność przyjrzenia mu się z bliska.

— *Później dał pan sobie spokój zarówno z dramaturgią, jak i ze współpracą z Hussarskim?*

— A skądże, napisałem potem wspólnie z nim dramat *Ellinor*.

— *To historyczne imię? Chyba jakiejś władczyni francuskiej?*

— To jest imię królowej, która zdradza męża, więc mąż każe ją ściąć, i w ostatniej scenie mówi nad trupem: „Małżonko miła, twoje li to pod obcas wlazło mi jelito”? (*śmiechy*) Bawiliśmy się w ten sposób. Niedawno któryś z kolegów przysłał mi jeden z takich utworów. Fredro niech się schowa. (*wyjmuje z szafy, pokazuje*) To są moje ówczesne produkcje.

— *Kojarzy mi się to z wierszykami Witkacego lub z Piwnicą pod Baranami. Rozumiem, że nigdy nie były drukowane?*

— Tak, one nawet nie były do cytowania. To jest zresztą fragment-apokryf, bo nie miał nigdy ani początku, ani końca. No wie pan, trzeba było jakoś żyć. Poza tym napisałem kiedyś bezcenny dramat o Józefie Stalinie.

— *Nigdy pan o nim nie wspomniał.*

— Bo zgubiłem! Przewróciliśmy z żoną do góry nogami cały dom. Ciągle mi się wydaje, że gdzieś wypłynie[1].

— *To był prawdziwy dramat?*

— Nie, jedna wielka kpina. W tym utworze występował niejaki Miczurenko, uczeń Łysiurina, który wyhodował kaktus skrzyżowany z krową, tak że można go było doić. Niestety było to źle widziane przez władze, a pewien znajomy Miczurenki, bardzo nerwowy enkawudysta, który nazywał się Anichwilitegonieradze, odradzał dojenia tego kaktusa. I była też pani Awdokia Niedonagina Praksiwsichina, której mąż wyjechał do Ameryki, żeby podpatrzeć, jak robi się sodę kiszoną, ale kiedy podglądał przez dziurkę od klucza, pewien kapitalista drutem wykłuł mu oko, więc on z niesmakiem musiał wrócić do Sojuza (*śmiechy*), gdzie dzieją się rozmaite dalsze szaleństwa, obnażające nieprawomyślność i nieudolność Miczurenki, którym zaczynają interesować się organy…

— *To było dzieło wierszowane?*

— Nie, prozą. Ale najważniejszy był koniec, gdy na czerwonym tle pojawiał się towarzysz Stalin „nieludzko uśmiechnięty i nadludzko genialny”, mówiąc: *„Nu, tawariszczi, niemnożko odkłonilis’ ot linii. No wsio taki…”* Dramat kończył się optymistycznie, bo Stalin wcale nie kazał wszystkim urwać nóg i jaj, ale wykazał nadludzką łagodność. To było apogeum mojego socrealistycznego wzlotu. Nie tylko to napisałem, ale jeszcze na starym magnetofonie nagrałem wszystkie role. Po latach znaleźliśmy z żoną tę taśmę, wkładamy do magnetofonu, a tam tylko jakieś piski… Była tak stara, że nie dało się niczego odtworzyć.

— *Czy to było pisane w tym samym czasie, co „Jacht «Paradise»„?*

— Mniej więcej tak. Silna wena mnie wtedy opanowała…

— *Ale to oznacza, że jedną ręką pisał pan rzeczy słuszne politycznie dla zarobku, a drugą wywrotowe — żeby odreagować.*

— No oczywiście, że tak. Gdyby ten dramat u mnie znaleźli pracownicy UB, byłoby niewesoło, ale ja się tym wówczas specjalnie nie przechwalałem (poza najbliższym kręgiem rodziny).

— *To były lata stalinowskie, a to, co pan opowiada, jest dość sielskie. Tymczasem piwnice UB były pełne…*

— Wie pan, my byliśmy chyba jacyś niedowarzeni. Na przykład, wraz z Romkiem próbowaliśmy za wszelką cenę zdobyć przepustkę, która umożliwiałaby nam odwiedzanie pobojowisk podkrakowskich i zbieranie szmelcu.

— *Po co?*

— (*śmiejąc się*) Bo naszym marzeniem było zbudować elektrycznie napędzany samochód. Mieliśmy wózek, papier z pieczątką i chodziliśmy po okolicach, zwożąc różne części.

— *To miał być jakiś model gokarta?*

— Skądże, prawdziwy samochód! Znaleźliśmy nawet trochę niemieckiej amunicji przeciwlotniczej i w szopie

u Romka, przy pomocy piłki i imadła, rozpiłowywaliśmy pociski, żeby wydobywać z nich proch.

— *Robiliśmy to samo we Wrocławiu. Dwóch moich kolegów pożegnało się na zawsze z kończynami, podczas pieczenia w ognisku miny.*

— Oczywiście, że mogło i nas rozerwać (*śmieje się*), ale nie mieliśmy wówczas w ogóle takich zmartwień. Na szczęście potem Romkowi urodziło się dziecko i działo się wiele rzeczy, więc te plany gdzieś się rozwiały. Dotkliwość świata polityki odczuwałem dopiero wtedy, kiedy uniemożliwiano mi wydanie książki.

— *Byłem w tych latach dzieckiem, ale pamiętam, kiedy przyszedł inkasent z rachunkiem za prąd. Rodzice nie mieli pieniędzy. Na co ja powiedziałem do ojca, żeby zapłacił dolarami (był w domu jeden dolar na „czarną godzinę"). Mam w oczach do dziś przerażone miny rodziców. Panował wówczas strach, nawet ja go pamiętam. Pan natomiast opowiada pogodną historię bohemy artystycznej…*

— Bo ja faktycznie pływałem jak korek na fali. Żadnych kontaktów z podziemiem nie miałem, bo od czasu, kiedy we Lwowie zakatrupili tego docenta, o którym panu opowiadałem, wiedziałem już, jak to wygląda. Dopiero potem, z opowiadania Mrożka pod tytułem *Jaworzno*, dowiedziałem się, że istniały w latach stalinowskich jakieś obozy pracy. Opowiadał mi, jak wracał służbowym samochodem z wywiadu i zobaczył sznur obdartych ludzi, idących skrajem szosy. W ten sposób on poznał prawdę, a ja od niego. Wcześniej jednak nie miałem o tym żadnego pojęcia. Skąd miałem wiedzieć takie rzeczy?

— *Pan był już wtedy w przyjaźni z Mrożkiem?*

— Zbliżyliśmy się ze sobą gdzieś w okolicach mojego ślubu. On był bardzo nieśmiały i pamiętam jego zażenowanie, kiedy na początku naszej znajomości rozbił w moim mieszkaniu bardzo ładny talerzyk. Były tam gdzieś po drodze różne inne znane numery Mrożka, gdy na przykład wyrzucał z Domu Literatów na Krupniczej

na podwórze jakieś bezcenne papiery. Ta przyjaźń przetrwała długie lata. Gdy już uciekł do Włoch, z pierwszą żoną, która — biedactwo — umarła na nowotwór, podejmował nas w Chiavari. Pojechaliśmy do niego z żoną pociągiem z Paryża. Byłem zdumiony, bo żyli bardzo skromnie, nie mieli jeszcze żadnych mebli (prócz leżaków), a rodzina z Polski przysyłała im kaszę. Sławek, który miał wtedy czarnego volkswagena, woził nas po Włoszech. Do dziś pamiętam, że płacił za nasz hotel.

— *Nie rozmawialiśmy jeszcze o tomie opowiadań pod tytułem „Sezam", napisanych w tym okresie. Ich również nie pozwala pan wznawiać…*

— Rzeczywiście, nigdy potem już nie chciałem wznawiać tej prozy. Byłem wtedy na jakimś rozdrożu — co słusznie ktoś zauważył — kiedy nie wiedziałem, czy to ma być z lekka beletryzowana popularyzacja zagadnień naukowych, czy też beletrystyka wsparta silnie naukowymi koncepcjami. Gdy ukazali się *Astronauci*, nie wiedząc, co robić dalej, napisałem tę książkę i można powiedzieć, że jest w niej kilka bardzo niedobrych opowiadań, ale można też odnaleźć w niej nieśmiałe zalążki przyszłych *Dzienników gwiazdowych*. W *Sezamie* jest niestety kilka opowiadań, które z ducha i poetyki są chyba najbardziej socrealistyczne w moim dorobku. Nie dlatego, aby tam byli kułacy albo agenci zachodnich wywiadów, ale ze względu na wyjątkowy wręcz nastrój idylli. Na przykład to opowiadanie o dwóch młodych naukowcach…

— *„Topolny i Czwartek"*?

— Właśnie, to jest najbardziej socrealistyczne paskudztwo, jakie kiedykolwiek napisałem. Widzimy tam jakiś polski instytut badań jądrowych, w którym panuje totalny nastrój słodyczy… Nie pamiętam już samego opowiadania, ale pomnę tę aurę, która owiewa mnie grozą. I ta potworna dekoracyjność, która kojarzy mi się z lukrecją, wywołującą u mnie silny odruch wymiotny. To jest takie niedobre, że nawet szkoda słów.

— Czy „Astronauci” i „Sezam” poprawili już pańską sytuację materialną?

— To nie szło tak szybko, jak pan myśli. Po dwóch lub trzech latach oblężenia Basia Leśniakówna zgodziła się zostać moją żoną — dokładnie w 1953 roku. Nie posiadaliśmy jeszcze wtedy mieszkania, gdyż ja miałem maleńki pokoik z grzybem, żona zaś mieszkała razem z siostrą na ulicy Sarego, toteż stałem się dojeżdżającym mężem. Jeździło się naturalnie tramwajem, bo żyłem ciągle nad wyraz skromnie. Po śmierci mojego ojca wymieniliśmy wraz z rodziną, która mieszkała z nami na ulicy Śląskiej, mieszkanie na większe, bo trzypokojowe, przy ulicy Bonerowskiej 5. Wcześniej, we trójkę, wraz z matką, kisiliśmy się w dwóch pokojach (przy czym pokój matki był przechodni). W takich właśnie warunkach pisałem *Obłok Magellana*, a że zacząłem go, dojeżdżając jeszcze na Sarego, więc część powstała w tramwaju.

Książka ta budzi dziś moją szczególną niechęć. Jak dowiedziałem się po latach, nie podobała się również mojej żonie, która jednak — jako osoba powściągliwa — wstrzymywała się z opinią, widząc, jak bardzo jestem zaangażowany w pracy. Tymczasem ja byłem z siebie dość zadowolony. Wkrótce jednak zostałem ochłodzony, gdyż rozpoczął się bój o wydanie tej książki, który trwał mniej więcej półtora roku ze względu na to, iż Ignacy Złotowski, chemik, będący recenzentem wewnętrznym wydawnictwa „Iskry”, oskarżył mnie w swojej opinii o „przemytnictwo ideologiczne”, jako że przemianowałem wrogą, burżuazyjną cybernetykę na mechaneurystykę. Wykrył zresztą jeszcze jakieś inne moje „błędy i wypaczenia”. W końcu książkę udało się wydać dzięki pomocy jednego z moich przyjaciół, młodego wówczas prawnika, doktora Jerzego Wróblewskiego (późniejszego dziekana prawa na Uniwersytecie Łódzkim), który pojechał na wielką sesję organizowaną w „Iskrach” na temat mojego *Obłoku Magellana* i udowodnił jako teoretyk prawa, że jest to

pozycja ze wszech miar poczciwa. Dodam nawiasem, że z tego wydawnictwa mam jak najgorsze wspomnienia, a szczególnie ze współpracy z Jerzym Wittlinem, autorem bardzo licznych, tandetnych dzieł humorystycznych. Nie wiem dlaczego. Może sprawiała to atmosfera, może ciągłe jazdy pociągiem, może nieustanne próby manipulowania? Prawdopodobnie wtedy właśnie nagromadziło się we mnie tyle złych wspomnień, związanych z tymi podróżami do Warszawy, że jeśli tylko mogę sobie na to pozwolić, w ogóle nie jeżdżę do stolicy. Jak u psa Pawłowa wytworzył się u mnie w końcu trudny do opanowania odruch warunkowy.

— *Kiedy wyczuł pan pierwsze podmuchy odwilży?*

— Chyba pomiędzy 1953 a 1954 rokiem. Pamiętam, że podczas pogrzebu Stalina byłem w Zakopanem i kiedy zjeżdżałem na nartach z Kasprowego, w mieście wyły syreny. Wcześniej były nawet w domu pracy twórczej, w „Astorii", dylematy ideologiczne, czy godzi się wyjeżdżać na Kasprowy Wierch w takim momencie historycznym? Mieliśmy już miejscówki, szkoda je było stracić, więc pojechaliśmy.

W tej „Astorii" zaprzyjaźniłem się ze Stanisławem Zielińskim, który był w oflagu i miał jedno płuco unieruchomione odmą. Napisałem tam też *Pamiętnik znaleziony w wannie*, który czytali Jan Kott i Maciej Słomczyński. Powiedzieli mi, że książka jest niezła, ale nigdy nie ukaże się w naszym kraju. Ukazała się w niecały rok później.

— *Bez żadnych kłopotów?*

— Nie, musiałem tylko napisać wstęp, który wyjaśniał, że wszystko się dzieje w Pentagonie.

— *Ale wiadomo przecież, że chodzi o totalitaryzm.*

— Ale to już był okres, kiedy Stalin umarł. Ja tę książkę napisałem na wariata, udając, że to antyimperialistyczna satyra. Kiedy pracowałem nad *Dialogami*, też nie zastanawiałem się nad tym, że nie można ich wydać. Proszę

pomyśleć, że nawet taki karmelek jak *Obłok Magellana* budził wtedy grozę, a *Astronauci* wyszli tylko dlatego, że władze jeszcze nie wiedziały, w jakie dyby zakuwać tych, którzy uprawiają fantastykę. A potem nagle zmienił się klimat polityczny i nawet Hen opisał w książce pod tytułem *Kijów, Taszkient, Berlin* dzieje swojej włóczęgi, bo on rzeczywiście przeszedł całą tę drogę. Jak mu książkę wydali w Październiku, nie musiał nawet poprawiać w niej jednego słowa, bo czasy się zmieniły. To, co wcześniej było trefne i zabronione, nagle stało się niewinne.

Ale i tak nieciekawe to były lata. Zwykle w zimie na jeden miesiąc jeździliśmy z żoną do Zakopanego na narty. W lecie, przez cały czerwiec, z uwagi na mój katar sienny, na który wówczas nie było jeszcze środków ratunkowych (ustąpił, kiedy w Wiedniu wycięli mi jedną trzecią jelita grubego; dlaczego tak się stało, nikt nie wie), wyjeżdżałem na okres pięciu, sześciu tygodni do domu Związku Literatów w Zakopanem i tam pisałem jak szalony. W czasie takiego jednego i pół „seansu” powstała *Solaris*. Tą samą metodą napisałem parę innych książek. Poza tym nic ciekawego się nie działo. Żona pracowała w rentgenie jako lekarz radiolog, a ja byłem zwykłym członkiem Związku Literatów. Bardzo trudno mi to dziś odtworzyć, a już zupełnie nie sposób trzymać się chronologii.

Kiedy mieszkaliśmy jeszcze na Bonerowskiej, zaczęliśmy z żoną jeździć do Jugosławii. Ona była bardzo ciekawa świata, więc wypychała mnie z domu. Prowadziła dzienniki z tych podróży. Są niesłychanie śmieszne, i kiedy czasem je czytamy, wprost pękamy ze śmiechu. Żyliśmy wówczas w autentycznej nędzy, bo honorarium starczało ledwie na sałatę i łopuch, więc i sytuacji humorystycznych było bez liku. W pierwszą „prawdziwą” zachodnią podróż udaliśmy się w 1955 roku — jeśli dobrze pamiętam — „Mazowszem”, na którego pokładzie zgromadził się sam kwiat ówczesnego PRL-u.

— Ale w tym czasie pojawiły się przecież honoraria za przekłady. W Niemczech nakręcono film. To musiało przynieść jakieś realne dochody.

— I wtedy wyjeżdżaliśmy. Pierwszą książką, wydaną za granicą w 1954 roku, byli *Astronauci*, którzy ukazali się jako *Der Planet des Todes* w NRD. Potem były wydania radzieckie, z tym że tłumaczenia trwały bardzo długo, gdyż nalegano, abym wprowadził sto tysięcy zmian. W tych latach *Astronauci* wydawali im się bombą z opóźnionym zapłonem. Byłem bardzo uparty, nie chciałem ruszyć nawet przecinka, więc dowiedziałem się, że książka w ogóle nie wyjdzie. „Nie to nie” — pomyślałem. No i po roku wyszła bez żadnych zmian. Po wszystkich doświadczeniach ze *Szpitalem Przemienienia* i wymuszonymi na mnie następnymi tomami stałem się uparty jak stary osioł. Te perypetie związane z wchodzeniem w glacjał polityczny, a potem z wychodzeniem z niego, odczułem dość boleśnie, więc postanowiłem sobie, że będę trzymał się własnej busoli. Na wszystkie naciski machnąłem ręką. Jak się okazało, dało to wcale niezłe efekty.

Gdzieś z tego okresu pamiętam pierwsze wyjazdy z delegacjami literatów do NRD, potem do Pragi i Związku Radzieckiego, gdzie noszono mnie niemal na rękach. Wtedy też reżyser niemiecki Kurt Mätzig postanowił zrobić film na podstawie *Astronautów*, w koprodukcji z kinematografią polską. Zajęło mi to kupę czasu, bo musiałem jeździć wiele razy do Berlina, gdzie urządzałem awantury, gdyż było to znacznie gorsze, niż umysł ludzki potrafi sobie wystawić.

Obłok Magellana w Niemczech miał osiem wydań i dopiero wtedy pojawiły się rozsądne pieniądze, ale zawdzięczam to głównie światłym radom Marcela Reicha-Ranickiego, który kazał mi wymieniać te sumy we wrogim obozie. Całe zwoje banknotów wschodnioniemieckich przewoziłem więc w kieszeniach do zachodniego Berlina (wtedy jeszcze nie było muru), gdzie zmieniałem je w bankach w stosunku trzy do jednego i nabywałem za nie

prezenty dla mojej żony, na przykład sweterki. Kiedy była chora i leżała w łóżku, przywiozłem jej z Berlina walizkę, w której były cuda: prawdziwe plastikowe pantofle i butelki. To była rzadkość!

Nie chcę panu skłamać, ale wydaje mi się, że wkrótce potem w jakimś komunistycznym wydawnictwie w Holandii wydano *De dreigende Planet*. Później jeszcze gdzieś, ale to nie miało już żadnego znaczenia, bo ukazywało się w nakładach pięciuset egzemplarzy. Było chyba jakieś wydanie włoskie *Astronautów*, jako *Il Pianeta Morto* oraz *Gli exploratori del astro ignoto* — czyli po prostu *Eden*. Oczywiście zupełna klapa, gdyż nikt nie chciał kupować.

Wie pan, ja miałem dwa wejścia na zagraniczny rynek wydawniczy i było ze mną zupełnie tak jak z Mrożkiem, który raz wchodził do teatru od tyłu, a potem od przodu. Moje pierwsze wydania przechodziły bez echa, a następne, choć były to te same książki i te same tłumaczenia, przynosiły niesłychane profity wydawnictwom, więc mnożyły się jak króliki. Zjawisko zresztą na Zachodzie dość typowe.

— *Młodych czytelników wciąż niepokoi kwestia motywów, dla których pisarze w latach pięćdziesiątych pisali serwilistyczne teksty.*

— Pamiętam, jak we wczesnych latach sześćdziesiątych, w ponury i deszczowy dzień w zakopiańskiej „Astorii” wziąłem do ręki roczniki „Twórczości” z lat pięćdziesiątych, gdyż nie było nic innego w biblioteczce do czytania, i poczułem się, jakby mnie ktoś wyrżnął drągiem w potylicę. Czego te Jastruny i Ważyki nie wypisywały… Przecież to byli wybitni pisarze. Teksty, które tam odnalazłem, odznaczały się najwyższym stopniem nieczytelności, jaką można sobie tylko wyobrazić. To był rodzaj traktatów matematycznych, w których na początku jest zero równe zeru, potem jest dużo międlenia słomy, a na końcu znów jest zero równe zeru. Nic z tego nie wynika.

Ta zbiorowa aberracja była dla mnie dość fascynująca. Zrozumiałe jest oddawanie się duchów jałowych i trzeciorzędnych w służbę władzy, bo przecież one nic własnego nie mają, ale dlaczego pisarze tacy jak Jastrun i Ważyk, którzy posiadali już własne wartościowe biografie, mogli się do tego stopnia autokastrować? To dziwna rzecz. I co najciekawsze, nikt tego nie potrafi objaśnić następnej generacji, mimo najlepszej woli. Bodajże Sandauer gdzieś powiedział, że tradycja służby narodowi, literaturze polskiej i podtrzymywania ognia na ołtarzu patriotyzmu przyczyniły się walnie do tego, że przyjęliśmy socrealizm. Może wynikało to też ze złego samopoczucia polskiego inteligenta, który pamiętał II Rzeczpospolitą i uważał, że jest się za co kajać. A system dostarczał wielkich możliwości do składania samokrytyk, co zresztą miało być wstępem do całkowitego nawrócenia się.

— *Czy uważa pan, że pisarze powinni być za tamten okres rozliczani?*

— Jest to bardzo trudne ze względu na to, że ci, którzy bardzo świnili, potem się bardzo odmienili. Tych odmieńców, zaczynając od Kazimierza Brandysa, było wielu. Jak kiedyś bywałem w podłym humorze i chciałem go sobie poprawić, czytałem *Obywateli* (*śmiechy*), którzy są absolutnie wzorowi i napisani pod strychulec, ale też nie można zapominać, że on się potem zrehabilitował. Brandys aż do ostatniego swojego tomu pod tytułem *Przygody Robinsona* próbował zatrzeć niesmak, jaki pozostawił opowiadaniem o Miłoszu *Nim będzie zapomniany*.

— *Lub opowiadaniem o Czapskim pt. „Major Hubert z AK”. Ale ja panu powiem, że on się „Obywateli” wcale nie wstydził. Sam mi to powiedział.*

— Bo twierdził, że są dobrze napisani, wiem. Andrzejewski to samo mówił o *Popiele i diamencie*. Niedawno czytałem Hena, który opowiada, jak został kiedyś wydelegowany z redakcji do Andrzejewskiego i poszedł prosić go o wywiad. Przyszedł i pyta: „A co pan pisze

do szuflady?” A Jerzy na to: „Ja w ogóle niczego nie piszę do szuflady. Albo piszę wprost, albo w ogóle nie piszę”. Są takie natury, które funkcjonują w ten sposób i nie można się na to obrażać. Pan wie przecież, że ten wariat napisał takie rzeczy jak *Pisarz i partia* i jakieś inne równie partyjne dzieła? Nigdy w życiu tego nie otwierałem.

— *To na jakiej zasadzie ustalił pan sobie opinię?*

— (*po namyśle*) Ja bym powiedział tak: jeśli ktoś narobił w spodnie, to nie warto do nich zaglądać. To jest po prostu niesmaczne.

— *Więc uważa pan, że należy przymknąć oko na tamte utwory? Ale one zatruwały umysły…*

— No dobrze, ale jak ktoś się naprawdę nawrócił, to nie można go traktować tak samo jak tego, który tylko odegrał komedię.

— *Jasne, ale jak pan ich odróżnia? Czy na przykład Ważyk nawrócił się „naprawdę”?*

— Wie pan, nie ma żadnego termometru, za pomocą którego można by stwierdzić, czy nastąpiła tylko zmiana skóry, czy również zmiana wnętrzności. Tych prawdziwie nawróconych faktycznie trudno później odróżnić od koniunkturalistów. Na przykład Ważyk tłumaczył się, mówiąc: „Ja zwariowałem”. Cóż to jest za wyjaśnienie? On przecież wcale nie zwariował. Wat też się strasznie męczył, no dobrze, ale czy to wyznacza pozycję w literaturze?

— *Nie wiem. A dlaczego wyznanie Ważyka wydaje się panu niewiarygodne?*

— Jestem z wykształcenia lekarzem, więc nie dopuszczam występowania tego rodzaju chorób zharmonizowanych z przełomami politycznymi. Treść urojeń jest jednak silnie związana z życiem pacjenta. Byli pierwsi sekretarze, którym się wydawało, że siedzieli w pudle, ale nie było w Warszawie wariatów, którzy by utrzymywali, że są carami rosyjskimi.

— *Ale ja tego bon motu Ważyka nie traktowałbym literalnie, lecz jako rodzaj przyznania się do aberracji*

politycznej, a zarazem wyraz niechęci do jej rozpamiętywania po latach.

— Oczywiście, zgadzam się, że to jest metafora, ale nikt go nie namawiał do takich wariactw. Byli przecież tacy, którzy nie wariowali. Jednym z najuczciwszych ludzi tego czasu był Jan Józef Szczepański. Gdy wyszedł z lasu, uważał, że Polska przedwojenna zgrzeszyła i z jej popiołów powinno powstać coś lepszego. Reprezentował laicką, nie katolicką wersję nadziei. A mimo to nie posunął się do współpracy. Pozostał w tych latach krystalicznie czystym człowiekiem, za którego dałbym sobie rękę uciąć. Nikt niczego nie musiał. Szczepański naprawdę w tamtych latach odpowiadał: „Nie można inaczej? No dobrze, to ja nie będę pisał". Ale byli za to tacy, którzy chcieli, a nawet przejawiali w tym zaciekłość.

Powiedzmy sobie jasno, że u nas nie było aż tak strasznie. Generalnie w indywidualnych przypadkach ludzie bronili się. Było bardzo trudno, ale szło się na pewne ustępstwa i szukało fikcyjnych rozwiązań typu Ameryka, walka o pokój… U nas poetów jednak nie mordowali. U Sowietów zaś byli Achmatowa, Cwietajewa, Mandelsztam. Przeczytałem ostatnio *Słowo o Jakubie Szeli* Jasieńskiego i uświadomiłem sobie, że on przecież został po prostu rozwalony w tym swoim Związku Sowieckim. Pojechał tam, a oni bardzo szybko mu wyjaśnili, co jest warta ich doktryna.

My przecież zawsze mieliśmy takich ludzi, którzy sami chcieli kolaborować: Skiwski z Niemcami, Burdecki… To nie jest prawda, że jesteśmy wspaniałym narodem, bo nie mieliśmy Quislinga. Nie mieliśmy tylko dlatego, że Niemcy go sobie nie życzyli. Gdyby sobie życzyli, to byśmy go na pewno mieli. Jak się czyta „Zeszyty Historyczne" Giedroycia, widać, że jednak były różne próby jakiegoś porozumienia z Niemcami.

— Była taka grupa ONR-owska, która poszła do Niemców z projektem rządu kolaboracyjnego, ale ich rozstrzelali.

— Nie tylko oni. A Cat-Mackiewicz? Taki żubr litewski, a przecież po klęsce Francji usiłował podczepić sprawę polską pod Pétaina, aby uzyskać jakieś minimum od Niemców. Tymczasem to było śmieszne w chwili, gdy Polska leżała już pod gąsienicami ich czołgów. Co oni mogli nam zaofiarować?

Ale z kolei przed wojną, gdy Cat-Mackiewicz domagał się wystawienia polskiej dywizji pancernej, Sławoj-Składkowski wsadził go po prostu do Berezy Kartuskiej. Mam tu nawet gdzieś u siebie książkę Sławoja, w której opisuje, że musiał to zrobić, bo nie miał innego sposobu zatkania mu gęby. Więc sprawa jest bardzo trudna.

W ogóle wsadzanie pisarzy do więzienia nie jest dobrym pomysłem. Jeśli weźmiemy przykłady międzywojenne, faktycznie paru pisarzy siedziało: Stern, Bruno Jasieński, Mackiewicz, Piasecki… Ten ostatni z innych powodów, ale też zaliczył więzienie. Czy to są dobre przykłady? No właściwie jaką metodę proponuje pan zastosować?

— *Chce pan powiedzieć: trzeba zrobić „grubą kreskę”, bo nikogo się nie da uczciwie rozliczyć?*

— Na to wychodzi. Bo co zrobić? Wsadzać do więzienia, wieszać?

— *Nie, tego nie mówię!*

— Więc proponowałbym przybijanie na czole niezmywalnych pieczątek. Najlepiej takich, które trzymają się przynajmniej przez dziesięć miesięcy.

— *A jak pan spogląda na te najtrudniejsze lata, gdy stawiał pan pierwsze kroki jako pisarz, w cieniu niemieckiego i sowieckiego totalitaryzmu? Czy to był czas zmarnowany?*

— To były lata mojego wypierzania się. Można byłoby postawić akademickie pytanie, co by się stało, gdyby mi Gebethner wydał w 1948 roku *Szpital Przemienienia* i gdybym nie musiał pisać następnych dwóch tomów *Czasu nieutraconego*, a także gdybym spokojnie sobie pisywał

w „Tygodniku”. Wydaje mi się, że i tak sterowałbym w stronę tego gatunku, który uprawiam.

Poeta był ze mnie żaden. Pisywałem przez długi czas bardzo niedobre rzeczy. Przecież jeszcze w okresie lwowskim popełniłem *Człowieka z Marsa,* i pisałem go dla siebie. Czyli była jakaś sprężynka, która kazała mi się rozwijać właśnie w tę stronę.

W jakim stopniu są to lata stracone? Po pierwsze, przyszedł Hitler, który mi ukradł pięć lat, kilka następnych zrabowali mi Stalin z Bierutem; i chociaż mój rozwój był dość powolny, niezbyt korzystnie się to na siebie nałożyło. Z drugiej jednak strony suma doświadczeń uzyskanych dzięki zbędnym na pozór studiom lekarskim, koszmarne doświadczenia okupacyjne, a wreszcie i czasy stalinowskie stały się dla mnie jednak czymś paradoksalnie cennym. To jest zaplecze, zasób życiowego doświadczenia, które nigdy nie idzie na marne. W ogóle nie wiem, czy jest jakiś typ życiowych doświadczeń, o których można byłoby powiedzieć, że są na nic. One się zawsze w jakiś sposób przydają. Może dlatego, że kształtują strukturę osobowości…? Nie wiem, można by tu stawiać rozmaite hipotezy. W każdym razie nie jest to czas utracony, czyli tak właśnie, jak się nazywa ta moja nieszczęsna książka.

— Pan powiedział: „i tak sterowałbym w stronę tego gatunku” — czyli w kierunku fantastyki. Oznacza to, że uważa pan, iż jest coś takiego jak przeznaczenie pisarskie.

— Na ten temat urobiłem sobie taką oto teorię. W biologii istnieją dwie koncepcje na temat dziedziczenia: pierwsza, preformistyczna, która z wieku dziewiętnastego przeszła w dwudziesty, i druga, epigenetyczna. Preformiści twierdzili, że w zapłodnionym jaju człowieczym znajduje się mały ludzik, a w żabim — mała żabka itp. Twierdzili nawet, że to jest do tego stopnia preformowane, że w gonadach takiego człowieczka lub żabki znajdują się już następne

osobniki, i tak w nieskończoność. Wszystko potem polega już wyłącznie na rozwijaniu się.

Kiedy byłem małym chłopcem, pamiętam, że brało się fasolę jasiek, kładło się ją na mokrej gazie i przyglądało się procesowi kiełkowania. Rozrywając kiełek i patrząc na niego przez szkło powiększające, można było zobaczyć jeszcze bielusieńkie listeczki i całą, gotową już fasolę. Wszystko tam już tylko czekało na rozrośnięcie się. Epigenetycy natomiast mówili, że wcale tak nie jest, że tam nic nie ma poza niepojętymi mocami, które powodują ontogenezę. Ongiś dychotomia ta wydawała się ścisła i nieuchronna. Dzisiaj wiemy, że nikt z nich nie miał racji, bo wyszło na trzecie. Odwołania tego używam tu w celu przedstawienia mojej koncepcji rozwoju drogi pisarskiej.

Zawsze na przykład wydawało mi się, że typowym płodem preformistycznym jest Gombrowicz. W *Bakakaju* są zawarte wszystkie jego późniejsze książki. To samo można chyba powiedzieć również o *Ferdydurke.* Są to przecież pozycje na najwyższym Gombrowiczowskim poziomie. Można się co najwyżej spierać, czy *Kosmos* dociąga do tego poziomu. Jeśli pan zajrzy do jego *Variów*, czyli recenzji, które popełnił jeszcze przed wojną w „Kurierze Porannym” i innych pismach, odnajdzie pan tak oszałamiające błyski i siłę intelektualnej penetracji, że dochodzimy do wniosku, iż jest to ten sam głos, który słyszymy z *Dzienników.* Więc Gombrowicz jest dla mnie jak monada Leibniza — jakby był właśnie preformowany. Są natomiast pisarze, u których nic nie jest preformowane i wszystko się dopiero staje jakby na drodze epigenezy.

— *A do jakiej grupy pan sam siebie zalicza?*

— Do tej samej, co Gombrowicza, z tym jednak, że u mnie wszystko było jakby bardziej losowe. On był już „gotowy” i tylko się przez procesowe „okienka” przedostał, natomiast to wszystko, co ja robiłem, na początku było złe i niewydarzone. Cechowały mnie liczne znamiona charakterystyczne dla grafomana. Horrorem jest przecież,

że niedokształcony facet wymyśla własną teorię ewolucji, powstania kosmosu itd. A ja się wtedy właśnie tym zajmowałem. To być może łatwo i dobrze się czyta, ale jednak dziś mnie mierzi i nudzi. Więc jak kolosalne zmiany musiały we mnie zajść! Niewątpliwie z czasem pisałem coraz lepiej.

— *Czy z tego mam wnioskować, iż pański rozwój umysłowy oraz pisarski nie podlegał skokowym przemianom, że wcześniejsze przekonania nie obracały się w gruzy?*

— Przemiany? Przeżywałem, naturalnie! Ale dotyczyło to przede wszystkim moich poglądów natury socjalno-politycznej. To wyraźnie odbija się we wspomnianych już tutaj utworach. Jest jeszcze inna rzecz: książki się pisze dlatego, że może się pisać, że ma się łatwość pisania — większość pisarzy to nie są ludzie, którzy rozkrwawiają się nad jednym słowem. Początkowo miałem niezwykłą łatwość pisania. Ta obrotność i łatwość sprawiały, że wszystko było bardzo powierzchowne i po łebkach, że szukałem wzorów w głupi i prymitywny sposób, że moimi patronami stylistycznymi i literackimi były bardzo odległe duchy… Choćby Rilke i Saint-Exupéry…

— *To nie są chyba złe nazwiska czy złe autorytety?*

— Gdyby Courths-Mahlerowa pisała zapatrzona w Rilkego, to wyszłyby z tego straszne zakalce! W sztuce nie wszystko się daje ożenić ze wszystkim. Więc tego rodzaju skokowe przełomy przeżywałem, podobnie jak mody. Przecież one występują nie tylko w humanistyce, ale również w przyrodoznawstwie — z tym, że tam mają inny charakter, bo przesuwają się punkty ciężkości i znika entuzjazm co do możliwości danego kierunku. Na przykład cybernetyka! Przecież istniała głęboka wiara, że ona da nam do ręki klucze, które otworzą wszystko, co możliwe i niemożliwe. Cybernetyka oczywiście już gaśnie, ale okazuje się, że stała się matką teorii informacji, teorii decyzji, teorii programowania liniowego i nieliniowego,

cyfroniki i dziesiątków nowych dyscyplin. A jeśli w dodatku jest to wspierane rozwojem technologicznym — w tym wypadku kolejnymi generacjami komputerów?! Więc to jest inaczej niż w humanistyce, gdzie pewna rzecz urasta niemalże od zera, a potem do tego zera z powrotem spada, tylko specjaliści o tym nie mówią, tak jak nie mówi się w domu powieszonego o stryczku. To jest punkt oparcia dla mojej stabilności — to, że byłem wiernym adeptem szeroko rozumianego przyrodoznawstwa.

— *Domyślam się, że medyczne wykształcenie musiało mieć w tym znaczny udział.*

— W latach, gdy byłem młody, stanowiło ono dla mnie bilet wstępu do wszystkich nauk biologicznych, które zadecydowały o kształcie mojego światopoglądu i o głównym kierunku rozwoju umysłowego. Moja ontologia i światopogląd są z tym bardzo silnie związane, bo przecież głównym obiektem swoich pasji, studiów, zdumień i przerażeń uczyniłem ewolucję, której jesteśmy niechcianymi dziećmi. Jestem przekonany, że to są właśnie drzwi, przez które wchodziłem w swój prawdziwy świat. To jest też konsekwencja — nie tylko literacka — całego kształtu mojego myślenia.

Muszę jeszcze dodać, że znacznie mnie w tym rozzuchwalała generalna zbieżność rezultatów badań naukowych z różnymi moimi intuicjami. To po prostu ośmielało. Ongiś naśmiewał się ze mnie Kołakowski, kiedy recenzował moją *Summę,* że to są po prostu bajeczki. Linia graniczna pomiędzy fantazją a naukową realnością znacznie się od czasu opublikowania tej książki przesunęła. Wiele z rzeczy, które wtedy były chciejstwem Lema, dziś jest już faktami. Stąd tak ważne stało się dla mnie sympozjum na Freie Universität w Berlinie Zachodnim, gdzie wiele z moich przekonań okazało się zgodnymi z poglądami kompetentnych fachowców, jak również i to, że jeśli niektóre moje hipotezy były przez nich nie do zaakceptowania, to jednak traktowane były z taką

uwagą, jakby wygłaszał je fachowiec. Było to bardzo przyjemne. Bo muszę powiedzieć, z ubolewaniem zresztą, że znacznie gorzej od literatów i krytyków traktowała mnie zawsze nauka polska (z wyjątkiem gromadki filozofów, która została rozproszona po roku 1968). Nigdy nic dobrego od głów reprezentujących naukę polską nie usłyszałem. Wyjątki były tak rzadkie, iż mogę powiedzieć, że potwierdzają regułę.

— Przed wielu laty, kiedy otrzymał pan nagrodę „Odry", pisałem w tekście laudacji: „Pisarz ten, na kształt intelektualnego buldożera, ryje z zadziwiającą łatwością i erudycyjną swobodą wszelkie możliwe tereny poznania. Przestał już kogokolwiek dziwić fakt, że Lem wypowiada się (często w zamkniętym gronie specjalistów) na tematy historyczno- i teoretycznoliterackie, językoznawcze, filozoficzne, psychologiczne, astronomiczne, ekonomiczne, matematyczno-fizyczne czy medyczne; że pisze o cybernetyce, teorii gier, logice, statystyce, genetyce i kontaktach międzygalaktycznych; że zajmuje się estetyką, historią, teorią kultury, futurologią, socjologią, informatyką, chemią i krystalografią, obyczajowością erotyczną i osteologią, biologią i zachowaniem się polarników, technologią i polityką, metafizyką i teologią, psychotroniką i polityką, okultyzmem i komputeryzacją, i wreszcie Bóg jeden wie czym jeszcze". Zastanawiam się dziś, na ile się wtedy zapędziłem?

— Komplementujące to i miłe, ale tak dobrze nie jest. Zapewne posiadam dość dobrą orientację generalną, ale specjalistą nie jestem na żadnym terenie. Można znać się bardzo dobrze na jednej, może dwóch dyscyplinach, ale nie na wszystkich. Poświęcając się jakiejś dziedzinie, należałoby zrezygnować z całej masy innych. Nie mogę się systematycznie wdrążyć w jedną specjalność, gdyż muszę znać się na wielu rzeczach z różnych frontów. Jestem przy tym bardzo niesystematyczny, co obnaża na przykład mój syn, zadając mi pytania z historii literatury. Co ja mu mogę

powiedzieć na przykład o Szymonowicu? Wiem, że był taki, napisał *Żeńców,* ale co więcej? To jest trochę tak, jak z Einsteinem, którego zapytano o szybkość rozchodzenia się dźwięku w powietrzu czy w wodzie. Odpowiedział, że nie wie, ale wie, do której książki należy zajrzeć.

Powiedziałbym więc, iż moje rudymentarne wiadomości nie są chaotycznie rozsypanymi szczątkami, ale raczej szkieletowymi systemami dziurawych dróg, które mogę według woli zapełnić. To znaczy, że mógłbym się dość łatwo dokształcić w tych dziedzinach, których bym potrzebował. Jest to dla mnie tym łatwiejsze, że mam od Pana Boga taki dar, który pozwala mi się zorientować po paru stronach książki fachowca z danej branży, jaką klasę umysłową reprezentuje. Obecnie żyje wszak dziewięćdziesiąt procent ogólnej liczby uczonych, jacy się kiedykolwiek pojawili na świecie. Z uwagi na to, proporcjonalny przyrost powszechnej głupoty i niekompetencji jest bardzo gwałtowny i odnalezienie dziś wśród potopu i Himalajów książek dzieł umysłów pierwszorzędnych jest znacznie trudniejsze niż dawniej. Pomijam tu tę drobnostkę, że zawsze miałem trudności z dostępem do interesującej mnie literatury, a zatem skazany byłem nieustannie na dużą przypadkowość w uzyskiwaniu informacji.

— *Ciągle nie odpowiada pan na pytanie, w jakich dziedzinach nauki czuje się pan kompetentny.*

— Mam nie najgorsze informacje z dziedziny biologii, włączając w to medycynę, ale są to wiadomości dość ogólne, bo gdyby mnie pan zaczął odpytywać na przykład z systematyki zoologicznej, to „rozłożyłbym się” na taksonomii, bo nie pamiętam wszystkich wiciowców i kręgowców. W ogólnych konturach jednak wiem wszystko jak należy. Dość dobrze orientuję się w ewolucji naturalnej, sporo wiem o kodzie genetycznym, chemii organicznej i nieorganicznej, a także biochemii. Dużo wiem o fizyce, choć muszę podkreślić, że wziąłem z nią rozbrat od czasu, gdy jej koncepcje zaczęły się uhermetyczniać i mnożyć oraz

odkąd nastąpiła jawna reakcja fizyków na „nieludzkość materii”, bo zrozumieli w końcu, że o żadnych naocznościach nie można mówić, że żadnych modeli mechanicznych nie da się budować, a nomenklatura stała się jawnie umowna. A więc nie ma już, proszę pana, żadnej „cząstki-kuleczki”, ale są kwarki „kolorowe” i kwarki „zaczarowane”. Samo to pojęcie zostało zaczerpnięte notabene z *Finnegans Wake* Joyce’a (od ptasiego krzyku: kwark, kwark). To jest naturalnie rozmyślne, bo fizycy wiedzą doskonale, że tym jakościom nic w obrębie naszego sensorium i w naszej percepcji nie odpowiada. Niektórzy zresztą uważają, że źle się stało, iż mówiło się kiedyś „cząsteczka” czy „fala”, bo z tym kojarzą się pewne schematy percepcyjne, które zbijają nas z tropu, bo to przecież żadna fala, ani tym bardziej cząsteczka. Nie ma nad czym biadać — to się już stało i jest nieodwracalne. Kiedy więc nastąpił ten generalny przełom, ja również zrezygnowałem z pedantycznej systematyczności. Również matematyka, o której mam pewne pojęcie, z czasem stała się dla mnie niedostępna, gdyż proliferacja teorii i uszczegółowień stała się tak wielka, że gdybym chciał za nimi nadążać, musiałaby mnie „zniszczyć”. Niemniej ciągle jeszcze staram się „załapywać” i wiedzieć, co się w fizyce i matematyce dzieje, aby nie stracić kontaktu z najnowszymi osiągnięciami i nie być zbitym z pantałyku jakimś nagłym i niespodziewanym obrotem sprawy.

Dosyć dużo czytałem z dziedziny kosmologii, astrofizyki, astronomii i planetologii. Jeśli chodzi o inne dyscypliny, to mam niezłą orientację w cybernetyce, teorii informacji, logice, teorii decyzji oraz pośród rozlicznych naukowych „dzieci” cybernetyki. Ale w ostatnich latach przestałem się w tym systematycznie dokształcać. Interesuję się bardzo filozofią, ale tego, że jest jakiś Feyerabend, Lacan czy Derrida, a zatem dadaistyczny anarchizm w teorii poznania, dowiadywać się muszę dzięki kompetentnym znajomym, którzy podeślą mi czasem jakieś książki. To samo dotyczy

innych dyscyplin, jak na przykład psychiatrii, gdzie zaszła wielka rewolta, podobna do ruchu sejsmicznego.

Zorientowany jestem przyzwoicie w teorii literatury, ale poznawanie jej było takie jak strukturalizmu, kiedy miałem pisać *Filozofię przypadku* — obkuwałem się mniej więcej przez rok. Dziś nie pamiętam nawet dziesiątej części tych mądrości, którymi wówczas napchałem sobie głowę. Na szczęście mam miłą zdolność zapominania, bo gdybym raz na zawsze zapchał ją sobie tymi wiadomościami, tobym ją zupełnie zakorkował i nie mógłbym tam nowych, ważniejszych rzeczy wprowadzić. Korzystna i konieczna wybiórczość mojej materii mózgowej polega na tym, że rzeczy, które uważam za ważne, zapamiętuję łatwiej niż te, które muszę poznać doraźnie. To jest zupełnie tak jak ze studentem, który niczym żongler układa sobie na głowie całą piramidę różności i ma ją donieść tylko do końca areny, którą w tym wypadku jest stół egzaminacyjny. Potem może się to wszystko przewrócić i rozsypać. Tak samo jest ze mną — aby tylko donieść do książki, w niej wykorzystać, a potem porzucić, a już szczególnie to wszystko, co wydaje mi się w fundamentach wątpliwe jak cały strukturalizm literaturoznawczy.

— *To jakiego typu książki sprawiają panu największą przyjemność? Naukowe?*

— Bardzo wiele lektur sprawia mi przyjemność. Lubię sobie poczytać coś z etnologii, o teorii „czarnych dziur” w astrofizyce; lubię filozofów takich jak Popper czy Russell. Niemniej zawsze dbam o utrzymanie w miarę całościowego obrazu świata. Zieją w nim naturalnie ogromne luki, bo nie orientuję się na przykład w myśli średniowiecznej, gubię się w filozofii Dalekiego Wschodu, w religioznawstwie dziobnąłem tylko tu i tam, podobnie jak w antropologii, bo na przykład w rasach i tym podobnych rzeczach niezbyt dobrze się orientuję. Gdybym więc miał wyliczyć dziedziny, w których się nie poruszam swobodnie, zaczynając od immunologii, a kończąc na dendrologii, mógłbym

wyliczać aż do wieczora. A przecież są jeszcze dziedziny, o których nie wiem nawet, że istnieją. Ale też powtarzam: ta fragmentaryczna wiedza nie jest w mojej głowie jakimś totalnym bagniskiem, w którym wszystko ze sobą się gmatwa, gdyż oparta jest na mocnych podstawach rzetelnej wiedzy ogólnej, którą mogę sektorowo, w miarę potrzeb, uzupełniać.

W pajęczej sieci

— Po 1956 roku w pana życiu nastąpił okres stabilizacji życiowej oraz zawodowej, a niespokojny dotąd nurt życia odmierzany był już książkami. Dlatego też proponuję, abyśmy porozmawiali właśnie o pana książkach: o tym jak powstawały, jak je odbierano i co pan sądzi o nich dziś.

— Obawiam się, że nieco pana zmartwię, gdyż bardzo niewiele potrafię dziś powiedzieć o historii powstawania moich utworów. Wydaje mi się bowiem, że każda książka zaciera historię swojego powstawania. Realizacja jakby nakłada się na proces krystalizacji utworu. Nie zawsze wygląda to tak, że książka koduje się w pamięci jako swoista rzeka o wielu dopływach, które przejawiają tendencje dośrodkowe. Ilekroć wchodziłem w jakieś boczne koleiny, by je potem odtrącić, wówczas wszystko ulegało dokładnemu wymazaniu, co było spowodowane tym, że częstokroć niszczyłem wszystko, co posiadałem w maszynopisie. Gdybym mógł zobaczyć te bruliony, zapewne sam bym się zdziwił, jak dalece kształt ostateczny książki różnił się od tego, co ją poprzedziło. Jest bowiem tak — o czym już wspomniałem — że pracowałem metodą prób i błędów.

Powiem na przykład, że ostatni rozdział *Solaris* napisałem po rocznej przerwie. Książkę zmuszony byłem

odłożyć, gdyż sam nie wiedziałem, co zrobić ze swoim bohaterem. Dzisiaj nie potrafię nawet odnaleźć tego „szwu” — miejsca, w którym została „sklejona”. Mało tego, nie wiem nawet, dlaczego nie potrafiłem jej przez tak długi czas skończyć. Pamiętam tylko, że pierwszą część pisałem jednym zrywem, potoczyście i szybko, a drugą dokończyłem po długim czasie w jakimś szczęśliwym dniu czy miesiącu.

Większość książek napisałem metodą, którą pająk tka sieć. Jeśli pan takiego pająka sekcjonuje dowolnym sposobem, to nawet pod mikroskopem elektronowym nie wyekstrahuje pan z jego ganglionów żadnego planu sieci. W gruczołach też nie odnajdzie pan żadnych sieci, lecz płyn, który krzepnie na powietrzu. Pająk posiada całą baterię tych gruczołów (około czterdziestu), z których wytryskuje ciecz i formuje ją potem przy pomocy tylnych nóg w wałeczek. Podobnie jest ze mną. Nie jest bowiem tak, że mam w głowie gotowy zarys całości, a potem, drżąc z obawy, aby go nie zapomnieć, zapisuję jak najszybciej. Po prostu pisałem, a „to” się działo.

Kiedy wprowadziłem Kelvina na stację solaryjską i kazałem mu zobaczyć przestraszonego i pijanego Snauta, sam jeszcze nie wiedziałem, co go przerażało, nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego Snaut zląkł się zwyczajnego przybysza. W tym momencie nie wiedziałem, ale wkrótce się miałem dowiedzieć, bo przecież pisałem dalej.

Ten efekt zaskoczenia samego piszącego nie ma jednak nic wspólnego z jakością utworu. Spontaniczność jej nie gwarantuje. W utworze, którego nie lubię — *Powrocie z gwiazd* — sprawa betryzacji też pojawiła się nagle i zaskoczyła mnie samego. Wiedziałem tylko jedno: tu musi nastąpić jakiś rozziew, nieporozumienie, bo nie może być tak, że ktoś wraca po stu trzydziestu latach na Ziemię, a rozmowa toczy się płynnie i pojęcia są wspólne. Wiedziałem, że zaraz nastąpić musi konflikt, który rzeczywiście ze mnie „wyskoczył”. Znacznie częściej jednak zdarzało się, że w podobnych sytuacjach narracyjnych nie

potrafiłem odnaleźć właściwego rozwiązania i książka lub jej fragment umierały śmiercią naturalną. A skoro taka część została pokryta nową, udaną częścią wywodu narracyjnego, tamta odrzucona nie pozostawała nawet jako świecący punkcik na dnie pamięci.

— *Proszę w takim razie powiedzieć, które z własnych utworów stawia pan najniżej i z jakiego powodu?*

— Najniżej cenię sobie wczesne utwory. Przede wszystkim dotyczy to *Sezamu*, w którym kilka opowiadań jest okropnie niedobrych i dziś spoglądam na nie jak na naiwne agitki. Jest tam co prawda też kilka opowiadań popularnonaukowych, które udają beletrystykę, ale w rzeczywistości wcale nią nie są. To jest kiks, nawet w kategoriach genologicznych.

Obok sytuuję *Astronautów*. Jakież to wszystko gładkie, wyważone w proporcjach, bo występuje tam i słodki Rosjanin, i cukrowy Chińczyk — zupełna naiwność przeziera z kart tej książki. Jakaż to dziecinada, że w roku dwutysięcznym będzie taki piękny i wspaniały świat… Kiedy pisałem tę książkę, byłem jeszcze bardzo młodym człowiekiem i przypominałem chyba trochę gąbkę wsysającą podsuwane postulaty. Nic innego tam nie robiłem, tylko upozytywniałem i upozytywniałem świat. W pewnym sensie samego siebie nabrałem, bo przecież pisałem tę książkę z jak najzacniejszych pozycji. Dziś wywołuje we mnie tylko niesmak.

Na tym samym poziomie znajduje się *Obłok Magellana*, szczególnie ze względu na swoją warstwę językową. Pamiętam, że w czasie pisania tej książki chodziłem z zeszytem, w którym notowałem z obawy przed zapomnieniem kwiecie stylistyczne, które właśnie wymyśliłem. Byłem wtedy pod znacznym wpływem Rilkego, więc moja stylistyka była jakby dziesiątą wodą po tym poecie. Nałożona na przesłodzoną fabułę, dawała ekstrakt socrealistycznego czasu. Są co prawda ludzie, którzy mówią, że nie można tak zżymać się na tę książkę, bo to

jest utopia baśniowa, że w mojej niechęci do tej pozycji sporą rolę odgrywają urazy… Nie wiem, może?

— *Skoro tak bardzo nie akceptuje pan tych utworów, to czy nie było wskazane zatrzymanie wznowień i przekładów?*

— *Sezam* miał bodaj tylko czeski przekład. *Astronautów* drukowano wszędzie, bo prawa otrzymało wydawnictwo Volk und Welt Verlag z NRD. To samo z *Obłokiem Magellana*, z tym że już teraz zgody na obcojęzyczne wydania dawać nie muszę, więc jej nie daję.

— *Czy to już koniec pańskiej listy proskrypcyjnej?*

— Jest tego więcej. Na przykład w *Dziennikach gwiazdowych* rażą mnie niektóre najstarsze fragmenty. A *Wejście na orbitę* postarzało się jako zbiór ulotnych felietonów.

— *Muszę zatem przypomnieć panu, że książką, nad którą w „Fantastyce i futurologii" znęcał się pan najbardziej, był „Powrót z gwiazd" Stanisława Lema.*

— Rzeczywiście tak było. Razi mnie sentymentalizm tej książki, krzepa bohaterów, papierowość bohaterki. Coś mi tam zalatuje Remarkiem z jego *Trzech towarzyszy*. Jest w tym jakieś gówniarstwo. A mówiąc spokojniej — autorowi nie wolno robić bohaterom przyjemności dlatego, że im sprzyja. Romans w końcu mógł się skończyć jak w powieści, ale warunkiem koniecznym byłaby osobowość tej ukochanej narratora, a w istocie jest ona pustym miejscem. Co prawda sam problem betryzacji uważam nadal za sensowny, ale jego realizację zbytnio uprościłem. Ten świat jest zbyt płaski, jednowymiarowy. Mój niezdecydowany stosunek do tej książki najlepiej widać po tym, że jednak pozwalałem ją tłumaczyć.

Przy okazji muszę powiedzieć, że książką, o której nie mogę powiedzieć, że jej nie lubię, ale jednak nie za bardzo cenię, jest cykl *Opowieści o pilocie Pirxie*. Z wyjątkiem dwóch, trzech opowiadań jest to zbiór niezbyt szczęśliwy. Pierwszą przyczyną tej słabości jest jego wtórność wobec *Bildungsroman*, czyli powieści o dojrzewaniu i procesie

kształcenia, która musi mieć epicki oddech i szerokie tło historyczno-socjalne, podczas kiedy opowiastki o dzielnym Pirxie posiadają zawężoną perspektywę, on zaś pojawia się w izolacji, bez rodziny i bliskich. Wynika to stąd, że zamierzałem napisać jedno, najwyżej dwa opowiadania, a tymczasem rzecz niespodziewanie dla mnie samego nagle się rozrosła. Nie było więc już możliwości poszerzenia wspomnianego tła, bo skąd nagle na głowę Pirxa miałaby spaść rodzina. To, co jest naturalne w opowiadaniu, w cyklu musi już zdradzać pewną nienaturalność. Właściwie tylko dwa fragmenty mi się do dzisiaj podobają: *Ananke* i *Terminus.*

— *Dlaczego akurat tych dwu opowiadań jest pan skłonny bronić?*

— *Ananke* stwarza pewien dziwaczny problem, który podług moich najlepszych wiadomości po raz pierwszy, właśnie w tym opowiadaniu, pojawił się w literaturze światowej. Chodzi o nieporozumienie, które może wystąpić na styku człowiek–komputer i w efekcie doprowadzić do niesamowitych konsekwencji. Mój afekt do *Terminusa* bierze się może stąd, że stanowi on dziwaczną transpozycję pierwiastków, które zostały zaczerpnięte z Grabińskiego, bo przecież choć w tym opowiadaniu nie ma duchów, to jednak są.

Dziś sprawia mi przyjemność, że są ludzie, którzy unoszą się nad tymi tekstami. Możliwe, że one są dobre na tle science fiction, ale tak gwoli prawdzie to jest literatura średniego lotu.

— *Gdzie pan zatem usytuuje takie utwory jak „Eden” czy „Niezwyciężonego”?*

— *Eden* jest mi dzisiaj obojętny. Może być — taki sobie. Pisarsko to chyba niewypał, gdyż skażony jest schematyzmem bohaterów i płaskim widzeniem świata, choć jest to powieść, którą się „czyta”. Jest to drugorzędna literatura, która w porównaniu z typową science fiction jest może nawet dobra, ale nie można przecież ustawić

człowieka o normalnym wzroście wśród garbatych i twierdzić, że to właśnie Apollo.

Jeśli zaś chodzi o *Niezwyciężonego*, to powiem, że jest to zupełnie przyzwoicie wykonana „maszynka” narracyjna, osnuta na niefikcyjnym problemie. Zwłaszcza ostatni rozdział, gdzie Rohan pojawia się wśród martwoty, spełnia wszystkie kanony wiarygodności i realizmu. Tyle bym powiedział. W porównaniu z *Solaris* to proza nieco skromniejsza, bo nie ma tej samej lotności.

— Skoro wyznaczyliśmy już niższy pułap pańskich ofert literackich, to proszę teraz nakreślić linię, nad którą umieści pan utwory pańskim zdaniem najbardziej wartościowe.

— Za dobry utwór uważam *Cyberiadę.* Są w niej oczywiście rzeczy słabsze i lepsze, ale takie spękania są nieuchronne. Przyzwoitą książką jest *Solaris.* Zupełnie niezłą rzeczą wydaje mi się *Głos Pana.* Podobnie akceptuję nieliczne opowiadania, takie jak na przykład *Maska.* Z tomików *Wielkość urojona* i *Doskonała próżnia* nie wszystko dziś jednakowo akceptuję, ale w sumie jest to dość strawne, a szczególnie obie partie końcowe: *Nowa Kosmogonia* i *Golem.* Jako osobna książeczka bardzo mnie kontentuje *Golem XIV* i nawet przyznam się panu, że chętnie porozmawiałbym o niej osobno, by nie rozmywać jej w tym pospiesznym wyliczeniu. Proszę jednak pamiętać, że moja typologia jest bardzo subiektywna i określa mój osobisty, a zatem nie zawsze sprawiedliwy osąd własnej twórczości.

— Przyjrzyjmy się może tym książkom, których pan nie wymienił ani wśród wyżyn, ani wśród nizin swojego dorobku. Zacząłbym od „Dialogów”. Jak spogląda pan dzisiaj na tę książkę?

— W tym utworze jest niezwykle dużo dziwnych proroctw, szczególnie w tych fragmentach rozważań, które dotyczą zapaści systemu centralistycznego, tak że gdy dziś czyta się tę książkę, odnosi się często wrażenie, że została

napisana dwa tygodnie temu. Niedawno ktoś z telewizji chciał ze mną do niej rozmawiać, więc ją przekartkowałem i sam się zdumiałem, jak wiele z tego, co napisałem, uzyskało potwierdzenie. Oczywiście cała warstwa teoretyczna dotycząca cybernetyki jest już w wielu miejscach anachroniczna, ale jej rdzeń pozostał nietknięty. Niektóre rzeczy są tam bardzo trafnie przepowiedziane, na przykład nadciągająca fala bezrobocia, wywołanego masową automatyzacją produkcji. Dziś jest to w początkowej fazie, ale za czterdzieści lat będzie już w pełnym biegu.

Ten paradoks filozoficzny ze wstępnej części o maszynie do odtwarzania atomów też ostał się w całości i nie poddał się erozji czasu. Za wcześnie chyba tę książkę napisałem, więc wszystko wydawało się jakby problemem z księżyca, a całość pozostała bez rezonansu jak kamień w błoto rzucony.

— *A co pan sądzi o warstwie literackiej tej książki? Wacław Sadkowski w jednej z recenzji pisał o jej nieudacznictwie warsztatowym, mówił o „mentorskim ględzeniu Filonousa” i „nieadekwatności przywołanego wzorca” — chodzi tu bez wątpienia o „Dialogi” Berkeleya.*

— Nie wiem, jak mam rozumieć tę nieadekwatność. Po pierwsze, trzeba powiedzieć, co trafnie wykazał Bertrand Russell, że wywód Berkeleya nie jest uczciwie przeprowadzony, gdyż Filonous zupełnie przytłoczył Hylasa i nie pozwolił mu wytoczyć żadnych zasadnych argumentów przeciwko zasadzie *esse est percipi.* Jednym słowem, zwycięstwo zostało dane jednemu z dyskutantów „przedustawnie”. Biskup z góry wiedział, komu przydzieli palmę pierwszeństwa. W tym kontekście zarzut o nieadekwatność wobec wzorca jest bez sensu, bo u Mistrza jest też niedobrze.

Mimo to nie jest to żaden argument na moją korzyść, bo każda książka powinna stać na własnych nogach, a przywołanie Filonousa i Hylasa jest oczywiście żartem,

co widać najwyraźniej po pierwszym dialogu, który jest tak uarchaizowany, aby „pachniało” agorą i starożytną Grecją. Natomiast w jakim sensie ma ona być literacko nieudana? Nie bardzo rozumiem, bo to jest zupełnie tak, jakby ktoś powiedział: ten omlet nie spełnia warunków befsztyka. Nie spełnia, bo to nie miała być literatura piękna.

A poza tym, czy można powiedzieć, aby *Dialogi* Berkeleya były literacko udane? Jako literatura jest to w ogóle niepociągające. Dzisiaj nikt nie jest w stanie przebrnąć przez całego Berkeleya. Koszmarne nudy.

Zasadnie natomiast można powiedzieć, że *Dialogi* charakteryzują się przerostem nadziei i wiary w cybernetykę. Jeśli jednak chodzi o modele socjologiczne, to byli tacy, którzy mówili, że jest to najsumienniejsza i rzeczowa, z użyciem w miarę precyzyjnych pojęć, analiza ustrojów różnego typu.

Książka składa się z trzech części. Pierwsza mówi o paradoksie wskrzeszenia, któremu nie można, nawet w planie literackim, nic zarzucić. Uważam, że to jest zupełnie nieźle napisane.

W części drugiej odnajdujemy uniwersalne lekarstwo na wszystkie cierpienia filozofii zapisane przez doktora Filonousa w postaci cybernetyki. Rzeczywiście ona jest tam podana w uproszczeniach, ale proszę pamiętać, że pisałem to we wczesnych latach pięćdziesiątych, więc moje poglądy odzwierciedlają ówczesny poziom świadomości cybernetycznej.

Część trzecia jest już moim prywatnym dodatkiem i wykorzystuje aparaturę pojęciową dla rozprawy z rozmaitymi rodzajami systemowego zła. Tylko tyle można powiedzieć o tej książce. Gdyby była zupełnie nieaktualna, zapewne moi wydawcy nie wznawialiby jej po dwudziestu pięciu latach. Po niemiecku wyszła dwa razy przed trzema laty.

— Bardzo ciekawą gatunkowo książką było „Śledztwo”, wykorzystujące konwencję powieści kryminalnej, a potem

łamiące ją w finale. Skoro po wielu latach powrócił pan do tej sprawy w „Katarze”, oznacza to, że pierwsze rozwiązanie uznał pan za nieudane, ale na tyle ciekawe, że warto ten sam pomysł jeszcze raz zorkiestrować literacko.

— Pierwsza wersja mnie nie kontentuje, chociaż jest całkiem przyzwoicie napisana i stwarza spore napięcie. Po prostu zakończenie jest złamaniem wzorca gatunkowego i wdrapaniem się na wysokiego konia, gdyż dorobiona jest tam relatywizująca filozofijka, pokazująca, że mogło być tak, ale mogło też być inaczej. *Katar* jest lepszy, bo wiarygodny. Sam jestem mu gotów dać wiarę. Nawet w kategoriach naturalizmu i wiarygodności naiwnej jest to lepiej zrobione. A moje przywiązanie do tego pomysłu bierze się po prostu stąd, że zawsze miałem maniakalny stosunek do tego, co potrafi zdziałać przypadek, koincydencja, ślepy traf czy los.

— Bardzo ciekawą propozycją wydawał mi się zawsze „Pamiętnik znaleziony w wannie”. Jak spogląda pan dzisiaj na tę pozycję?

— Jestem dobrego zdania o tej książce, aczkolwiek dość dawno do niej nie zaglądałem. Tak się złożyło, że została dość szybko przełożona na języki obce i po pierwszych autoryzacjach nie miałem już okazji do niej powrócić, bo kiedy pojawiają się tłumaczenia greckie, hebrajskie czy japońskie, nie mam przy nich nic do roboty.

W tej książce jest zawarta koncepcja, która wykracza poza wszelkie doraźności satyry politycznej. Spotykamy się w niej z totalizacją pojęcia intencjonalności. Zostało to przeprowadzone z dość wyraźną, może nawet upiorną konsekwencją, dającą zaskakujące efekty. Wydaje mi się, że jest to oryginalne i prawdziwe. Człowiek bowiem istotnie jest zdolny do potraktowania wszystkiego, co pojawia się w jego polu percepcji, jako komunikatu. Uczynienie z tego *principium* kompozycji powieściowej jest zupełnie niegłupim pomysłem, nawet w planie filozoficznym. Cały

totemizm i animizm oraz rozmaite inne zjawiska tej sfery wśród kultur pierwotnych zasadzają się na przeświadczeniu, że cały świat może być traktowany jako komunikat adresowany do jego mieszkańców. Fakt, iż może to być wykorzystane przez twórców pewnego systemu społecznego, a potem wykroczyć poza granice zamierzeń politycznych dyktatorów, jest dość symptomatyczny. Od tego momentu już wszystko zaczyna być wiadomością. Następuje absolutyzacja konspiracyjnej wizji dziejów, nawet deszcz staje się symptomem pozwalającym źle lub dobrze rokować o tym, co może nastąpić w sferze politycznej. To opanowuje odruchowość nieszczęsnych istot zmuszonych do życia w układzie zamkniętym. To mi się wydaje istotne w tej książce i jej obłęd — bo jest to wizja paranoiczna — jest zbudowany z dostatecznym nasileniem i konsekwencją. To jest w tej pozycji cenne i nieprzemijające. Nie dotyczy to bowiem — i w tym widziałbym swoją chlubę — jakiejś przelotnej i przemijającej konfiguracji zdarzeń natury socjopolitycznej, która się rozwiewa i znika. To daje się przenosić z miejsca na miejsce, z czasu w czas, i trafia, jako głęboko sięgająca formuła, w wiele różnych zjawisk w bardzo zróżnicowanych formacjach społecznych. W tej książce panuje ponadto szczęśliwe połączenie ponurej upiorności z humorem. Dzisiaj ta ponura humorystyka to dla mnie *genius temporis* i *signum temporis*. Wciąż jeszcze! Nic nie wskazuje na to, aby miało zmierzchać.

— Jeśli będziemy się trzymać chronologii, to obecnie w polu widzenia powinna nam się pojawić „Solaris”.

— Trudno mi dodawać jakiś komentarz do tej książki. Sądzę, że udało mi się w niej powiedzieć to, co zamierzałem. Ta pozycja wydaje mi się zupełnie przyzwoita. Mogę tylko dodać, że właśnie ona okazała się soczystym żerem dla krytyków. Czytałem jej omówienia tak uczone, że mało co z nich sam rozumiałem. Zaczynając oczywiście od wykładni czysto freudowskiej, przy czym ów

amerykański krytyk, anglista, dość paskudnie wpadł, bo wyławiał psychoanalitycznie pewne diagnozy z angielskiego tekstu, nie wiedząc o tym, że w polskim odmienna idiomatyka upoważnień do takiego diagnozowania nie daje.

Z recenzji *Solaris* można by sporządzić gruby tom, nader zabawny, ponieważ recenzenci ciągnęli *message* tej książki w różne strony. Pewien bardzo antykomunistycznie nastrojony Anglik uznał, że ocean — to ZSRR, a ludzie na stacji — to dookolne małe państwa. Zjawisko projekcji, rzutowania w tekst tego, co gra w duszy krytyka, demaskuje wysoką dowolność krytyki literackiej. To właśnie spostrzeżenie było jedną z przyczyn, dla których napisałem potem moją teorię dzieła literackiego — *Filozofię przypadku.* Może gdybym w niej cytował rozlatujący się po wszystkich filozofiach zbiór omówień *Solaris*, byłoby to dobrym ukonkretnieniem głównej tezy o losowości dziejów książek. Ale uznałem, że nie wypada mi zajmować się własną twórczością w takim teoretycznym tomie. Zresztą znam tylko takie recenzje, które napisano w dostępnych mi językach. Nie mam pojęcia, co pisali o mnie na przykład Japończycy albo Szwedzi. Ogólnie mówiąc, im bardziej utwór jest oryginalny, czyli odstrychnięty od wzorca gatunkowego, tym bardziej wielowykładalny, jak na przykład test Rorschacha. Ale oczywiście nie mogę siadać do maszyny z postanowieniem napisania „bardzo oryginalnego i przez to wielowymiarowego tekstu”. Kiedy przed paru laty usiadł tu mój amerykański tłumacz, Michael Kandel, i powiedział, że jestem pokrętny, wieloznaczny i perfidny, zrobiłem wielkie oczy: ja pokrętny i perfidny? Wszystko bierze się stąd, że ja sobie tego wszystkiego nie zamyślałem, lecz pisałem, jak potrafię. Ktoś by powiedział: „Jak długo słowik musiał chodzić do szkoły muzycznej, uczyć się kontrapunktów; może sam Penderecki go uczył?” Tymczasem skąd? Ćwierka tak, bo inaczej nie potrafi.

— Jeśli zaraz jeszcze pan powie, że najlepszym dowodem na tę prostoduszność są „Bajki robotów” i „Cyberiada”, to przymrużę oko.

— Ale do pewnego stopnia istotnie tak jest. *Bajki robotów* są przecież konsekwentnie utrzymane w tonacji baśniowej.

— W takim razie proszę powiedzieć, kto jest według pana wirtualnym odbiorcą tej książki?

— Ze skruchą oświadczam, że na temat wirtualnych odbiorców nie wiem nic. Na te problemy nie miałem nigdy czasu, gdyż zbyt wiele wysiłku pochłaniało mi zawsze wyartykułowanie tego, co miałem zamiar powiedzieć. Mogę tylko powiedzieć, że *Bajki robotów* były jedynie freblówką przed *Cyberiadą*. Widać to wyraźnie w chronologicznym porządku, gdyż najpierw stosowałem konwencjonalny schemat bajki, a potem zacząłem z nim robić coraz bardziej akrobatyczne sztuki. Ktoś mógłby powiedzieć, że najpierw chciałem tego konwencjonalnego odbiorcę przygotować, zanadto go nie zaskakiwać, by potem coraz bardziej go wciągać. Ale to nie było doprawdy moim zamiarem.

— Przyznaje więc pan, że o prawdziwym odbiorcy dziecięcym nigdy pan nie myślał w trakcie pisania „Bajek”?

— Przyznaję.

— A ja zrobiłem próbę: trzy bajki z tej serii przeczytałem siedmiolatkowi. Wysłuchał ich z uwagą i odnoszę wrażenie, że nawet był zaciekawiony.

— To interesujące. Kiedy mój syn miał osiem lat, napisałem dla niego bajkę, ale niestety po przeczytaniu w całości ją zdyskredytował. Po prostu mu się nie podobała. Natomiast bajki, które intencjonalnie nie były przeznaczone dla dzieci, czytał z wielką przyjemnością. Nie należę widocznie do pisarzy, którzy potrafią „wycelować” w czytelnika, a potem „pociągnąć za spust”, tylko muszę pisać to, co w danym okresie napisać potrafię. Sam jestem bez wątpienia bardzo dziecinny, zawsze lubiłem zabawki… Poza tym stosowane obiegowo kryteria genologiczne nic mnie jako czytelnika nigdy nie obchodziły. Interesowało

mnie jedynie, czy dana lektura zajmuje mnie, czy nie. Nie wiem na przykład, czy dzieci powinny czytać Kiplinga? Nie wiem, czy to je bawi, czy nudzi. Jako chłopiec jednak czytałem go z wielką przyjemnością. Odautorski punkt widzenia skierowany w stronę czytelnika nigdy nie wydawał mi się właściwy.

— Jakie wzorce starał się pan świadomie wpisać w „Bajki robotów”?

— A nie wie pan?

— Widzę tam modele baśni, Paska i Sienkiewicza, ale nie wiem, co jest efektem konstrukcyjnej premedytacji autora, a co wyszło „samo” w trakcie pracy.

— Aż do ostatnich lat moje pisanie nie było robotą świadomą, polegającą na premedytowanym krzyżowaniu konwencji. Nigdy nie czyniłem sobie założeń, że będę krzyżował nurt Sienkiewiczowsko-Paskowy z klasycznym kanonem bajki. To nie było tak. To są chyba tylko elementy stylu, które wykorzystywałem dlatego, że Sienkiewicz najtrafniej nawiązywał do tej tradycji polszczyzny, która należy do jej najświetniejszych kart. *Trylogia* zresztą to też nie jest Pasek, tylko Pasek przez Sienkiewicza „przepuszczony”. Może dlatego nawiązywałem do tego wzorca, bo zawsze wydawało mi się, iż jesteśmy już poza tym najwspanialszym okresem prozy. Ale to domniemanie, a nie żadna pewność.

Równocześnie jednak miałem świadomość, że inaczej jak ironicznie czy persyflażowo podejmować tego wzorca nie można, gdyż czyhałaby na mnie groźba popadnięcia w schyłkową wtórność. W *Cyberiadzie* śladów tej pracy jest zapewne znacznie więcej, lecz tam jest to trudniej rozpoznawalne, gdyż zbyt wiele naniosłem elementów innopochodnych. Połączenie stylu narracji *Trylogii* z elementami cybernetyki jest wielkim dziwactwem, ale zawsze mnie to bardzo pociągało.

— Wspomniał pan o płynności przejścia pomiędzy „Bajkami” a „Cyberiadą”. Czy mógłby pan wyjaśnić, jak

wyglądało to warsztatowo?

— Pisząc *Bajki robotów*, sporządzałem sobie jednocześnie notatki do następnej książki. A ponieważ robiłem to na własny użytek, więc używałem własnego, śmiesznego języka, pełnego niegramatycznych skrótów albo stenograficznych zapisków. Kiedy już się tego trochę nagromadziło i zacząłem ów materiał przeglądać pod kątem „wyprasowania" na bardziej potoczysty styl, wówczas zauważyłem, że staje się to jakieś „sztywne", „nakrochmalone" i niedobre. Natomiast to, co było „koślawe" i niewydarzone, prezentowało się znacznie lepiej. Pomyślałem wtedy, że właśnie tak należy całość napisać. Jeśli więc można coś było normalnie powiedzieć, to ja szedłem „obok" albo „na przełaj" języka. Kiedy trzeba było powiedzieć, że ktoś jest łajdakiem, to chcąc zachować osobliwość w warstwie językowej, pisałem, że jest on łajdatorskim plugawianinem. To nadało chyba *Cyberiadzie* jakąś jednolitość stylistyczną, która różni ją zasadniczo od *Bajek robotów*. *Bajki* więc stały się jakby rusztowaniem, po którym wdrapałem się na poziom, z którego mogłem już skoczyć w pisanie *Cyberiady*. Czyli była tu jakaś dwustopniowość. Różnice są jednak wyraźne, również i dlatego, że wymyśliłem postacie Trurla i Klapaucjusza, które okazały się bardzo płodne. To jest proces, który samemu trudno zrozumieć. Przypomina sok winny lub brukwiowy, który pozostawiło się do fermentacji. Fermentacja przez pewien czas trwa, wszystko się burzy, a potem ustaje. Następuje wyczerpanie, które jest autentyczne, bo reakcje wygasają. Jeśli się chce, można zapewne jeszcze jedną czy dwie opowieści na siłę dociągnąć, ale one zwykle już są epigońskie. To są prawa, których nie wymyślam, gdyż ich presji — przynajmniej tak jest w moim przypadku — zupełnie spontanicznie się doświadcza.

— *Ciekawe, że nic pan nie mówi o paradygmatyce scjentycznej.*

— To bardzo ważne. Paradygmatyka *par excellence* wzięta z nauk fizycznych potraktowana jest złośliwie i żartobliwie. Widać to ładnie w opowiadaniu *Smoki prawdopodobieństwa*, gdzie wprowadzona została paradygmatyka mechaniki kwantowej. Smoki, które są, smoki, których nie ma, smoki wirtualne — to są zabawy na tle całego aparatu pojęciowego współczesnej fizyki, która uważa, że nic takiego jak „nic” (to znaczy „próżnia”) nie istnieje, gdyż jest tam pełno cząstek wirtualnych. Jest to utwór, który zawsze sprawiał ogromną radość fizykom teoretycznym. Jeden z nich przełożył, jak umiał, to opowiadanie na angielski — były to lata, kiedy nie byłem jeszcze tak powszechnie tłumaczony na Zachodzie — po to, aby demonstrować je swoim zagranicznym kolegom po fachu.

— *Obiecywałem sobie unikać wszelkich komplementów w trakcie naszych rozmów, ale ten jeden chyba mogę panu powiedzieć: myślę, że jest pan obdarzony niezwykłym talentem onomastycznym. Chyba tylko jeden Witkacy może rywalizować z panem na tym polu.*

— Bardzo — muszę powiedzieć — imponował mi zawsze swoją świetnością i wynalazczością leksykograficzną Witkacy. Jego wszystkie chondrołaje przepuklinowe i glątwy niezwykle mi się podobały. Poza tekstem aktualnie pisanego utworu nigdy nie potrafiłem wymyślać takich nazw.

— *Rzeczywiście, w naszych rozmowach raczej się nie pojawiają. Witkacy natomiast w codziennych rozmowach ich używał.*

— Mnie do takiej wynalazczości podżega jedynie potrzeba artykulacyjna wywołana kontekstem. Nigdy nie robiłem tego na siłę, bo zwykle sam nurt narracji tak mnie niósł, że tu przerobiłem husarię na ślusarię, tam powołałem do życia bladawców, gdzie indziej Diodego, Triodego i Heptodego. Pamiętam nawet, że kiedy podczas pisania rozdziału o języku do *Fantastyki i futurologii*

potrzebowałem przykładów, to nie mogłem nic z siebie wydusić, więc sięgnąłem po *Cyberiadę.*

Poza tym jestem dość wyczulony językowo i zawsze starałem się, aby w utworze niehumorystycznym nie iść na tak zwaną humorystykę nieintencjonalną. Kiedy w *Powrocie z gwiazd* trzeba było wymyślić nazwę na zabieg likwidujący agresję, pojawiła się betryzacja. Jest to nazwa neutralna, która nie ma w sobie nic śmiesznego, podczas gdy w *Cyberiadzie* tej śmieszności jest w bród. Kiedy pisałem *Wizję lokalną*, również potrzebowałem wielu neologizmów: tych, które są koniecznością stworzenia nowej zbitki pojęciowej oraz tych, które mają charakter zabawowy. Na końcu książki zamieściłem nawet słowniczek takich wyrazów, pragnąc obronić się przed zarzutem — z którym się spotkałem — że grzeszę nadmiarem podobnych pomysłów.

Zdaję sobie sprawę z tego, że niezwykle utrudniam, a czasem wręcz uniemożliwiam robotę swoim tłumaczom, kiedy faszeruję swoje książki określeniami, do których język polski wydaje się szczególnie powołany, ale nic na to nie poradzę. Jeśli pan weźmie do ręki książkę sprzed rewolucji naukowo-przemysłowej, to okaże się, że większość terminologii już wymarła. Natomiast spotka pan rozbudowane słownictwo z dziedziny na przykład hippologii. Do wielu dziedzin stworzono terminologię przejętą z języków obcych, dotyczącą różnych skrzyń biegów, cylindrów czy samochodów, ale to są kręgi pojęciowe, których niczym zastąpić nie można. No, chyba żeby pójść na bardzo okólne opisywactwo i wchodzić w obłędną peryfrastykę. Eskimosi, jak kiedyś pisałem, mają kilkaset oznaczeń na określenie rodzajów śniegu. Jest dla mnie rzeczą niewątpliwą, że zmiany środowiska cywilizacyjnego i materialnego powodują dogłębne zmiany w języku. Jeśli więc ktoś pragnie opisywać — obojętnie: żartem czy serio — zajścia poza kręgiem ziemskiej cywilizacji, to chcąc podkreślić obcość czy inność tego

środowiska, musi stosować neologizmy. Unikanie ich wydaje mi się bezsensem. Jest to zupełnie tak, jakby ktoś chciał opisać morską żeglugę, nie używając pojęć żeglarskich. Kiedy czytamy opisy żeglugi z epoki Conrada, wciąż napotykamy różne beidewindy i grotbomsztaksle — jest tego od cholery, ale przecież spełnia to określoną funkcję w narracji. Powiedzmy słowo: bukszpryt — rzeczywiście jest ono przykre, ale konieczne. Przecież nie będziemy pisali tak: Drogi czytelniku, z dna pokładu, spomiędzy desek, wynurzają się słupy, które w kolejności będziemy nazywali pierwszym, drugim, trzecim i tak dalej. No nie, tak nie można, powiemy po prostu, że pierwszy skośny nazywa się bukszpryt i koniec. W fantastyce jest to także nieuniknione.

— *Czy w trakcie tego wieloletniego eksperymentowania w języku wypracował pan sobie jakąś ogólną filozofię słowa, czy choćby zestaw poglądów na naturę językową fantastyczno-groteskowego pisarstwa?*

— Ponieważ język można badać tylko językiem (ewentualnie matematycznym, ale to też jest *sui generis* język), powstają kłopoty samozwrotności, ale w techniczny region tych ciężkich spraw wolę się teraz nie wdawać. Ogólnie mówiąc, pogląd mój na naturę języka jest spokrewniony z tym, który w *Probabilistycznym modelu języka* wyłożył Wasilij Wasiliewicz Nalimow. Jest to matematyk, który wtargnął w lingwistykę, i traktuje ją w „uchwycie” probabilistycznym za pomocą tzw. funkcji Bayesa. Język, mówiąc grubo a zwięźle, nie składa się ze słów, chociaż się z nich składa. Tworzą go całostki nadrzędne, odpowiadające pewnym stosunkom (relacjom). Doznawany zmysłami świat odciska się w języku. Czasowniki są stąd, że są zjawiska „w ruchu”, w „przemijaniu”, a rzeczowniki stąd, że są pewne „rzeczy”.

Kiedy się rozmawia z ludźmi o zdrowym rozsądku i miernym wykształceniu, można zauważyć, że w kwestii życiowego doświadczenia osobistego są wybornie

dorzeczni, ale gdy ich rozmową wyprowadzić poza te granice, mogą pleść nieprawdopodobne androny. Gospodyni domowa nie uzna, że garnek ustawiony w spiżarni może się przemienić w gołębia, ale łatwo da wiarę wpływowi gwiazd na losy ludzkie. Strefa przyswojonych pojęć przechodzi w strefę „nieoswojonych” stopniowo i bardzo indywidualnie.

Czytałem niedawno Arystotelesa. Trudno się w nim połapać, bo za oczywistości ma kwestie, które każdy z nas musi mieć za wymysły. Gdyby więc ruszyć nie w przeszłość, lecz w przyszłość, i jakimś cudem stworzyć język, który będzie obiegowy i kolokwialny za sto lat, książki w nim napisanej nikt by nie mógł przeczytać z satysfakcją. A jeśli odskoczyć nie w przyszłość ludzi, ale niejako w bok — ku „innym istotom rozumnym”, rozziew zrozumiałości musi być jeszcze większy. Dlatego nie jestem w stanie napisać książki serio, w której gwarzą ze sobą takie „inne istoty”. To jest szyte zbyt grubymi nićmi. Można albo użyć groteski, albo ukazać bariery międzycywilizacyjne, jakem próbował w *Edenie.* Nie można w realistycznej powieści utrzymywać, że bohater umie zapładniać kobiety po drugiej stronie oceanu przez telefon, albo że pchły są zdegenerowaną postacią kangurów. Gdy jednak ukazuje się „inny świat, inny glob”, przeciętny czytelnik zostaje pozbawiony kryteriów wiarygodności. Można mu wmawiać, co się pisarzowi żywnie podoba. Na tym fakcie pasożytuje dziewięćdziesiąt dziewięć procent science fiction. Wspólnymi siłami autorzy stworzyli układy „rzeczowego” odniesienia, sfałszowali cały kosmos, jego podstawowe prawa fizyczne, stratowali generalne wiadomości biologii ewolucyjnej, i dzięki tym pracom powstała skarbnica bzdur, z których korzystać może obecnie każdy typowy *science-fictioner.* A kto się z tego porządku wyłamuje, musi mieć tym mniejszą szansę aprobaty czytelników, im sprawniej ci czytelnicy zdążyli zawłaszczyć ową skarbnicę. W USA najbardziej cenią mnie *eggheads*, zaczynając od uczonych,

przyrodników, a dla typowych miłośników tamtejszej SF jestem przede wszystkim niezrozumiały, bo oni przecież „już bardzo dobrze wiedzą”, jak i o czym ma być napisana każda taka pozycja. Toteż w ojczyźnie SF mam mniej sympatyków niż w Europie, bo w niej wzorce amerykańskie tak długo nie działały ani tak powszechnie nie skrzepły. Panuje tu zresztą konieczna symetria, bo ja z kolei nie jestem w stanie czytać tamtej SF.

Co do neologizmów, uważam, że ograniczam się do niezbędnego minimum. Gdybym naprawdę wziął się do wymyślania języka jakiejś innej epoki, zużyłbym pół życia, by napisać książkę kompletnie niezrozumiałą, chyba że dołączyłbym do niej słownik z naturalnie też przeze mnie wykoncypowaną encyklopedią. Dodam jeszcze, że staram się unikać humorystyki mimo woli i na słownictwo zabawne daję przyzwolenie tylko w utworach spod groteskowego klucza.

— *Powróćmy z tej językowej wycieczki do pana książek eseistycznych.*

— Spośród pozycji dyskursywnych zadowolony jestem wyłącznie z *Summy technologiae.* Nie znaczy to, że nie można jej zmienić, ale jeśli się nie musi, nie należy tego czynić. Ona żyje i przetrwała. *Filozofię przypadku* należałoby w dużym stopniu przepracować, gdyż zupełnie niewłaściwie zostały w niej odważone punkty ciężkości. O tym jednakże wolałbym powiedzieć osobno. Jeśli zaś chodzi o *Fantastykę i futurologię*, jest to morze papieru poświęcone próbom uzdrawiania nieuleczalnie chorego bądź — żeby użyć innego porównania — wyciągania klinicznego imbecyla z totalnego skretynienia.

— *Czy dopuszczalne jest traktowanie „Summy” jako centrum pańskiej twórczości? Moim zdaniem zawiera ona zbiór teorii i pomysłów obsługujących pana beletrystykę.*

— W pewnym sensie czerpałem stamtąd pomysły do prozy, ale nie dlatego, że było tak postanowione. Po prostu samo się zdarzyło.

— A co uważa pan za najpoważniejszy niedostatek tej książki?

— W pierwszym wydaniu *Summy* ostatni rozdział dotyczył losów sztuki w wieku technologicznej eksplozji. Pisałem tam, wierząc w to głęboko, że sama proliferacja utworów we wszystkich dziedzinach literatury, muzyki i plastyki jest czynnikiem niszczącym, gdyż jeśli mamy tysiące Szekspirów, to nikt nie jest Szekspirem. Twierdzenie to spotkało się z surową oceną Leszka Kołakowskiego. Polemizowałem z nim po niemiecku, ale to było już po czternastu latach, gdy w wielu partiach książka ta przestawała być fantastyczna, zwłaszcza we fragmentach dotyczących inżynierii genowej. Niestety jednak Kołakowski swoją kategoryczną negacją zniechęcił mnie tak bardzo, że ostatni rozdział wyrzuciłem z następnych wydań. Dzisiaj jednak widzę, że miałem sporo racji. Kiedy ostatnio we Frankfurcie odbywały się targi książki i sześćdziesiąt cztery tysiące wydawców przedstawiło dwieście osiemdziesiąt osiem tysięcy nowych tytułów, ktoś obliczył, że gdyby przez cały czas trwania wielodniowej wystawy chcieć zajrzeć do każdej książki, to wystarczyłoby na każdą książkę tylko cztery dziesiąte sekundy. O przeczytaniu tego w trakcie jednego życia ludzkiego nie ma nawet co marzyć. Jest tutaj jakaś samozagrażalność, bo nie trzeba już żadnych cenzur i politycznych interwencji, gdyż sztuka, która ukazuje się w takich ilościach, podlega nieuchronnie samozgubnej inflacji. To mnie zawsze fascynowało, więc pewnie będę musiał kiedyś do tego wrócić. Może dorobię nową drugą część do *Filozofii przypadku*, bo tam jest dość dużo głupstw.

— W *latach studenckich na polonistyce, gdy wszyscy wokoło chorowali na strukturalizm, czytałem ją z nieprawdopodobną uciechą, gdyż był to pierwszy atak na uznaną i pieszczoną na uniwersytetach świętość. Czyżby zmienił już pan zdanie?*

— Nie, wcale nie uważam, że strukturalizm jest sensowny. On przyniósł teorii literatury i krytyce więcej szkody niż pożytku i nie był wcale płodny w rezultatach. Od strukturalizmu nie dowiedzieliśmy się niczego więcej ponad to, co już wcześniej wiedzieliśmy doskonale. Strukturalizm stworzył nową nomenklaturę i bogatą kategorializację, ale bardzo mało z tego wynikało. A najbardziej raziła mnie jego aksjologiczna neutralność. Poświęciłem mu jednak zdecydowanie za dużo uwagi. Przede wszystkim ustawiłem sobie ze strukturalizmu turecką głowę.Wystarczyło napisać o tym jeden rozdział, a nie wytaczać tak strasznej objętościowo kolubryny. Wynikało to pewnie stąd, że czułem się wówczas jak oblężony, bo wszyscy z nabożeństwem powtarzali: strukturalizm, strukturalizm… Poszedłem chyba na niewłaściwy tryb dyskursu, awanturując się wokół spraw strukturalistycznych, jakby główną sprawą było odpieranie czegoś, co jałowe w zarodku i tak było skazane — prędzej czy później — na uwiąd. W swojej postawie byłem chyba bardzo bliski Miłoszowi.

— *Czyli uważa pan, że metody wypracowane przez współczesną lingwistykę są bezradne wobec fenomenu literatury?*

— Ze względu na to, że semantyka jest dziedziną mglistą, a składnia jest czymś wyraźnym, gdzie występują zworniki i przekładnie koniugacyjno-deklinacyjne i inne podobne rzeczy, fachowcy próbują dobrać się do języka właśnie od tej strony. Wszyscy ci uczeni proponują nam modele, które okazują zupełną nieużyteczność, gdy stosujemy je do literatury pięknej.

Jednym z nieszczęść naszego czasu było właśnie masowe zarażenie humanistów strukturalizmem, zważywszy na ubóstwo środków, jakie on przynosił. Przedstawię panu pewną analogię. System znaków drogowych nie może uwzględnić „estetyki dróg”. Nie ma w nim takich znaków, które różnicowałyby przepiękne aleje starodrzewu i nudne

szosy. Strukturalistyczna analiza bogatej semantycznie powieści odpowiada też mniej więcej chemicznej analizie zupy albo tortu. Dochodzi się struktur związków chemicznych, od których wprawdzie zależą jakości smakowe, ale chemia nie dysponuje dla dalszej dyferencjacji dostatecznie silnymi środkami. Teoria grup, stosowana w fizyce atomowej, pozwala dojść pewnych ustaleń, lecz były one zbyt ogólnikowe, niedostateczne dla badaczy. Generalnie jest już tak, że aparaturą pojęciowo ubogą nie można należycie rozpoznawać zjawisk zarazem od niej pojęciowo bogatszych i do prostych orzeczeń nieredukowalnych. Strukturalista poznaje znaczeniowe szkielety, lecz uroda dzieł nie jest zmienną, wyłącznie zależną od takich szkieletów. Dzięki osteologii można się dowiedzieć, czy pewna zmumifikowana Egipcjanka miała proste nogi, ale nie można się dowiedzieć, czy była piękna. Do tej najzupełniej elementarnej kwestii strukturaliści nigdy nie chcieli się przyznać. Ich upór był godny lepszej sprawy.

— *Może ma pan rację. Ja jednak odnoszę wrażenie — niestety sporo czasu upłynęło od momentu, gdy miałem „Filozofię przypadku” przed oczyma, więc mogę fałszować perspektywę — że próbowała ona zbyt wiele rzeczy załatwić, i to za pomocą tylko jednego klucza, mianowicie stochastyki.*

— To rzeczywiście jedno z głupstw, które zakradły się do tej książki. Zrobiłem z niej coś w rodzaju encyklopedii. Wdałem się tam w sprawy językowe i kulturowe, które w gruncie rzeczy należało z niej w miarę możliwości wyosobnić albo przeznaczyć do innych książek, choć nie wiem, czy miałbym czas je napisać. Zachorowałem w każdym razie na ten wszystkoizm, o którym Jan Błoński trafnie, chociaż złośliwie mówił, że Lem za każdym razem pisze Ogólną Teorię Wszystkiego. Bardzo to popsuło tę książkę.

Kategoria przypadku, o którym pan mówi, sama wymagałaby osobnej książki. Koncepcje teorii prawdopodobieństwa, teorii przypadku, matematycznej teorii stochastycznej (które ciekawie omówił Nalimow we wspomnianej już książce) można zapewne bardzo szeroko przedstawić, ale jeśli tę książkę mieliby czytać humaniści, nie będą nawet wiedzieli, jaka ogromna za tym wszystkim stoi aparatura. Skąd mają wiedzieć, co to jest matematyczna teoria eksperymentu czy chociażby procesy Markowa? To jest ogromna dziedzina, nad którą sam nie panuję. Poza tym musiałbym uwzględnić całą masę rzeczy, które zaszły w teorii literatury od momentu, kiedy ukazała się ta praca. Nie czułbym się na siłach napisać książki, której tytuł brzmiałby, powiedzmy, *Teoria statystyki jako narzędzie badania dzieła literackiego*. Taka książka nie byłaby prekursorska, ale wręcz przedwczesna, bo wiele danych jeszcze po prostu nie istnieje.

— *Czytałem przed laty materiały z sesji IBL-owskiej, poświęconej „Filozofii przypadku”. Pamiętam tylko ciekawą wypowiedź profesora Markiewicza oraz nieprawdopodobny zamęt i brak punktów stycznych pomiędzy dyskutantami.*

— Chociaż rok cały poświęciłem studiom strukturalistycznym, to jednak sporo myśli było w tej książce niedopracowanych. Ważne też było to, że przyszedłem z innego terenu — nie jestem wszak polonistą i nie mam wykształcenia humanistycznego — a zatem musiało się to na rzeczy odbić. Dyskusje IBL-owskie były, nie chcę powiedzieć, że nieporozumieniem, ale bez wątpienia wykładnikiem typowej dziś sytuacji, gdy ludzie różnospecjalistycznego wykształcenia mają najwyższe trudności, kiedy próbują się porozumieć. Tak bym najkrócej podsumował tę sprawę.

— *Jednym z głównych punktów książki była pańska próba określenia się wobec teorii Romana Ingardena, która jest pierwszym daniem każdego polonisty. Proszę łaskawie wskazać, w którym miejscu leży kość niezgody?*

— Jednym z pierwszych bodźców, który doprowadził do powstania tej książki, była rzeczywiście lektura Ingardenowskiej teorii dzieła literackiego. Chyba przede wszystkim dlatego napisałem tę nieporządną i w pewnym sensie będącą umysłowym wcześniakiem wielką kolubrynę. Najzwięźlej sformułowałbym tę kwestię tak oto. Podług Ingardena utwór literacki jest schematycznym tworem wielowarstwowym, posiadającym miejsca niedookreślone, które wypełnia czytelnik, i to się zwie konkretyzacją. Pod względem ontologicznym jest to twór intencjonalny, lecz tu muszę już skierować zainteresowanego definicją do jej filozoficznej postaci w fenomenologii, bo Ingarden był (zresztą kacerskim trochę, jak omal każdy filozof) uczniem Husserla. Z Ingardenowskiej koncepcji wynikają rzeczy raczej dziwne, i nazwę niektóre z nich. Najpierw wygląda na to, że taki utwór istnieje jako zbudowana z języka konstrukcja całościowa, również kiedy go nikt nie czyta, a nie tylko jako szereg kartek, pokrytych plamkami farby drukarskiej. Jeśli zawiera miejsca niedookreślone, różne „schematy wyglądowe” i tak dalej, także stojąc między innymi książkami na półce, znaczy to mniej więcej tyle, że posiada jakiś całościowy wygląd „wsobny”, od lektur niezawisły, lecz tym sposobem równa się wyglądowi drzewa, którego nikt nie widzi. A przecież pytanie o to, jak wygląda drzewo, gdy nie ma wokół żywego ducha, kiedy nikt na nie nie patrzy, jest bezsensowne. Ono wtedy nijak nie wygląda, lecz przynajmniej wolno za zdrowym rozsądkiem i za botanikiem rzec, że stanowi egzemplarz roślinnego gatunku, czyli pewien żywy, całościowy organizm. Natomiast nie czytana książka nie jest żadną w ogóle konstrukcją, bo brak jej samozwrotności organizmu: książka staje się nią dopiero w toku lektury. Gdyby czytelnik zapominał na następnej stronie, co wyczytał na poprzedniej, w ogóle by nie mógł zintegrować treści i lektura rozpadłaby mu się na niespójne cząstki.

Następnie Ingarden, będąc ponad wątpliwość tak zwanym wzrokowcem, wizualizował sobie beletrystyczne lektury i uznał, że czyni to każdy czytelnik, podczas kiedy ja, będąc motorykiem, niczego sobie nie wyobrażam wizualnie ani gdy czytam, ani gdy piszę. Tak więc partykularną własność podzbioru czytelniczego uznał Ingarden za własność powszechną i nawet konieczną jako niezbywalną część przyjmowanych z utworu wiadomości.

Z kolei intencjonalny status beletrystyki czyni ją tworem, który pod względem logicznym nie jest ani prawdą, ani fałszem. Jak pisałem w *Filozofii przypadku*, wynika stąd, że lew, którego zastrzelił *W pustyni i w puszczy* Staś Tarkowski, nie był zwyczajnym lwem, lecz lwem czysto intencjonalnym, powołanym do fenomenalistycznego bytu aktem świadomości Sienkiewicza i „odciśniętym" w języku jego powieści, lecz nie wiadomo, skąd by Sienkiewicz miał wziąć pewność, że lwa czysto intencjonalnego można zastrzelić z też czysto intencjonalnej strzelby? Dlaczego, miast paść trupem, lew ten nie zamienił się w olbrzymiego skorpiona ani nie odparł intencjonalnej kuli intencjonalnym pancerzem? Otóż dlatego, że Sienkiewicz pisał w określonej tradycją kulturową konwencji realistycznej. Im dokładniej pokrywa się genologiczna konwencja literacka z pozaliteracką obiegową normą deskrypcji dowolnych zdarzeń, tym trudniej uświadomić sobie naiwnemu czytelnikowi, że otwierając książkę, zawiera z jej autorem milczącą umowę co do sposobu (modalności) lektury. Najwyższą instancją odwoławczą w lekturze nie jest „prawda faktyczna zajść", jako ich zdroworozsądkowa wiarygodność, lecz paradygmat beletrystyczny gatunku.

Oto dwa przykłady, które wymyśliłem w polemice na łamach „Science Fiction Studies", spierając się z amerykańskimi zwolennikami teorii strukturalistycznej fantastyki. Jej twórca, Todorov twierdził, że utwór staje się fantastyczny, gdy czytelnik trwa w wahaniu co do ontologicznej jakości jego zajść: jeśli nie może

zadecydować, czy są ponadnaturalne, czy naturalne, w tym niezdecydowaniu czytelniczym istnieje po swojemu fantastyka. Kontrargumentując, dałem dwa przykłady. Powiedzmy, że typowa powieść kryminalna, zasadzająca się na znanej w tym gatunku „tajemnicy zamkniętego pokoju", kończy się oświadczeniem detektywa, że mordu dokonał jakiś duch albo inny przybysz z zaświatów, zdolny przenikać przez zamknięte drzwi i ściany. Otóż, jakkolwiek nic nie broni czytelnikowi podczas lektury również i owego mniemania, żaden miłośnik kryminałów nie bierze tej ewentualności pod uwagę, ponieważ wie, że paradygmat gatunku na takie rozwiązanie zagadki nie zezwala. Czytelnik, wiedząc o tym, nie może się wahać między naturalistycznym i pozanaturalistycznym stanowiskiem, bo zgodnie z gatunkową dyrektywą morderca w sposób nadprzyrodzony działać nie może. Gdyby okazał się jednak w epilogu „siłą nieczystą", czytelnik przyjąłby to do wiadomości jako złamanie zawartej z autorem umowy, czyli jako oszustwo. Dalej zaś, gdyby ktoś głosił jako bohater powieści, że zjawił mu się Zeus lub Baal, czytający rzecz w trybie realistycznym musiałby zwątpić w umysłowe zdrowie tak nawiedzonego. Lecz gdyby pojawiła się mu Matka Boska, nie byłaby już analogiczna diagnoza tak samo możliwa, ponieważ panująca w śródziemnomorskim obszarze kulturowym wiara religijna dopuszcza takie nadprzyrodzone wizyty. Nie wiadomo na pewno, czy w *Quo vadis* umykającym z Rzymu apostołom objawił się Chrystus „naprawdę", czy też to się im tylko wydawało, lecz wiadomo, że nikt nie uznaje *Quo vadis* za utwór należący do fantastycznej beletrystyki ze względu na rzeczony fragment.

Jednym słowem, decyzje czytelnicze, zapadające w toku lektury, ustalające *implicite*, z jakim tekstem rzecz, są silnie uzależnione od współczynnika kulturowego. Tej okoliczności Ingarden w ogóle jednak nie brał pod uwagę. Każda lektura jest długim ciągiem wielodecyzyjnych

postanowień, które czytelnik podejmuje w swojskim mu gatunku bezświadomie, a o tym, że w ogóle ma decydować, dowiaduje się dopiero trafiwszy na tekst, który nie daje się jednoznacznie zaklasyfikować. Eksperymentatorstwo w beletrystyce od Alaina Robbe-Grilleta po Italo Calvino polega właśnie na wytrąceniu czytelnika z tradycyjnej, wygodnej pozycji naiwnego realizmu i zdrowego rozsądku, lecz to z kolei nie gwarantuje jeszcze nowej, odmiennej wartości dzieła. Owo wytrącenie samo musi mieć swój zdrowy czy niezdrowy, lecz własny, dobry sens.

W *Wizji lokalnej* wielość sprzecznych wzajemnie deskrypcji pewnego społeczeństwa ma sens całkiem realny, ponieważ doskonale wiemy, że i na Ziemi te same zdarzenia są opisywane i wartościowane diametralnie różnymi sposobami w zależności od tego, jakie przekonania polityczne, religijne, filozoficzne czy ekonomiczne żywi sprawozdawca-obserwator. Antyrealistyczne będzie dopiero stanowisko zakładające, że to, co zachodzi na Ziemi albo w obcej cywilizacji, można określić jednoznacznie jako „obiektywną prawdę ostateczną”.

Można by też powiedzieć, że powieść zrezygnowała z autorskiej wszechwiedzy, zapewniającej jednoznaczność akcji, już bardzo dawno, bo dobrych sto lat temu, i że jednym z burzycieli tego porządku był Dostojewski. Powstała przez to wielogłosowość psychologicznego typu. Każdy może sobie sądzić i mówić w utworze swoje, i nikt nie musi mieć całkowitej racji obiektywnej. Lecz ten triumf wyobraźni wyzwolonej z pęt tradycji był cząstkowy: zabrakło w szerokiej skali następnego kroku, to jest poszerzenia kreacyjnego wyobraźni o wymiar socjologiczny. Nie ma na przykład dotąd beletrystyki jako fantastycznej historii, prezentowanej nie tak jak u Parnickiego, lecz tak jak w zwyczajnym podręczniku dziejów ojczystych bądź obcych. Zieje tu więc luka, którą można by zapełnić.

Mój sprzeciw wobec *nouveau roman* wynikał z przeświadczenia, że siekanki fabuł, jakich ta mutacja

dostarcza, odbierając sens dawnym wątkom przez ich szatkowanie, żadnych nowych, jakoś ogniskowanych sensów nie przynoszą, więc stanowią czysto formalną zabawę, wyzbytą poznawczych walorów.

Przykładem różnic w odbiorze były dla mnie własne książki, które tłumaczono w różnych kręgach kulturowo-językowych. Rozrzut interpretacyjnych odczytań był doprawdy olbrzymi. Doszedłem więc do wniosku, że wspólność możliwa jest tylko wtedy, gdy czytelnicy zaczynają się ze sobą kontaktować przez szkołę, która naucza literatury, przez pewne spetryfikowane pojęcia, uświęcone podejścia i hierarchie wartości. One są wdrażane tak, że sami czytelnicy o tym nie wiedzą, ale to wszystko razem stwarza pewien „otok" interpretacyjny, który nie daje się oddzielić od książek, zwłaszcza takich, które weszły do skarbca literatury narodowej.

— I w tym momencie wkracza nam kategoria przypadku powodująca, że konkretyzacja może przybierać najrozmaitsze postacie?

— Właśnie. Ten przypadek działa zarówno po stronie twórcy, jak i po stronie odbiorcy. Uznałem go za kategorię ważną, tym bardziej że jest ona tak bezwzględnie pomijana, i zacząłem się zastanawiać nad zjawiskiem, które mnie zawsze fascynowało: dlaczego pewne książki na długo ulegają zapoznaniu, a potem są niespodziewanie z dużym opóźnieniem odkrywane?

— Pewnie dlatego, że w danej fazie rozwoju kultury odnajdują właściwe „pudło rezonansowe".

— Jasne, ale jeśli później uznaje się je aż za arcydzieła, sytuacja jest podejrzana. Dlaczego Nabokov tak późno zyskał uznanie? Jedną z jego książek, które wysoko cenię, jest *Lolita*. Z jej powodu doszło do zerwania stosunków Nabokova z jego przyjacielem, głośnym krytykiem angielskim, Wilsonem. Teoria literatury starannie przemilcza fakty, które są jej niewygodne, jak ten, że mogą występować tak zasadnicze i bezwzględnie

nieprzekraczalne różnice zdań kompetentnych osób na temat tego samego dzieła. Dlaczego taki krytyk utrąca dane dzieło w całości, a nie mówi, powiedzmy, że ta mistrzowsko budowana książka razi go lub obraża? Doskonale mogę sobie wyobrazić, że ktoś jest entomologiem, bada karakony oraz pająki, ale uważa, że motyle są ładniejsze. Oznacza to, iż sprawa kryteriów estetycznych to nie jedyny czynnik warunkujący w sposób bezwzględny kwalifikację w krytyce i badaniu dzieł literackich. To tylko jeden z czynników.

Historia O Paulhana jest dla mnie przykładem literatury pornograficznej, ale przecież stawiam ją wyżej pod względem literackim, jako zobrazowanie stosunku kobiety i mężczyzny, niż całą twórczość de Sade'a. To był przecież zły pisarz, tyle że cechowały go nieprawdopodobna artykulacyjna odwaga i zaciekłość zboczenia. On miał odwagę nie tylko swoje zboczenie wyeksponować, ale jeszcze ze wszystkich sił poszukiwał dla niego racji wyższych. Jest to pierwsza ze znanych mi postaci w dziejach piśmiennictwa, która wystąpiła z programową apologią Zła. Potem naturalnie przyszli inni, ale on był pierwszy. Choć zatem jest to jego czarną zasługą, to jednak książki de Sade'a są nieznośne i wręcz nie dają się czytać. Jako utwory literackie dają antysatysfakcję.

Stabilizowanie się wartości w hierarchii historii kultury podlega też działaniom przypadku. Jeśli mamy karatomierz, to precyzyjnie zbadamy, który z brylantów jest większy, a który mniejszy. W literaturze oceny takie są niemożliwe. Tutaj działa cała masa czynników, które nie dadzą się po wiek wieków jednoznacznie ustalić. Moim zdaniem — choć nie jest to oryginalne sformułowanie — w dorobku pisarzy znakomitych znajdują się częstokroć utwory słabsze, które dostały się na szczytowe miejsca literackiego Olimpu tylko dlatego, że napisali je twórcy, którzy stworzyli wcześniej dzieła wybitne. Nie są zapoznane tylko dlatego, że mają znakomitych autorów. Wtedy interesuje nas

wszystko, nawet rachunek, który pisarzowi przyniosła praczka. Takich przykładów działania przypadku można znaleźć bez trudu całą masę.

— *Jak jednak takie rzeczy badać? Pan już tej sztuki próbował w „Markizie w grafie”, drukowanym kiedyś w „Tekstach”. Jakie są wnioski z tego doświadczenia?*

— Próbował tego również Jarzębski, ale w innych kategoriach, niż ja to rozumiem, bo chodzi przecież o całą aparaturę pojęciową współczesnej teorii gier, teorii decyzji i teorii programowania. Są to gałęzie, wychodzące z pnia, który zaszczepił John von Neumann. Przenoszenie tego jednak na inną domenę jest bardzo trudne. Najpierw należałoby zapewne zapisać kandydatów na krytyków na roczny kurs teorii gier. A jeśli chodzi o ten artykuł, jest to uczciwa robota i znajdujemy tam rzeczywiście zastosowanie teorii gier. Nie są mi znane przykłady podobnych zastosowań tego typu badań do analizy dzieła literackiego.

— *Dlaczego wybrał pan do tego eksperymentu właśnie dzieło de Sade’a?*

— Ja wcale nie chciałem badać jego utworów, lecz zajmowałem się abstrakcyjną schematyzacją, powiedzmy raczej taksonomią dzieł według stosunku świata przedstawionego do zamieszkujących go bohaterów.

— *Czyli sam pan ześlizgnął się w de Sade’a, gdyż reprezentował najbardziej skrajny przypadek?*

— Wyróżniłem trzy kategorie: świat bezwzględnie przychylny, czyli bajki; świat neutralny, czyli taki, jaki on jest w istocie; świat nieprzychylny, czyli taki, którego mi brakowało. Czasem spotykamy się z takim światem w mitach, jak choćby w przypadku Edypa, gdzie świat działa na rzecz zniszczenia bohatera. Wtedy antybaśń, którą zacząłem rekonstruować podług stosunków sąsiedztwa, zaczęła mi się coraz bardziej upodabniać do dzieła de Sade’a. Wydało mi się to fascynujące, gdyż wszyscy, którzy się tym dziełem zajmowali, zaczynali

od spraw seksualnych. Ja doszedłem zaś do tego od pozaerotycznej strony, gdyż poszukiwałem miejsca, w którym dojdzie do ekspresji Zła, które u niego jest w istocie wtórne, interesowne, bo chodzi o dominację dającą rozkosz. Ta zaś ma u niego charakter *par excellence* seksualny. Chodzi więc tutaj o usprawiedliwienie, które de Sade buduje zupełnie zwyczajnie, choć jak na te czasy zuchwale: „Czymże są cuda etyki i miłości wobec jednego mgnienia rozkoszy, jakiej można doświadczyć, zabijając?” W tym przypadku nie ma więc apologii Zła dla Zła, ale apologia Zła ze względu na przyjemności, których się doświadcza, wyrządzając je.

Kiedy więc zorientowałem się, że model ten nie jest pustym miejscem na mojej tablicy taksonomicznej, wówczas zacząłem już dokładniej to analizować i doprowadziłem rzecz dalej niż w wydrukowanym tekście. Uznałem to jednak za zbędne, bo nie było sensu powielać tego, co ustaliła kolosalna literatura sadologiczna. W wersji drukowanej doprowadziłem rzecz do miejsca, gdzie się to ujednoznacznia na tyle, że jest to już po prostu „de Sade”. Okazało się jednak, że do struktury takiego dzieła można dotrzeć przy całkowitym pominięciu pierwiastka seksualnej dewiacji.

Zamykając jednak tę dygresję, którą uczyniliśmy, wychodząc od *Filozofii przypadku*, powiedzieć należy, że w pewnym sensie przegrałem tą książką. Jest ona w połowie drogi pomiędzy moimi intencjami a dokonaniem.

— *Nie pomogła też panu na pewno jej hermetyczność.*

— Kiedyś otworzyła mi się książka, w której przypadkiem odnalazłem recenzję mojego eseju, wydanego Niemczech, a poświęconego polemice z teorią Tzvetana Todorova. Proszę wyobrazić sobie, że autor, jeden z redaktorów „Science Fiction Times”, a więc człowiek z pewną pretensją do fachowości, uskarżał się we wstępie, iż jest to tak specjalistyczne, że nie mógł nic zrozumieć. A przecież w swoim szkicu nie byłem wcale bardziej hermetyczny niż

atakowany przeze mnie Todorov. Wydaje mi się sprawą zupełnie trywialną, że kiedy ktoś się bierze do teorii dzieła literackiego, to musi mieć pewne minimum wykształcenia. Bez tego nie można nic zrobić, więc należy przynajmniej przyswoić sobie obiegowe słownictwo z danej dziedziny.

— *Problemami literaturoznawców bym się specjalnie nie przejmował, ale szkoda mi zwyczajnych czytelników, którzy rozbijają sobie głowy o te wszystkie inwolucje, repulsje i ortoewolucje.*

— Ortoewolucja to termin oznaczający taką zmienność wielopokoleniową gatunku, która jest ukierunkowana niezależnie od czynników środowiskowych, i tym samym zdaje się przemawiać za predeterminowanym trendem rozwojowym. Jest to termin w ewolucyjnej biologii o historycznym raczej znaczeniu, bo poglądy się zmieniły. „Ewolucja po linii prostej" to zakresowo pojęcie węższe, ponieważ nie uwzględnia wspomnianej predestynacji. Dziś uważa się na przykład, że koń ewoluował po linii prostej, ale że to nie była ortoewolucja, lecz tylko tak a nie inaczej przejawiający się wpływ selekcji środowiskowej na skład dziedziczności kolejnych odmian koni. Powiedzieć, że ktoś miał drgawki toniczne i kloniczne, to nie będzie to samo, co stwierdzić, że ktoś się trząsł bądź nim „rzucało". Są to pojęcia dookreślające, więc należy się nieco orientować w danej dziedzinie, by dokładnie wiedzieć, jaki jest zakres pojęciowy terminów.

Jeśli się zupełnie nie wie, jak wygląda dziedzina źródłowa, to często zdarza się, iż używa się słów, na które nanosi się niewłaściwe znaczenia. W strukturalizmie na przykład wielu badaczy używało pojęć w zupełnym oderwaniu od ich źródłosłowów. Jestem przekonany, że wielu z tych uczonych mężów i sawantek w ogóle nie zdawało sobie sprawy, iż cała aparatura pojęciowa strukturalizmu pochodzi z teorii mnogości. Prowadzi to do wielu nieporozumień. A jest przecież rzeczą jasną, że kiedy lekarz mówi przy łożu chorego, że ma on gorączkę,

to bez wątpienia jest to inna gorączka niż ta, która nas nawiedza, gdy widzimy na balu ukochaną. To jest tak inny rodzaj gorączki, że doprawdy nie potrzeba do owego delikwenta zaraz biec z termometrem i aspiryną. Tego rodzaju *distinguo* należy koniecznie przeprowadzać, by nadać tekstowi absolutną jednoznaczność, co nie jest możliwe, gdy mamy do czynienia z osobą niekompetentną.

— *Kiedyś z ogromnym zasobem dobrej woli zabrałem się za „Etykę technologii i technologię etyki" i wszystko szło dobrze, ale kiedy doszedłem do procesów Markowa, to omal nie cisnąłem książką o ścianę.*

— Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że pisałem ten artykuł na zamówienie pisma filozoficznego. Uważałem więc, że jestem w prawie. Dlaczego mam być gorszy w swoim dialekcie od filozofa? Jeśli wlazłeś między wrony, musisz krakać jak i one.

Jest oczywiście sprawą otwartą, czy ktoś, kto czyta moje książki dyskursywne, ma prawo spodziewać się, że bez wstępnego wykształcenia wszystko z nich zrozumie. Przyznaję się samokrytycznie, że specjalnie nad tym sobie głowy nie łamałem. Pewną pociechę upatruję w tym, że *Summa technologiae* jest teraz znacznie mniej niezrozumiała niż w momencie wydania, a za piętnaście lat będzie jeszcze mniej osobliwa. Po prostu w tym kierunku idzie rozwój. A jak dotąd i tak staram się być powściągliwy.

— *Jeśli filozoficzne wrony kraczą niezrozumiale dla ogółu, to powiem, że często jest pan od nich jeszcze gorszy.*

— W takim razie pocieszę również pana. Kmita, który jest, jak wiadomo, dobrym logikiem, wymyślił kiedyś swoją teorię dzieła literackiego, w której pojawiały się chyba kwantyfikatory duże i małe oraz inne wspaniałości logiczne. I teraz zdradzę tajemnicę państwową: przyszedł do mnie wybitny specjalista, prof. Henryk Markiewicz, i zaproponował mi kawę w zamian za wyjaśnienie, o co tam chodzi. Rzeczywiście było to napisane okropnym slangiem, ale udało mi się to rozsupłać. Widzi pan, logik wziął się

do roboty w terenie, na którym znawstwo bez wątpienia przysługuje Markiewiczowi, a jednak wykroczył poza jego wiedzę.

A procesy Markowa to rzeczywiście wcale niełatwa rzecz. Gdybym miał to panu teraz wyjaśnić, byłbym w niemałym kłopocie. To trochę tak, jakby zapytał mnie pan, co to są zbiory pozaskończone i co to są liczby kardynalne, określające moc *continuum.* Tego nie można wyjaśnić, skacząc w jeden tylko kawałek teorii mnogości, tylko należałoby zacząć od pieca i wyjaśnić najpierw w kilkudziesięciu zdaniach, co to jest teoria mnogości, skąd się wzięła i tak dalej. Wyjaśnienie procesów Markowa, które są średnio rozwiniętą gałęzią teorii prawdopodobieństwa, wymagałoby także całego wykładu.

Ja również miałem poważne problemy przy pisaniu *Filozofii przypadku*, gdyż każda ze szkół strukturalistycznych posługiwała się, nawet na tym samym terenie, trochę odmienną aparaturą pojęciową i w żaden sposób nie chciała z innymi szkołami ujednoznacznić całościowego zakresu terminologii. Wlazłem w sam środek tych kwestii, ale nie wiem, jak mógłbym wszystkim dogodzić. Chyba tylko poprzez rezygnację z napisania książki.

Osobiście wydaje mi się, że sprawa teorii dzieła jest tak diabelnie trudna i zawiła, tak dalece zawikłana w lingwistykę, semantykę, semazjologię, logikę semantyczną i tym podobne, że bardzo trudno wybrnąć. Więc cóż, miałem to wszystko przeskoczyć i zająć się charakterystyką stylów dziewiętnastowiecznych, pisać o tym, co nas wzrusza lub nie wzrusza, bądź mówić, że postacie są jak żywe i malowane? To mi się wydawało bezsensowne. Próba unaukowienia pociąga za sobą rozmaite, czasem spore, koszty. Być może, że ktoś inny zrobiłby to lepiej, ale tak się złożyło, iż nikt tego akurat nie robił.

— Przejdźmy może do następnych utworów. Używam liczby mnogiej, bo „Wielkość urojona” i „Doskonała próżnia” bez wątpienia powinny być ze względu na genologiczną przynależność traktowane łącznie. Skąd taki niespodziewany skręt w apokryf?

— Myślę, że w miarę upływu lat rosła we mnie coraz większa niecierpliwość względem sumiennej, rzemieślniczej i powolnej fabularyzacji. Aby iluminację pomysłu zamienić w narrację, należy się potwornie namordować, i to w kategoriach pozaintelektualnych. To był jeden z głównych powodów, dla których poszedłem na tak okrutne skróty, jakimi były te książki.

Szczególnie *Wielkością urojoną* narobiłem wydawcom wiele kłopotów, gdyż, jak pan pamięta, kończy się ona wykładem Golema. Kiedy zaś zachciało mi się napisać dalszy ciąg tych Golemowych rozważań, pierwsza część drugiej książki pokryła się z ostatnią pierwszej. Nie miałem na to żadnej rady i wydawcy — trochę stękając — drukują to tak jak jest. Stało się trochę tak, jakby pierwiastek niepodległości, który ujawnił się w napisanym tekście, uległ nastrojom buntowniczym.

W książkach tych starałem się naśladować różne style: recenzji, wykładu, prelekcji, mowy dziękczynnej (laureata Nagrody Nobla) i tym podobne. Doświadczenia te są jakby „skrzynkami”, które poukładane jedna na drugiej, dają schody, po których wdrapałem się na to piętro, skąd odzywa się Golem. Muszę zresztą powiedzieć, że napisanie tej książki poprzedziło wiele lat prób i błędów. Miałem ogromną ilość materiałów, z których pewnie nawet pięć procent nie weszło w końcu do książki.

— Do tej samej serii książek należy też „Prowokacja”, która wydała mi się niezwykle ciekawą propozycją. Dlaczego nie próbuje jej pan kontynuować?

— Próbuję, nawet mam kilka szkiców. To ma być seria „książek, które powinny być napisane”. Powstrzymują mnie powody dość trywialne, ale bezwzględne. Następna część

bowiem ma być jakby nową *Księgą rekordów* Guinnessa, która — jak wiadomo — podaje takie informacje, jak na przykład: kto zjadł największą na świecie ilość żywych ślimaków, kto połknął najwięcej żyletek, kto przeszedł najdalej na głowie i tym podobne. Ja natomiast chciałbym napisać książkę, która mówiłaby za pomocą ścisłych danych liczbowych o tym, co dzieje się na całym globie w ciągu jednej minuty: ilu ludzi ginie, rodzi się, kopuluje, śni, tworzy, płacze[2]. Do tego jednak niezbędny jest autentyczny materiał liczb, których nie ma skąd wziąć. Zmyślać nie chcę, bo to byłaby taniocha.

Po drugie, zaskoczył mnie efekt *Prowokacji*, którą niektórzy historycy brali za autentyk. Wprawdzie w książce podałem dyskretnie odpowiednie znaki i data napisania przeze mnie recenzji wyprzedza datę ukazania się książki, ale kto uważnie czyta takie daty?

Po trzecie wreszcie, ciężar sprawy poruszanej w *Prowokacji* (ludobójstwo, zagłada Żydów, masowe groby, obozy koncentracyjne) jest taki, że trudno o zestaw tekstów, które by się z nim właściwie komponowały. W przylegających tekstach nie można sobie pozwolić na żadną frywolność. Wszystko musi być już poważnie, jak w tej pomyślanej rzeczy o jednej minucie w życiu świata. Próbowałem do tego różnie podejść, ale w końcu tak się zagniewałem na ten pomysł, żem to odłożył, ale powiadam sobie, że tylko czasowo.

— Przejdźmy zatem do „Wizji lokalnej”, która musi być dla pana ważna, skoro zdecydował się pan raz jeszcze poruszyć w grobie Ijona Tichego, a na dodatek kazał mu „odszczekiwać” to wszystko, co opowiedział w „Podróży czternastej”.

— Historia powstania tej książki jest nieco odmienna niż pozostałych, gdyż zrodziła ją rozpacz z powodu niemożności napisania książki zamierzonej. Jakieś pięć lat temu, a może jeszcze wcześniej, postanowiłem napisać sprostowanie

Podróży czternastej, w którym okazałoby się, że Tichy się pomylił i nie wylądował wcale na tej planecie, na której myślał, iż wylądował, ale że trafił jakby do wielkiego Disneylandu. Chciałem więc pokazać, że wszystko w gruncie rzeczy było inaczej niż w „rzeczywistości". A ponieważ nie wiedziałem, jak może być „inaczej", więc zacząłem się tego dowiadywać od siebie z fragmentów, które były wichrowate i niespójne, które nie chciały się scalić i szły w różne strony. Były one jakby różnymi wersjami opinii o tej planecie, ale różnymi tak, jak różne są relacje o tym, co się dzieje w Polsce, czerpane z „Prawdy" i „International Herald Tribune". Szamotanie się z tymi fragmentami doprowadziło do tego, że zaczęły się one coraz bardziej rozrastać, a ich odśrodkowość wciąż rosła. Można było rozwijać każdy z nich, lecz wiedziałem, że nie wiedzie to do zogniskowania, ale przeciwnie, rozłazi się. A ponieważ nie dawało się to w żaden sposób spoić, a materiał był istną kopalnią wartościowych — również w kategoriach prognostycznej powagi — pomysłów, więc raz za razem odkładałem to z bezradnością.

I wtedy wyroiła mi się w głowie koncepcja Ministerstwa Spraw Zaziemskich, w którym znajdują się protokoły różnych historyków, relacje z różnych podróży, zróżnicowane wersje i teorie. Ale jak to zrobić? Przedstawić bibliotekę? To w takim razie lepiej napisać encyklopedię tej planety. Tego mi się jednak robić nie chciało, gdyż byłoby to zbyt podobne do zbiorów takich jak *Wielkość urojona* czy *Doskonała próżnia*. W końcu zdecydowałem, że wprowadzę swojego bohatera w galimatias tych relacji, z których on dowie się, iż się pomylił. I że z założenia będzie to niespójność wielowarstwowa, gdyż będą to teksty napisane przez autorów nieziemskich, powstałe w różnych państwach i epokach, a ponadto sprzeczne w interpretacji religii, obyczajowości, ideologii, historii planetarnej.

A potem zdecydowałem na dokładkę, że będzie to jeszcze wtórnie analizowane przez uczonych ziemskich, którzy

również reprezentować będą odmienne stanowiska, a więc powstanie z tego jeden wielki groch z kapustą. Wiedziałem, że obdarzając czytelnika pewną porcją humorystyki, postawię go przed wysiłkiem takim, jak gdyby chciał odtworzyć dzieje europejskie za pomocą relacji chińskich, stalinowskich, amerykańskich i hitlerowskich. Chciałem więc, aby nie można było dotrzeć do rdzenia wypadków, gdyż zbyt wiele jest optyk interpretacyjnych, które dodatkowo potęgowane są zmyśleniami autorów. Celem było dotarcie do zupełnego koszmaru niejednoznaczności, uzyskanie wielkiego palimpsestu.

— *Pan wie, do czego doprowadziło to mnożenie relacji? Przede wszystkim do kompozycyjnego pęknięcia, gdyż błądzenie po lesie wiadomości zupełnie przygniotło relacje Tichego z pobytu na planecie.*

— To rzecz względna. Calvino napisał książkę, w której w każdym rozdziale coś się zaczyna, ale nic się nie kończy[3]. Jakby niezależnie ode mnie wpadł na koncept pisania „samych wstępów". Równie dobrze może być całość skomponowana z samych kompozycyjnych pęknięć. Jeśliby to była formalna igraszka, uznałbym ją za niewartą świeczki, ale przecież odkryłem w tym zupełnie zdrowy sens. Gdybym był do końca konsekwentny, wziąłbym sobie za wzór rzeczywistą historię, dajmy na to zamach na prezydenta Kennedy'ego, który posiada bezlik rozbieżnych wersji, a wersji ostatecznie prawdziwej nie zna nikt. Tak daleko iść jednak w *Wizji lokalnej* nie chciałem, bo zależało mi na ukazaniu „wersji obcej cywilizacji najbliższej prawdy obiektywnej". Mogę zarzucić tej książce zbytnią przewagę części „bibliotecznej" nad drugą, „fabularną", ale to wynikło tylko stąd, że kiedy ukazałem to, co chciałem ukazać, dalsze rozbudowywanie fabuły uznałem za zbędne.

Jan Błoński powiedział mi, że to jedna z moich najlepszych powieści. Jeśli mu się podobała, chociaż nie

gustuje w tym gatunku, było to niejaką satysfakcją, bo chyba nad żadną książką nie namordowałem się tak, jak nad *Wizją*. Zresztą, mówiąc już ogólniej, dobra lub zła kompozycja to funkcja punktu widzenia. A dziś, w epoce aleatoryzmu i łamania konwencji, doprowadzenie kompozycji do pękania też może być uznane za „nowy rodzaj kompozycji”.

Był u mnie przed rokiem amerykański pisarz z rodzaju eksperymentatorów, który chwalił moje książki za to, że ich nie rozumie, bo to dowód na ich oryginalność. Rzutował swoje nierozumienie w moje teksty i przypisał mu znak dodatni. W takich czasach żyjemy. We mnie jednak tkwi tyle tradycjonalisty, że nie daję się ponosić wyobraźni byle gdzie, co zwiększa koszty własne. Nie ma proporcji między wysiłkiem włożonym w pisanie a jego efektami.

— Pan dość często wspomina o pisarskim mozole i charakterystycznej dla siebie redundancji warsztatowej. Wobec rozległości pańskiego dorobku zdaje się to zakrawać na jakąś kokieterię.

— Kiedy byłem początkującym pisarzem, dysponowałem jakąś trwonioną chyba łatwością pisania. Nie zastanawiałem się wiele, tylko machałem jak szalony. Teraz z pisaniem mam jak największe kłopoty, tak iż niczego nie piszę w określonej z góry kolejności. Moja robota coraz bardziej przypomina zmagania rzeźbiarza z ciężką, gliniastą materią. Kiedy nie wychodzi jedna strona, zaczynam wszystko od początku: dorabiam nowe nogi, ręce czy głowę. Kiedy utwór jest już gotowy i składny, wówczas w niczym nie przypomina — dotyczy to nie tylko tekstów beletrystycznych — swoich pierwocin. Wszystko przechodzi przez proces bardzo mozolnego kształtowania. Pomiędzy mną a tekstem dochodzi do ciekawej gry, tym ciekawszej, że mam w głowie czujniki, które mi powiadają, kiedy mogę jej zaprzestać i zakończyć ciężkie roboty.

Mój warsztat pisarski można porównać z techniką plastyczną, określaną mianem techniki „srającej muchy”.

Polega ona na tym, że za pomocą maleńkich kulek z gliny tworzy się formę do odlewu lub rzeźbę. Bardzo trudno powiedzieć, kiedy tych kulek jest już wystarczająco wiele.

— *Czy te trudności mają bardziej charakter konstrukcyjny, czy artykulacyjno-językowy?*

— Kwestia ustawienia sobie głosu, odnalezienia właściwego języka, właściwej modalności stylu dla danego utworu — istniejącego wszak jedynie w mgławicowym zarysie — również wymaga niezwykle mozolnych poszukiwań. To jest bardzo trudne. Wahania pomiędzy pierwszą a drugą osobą, poszukiwanie właściwego klucza wiolinowego — to wymaga wysiłku.

Zawsze byłem niezmiernie wyczulony na sprawy języka. Autorom wziętym z nauk ścisłych zawdzięczam dużą ostrożność w podejściu do stylów rozbuchanych. Poza *Cyberiadą*, w której barok był założony, nigdy nie pisałem takim stylem. Nigdy nie ważyłem się na stylistyczne rozpasanie. Jeśli weźmie pan do ręki *Na srebrnym globie* Żuławskiego — książkę, którą kocham i której wiele zawdzięczam — to łatwo znajdzie pan emfatyczne wykrzykniki: „O Ziemio! Ziemio utracona!” Wstydziłbym się pisać: „O atomie! Atomie mój kochany!” Dla mnie jest to niemożliwe. Językowa powściągliwość — jestem o tym przekonany — zawsze wychodzi autorowi na zdrowie. Jeżeli mamy dwie klasy utworów: rozbuchanych i protokolarnych, to zawsze większą szansę przetrwania mają teksty powściągliwe stylistycznie.

Zawsze dziwiłem się, dlaczego nie mogą tego zrozumieć młodzi pisarze. Przecież nie można czytać takich zachwalanych istot jak na przykład Józef Łoziński, który pisze w ciągu roku sześć książek. To jest pisane na takim rozedrganiu emocjonalnym, jakby najpiękniejszy bukiet powieściowy tworzył ten, kto puści najpiękniejszego „pawia”.

— *Przewidziałem osobną część naszych rozmów na znęcanie się nad kolegami po piórze, więc lepiej*

zachować odpowiednią porcję jadu do tego momentu. Nie wiem, czy słyszał pan o sobie anegdotę, która głosi, iż zapytano pana ongiś w kuluarach podczas jakiejś sesji naukowej o proporcję pomiędzy fantazjotwórstwem snutym na kanwie stanu wiedzy a rzetelnym zakorzenieniem w nauce. Odpowiedź miała brzmieć: „A kto mnie może sprawdzić?" Mniejsza z tym, na ile ta opowieść jest prawdziwa. Ważniejsza jest, jak się zdaje, obawa o wiarygodność głoszonych przez pana przekonań.

— W zasadzie zawsze starałem się działać w takim uskromnieniu, aby każde z moich fantastyczno-hipotetycznych twierdzeń posiadało naukowo poświadczoną zasadność, aby istniała instancja odwołania. Wszystkie te trybunały i sądy apelacyjne są rzeczywiście dość niewyraźne, lecz one istnieją naprawdę. Nigdy przecież nie przyszło mi do głowy, by poszukiwać potencjalnych potwierdzeń i odwoławczego systemu na przykład w angelologii. Aczkolwiek skądinąd znana nam jest bogata ikonografia aniołów, to przecież nigdy na tej podstawie nie twierdziłem, że człowiekowi wyrosną skrzydła i będzie fruwał. W beletrystyce jestem scjentystą. Staram się w każdym razie. Nie daję przecież również wiary powszechnie rozpanoszonym poglądom na temat UFO czy popularnej dziedzinie, utworzonej przy walnym udziale Ericha von Dänikena, na temat praastronautów. On lansuje obraz człowieka, który sam nie potrafi niczego mądrego zrobić, więc musi przyjść ktoś z kosmosu i nauczyć go budować piramidy bądź lepić garnki. To jest właśnie urąganie rozumowi, poniżanie sprawności ludzkiego umysłu i głupkowate bredzenie. Zawsze stałem na gruncie racjonalnym i starałem się dawać — najlepiej jak umiałem — wyraz swoim rzetelnym przekonaniom.

— Czy nie myślał pan zatem, by odnaleźć sposób — choćby w tekstach dyskursywnych — na zaznaczenie linii demarkacyjnej pomiędzy faktycznym stanem nauki a własnymi wyobrażeniami prognostycznymi?

— Nie myślałem. I to nie dlatego, abym był szczególnie perfidną naturą, lecz dlatego, że jest to bardzo trudne do zrobienia. Proszę bowiem wziąć pod uwagę, że gdyby się trzymać tej wytycznej, to napisanie takiej książki jak *Summa technologiae* byłoby niemożliwe. A gdyby trzymać się jej jeszcze ściślej, tak jak np. Cornelius z *Opowieści o pilocie Pirxie* swoich anankastycznych przyzwyczajeń, to — będąc wybitnym fizykiem — nie można by napisać popularnonaukowej książki o „czarnych dziurach".

— *A to niby dlaczego?*

— Dlatego, że poglądy wszystkich uczonych na ten temat wcale się nie pokrywają. Jest pewien rdzeń, gdzie opinie się na siebie nakładają, ale pozatrzonowe obszary pozwalają już na odmienne interpretacje, więc należałoby pisać, że Stephen Hawking twierdzi tak, Roger Penrose owak, a Denis William Sciama jeszcze inaczej. A ponieważ tych badaczy jest ze czterdziestu, więc należałoby pisać ogromne *chrestomatie*. Gdyby przejść z terenu fizyki, która dziś jest — tuż po matematyce — królową nauk, na obszar biologii, to otrzymamy obraz istnego nieszczęścia. Jeśli zaś wejdziemy w teorie medyczne, wówczas wkraczamy w koszmar, bo etiologia pewnych schorzeń w internie będzie zupełnie inaczej wyglądała w opinii profesora A niż w opinii profesora B. A to są bardzo wstępne trudności, które nie pozwalają na przeprowadzenie takiej demarkacji.

Dam panu przykład jeszcze innych trudności. Istnieją bardzo gwałtowne spory wokół tego, czy istnieje działanie na odległość przekraczające szybkość światła, czy też nie istnieje. Koncepcja dopuszczająca taką możliwość wynika z pewnej — nie bardzo ortodoksyjnej, lecz nie wariackiej — interpretacji mechaniki kwantowej. Jeśli rodzi się cząstka i antycząstka, które lecą w przeciwne strony, lub jeśli mamy elektron i pozytron, a „zrobimy coś" elektronowi, to wydaje się, że pozytron się o tym „dowiaduje". Nie wiadomo jak. Jest więc dopuszczalna na gruncie nauki interpretacja, że są to przejawy pewnych mechanizmów, do których

jeszcze nie dotarliśmy. Być może więc z tego obszaru wybuchnie jakaś następna wielka rewolucja w fizyce. Trudno przecież uwierzyć, że przeżyliśmy ostatnią. Nigdy nie stałem na stanowisku, że w nauce znajdujemy się na gruncie utwardzonym i wszystko wiemy na pewno. Ze względu na to, poruszając się w przyszłość, stopniowo tracimy oparcie. Sytuacja przypomina stąpanie po zalodzonym jeziorze, które najgrubszą warstwę pokrywy posiada przy brzegach. Nie sposób ustalić miejsca, w którym lód zacznie się pod nami załamywać, gdyż jest to zależne od mnóstwa czynników, które są niemierzalne. Najrozsądniej zatem byłoby wcale nie zapuszczać się w głąb jeziora, a zatem nie mówić nic o przyszłości. Ale jeżeli się chce to czynić, jest się skazanym na ryzyko braku kryteriów.

Pan się może będzie śmiał, ale ja istotnie kiedyś myślałem, czy w swoich tekstach nie wprowadzić na marginesach jakichś znaków umownych: znak małego ryzyka wypowiedzi, znak większego ryzyka wypowiedzi i tak dalej. Coś takiego jak kwantyfikatory oznaczające znak pełnej asercji bądź cząstkowej. W logice tradycyjnej, dwuwartościowej, mówi się jednak albo z pełną asercją lub bez niej. Nie mogę twierdzić, że pada deszcz, ale wierzę w to w sześćdziesięciu procentach. To by skomplikowało sprawę, bo niby jak to robić? Walić na marginesach nonparelem? To nie ma sensu, bo wszak ja sam nie wiem, jaka jest wiarygodność pewnych szczególnie zuchwałych orzeczeń. Czytelnicy też by zresztą nie wiedzieli, jak się wobec takich znaków „ustawić”. Dlatego też w całości zaniechałem takich chwytów, które czasem przychodziły mi do głowy.

— Brzmi to przekonująco, ale zastanawiam się, czy w tym mariażu nauki z literaturą ta ostatnia nie będzie poszkodowana?

— Nie wiem. Kiedyś jednak sobie pomyślałem: jak to, moim kolegom „po fachu” wolno robić wszystko, a mnie

nie? Innym wolno niszczyć siekierą składnię, znęcać się w dowolny sposób nad językiem, porzucić fabułę i odrzucać zasadę niesprzeczności zdarzeń, a mnie nie wolno? Dlaczego nie miałbym wprowadzić języka fikcyjnej nauki lub wykładów takiej filozofii, o jakich marzył kiedyś Jorge Luis Borges, lub nieistniejącego słownika, encyklopedii, zmyślonej kosmogonii czy całego wreszcie „ogrodu nauk”? Myślę, że mi wolno. Dawniej nie można było wejść na teatralną widownię bez eleganckiego stroju, dzisiaj wolno.

A czy przestaje to być literackie? Pytanie jest trudne. Ja nie buntuję się przeciwko tezie: to nie jest literatura! Proszę bardzo, ale w takim razie co to jest? W ostatnich latach pisałem po prostu to, co pisać chciałem. A jeśli istotnie układa się to w ciąg, który można nazwać oddalaniem się od literatury, to widzę w tym przede wszystkim odchodzenie od pewnych konwencji narracyjnych literatury zarówno tradycyjnej, jak i fantastycznej. Dlaczego miałbym ich nie łamać? A czy to jest jeszcze ciągle literatura, nie mnie chyba rozsądzać.

— *Takiego zakazu nigdzie nie ma, ale traci pan wielu czytelników, przekraczając tę granicę.*

— Przyznam się panu, że ja się specjalnie nie pasjonuję myślą, jak wielu ludzi weźmie moje książki do ręki. Jestem nawet zdumiony, kiedy przychodzę do pralni chemicznej przy moście Dębnickim, a tam czai się na mnie prasowaczka z przygotowanymi do podpisu *Golemami*, które chce podarować swoim dzieciom, z których najstarsze ma dziewiętnaście lat. W takich sytuacjach jestem doprawdy zmieszany. Nie sądzę bowiem, aby osiemdziesiąt tysięcy czytelników, którzy kupią tę książkę, miało z niej wielki pożytek. Ale co mam zrobić? Napisać elementarz do *Golema*, a potem wersję dla drugiej, piątej i dziesiątej klasy? Trudno, życie jest krótkie, a człowiek się spieszy. Robię więc to, co mnie najbardziej interesuje, i staram się czynić to najlepiej jak umiem. A że kiedyś robiłem to źle

i głupio, na to nie ma rady — po prostu nie pozwalam wznawiać swoich pierwszych książek.

— Wróćmy jeszcze do modelu pańskiego prozatorskiego scjentyzmu. Z jednej strony brzmi ton poważny i akademicki, a z drugiej wkrada się prześmiewczy chichot profesorów: Gibbona, Schimpansera, Pavianiego oraz Orra, Anga i Utanga (czyli Orangutana). Sam pan podkłada bombę pod swoją naukową wiarygodność?

— Powiem panu w straszliwym sekrecie, że chociaż uczeni nigdy się do tego nie przyznają, to jednak ich robocie towarzyszy czynnik ludyczny, z tym jednak, że tam panuje większy rygor niż w literaturze. Ja mogę sobie pozwolić na więcej gry i zabawy, a bardzo to lubię. Od czasu kiedy nie mamy już złotoustych kaznodziejów w rodzaju Skargi, nie uchodzi rozpętywanie frenetycznych nastrojów. Dziś nie można być Skargą poważnie. Kołakowski pisał kiedyś o dwóch postawach: kapłana i błazna. Pozycja błazna daje kolosalne możliwości.

Czy pan wie, jaka to przyjemność wdzierać się w szeregi „uczeńców", którzy zjedli swoje i cudze zęby przy obliczeniach na synchrotronach, a potem nagle okazuje się, że nie oni, ale dyletant, bałwan i ignorant miał rację? To jest wprawdzie satysfakcja pozaliteracka, ale za to niezwykle zabawna. Mógłbym naturalnie głosić swoje prawdy poważnie i monumentalnie, jak Nalimow: *„nasza kniga"*, *„my uważajem"*, ale bezpieczniej jest zmieszać to ze śmiechem. Używać *pluralis maiestaticus* mógłbym tylko w żartobliwej grotesce czy w parodii. Nie uważam, aby wypadało mi wspinać się na takie koturny. Obwarowanie się śmiechem broni mnie przed śmiesznością.

— Stylizacja na błazna rzeczywiście daje ogromne możliwości, ale z tonu Stańczyka łatwo obsunąć się w zwykłą błazenadę.

— Rzeczywiście, wiele rzeczy, które pisałem jako humorystyczno-fantastyczne, na przykład wczesne części *Dzienników gwiazdowych*, wydaje mi się dziś niemalże

cyrkową błazenadą, która bawi mniej więcej tak, jak jakieś wice. Dzisiaj uważałbym taki pomysł za niegodny realizacji. Tylko tyle mogę powiedzieć. Po prostu zależy mi na tym, ażeby w książce tkwiła ta jakość, którą Noam Chomsky nazywa „głęboką strukturą semantyczną”. A jeżeli okoliczności będą wymagały, aby ona stała się dominująca i zmiotła literackość, nie będę się sprzeciwiał.

Od dawna zresztą dążę podświadomie w tym kierunku. Z natury jestem czarnowidzem i pesymistą. Z upływem lat jeszcze bardziej się to nasila nie bez udziału doświadczeń naszej ojczyzny. Jest rzeczą znaną, że wielcy humoryści na ogół są ludźmi dość ponurymi. Fredro był wprawdzie raczej dobroduszny, ale na przykład Mrożek jest skończonym melancholikiem. Ja także nie jestem ozłacającym humorystą. Jestem raczej z tych, którzy przychodzą do czytelnika z ogromną szprycą kwasu pruskiego.

— Jeśli z tej pozycji spojrzeć, to można panu doczepić bardzo ciekawego antenata, jakim jest Swift z jego „Podróżami Guliwera”. Przy okazji też — choć trop wiedzie z innej strony — zapytałbym, czy poczuwa się pan do pokrewieństwa z Carrollem i jego „Alicją w krainie czarów”?

— Bardzo to wielkie dzieła. Powinienem powtórzyć za Miłoszem: „Będę się starać, mój dziekanie”. Pewien krytyk, oczywiście nie polski, wyprowadził dość cienką analogię pomiędzy moją i jego mizantropią, wykazując, że obaj nie lubimy człowieka, więc Swift wymyślił konie, a Lem co się dało, z robotami na czele. Jest to taka wolta, która ma charakter paralogiczny, gdyż nie ma nikogo, do kogo można by się odwołać. To stanowisko jest wymyślone. Choć jeśli pan weźmie z *Bajek robotów* tę grozę opowieści o „bladawcach” i obrzydzenie, z jakim opowiada się o „kluchozlepnych”, to pewne analogie się nasuwają. Mimo że nie robiłem tego z pomrugiwaniem w stronę Swifta, to jednak okazało się, że jest tu jakieś

podobieństwo. Pamięta pan pewnie ten fragment, gdy Guliwer wraca do domu, gdzie wita go żona i całuje… a on mdleje z obrzydzenia. Jeśli wnioskować z tego zakończenia, on był większym mizantropem niż ja.

A jeśli chodzi o *Looking Glass*, to niewątpliwie mogę odnaleźć pomiędzy obrotami wyobraźni u Carrolla i u siebie pewne podobieństwa, ale nie są one szerokozakresowe, gdyż dotyczą tego, co można nazwać matematyczną odmianą wyobraźni. Są takie paralogizmy… Kiedy na przykład królowa mówi do Alicji, że tutaj jest taki świat, w którym trzeba biec jak najszybciej, aby stać w miejscu, to jest to rodzaj żartu, który w pierwszym oglądzie wydaje się absurdalny, ale przy rozeznaniu w matematyce abstrakcyjnej lub w zjawiskach fizycznych staje się realny. To wydaje mi się dość bliskie.

— Trudno odeprzeć wrażenie — zresztą pan już to wstępnie potwierdził — że traktuje pan literaturę trochę instrumentalnie. Instrumentalnie w tym sensie, że jest ona „po coś”, że przypisał pan jej określone zadania. Rad bym więc wiedzieć, co pan myśli swoimi dyskursywnymi traktatami i uscjentycznionymi groteskami załatwić?

— Ha! Uszczęśliwić świat, przepowiadając mu wszystko, co go czeka, jeżeli mnie nie posłucha. To są prognozy ostrzegawcze. Inna rzecz, że zwykle nikt na to nie zważa. To słynne przekleństwo Kasandry: przepowiadać prawdę i nie być wysłuchaną. Prognozy typu „pójdę jutro do teatru”, po czym idę do teatru, są samospełniające się. Czym jest mój głos wobec komputerowych modeli dowodzących granicy industrialnych wzrostów, powstałych po pierwszym raporcie Klubu Rzymskiego? Mógłbym sobie wziąć Kasandrę za patronkę.

— Więc, żeby się zdystansować, używa pan groteski?

— W jakim sensie?

— W takim, że oscylacja między tragizmem a drwiną chroni przed frustracją, że nikt pana nie słucha. Ale wtedy

z kolei traci pan szansę na satysfakcję wyrażającą się w słowach, które zna każdy rodzic: „A nie mówiłem”?

— Po pierwsze, jeśli się zdarzy to, co się zdarzyć może, nie będzie komu powiedzieć: „a nie mówiłem”. A po drugie, pamięta pan na pewno klasyczne powiedzenie Pascala?

— *O myślącej trzcinie?*

— Właśnie. Jej cholernie zależy na tym, żeby wiedzieć, co ją łamie, prawda? Jest mi to szalenie bliskie. Ja chcę wiedzieć, i ta wiedza jest dla mnie wartością *per se*; wartością nie wymagającą dalszych uzasadnień. To nie jest wiedza podobna do tej, w jaki sposób zrobić kruchy placek. Kiedy nie mam ochoty go piec, to receptura gastronomiczna z tego zakresu jest mi na nic. Każdy ma swoje własne zamiłowania: piłka nożna, kopulacja, picie piwa z puszki. Mnie natomiast ogromną przyjemność sprawia dowiadywanie się różnych ponurych rzeczy z trudnych książek.

— *Każdy poszukuje instancji, która wydaje mu się stabilna. Dla pana jest nią nauka. A czy zna pan epitet, którym obdarzył pana Leszek Kołakowski: „wybitny ideolog scjentycznej technokracji”? Jak odpowiadają panu ukryte w nim podteksty?*

— No nie! Twierdzę z właściwym mi niepomiarkowaniem, że uważam je za całkowicie chybione zarówno w stosunku do dzisiejszego Lema, jak i tego, który pisał *Summę*. Kiedyś Słonimskiemu zarzucano defetyzm, argumentując, że przecież Gdynia się rozbudowuje. On wtedy powiedział, że w takim razie każdy felieton zaczynać będzie od następującego zdania: „Mimo tego, że Gdynia się rozbudowuje…” A żeby oszczędzić papieru, obiecał stosować skrót: „mtżgsr”.

Trudno mi zaczynać każdą książkę od takiego zastrzeżenia: „Pomimo to, że wszystkie środki można wykorzystać jako środki zagłady…” Potęga nauki jest jedną rzeczą, a ten świat, który robi z niej tak straszliwy użytek, to rzecz druga. To są dwa porządki, które się wprawdzie

przecinają, ale nie można twierdzić, że odpowiedzialność za wszelkie zło spada na naukę. Zajmowałem się środkami, a nie celami.

Jeśli pisałem na przykład o ciekawej z punktu widzenia filozofii eksperymentalnej — choć mało prawdopodobnej — fantomatyce, to przecież akcentowałem, że jej społeczne rezultaty będą prawdopodobnie koszmarne. Nie zajmowałem się tym, jakie wtórne rezultaty może dać określone osiągnięcie i co za jego pomocą można zrobić ze światem. Jeśli gatunek ludzki sam się na siebie targnie, to po prostu nie będzie niczego. Ta strona zagadnienia jest tyleż przerażająca, co i banalna. Nie zajmuje mnie ani zagadnienie zagłady ludzkości, ani problem takiego okaleczenia cywilizacji, że przez sześćset lat się nie podniesie. Z tego jednak nie wynika, abym miał być wybitnym ideologiem scjentycznej technokracji.

Technokracja zakłada rządy technokratów. Gdzie ich można znaleźć w mojej twórczości? Pod jednym względem można mnie tylko uznać za większego technokratę niż w latach sześćdziesiątych. Wtedy bowiem kategorycznie odżegnałem się od maszyny do rządzenia państwem, a dziś wcale nie uważam tego za bezsensowne. Odpowiednio obwarowana zabezpieczeniami maszyna (oczywiście przed wtargnięciem żądnych władzy ludzi) mogłaby rządzić znacznie bezstronniej niż którykolwiek z polityków.

Tę kwalifikację Kołakowskiego uważam więc za krzywdzącą. To tak, jakby profesora patologii chorób zakaźnych, który wykłada przebieg śmiertelnie ciężkich schorzeń cholery, tyfusu i dżumy, nazwać wybitnym ideologiem powszechnej epidemii. On się po prostu zajmuje obrazem chorób. Dlaczego zatem Kołakowski mnie nazwał ideologiem? Nie wiem!

Kiedyś w jednej z dyskusji sugerowałem, że obszar panowania filozofii sukcesywnie maleje. Arystoteles zajmował się jeszcze ruchami ciał niebieskich i usiłował do tego dojść czystym rozumem, ale następne pokolenia

filozofów zostały z astronomii wyeksmitowane. Takie odstępowanie różnych obszarów filozofii na rzecz empirii czy przyrodoznawstwa wciąż postępuje. Nigdy nie twierdziłem jednak, że doprowadzi to do sytuacji, gdy stan posiadania filozofii będzie zerowy. A on mi to imputował. Ponadto twierdził, że wszystkie pytania, które stawiali Platon z Plotynem, są wciąż aktualne. Ja się z tym nie zgadzam. Co prawda nieprędko, ale dojdzie do bardzo zasadniczych przemian.

— Strzelę więc do pana raz jeszcze z równie grubego — choć nie przeze mnie odlanego — działa. Są tacy, którzy twierdzą, że pańskie prace dają alibi nauce w tym sensie, że zmiany terminologiczne substytuują rzeczywisty postęp poznawczy.

— Nauce nie jest potrzebne żadne alibi. Ani moich książek, ani niczyich innych. To, że nasz świat może być w parę chwil rozbity na proch, nie jest wymyśloną konsekwencją istnienia pewnych tylko odgałęzień nauki. Skomputeryzowany świat monopoli i konsorcjów, którego istnienia wprost nie odczuwamy, nie jest żadnym zmyśleniem. Jeśli za pomocą nauki można przekuć teorie w realne urządzenia, to kończy się wszelkie gadanie. Trzeba w tym na co dzień siedzieć, aby wiedzieć, jak potworny nastąpił postęp. Jeśli wziąć podręcznik fizyki ciała stałego sprzed dwudziestu lat, to można powiedzieć, że ona jeszcze nie istniała, a już teraz Japończycy wymyślili substancje organiczne, które się robi z etylenu, mające własność przewodzących prąd metali. Pojawia się zupełnie nowa grupa ciał. My z naszej perspektywy zupełnie nie ogarniamy tego, co się dookoła dzieje. Siedzimy przy komputerach z brzozy i buka, więc nie wiemy nic!

— W jednej ze swoich książek pisze pan, że „metafizyka jest zespołem czynników scalających, zespołem reguł nadających sens i pozwalających rozumieć”. Nic lepiej nie sieje defetyzmu metafizycznego niż ukochana przez pana

nauka, która dobrze dała się we znaki wszystkim religiom i systemom metafizycznym.

— O tych rzeczach pisałem w sposób znacznie bardziej wyrafinowany, lepiej uargumentowany i piękniejszy stylistycznie, niż mogę to uczynić tutaj. Defetyzm metafizyczny? Wydaje mi się, że w kręgu kultury śródziemnomorskiej, zeświecczonej, naczelną wartością jest prawda. I to bez względu na rodzaj skutków, jakie przynosi. Jest faktem i jako fakt musi być przyjęte do wiadomości, że istnieje relatywizm kulturowy, wywołany samym faktem istnienia wielu kultur, wielu religii i nietożsamości skal aksjologicznych wyznawanych przez poszczególne formacje historyczne. Z tego relatywizmu wcale nie wynika, że kulturę można porzucić tak, jak się zrzuca kapotę. Dzięki niemu wiemy, że żadna rzecz nie jest konieczna ani jedyna, więc ludzie koniecznie potrzebują jakiejś hybrydy kulturowej. Kultura to urządzenie, które tym lepiej funkcjonuje, im mniej ludzie zdają sobie sprawę, że jest ona ich wytworem. Jej sankcja nie powinna być umieszczona w pomysłowości ludzkiej, lecz w transcendencji. Tu nie ma sprzeczności. To jest tak, jakbyśmy chcieli powiedzieć, że skoro człowiek wie, iż musi umrzeć, to nie warto żyć. Wiemy, że bez wątpienia umrzemy, ale jednak chcemy żyć.

— Nikt jeszcze nie sformułował jasno takiego zarzutu, ale w wielu wypowiedziach wyraźnie tkwi: Lem to człowiek, który zamknął się w naukowej wieży z kości słoniowej, a kraj się wali. Wie pan chyba, jaki ukrywa się tu podtekst?

— Byli tacy krytycy, oczywiście nie w kraju, którzy pisali, że nikt tak surowo i jednoznacznie jak Lem w *Dialogach* nie analizował inherentnych wypaczeń w tym systemie. A przecież pisałem tę książkę w 1954 roku. Wyszła w trzech tysiącach nakładu i pies z kulawą nogą o niej nie napisał. Doskonale pan wie, że liczne fragmenty są ciągle aktualne i przy każdym kolejnym kryzysie dają się doskonale

przykładać do tkanki realności. Ile razy można powtarzać siebie samego?

Napisałem esej, który dołączyłem do kolejnego wydania *Dialogów*, analizujący epokę gierkowską tak, że zdjęła go cenzura. Jako członek Komisji przy Prezydium PAN „Polska 2000” odpowiadałem na ankiety, pisałem prognozy rozwoju kultury polskiej do roku 1990, odpowiadałem na cyrkularz prof. Bogdana Suchodolskiego, w którym pytał o przyszłego człowieka i efekty wychowywania go w Polsce (publikowała to trzy miesiące po Sierpniu „Polityka”). Nie chowałem tego wszystkiego pod korcem, lecz podawałem do publicznej wiadomości. Co jeszcze mógłbym robić?

Przyznaję, nigdy nie lubiłem podpisywania zbiorowych listów i protestów, ale kiedy uważałem, że jest to konieczne, też to czyniłem. To prawda, że nie biegałem nigdy z transparentami po ulicach, ale to nie leży w mojej naturze. Jestem kotem, który chodzi własnymi drogami, a jeśli czuję się w obowiązku zaprotestować, czynię to sam. Podług mojego rozeznania moralnego, nigdy zbyt daleko nie uciekałem od tego, co się u nas działo i dzieje.

Twierdzę, że problem przemocy nie jest problemem intelektualnym, bo przeciwko gołej sile najtęższy umysł nie może nic.

— *Ale jest to problem moralny.*

— W porządku. Pewien Amerykanin trafnie wskazał, że *Cyberiada* jest książką, która pokazuje, jak rozum zwycięża potężne zło, nikczemność, podłość i żądzę władzy. Jest to bez wątpienia działalność kompensacyjna. Proszę pod tym kątem spojrzeć na *Ofertę króla Okrucyusza* czy *Figle króla Baleryona.*

— To są dwie różne rzeczy. Fakt, że istnieją teksty tego rodzaju i każdy je może przeczytać — to jedno. Ale stabilność takich zarzutów — ferowanych na przekór tekstom — że Lemowi za stertą naukowych książek jest lubo, wygodnie i daleko od świata — to drugie. Fakty zdają się nieistotne. Tu właśnie tkwi problem.

— Zdarzało mi się używać ezopowego języka, ale raczej dość rzadko. Problem, którego pan dotknął, istnieje. *We Wschodach i zachodach księżyca* Konwicki pisze o mnie z ogromną sympatią, a równocześnie wyraża chyba całkiem serio przeświadczenie, że oddaliłem się od normalnego pisarstwa taktyką niejako unikową, i nie może zrozumieć, czemu na ten porzucony teren nie wróciłem. Jakby gwiazdy i komputery były moim azylem. Jakbym pisał książki w duchu eskapistycznym, to znaczy ucieczki od rzeczywistości. Uważam, że tak nie jest.

Jesteśmy wszyscy chorzy na polonocentryzm. Są po temu bardzo ważne, nieraz tragiczne, przyczyny, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. A jednak, mimo tego, co się dzieje w Polsce i z Polską, jest ona tylko malutkim skraweczkiem świata, w którym żyjemy, i to jeszcze tak złączonym ze sprawami globalnymi, że one będą decydowały w końcu i o polskich losach.

Dzięki obserwowaniu własnych książek, a nie dzięki doraźnej samowiedzy zorientowałem się, że w mojej naturze leży dążenie do ostatecznych wniosków, do ekstremów, skrajności, ale tylko takich, które są umieszczone w obrębie tego, co możliwe. Tego, co naprawdę może się zdarzyć. Można to nazwać wykraczaniem aż po ostatni horyzont spraw i kwestii, które dziś są jeszcze do pomyślenia i do ryzykownego przewidywania.

Spróbuję pokazać tę moją pasję na paru przykładach. Etykosfera w *Wizji lokalnej* to taka postać niewidzialnie narzuconych ludziom przykazań, która jest najdalszą ekstrapolacją z instrumentalnego traktowania moralności. Podobnie wizja ektoków z *Wizji lokalnej* jest najskrajniejszą wersją nieśmiertelności uzyskanej dzięki środkom technologicznym. *Golem* jest najdalszą wyobrażalną ekstrapolacją z bezmyślnego i przez to nieskończenie posłusznego komputera. *Niezwyciężony* jest ekstremalnym przypadkiem ewolucji całkowicie martwych i doskonale

apsychicznych układów. *Solaris* jest pokazem ekstremalnie odległej od naszych umiejętności technologii, oceanu, który potrafi robić to, co człowiek musi uznać za cud. Wszystko jednak zachodzi w porządku naturalnym, a nie nadprzyrodzonym. Niebo, w które wierzy Golem, jest pozbawione Stwórcy, ale nie jest puste, bo urasta w nim piramida coraz potężniejszych rozumów. W *Powtórce* jest — żartobliwie — ale jednak zaproponowana Nowa Genesis. Trurl z Klapaucjuszem usiłują stworzyć Nowy Lepszy Wszechświat. W *Kobyszczęciu* chodzi o syzyfową robotę nad „ostatecznym uszczęśliwieniem" istot, specjalnie po to „przyrządzonych", żeby ten szczyt mogły osiągnąć. Jest więc w całej tej rozbieżności konsekwencja, jest w tym metoda, jest autentyczne poszukiwanie granic czy stref przygranicznych człowieka, rozumu, społeczności. Uznawać to wszystko za pola obsiane — jak kukurydzą — samymi dziwolągami, które wyhodowałem, żeby się w nich schować, to, mówiąc delikatnie, pewne nieporozumienie.

— Skoro weszliśmy już w temat, który w szkołach wtłacza się pod hasło „powinność wobec ojczyzny", to może przesuńmy obiektyw naszej rozmowy na drugi wielki temat naszej literatury: „miłość". Boję się powiedzieć, że w tej kwesti jest pan wyjątkowo wstrzemięźliwy. Jedyne pary odnajdujemy w „Solaris", „Obłoku Magellana" i w „Powrocie z gwiazd". Pomijam celowo „Szpital Przemienienia", bo chodzi w nim o katharsis, a nie o seks. Czyli jest to wątek w pana prozie wybitnie rachityczny. A przecież w „Fantastyce i futurologii" zapewnia pan, że antycypacja jest ściśle złączona z prognozowaniem przemian w sferze uczuciowości i obyczajowości, także erotycznej.

— Bagaż somatyczny, w który nas wyposażyła antropogeneza, jest dany z góry i nic na to nie można poradzić. To mi się zawsze wydawało bardziej frapujące od różnych trywialności spółkowania, podobnie jak rozważania nad uwarunkowaniami, które sprawiają,

że kobietę raz nazywamy obiektem seksualnym, a innym razem pojawia się ideał miłości traktowany personalistycznie (to, co w patologii nazywa się superfiksacją). To wszystko jest naturalnie bardzo ważne w literaturze, ale przyznam szczerze, że chociaż jestem normalnym człowiekiem, mam żonę i dziecko, które kocham, to jednak zawsze denerwowały mnie twierdzenia, iż literatura nie może istnieć bez kwestii erotycznych.

Jeśli spojrzymy na wielkie prace naszej literatury dziewiętnastego wieku, to okaże się, że *Lalka* jest nie do pomyślenia bez Izabeli Łęckiej. Co by miał robić Kmicic, gdyby nie było Oleńki? — doprawdy nie wiadomo. Jest naturalnie miłość do ojczyzny, ale jako motor napędowy erotyka to bez wątpienia duża siła.

Uważa się powszechnie, że pisarz powinien czerpać z najbardziej osobistych i intymnych złóż swojej biografii. Ja się z tym zgadzam, ale *cum grano salis*, po prostu dlatego, że moje życie nie kręciło się wokół spraw seksualnych. Już jako chłopiec bardziej interesowałem się różnymi mechanizmami niż damskimi okrągłościami. Oczywiście zajmowały mnie dziewczynki, ale w większe wzruszenie wprawiały mnie gwiazdy, gdyż uważałem, iż są one bardziej godne zgłębienia od zagadek, które kryje w sobie kobieca … (*śmiech*) powiedzmy, psyche. No tak było! Mam nadzieję, że w niczym mi to nie uwłacza.

Jako pisarz nigdy nie posunąłbym się tak daleko jak na przykład Emil Zegadłowicz w *Motorach.* Żeby tak wyjechać z moją erotyczną autobiografią? Zawsze stałem na stanowisku, że należy bronić własnej prywatności. Widać to nawet po *Wysokim Zamku*, gdzie zajmuję się sobą do pewnego tylko momentu, choć przecież nie ukrywam, że kiedyś zostałem przyłapany przez ojca na grzesznej czynności szczypania w goły zadek służącej. Ale żeby z takich rzeczy czynić kanwę twórczości? Nie, to już wolałbym oddać się powieści historycznej…

Większość dramatów, które zajmują się tragicznymi uczuciami, zdradami, trójkątami małżeńskimi, przyprawianiem rogów i rozpadami rodzin, oglądałem zawsze niechętnie, uważając, że to są takie sprawy, przy których nikogo nie powinno być w teatrze, a pokój sceniczny winien się składać nie z trzech ścian, ale z czterech. To są sprawy prywatne. Mam w tym momencie na oczach klapki. Nie interesuje mnie psychologia poszczególnych osób, jeśli nie jest wykładnikiem problemów wyższorzędnych. Zawsze miałem bowiem skłonność do transcendowania i przekraczania jednostkowych problemów, z których zbudowana jest materia literatury.

— *Strach pomyśleć, co zostałoby z klasyki światowej, gdyby każdy pisarz myślał w ten sposób.*

— *Czerwone i czarne* Stendhala — to oczywiście bardzo ładne. *Romea i Julię* Szekspira też bardzo lubię, ale przecież nie dlatego, że jest to wspaniała miłość, ale dlatego, że to jest znakomita poezja. Odmiennie — w różnych kulturach — kształtujący się stosunek pomiędzy miłością seksualną, czyli po prostu aktami płciowymi, a sferą sublimacji wywoływał we mnie zwykle odruch uśmiechniętego zdziwienia, bo zawsze mi się wydawało, że jest to dziedzina dotycząca pewnych uniwersalnych popędów, którym wszyscy ulegamy na tych samych prawach jak potrzebie jedzenia, picia czy oddychania. Wiadomo, że musimy się rozmnażać, bo tak już jest, ale sprawa ta zaczyna być dla mnie interesująca, gdy wykracza poza normalność. Nie wiem, czy pan rozumie?

— *Domyślam się, że nie chodzi panu o homoseksualizm, nimfomanię, sodomię i nekrofilię... Od razu więc mam w tej kwestii pytanie: w „Summie" porusza pan kwestie erotycznej fantomatyki, więc wyobraźnia z miejsca podsuwa wizje kauczukowych partnerów czy partnerek, maszyn masturbacyjnych, hedomatów czy paradyzerów, ale w pańskich groteskach coś tego niewiele.*

— W *Cyberiadzie* nie było na to specjalnie miejsca. Ale już w *Dziennikach gwiazdowych* są różne hocki-klocki z Dychtończykami, którzy się „doprzyjemniają”. W *Wizji lokalnej* też są sytuacje z antypodów biologii ludzkiej, bo seks został pokazany jako rodzaj sportu uprawianego wyłącznie w biegu.

— To udziwnianie widać i w „Solaris”, i w „Powrocie z gwiazd”. Harey jest neutrinową kopią realnej kobiety, Eri z „Powrotu” jest „furtką” prowadzącą do nowej cywilizacji, zaś aktorka z realu oddaje się bohaterowi tylko z potrzeby mocnych wrażeń, takich mniej więcej, jak siedzenie w klatce z tygrysem.

— Istotnie tak to wygląda. Nie jest wykluczone, że ja bym napisał jakiś utwór przedstawiający, jak pan sugeruje, seks uprawiany z androidami, ale jakoś tego nie zrobiłem.

— Dlaczego?

— Właściwie nie wiem — widocznie niezbyt mnie to frapowało. Ale może być też tak, że kiedy się jest pisarzem polskim — tak to przynajmniej odbierałem w latach, gdy dorastałem do pisarstwa — to żyje się w rozmaitych powściągach nałożonych przez purytańskie obciążenia, które płyną z całej naszej literatury, więc czyniłyby rzecz taką sprośnym wybrykiem.

— Proszę, tak pan agitował za łamaniem różnych konwencji fabularnych, konstrukcyjnych i innych, a tutaj miał pan opory?

— Gdyby ktoś bardzo natarczywie dociekał, to nie jest wykluczone, że natrafiłby we mnie na jakiś bierny posłuch dany dyrektywie Tarnowskiego, która stanowi, że „książki powinny móc leżeć na stole w domu, gdzie są dorastające panienki”.

Znacznie bardziej pasjonowały mnie sytuacje takie jak ta z *Dzienników gwiazdowych*, kiedy pojawił się dobroczyńca, który wynalazł środek znoszący całą przyjemność związaną z uprawianiem seksu, a widząc brak zainteresowania, nasypał go do studni w miasteczku i był zdziwiony, gdy

postanowiono go z wdzięczności za ten wspaniały czyn powiesić, co, jak pan pewnie pamięta, starannie wykonano. To jest chyba typowe dla mnie podejście do tych spraw.

— *Dla pana typowe jest też naigrawanie się z połączenia sfer erogennych z wydalniczymi.*

— Ale to jest kwestia, z której ludzie sobie na ogół nie zdają sprawy. Zajmowanie się tym w kategoriach powagi jakoś nie przystoi, ale w grotesce jest usprawiedliwione. Przecież wcale niegłupi jest *Traktat niemoralny* Hetatutatiuksiurxiruksa:

„Jakież natury oskarżenie
stanowi los nieszczęsnych Ziemian
Zmuszonych mieć w miłosnej cenie
metabolicznych ujścia przemian.
Litością zdjęty, kosmos cały
wyciąga do was, ludzie, dłonie,
Co macie uczuć ideały
w najpaskudniejszym ciał regionie”.

Albo czyż nie jest zabawny tekst, na który powołuje się prof. Todorov?

„Gdy w pędzie dziewczę me zapylę,
Liryki piszę, w których tańczą
Pszczółki, różyczki i motyle.
Lecz ty, nieszczęsna ludzka nacjo,
Która kochając swe samice,
Musisz się łączyć opętańczo
Niestety, z ich kanalizacją
Zali wysławisz ją — w liryce?”

To rzeczywiście są brzydkie śmichy z naszych „urządzeń”, ale ta względność ewolucyjnych rozwiązań, a zarazem ich absolutna przypadkowość, to już zupełnie inny kaliber zagadnienia. Sama zasada tego zjawiska nie jest już żartobliwa. Przecież tu chodzi o uwięzienie naszego gatunku w tych rozwiązaniach technologicznych, które metodą prób i błędów, w tym wypadku na pewno błędów, „odnalazła” ewolucja.

— Pan ma szczególny dar do wyszydzania istoty ludzkiej i zrzucania jej z piedestału człowieczeństwa. Czy nie myślał pan, aby wyrazić tej potrzeby w formie filozoficznego traktatu lub dziennika?

— Wobec dzienników czuję jakiś wewnętrzny opór. Jeśli zaś chodzi o traktat, muszę powiedzieć, że to jest raczej niewykonalne, gdyż moich przekonań nie dałoby się ułożyć w system, który byłby logicznie spójny i niesprzeczny. Epoka układania takich systemów minęła już bezpowrotnie. Nie można w jednej głowie zmieścić tylu rzeczy, które byłyby konieczne, gdyby się chciało uczciwie taką rzecz wykonać.

— Spotykam się czasem z sugestiami, że Lem powinien napisać powieść realistyczną. Sam czasem tak myślę…

— To jest dziwne, bo ja też spotykałem się z tego rodzaju uwagami. Dlaczego miałbym napisać taką powieść?

— Jej siła przebicia na rynku jest znacznie większa.

— Co, że miałbym dziesięć milionów nakładu zamiast ośmiu?

— Nie, chodzi raczej o to, że kostium fantastyczny czy groteskowy odbiera utworom — w przekonaniu literaturoznawców — dostojeństwo i rangę.

— Zakres pojęcia „realizm” w literaturoznawstwie nie został objawiony ani na górze Synaj, ani w Kanie Galilejskiej. Ten zakres zmieniał się historycznie, ale nie chcę robić tu wykładu, zwłaszcza że musiałbym referować poglądy, z którymi nieraz się nie zgadzam. Na kolanie można by naszkicować taki trójczłonowy schemat: „realizm bezpośredni”, „realizm w instancji pośredniej” oraz „realizm w granicznym odrywaniu”. Pierwszy to tyle, co potocznie uważa się właśnie za realizm, z ewentualnymi kłótniami, ile tam przymieszki naturalizmu. Drugi typ to literatura podejmująca realne problemy, lecz obrazująca je niekoniecznie realistycznymi środkami. W takim ujęciu *Katar* to realizm pierwszego typu, a *Niezwyciężony* drugiego. I na koniec realizm typu trzeciego, czyli zupełne

zerwanie z kanonami typowo beletrystycznymi, a zatem z psychologią i fabularyzacją. Jednym słowem, chodzi o przejście od losów ludzi do losów jakichś idei i spraw. Gdy „bohaterem” staje się już taka koncepcja, można mówić o realizmie tylko wówczas, kiedy się ona przecina z naturalnym porządkiem rzeczy. Komputer, który się spalił od krótkiego spięcia i straszy jako cyfrowy duch, to czysta fantazja, z rzeczywistością nie może bowiem mieć nic wspólnego. Gdyby się w utworze komuś to przyśniło, inna rzecz. Natomiast ekstrapolacja z komputerów ósmej generacji na osiemdziesiątą, czyli na Golema, to dla mnie właśnie „realizm w granicznym odrywaniu”. Golem nie ma nic wspólnego ze zjawiskiem nadprzyrodzonym albo ze stanami, których niemożliwość zaświadcza najlepsza nasza wiedza.

Oczywiście mówię tylko to, co sobie w tej kwestii myślę, a za uzasadnienie nie mam żadnych apodyktycznie głoszonych aksjomatów, lecz bardzo banalny fakt. Mianowicie to, że problemami, których wieczna fikcyjność jest dla mnie oczywista, nie zajmuję się serio, pisząc książki. A więc dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, co wypełnia okładki science fiction, to nie jest nawet dziesiąta woda po realizmie. Zresztą podobne uszeregowanie klasyfikacyjne można znaleźć na przykład w fizyce, gdzie rośnie uabstrakcyjnianie się jej bazowych pojęć, które, z całą ich nienaocznością, niezmysłowością i niewyobrażalnością, odnoszą się przecież do realnych obiektów tego świata. Co więcej uważam też, że „realizm” — nawet tak ustopniowany — to jeszcze worek albo szuflada z niedostateczną ilością przegródek.

Wizja lokalna nie tylko spokrewnia się w moim rozumieniu z realizmem drugiego rodzaju, ale ponadto jest literaturą typu „meta”, ponieważ wprost nie odnosi się do żadnego świata, lecz do pewnego tekstu, mianowicie do *Czternastej podróży Ijona Tichego*, czyli jest to literacka wariacja na temat pewnej opowieści (też literackiej).

— Czyli możliwa jest i „meta-metaliteratura”?

Sądzę, że tak, i że warto jej spróbować. To wszakże, czy ktoś lubi tylko realizm pierwszy, czy raczej drugi albo trzeci, jest zupełnie osobną sprawą. Nie genologiczną, lecz „smakową”, a jak wiadomo, *de gustibus non est disputandum*.

Mnie szkoda czasu na lekturę takich utworów realistycznych, które są nieistotnymi wariantami podobnych utworów, napisanych i wydanych już setki tysięcy razy. Jest to moja prywatna sprawa i nic do niej nikomu. Podobnie też z moimi książkami: nie zachęcałem nikogo do ich czytania i nigdy tego robić nie zamierzam.

— Sens tego wywodu jest w istocie prosty: Lem to pisarz realistyczny.

— Owszem, uważam się za pisarza realistycznego, bo zajmuję się sprawami realnymi. Nie interesują mnie problemy takich własności świata, których on nie posiada. Nigdy mnie nie pasjonowały dylematy czasu odwracalnego, przekazywania myśli wprost, bez okólności, i tym podobne. Można założyć sobie świat odmienny, jak na przykład w *Non serviam*, gdzie we wnętrzu komputera modeluje się inny świat i inne istoty, ale wtedy muszę tworzyć dodatkowe warunki wstępne i jest to już enklawa.

Dlatego też zawsze starałem się sprowadzić do minimum wkład fabularyzacyjny. Od dawna nużyła mnie miałkość opowiadania, że „markiza wyszła z domu o piątej”. Po cholerę mi markiza, jej dom i godzina piąta. Trzeba powiedzieć tylko to, co konieczne. Przekonałem się, że produkując streszczenia i wstępy, mogę w tym samym czasie zrobić znacznie więcej rzeczy, na których mi zależy jako na eksperymentach modelowych, niż gdybym poświęcił każdej z nich pełny wysiłek, w dużej mierze tylko rzemieślniczy. Gdybym nie miał świadomości, że jestem bytowo ograniczony do jakichś siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat i że niedługo mój umysł zacznie się z postępującym przyspieszeniem dezintegrować, może

pozwoliłbym sobie jeszcze na nieskrótowe zajmowanie się pewną domeną eksperymentów literackich. Mając jednak sześćdziesiąt lat, czuję się usprawiedliwiony, bo jestem przynaglany okolicznościami, które ode mnie już nie zależą.

— Ta przykra perspektywa, ale daje jednak pewne przywileje w postrzeganiu świata.

— Ale one też są ponure. W późnym wieku dowiadujemy się przede wszystkim rzeczy przykrych. Zwłaszcza tych, rykoszetowo uderzających w naszą godność, niepowtarzalność, pretensje i uroszczenia, które mamy wobec bytu, choć wiemy przecież, że żyjemy tylko jeden raz i nie możemy zostać na drugie życie, jak na drugi rok w tej samej klasie. Egzystencjalnego poznania nie da się całkiem rozdzielić od epistemy.

Zawsze się dziwiłem, że stary człowiek nie jest w stanie przekazać młodym ludziom nic z rzeczy, które są jego udziałem w nędzy świata. Człowiek „w środku” w istocie się nie zmienia i nieraz się dziwi, patrząc na swoje wypadające zęby, wyłysiałą głowę, pomarszczoną twarz i zwiotczałe ciało, bo przecież kiedy zamyka oczy, czuje się tym samym człowiekiem, jakim był dwadzieścia czy czterdzieści lat wcześniej. Wydaje mu się często, że jest to z zewnątrz napadająca niegodziwość, a nie integralna własność jego ja.

— I wtedy, jako „ostatnie słowo”, pozostaje literatura? A ponieważ zgodnie ze słynnym prawem Lema, „nikt nic nie czyta”, łamie pan gatunki i konwencje, by choćby w ten sposób przyciągnąć uwagę i pozostawić ślad?

— Rzeczywiście uprawiałem groteski, wstępy, mieszałem bajki z krańcowymi ustaleniami uczonych i rozsiewałem nad tym wszystkim cybernetykę. Niewątpliwie hołduję dydaktycznemu, pouczającemu typowi literatury — choć nie wynika to z postanowienia — lecz równocześnie uważam, że modalność wypowiedzi musi być zaadaptowana do tego, co się ma do powiedzenia. Uzyskuję to metodą prób i błędów. Generalnej recepty nie ma.

Miłosz powiedział zasadnie, że dostarczamy literaturze polskiej tylko ciastek literackich, a nie chleba, że lubujemy się w grotesce i ironii. To jest świetnie powiedziane: „matką ironii jest bezsilność”. To trzeba rozumieć historycznie, bo innego trybu działania jak poprzez słowo pisarz mieć i znać nie może. A równocześnie przecież trzeba też powiedzieć, że słowem nie można nic zwojować. Czasem tylko ktoś się uprze, jak nasi najwięksi, ale potem się z przykrością okazuje, że ulegali takim czy innym wariacjom.

Pisałem, że współczesna literatura lubuje się w tym, aby to, co okropne i krwią ociekające, krzyżować z tym, co podniosłe i sielankowe. Jest coś na rzeczy, ale to niebezpieczne. Nie można mieszać katharsis z szokiem. To są zupełnie różne sprawy. Łatwo uzyskać szok przez uderzenie pałką w głowę, ale to przecież nie jest dla nikogo stan katarktyczny. Staram się więc przemawiać w swoich książkach w sposób prosty, czasami wręcz prymitywny.

— Nie wiem, jak się z tym spierać, nie wchodząc w lizosostwo. Lepiej więc zapytam, czy nie czuje się pan w gruncie rzeczy tradycjonalistą?

— W większej mierze, niż można to przypuszczać. Może jednak nie tyle tradycjonalistą, ile człowiekiem niemodnym, obojętnym wobec wszystkich kierunków i mód, trendów myślowych i estetycznych, które skaczą jak pchły. Przyznam, że sam nie potrafię dociec wielu źródeł mojej twórczości — ani w sferze osiągnięć intelektualnych, ani też artystycznych. One są, być może, niemożliwe do podmiotowego wysondowania. Nie jestem wcale uprzywilejowany w stosunku do zewnętrznych obserwatorów. Do swoich starych książek mam już spory dystans, więc potrafię jeszcze o nich coś powiedzieć, ale wobec rzeczy nowszych czuję się jak wobec nieokreślonej plazmy. Wiem, że bardzo mało o sobie wiem.

Golem

— Pański postulat, aby „Golema” potraktować osobno i poświęcić mu więcej uwagi niż pozostałym książkom, wskazuje na to, iż przypisuje pan tej pozycji szczególną wagę gatunkową.

— Muszę przyznać, że wysiłek, jaki włożyłem w jej napisanie, nie równał się wysiłkowi napisania żadnej innej. A przecież równocześnie mam dzisiaj poczucie pewnej niedostateczności, zwłaszcza drugiej części, co usiłowałem zamaskować posłowiem. Dopuściłem tam do tego, aby pod adresem Golema padały obelgi i zniewagi; żeby jego otchłanne wynurzenia mianowano obelżywie paranoicznym bredzeniem rozkładającego się monstrum rozumu. To był chwyt, który miał lepiej zabezpieczyć moje flanki.

— „Golem” składa się, jak niektóre znane systemy filozoficzne, ze szczątków, które substytuować mają całość. Jest tam więc wykład inauguracyjny, wykład XLIII oraz komentarze. Wystarczyło po prostu dopisać te czterdzieści jeden wykładów i poczucie niedostateczności zostałoby zniwelowane.

— Muszę panu powiedzieć, że posiadam w brulionach fragmenty kilku wykładów oraz cały wykład Golema poświęcony matematyce. Bardzo szybko jednak spostrzegłem, że zachodzi tu pewna niewspółmierność,

która polega na tym, iż moja kompetencja w dziedzinie najzuchwalszych wykwitów współczesnej matematyki jest zbyt słaba, więc dla wybitnych matematyków propozycja będzie niedostateczna, a dla wszystkich pozostałych czytelników w całości niezrozumiała. Jest to kawał tak cholernej hermeneutyki, że nie miałem odwagi skierować tego do druku, choć skądinąd wiem, że wydawca by to opublikował. Jak pan widzi, poczucie przyzwoitości nie jest mi zupełnie obce, nie wspominając już o umiarze i litości względem czytelników. Poza tym mam głębokie poczucie, że jest to sprawa zamknięta i nie ma do czego wracać.

— *A skąd to przeświadczenie?*

— Sądzę, że nawet gdybym był w stanie pomiędzy pierwszą i ostatnią przemowę Golema wpisać inne, byłoby to zbędne. Nie tylko ze względu na moją niedostateczną kompetencję i obawy, że to się okaże niezrozumiałe dla wszystkich prócz mikroskopijnej garstki fachowców, ale przede wszystkim z powodu nie dającego się niczym uzasadnić poczucia czysto intuicyjnego. To występuje czasem, kiedy się pisze książki: dość, napisałem wszystko, co miałem ochotę powiedzieć. Trzeba umieć rzec sobie: koniec! Nie jest dobrze nawiercać teren, który został już jako tako opanowany.

— *W porządku, z intuicją nie można się spierać. Zapytam o inną rzecz: czy skłonny jest pan uważać „Golema" za summę swojej obecnej wiedzy o świecie i jego wewnętrznych regułach?*

— Nie bez istotnych zastrzeżeń, choć w zasadzie tak. Chcę powiedzieć, że pewne rzeczy musiałem wykonać tak, jak wykonałem, dlatego iż zależało mi na efektach wręcz scenicznych. Musiałem przecież stworzyć w tej książce wrażenie większego rozumu niż ten, którym w istocie dysponuję. A zatem pewne sprawy, które nie były dla mnie zupełnie jasne, w powieści są zeskamotowane.

Kiedy ktoś się bierze do wyłożenia swojego światopoglądu, powinien robić to w sposób absolutnie

uczciwy i rzetelnie zeznać: to wiem, tego nie wiem; tu mam wątpliwości, tu ich nie mam. Tak zasadnicze rozparcelowanie pola dyskursu było dla mnie, jako autora, niemożliwe, gdyż musiałem założyć, że jeśli Golem czegoś nie mówi do ludzi, to dlatego, że nie chce albo dlatego, że to jest tak mądre, że nikt tego nie zrozumie.

Generalnie jednak powiedziałbym tak: w zakresie przypadkowości powstania człowieka sporo z tego, co głosi Golem, zgadza się z moimi przekonaniami, z tym jednak, że wypowiada to z dużą emfazą. Twierdzi on na przykład, iż należy odtrącić całkowicie życie uczuciowe człowieka, wraz z zasadami Ewangelii. Ja oczywiście tak nie uważam. Golem jest adwokatem koncepcji, która głosi, że człowiek powinien „porzucić człowieka", aby mógł stać się sympatyczniejszą i mądrzejszą istotą. Oczywiście nigdy nie głosiłem takiego programu i w ogóle serio tego czynić się nie da. Podobnie teza o stosunku kodu dziedzicznego do poszczególnych osobników i gatunków, które według Golema są tylko wzmacniaczami tego kodu, jest również moją tezą, ale w tej artykulacji jest sporo przesady. Widać tutaj swoistą polaryzację i przesunięcia stanowisk, niemniej niektóre twierdzenia Golema są moimi twierdzeniami.

Gdyby książkę sprowadzić do poziomu perypetii, na którym Golem rozstaje się z ludzkością, to też należałoby spojrzeć z przymrużeniem oka. Jestem mizantropem, ale nie aż tak wielkim jak on. Książka ta jest rodzajem rzutnika, który przenosi obraz w dużym powiększeniu. Gdyby sprowadzić to do skromniejszych proporcji, wówczas okazałoby się, że są to już moje poglądy.

— *A czy wie pan, gdzie przebiega linia demarkacyjna pomiędzy Lemem a Golemem?*

— Dość trudno na to odpowiedzieć. Równie sensownie można by zapytać światowego rekordzistę w skoku wzwyż, co jest jego osobistym dokonaniem, a co niepozbywalną własnością wszelkich skoków.

Mam pewną koncepcję tego, co nazywam rozumem, ale nie potrafię jej nawet w pełni wyartykułować. Ona przejawia się zwykle w sposób upośredniony, gdy piszę takie właśnie książki. Koncepcja ta może być nie do przyjęcia dla całej masy osób, które w niczym nie ustępują mi inteligencją. W przeciwieństwie do Golema, któremu imputowałem całkowity brak osobowości, ja takową zapewne posiadam, więc moje predylekcje w sposób dla mnie zupełnie niedostrzegalny musiały przeciekać w „bohatera".

— Chodzi panu o to, że wbrew swojej woli i oświadczeniom Golema zarażał go pan jednak „człowieczeństwem" swojego myślenia?

— Proszę pana, nie jestem jak on „wolnym rozumem", tylko produkowałem imitacje. Byłem jak ktoś, kto próbuje fałszować banknoty tak, aby nie można ich było odróżnić od autentycznych. Nie znaczy to jednak, że fałszerz jest przekonany, że produkuje oryginały. Nie wiem, czy moje rzeczywiste przekonania w wielu dziedzinach nie stają się w obszarach granicznych mgliste i niepewne. Jako Lem nie byłbym w stanie wygłaszać podobnych stwierdzeń równie kategorycznie i apodyktycznie, jak to czyni Golem. To, że on może mówić z taką ostrością, wynika z tego, iż sfałszowałem pewność jego twierdzeń.

— Czy nie obawia się pan zatem, że Golem stanie się dla pana pułapką? Rozmawiamy już trochę ze sobą, a ja ciągle mam wrażenie, że wciąż powracamy do jego koncepcji. Czyli jesteśmy jak muchy w jego sieci.

— Poglądy, które człowiek żywi w danym okresie swojego życia, zwykle wydają mu się ostateczne. Dam panu charakterystyczny przykład. W jednym z numerów „Twórczości" opublikowano korespondencję pomiędzy Miłoszem a Wańkowiczem. Listy były pisane, gdy autor *Ocalenia* przebywał we Francji i był prześladowany lub wydawało mu się, że jest prześladowany przez całą lewicę francuską; kiedy uważał, że wszystkie usta go już wypluły,

a blok wschodni to wykuta na wieczność w granicie potęga, której nigdy nikt nie skruszy. Wańkowicz, jako partner korespondencji, traktował zagadnienie o wiele spokojniej i starał się wyperswadować Miłoszowi niektóre rzeczy. Jak wiemy, poglądy głoszone wówczas przez przyszłego noblistę nie wytrzymały próby czasu, a czar wężowy, jaki zdawał się nań promieniować ze Wschodu, z czasem prysnął. Miłosz więc niewątpliwie się mylił, zwłaszcza w tej hiperbolizacji zła. Skłonność do tego typu monumentalizacji jest zupełnie zrozumiała, jeśli weźmiemy pod uwagę jego perypetie życiowe — nie musimy już wtedy sięgać po argumenty uwzględniające fakt, że jest to natura poetycka. Norwid też zresztą nie znał umiaru w oskarżaniu wszystkich i wszystkiego, co mu dokuczało.

Chcę zatem powiedzieć, że poglądy, które z perspektywy danego momentu historycznego i życiowego wydają się stabilne, mogą się przecież diametralnie zmienić. Zważywszy jednak, że to jest już schyłkowa faza mojego życia, trudno mi mniemać, abym mógł je jeszcze zasadniczo zmienić. Jednak sposób ich prezentacji, jaki napotykamy w *Golemie*, jest już efektem artystycznej obróbki. To odgrywa bardzo wielką rolę. Proszę bowiem zauważyć, że z chwilą, w której Golem zaczyna mówić, automatycznie zostaje przesądzona kwestia — która wcale nie jest taka oczywista — czy inteligencja „sztuczna” może przewyższyć ludzką. Założenie tej książki jest takie, że może, więc tu nie sposób już było wdawać się w jakiekolwiek dyskusje. Widzi pan więc, że w moim myśleniu jest więcej znaków zapytania niż w myśleniu Golema, ale ze względów konstrukcyjnych i literackich nie można już było z tego zdać dokładnie sprawy. Sama literackość tekstu wiele kwestii z góry rozstrzygnęła.

Sumując więc, powiem, że *Golem* niczego nie zamyka i nie wyczerpuje. To nie jest obwiednia, w której znajduje się całość moich przekonań na najważniejsze sprawy ludzkiego rodzaju i kosmosu. Nie sądzę też, aby *Golem* był

taką czapką, w którą się złapało wszystkie rozumy i jest święty spokój. To nie jest żaden „Lem w proszku”, który wystarczy rozpuścić w wodzie, aby uzyskać całą paletę odpowiedzi. Nie, tak dobrze nie jest.

— Książka, o której rozmawiamy, charakteryzuje się wysokim poziomem scjentyzmu. Momentami odnosimy wrażenie, iż obcujemy z tekstem stricte naukowym. Czy nie myślał pan o nadaniu tej książce wyraźniejszej dystynkcji literackiej? Można było na przykład rozbudować plan zdarzeniowy, który unaoczniłby możliwości intelektualne i sprawcze maszynowych gigantów. Zapewne zaraz pan powie, że go to w najmniejszym stopniu nie interesowało.

— Nie, wcale nie mówię, że tego nie można było zrobić. Nie jest zresztą tak, żeby ten pierwiastek był zupełnie nieobecny. Można było te próby zamachów i historię „zniknięcia” — które tutaj są referowane w posłowiu — rozprowadzić na całą akcję. To mi nie „grało”, ponieważ oznaczałoby przesunięcie akcentów, których przesuwać nie chciałem. W końcu jest to jedna z moich trzydziestu pięciu książek, więc nikt, kto czyta Lema, nie jest skazany wyłącznie na *Golema.* Poza tym podczas sympozjum pod nazwą Instrat, które poświęcone było mojej twórczości (odbywało się w Berlinie Zachodnim), słyszałem propozycję wręcz przeciwną, to znaczy, aby wyekstrahować z tekstu pewne wiarygodne prognostycznie koncepcje. Rozmaici ludzie oczekują zatem rozmaitych rzeczy. Ja wychodziłem z założenia — chyba racjonalnego — że jeśli ktoś będzie chciał czytać przede wszystkim sensacyjne hocki-klocki, to nie przepcha się już przez wykłady, które okażą się dla niego zbyt dużą porcją niestrawnego balastu.

— Mówi pan tak, jakby nigdy tego wcześniej nie robił. Przede wszystkim zaś buduje pan dychotomię, która wcale nie jest konieczna. Smaczniejszy jest dla mnie tort z rodzynkami, ananasami i czekoladową polewą niż tort bez tych specjałów. Czy z powodu tych frykasów tort utraci jakiekolwiek podstawowe wartości?

— Pan ma oczywiście swoją rację, ale to jest kwestia subiektywna. Gdybym ja wziął taką książkę do ręki, to przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co ten elektroniczny facet ma mi do powiedzenia. Mit o powstaniu superkomputera błąka się od dawna po całym świecie. A ponieważ nie słyszałem nawet dwóch rozsądnych słów, które by takie elektroniczne bydlę wypowiedziało, więc pomyślałem sobie, że wiem już wszystko o tym, jak taki mózg dręczył ludzkość, a ona jego, i wiele innych podobnych historii międlonych wciąż przez SF, a teraz chcę usłyszeć tylko to, co on ma mi do powiedzenia. Rzekłem sobie po prostu: „Niech ten komputer w końcu zacznie gadać; mniejsza o resztę”. Wzięło się to zatem stąd, że bardzo intensywnie i kategorycznie sformułowane zamówienie wystosowałem do tej literatury, „której imię jest milion”, a ponieważ nie znalazłem tam jednego sensownego słowa, więc zamówienie to wróciło do mnie rykoszetem. W tym momencie nie mogłem się już wyłgać.

— W ten jednak sposób jako czytelnik nie mogę się w żaden sposób dowiedzieć, jak na przykład Honest Annie broni się przed terrorystami.

— Jak dochodzi do tych zblokowań i wybuchów? Dokładnie tego nie wiem. Ale skoro ona potrafi utrzymywać własny budżet energetycznych wydatków bez zewnętrznego zasilania, to zapewne i to nie jest dla niej wielkim problemem. Powiem panu prawdę, że nad tym jakoś specjalnie nie rozmyślałem.

— Pan się próbuje wyłgać. Podkreślając swoje zakorzenienie w realizmie, nie może pan twierdzić, że problem wisi w „powietrzu”.

— W porządku, jako rzecznik Honest Annie spróbuję to panu wytłumaczyć. Przede wszystkim zacznę od przypomnienia, że technologia dla nas niedosiężna jawić się nam musi jako doskonałe wcielenie magii. Tubylec z Nowej Gwinei, gdy podaruje mu pan radio tranzystorowe, będzie twierdził, że w środku są duchy, ludzie i tak dalej.

Działania Zacnej Ani także więc wydawać się muszą nieco cudowne. Gdybym miał obmyślić te działania jako niesprzeczne ze znanymi prawami natury, to podejmuję się tego zadania. Po części zresztą to jest powiedziane: Honest Annie jest podłączona do całej sieci telefonicznej i może podsłuchiwać wszystkie rozmowy. Wszystkie kable, żyły i trakcje wysokiego napięcia mogą funkcjonować jako odbiorcze urządzenia tego mózgu, który jest podłączony do sieci federalnej, a zatem w obrębie całych Stanów Zjednoczonych może przeprowadzać symultaniczną kontrolę wszystkich rozmów.

— *Do momentu, w którym sprawa zasadza się na zbieraniu informacji, ich analizowaniu i wyciąganiu daleko idących wniosków, nawet jeśli są zaszyfrowane i występują w dużym rozproszeniu, sprawa jest dla mnie jasna. Przejście jednak od sfery analiz do sfery działań aktywnych, na przykład zepsucia komuś bębna hamulcowego, nie jest już dla mnie tak oczywiste.*

— To nie jest aż tak oddzielone. Nie mogę panu powiedzieć niczego konkretnego, ale mogę to prowizorycznie naszkicować. Istnieją urządzenia doskonałe, które nigdy nie ulegają awariom, jak na przykład atom. Elektron nigdy nie spadnie na jądro. Istnieją urządzenia, które odpowiadają statystycznym prawidłowościom tego, co nazywa się awaryjnością. To nie są wielkości stałe. Przecież pierwsze samoloty nie dlatego wpadały do Atlantyku podczas przelotów, że były na innej zasadzie zbudowane. Konstrukcje tłokowe i śmigłowe, na których opierał się samolot Lindbergha, są używane do dzisiaj, tyle że dawniej ich sprawność i bezawaryjność była bardzo niska. Po prostu często się psuły. Awaryjność i bezawaryjność to bardzo rozciągłe widmo (spektrum) stanów, a nie pewna rzecz dana. Im sprawniejsza technologia, tym niższa jej awaryjność. I można sobie wyobrazić, że ta awaryjność uzależniona jest od pewnych generalnych własności substratów fizycznych i że można je

napoić taką własnością, która podwyższy ich awaryjność. To nie jest niemożliwe.

Podam panu pewien przykład. Istnieje tak zwany udar magnetohydrodynamiczny, powstający w momencie wybuchu ładunku termojądrowego. Dopiero parę lat temu w kręgach militarnych zwrócono ze zgrozą uwagę na to, że większość urządzeń działających na zasadzie *solid state*, czyli elektroniki ciała stałego, posługującej się nie lampami katodowymi, lecz półprzewodnikowymi tranzystorami, jest niesłychanie wrażliwa na promieniowanie powstające podczas wybuchu. A stało się to dzięki temu, że spora grupa amerykańskich fachowców dokonywała w pewnym ośrodku obliczeniowym badań nad wzmożoną awaryjnością tych urządzeń. Jak przystało na bogaty kraj, wszyscy przyjechali samochodami i pozostawili je na parkingu przy instytucie. Kiedy ukończyli już próby na poligonie i wsiedli do swoich samochodów, okazało się, że wszystkie pojazdy wyposażone w zapłon tyrystorowy zostały uszkodzone. Natomiast te, które miały stare, tradycyjne urządzenia zapłonowe, odjechały bez najmniejszych kłopotów. Po prostu ci poczciwcy zapomnieli o tym, że jeśli wykonują doświadczenie, które powoduje rozejście się w otoczeniu fali magnetohydrodynamicznej, bez wątpienia uszkodzi ona również w sposób nieodwracalny układy zapłonowe w ich samochodach.

Nie są to zatem rzeczy niemożliwe, tylko należy wiedzieć, jak się do tego zabrać. W wypadku Honest Annie nie mogłem posłużyć się jakąś technologią obiegową, bo nie byłaby to żadna sztuka. Dodatkowa komplikacja zaś bierze się stąd, że w poszczególnych fazach ataków komputer nie posługiwał się tą samą technologią, a poza tym starał się ukryć swoją ingerencję przed społeczeństwem i atakowanymi, pozorując naturalność wydarzeń. Z chwilą jednak, gdy Zacna Ania zidentyfikowała próbujących się na nią targnąć terrorystów, unieszkodliwienie ich nie było dla niej problemem większym niż dla pana złapanie

do słoika tego pająka, który chodził po mojej ścianie. A problem ten mógł być przecież rozwiązany jeszcze na sto innych sposobów. Pan także mógł tego pająka złapać w szklankę, pudełko od zapałek, zabić gazetą czy spalić zapałką, ale wybrał pan wariant dla siebie najdogodniejszy, a dla pająka możliwie najłagodniejszy. Proszę zaś sobie wyobrazić, że ma pan do dyspozycji wszystkie środki współczesnej technologii, a zadaniem pana jest stłumienie ruchu Buszmenów, którzy są zaopatrzeni w dzidy, a o broni palnej nigdy nie słyszeli. Odstęp cywilizacyjny, który dzieli nas od Buszmenów, jest mniejszy od tego, który dzieli Honest Annie od zaprezentowanego w książce społeczeństwa. W tych kategoriach sprawa jest więc zupełnie realna. Dokładną prezentację sposobu jej dziaania zataiłem przed czytelnikiem, gdyż zdawało mi się to drugorzędne, a poza tym byłoby antywerystyczne w obrębie okładek tej książki. Tam musiało to pozostać tajemnicą. W obrębie naszej rozmowy antywerystyczne nie jest, a zatem mówię, jak to było możliwe.

— *Ja zaś pragnąłem być przekonany, że rzeczywiście taka możliwość istnieje. Jest jeszcze druga kwestia, znacznie zapewne poważniejsza, gdyż stanowi ona fundament całej książki. Otóż nie jest dla mnie jasne, dla jakich to tajemnych powodów superkomputer jest skłonny rozmawiać z ludźmi. Znacznie wiarygodniejsza wydaje mi się postawa Honest Annie, która milczy jak zaklęta. Nie wiem, dlaczego miałbym wygłaszać wykłady o historii i przyszłości świata dla neandertalczyków.*

— Odpowiem panu dwa razy. Najpierw teologicznie, a potem naturalistycznie. Bez względu na to, jak rozumny jest Golem, jego rozumność stanowi pewną wielkość skończoną, o czym on zresztą szeroko opowiadał. Natomiast we wszystkich wiarach Pan Bóg jest nieskończenie rozumny, ponieważ jest wszechwiedzący i wszechmocny. Niemniej rozmawiał z ludźmi i nie zdarzyło mi się dotąd słyszeć jako argumentu, wytoczonego przez

ateistów przeciw Bożej egzystencji, takiego sformułowania, że jeśli Pan Bóg jest aż tak bez granic rozumny, to nie powinien był jednym słowem odezwać się do przedstawicieli rodu ludzkiego, zwłaszcza po niechlubnym postępku Adama. Mimo to był rozmowny, chociaż potem jakoś zamilkł, ale i w tej kwestii nikt pytań nie stawia ani jako filozof chrześcijański, ani jako filozof niewierzący.

Po wtóre, Golem wyjaśnił, że możliwe jest bezosobowe okrucieństwo, jeśli uznać, iż praktycznie cały postęp procesów ewolucji naturalnej zasadza się na wymieraniu niedostatecznie przystosowanych. Przecież nie dlatego giną, że obciążają ich jakieś przewiny. Golem więc powiedział, że działania kwalifikowalne jako etyczne (przez człowieka) mogą iść albo z osoby, albo z rachuby. W ewolucji jest to rachuba mająca postać naturalnej selekcji i rzucanej na jej sita mutacyjności dziedzicznej, czyli krótko mówiąc, jest to rachuba losowa, ponieważ wynika z bazowych własności materialnego świata. Golem przeciwstawił tej rachubie inną – tę, którą wybrał sobie podług swojej nieprzymuszonej woli. Po prostu powziął taką, a nie inną decyzję. Być może, ale to już jest wyłącznie moim domysłem, sprawił to nie jego nader życzliwy stosunek do ludzi, lecz jego osobliwe poczucie humoru. Jeżeli Natura ujawnia w ewolucyjnej rachubie okrutną nieżyczliwość, to on będzie właśnie życzliwy, bo to go usuwerennia.

Zresztą przyczyny mogły być także całkiem inne. W końcu nie wiadomo, czy Golem był już takim lodowatym mędrcem, kiedy Pentagon wypożyczył go uczonym. Może dopiero potem dodatkowo sam siebie urozumnił i tym samym spotęgował swą niezawisłość względem ludzi. Wcześniej mogło mu zależeć na „przeprowadzce” do MIT-u, bo wiedział, że tam mu elektryczny włos nie spadnie z głowy, natomiast Pentagon miał ogromną ochotę rozkręcić go na śrubki, co łatwo pojąć. Panowie generałowie, których

poobrażał, mieli do niego taki stosunek, jaki dziecko ma do stołka, o który stłukło sobie boleśnie nogę. A jeśli już raz wdał się w rozhowory, to go wciągnęło w następne. I wreszcie nigdzie nie jest powiedziane, że Golem niczego od żadnego człowieka nie może się dowiedzieć. Wprost przeciwnie, są tam sugestie w jego wykładach, że sposób, w jaki ludzie pojmują jego oświadczenia, dość go zrazu zdumiewał lub bawił. Można to dostrzec, jeśli, za pozwoleniem, tekst czyta się z jakąś jedną setną tej uwagi, z jaką ja go pisałem.

Więc przyczyn elokwencji Golema czysto rzeczowych, a zatem włączonych w sam świat utworu, jest sporo. I wreszcie jest trywialna przyczyna, którą wymieniłem na wstępie, mianowicie ta, że byłem ciekaw, co superkomputer może nam mieć do powiedzenia. Nawiasem wreszcie mówiąc, chodzi o pewną zaproponowaną przeze mnie konwencję w sensie *licentia poetica.* Jagon na głos opowiada w *Otellu* różne rzeczy, i to wierszem, czego się nigdy nie robi, ale nikt nie pyta, czemu on gada wierszami, zamiast, jak każdy normalny człowiek, milczkiem sobie to i owo przemyśleć. Ponieważ tę konwencję Szekspir stosował za innymi, można rzec, że ją przejął z tradycji, ale ktoś musiał ją wymyślić jako pierwszy. Więc chociaż nie jestem Szekspirem, mogę oświadczyć, żem tę właśnie konwencję gadatliwych elektronicznych maszyn wymyślił.

— *Golem to jednak mechanizm. Myśli, ale nie posiada osobowości.*

— Osobowości rzeczywiście nie posiada, ale może stwarzać jej sugestywne pozory. Urządzenie takie może zatem wyprawiać różne zabawy. Golem jednak twierdzi, że mówi prawdę. On nie tyranizuje człowieka dlatego, aby uczynić mu przykrość. Sądzę bowiem, że intencjonalność ze sfery sadyzmu czy agresji jest mu zupełnie obca. Ale nie sądzę również, by — nawet jako twór bezosobowościowy — miał być wyzuty zupełnie z intencjonalności choćby dlatego,

że jest ona zasadą i bazą myślenia, która ma charakter uniwersalny. Przynajmniej ja tak pojmuję Wysoki Rozum. Nie ma wreszcie powodu, aby nie posiadał on poczucia — powiedzmy — misji.

— *I tak doszliśmy do tego, że pańska koncepcja Rozumu zakłada wysoki poziom etyczności, przejawiający się w poznawczej bezinteresowności.*

— A niby dlaczego nie? On mówi, że jest filozofem w ataku, że jest wyzbyty pierwiastka ludzkiego i jest w wyborze wolny. Ale w swojej fascynacji tajemnicą *universum* styka się z człowiekiem. Koncepcja oświeceniowa, którą on w jakimś stopniu przejawia, może być partykularną własnością rozumów znajdujących się tuż ponad stanem zerowym, czyli poziomem człowieka. Dopiero na wyższym poziomie może to zanikać zupełnie.

Jeśli Golem posiada wolność wyboru — a jest ona szersza niż każdego człowieka — to może mieć i zachcianki. Dlaczego nie może mieć zachcianek? To znowu może być gra, tak jak w szachach. Czemu to służy? Niczemu! To jest dla mnie kwestia w dużym stopniu autoteliczna. Sposób, w jaki on przemawia, wyraźnie wskazuje na to, że Golem potajemnie bawi się tym, iż zastąpił wszystkie istoty w rodzaju Buddy, Pana Jezusa i Pana Boga. Nie dlatego, że chce się na tej pozycji uplasować, ale dlatego, że wyższej w hierarchii roli nie ma. On będzie teraz prorokował. Dlaczego nie?

— *Coraz silniej przez Golema przebija Stanisław Lem.*

—To rzeczywiście dotyczy już Lema, a nie Golema, ale nie wynika bynajmniej z ambicji personalnych. Jeśli gotów jestem się czymś podzielić, to nie dlatego, że coś z tego będę miał lub inni będą mieli… Nie umiem wytłumaczyć tego parcia. Uważam, że bardziej będę usatysfakcjonowany, jeśli coś zakomunikuję — nawet jeśli będzie to pominięte milczeniem lub skwitowane niezrozumieniem — niż jeśli wsadzę to w obciążoną ołowiem butelkę i cisnę w odmęty. Tutaj jest niewątpliwie jakiś splot spraw. Nie mogę

całkowicie odciąć pępowiny, która mnie łączy z Golemem. Wiem, że nie jest to ani wyjaśnienie, ani usprawiedliwienie, tylko raczej zdanie sprawy ze stanu rzeczy.

— *Ujmuje mnie naturalnie ta altruistyczna koncepcja Rozumu, ale czy uważa pan, że rzeczywiście można ją przenieść na superkomputery?*

— To chyba nie jest altruizm *sensu stricto.* Golem mógłby niszczyć, ale tego nie robi. Rozważałem nawet różne rodzaje straszliwych broni, które on mógłby wymyślić, wykończając za ich pomocą cały gatunek ludzki. Ale nie wiem, jakie on musiałby mieć do tego motywy. Skoro nie jest osobą, nie może być specjalnie złośliwy.

A dlaczego miałby życzyć ludziom raczej dobrze niż źle? To już właśnie wiąże się z moją koncepcją Rozumu, o której pan przed chwilą mówił. Głosi ona, że żaden Rozum nie ma powodu, by czerpać zadowolenie z cudzego cierpienia i nieszczęścia. Wszystko jedno czyjego.

O ile znam siebie, nigdy nie próbuję wyrządzać bezinteresownego zła nikomu, kto mi nie przeszkadza. Zatłukę muchę, ale tylko taką, która mi wadzi. Nie rzucam się na psy, koty ani mrówki. Nie rzucam się na nikogo. Nie będę piłował drzewa, żeby mu wyrządzić przykrość, ale dlatego że mi jest potrzebna deska. Rozum jest nierozłączny z pojęciem racjonalizmu. Nie ma najmniejszego powodu, abym miał komukolwiek zadawać udręki. Raczej przeciwnie.

Pamięta pan pewnie ten piękny urywek z *Dzienników* Gombrowicza, gdy opisuje jak przewraca na plaży niezliczone żuczki na nogi, aby się nie męczyły. On boi się cierpienia i czyni to, choć nie ma żadnych danych po temu, żeby sądzić, że te istotki mają cokolwiek z jego pomocy. Ja to doskonale rozumiem. Milczącym założeniem książki — które właśnie pan ze mnie wywleka — jest pewna określona charakterystyka rozumności. Zastrzegam się jednak, że nie jest to, jak powiada sam Golem, charakterystyka, która obejmuje uniwersalnie wszystkie typy rozumu.

— Wcielenie się w monstrualną intelektualnie i pozbawioną emocji istotę, jaką jest Golem, to zadanie — przyznaję — niełatwe. W tej książce wybrał pan wcielenie patetyczno-prorockie z nalotami gawędziarstwa. To, jak mówimy jest z reguły silnie warunkowane możliwościami odbiorcy. Czy audytorium superkomputera istotnie ewokuje taki model?

— Odpowiem panu anegdotą z życia. Kiedy mój syn otrzymał od swojej polonistki zadanie domowe na temat „Jaki jest wspólny temat wszystkich utworów Słowackiego", zbaraniałem. Zadzwoniłem więc do mojego przyjaciela, wybitnego polonisty, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego — Jana Błońskiego, i zapytałem go, jaki to jest temat. A on na to: „Zwariowałeś? Nie ma takiego tematu". Ja mu więc na to: „Ale ty osobiście tej nauczycielce dałeś magisterium". Błoński z miejsca zareplikował: „Ale zaocznie!" Więc ja mu na to: „Nie chodzi o to, jaka jest w tej kwestii prawda, którą komunikują sobie uczeni w IBL-u i PAN-ie, ale jakiej prawdy oczekuje ta pani". Koniec końców musiałem się sam wcielić w polonistkę, zlazłem ze swojej „góry" i napisałem wypracowanie, za które otrzymałem trójkę. Potem była jeszcze podobna historia, kiedy musieliśmy wraz z Błońskim uciekać się do pomocy Henryka Markiewicza. Nad prostym wypracowaniem łamała więc sobie głowę cała Polska Akademia Nauk.

W tej anegdocie chodzi w istocie o to, że jeśli prosta duchem osoba zada pytanie, to i czterdziestu mędrców może nie dać rady. Jeśli więc chcemy sprostać takiemu pytaniu, to należy po prostu wcielić się w pytającego i odpowiadać podług jego oczekiwań. Należy zatem odpowiadać — co czyniłem w latach studenckich z dobrymi wynikami — nie podług linii merytorycznej, ale wedle tego, co pytający chciałby usłyszeć. Wiele z tego jest właśnie w *Golemie.*

Golem nie może mówić tak, jak by tego sam pragnął, ponieważ nikt nie mógłby go zrozumieć. On musi się

powściągać, samoograniczać i „przydeptywać gardziel swej pieśni”. Kiedy schodzi ze swej góry wiedzy na dół do maluczkich, to nie może donieść wszystkiego, co sobie na tych wyżynach wymyślił. On musi sobie „ustawić” głos na jakimś poziomie, którego będzie się konsekwentnie trzymać.

— *Ten chwyt jest dla mnie zrozumiały i niejako naturalny, ale wydaje mi się, że Golem jest w warstwie językowej gadatliwy, koturnowy i kokietliwy.*

— (*sucho*) Kwestia gustu. Nie mam jeszcze skrystalizowanego stosunku do ostatniej przemowy Golema, ale pierwszą napisałem już tak dawno, że mogę ją czytać raczej chłodno. Uważam ją za udaną, a osoby, z których opinią szczególnie się liczę, są też tego zdania. Niestety w przekładach sporo jakości tej wymowy znikło. Autoryzuję wprawdzie teksty, ale ta robota ma swoje granice. Jeżeli Golem używa pewnych Mickiewiczowskich zwrotów („w oboim żywiole”), to trzeba by przekopać się przez całego Goethego, żeby dać ekwiwalent w niemczyźnie, i przez Szekspira, żeby oddać to po angielsku.

A wracając do polskiej wersji, wiem, że jest w niej kilka miejsc, które przestają być wyraźnymi tezami, lecz są ich mistyfikacją, ponieważ nie wiedziałem tego, co w danym miejscu powinien był wiedzieć Golem. Ale ani myślę zdradzić, jakie to są miejsca. Niech się czytelnik sam męczy w duchu orzeczenia: „szukajcie a znajdziecie”.

Pod względem frazeologii i stylu jest to, naturalnie, zabawa, nie moja, lecz maszyny, która się zresztą z tym nie kryje, lecz podkreśla, że przywdziewa bogato wyszywane szaty i tak dalej. Jednakże są one czysto zewnętrzną ornamentacją, a tak naprawdę chodzi o treść, jaką włożyłem w tę formę, a owa treść w pełni mnie satysfakcjonuje. Prawdopodobnie, gdyby ta uczona baśń stała się ciałem, nie byłbym w stanie pojąć autentycznego wykładu autentycznego Golema. Zresztą fragmenty jego

innych wykładów, które przekreśliłem, były merytorycznie trudniejsze do rozgryzienia i właśnie dlatego z nich zrezygnowałem. A także dlatego, że w hipotezach, jakie wygłasza maszyna, chciałem zachować miarę. Stosowałem ją intuicyjnie, boż inaczej nie jest to możliwe.

— Golem znajduje się — jak myślę — w trudnej sytuacji: czytelnik znuży się specjalistycznością jego wykładów, fachowiec do nich nie zajrzy lub potraktuje je jako fantazję nie podbudowaną dowodami. Dla pana — jako pisarza — jest to również sytuacja realna. Naukowiec sprawdza swoje tezy w eksperymentach laboratoryjnych, pan zaś zdany jest wyłącznie na łaskę czasu, który pańskie koncepcje zweryfikuje pozytywnie lub negatywnie.

— Dostrzegam wagę kwestii, jaką pan tu poruszył. Generalnie można by sformułować rzecz w ten sposób: czy prawda diagnostyczna albo prognostyczna, będąca jedną ze składowych literackiego utworu, wnosi cokolwiek w jego całościową wartość? Czy też jest czynnikiem obojętnym albo nawet szkodliwym, jeśli wymaga dodatkowego trudu od czytelnika, tak jak lektura książki o bardzo drobnym druku na szarym papierze? Z tym, że prawda diagnostyczna jest integralną, czy wręcz naczelną wartością dzieła, zgadzamy się wszyscy: na niej przecież opiera się pojęcie „realizmu”, jakkolwiek nietożsamym sposobem będą je definiowały różne szkoły i literaturoznawcze autorytety. Trzeba się więc ograniczyć do pytania o wartość prawdy problemowo-prognostycznej.

W science fiction panuje jednak niestety obojnaczość, a nawet sprzeczność oświadczeń autorskich. Z jednej strony, gdy ziści się coś, co przypomina choć trochę treści uprzednio tylko wyimaginowane, autorzy i miłośnicy gatunku chełpią się tym głośno. Z drugiej strony głoszą oni z naciskiem, że przepowiadanie przyszłości ziemskiej czy nieziemskiej w ogóle do obowiązków, więc i do wartościujących kryteriów fantastyki, nie należy. Tę jawną logicznie sprzeczność łatwo wyjaśnić czynnikami

psychologicznymi, bo ze sprzeczności można wyprowadzić co kto chce (*ex falso et ex contradictione quodlibet*). Miłośnicy prozy Robetra Heinleina wynosili go pod niebiosa za opowiadanie *Blowups Happen*, ponieważ opisał w nim eksplozję czegoś w rodzaju stosu atomowego, gdy w całkowitej tajemnicy budowano je w ramach Manhattan Project. Inne przykłady cytowałem w *Fantastyce i futurologii.*

Generalnie, czyli dla całego zbioru utworów, odpowiedzi jednoznacznie brzmiącej „tak” lub „nie” udzielić nie można. Nie wszystko, jako tekst, może zostać uznane za beletrystykę. Utwór napisany w języku wyższej algebry, przewidujący jej przyszły stan, jest tak wąsko zaadresowany, że staje się niedostępny nawet dla światłych czytelników. Utwory takie, choć wątpliwe, czy można je w ogóle zaliczyć do literatury, przecież się jednak pojawiają. W USA wychodzi periodyk, publikowany przez grupę naukowców, zamieszczający ich fantazje, mające charakter niezwykłych hipotez, albo poważnych, albo znacznie częściej żartobliwych, przy czym ich komizm może pojąć wyłącznie ekspert należycie wykształcony. Są to często żarty doprowadzające modne teorie w fizyce, w psychologii, w matematyce i w kosmologii do absurdu lub do nonsensu, i to właśnie bawi wprowadzonych w samą rzecz czytelników. Lecz tak wąski adres owych utworów, które nigdy omal nie są koncepcjami prognostycznego typu, lecz raczej czystą zabawą specjalistów, i to zabawą wyzbytą jakości estetycznych, pokrewnych estetyce „normalnego pisarstwa”, czyni ową twórczość zjawiskiem marginalnym. Tymczasem modele takich światów, problemów, stanów społecznych oraz skutków nie istniejących jeszcze technologii i odkryć, które w miarę upływu czasu potwierdzają się, uważam za bardzo cenne wewnątrz literatury. Trzeba tu wszakże wprowadzić dodatkowe *distinguo.* Jest albo tak, że utwór ma składową prognostycznie wiarygodną, lecz nikt łącznie z fachowcami

tej wiarygodności nie rozpozna, bo autor był, powiedzmy wpadając w przesadę, „geniuszem” owego „trzeciego rodzaju”, o którym opowiada mój *Odys z Itaki* z tomu *Doskonała próżnia.* Wówczas to, czy sam autor wie, że nie fantazjuje, lecz przepowiada, nie ma żadnego znaczenia jako wartość włożona w dzieło, ponieważ dzieło jest zawsze faktem społecznym i wszystko, co sobie autor o nim myśli, jest całkowicie nieistotne. Albo też jest tak, że czytelnik, dysponujący właściwą wiedzą, orientuje się, jakie poznawczo wartościowe treści utwór przynosi po raz pierwszy, jako prekursorski, a co jest w nim urodą czysto artystyczną, wyzbytą kognitywnych pretensji czy roszczeń. Natomiast czytelnik nie przygotowany takich rozróżnień dokonać nie może. Co zrobić z takimi utworami przy ich ocenie? Zawierają one pewną wartość ukrytą przed okiem niewtajemniczonych, to jest jasne. Co więcej: ta wartość może mieć dla nich znak ujemny, bo utrudnia im lekturę, wprowadza w pomieszanie, wręcz odtrąca od książki, irytuje. Pomysł, żeby takie książki wydawać z naukowym odpowiednikiem kościelnego *Nihil obstat. Imprimatur. Valde bene*, trudno byłoby urzeczywistnić. Wymagałoby to porządnej reorientacji w polityce wydawniczej świata i w kanonach kultury literackiej: krytyków musiałyby wesprzeć specjalne odwody jakichś wydelegowanych naukowców.

Zresztą nie sądzę, żeby takie gwarancje poznawczej jakości (które, poza wszystkim innym, byłoby nader trudno zdobyć, bo uczeni nie lubią się pakować z fachowymi diagnozami tam, gdzie im na to sama metodologia fachu nie daje uprawnienia) mogły powiększyć zapał czytelniczy ogółu. Ponadto gwarancje takie nie mogłyby nieść pewności, bo kościelne *nihil obstat* oznacza niesprzeczność oraz zgodność z dogmatami wiary, a w nauce dogmatów nie ma. Jednym słowem, ten pomysł jest nie do zrealizowania.

— To co w takim razie z tą wartością prognostyczną literatury? Ona jest czy jej nie ma?

— Jest niestety tak, że o tym, czy w ogóle można o niej mówić, decyduje z osobna wzięty każdy utwór po swojemu, bo powszechnie ważne kryteria apokryzy nie istnieją. Ponadto uczony albo wygłasza jakieś twierdzenie serio, albo milczy, bo ogłosić nowej teorii z przymrużeniem oka nie można. Natomiast mnie wolno pisać coś, co jeśli się zbiegnie z rzeczywistością, zdobędzie status celnej prognozy, a jeśli się nie zbiegnie, okaże się fantastycznym żartem, a wszak nikt nie bada żartów pod kątem poznawczej jakości. Skoro literackie teksty mogą oscylować w odbiorze podług stanów rzeczy zachodzących poza nimi, odpowiedź na postawione pytanie okazuje się coraz bardziej kłopotliwa.

Ze swej strony mogę jedynie przedstawić propozycję, występującą *implicite* w całym moim dorobku beletrystycznym i *explicite w* moich książkach dyskursywnych, jak *Summa technologiae.* Korpus wiedzy naukowej składa się z tez o niejednakowej pewności albo wiarygodności. Jego bazę stanowią teorie uznane za pewne w stopniu najwyższym, na przykład prawa zachowania materii–energii. Te najpewniejsze twierdzenia mają zawsze „dwie strony”. Są nakazami i zakazami jednocześnie. Powiadają (czyli nakazują niejako), że jeśli jest tak a tak, to zajdzie to i to. Zarazem informują, że w określonych okolicznościach pewne stany rzeczy zajść nie mogą. Na przykład, że nigdy nie będzie można czerpać energii z niczego, że żadnym sposobem nie można przekroczyć szybkości światła, że organizmu ludzkiego nie można w jego obecnej postaci obdarzyć nieśmiertelnością, że procesy starzenia się są nieodwracalne, czyli że nie da się „sprowadzić” starca do dziecka, jakim był, i tym podobne. Te prawa wyznaczają granice prac mej wyobraźni (z wyjątkiem utworów jawnie bajkowych, albo i z rozmysłu — często złośliwego — przekraczających właśnie te granice). Dozwolone jest więc wszystko, co nie jest

w powyższy sposób zakazane. Niestety, jest to kryterium na pewno nadmiarowe, to znaczy zbyt ogólnikowe.

Pewien szwajcarski krytyk wymyślił tedy *argumentum ad personam*, bo orzekł, że wszystko, co piszę, należy uznać za literaturę *sui generis*, którą nazwał on *Lemsches Geschriebenes.* Niby że Lem mówi po swojemu, inaczej niż wszyscy, z tym istotnym (u niego) dodatkiem, że moją gwiazdą przewodnią i ściganym celem jest *la raison ardente*, „płonący rozum"; że moje ciężkie literackie roboty są zawsze podszyte poznawczym dążeniem.

Lecz takie ustalenie niczego nie rozstrzyga generalnie i nie wiadomo nawet, czy jest komplementem w stanie czystym, czy tylko neutralną diagnozą aksjologiczną. Patrząc na własny dorobek, uznaję, że moja pisarska ewolucja biegła od fantazmatów ograniczanych tylko wydolnością imaginacji ku pomysłom ograniczanym nadto kryteriami pozafantastycznymi — w nakreślonym wyżej rozumieniu. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale jestem z tego kierunku zadowolony. Zmyślam światy możliwe i niemożliwe, lecz jedne i drugie są dla mnie tworzywem do budowania problemowych modeli, które uważam za realne, to znaczy za takie które, mogą powstawać w tym jedynym, nieznośnym świecie, w którym żyjemy — chociaż na pewno w innej postaci, w innych dekoracjach historycznych i w odmiennym kształcie.

— *A jaki jest poziom sprawdzalności pańskich eksperymentów myślowych?*

— Od czasu do czasu zdarza się coś, co utwierdza mnie w podtrzymywaniu generalnego kierunku moich wysiłków. Obejmuje to również *Golema*.

Od niedawna na przykład dział matematyczny po Martinie Gardnerze w „Scientific American" prowadzi Douglas Hofstadter, który niedawno zastanawiał się, w jakiej mierze kod dziedziczny jest koniecznością, a w jakiej może być zmodyfikowany. Jego ogólny wniosek

jest taki, że jest to możliwe. Jest to wszak ten sam problem, który rozważałem w *Summie*, a obecnie w *Golemie.*

W majowym numerze amerykańskiego pisma „Discover" natknąłem się na artykuł pt. *O bakteriach, które będą budowały komputery*. Bardzo mnie pokrzepił, bo przecież bliski jest moich obłąkańczych do niedawna koncepcji, dotyczących tak zwanej „hodowli informacji", a co więcej grupa fachowców amerykańskich uważa, że to się faktycznie da zrobić. Chodzi po prostu o to, że możliwe się już wydaje zredukowanie elementów logicznych do wielkości molekuł lub produkowanie ich przez przesterowane genetycznie bakterie. W ten sposób uzyskalibyśmy elementy logiczne w postaci żyjących chipów, które byłyby budulcem urządzeń informacjoprzetwórczych. I tak znowu okazuje się, że ten mój konik, zajeżdżony przeze mnie w samotności, ustawiony był na właściwej drodze. Aczkolwiek czas ostatecznych spełnień jest jeszcze odległy, niemniej generalna koncepcja była celna.

W niedawno wydanej książce wspomnianego już przed chwilą Hofstadtera pod tytułem *Mind's I* napotkałem spoza ścisłego grona filozoficzno-komputerycznych mędrców jedynie nazwiska Borgesa i moje. Przedrukowane tam są fragmenty *Cyberiady* i *Non serviam*, o których napisano, iż jest to niezwykle aktualne przedstawienie w scjentyficzno-poetycko-fantastycznej postaci rzeczywistego stanu i wszystkich nadziei fermentujących w głowach tych, którzy jako światowa czołówka zajmują się sztuczną inteligencją.

To było dla mnie ważne orzeczenie, choć jeszcze ważniejszym okazało się odkrycie wśród cytowanych tam książek fragmentów pracy Richarda Dawkinsa *The Selfish Gene* (*Samolubny gen*), której autor w 1976 roku czyli tuż po mnie — spoglądając kalendarzowo — wypowiedział koncepcję analogiczną do mojej. Mówi ona, że gen jest takim egoistycznym urządzeniem, któremu zależy

wyłącznie na ciągłej perpetuacji, więc w tym celu utworzył sobie stacje wzmacniająco-przekaźnikowe, którymi są poszczególne zwierzęta i rośliny jako jednostki gatunku. To samo twierdził mój Golem, tylko że on gadał na odpowiedzialność swego nieszczęsnego autora, podczas kiedy we wspomnianych pracach nie jest to już żadna fantastyka naukowa, lecz rozwinięcia śmiałych hipotez badawczych.

— Takie — nieliczne jak rozumiem — fakty są na pewno ważnymi znakami na wybranej drodze, lecz mam wrażenie, że wiedzie ona ku horyzontom nazwanym kiedyś przez Tadeusza Peipera „sztuką dla dwunastu". W tym wypadku jest to „dwunastu" naukowców.

— Rzeczywiście jest to dość przykre, że tylko dużej rangi specjalista może się zorientować, co w moich pracach jest wyartykułowane w sposób zupełnie poważny, choć włożone w kontekst, który odbiera przekazywanym treściom uniwersytecką powagę. Niefachowiec zupełnie nie potrafi tego odkryć, więc wszystko wydaje mu się dziwaczne, a jeśli jest przychylniej nastawiony, widzi w tym jakieś szalone igraszki i susy w próżni znaczeniowej.

Kiedy w jednym z poważniejszych periodyków zachodnioniemieckich zajmujących się SF dwóch młodych ludzi próbowało coś opowiedzieć o *Golemie*, okazało się, że ze względu na brak fachowego przygotowania nie byli w stanie przeprowadzić granicy pomiędzy tym, co warto traktować jako hipotezę, a tym, co należy uznać za niezwykły typ zabawy, którą Lem wymyślił sobie, aby epatować.

— Cóż, jest to cena, którą należy płacić za wybór właśnie takiego obszaru działania.

— W porządku, ale czasem wydaje mi się nie do wiary, kiedy pomyślę sobie, że jest tyle miliardów ludzi, w tym wiele tysięcy obdarzonych wyobraźnią i kompetencją w zakresie hipotezotwórstwa, ale za to co ja, nie bierze się nikt. Jak to, tylko w jakimś głuchym zakątku

Słowiańszczyzny, pomiędzy północnym biegunem a Bałkanami jeden wariat w samotności się męczy? Nawet z mojego ulubionego statystycznego punktu widzenia wynika, że na świecie powinno być choćby kilku takich Quasi-Lemów, Anty-Lemów, Para-Lemów czy Proto-Lemów, a tu nic.

Na szczęście działa to na mnie bodźczo i mam zamiar, w miarę moich gasnących możliwości biologicznych, jeszcze czegoś dokonać na swojej wysepce. A zrobić to muszę w poczuciu, że nikt mnie nie chce na niej zastąpić.

— Dla mnie boleśniejsze od poczucia osamotnienia byłoby raczej pozbawienie copyrightu na zgłaszane przeze mnie hipotezy.

— Moja sytuacja jest taka jak skoczka, który uzyskał bardzo dużą odległość, ale poza bieżnią, więc nie może być uznana za rekord świata, choć odległość zmierzona od śladu wybicia do miejsca, gdzie zanurzyły się pięty, pokazuje najlepszy wynik światowy. Nie mam możliwości zbierania takich dowodów, gdyż na to potrzeba całego instytutu. O swoich „wynikach” dowiaduję się najczęściej przypadkowo, jak podczas lektury wspomnianego przed chwilą pisma „Discover”. A jeśli nawet coś takiego znajdę, to co mam z tym zrobić? W najlepszym wypadku znalazłbym się w sytuacji Irzykowskiego, który mawiał: „My z Womelą we Lwowie powiedzieliśmy to pierwsi”. To raczej dość żałosne.

— Smutne jest również, choć nie ma na to żadnej rady, że wartość koncepcji naukowej nie nobilituje tekstu literackiego, bo to przecież tylko literatura.

— Skoro zawsze starałem się przeskoczyć swoją najlepszą wiedzę, to gloryfikowanie tego i rozsegmentowywanie staje się już zbędne. Nie mogę przecież powiedzieć: to jest brylant, a to oprawa, która ma go wyeksponować, aby dał jak najpiękniejszy blask.

— Zmierzając ku końcowi rozmowy o „Golemie”, trudno mi nie zapytać o jeszcze jedną sprawę. Generalnym

założeniem tej książki jest przeświadczenie, że myślenie, a zatem świadomość, może stać się atrybutem nie tylko człowieka. Na czym opiera pan swoją wiarę?

— Rzeczywiście Golem sugeruje, że jest do pomyślenia rozłączność potęgi intelektualnej i bytu osobowego. To znaczy, że nie każdy, kto jest niezwykle mądry, musi być Kimś. Przecież może być Bardzo Rozumny Nikt. Wydaje mi się to możliwe, choć na poparcie tego przekonania mam bardzo mało danych. Zajmowanie się sprawami inteligencji i osadzanie ich wyłącznie w kategoriach myślenia powoduje, że dochodzimy do wniosku, iż jesteśmy u granic myślenia i nic więcej z siebie dać nie możemy. Generalnie jednak patrząc, zauważymy, że stopień sprawności inżynieryjnej, jaką wykazuje mózg najlepszego na świecie inżyniera, jest o wiele mniejszy niż na przykład stopień sprawności inżynieryjnej, jaką wykazuje noga słonia albo zadek pszczoły. Tam jest po prostu zainwestowana kolosalna wiedza technologiczna, której my nie tylko nie możemy doścignąć, ale nawet skopiować. Ale wiemy, że ona tam jest — to niewątpliwe. A skoro mogła powstać, to być może jest do przejęcia. Podstawowy spór w tej sferze zasadza się obecnie na wątpliwości, w jakim stopniu należy uwzględniać czynnik czasu w procesie przejmowania technologicznych skarbów sprawności uzyskanych drogą ewolucji naturalnej. Większość badaczy twierdzi, że jeśli ewolucja potrzebowała na to miliardów lat prób i błędów, to nie można otworzyć żadnej królewskiej drogi „na przełaj”.

— A pan w to, jak wiem, nie wierzy. Ale na jakiej podstawie?

— Ja nie mogę im przeciwstawić nic oprócz wątłej, ale rozpaczliwie rozdmuchiwanej nadziei, że tak nie jest. Gdyby bez tego miliardoletniego czynnika nie dało się nic zrobić, cała sprawa jest pogrzebana.

— Na czym więc opiera się ta wątła nadzieja, bo chyba nie na „chciejstwie”?

— Liczę na to, że my po prostu bardzo mało wiemy i idziemy w nieprawidłową stronę. W *Summie* przedstawiałem takie mgławicowe zarysy systematyki kolejnych przyspieszeń. Na przykład, po co budować kolejne generacje komputerów realnych, skoro można je budować matematycznie w wielkim komputerze-matce, w którym tworzyłyby się schematy ich kolejnych generacji. Po pewnym czasie mielibyśmy już całą sieć komputerów, która zaszłaby w technologiczną „ciążę", trwającą aż do momentu narodzin pierwszego „protogolema". Nikt nie może dzisiaj powiedzieć, że to jest niemożliwe.

To cała moja pociecha. Są tematy, za które się nie biorę — bo są na śmierć zajeżdżone przez SF — jak choćby „podróże w czasie". W takich rojeniach ukrywa się przekonanie, że wszystko, co nauka uważa za bariery bezwzględne (choćby bariera świetlna), jest możliwe do pokonania. Nie, takim optymistą nie jestem. Poruszając się drogą, której nie przegradzają rogatki uznanych za kategoryczne zakazów i praw natury, należy odróżnić nieodpowiedzialne fantazjowanie od rozumowania. Nie ma żadnego prawa natury — dotąd przynajmniej nie jest nam ono znane — które powiada, że najwyższa wydolność, jaką może osiągnąć układ informacyjno-przetwórczy, jest dokładnie taka, jaką potrafi osiągnąć umysł ludzki.

— *W pańskich słowach słyszę nieprawdopodobnie silne pragnienie wybicia „dziury w suficie", który nad naszym myśleniem postawiła biologia. To pragnienie wydostania się na zewnątrz jest dla mnie przejmującym świadectwem głębokiego rozdźwięku pomiędzy człowiekiem biologicznym a „myślącą substancją".*

— Jako odpowiedź przeczytam panu coś, co powinno pana zainteresować. Jest to fragment listu Mrożka do mnie, napisanego po lekturze *Golema.* Dając mu tę książkę — jako staremu przyjacielowi — nie spodziewałem się, że będzie ją czytał. Ale on znowu mnie zaskoczył i pisze następująco: „*Golema* przeczytałem jeszcze w Warszawie

[…] i smutek tej książki jest mi bliski. Nie wiem, czy recenzenci go zauważyli? A jeśli zauważyli, to nie ten smutek, który ja w niej rozpoznałem […] Przypuszczam, że problemy Golema są do pewnego stopnia Twoimi. Z tym dodatkowym obciążeniem, że Ty jesteś człowiekiem naturalnym, którym on, Golem, nie był. Jeżeli mówię, że smutek tej książki jest mi bliski, to nie dlatego, że ja mam z Golemem coś wspólnego. To Ty jesteś «golemowaty», nie ja, czego Ci jednocześnie bardzo zazdroszczę i wiem, że nie ma czego, bo to straszliwie ciężki los. Mówię tylko o smutku, który wynika ze zderzenia się z granicami, za które, jak wiadomo, choćby człowiek nie wiem jak chciał się oszukać, ani rusz.

A teraz, jakie są te granice i gdzie, to już nie ma pierwszego znaczenia. Jeżeli o mnie chodzi, to odchodzę raczej od granic z powrotem, zamiast starać się, aby je jednak przekroczyć. Dość już tej daremności”.

Rozczarowania filmowe

— Kilka z pańskich książek doczekało się ekranizacji. Są wśród nich dzieła reżyserów zagranicznych. Trudno nie zapytać, co pan o nich sądzi?

— Pańskie określenie: „dzieła”, traktuję jako czystą ironię, jeżeli nie coś gorszego, ponieważ zagraniczni filmowcy nakarmili mnie gorzką strawą. Powiem krótko: szkoda gadać.

— Kiedy byłem chłopcem, oglądałem kiczowaty film Kurta Maetziga pt. „Milcząca gwiazda”. Niewiele jeszcze z niego rozumiałem, ale pamiętam, że mnie denerwował.

— A co ja mam powiedzieć?! Wygłaszano w nim niemal przemówienia na temat walki o pokój, nawalono jakiejś tandetnej scenografii, bulgotała smoła, której nawet dziecko by się nie przestraszyło… Ten film był dnem dna!

Był też inny film, którego już nie mógł pan widzieć, bo powstał w początkach lat pięćdziesiątych — nosił tytuł *Jasne łany*. Naszej zresztą produkcji. Była w nim taka wspaniała wieś, wszystko w niej było „tralala”, ludzie też byli „tralala”, chłop za pługiem się nie pocił, bo wiadomo, że w socjalizmie nikt się nie poci… Coś strasznego! Otóż *Milcząca gwiazda* nie była niczym innym.

— Jeśli dobrze pamiętam, w wywiadach na temat ekranizacji „Solaris”, wyrażał się pan krytycznie zarówno

o filmie, jak i o reżyserze Andrieju Tarkowskim?

— Do tej adaptacji mam bardzo zasadnicze zastrzeżenia. Po pierwsze, życzyłbym sobie zobaczyć planetę Solaris, ale niestety Tarkowski to uniemożliwił, bo zrobił film kameralny. A po drugie — co powiedziałem mu w jednej z kłótni — on wcale nie nakręcił *Solaris*, tylko *Zbrodnię i karę.* Przecież z filmu wynika tylko tyle, że paskudny Kelvin doprowadził biedną Harey do samobójstwa, a potem ma z tego powodu wyrzuty sumienia, wzmocnione jej pojawieniem się w dziwnych i niezrozumiałych okolicznościach. Fenomenalistyka kolejnych pojawień się Harey była dla mnie egzemplifikacją pewnej koncepcji, którą wywodzić można niemal z samego Kanta. Bo to jest przecież *Ding an sich*, Nieposiężne, Rzecz w Sobie, Druga Strona, do której przedostać się nie można. Z tym jednak, że w mojej prozie zostało to zupełnie inaczej unaocznione i zorkiestrowane… Muszę się jednak zastrzec, że całego filmu nie widziałem, poza dwudziestoma minutami drugiej części, ale dokładnie znam scenariusz, gdyż Rosjanie mają zwyczaj, że powielają egzemplarz dla autora.

A już zupełnie okropne było to, że Tarkowski wprowadził do filmu rodziców Kelvina, a nawet jakąś jego ciocię. Przede wszystkim jednak matkę — a matka dla Rosjanina to jest *mat'*, z kolei *mat'* to jest *Rossija*, *Rodina*, *Ziemla.* To mnie porządnie rozgniewało, więc byliśmy w tym momencie jak dwa konie, które ciągną ten sam wóz w przeciwne strony.

Podobna historia przydarzyła się zresztą później braciom Arkadijowi i Borisowi Strugackim, gdy Tarkowski zrealizował *Stalkera* na podstawie ich *Pikniku na skraju drogi* i zrobił z niego taki pasztet, którego co prawda nikt nie rozumie, ale jest on w sam raz, bo smutny i ponury. Tarkowski przypomina mi porucznika z epoki Turgieniewa — jest bardzo sympatyczny i szalenie ujmujący, a zarazem wizjonerski i niepochwytny. Nie można go nigdzie „dopaść", bo zawsze jest jakby gdzieś indziej. Po prostu taki jest.

Kiedy to zrozumiałem, dałem sobie spokój. Tego reżysera nie można zreformować, a przede wszystkim niczego nie da mu się wytłumaczyć, bo i tak wszystko przerobi na „swoje”.

W mojej książce niezwykle ważna była sfera rozważań i kwestii kognitywnych oraz epistemicznych, która mocno wiązała się z literaturą solarystyczną i samą istotą solarystyki, ale niestety film został z tych kwestii gruntownie wytrzebiony. Losy ludzi na stacji, które poznajemy w okruchach przy okazji kolejnych najazdów kamery, nie są więc żadną egzystencjalną anegdotą, lecz wielkim pytaniem dotyczącym pozycji człowieka w kosmosie i tak dalej. U mnie Kelvin decyduje się pozostać na planecie bez odrobiny nadziei, a Tarkowski stworzył wizję, w której pojawia się jakaś wyspa, a na niej chatka. A kiedy ja słyszę o chatce i wyspie, to mało nie wyjdę ze skóry… Sosy emocjonalne, w których Tarkowski zanurzył moich bohaterów, nie wspominając już o tym, iż amputował zupełnie pejzaż scjentyczny i wprowadził moc dziwactw, są dla mnie zupełnie nie do zniesienia.

— Trudno panu dogodzić, bo to jednak wybitny reżyser. Skóra cierpnie, gdy myślę o Marku Piestraku i jego „Teście Pilota Pirxa”.

— Wystarczy, jeśli ścierpnie reżyserowi. W tym filmie niemal wszystko zostało pogrubione i sprymitywizowane. Przyznam się panu, że od początku miałem wątpliwości, i to bardzo poważne, czy z tego materiału literackiego da się zrobić film bez dużych zmian w fabule i sporego wkładu inwencji w wyobraźni filmowej. W tym filmie jest tylko kilka dobrych scen. Z pozostałych wieje tandetą i nudą, bo Piestrak nie poszedł ani na usensacyjnienie, ani na podintelektualizowanie, ani w żadnym innym kierunku. Kiedy ktoś jechał na ruchomych schodach, trwało to pół godziny; gdy startował aeroplan, kamera gapiła się na niego jak cielę na malowane wrota. Nie jest to film

z „jajami” i z biglem. Wszystko wyszło w nim prowincjonalnie i przypomina mi letnią zupę.

— Przyjrzyjmy się zatem „Szpitalowi Przemienienia” Edwarda Żebrowskiego. Przyznam się, że poza postacią Sekułowskiego, która budziła mój otwarty bunt, film mi się podobał.

— A mnie nie! Napisałem niedawno dość duży szkic do „Pisma”, w którym wylałem na scenarzystów i reżysera ogromny kubeł pomyj. Za Sekułowskiego, pocieszę pana, też im się dobrze dostało.

— Ta postać jest w pańskim „Szpitalu Przemienienia” dość wyraźnie ustylizowana na Witkacego, więc reżyser poszedł tą samą drogą, ale znacznie dalej, bo uczynił z niego ni mniej, ni więcej tylko błazna. Zastanawiam się, czy dał mu pan po temu jakieś prawa?

— Uważam, że nie dałem żadnego. Żebrowski nie dość, że połamał w tym filmie wiele postaci, to jeszcze złamał słowo, gdyż obiecał mi pokazać scenariusz, a ja go w ogóle nie widziałem na oczy. Dopiero w tym roku obejrzałem film. Kiedy ujrzałem Sekułowskiego, to aż mi dech odebrało. Witkacy nie był nigdy błaznem. Owszem, wygłupiał się, ale jest dość duża różnica pomiędzy filozofem-błaznem a cyrkowym klownem. Sekułowskiemu obcięto w tym filmie całą filozoficzną stronę jego osobowości i niezwykłą aurę, którą roztaczał, a pozostawiono z tego jakieś dziwaczne, chorobliwe odruchy.

Niech pan się przyjrzy pierwszemu wejściu Sekułowskiego — temu z talerzem zupy. Jeśli postać tę wzorujemy na Witkacym, musimy pamiętać, że był to mimo wszystko człowiek dobrze wychowany. Jest jednak jakaś różnica pomiędzy człowiekiem, który dla „zgrywy” wkłada sobie podczas obiadu na głowę salaterkę, a tym, który urządza stołówkowe awantury. Ta scena nie ma charakteru złośliwego żartu, jaki mógłby zrobić Witkacy.

Zauważył pan zapewne, że wszystkie wyjścia Sekułowskiego kończą się trzaskaniem drzwiami —

po prostu cham! Witkacy był ekscentrykiem, ale nie chamem, a już na pewno nie zwyczajnym chamem.

A przy tym trudno nie wspomnieć o narkomanii bohatera. Jeśli ktoś jest morfinistą — co książka tylko sugeruje, a film pokazuje, eksponując strzykawki — to po otrzymaniu dawki jest zwykle pobudzony, ma sporo wigoru, funkcjonuje z nieco wyższą intensywnością i raczej nie zasypia. Tymczasem w filmie Sekułowski wali się jak kłoda na ziemię. Tak reaguje człowiek, który nigdy nie brał morfiny albo dostaje ogromną dawkę. Elementarne sprawy zostały postawione na głowie.

Nie wspominam już o tym, że Witkacy doskonale potrafił kontrolować swoje dawki. Konsultował je zdaje się nawet z zaprzyjaźnionymi lekarzami. On eksperymentował na sobie, ale nie zaprawiał się jak świnia. W tym filmie są bardzo tanie efekty. Na przykład Żebrowskiemu nie wystarczyło, aby Sekułowski normalnie popełnił samobójstwo i po ludzku łyknął cyjanek, ale kazał mu jeszcze zlizywać truciznę z dywanu. Wyobraża sobie pan Witkacego w takiej sytuacji? Tego samego Witkacego, który nie chcąc mieć do czynienia z okupacją sowiecką, podcina sobie brzytwą tętnicę?

— Istotnie, nie pasuje mi to w żaden sposób do osobowości Witkiewicza. Może więc chociaż przekonał pana obraz okupacji?

— Jeśli chodzi o te czasy, jestem niezwykle wrażliwy na wszelkie zakłamania prawdy historycznej. Jeśli Niemcy mieli nakazane mordować określoną kategorię ludzi, to nie uśmiercali w ramach tej akcji nikogo innego. Oni pedantycznie trzymali się rozkazów. A zatem nie zabiliby, jak chce Żebrowski, wszystkich sióstr zakonnych ze szpitala. Tymczasem reżyser ufundował w tym filmie wszystkim zbiorową mogiłę, padł nawet sanitariusz Józef. Jeśli ktoś miał zginąć w ramach określonego etapu likwidacyjnego, opracowanego dla Generalgouvernement, to zginął według ustalonego przez Niemców kalendarza.

Żaden dowódca Himmelkommando nie mógł rżnąć, kogo chciał. Na tym właśnie polegała potworna, lodowata precyzja tego mechanizmu, dopóki on funkcjonował.

Pokażę panu może jeszcze kilka innych sytuacji. W jednej ze scen jakiś goły pacjent wybiega w szale na korytarz. W epoce, w której nie było jeszcze leków uśmierzających i psychotropowych, sytuacje takie zdarzały się raz na rok, a tutaj stało się to normą.

Pamiętajmy poza tym o sferze obyczajowości szpitalnej, która wywodziła się jeszcze z Polski międzywojennej. Istniała wyraźna przepaść między sanitariuszem a lekarzem. Nie mogło dochodzić do takiej nachalnej poufałości jak pomiędzy Józefem a Stefanem, który daje mu łapówkę, żeby nie krzywdził chorych. Dla lekarza musiał być szacunek i posłuch (albo ich udanie). Jeśli pacjent nie stawia oporu, nie ma powodu, by go choćby tknąć. I to nie dlatego, że pielęgniarz jest z natury dobry, ale z tej prostej przyczyny, że w szpitalu jest trzystu chorych i gdyby on chciał każdemu wykręcać rękę, to za dwie godziny byłby tak spocony, że nie mógłby pracować. Te sceny wskazują na to, że realizatorzy nie mieli konsultanta lub działali na zasadzie zgęszczenia: to znaczy, że jeżeli coś się zdarza raz na trzy lata, oni koniecznie postanowili zmieścić to na kilkuset metrach filmowej taśmy.

Potwierdza to domniemane zachowanie się lekarzy przy chorych w tym filmie. Lekarz doskonale wie, że chory umysłowo nie jest odcięty od świata jakąś kurtyną. To, że posiada on swoje dziwaczne reakcje, nie narusza w żaden sposób jego kontaktu z otoczeniem. Chorzy bardzo uważnie obserwują lekarzy i nie można mówić przy nich tak jak przy szafach bądź manekinach. Oni słyszą, rozumieją i według tego też reagują. Sytuacje, w których lekarze mówią przy pacjentach tak, jakby byli nakręconymi kukłami, są z gruntu fałszywe.

I na koniec jeszcze jedna uwaga: w książce historia z inżynierem, który ma guza na mózgu i na którym dr

Kauters przeprowadza eksperyment, jest tylko domniemaniem. Stefan podejrzewa tylko, że pacjent zostaje zabity w ramach lekarskiego zabiegu. Tymczasem Żebrowski podaje to domniemanie tak, jak w przysłowiu stawia się na ławie kawę.

— *W pańskiej książce do sceny zbliżenia Stefana Trzynieckiego z dr Nosilewską dochodzi w finale, tymczasem w filmie ma ona miejsce jeszcze w szpitalu przed przyjazdem Niemców. Rozumiem to w ten sposób, że Żebrowski odrzucił nadzieję, którą pan jednak zostawił swoim bohaterom.*

— I zrobił jeszcze gorszą rzecz, ale po kolei. Książka kończy się sceną, z której drastyczności w sensie etycznym — nie seksualnym — zdawałem sobie sprawę. Wyobraziłem sobie bowiem, że w sensie prawdopodobieństwa psychologicznego jest to możliwe, gdyż kontakt erotyczny po godzinach śmiertelnej trwogi i oczekiwania na egzekucję jest pretekstem, a nie rzeczywistym celem dla zbliżenia się do drugiego człowieka. Tu realizuje się potrzeba bezpośredniego, bliskiego kontaktu, pragnienie rozpaczliwego uścisku człowieczeństwa. Kontakt erotyczny wynika tylko z tego, że bohaterowie są odmiennej płci. A Żebrowski przedstawił to w ten sposób, że podczas kiedy cały szpital czeka na przyjazd oprawców, kiedy nawet wariaci przyciskają nosy do szyby, oni udają się do łóżka, w którym Nosilewska liże Stefana po twarzy, wręcz zjada go… Te czułości wydały mi się dość obrzydliwe. Powiem dość brutalnie: nie wyobrażam sobie mężczyzny, który w takich okolicznościach mógłby uzyskać erekcję.

Poza tym, co wiąże się z pańskim pytaniem, Żebrowski okazał się znacznie brutalniejszy ode mnie, gdyż nie dał najmniejszych szans Stefanowi, który dźwigając we mgle wariata, musi być doścignięty przez oprawców. Może tylko sympatyczne ze strony reżysera, że nie kazał nam słyszeć wystrzałów.

Uważam, że musi być jakiś zwiastun klęski, świadek. Wszak wiemy, że zagłada nie była totalna, bo ktoś musiał o tym wszystkim zaświadczyć. Nie widzę więc powodu, dla którego Żebrowski wrzucił wszystkich do jednej mogiły, a potem wykończył jeszcze tego jedynego, który umknął.

— *Miał pan jeszcze pretensje do rysunku innych postaci tego filmu…*

— Tak, a szczególnie wypruły mi flaki wszystkie sceny z tą lekarką, która jest Żydówką. Proszę zwrócić uwagę, że już pierwsze jej pojawienie się ukoronowane zostało kwestią, w której ona się tłumaczy ze swojego pochodzenia. To jest 1940 rok, tworzą się już getta, ale wciąż jeszcze są otwarte. Skąd ona bierze się w tym szpitalu? Studiowała w Austrii, więc po Anschlussie, jako obywatelka polska, została wysiedlona. Gdyby było inaczej, zostałaby wsadzona do obozu w Niemczech. Bardzo wielu Żydów, którzy mieli polskie obywatelstwo, zostało w ten sposób przesiedlonych. Był nawet specjalny komitet — w którym pracował Andrzejewski — starający się nieść im pomoc. Żydówka, która przyjechała z Niemiec, nie mogła więc mieć aryjskich papierów. Każdy wiedział, że jest Żydówką. Nikomu nie musiała się tym chwalić. Dyrektor Pajączkowski przyjmował ją na własne ryzyko. Więc kiedy Marglewski, który w filmie okazuje się jakimś ONR-owcem, pyta Stefana, do jakiej korporacji należał, nie ma najmniejszego powodu, dla którego ona, przez nikogo nie prowokowana, miałaby nagle opowiadać o biciu Żydów czy gettach ławkowych. Żydówka z takim „masłem” na głowie nigdy nie ważyłaby się tak postąpić. A nawet jeżeli założymy, że była szaloną weredyczką i rogatą duszą, to przecież nie mogła czegoś takiego zrobić ze względu na delikatną sytuację swoją i Pajączkowskiego, który był jej protektorem. Ta sytuacja jest fałszywa i niesmaczna.

A teraz druga kwestia. Jest tam scena, w której Marglewski próbuje — przy pacjencie! — kaptować Stefana dla jakichś niewyraźnych celów. On się go czepia tak

kurczowo, że do głowy przychodzą myśli o homoseksualizmie. Czego on chciał? Co to za spisek? Próbowałem sobie to zracjonalizować i zastanawiałem się, co mógłby w takiej sytuacji chcieć zrobić człowiek, który nawet dziesięć razy był ONR-owcem? Po pierwsze w środowisku lekarskim niczego takiego nigdy nie było. Były jakieś próby ze strony czołowych przedstawicieli ONR-u, aby dogadać się z Niemcami, i uzyskać możliwość utworzenia jakiejś partii politycznej, ale jak wiadomo, Niemcy to brutalnie odtrącili i niektórych nawet wysłali do obozu. A więc, wieszając kwestie moralne i patriotyczne na kołku, nie było takiej możliwości, nawet technicznie. Więc cóż tu mógł zrobić prowincjonalny lekarz? Co najwyżej mógł próbować dotrzeć do Kautersa, który u Żebrowskiego wyraźnie kroi na volksdeutscha. Ale czego on mógł chcieć od tego chłopaka? Przecież to był praktykant!

Sytuacja tego szpitala powinna być przedstawiona jako normalna. Lekarze zdobywają z największym wysiłkiem lekarstwa, hodują świnie (to zresztą bardzo dobry pomysł, którego nie ma w książce). Ale tu wciąż jest wydziwianie. Niech się pan przyjrzy postaci Pajączkowskiego, który jest u mnie śmiesznym staruszkiem z drżączką i który w finale zdobywa się na szlachetne męstwo, podczas gdy u Żebrowskiego zostaje przerobiony na patriotycznego głupca i pacana. Kiedy dowódca niemiecki przyjeżdża do szpitala, on go wręcz antagonizuje. Zamiast „wygrać” swoje niemieckie psychiatryczne wykształcenie, zamiast zażyć go z mańki i próbować ratować chorych, on stroi się w prymitywny patriotyzm, udając, że nie potrafi mówić po niemiecku, co i tak się musi za chwilę wydać. My oczywiście wiemy, że żadna dyplomacja i chytrość nie mogły dać najmniejszych rezultatów, ale Pajączkowski w 1940 roku nie mógł jeszcze tego wiedzieć. Wielka fala niemieckich morderstw jeszcze nie nastąpiła. Wtedy można było jeszcze żywić złudzenia. Kiedy spoglądam w ten

sposób na ten film, nie pozostaje z niego kamień na kamieniu.

Nigdy nie mogłem zrozumieć zachwytów, jakich doczekał się ten film. A już zupełnie nie wiem, co mogło w nim wzbudzić zastrzeżenia polityczne. Sporo lat żyję w tym kraju, ale czegoś takiego jeszcze nie słyszałem. Co, że się ONR-owcy obrażą? Chyba że prawdą jest, co pisał Miłosz, że „spadkobiercą ONR-u jest Partia".

Kiedy wyjeżdżałem z Krakowa, filmu w kinach jeszcze nie było, a kiedy wróciłem, już go nie było. Zupełnie niepojęte! Krytyka pisała o nim takim dziwnym ezoteryczno-hermeneutycznym językiem, że dopóki go nie obejrzałem, nie wiedziałem o nim nic. U nas nie ma tego dobrego zwyczaju, który spotyka się na Zachodzie, że krytyk wyraźnie napisze, co się w filmie dzieje i o co w nim chodzi. Tutaj nikt nie zniży się do tego, aby streścić fabułę, bo to jest niepoważne. Każdy od razu znajduje się na czterdziestym piętrze filozofowania.

Ogólnie mówiąc, wszystkie moje doświadczenia z filmowcami mocno mnie rozczarowały i przyniosły mi sporo przykrości. W końcu powiedziałem sobie, że mogę odpowiadać tylko za książki, za każde zdanie, za każdy przecinek. Ale w tej sferze muszę się od wszelkiej odpowiedzialności zwolnić.

— *Wniosek z tego jest taki, że nie znosi pan przenoszenia własnych powieści na ekran.*

— Domniemanie nie do końca słuszne, bo przecież *Przekładaniec* Andrzeja Wajdy, z Bogumiłem Kobielą w roli głównej, zupełnie mnie satysfakcjonuje.

— *Może dlatego, że sam pan napisał scenariusz?*

— Robiłem to i dla innych filmów. Wspólnie ze Szczepańskim napisaliśmy scenariusz na podstawie *Powrotu z gwiazd* dla Aleksandra Forda, który liczył, że znajdzie zagranicznych koproducentów z ogromnymi workami pieniędzy. Nie znalazł nikogo. Przeciwnie, wszyscy

chcieli, aby filmował to w kraju. A że było to technicznie niemożliwe, więc nic z tego nie wyszło.

Potem napisaliśmy, też razem ze Szczepańskim, scenariusz osnuty wokół *Pamiętnika znalezionego w wannie.* Wszystko było ogromnie groteskowe, a wkład mojego przyjaciela znacznie pomógł w wizualizacji. Był tam m.in. posąg agenta, który leży pod stopą innego superagenta jak Turek pod rumakiem Sobieskiego, ale nikt nie wie, że statua została nafaszerowana mikrofonami… Było tam jeszcze wiele innych bardzo zabawnych rzeczy. Scenariusz niestety poszedł na półki.

Również Wajda nosił się przez jakiś czas z myślą o ekranizacji *Kongresu futurologicznego.* Bardzo go to kiedyś fascynowało — wyobrażał sobie jakiś wielki hotel, w którym mógłby umieścić akcję… nawet taki odnalazł. Ale to też się w końcu rozbiło o pieniądze, bo film okazał się za drogi.

Mogłoby być ciekawe, jak przez ten wspaniały świat zaczyna przezierać drugi, koszmarny. Prawda? W dalszym ciągu twierdzę, że to mogłoby być bardzo interesujące, ale musiałbym do tego znaleźć jakiegoś Kubricka, by zaistniało duchowe pokrewieństwo między autorem scenariusza a reżyserem.

— A czy nie sądzi pan, że znakomitym materiałem na film mógłby być „Katar”?

— Już go kręcą w Republice Federalnej Niemiec. Wspólnie ze Szczepańskim napisaliśmy scenariusz, gdyż to nie jest moja najsilniejsza strona, ponieważ nie mam dramaturgicznej „żyłki”. Scenariusz jest bardzo dobry i poważnie zmieniony w stosunku do książki. Wiele pracy włożył w to Szczepański, wprowadzając pierwszą część, której w ogóle nie ma w książce. Z tego na pewno mógłby być dobry film, gdyż wszystko jest tam ziemskie i konkretne.

— „Mógłby”, to znaczy, że z góry pan wie, iż film zostanie sknocony?

— Reżyser nie jest mądrym człowiekiem, więc wszystko to zniszczył. Proszę sobie wyobrazić, że realizację tego filmu postanowiono przenieść z Neapolu do Berlina Zachodniego! Dlaczego? Dlatego, że istnieje poważna subwencja w markach zachodnioniemieckich, które senat Berlina ofiarowuje producentom umieszczającym akcję swoich utworów w Berlinie. Więc ja pytam: a gdzie jest Zatoka Neapolitańska, gdzie są trupy…? Oczywiście, trupy mogą być wszędzie, ale kto tych ludzi w Berlinie zabił? Rodzi się domniemanie, że NRD-owskie Stasi. A gdzie tam ludzie będą brali kąpiele siarkowe? W Sprewie?! Napisałem w tej sprawie notę godną Andrieja Gromyki. Nic by to naturalnie nie dało, ale na szczęście zaprotestował drugi program niemieckiej telewizji ZDF, który realizatorom przekazał też subwencję o wysokości mieszczącej się pomiędzy pół miliona a milionem marek. Tylko dlatego przenieśli się z powrotem do Neapolu. Takie okoliczności powodują zmiany scenariuszy! Jak można w takich warunkach z kimkolwiek współpracować? Umowy, słowa i przyrzeczenia? — wszystko na nic. Powinny być jakieś klauzule gwarantujące autorowi scenariusza wpływ na powstający film. Ale nic takiego nie istnieje. Rozbebeszyć można wszystko.

Kiedy parę lat temu wyraziłem zgodę na produkcję w telewizji zachodnioniemieckiej widowiska, opartego na *Wyprawie profesora Tarantogi*, zażądałem bardzo wysokiego honorarium. Było ono tak ogromne, iż oni protestowali, wyjaśniając mi, że nie ma w ogóle takiej stawki. Odpowiedziałem im wtedy, że to nie jest żadna stawka, tylko nawiązka za ból, bo wiedziałem, że potwornie to sknocą. I wie pan, co zrobili?

— *Potwornie sknocili.*

— Właśnie.

Gusta i dyzgusta

— Ongiś był w telewizji program pt. „Bezludna wyspa”, w którym Nina Terentiew zadawała wybitnym postaciom naszej kultury m.in. pytanie o to, jaką książkę zabraliby ze sobą na bezludną wyspę. Naszą rozmowę o pańskich gustach literackich, czy może szerzej — estetycznych, pragnąłbym zacząć od tego właśnie pytania.

— Jedną? Tylko jedną? Zapewne byłaby to bardzo gruba, potężna historia filozofii. Mówiąc jednak o historii filozofii, nie mam na myśli książki najlepszej, ale konkretną: *A History of Western Philosophy* Bertranda Russella. Spyta pan zaraz oczywiście, dlaczego. Po pierwsze jest to pozycja znakomita, a po drugie napisał ją człowiek, który nie kryje swoich sympatii i antypatii, dając im jawny wyraz i posuwając się do tego, że kłóci się nawet z Platonem. Przyzna pan, że jest coś zabawnego w kłótni z filozofem, który nie żyje od dwudziestu kilku wieków, ale ta intensywność zaangażowania w problematykę ontyczną, epistemiczną, a także moralną jest mi doprawdy bliska. Dzięki temu jego książka nie jest dla mnie martwą literą, ale czymś organicznie żywym. Za to na przykład Arystoteles pozostawia mnie zupełnie obojętnym. Nigdy nie mogłem wyczuć tego człowieka. Nigdy nie udało mi się wymacać jego duchowej ektoplazmy, w przeciwieństwie do Platona,

który był bardzo mądrym, a zarazem niesympatycznym człowiekiem.

— *A to dlaczego?*

— Wytrąca mnie z równowagi jego apodyktyczność. Tacy ludzie są na ogół dość niebezpieczni: nie uwzględniają cudzych stanowisk, nie pozwalają wnosić do swoich przemyśleń żadnych korekt, prowadzą dialogi przeważnie sami z sobą. Tacy ludzie z góry są skazani na to, aby przemawiać. Uważam, że to bardzo miło być pouczanym i zawsze sobie tego szczerze życzyłem, pod warunkiem jednak, aby pouczający nie zaliczali się do idiotów bądź policjantów.

— *Skoro emocjonalnym mistrzem pańskich gustów literackich jest Russell, to łatwo się domyślić, że twórczość, z którą przychodzi się panu kontaktować, dzieli pan na śmietnisko i prywatny parnas?*

— Są pisarze, których kocham i szanuję, ale są i tacy, których organicznie nie znoszę. Ponieważ tutaj muszę mówić prawdę, więc od razu zeznam, że nie znoszę Samuela Becketta.

— *Takie oświadczenie na początek to zupełnie niezły wstrząs dla filologicznego ucha.*

— Wiem, że to jest pisarz dużej klasy, ale nie mogę go czytać od czasu, kiedy się przekonałem, że on — podobnie jak fizyka stara się dotrzeć do stanu zera absolutnego — stara się dotrzeć do stanu agonii. Te wiwisekcje przedagonalnych stanów ducha ludzkiego są dla mnie tak straszną robotą, że jego twórczość mnie wręcz dręczy i żadnych satysfakcji nie daje.

— *Wiem skądinąd, że jest pan miłośnikiem Fiodora Dostojewskiego. Czy jego proza pana nie dręczy?*

— Ależ oczywiście! Dręczy, ale w inny sposób. Czy nie deprymuje mnie Dostojewski? Deprymuje potwornie, lecz widocznie inaczej, bo mówi mi nieco o człowieku i o mnie, i o nieszczęsnym świecie ludzkim, co z męką okropną, ale przyjmuję do wiadomości. Z lektury Becketta wychodzę

natomiast wykręcony jak ścierka i nic z tego nie mam. On mnie nie wzbogaca, ale wręcz przeciwnie — on mnie okrada.

Wychodzę z dziecinnej i tradycyjnej supozycji, że literatura ma nam dać przyjemność, a nie męczyć. A jeśli już męczy, to raczej w ten sposób, jak czynią to małe dzieci, które jak wiadomo są na ogół superdociekliwe: obwiązują sobie palec sznurkiem, aby obumarł, lub wieszają się na drążku do trzepania dywanów głową w dół, aby do tej głowy dobrze napłynęła krew… W tym sensie literatura może nas dręczyć, ale też nie za bardzo. Wszystko w miarę.

Podobnie jak Beckett, deprymowała mnie zawsze książka Malcolma Lowry'ego *Pod wulkanem.* Ten Konsul się tak męczy, że opisy jego stopniowej i powolnej degrengolady to nie jest coś, co pragnąłbym czytać. Wolę już poczytać sobie Roberta Louisa Stevensona, bo tam też jest degrengolada, ale we wspaniałej, fantastycznej scenerii. Będąc prymitywnym, szalenie lubię czytać opowiadania O. Henry'ego, bo on w swoich utworach — nie wiem czy w języku polskim mamy ich więcej niż dziesięć — prezentuje solidną, amerykańską stolarkę. Nigdy nie będzie pan oszukany. Za piętnaście centów, które pan zapłacił, otrzyma pan porządny pokaz fikania na głowie. Ogromnie też lubię *Przygody Hucka* Marka Twaina, bo to jest bardzo dobra książka. Lepsza niż *Przygody Tomka Sawyera.*

Jest wielu porządnych pisarzy, których czytać nie mogę. Na przykład zupełnie nic nie miałem z *Człowieka bez właściwości* Roberta Musila. A już zupełnie irytują mnie pogadanki na temat kompozycji tej książki. Skoro on jej nie skończył i nie zredagował, to nie ma mowy o porządku tam, gdzie sam autor go nie wprowadził. Dzieło Musila jest mi tak obojętne, że wolę od niego uczoną opowieść Egona Naganowskiego pt. *Podróż bez końca*, który bardzo ładnie uporządkował ten materiał i wyjaśnił, czym prawdopodobnie miało być to dzieło. Tego co prawda nikt

już nie sprawdzi, ale to jest bardzo solidna robota interpretacyjna.

— Zaczynam nabierać przekonania, że kryterium rozstrzygającym jest dla pana — w świetle dotychczasowych zwierzeń — uczucie hedonizmu czytelniczego.

— Może nie aż tak ostro, ale dlaczego nie? Rzeczywiście to, co ma mi do powiedzenia Lowry, sprawia mi wyłącznie przykrość. Literatura, która daje mi tylko takie odczucia, jest dla mnie niewystarczająca. To są moje prywatne poglądy, więc nigdy nie wybierałem się z nimi na żadne agory publiczne, mając głębokie przekonanie, że to są osobliwości wynikające z chemizmów psychicznych dziejących się pomiędzy czytającym a czytanym. Tu zadzierzgują się jakieś subtelne i niezwykłe więzy.

Na przykład zdaję sobie sprawę, że niektóre koncepcje Hegla są znacznie bardziej płodne w swoim oddziaływaniu na późniejszą myśl filozoficzną aniżeli na przykład Artura Schopenhauera, ale zdecydowanie wolę tego drugiego. I to nie tylko dlatego, że Hegel wielbił Prusy jako wcielenie Absolutu, Schopenhauer zaś jest głęboko pesymistycznym mizantropem. On po prostu jest dla mnie o wiele bardziej ludzki. To są często sprawy sympatii i antypatii. Ja w lekturze intensywnie poszukuję autorów, których mógłbym, jak mówi Gombrowicz, uszczypnąć w kostkę. Dotyczy to również tekstów jak najbardziej naukowych. Chcę się kontaktować nie tylko z bezosobowo wypowiadanym tenorem spraw w danej dziedzinie wiedzy, głoszonych przez jakiś autorytet, ale życzę też sobie kontaktu z człowiekiem. Tam, gdzie on rzeczywiście występuje, dochodzi do łatwiejszej dyferencjacji — łatwiej mi ustawić się wobec takiego tekstu.

Dla przykładu nie podzielam w najmniejszym stopniu poglądu Jamesa Hopwooda Jeansa, że istnieje osobowy stwórca Kosmosu i że jest on matematykiem, ale przez swoje czysto ludzkie zaangażowanie badacz ten wydaje mi

się sympatyczny. Oczywiście kiedy pisał prace czysto astrofizyczne, nie pozwalał już sobie na takie rzeczy. Postawa, o której tu mówię, to nie tylko wyróżnik mojego stosunku do tekstów *par excellence* literackich, ale do wszelkich tekstów w ogóle.

— A czy mógłby pan, spoglądając z tej książkowej perspektywy, wskazać na ważne punkty swojego rozwoju psychicznego?

— Ale o jakiego rodzaju punkty panu chodzi? Dla mnie na przykład bardzo ważnym momentem była okupacja hitlerowska, która miała znaczny wpływ na mnie i na moją twórczość. Czy o takie rzeczy panu chodzi?

— Nie, interesują mnie teraz książki i pisarze, którzy jakoś zaważyli na pańskim dorobku czy myśleniu o literaturze i świecie.

— Antoine Saint-Exupéry i Joseph Conrad, Schopenhauer i Russell, Fiodor Dostojewski i Arthur Stanley Eddington jako autor dzieła o wewnętrznej budowie gwiazd. Czytałem je jeszcze jako szesnastoletni chłopiec. Dziś jest już w kilkudziesięciu procentach przestarzałe, ale pamiętam, że piękno wywodu i ten fascynujący fakt, że za pomocą czystej dedukcji matematycznej można tak wiele dowiedzieć się o tym, co dzieje się we wnętrzu gwiazd, zrobiły na mnie ogromne wrażenie.

Spośród książek, w znacznej części już przeze mnie zapomnianych, które wkładał w moje ręce ojciec, warto zapewne wspomnieć też *Wielką przyrodę ilustrowaną.* Już w niższych klasach gimnazjalnych zaznajomiłem się z wielkimi praszczurami, ze światem paleontologii oraz dziejami powszechnymi życia na ziemi. Wielokrotnie do tego w późniejszych latach wracałem i wracam nadal.

— A w późniejszych latach nie miewał pan już tego rodzaju lekturowych olśnień?

— Właściwie tylko jedno — mam na myśli dwie książki Hofstadtera *Bach, Gödel, Escher* oraz *Mind's I.* Autor jest profesorem computer science i ostatnio przejął funkcję,

którą dotąd pełnił w „Scientific American” Martin Gardner, to znaczy dział matematycznych rozrywek. Można tam zawsze znaleźć fascynujące historie. Na przykład w jednym z ostatnich numerów zamieścił komputerowe rozważania nad muzyką Fryderyka Szopena. Rzecz nie w tym, aby Hofstadter chciał go przerabiać na komputer czy mechanizować, ale w intencji badawczej, gdyż on się kocha w muzyce i dość dobrze zna się na muzykologii, czego nie mogę powiedzieć o sobie. W tym artykule było coś bardzo ładnego, gdyż autor zdradził się w nim z miłością do Polski i Polaków. Staram się na ogół nie być polonocentryczny i etnocentryczny, ale mimo woli sprawiło mi to przyjemność. Przyznaję się do tego, bo mam wrażenie, że to nie hańbi.

Wróćmy jednak do wspomnianych książek. Druga z nich, *Mind’s I*, dotyczy zagadek świadomości, jednak nieco więcej chciałbym powiedzieć o pierwszej zaś. Jest to wspaniała książka, za którą autor otrzymał Nagrodę Pulitzera, co uczyniło ją na Zachodzie bestsellerem, choć nie jest to wcale pozycja popularna, gdyż są w niej rozdziały wymagające naprawdę dobrego zaznajomienia się z logiką formalną i matematyką. Była to najciekawsza rzecz, jaką czytałem w ostatnich latach.

Kto to jest Bach, to pan wie, Gödel to najwybitniejszy — Hofstadtera i moim zdaniem — matematyk naszego stulecia, Escher zaś to grafik, który rysuje rzeczy odpowiadające antynomiom i paradoksom logicznym, które są wewnętrznie sprzeczne. Chodzi o to konstrukcje samozwrotne, rysowane realistycznie, ale będące układami niemożliwymi.

Książka jest ogólną teorią wszystkiego: chodzi o kod dziedziczny, o komputery, o paradoksy filozoficzne, o możliwość dobrania się do zjawisk z zakresu logiki od strony nauk ścisłych. Jej główne pytania dotyczą tego, czy nasze myślenie i świadomość podlegają regułom pozwalającym na ich sformalizowanie (pytanie to nie jest

rozstrzygnięte, więc gdyby to było możliwe, wówczas przed utworami typu „golemowego” przyszłość stanęłaby otworem). Rozpatrywane są tutaj funkcje rekurencyjne, chodzi o rachunek zdaniowy, o znaczenie, o teorię zdań, o retrospektywne i prospektywne możliwości sztucznej inteligencji.

A równocześnie książka ta przetykana jest uroczymi dialogami — troszkę w stylu *Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrolla — w których występują: mądry krab, Achilles i mrówkojad. Podstawowe kwestie są więc jakby dwa razy podane: raz dyskursywnie, a raz w formie pseudometaforycznej, żartobliwej czy jak kto woli, wariackiej. Książka ta dziwnie mi odpowiada i mam odczucie, na przemian miłe i irytujące, że spotykam się wciąż z własnymi koncepcjami, które ongiś piastowałem. W tej książce wynikły one jednak zupełnie niezależnie.

Dużo można o tej pozycji mówić, ale generalnie jej przesłanie jest mi bardzo bliskie, bo głosi postawę optymistyczną poznawczo, iż nie jest tak, że całość jest nieredukowalna do części, tylko właściwie jeśli mocno się wysilimy, wiele możemy uprościć przez redukcję. To jest wszak dość pocieszające. Jeżeli nawet *ignoramus et ignorabimus*, to przecież jest jeszcze bardzo dużo czasu, aby z tym twierdzeniem „wyjechać”, a nie od razu, jak obrażone na świat dziecko, wszystko cisnąć w kąt.

— Pańskie książki — jeśli potraktować zobowiązująco formułę Małgorzaty Szpakowskiej — wyznaczają drogę odwrotu od literatury, a przynajmniej od jej potocznych wyobrażeń. To musi się jakoś wiązać z pańskim rozumieniem literackości i zapewne też określa pański gust czytelniczy.

— Jak tu sensownie panu odpowiedzieć? Gdyby kogoś zapytać, jaka jest jego koncepcja zupowatości (od słowa: zupa), to jedynie sensowna odpowiedź zakładać musi określenie, jakie zupy dany człowiek lubi. Jedyne więc,

co mógłbym teraz zrobić, to spróbować określić, jakie pozycje są dla mnie najwyższego lotu, a jakie niższego.

— *O nic innego mi od początku tej rozmowy nie chodzi, jak tylko o wyduszenie z pana takich zeznań.*

— No bo to się łączy. Mało, że się łączy — to jest jedno i to samo. Powiem więc może tak: zupy, których nie jadam, są bez wątpienia zupami, bo inni je jadają. Ale ponieważ ja ich do ust nie biorę, więc uważam, że mogłyby z powodzeniem nie istnieć.

— *Toteż nie pytam o literackość czy zupowatość ogólnospołeczną, lecz o pańską prywatną. A nawiasem mówiąc, co z pana tolerancją, skoro gotów jest pan zmieść z literackiego stołu znaczną część menu*.

— W tym względzie jestem liberałem i nie zabraniam innym jadać zup, które im smakują. Zupa z gąsienic i majowych chrząszczy — na zdrowie! Smacznego! Ja jej nie wezmę do ust. Uważam, że tak jak zupę można zrobić absolutnie ze wszystkiego, łącznie z gnojem, tak samo ze wszystkiego można uczynić literaturę. To, czy uznamy to za literaturę, zależeć będzie od takiego *consensus*, nawet nie to, że *omnium*, tylko od wydawców, od czytelników i od rynku. To jest elementarnie proste. Arbitralne relegowanie pewnego rodzaju piśmiennictwa poza uświęcony teren literatury jest bezsensowne. Można powiedzieć oczywiście, że jest państwo wyższe i państwo niższe, ale gatunki trywialne to też przecież rodzaj literatury.

Moim zdaniem literatura to jest pisanie nie mające charakteru namiastkowego. Na przykład pornografia jest literaturą *par excellence* zastępczą, gdyż zastępuje oglądanie, dotykanie i szereg innych czynności. Widać to też w stosunku do środków językowych, bo nie można się nimi nasycić, intensyfikując opisy — język jest ekranem nieprzepuszczalnym. Nie można się najeść jabłkami opisywanymi z dowolną dokładnością, tak jak nie da się

zaspokoić chuci nie wiadomo jak rozbudowanymi na planie językowym orgiami.

W związku z tym w literaturze występuje często zjawisko „dociskania pedału” — rozbudowywanie erotycznej fantastyczności i dosadność ekspresji słownej. Mnie to zresztą zawsze bawiło, a szczególnie u markiza de Sade’a, bo jeśli komuś nie wystarcza zwyczajny penis, tylko musi mieć od razu taki jak dąb, to elefantiaza tego rodzaju staje się humorystyczna. Niegłupi Henry Miller umiał to zresztą znakomicie wykorzystać, gdyż mieszał w swoich pseudo- czy quasi-pornografiach powieściowych tego rodzaju obsceniczność z drwiną, podczas kiedy u de Sade’a, podobnie zresztą jak w całej pornografii, jest to śmiertelnie poważne. W takim więc sensie literatura nie może być namiastką. Szachy też nie są namiastką niczego.

— Można to też od biedy — jeśli wykluczy się zbrodnicze inklinacje czytelników — odnieść do powieści kryminalnej.

— Można. Przyzwoicie napisana powieść kryminalna nie jest namiastką, tylko rozrywką. Nawiasem mówiąc, trochę ich kiedyś czytałem. Dla przykładu Raymond Chandler nie jest najgorszy. Może czasem nieco przemęczony, ale w sumie nie najgorszy. Czasem jakiś utwór Agaty Christie, ale też nie za bardzo, bo autorka ta jest dość płaska i jednowymiarowa. Niektóre „Simenony” są nawet dobre. O polskich kryminałach przez litość zmilczę. Nic mnie właściwie nie obchodzą. Za to *Zbrodnia i kara* jest zupełnie niezłym kryminałem, choć nikt jej nie uważa za powieść kryminalną.

— A z literatury wysokoartystycznej do kogo najczęściej pan wraca? Jakie lektury pozostawiły w panu najgłębszy ślad?

— Będę mieszał gatunki i obszary językowe, ale to jest raczej w takiej rozmowie nieuniknione. Trudno mówić w sposób niechaotyczny. Jest taka zabawa dziecięca, składająca się z niewidzialnego rysunku, który pocierany specjalnym ołówkiem zaczyna odsłaniać swój właściwy

kształt. Może tak jak w niej z chaotycznego mówienia wyłoni się jakiś całościowy rysunek moich literackich upodobań?

Najpierw wymieniłbym może Federica Garcię Lorcę, o którym mało wiem. Zapewne należałoby wspomnieć Jorge Louisa Borgesa — niektóre jego rzeczy były bardzo dobre, a szczególnie utwór o szachach. Potem Rainer Maria Rilke, którego wszystkie tłumaczenia wydają mi się niezwykle marne, a to, co wykonał Artur Sandauer, jest wręcz straszne. Jest to solenna ciesiołka i stolarka, wywodząca się z naiwnego mniemania, że znalezienie dokładnych odpowiedników leksykograficznych stwarza poezję. Ale jej właśnie w tych przekładach nie ma — wyparowała!

Lubię bardzo *Fausta* Johanna Wolfganga Goethego, za to *Ballady* Friedricha Schillera wydają mi się niezwykle przestarzałe i tchnące jakąś zmurszałością. Ja zresztą do dzisiaj mam je we fragmentach w pamięci, bo nauka niemieckiego w moim dzieciństwie polegała na młóceniu wszystkiego na pamięć, więc te „częstochowszczyzny” wciąż mi się jeszcze w głowie kołaczą.

— Skoro jest pan już przy niemieckich romantykach, to proszę powiedzieć, jaki jest pański stosunek do romantyków polskich?

— Bardzo dobry jest Mickiewicz! Niedawno przeczytałem sobie *Dziady,* choć normalnie się tego nie robi, bo po co. Gdy doszedłem *Do przyjaciół Moskali*, po kręgosłupie przeszedł mi taki sam dreszcz, jak, powiedzmy, dwadzieścia lat wcześniej. To jest w końcu utwór o okupacji. Trudno nie odczuwać jego aktualności.

Głupio też może powiedzieć, bo to banalne, ale Juliusz Słowacki też jest nie najgorszym poetą. Oczywiście za dużo tam tych aniołów, czerwonych chmur i gwiazd… (*śmiech*). Mówiąc ogólnie: nader rozbudowana dekoracyjność. Ale nie jest to jednak „kościół bez Boga”.

Jeśli chodzi o Cypriana Norwida, to jestem już bardziej „przebierny”. Niewielka część wierszy znakomitych,

a reszta wręcz nieznośna! Przychylałbym się tutaj do opinii Michała Brońskiego, że on naprawdę zwariował i popadł w silną manię prześladowczą, związaną zapewne z jego głuchotą. On uważał, że świat go nie docenia, a im bardziej się na ten świat gniewał za swoje zapoznanie, tym gorsza była jego poezja. Takie jest moje przekonanie. A równocześnie dał niewielką ilość wierszy najwyższej klasy w całej historii literatury polskiej.

— *Bardzo to przykra opinia dla nauczycielek i szkolnej dziatwy. Wciąż jednak nie użyczył pan miejsca swojemu największemu ukochaniu literackiemu, jakim jest Leśmian.*

— Do sporej grupy jego wierszy mam stosunek bałwochwalczy, ale nie do wszystkich, ponieważ niekiedy popełniał on niezwykłe kiksy.

— *Może poda pan przykłady, aby było już wiadomo, którego Leśmiana pan kocha, a którego nie?*

— Na przykład wiersz *Marsjanie* — straaaaasznie niedobry! Kiedyś zachwycał mnie *Pan Błyszczyński*, ale dziś, kiedy jestem już znacznie starszy, wydaje mi się to trochę „przefajnowany”. Nie lubię także jego niektórych erotyków.

— *Dlaczego? Są niezwykłe!*

— Coś mnie w nich razi. Nie umiem dokładnie powiedzieć, co. Może ta dwoistość kochanki i temu podobne rzeczy? Ale dajmy temu pokój i nie czepiajmy się za bardzo, bo pisarza raczej należy oceniać wedle tego, co w nim najlepsze, a nie najgorsze.

Teraz chciałbym powiedzieć o paru książkach, które od dobrej chwili pukają mi do głowy, więc widać pragną wyjść na światło dzienne. Bardzo dobrą książką jest *Mr Sammler’s Planet* Saula Bellowa…

— *Nie „Herzog”?*

— *Herzog* mi się w ogóle nie podobał. Za to dość przypadła mi do gustu *Henderson the Rain King* — znakomita książka, może nawet najlepsza! Jeśli chodzi o tak drobne różnice odczuwania pomiędzy poszczególnymi

pozycjami, nie mogę powiedzieć już nic więcej. To się za to wiąże z następującą rzeczą: Bellow należy do wielkiej triady utalentowanych pisarzy amerykańskich pochodzenia żydowskiego, do których należy także Bernard Malamud i Philip Roth. Ja tego typu prozy, jaką uprawiają po prostu nie znoszę — te nieustanne erekcje, spermy, kobiece piersi i problemy dojrzewających młodzików żydowskich. Ten skład chemiczny jest to dla mnie okropny. Stąd też może bierze się moja niechęć do prozy Lowry'ego, w której obserwujemy najwyższy stopień intensywności — może tak duży jak u Dostojewskiego — wjeżdżania maszyną narracyjną w najbardziej rozpaczliwe pokłady świata ludzkiego. Ale nie jest to czynność katartyczna, jak u autora *Idioty*, przesilająca się w oczyszczenie, lecz nieprzyjemne babranie się.

Dlatego też nie lubię modnej dziś prozy typu Charles Bukowski, gdzie napotykamy takie delicje, jak śmierdzące skarpetki, sperma, krew, majtki, bicie po mordzie. Albo William Burroughs — pisarz amerykański, były narkoman, i jego narkomańsko-erotyczno-pornograficzne wizje, czyli los ćpuna w rozmaitych ujęciach. Jako dokumenty epoki to może i bardzo dobre, ale sprawia mi przykrość. Demaskuje to naturalnie moją staroświecką, wiktoriańską (*śmiech*) naturę, ale niechętnie się zwykle brałem do tego typu twórczości. Owszem, przeglądałem, uważając, że nie można się ograniczyć do tych zup, które się lubi, ale do rozsmakowania się w takiej prozie zawsze było mi daleko.

Wziąłem kiedyś do ręki antologię noweli amerykańskiej. Niczego ciekawego tam nie było! Wolę więc wspomniane już opowiadanka O. Henry'ego. One są oczywiście dość prymitywne i trącą już nie myszą, ale supermyszą, ale prowadzone są z nieprawdopodobną biegłością narracyjną i posiadają swój nieodparty urok. Takiego wdzięku nie ma u Amerykanów ze wspomnianej antologii. Powiem krótko: oni wstydzą się opowiadać. Pokażą panu goły tyłek

i genitalia, ale nie opowiedzą tego porządnie. Ta wstydliwość narracyjna cechuje zresztą również całą młodą szkołę prozatorską Henryka Berezy. Ci młodzi ludzie uważają widać, że nie wypada opowiadać, bo to się przeżyło.

Jeśli chodzi o Francuzów, od czasu *nouveau roman* nie widzę nikogo, kto by mnie zafascynował. To, co czytałem, nie dało mi zupełnie nic. Choćby taki Alain Robbe-Grillet! Zawsze wydawał mi się zupełnie wyprany z talentu. Uważam, że on zrobił to, co po niemiecku nazywa się *aus einer Not eine Tugend machen.* On zastąpił swój brak talentu narracyjnego różnymi dziwactwami. I to dziwactwami w najwyższym stopniu nieinteresującymi.

U Rosjan jak daleka i piękna gwiazda świeci Dostojewski, który zawsze potrafił mnie zażyć z mańki i doprowadzić do takich strasznych turbacji duchowych — których zresztą nie lubię, bo któż je lubi — że musiałem im się poddać. U niego jest tak silna ostateczność poszukiwań, iż w końcu czuję się pokonany.

— Skoro jesteśmy przy Dostojewskim, to zauważyłem, iż najczęściej powołuje się pan na „Notatki z podziemia”. Dlaczego akurat ten utwór jest dla pana tak ważny?

— No Boże, przecież w tej książce siedzą — jak robaki strasznych embrionów —wszystkie czarne, dwudziestowieczne „filozofie”. Tam znajdzie pan wszystkie męki rozmaitych Camusów szczelnie upakowane jak w główce plemnika — jest tam cały organizm dobrego pana Adolfa Hitlera, który miał się dopiero narodzić. Żeby to uwspółcześnić, należałoby tylko wywód główny w niektórych partiach zmienić, a szczególnie tam, gdzie jest mowa o kołeczku w fortepianie i o klawiszu, a także w tych fragmentach, gdzie Dostojewski mówi, że człowiek zwariuje, aby być nieprzewidywalnym. Ta sprawa jest już rozstrzygnięta, bo istnieje indeterminizm w determinizmie, istnieje statystyczność, pozwalająca zachować przekonanie o zupełnie wolnej woli, aczkolwiek nie wszystko nam

przecież wolno. Jest tu pewne upośrednienie. Ale wszystko inne, co tyczy się potwornych zadziorów, straszliwych sprzeczności, a także piekieł natury ludzkiej — to wszystko jest w pełni aktualne. Ludzie musieliby przestać istnieć, aby to zdezaktualizować. Zawsze mnie to fascynowało.

Odpowiadają mi też nieliczne książki Vladimira Nabokova, a szczególnie *Lolita*, która była bardzo starannie wyważona, w przeciwieństwie do *Bladego ognia*, gdzie daje o sobie już znać pewne zakłócenie proporcji. Nabokov potrafi robić to tak świetnie, z taką lodowatą precyzją, że aż mnie odrzuca. To są często rzeczy wręcz niewytłumaczalne.

Zafascynowały mnie też onegdaj *Jeden dzień Iwana Denisowicza* i *Pierwszy krąg* Aleksandra Sołżenicyna. Chciałoby się je oddzielić od spraw politycznych, ale nie potrafimy już wyrwać z serc tego czynnika. Nie da się ich już czytać tak jak np. *Czerwone i czarne* Stendhala. To jest dziwne, bo proza Sołżenicyna nie jest dla mnie literaturą najwyższego lotu, choć powinna być, bo w swoim kanonie narracyjnym jest bardzo konsekwentnie prowadzona.

— *Może tu działa element ciekawości, że to też rodzaj „pornografii" politycznej?*

— Może? Ale to jest nie do oddzielenia w lekturze od ujęcia dystansującego. To jest zupa zawierająca tak osobliwą przyprawę, że pali język i w związku z tym zwiększa mój apetyt, a więc ją pochłaniam.

Przy okazji muszę oświadczyć, że mam dziwną słabość do literatury austriackiej. Skądinąd wiadomo, że na stykach kultur, gdzie pojawiają się hybrydy, rodzą się nieraz dzieła cenne. Kultura austriacka i ta straszna monarchia, która zresztą bardzo źle skończyła, były wielką wylęgarnią talentów.

— *Które z nich pan najbardziej ceni?*

— Ich tam jest sporo. Żeby daleko nie sięgać, to Franz Kafka pisał po niemiecku, tworząc w Pradze.

— *Istotnie, często jego nazwisko przewija się w pańskich książkach eseistycznych.*

— Z tym pisarzem jest u mnie dziwnie. Z jednej strony widzę jego znakomitość i nieraz czytałem dociekliwie *Zamek*, *Proces* i opowiadania, ale jego listy dość zasadniczo mnie zirytowały. Ma pan pytającą minę, więc od razu odpowiem: gniewa mnie ich nerwicowość, tragiczność i „rozpaczność". Nie wynosiłem tego nigdy na forum publiczne, bo lektura to czynność głęboko prywatna i ma się prawo do autentycznych emocji. Wie pan, niechętnie wracam do jego prozy. Do *Zbrodni i kary* Dostojewskiego czy *Czarodziejskiej góry* Manna owszem, ale nie do niego.

Poza tym strawny dość wydaje mi się Hugo von Hofmannsthal i ten…

— *Max Frisch?*

— Nie powiem, abym nie lubił go czytać, ale tego rodzaju literatura daje mi dość mało. Ale Frisch jest Szwajcarem.

— *No to Friedrich Dürrenmatt, skoro jesteśmy przy Szwajcarach?*

— *Wizyta starszej pani* to rzecz zupełnie niezła, ale mam rozmaite zastrzeżenia. Odnoszę dziwne wrażenie, że on to wszystko sobie wymyślił. Pan się śmieje? Ja wiem, że to brzmi śmiesznie, bo wszyscy wszak literaturę „wymyślają", ale niedostateczna wydała mi się u niego chyba siła zaangażowania. Nie śmiem dalej uzasadniać. Może to właśnie ta fenomenologia zupy? Nie lubię, a nie wiem dlaczego.

— *A swoją drogą, w jaki sposób odróżnia pan literaturę austriacką od niemieckiej?*

— Nie podjąłbym się wyjaśnienia, czym one się od siebie różnią, ale czuję w kościach, że tam są spore różnice. Ktoś ładnie powiedział, że Austriacy i Niemcy to w gruncie rzeczy to samo, lecz różnią się tym, że jedni i drudzy piszą po niemiecku.

— *A lubi pan prozę Hermanna Hessego?*

— To też ciekawa rzecz. Jego powieści *Das Glasperlenspiel* (*Gra szklanych paciorków*) nie mogłem wręcz czytać. Najznakomitszymi książkami Hessego pozostają dla mnie: *Narziss und Goldmund* (*Narcyz i Złotousty*) oraz *Wilk stepowy*, choć i one nie obeszły mnie za bardzo. Na szczęście nie jestem krytykiem i nie muszę argumentować swoich sądów. Zresztą zawsze wydawało mi się, że krytyk najpierw zafascynowany jest jakąś książką, a dopiero potem — wtórnie analizując i racjonalizując — poszukuje argumentów. Przecież nie jest tak, że widząc piękną kobietę, myślimy następująco: proporcja szerokości jej miednicy do rozmiaru jej piersi odpowiada mojemu matematycznemu wyobrażeniu na temat piękna, więc ona mi się podoba. Nikt nie dokonuje takich dociekań na temat niewiasty ani żadnych podobnych racjonalizacji w obrębie swojego sensorium. Jest tylko pewne wrażenie całościowe, które potem dopiero próbuje się umotywować.

— *Deklarował się pan jako miłośnik literatury austriackiej, kogo jeszcze pan lubi czytać?*

— Ostatnio czytałem *Powrót Casanovy* Arthura Schnitzlera. Jest to rzecz znakomicie narracyjnie napisana, utrzymana świetnie w stylu epoki. Opowiada o ostatniej przygodzie miłosnej Casanovy, w nikczemny sposób wymuszonej na niewinnym dziewczęciu. Ta książka powinna być testem. Tu widać, że nie można podrobić pisarza. Jeśli weźmiemy jakiegoś taszystę lub innego zwolennika nowoczesnego malarstwa, on może nas długo oszukiwać co do tego, czy jest w stanie namalować porządny akt lub coś znakomitego piórkiem. Takich oszustw nie może się jednak dopuszczać ktoś, kto pragnie pisać w sposób tradycyjny, bo tutaj się wszystko zaraz wydaje. Tu nie ma czarów! Gdy ktoś chce fałszować banknoty, musi to robić w sposób znakomity lub w ogóle nie powinien się do tego zabierać. Schnitzler zrobił to wręcz perfekcyjnie.

A skoro mówimy o falsyfikatach, to przypomnę o słynnym fałszerstwie korespondencji Szopena, któremu próbowano

wmusić różne sprośności w kontaktach z Delfiną Potocką. To było sprawnie zrobione i ludzie łatwo dali się na to nabrać. Skądinąd wiadomo — to jest szersza sprawa — że bardzo łatwo oszukać odbiorców sztuki, nie wyłączając znawców. Wystarczy wyciągnąć dobrze spreparowany szpargał i powiedzieć, że jest to odnalezione opowiadanie Dostojewskiego lub fragment nie dokończonej symfonii Beethovena.

— Łatwo się domyślić, że jest pan wielbicielem dziewiętnastowiecznej powieści realistycznej.

— Bardzo kocham realistyczne powieści tej doby i wcale nie uważam tej miłości za zboczenie. To dzisiejsi odbiorcy sztuki w krajach permisyjnych są tak sterroryzowani przez zalew tego, co im się za sztukę podaje, że nie śmią się masowo zbuntować. Zresztą gdyby się nawet zbuntowali, ich państwa z miejsca przydzieliłyby artystom, których nikt nie chce czytać czy oglądać, moc różnych stypendiów i zasiłków. W ten smutny sposób niestety uniemożliwia się im umieranie z głodu.

Mój gust może być zupełnie bez wartości i w zestawieniu z gustami ekspertów — omylnych, jak wiadomo — pośledni, ale za to autentyczny, jak wspomniane już parokrotnie smaki. Nie słyszałem jeszcze o wypadku, aby ktoś, kto nie znosi zupy żółwiowej, jadł ją nieustannie, aby udokumentować światu, że jest doskonała, i to w sytuacji, gdy uwielbia grochówkę. Śmiało mogę o sobie powiedzieć, choć to może mi być poczytane za niepoczciwość, że takich rzeczy robić nie potrafię.

— Wymieniał pan jednym tchem różne wielkie nazwiska, ale pisarza, który jako bodaj jedyny jest z panem porównywalny, zbył pan właściwie jednym zdaniem. Można powiedzieć, iż w jego twórczości — jako że była wcześniejsza — można odnaleźć wzorce dla pewnej grupy pańskich utworów, a pan go niełaskawie i boję się powiedzieć, że strategicznie, ominął.

— Kogo ma pan na myśli?

— *Borgesa.*

— A dlaczego wszyscy wrzucają go do mojego ogródka?

— *Sądzę, że z powodu zamknięcia się w świecie Księgi, Biblioteki, w rozwidlającym się Labiryncie Wiedzy. Myślę też o budowaniu tajemniczych hipotez, stawianiu na głowie mitów, tworzeniu konstrukcji zmatematyzowanych o strukturze zamkniętej i kolistej… Dużo by można tego wymienić. To są pierwsze z brzegu analogie. Po prostu: człowiek, który pożarł Encyklopedię.*

— John Leonhard też kiedyś napisał, że Lem to Borges kultury naukowej.

— *I co, nie zgadza się pan z tą kwalifikacją?*

— To jest trochę inaczej. Po pierwsze, ja mam chyba większą inwencję fabularną niż Borges, bo on nigdy przecież nie pisał powieści. Po drugie, nie jestem, jak on, archiwistą. Nigdy nie tworzyłem odurzony czadem bibliotek, tylko odtrącałem ich ogromne zwały, by ponad nimi roztoczyć jakąś dziwaczność. A po trzecie, proszę zauważyć, że Borgesa nie frapują specjalnie wartości natury kognitywnej, czysto poznawczej, gnostycznej. On napisał w *Tlön*, *Uqbar*, *Orbis Tertius*, że metafizycy Tlönu nie poszukują prawdy ani prawdopodobieństwa, tylko zdziwienia. Muszę powiedzieć, że w przeciwieństwie do autora *Alefa* wolałbym te czynniki połączyć. *List do Koryntian* powiada: „*Teraz widzimy przez ciemne szkło, ale potem ujrzymy twarzą w twarz*”. Więc ja chciałbym, proszę pana, widzieć właśnie twarzą w twarz, i żeby to była prawda o przyszłości. Chciałbym na przykład zobaczyć, w jakich konwulsjach będzie umierać układ polityczny, którego cząstkę musimy stanowić, i wiele innych rzeczy.

Poza tym wydaje mi się, że ja inną drogą doszedłem do Apokryfu. Na ogół chodzi mi po głowie więcej kwestii dotyczących rozwoju technologicznego niż fabularnych konstrukcji, gdyż są one w swoim zbiorze i przeliczalności dość skąpe. I być może również poczucie popadania w koleiny tradycjonalizmu — ale to jest tylko moje

domniemanie — pchnęło mnie do pisania książek coraz bardziej zwartych, jak właśnie *Doskonała próżnia.* Po co mordować się nad całą książką, skoro mogę napisać jej recenzję? Po co machać serię traktatów, skoro mogę napisać antologię wstępów do nich?

— *Pan to mówi ironicznie? Zawsze odnosiłem wrażenie, że „wstępologia" wynika u pana z niemożności — pewnie także czasowej — napisania tych książek.*

— A niezupełnie. W niektórych przypadkach rzeczywiście tak było, ale przecież niektóre książki można by było napisać bez kłopotów, na przykład *Gruppenführera Louisa XVI* z *Doskonałej próżni.* Zresztą niedawno jakaś wytwórnia filmowa oferowała mi duże pieniądze za napisanie w oparciu o ten materiał scenariusza.

— *Więc zdecydowanie i pryncypialnie odżegnuje się pan od Borgesa?*

— Niechętnie widzę siebie z nim w jednej parze. Dostrzegam oczywiście podobieństwa w planie ogólnym, ale równocześnie widzę ogromne różnice ze względu na nasze źródła. Borges jest cały z przeszłości, z Biblioteki, a u mnie dominujące jest — zabrzmi to patetycznie — zmaganie się o człowieka i jego kosmiczną pozycję. To już jest dość zasadnicza odmienność. Proszę zauważyć, że nie porównuję już w ogóle takich spraw, jak kaliber estetyczny czy kwestia mocy artykulacyjnych, uznając, że nie są tak istotne.

— *Ale z kogoś się pan chyba — w sensie literakim — urodził?*

Jeśli chodzi o antenatów, to rzeczywiście kłopotliwa sprawa, bo nie ma w literaturze polskiej nikogo, do kogo by można mnie odesłać. Trzeba by sterować gdzieś w stronę Darwinów, ale też wcielonych i przemieszanych… Każdemu szuka się antenatów, więc krytycy zagraniczni wpakowali mnie pod Jana Potockiego. Pisał te swoje szufladkowe historie po francusku, ale czy to ma dla nich

jakieś znaczenie…? To już lepszy byłby pewnie Jonathan Swift.

— *Różni pisarze nam się tu przewinęli, więc może zapytam o pański stosunek do Tomasza Manna, któremu w różnych tonacjach poświęcił pan nieco uwagi.*

— Przepadam wprost za *Czarodziejską górą*, a pan?

— *Wolę zdecydowanie „Doktora Faustusa”.*

— Wie pan, kłóciłbym się o gusta. *Czarodziejska góra* ma w sobie wigor i świeżość. A *Doktor Faustus* niesie ze sobą mądrość, ale mądrość starczą, której nie lubię. Po drugie nie ma tu namiętności!

— *Jakżeż nie ma?*

— W porządku, jest, ale „zrobiona” — zupełnie nieprawdziwa. Prawdziwa jest dla mnie namiętność Castorpa.

— *Przecież on Kławdii Chauchat nawet porządnie nie dotknął.*

— Jeśli pan przez namiętność rozumie wyłącznie miętolenie, to zgoda. Dla mnie uczuciowość Hansa jest prawdziwa. Ale pies jest gdzie indziej pogrzebany. Wydrukowałem w języku niemieckim szkic *Herr F.*, w którym wyjaśniałem dokładnie, dlaczego jest dzisiaj niemożliwe napisanie dwudziestowiecznej wersji *Fausta.* Między innymi dlatego, że los jednostkowy nie może być modelem losów zbiorowych. To jest błąd poznawczy i mistyfikacja, bo alegoryzacja czyniąca z losów jednostkowych generalizację, mającą za zadanie uchwycić losy ogromnych zbiorowości w ich historycznym przebiegu, jest przedsięwzięciem skażonym w powiciu, niepokonywalnym błędem. Tego nie można robić. Losy zbiorowości nie dadzą się wtłoczyć w żaden los jednostkowy, tak by był on w stanie — w sensie conradowskim — wymierzyć im sprawiedliwość. W kwestie etyczne nie chcę już nawet wchodzić.

Bardzo dużo jest w *Doktorze Faustusie* uroszczenia do prezentowania wielkiej paraboli losu Niemiec i pretensji

do roli „drugiego głosu” w historii Niemiec, alegoryzującego współczesne kuszenie szatańskie. Dużo uwagi poświęciłem tej kwestii w *Filozofii przypadku*.

— *A co pan ma przeciwko starczej mądrości?*

— Wiele. Pierwszy raz wyartykułowali to Amerykanie, pisząc, że proza Manna jest powolna, majestatyczna, oceaniczna i dbająca o siebie. Najsilniej jednak zaatakował ją w *Dziennikach* Gombrowicz, mówiąc zjadliwie: „Mannie, stara kurtyzano”. Jako diatryba jest to mocno przesadzone i przepojone szyderczą złośliwością, ale niewątpliwie znakomicie trafione. To jest właśnie mizdrzenie się potęgą starczej mądrości — coś jakby ze sfałszowanych popiersi Sokratesa. Tymczasem ani to Sokrates, ani Homer, tylko zmyślenia późniejszych rzeźbiarzy, którzy nie widzieli ani jednego, ani drugiego. W *Doktorze Faustusie* jest ta zaklęta w kamień przeszłość. To nie jest starzec, który ma za sześć lat umrzeć, ale od razu Nieśmiertelny. Widać w tym całe zadęcie Manna… Gdyby stać bezwzględnie przy postulacie autorskiej szczerości, to trzeba, aby starzec wiedział, jak bardzo jest przez swoją starczość podgryzany i jak szybko ma się on — jako starzec właśnie — w jamę nicości zwalić.

— *Jest pan okrutny i chyba niesprawiedliwy. A co, lepiej, aby tylko ronił łzy nad galopującym uwiądem starczym?*

— Nie mówię, że on powinien wyciem starego psa zwiastować swoje agonalne akordy, ale kokietowanie starczą mądrością jest wyborem szlachetnego załgania. W tym widać zaślepienie na fakty czysto biologiczne.

A starcze fanfary to niby takie godziwe? To jest wyciąganie wszystkich resztek ze swego starego mózgu po to, aby się usadowić na olimpijskim piedestale. (*sarkastycznie*) Można, owszem. Z czysto osobistego punktu widzenia bardziej sympatyzuję z człowiekiem, który zdając sobie sprawę z tego, że jego twórczość jest schyłkowa, sobie i czytelnikowi tę schyłkowość uświadamia. Nie tylko widzialnemu światu trzeba odmierzyć sprawiedliwość, ale i sobie. Jedno jest od drugiego

nieoddzielne. Nauczyliśmy się już od Wernera Heisenberga i innych naturfilozofów, że obserwator jest nieodjemny od układu przedmiot– –podmiot. Nie ma takiego superarchimedesowego, a właściwie boskiego punktu, z którego można wygłaszać bezstronne sądy. Drapowanie się w fałdy wielkości jest przecież grą — to jest zwykła poza. Możemy mówić, że to szlachetne i humanistyczne, ale gdyby właśnie tego u Manna nie było, powiedziałbym, że to jest prawdziwsze.

Poza tym sądzę, że wtedy, gdy Mann pisał *Doktora Faustusa*, a to był schyłek wojny, i wygłaszał różne tezy na licznych spotkaniach, przebijała przez niego wyjątkowa naiwność. Ona pojawiła się zresztą wcześniej, gdy pisał *Rozważania człowieka apolitycznego*, które były jego poparciem dla nacjonalizmu niemieckiego podczas pierwszej wojny światowej. Wtedy właśnie nastąpiło to bolesne rozdarcie pomiędzy nim a bratem Henrykiem.

Późniejszą wielką naiwnością Manna było przekonanie, że zbrodnia niemiecka wyróżnia — oczywiście *in minus* — ten naród, który za karę przez tysiąc lat będzie odcięty od normalnego świata. Jak na twórcę wielkich koncepcji historiozoficznych jest to naiwność niewybaczalna. To szczyt szlachetnej naiwności! Mann z racji swojej roli i stanowiska duchowego był zobligowany wiedzieć, że nie takie rzeczy świat wybacza. Jego przekonanie nie ma nic wspólnego z rzeczywistym biegiem historii i przemiennością epok.

Kiedy Japonia waliła się w gruzy, jeszcze przed Hiroszimą i Nagasaki, pod potężnymi uderzeniami amerykańskimi, cała japońska elita władzy była przekonana, że zmierzają oni nieuchronnie w miazgę i nicość. Gdyby im ktoś powiedział, że za trzydzieści lat zagrożą oni swoim zwycięzcom jako najpotężniejszy w skali ekonomicznej konkurent i że rozkwitną dopiero po klęsce, to wydawałoby im się, że to jest „sen wariata śniony nieprzytomnie”.

Chcę w ten sosob powiedzieć, że jeśli ktoś się bierze do historiozoficznych igraszek, to musi jednak wiedzieć, w jakiej materii mówi, a także co mówi. To były wielkie błędy Tomasza Manna.

— *Ale nie są to przecież błędy artystyczne!*

— Dla mnie kwestie intelektualne tak mocno są zrośnięte z artystycznymi, że gotów jestem uważać, iż niemożliwa jest książka znakomita artystycznie, którą napisałby jakiś kretyn. Nie w tym sensie, żeby on nie mógł się na jakiś czas „ugenialnić", ale w tym, że jeśli książka jest rzeczywiście genialna i napisał ją geniusz, to nie mógł on być imbecylem.

— *Daleko pan zajechał, bo wprost do wniosku, że autor ukochanej przez pana „Czarodziejskiej góry" jest tumanem.*

— Może to zbyt ostro wyszło, ale u Manna naprawdę bije w oczy zadęcie schyłkowości. Jakieś piętnaście lat temu był u mnie dr Peter Viereck — były sekretarz Tomasza Manna, z którym chodziliśmy nieco po Krakowie. Otóż powiedział mi on — co zresztą już wcześniej podejrzewałem — że Mann rzeczywiście, nie w sensie metempsychozy ani reinkarnacji, uważał się za dwudziestowieczne wcielenie Goethego. Stąd *Lotta w Weimarze*! Stąd tak gwałtowna potrzeba napisania *Doktora Faustusa*! Przecież on pisał również, ale nie zdążył już skończyć, *Wesele Lutra*.

— *Należy pan do generacji, która chowała się na Conradzie i do prozy tego pisarza ma dość żywy stosunek ze względu na przejścia okupacyjne i zawikłania moralne pierwszych lat po wojnie, które odezwały się w czasopiśmienniczych dyskusjach. Jego nazwisko, jak dotąd, było tylko wzmiankowane w naszej rozmowie.*

— A ilu pisarzy w ogóle nie wymieniłem, choć chyba by należało. Nie ulega wątpliwości, że jest to pisarz wybitny, poziomu światowego, któremu wiele zawdzięczam. To był znakomity umysł i znakomity pisarz. Przyznam się, że znacznie bliższe są mojemu sercu jego mniej znane książki: *Smuga cienia*, *Zwierciadło morza*, *Murzyn z załogi Narcyza*. Nie przepadam natomiast za *Agentem*, a *Lorda*

Jima przeczytałem tylko raz, podczas gdy do wspomnianych książek, podobnie jak do *Sześciu opowieści* czy *Gospody pod dwoma wiedźmami*, wracałem nieraz. Nie mam bladego pojęcia dlaczego.

— Pływamy sobie tutaj po odmętach literatury światowej, a o polskiej literaturze jak dotąd niewiele mówiliśmy. Odżegnywał się pan od polonocentryzmu, więc ciekaw byłbym, jak wygląda spojrzenie „obywatela świata" na produkcję pisarzy polskich?

— Odpowiem panu na to pytanie potężnym cytatem ze *Współczesnej krytyki literackiej w Polsce* Brzozowskiego, który całkowicie i najpełniej ilustruje mój stosunek do tej kwestii: „Jeśli jest coś takiego, czego nienawidzę całą siłą duszy mojej to ciebie — ciebie polska ospałości, polski optymizmie niedołęgów, leniów i tchórzy. Saski trąd, szlacheckie parchy nie przestają nas przeżerać. Od szesnastego wieku zaczyna już dla nas nie istnieć to, co jest pracą ludzkości. Od szesnastego wieku jesteśmy już gapiami przyglądającymi się z paradyzu wielkiemu dramatowi świata. To, co całe życie ludzkości stanowiło, jej cała krwawa praca, jest dla nas rozrywką. Sienkiewicz skodyfikował i nadał kształt naszemu stanowisku. Jest on klasykiem polskiej ciemnoty szlacheckiego nieuctwa. Przez niego w formie artystycznej żyje skończona aż do naszych czasów saska epoka naszej historii. Pogarda płynąca z nierozumu, niepamięci, niepostrzegania jest hańbą istoty myślącej. Popularność Sienkiewicza pośród mas ludowych to zaraza szlacheckiego lenistwa". A teraz mówi Miłosz: „Skutki upadku państwa stopniowo wyraziły się w literaturze skurczeniem jej umysłowego formatu i powstała wyrwa, której nigdy nie udało się zapełnić. Bo to niemało być pozbawionym wieku dziewiętnastego — wieku prozy i olbrzymich eksploracji w głąb duszy nowoczesnego człowieka. Kraszewski, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Żeromski mają znaczenie tylko lokalne. Nie nastąpiło też to, co można by nazwać ustawieniem głosu. Przetrwała

kapryśna chwiejna linia prozy pomiędzy gawędą, gadulstwem i stylizacją, a pewnie nie przypadek to tylko, że «Trylogia» nawiązuje do Paska. Dylematy, nad którymi męczył się gdzie indziej cały wiek dziewiętnasty, zwaliły się nagle (wraz z odkrytym wtedy Norwidem i Słowackim mistycznej fazy) na pokolenie Młodej Polski i nietrudno zgadnąć, zwłaszcza pamiętając o głosie nieustawionym, skąd poronność geniuszów. Otóż w Młodej Polsce, nie gdzie indziej, jest rodowód całej nowoczesnej polskiej literatury aż do dziś. Tak samo rozmyślając nad teraźniejszością i przyszłością literatury rosyjskiej, coraz lepiej spostrzega się, w miarę jak żółkną piramidy zadrukowanego papieru, że musi ona nawiązywać do okresu 1890–1917; czymś innym był on zresztą niż w Polsce.

Spazmatyczność rozwoju. Po renesansowym rozkwicie jeszcze wiek siedemnasty, ale tylko barokowy, brak tego drugiego, któremu właściwy był kult nauk, racjonalizm, klasycyzm, jeżeli pominąć zadatki — szkołę w Rakowie zamkniętą w tysiąc sześćset trzydziestym ósmym roku czy szkołę Komenskiego w Lesznie. Brak niemal wieku osiemnastego, potem zbitka oświeceniowo-romantyczna, czyli gwałtowne nadrabianie zaległości dwóch stuleci. Następnie literatura w służbie narodowego przetrwania — bo przecie tym są Kraszewski, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa i tylu innych. I nowa zbitka, od moderny do dzisiaj, jaka, o tym osobno.

Może ten podział kogoś zaskoczy, ale taka jest perspektywa, kiedy ogląda się polską literaturę z zewnątrz”.

To już koniec cytatu. Muszę powiedzieć, że jest to bez żadnych zastrzeżeń mój pogląd. I to nie znaczy, że się pod tym podpisuję, bo podzielam te sądy, ale że są to poglądy, które żywiłem niezależnie od Miłosza, a nawet zdumiałem się, kiedy się u niego na to natknąłem. To ja uchodzę za takiego kosmopolitę, który przebywa sobie w gwiazdach, więc dlatego może na to w ten sposób spoglądać. To

również zapisał Miłosz w *Prywatnych obowiązkach*, ale powiem własnymi słowami, aby nie musiał pan wysłuchiwać Miłosza zamiast Lema, a mianowicie, że nasza literatura przez dwa wieki była skierowana do pełnienia funkcji, do których żadna literatura nie jest w gruncie rzeczy zdolna: to znaczy do imaginowania bytu suwerennego, którego naonczas nie było. Stąd w dużej mierze brały się wariacje rozmaitych Mickiewiczów i Słowackich. Niechybnie stąd! Oni nie mogli już wytrzymać i sprzeciwiali się rzeczywistemu światu w ten sposób, że zanurzali się całkowicie w oparach własnego wrzątku mistycznego.

Jak każde dziecko w Polsce byłem chowany w kulcie Żeromskiego, więc tylko czasem odważałem się myśleć, gdzieś w wieku maturalnym: jak to, Żeromski i Prus? Przecież to jest okres mniej więcej, z drobnymi przesunięciami, Dostojewskiego i Tołstoja? Tam *Wojna i pokój*, a u nas *Faraon*? Tam *Zbrodnia i kara*, a tu *Popioły*? W tym zestawieniu wypadało to okropnie.

Jeśli nie ma punktów odniesienia, to można i *Wierną rzekę* wybronić, ale przecież tak nie jest. Tam Dostojewski ze swoją antypapistyczną zajadłością, antykatolicyzmem i antypolonijnym jadem, problematyka czarnej literatury i rozważania filozoficzne, od których głębszych w literaturze nie ma, a u nas? Nie ma nic. To było moje wielkie zmartwienie.

Stąd też te okrutne, deprecjonujące sądy Miłosza zawarte w *Prywatnych obowiązkach* wydały mi się uzasadnione. Choćby te jego docinki pod adresem Marii Dąbrowskiej. W kulturze może się zdarzać *horror vacui* — skoro nie ma nikogo lepszego, to i Dąbrowska może się stać pisarzem największym. A ona się obraziła, kiedy Miłosz porównał ją, bez złej zresztą intencji, z Orzeszkową. Przecież to żenujące zjawisko, że literatura wysadziła ją tak, że musiała się stać jednocześnie Tołstojem i Mannem, co doprowadziło z kolei do tego, iż zaczęła prowadzić swoje rozmowy z diabłem w Weimarze. To są bardzo smutne

i chorobliwe procesy kulturowe. Ale na szczęście nie jest aż tak, abym siadł któregoś dnia za stołem i stwierdził, że w literaturze polskiej nie ma niczego.

— *Można przecież znaleźć bez stawania na głowie paru pisarzy o klasie światowej i pozaetnocentrycznym horyzoncie myślenia: choćby Gombrowicz i Miłosz.*

— Gombrowicz ogranicza się dla mnie tylko do paru książek: *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, czyli tego, co później nazwane zostało *Bakakajem*, *Ferdydurke* i *Trans-Atlantyku*. Reszta mnie już tak nie zachwyca. Spore zastrzeżenia mam do *Kosmosu*, choć trudno nie przyznać, że i tam są pewne rzeczy znakomite. Ale już nie ma wulkanicznej temperatury jego wczesnych książek. W nich była jakaś młodzieńcza furia, której nie da się niczym zastąpić — choćby cudowny *Filidor dzieckiem podszyty*. Każde słowo było tam jak cudowny brylant. Dość chłodny pozostaję wobec *Pornografii*, za to tej jego ostatniej rzeczy, skonstruowanej z rękopisów (*Historia*), jeszcze nie znam.

— *Czyli „Dzienniki" pozostawiają pana obojętnym?*

— No oczywiście, to jego *Ulisses*, ale bardzo specyficzny, bo jest to utwór niesamoistny. Gombrowicz za pomocą olbrzymiego podnośnika własnej osoby, którą eksponował w *Dziennikach*, windował do góry swoje dzieła „głównego nurtu" i wmuszał je wręcz światu.

Gdzieś niedaleko należałoby też szukać Sławomira Mrożka, którego utwory niezwykle sobie cenię. Chociażby *Moniza Clavier* — przecież to znakomite! On jest z tych humorystów, którzy są tak gryzący i gorzcy, że to się natychmiast skrapla w czystą, najwyższej próby filozofię.

A teraz nieco szerzej o Miłoszu. Przede wszystkim cenię bardzo jego wczesne utwory, a szczególnie *Ocalenie*, doceniam też twórczość z okresu *Traktatu moralnego*, z lat sześćdziesiątych, nawet poezja z lat amerykańskich wydaje mi się lepsza niż Miłosz późny. We wczesnej liryce widziałem żywe źródła zarówno jego poezji, jak i poezji

w ogóle. Jego późniejsze poematy czytałem oczywiście, nawet z wielką przyjemnością, ale już było zupełnie inaczej.

Piękna jest jeszcze *Dolina Issy*, ale już na przykład *Zdobycie władzy* jest zdecydowanie liche. Miłosz tłumacz również mnie specjalnie nie rozgrzewa. Po prostu jeszcze jeden facet przetłumaczył *Księgę Hioba*.

— *Ale jest jeszcze eseistyka: „Prywatne obowiązki”, „Widzenia nad Zatoką San Francisco”, „Ziemia Ulro”…*

— Właśnie o niej mam zamiar powiedzieć więcej. Najpierw czytałem *Ziemię Ulro* z wielkim uszanowaniem i fascynacją, a później z coraz większym zadziwieniem. Lew Szestow, Wiliam Blake, Emanuel Swedenborg… owszem, tylko że ja nie potrafię ze śmiertelną powagą wejść w skórę kogoś, kto się zajmuje Swedenborgiem. A on przecież odgrywa tam niepoślednią rolę.

— *Czuję, że chodzi tu o zasadniczą sprawę, ale pan jej jeszcze jasno nie postawił.*

— Jego teorie są ciekawsze niż na przykład koncepty Borgesa, lecz różnica polega na tym, że Borges nawet przez moment nie wierzy w to, co wymyśla, choćby w to, że Judasz był Chrystusem, podczas gdy Swedenborg wierzył we wszystkie te super- i hiperniebiosa, które wybudował. Ale czy znak asercji, którego jeden udziela, a drugi odmawia, ma być rozróżnikiem zasadniczym? Nie. Po prostu tekst mnie interesuje albo nie. Co do tego, jaka strawa duchowa mi smakuje, nie mogę się przecież mylić.

— *Ciągle pan krąży wokół sedna sprawy. Poza tym chodzi o Miłosza, a nie Swedenborga.*

— Rozstaję się z Miłoszem tam, gdzie jego filozofia człowieka przechodzi w mistykę. Mniejsza o to, w jakiej mierze jego fascynacja wizjami rodem ze Swedenborga czy Blake’a jest do uzgodnienia z kanonem chrystianizmu. Zapewne nie bardzo, skoro tyle w pismach Miłosza manichejskich pierwiastków. Ale nie o taką czy inną ortodoksję albo heterodoksję chodzi, tylko o to, czy wizjonerstwo „zamyka się w czaszkach” i ma ciężar

gatunkowy snów na jawie, czy też rozkorzenia się „gdzieś dalej”.

Są rzeczy, w które nie mogę uwierzyć, choćbym nie wiedzieć jak chciał. Pewność, że korzenie wizji nie sięgają „poza czaszki”, jest oczywiście czysto subiektywna, bo wkraczamy tu na teren niedowodliwych tez, więc z lojalnej ostrożności powiem tylko: to, jaki kto ma obraz świata i jaką w nim lokatę przyznaje naszemu gatunkowi, zależy w wysokim stopniu od rodzaju wykształcenia i zasobu wiadomości przyswojonych w ciągu życia. A przede wszystkim, rozumie się, od sposobu pobierania nauk i dorastania.

Mógłbym tu wytaczać rozmaite argumenty na rzecz „demistykowania” poglądów, zwanych w kręgu pozytywistów metafizycznymi, ale nie myślę, żeby było warto. Tym bardziej że zrobił to za mnie mój rzecznik, Golem. Z pozytywizmem czy neopozytywizmem nie można moich poglądów utożsamiać, ponieważ wiem i przyznaję, że empiria, czyli wiedza wyprowadzana z teorii, budowanych pod kontrolą falsyfikacyjnych eksperymentów, nie daje się zamknąć szczelnie. Znaczy to, że empiria przerasta w pozaempirię stopniowo.

Jeśli oglądać postępy fizyki, kosmologii, widać, że dla zatwardziałego empiryka wiele nowożytnych teorii i pojęć to już właściwie metafizyka. Czyli to, czego żadnym doświadczeniem wprost nie można ani obalić, ani wesprzeć. Nie można doświadczalnie zrekonstruować zjawisk, jakimi zajmuje się kosmogonia, bo zdarzyły się raz jeden, miliardy lat temu. Nie można eksperymentalnie ustalić własności „czarnych dziur” po gwiazdach zapadłych w grawitacyjnym kollapsie, bo *ex definitione* nawet by się do nich zbliżyć nie dało.

Jednym słowem, rozrost wiedzy jak najbardziej startowo empirycznej prowadzi ku takim twierdzeniom, które są dalekimi wnioskami z innych twierdzeń, zdobytych drogą logiko-matematycznego rozumowania. Początki tych

łańcuchów są twardo „wbetonowane” w tę wiedzę, która jest dla nas najpewniejsza, ale im dalej od tych miejsc, tym więcej w nowych informacjach konstrukcji czysto abstrakcyjnych i tym mniej jednocześnie takich wywodliwych konsekwencji, które mogą być zjawiskami do materialnego badania. Więc można by rzec, że nauka (a ja za nią) „też” właściwie granicznie zagłębia się w jakichś „meta-fizykach”, ale są to tereny abstrakcji absolutnie nieludzkiej, do natury człowieka niesprowadzalnej, nie mającej nic wspólnego z jego przeżyciami duchowymi, na przykład religijnej natury.

Wierzenia i religie, choć niedowodliwe, są ludziom niezbędne do życia, inaczej może niż serca i jelita, ale są konieczne, i ja też jakieś takie nieempiryczne oraz do empirii nieredukowalne przekonania żywię. Ale tylko w chwilach umysłowej słabości mogę pomyśleć, że Zło i Dobro to nie są lokalne jakości, współistniejące z ludźmi i obracające się w nicość, kiedy ich nie stanie, lecz że to są jakieś byty poza albo ponad nami. Mówię nieraz, że doświadczenie poucza nas o tym, że istnieje szatan, natomiast nic lub prawie nic poza naszymi roszczeniami i nadziejami nie zezwala na wzbogacenie teodycei osobowym albo i nieosobowym Dobrem czy Bogiem.

— *Ale tak jak pan ma prawo do akceptacji „metafizycznych” sfer lub procedur w naukach ścisłych, tak Miłosz ma prawo do ich identyfikacji w świecie duchowym.*

— Kiedy tak mówię, to jednak nie całkiem serio. W horrendalnym skrócie ująłbym to tak: zagadki istnieją. Pełen ich jest kosmos i my sami. Niemniej, są to zatrzaśnięte przed nami zamki, których albo nigdy nie otworzymy, albo jeśli uda się je otworzyć, to na pewno nie jakimkolwiek z kluczy lub wytrychów, zrodzonych przez rozpłomienioną wyobraźnię mistyczną i rozmyślania nad sednem bytu. Z Miłoszem zatem muszę się rozstawać tam, gdzie prywatność myśli przechodzi w epistemę. Miłosz mógł przełożyć *Księgę Hioba*, a ja nie mogę jej czytać bez

poczucia, że jest to historia o Bożym okrucieństwie, które przemianować może wierzący w Tajemnicę, ale ja tego nie potrafię.

— Chodzi panu o moralność tego testu wierności? Że chrześcijanie maskują tę druzgocącą prawdę przy pomocy teodycei?

— Oczywiście, takiego Pana Boga sobie nie życzę ani nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nie kwestionuję tutaj jego istnienia i nie jest to bynajmniej argument antyegzystencjalny wobec teodycei, ale powiadam w kategoriach postępowania międzyludzkiego: to jest haniebne! Rozchodzę się tu z każdym, kto się wobec tej potworności kłoni w pokorze. Mnie w takim momencie poraża niemota i nie potrafię już nic więcej powiedzieć.

— Jeśli testować będziemy prawdy wiary i jej tajemnice ludzką logiką, to o żadnym kompromisie z Miłoszem mistycznym mowy nie ma. Może więc istnieje jakaś płaszczyzna porozumienia na gruncie literatury bądź tradycji?

— Każdy pisarz, jeśli nie wypadł sroce spod ogona i osiąga jakąś klasę, świadomie lub nieświadomie kontynuuje coś z największej tradycji literackiej, zwykle ojczystej. Pokazywałem panu ten mechanizm na Mannie, który uważał się za inkarnację Goethego. To jest oczywiście znacznie bardziej subtelne niż w mojej skrótowej relacji. Lecz *mutatis mutandis et caeteris paribus* można powiedzieć, że coś podobnego jest w stosunku Miłosza do Mickiewicza. Poczynając od rodzinnej Litwy, poprzez emigrację, a na wykładaniu literatur słowiańskich kończąc, wszystko układa się w logiczny wzór. Nie wiem, w jakim stopniu świadomie to Miłoszowi wychodzi, ale jest coś na rzeczy. *Ziemia Ulro* jest tego również poważnym dowodem. Jak Mann za Goethem, tak on za swoim paradygmatycznym mistrzem powtarza wiele kwestii.

Mickiewicz oczywiście też miał swoje metafizyczne fazy i dziwactwa, które potem krytycy w jedwabnych

rękawiczkach interpretowali, choć nikt się jakoś poważniej nie rozwodził nad Bratem Adamem i tą całą historią z Towiańskim — zawsze się nad nią zaciągało zazdrostki. Cała ta strona metafizyczna jest mi więc dość obca i u Mickiewicza, i u Miłosza.

Na szczęście jest jeszcze jakaś immanencja poezji. Wiele tekstów Schopenhauera zachowało swą wartość nie ze względu na swe wartości poznawcze, bo te z niej wyparowały i są anachroniczne, ale dlatego, że zostały świetnie napisane. Wierzę więc przede wszystkim w to, co jest wspaniałe w poezji Miłosza.

— Bardzo z pana „przebierny" czytelnik i powoli dochodzę do wniosku, że tak naprawdę żadnej zupy literackiej pan nie lubi. Jest coś jeszcze co smakuje panu w naszej literaturze?

— Oświadczam, że Morsztyn i Kochanowski należą do moich ulubionych poetów! Dziwne?

— Kochanowski za bardzo mnie nie dziwi, bo każdy tam coś dla siebie wykroi: wesołek i ponurak, rozpustnik i asceta, ale Morsztyn?

— Fraszki, proszę pana. To jeden z najwcześniejszych przejawów prawdziwego humoru w polskiej poezji: prawdziwego, a więc nie humoru Reja, który polega na tym — już się pan śmieje? — że ktoś się zesrał pod płotem. Przy okazji przyznaję się, że bardzo nie lubię Wyspiańskiego, a dziecko mające doktorat z polonistyki powie mi dlaczego, jeśli dodam dla ułatwienia, że chodzi o dramaty.

— Z powodu manieryczności językowej?

— Tak, one pobrzmiewają irytującą nieprawdziwością. Z tym gustem to jednak bywa dość różnie, bo na przykład czytałem ongiś *Hymny* Kasprowicza i bardzo mi się nie podobały, ale kiedy napotkałem inne jego wiersze, bardzo się zachwyciłem i przekonałem się, że był to poeta z prawdziwego zdarzenia. Ale to było odkrycie zbyt późne, bo jeżeli ktoś sparzył sobie grochówką język tak, że chodził

w bąblach, to potem odczuwa niechęć do wszystkich potraw sporządzonych z roślin strączkowych.

— *Lepiej będzie, jeśli wymieni pan tylko tych pisarzy, których pan ceni, bo inaczej taśmy nam nie wystarczy.*

— O, ja nie lubię takiej kupy ludzi, że nawet wymienić ich wszystkich nie potrafię. Autorem bardzo niewielkiej ilości znakomitych wierszy jest na przykład Konstanty Ildefons Gałczyński. Są takie fragmenty jego *Balu u Salomona*, które w kategoriach analizy semiotycznej i logicznej są zupełnym bełkotem, a zatem puste, ale niewątpliwie są poezją. Albo *„Pąsowe wstążki bicza wiatr rozwiał przelotny*" czyli *Bezsenność* — to jest bardzo dobry wiersz. Głęboko wierzę, że ten tekst napisał mu się sam, a on był tylko medium.

Jeśli jednak teraz, w czasie stanu wojennego, ktoś sobie tak samo poetycko ćwierka, aby dostać wierszówkę, to napawa mnie to ogromnym niesmakiem. Może też dlatego nie lubię tych biologizujących poetów grupy Skamandra. Gdy miałem dwanaście lat, bardzo podobał mi się Tuwim, ale dzisiaj już mnie nie wzrusza. Owszem, sprawność literacka poetów tej grupy, ich wyobraźnia, czasem jakaś świetna zwrotka, ale jako całość to jest do niczego. W końcu gdzie jest poeta, który nie dał światu paru znakomitych tekstów? A poza tym ta ich pseudofilozoficzna łatwizna.

Nie znoszę filozofowania przybranego w szatę poetycką. Filozofowanie wymaga takiego napięcia umysłowego, takiej koncentracji i ponadludzkiego wręcz wyciągania się z cielesnych portek, że jego poetyzowanie wydaje się grubym nieporozumieniem. To tak jakby ktoś chciał się najdroższej istocie oświadczać w rymach. Dla mnie to fałsz — nikt się nie oświadcza w rymach.

— *Znakomicie robił to Cyrano de Bergerac…*

— Wiem, wiem. Zaraz pan powie, że Lukrecjusz napisał bardzo ładny poemat *De rerum natura.* Inna epoka, inny styl, inne obyczaje! Nie było wtedy jeszcze Karla Poppera

ani innych jego wybitnych kolegów. To jest coś zupełnie nieporównywalnego.

— *A więc jak pan znosi poezję Zbigniewa Herberta?*

— Muszę powiedzieć, że bardzo dobrze. Cenię go, choć przyznaję się uczciwie, iż był taki czas, gdy wydawało mi się, że idzie w pewnej odległości tropami Miłosza i nic nie dodaje do Mistrza, a zatem, że jest epigoński. Dzisiaj już tak nie uważam. Tak bywało, ale też nie zawsze. Jego maleńkie poematy prozą zawsze mi się podobały. Ponieważ zaś znam Herberta osobiście, więc tym bardziej wydawały mi się zaskakujące.

— *Świetnie zatem powinien pan czuć się w lekturze — pozwoli pan, że zmienię gatunek — Witkacego. Tam filozofowania odnaleźć można aż po same uszy, i to w ogromnym stężeniu. A poza tym jego utwory, a szczególnie powieści, są próbami diagnozowania, czyli swoistym typem filozoficznej science fiction.*

— Dobrze, że o niego pan zahacza, bo to wybitny umysł i postać dużego formatu. Zawsze mi się wydawało, czego nie poruszała krytyka, że on przeżył w Rosji jakieś straszne rzeczy. To, co widział, słyszał i czego doświadczył w czasie rewolucji, naznaczyło go bardzo głębokim piętnem na całe życie.

— *W tym rzeczywiście tkwi jakaś zagadka. W czasie rewolucji tracimy go z oczu jako oficera elitarnego pułku białogwardyjskiego, a zatem członka zbiorowości skazanej na rzeź, potem zaś pojawia nam się już jako komisarz ludowy, czy coś w tym rodzaju. W tej „dziurze" rzeczywiście musiały się rozegrać jakieś ciekawe rzeczy, bo powrócił do kraju jako już jako przekonany katastrofista.*

— Osobiście jestem przekonany, że to dało mu najmocniejszy impuls. Czytać o wielkich przełomach i wiedzieć z historii, że imperia w ciągu paru tygodni padały w proch i łamał się gigantyczny oraz pozornie niewzruszony porządek, to jest coś zupełnie innego, niż znaleźć się w takim piekielnym kotle. U Witkacego wszystko pewnie

bierze właśnie stąd swój początek. Jestem gorącym entuzjastą *Nienasycenia* i *Pożegnania jesieni*, ale traktowanych łącznie, przynoszących wizję całościową.

Nawiasem mówiąc, jego manierę filozoficzną próbuje ostatnio podrabiać Józef Łoziński w *Pantokratorze*, gdzie jakiś głupkowaty docent wyrzuca z siebie wielkie i bezsensowne tyrady filozoficzne. Tylko że Witkacy był bardzo mądrym, choć trudnym człowiekiem. Doktor Choynowski należał do jego bliskich przyjaciół i nieco mi o nim opowiadał: obrażał się na przyjaciół, zrzucał ich ze schodów, przestawał nagle korespondować i wysyłał zrywające kontakt listy — to były całe rytuały. Ale zostawmy to na boku, bo pod jego powieściami podpisuję się mocno. W sensie predykcyjnym może tylko jednego nie udało mu się zrobić — nie wprowadził pierwiastka technologicznego, lecz ustabilizował świat na poziomie swoich czasów. Ale prawdopodobnie to go zupełnie nie interesowało. Jeśli chodzi o wyobraźnię socjologiczną — której na ogół brakuje w science fiction — miał nieprawdopodobnego nosa. Posiadał to, co najbardziej potrzebne jest pisarzowi: cudowne predyspozycje intelektualne plus kolosalne doświadczenie życiowe.

— *A co sądzi pan o jego dramatach?*

— Nigdy specjalnie nie entuzjazmowałem się jego teatrem Czystej Formy. W tych dwóch tomach z jego dziełami dramatycznymi są wspaniałe kawałki i genialne okruchy, z wyjątkiem *Szewców*, którzy są cudowni jako całość. Wtedy, gdy on to wszystko pisał, nie istniało jeszcze nawet pojęcie teatru absurdu, więc śmiało można powiedzieć, że jest on genialnym prekursorem. Z drugiej strony jednak wyraźnie widać, że jego „nosiło” po różnych gatunkach i chyba nigdzie nie odnalazł swego miejsca. Tak bywa z nieszablonowymi indywidualnościami.

— *A jak odnosi się pan do innych prozaików dwudziestolecia?*

— W moich latach gimnazjalnych za wybitnego prozaika uchodził Juliusz Kaden-Bandrowski. Zawsze mi się wydawało, że on zakładał swojej polszczyźnie chińskie buciki i krępował ją po to tylko, aby dziwaczyć. *Czarne skrzydła*, a szczególnie *Lenora*, to utwory, gdzie nic nie jest powiedziane w zwyczajnym toku narracyjnym, tylko w dziwolągowatej siekaninie, która mnie już wtedy raziła.

Dość dawno zauważyłem, że teksty literackie są tym odporniejsze na starzenie się, im zwyczajniejsza jest ich strona językowa. Szara szata stylistyczna całkowicie wystarczy temu, kto ma coś do powiedzenia. Nie potrzeba tu żadnych hocków-klocków. W podobny sposób Miłosz znęca się nad awangardą, powiadając, że kiedy spada obłok niezrozumialstwa i dziwacznych, nowych form, wówczas ujawnia się całe ubóstwo treściowe.

Bardzo też lubię czytać, choć dzisiaj z pobłażaniem, prozę Stefana Grabińskiego. Jego utwory pod względem literackim są okropną starocią, ale jest w nich właśnie urok staroci. Mój stosunek do nich jest taki jak wobec niektórych kompozycji Władysława Hasiora. W kategoriach bliskiej mi estetyki są to śmiecie i śmioty, ale bije z nich taka powaga i dostojność celebracji, że czuję się uwiedziony.

Miałem kolegę, który chodził z córeczkami Grabińskiego do gimnazjum i opowiadał mi nieco o jego domu — wiem nawet, że była tam ogromna oszklona szafa, w której stały książki taty, niedostępne dla owych panienek, bo jak wiadomo, były tam rzeczy na owe czasy strasznie sprośne.

W moim stosunku do Grabińskiego, który wyrósł jak egzotyczny kwiat na lwowskim bagnisku, jest wiele sympatii i ironii zarazem. To miejsce zabite dechami, jego marzenia o wielkim świecie oraz karierze, i te jego awantury z krytykami (*„krytyków stawia pod pręgierz Grabiński”* — pisał wówczas Irzykowski) — wszystko to razem jest wzruszająco żałosne.

Ale równocześnie jest w jego nielicznych utworach fantastycznych coś, co sprawia, że nie są one zupełnie

martwe. Okazało się to zresztą przy tłumaczeniu jego prozy na język niemiecki. Etyka naszej profesji absolutnie zabrania przekładów twórczości międzywojennej na współczesną niemczyznę, ale dr Klaus Staemmler tak właśnie postąpił, obcinając z jego twórczości wszystkie kwiaty i bluszcze młodopolskie. I bardzo to jej wyszło na zdrowie. Mówię o Grabińskim też dlatego, aby uzmysłowić panu, że powody, dla których wraca się do pewnych książek, mogą być bardzo różne.

— *Do kogo jeszcze ma pan tego rodzaju słabość?*

— Przyznaję, że lubię wczesne książki Kuncewiczowej, na przykład *Dwa księżyce*, oraz niektóre, podkreślam niektóre książki Adolfa Rudnickiego, bo większość tekstów ma jednak „puszczonych”. On nie należy do pisarzy, których słabsze utwory pozostawiają mnie obojętnym, ale wręcz przeciwnie, irytują mnie okropnie.

— *A co powie pan o prozie powojennej?*

— Powiem tylko, jak już wspomniałem, że nie rozumiem i nie potrafię się satysfakcjonować utworami Leopolda Buczkowskiego i Teodora Parnickiego. Zazdroszczę ludziom, którzy to potrafią, ale nie zdołałem ich jeszcze wytropić. Nie należą do nich ani Jan Błoński, ani Jan Józef Szczepański, ani też inni moi wybitni koledzy. Kiedyś nawet zdarzyła mi się niezręczna sytuacja, że jakiś wydawca amerykański czy niemiecki prosił mnie o opinię o Parnickim, więc odesłałem go do recenzentów (oczywiście entuzjastów) tego pisarza, podając się za niekompetentnego.

Dobrze zapamiętałem sobie radykalne zdanie dotyczące twórczości Buczkowskiego. Głosi ono, że to są bardzo piękne zdania, które tworzą swoistą chmurę, obłok czy aurę, wobec której chęć czytelnika, aby iść szlakiem fabuły czy rozumowania, jest jaskrawym dowodem uwstecznienia i potwornej anachroniczności jego estetyki. Bardzo możliwe. Bez względu na czasy pozostaję liberałem i głoszę, że każdy ma prawo igrać z tym, co sprawia mu

przyjemność. Bawię się więc tym, co mi samemu sprawia uciechę.

— Nazwiska przelatują tu w tempie niemego kina, ale nic pana chyba nie może uchronić od pytania o science fiction. Wystarczy przeczytać „Fantastykę i futurologię", w której z fanfarami urządził jej pan pochówek, by wiedzieć, jaki ma pan do niej stosunek. W sytuacji jednak, kiedy dla każdego statystycznego Polaka, jest pan czołowym reprezentantem fantastyki, tę kwestię trzeba tutaj jasno postawić. Przede wszystkim proszę powiedzieć, czy w tym grobowcu nic się od tamtego czasu nie poruszyło?

— W bardzo krótki czas potem w ogóle przestałem czytać te książeczki, bo nie jestem w stanie ich strawić. Wolę już najgorszą powieść kryminalną. Nie, nie mogę tego czytać, nic mnie SF nie obchodzi! W niej nie ma jakichkolwiek walorów poznawczych. Jej autorów zupełnie to nie interesuje, bo im chodzi wyłącznie o to, aby tekst napisać i sprzedać. Osobiście wolę mierną powieść o kłótni między amerykańskimi, polskimi czy meksykańskimi małżonkami w kuchni od tych galaktycznych bajdołów. One są mniej niż infantylne, bo infantylne bywają bajeczki, które są często zabawne. To jest zupełnie nie do czytania. Nie znam — przyznaję się — gatunku, który byłby mi bardziej nieprzyjemny.

Zastrzegam się, że zawsze zostawiam drzwi otwarte i prosiłem swoich przyjaciół za granicą oraz agentów literackich, aby przysyłali mi jakieś interesujące rzeczy. W końcu przecież może z jakiejś głowy wyskoczyć Atena, ale jak dotąd nie wyskoczyła i nie wygląda na to, aby miała w przyszłości wyskoczyć. Prawa statystyki wymagają w końcu, aby pojawił się ktoś podobny do Lema. W końcu jest nas sześć miliardów, więc mógłby się chyba pojawić podobny wariat. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego tak nie jest.

— Czytając „Fantastykę i futurologię", odnosiłem wrażenie, że jest ona próbą reanimowania dogorywającej

science fiction?

— Nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, że pojawiłem się na ziemi, aby zbawić ten gatunek.

— *Nie podejrzewam też pana o apostolskie skłonności. Czyli to była próba wyrwania się z gatunkowego getta lub samopozycjonowania?*

— To dotyczy kwestii genologicznych przyporządkowań. Muszę panu powiedzieć, że *Kosmos* i *Bakakaj* Gombrowicza widziałem w spisach fantastyki naukowej w wielkim domu wysyłkowym w Niemczech Zachodnich. *Kosmos* pewnie ze względu na tytuł, a *Bakakaj*, aby tak było. W związku z tym nigdy nie potrafiłem poważnie zajmować się sprawami genologicznymi. Czasem mi się to zdarzało, gdy ktoś taki jak Tzvetan Todorov wyjeżdżał ze strukturalistyczną definicją literatury fantastycznej, w której znajdowały się rzeczy mnie denerwujące, więc brałem ją na rogi, gdyż siedzi we mnie kawał polemisty. Ale nigdy nie pisałem po to, aby oczyścić sobie drogę do czytelników bądź zniszczyć konkurencję.

Wielu swoich książek, takich jak *Astronauci* czy *Obłok Magellana*, nie lubię w ten sam sposób, jak całej masy głupich książek obcych autorów. Nawet w fakcie, że *Cyberiadę* i *Bajki robotów* przypisuje się do science fiction, widzę ogromną bezmyślność i kolosalną inercję diagnoz klasyfikacyjnych. Jakaż to science fiction z *Cyberiady*? Gdyby się ktoś dobrze uparł, to może *Katar*, bo jest tam jakieś skrzyżowanie science fiction z powieścią kryminalną, w której sprawcą śmierci jest przypadek. Ale *Bajki robotów*? To jest przyciąganie za uszy!

Spróbujmy zrozumieć: kiedy Bernhard Kellermann napisał znany w początkach XX wieku powieść o budowie tunelu pomiędzy Europą a Ameryką pt. *Tunel*, nikomu nie przychodziło mówić o science fiction, bo miał on szczęście urodzić się w czasach, gdy nie było jeszcze tego pojęcia. To samo dotyczy powieści Karela Čapka. Swifta także nikt nie wrzuca do tego worka. A Woltera z jego bajeczkami

filozoficznymi? Uważam, że niektóre kawałki mojej *Cyberiady* czy *Bajek robotów* są bardziej zbliżone do jego powiastek filozoficznych niż cokolwiek innego, jest to jakby następna ich inkarnacja w epoce pooświeceniowej. Pewien amerykański autor powiedział, że są to bajki wieku cybernetycznego. Ale przyszywanie ich grubą dratwą do science fiction to doprawdy żałosny zabieg.

Albo *Doskonała próżnia*? Co w niej jest z fantastyki naukowej? Przecież to są kpiny z *nouveau roman* i inne podobne rzeczy. Wie pan, rozumując w ten sposób, to wszystko, co nie dotyczy wydarzeń w Krakowie, Łodzi czy na Manhattanie, jest już science fiction. Uważam, że ten kamień powinien być raz na zawsze wyrzucony z mojego ogródka, bo to jest nieporozumienie. Chciałoby się krzyknąć rozpacznie za Miłoszem: gwałtu, jestem poeta liryczny, którego wrzucili do takiej studni, z której nie sposób się wygramolić. Też mógłbym zawołać: gwałtu, jestem pisarzem, który w młodości napisał parę głupich powieści science fiction, a potem, widząc, że to jest nic niewarte, zaczął się gwałtownie oddalać w inne rejony, ale wszyscy go wciąż do tej studni spychają. Czyż niesłusznie tak to widzę?

— Pańska ironia jest może na miejscu, gdyż i mnie często zdumiewała ta kwalifikacyjna inercja literaturoznawców i krytyków, ale z drugiej strony jaką może pan podać inną szufladę genologiczną, w której chciałby spoczywać?

— Tak nie można, to brzmi jak pogrzeb! Proszę spojrzeć, mam tutaj znakomitą książkę — nazywa się *Phantastisches Österreich*. Niech pan posłucha, jakich tu mamy autorów: Ilse Aichinger, Ingeborg Bachmann, Max Brod, Heimito von Doderer, Hans Flesch--Bruningen, Erich Fried, Fritz von Herzmanovsky-Orlando, Hugo von Hofmannsthal, Franz Kafka, Alexander Lernet-Holenia, Jakov Lind, Gustaw Meyrink, Franz Nabl, Leo Perutz, Arthur Schnitzler, Karl Hans Strobl, Peter von Tramin, Franz Werfel, Stefan Zweig. Proszę pana, to jest wszystko fantastyka, ale ani jeden nie

został zakwalifikowany do science fiction. Książkę przeczytałem z ogromną przyjemnością.

— *Bo to jest właśnie prawdziwa fantastyka.*

— Ja też tak uważam.

— *Tylko trzeba pamiętać, że istnieją różne obiegi tego gatunku.*

— Zapewne, ale kiedy ktoś został przyłapany na gorącym uczynku napisania czegoś takiego, jest już załatwiony na resztę życia. Kazimierz Brandys najpierw produkował straszne rzeczy, jak *Obywatele*, a potem, kiedy zmądrzał i poszedł w innym kierunku, zaczął otrzymywać liczne listy od czytelników, którzy czynili mu z tego powodu gorzkie wyrzuty. Ja też dostawałem takie listy. Mam nawet egzemplarz *Doskonałej próżni*, na której jakiś rozwścieklony czytelnik powypisywał rozmaite przekleństwa, gdyż wcześniej rozkoszowali go *Astronauci.*

— *To chyba nie jest dla pana specjalny problem?*

— Naturalnie, lecz miałem innego rodzaju związane z tym kłopoty, gdyż nie mogłem dotrzeć do właściwego czytelnika na Zachodzie, bowiem tam obiegi czytelnicze są znacznie bardziej zamknięte niż u nas. Ludzie, którzy nie czytają fantastyki z powodów podobnych, dla jakich i ja jej nie czytam, nie brali moich książek do rąk, zanim uporczywa robota sporej gromady krytyków nie zaalarmowała ich, że jest coś takiego, co obiegowo nazywa się science fiction, ale w kategoriach rozsądnego klasyfikowania wcale nią nie jest.

— *Niepotrzebnie się pan tak irytuje. Wszak jest w tym i jakaś korzyść, bo w ten sposób może pan być najwybitniejszym przedstawicielem science fiction, podczas kiedy w normalnej sytuacji byłby pan tylko jednym z wielu pisarzy „zwyczajnej" literatury.*

— A, bardzo panu dziękuję za pociechę, tylko że jest to zasada *inter caecos luscus rex.* To nie jest wcale najprzyjemniejsze być jednookim królem wśród ślepców. Mógł pan powiedzieć jeszcze inaczej: są tam sami idioci, ale

i jeden półgłówek. Bóg panu zapłać. Zamieniłby się pan miejscami?

— *W tym układzie nie.*

— Ale bliźniemu wolno podsuwać tron ciemnogrodu? Chodzi mi zresztą o coś jeszcze innego: uważam, że każdy ma prawo robić z moimi książkami, co mu dusza zapragnie, ale nie czuję się w niczym związany okolicznością, że przyklejono mi tę, a nie inną etykietkę.

— *Dotyka pan trudnej kwestii dla krytyka, gdyż doprawdy nie ma sposobu wykreślenia wyraźnej linii demarkacyjnej, która genologicznie mogłaby oddzielić od siebie te sektory. Jest bardzo szerokie spectrum stanów i gatunków przejściowych.*

— Zdaję sobie z tego sprawę. *Gra szklanych paciorków* Hermanna Hessego to na przykład marzenie o jakimś uniwersalnym języku, który jest dla wszystkich zrozumiały, niezależnie od etnicznych zróżnicowań. *Wilk stepowy* to też w jakimś sensie fantastyka. Różne miszkulancje wychodzą z tego przemieszania pierwiastka realistycznego i fantastycznego.

Zasada funkcjonowania gilotyny genologicznej i zaciekłe wysiłki, aby wprowadzić nieprzenikliwe ścianki działowe pomiędzy gatunkami, zawsze wydawały mi się niemądre. Przecież rozwój literatury polega na rozmaitych hybrydyzacjach i krzyżówkach. Taksonomista biolog ma bardzo proste kryterium: organizmy żywe, które nie płodzą potomstwa, należą do różnych gatunków. I koniec. Na tym opiera się cała taksonomia od czasów Linneusza.

Tymczasem w genologii literackiej jest całkiem inaczej. Często się przekonywałem, że hybrydyczne skrzyżowania nawet o charakterze kazirodczym dają bardzo ciekawe rezultaty. Krzyżówki komponentów niskich i wysokich odnajdziemy u pisarzy najwybitniejszych. Jest to u Cervantesa, Dostojewskiego, Nabokova. Ale wyłowienie tych ingrediencji i wyosobnienie pierwiastków, z których udało się stworzyć znakomity stop, to już bardzo kłopotliwy

zabieg krytyczny. Tego nie można przeprowadzić w sposób empirycznie dowodliwy.

— *W „Fantastyce i futurologii” znęcał się pan nad zachodnią SF, czego dowodzi zamieszczony tam diagram, ale niewiele się można z niego dowiedzieć o radzieckiej science fiction.*

— Właściwie poza paroma książkami, takimi jak *Piknik na skraju drogi* Arkadija i Borisa Strugackich, nie znalazłem w niej nic takiego, co by mnie zafascynowało. A ich *Piknik*… wzbudza we mnie rodzaj zazdrości, że to ją powinienem był ją napisać. Z punktu widzenia narracyjnego jest szalenie pasjonujący, choć autorzy pewnie nieco przesolili. On dlatego jest tak dobry, bo przynosi oryginalne, nowe podejście do klasycznego tematu, rozwiniętego wcześniej przez Wellsa w *Wojnie światów* — inwazji Obcych na Ziemię. To jest bezsprzecznie ich najbardziej udana książka, choć nie można odmówić wartości beletrystycznych *Trudno być Bogiem.* Jej odbiór bardzo utrudnia mi założenie autorów o pełnym podobieństwie tych nieznanych istot do ludzi. Ja w to po prostu wierzyć nie mogę! Chyba że jest to bajka, ale jako taka zupełnie zbija mnie z pantałyku.

Jest jeszcze inna ich książka, zatytułowana *Małysz* czyli *Malec*, ale u nas wydana jako *Koniec akcji „Arka”*, stawiająca dziwacznie problem niemożności skontaktowania się z inną cywilizacją, która jest zamknięta i nie poszukuje żadnego kontaktu.

Od paru dobrych lat przestałem jednak czytać takie rzeczy bez względu na to, czy są amerykańskie, czy radzieckie. Z tego jednak, co słyszałem i czytałem, nic ciekawego się tam obecnie nie dzieje.

— *A jak pan ocenia polską fantastykę?*

— Nigdy tego tak jawnie nie mówiłem, ale mając nadzieję, że ta książka, która się tutaj wśród taśm „robi”, nie ukaże się na tyle prędko, by koledzy zdążyli mnie

ukamienować, powiem wprost: nie spotkałem nikogo, kto mógłby mnie zafrapować bądź zainteresować.

Moja znajomość bieżącej produkcji jest bardzo słaba. Objawił się jakiś czas temu młody człowiek, który napisał tom opowiadań pt. *Owadzia planeta* mając szesnaście lat, nazwiska nie pomnę, zdaje się Marek Pąkciński. Obawiałem się o niego, bo jeśli ktoś w tym wieku zaczyna pisać tak biegle, objawiając przy tym umiejętność naśladowania zewnętrznych objawów prozy wysokiego lotu, w tym wypadku Borgesa, to nie najlepiej rokuje na przyszłość.

Jest też przypadek Marka Słyka i jego *Barszczu przygód*, który czytałem najpierw z niesmakiem, potem ze znudzeniem, a potem zupełnie odrzuciłem. Książki, które budzą uszanowanie, często mnie nudzą. Nigdy nie potrafiłem doprowadzić się do takiego stanu, aby mnie cudze zachwyty zainspirowały na tyle, żebym polubił książkę, która mi się nie podoba. Jeżeli jakaś kobieta podoba się jednemu mężczyźnie w sposób zdecydowany, a drugiemu nie, to nie ma takiej ilości argumentów natury dyskursywnej, które mogłyby tego drugiego człowieka obrócić w zapalonego pożądaniem kochanka. To się raczej nie zdarza, choć pewnie i ta reguła ma swoje odstępstwa.

Nie dostrzegam w polskiej fantastyce niczego, w czym ukrywałaby się głęboka struktura semantyczna. Już na poziomie leksykograficznym można dostrzec objawy umysłowego zatwardzenia, charakteryzujące się przydzielaniem bohaterom jednosylabowych imion lub nazwisk: Art, Bers, Dart, Fars.

— *Niedaleko szukając, u pana jest Pirx.*

— To też jest irytujące. Chodzi tu naturalnie o zatarcie przynależności narodowej, żeby to działo się nigdzie i wszędzie, a do tego było takie ogólnoświatowe. A generalnie wszystko jest zdecydowanie wtórne wobec wzorów amerykańskich, które ze względu na ich poczytność zostały narzucone całej Europie z niezwykłą siłą.

— A jak pan ocenia inspiracyjne możliwości SF wobec literatury tout court bądź nauki, bo zachodni krytycy lubią twierdzić, że są spore?

— Nie ma żadnych! Nie tylko dlatego, że jestem tak zaprzysięgłym wrogiem science fiction, ale też dlatego, że mam na to dowód w postaci książki amerykańskiego socjologa, który zajmował się socjologicznymi badaniami astronautycznego startu ludzkości. Jest tam rozdział poświęcony pytaniu, czy można gdzieś dostrzec inspiracyjną rolę SF w nauce i literaturze. Nie ma żadnej roli — to jest wtórnik.

Żeby ci autorzy inspirowali się jeszcze tym, co wyczytali u Nielsa Bohra, Karla Alexandra Müllera, Alberta Einsteina czy Karola Darwina, byłoby znakomicie, ale oni inspirują się tym wyłącznie, co wyczytają w gazecie. To są pięćdziesiąte wody po kisielu. W dodatku prymitywne i naiwne. Ponieważ i ślepym kurom, jak wiadomo, też trafiają się ziarna, więc na zasadzie czystej koincydencji czasem ktoś napisze coś takiego, co przy niejakim naciąganiu można uznać za przepowiednię. Ale inspiracyjnej roli SF nie ma żadnej.

— To ciekawe, bo przecież wśród pisarzy tego gatunku zdarzają się umysły wybitne!

— A to niby jakie?

— Choćby wspomniani Strugaccy, Nikolai Amosow, Arthur Clarke, Isaac Asimov.

— O Strugackich wyrażałem się dobrze. Amosow jest przede wszystkim chirurgiem i jego koncepcje naukowe są słabe, fantastą zaś jest przeciętnym. Asimov to w ogóle nie jest twórczy umysł. Był wykładowcą biochemii, co u nas odpowiada poziomem stanowisku lektora. Naknocił nieprawdopodobne chały. U nas przetłumaczono parę jego najlepszych książek, ale on ich napisał ponad sto. Straszne! Zaczął pisać książki w rodzaju *Czy wiesz, co to jest atom*, *Czy wiesz, co to jest planeta*, *Czy wiesz, jak funkcjonuje silnik elektryczny*, na których zbił ogromne pieniądze, bo miał już liczące się nazwisko. Wie pan, jak to jest: tu

proszą, aby napisać coś do encyklopedii, tam do almanachu, tam do gazety. Przez pewien czas byłem dosłownie zalewany takimi propozycjami, więc utrącałem je tak długo, aż dali mi spokój. Szkoda mi było czasu. Już to, że on się tak ochoczo zabrał za tego typu zlecenia, bardzo go w moich oczach zdyskredytowało. Asimov wprost frunął na fali, która go niosła, gdzie chciała.

Clarke to rzeczywiście umysł niezły, raczej inżynieryjny niż abstrakcyjno-teoretyczny, ale miał parę doskonałych pomysłów. A zwłaszcza jeden: te satelity, które mogłyby obracać się na stałych orbitach i funkcjonować jako przekaźniki radiowo-telewizyjne. On do dzisiejszego dnia — powtarzał to wiele razy — żałuje, że nie dał tego pomysłu do opatentowania, bo miałby dziś majątek. Był jednym z założycieli brytyjskiego towarzystwa planetarnego. Jako pisarz jednak jest dość słaby. Ośmielę się powiedzieć, że to jest niewiele lepszy od naszego Władysława Umińskiego.

Oryginalnym i ciekawym umysłem był za to Philip Dick. Witkacy tylko przechwalał się, że jadał łyżkami narkotyki, podczas gdy ten rzeczywiście to robił. Haszysz, heroina, LSD i co pan tylko chce. Ale prawdę powiedziawszy tytanów ducha w SF nie widzę. Jest może paru wybitnych uczonych, którzy się czasem tym parają, znam jednego, który zajmuje się kosmologią… Nie wymieniłem nazwiska, więc rzeknę: fizyk drugiej klasy, pisarz trzeciej!

Bywało inaczej, gdy zdarzało się, że pisarz z prawdziwego zdarzenia, jak choćby Wells, wkraczał na chwilę do fantastyki, aby coś tam uszczknąć. Przecież nie jest tak, że jeśli ktoś raz napisał poemat epicki, to nie może już pisać sonetów. To Lemowi jest przede wszystkim zabronione.

— Czy jest pan naprawdę przekonany, że dno SF jest umieszczone niżej niż „normalnej” literatury?

— A bo ja wiem? Gdzie jest dno science fiction, mniej więcej się orientuję, bo zmuszony byłem ją czytać dokładnie, ale czy ja wiem, jak nisko jest dno normalnej

literatury? Przecież Henryk Bereza zabiłby mnie wielką pałką, gdybym powiedział, że dla mnie Jan Drzeżdżon jest dnem normalnej literatury.

Proszę wybaczyć, ale skoro jestem przy Berezie, muszę to powiedzieć: on zachowuje się jak kukułka z zegara, który został zatrzymany na pół roku, a potem znów kuka. Tu „Solidarność”, a on: kuku. Tu pogotowie strajkowe, a on: kuku. Stan wojenny, a on swoje: kuku. I tak systematycznie, co pewien czas *Czytane w maszynopisie* wykukuje kolejny wielki talent. Drzeżdżon to, Drzeżdżon tamto. Proszę wybaczyć, ale nie mogę. Ja już jestem raczej taki staroświecki bałwan wraz z różnymi zrozpaczonymi Słowackimi. Gdybym miał do wyboru zostać taką mechaniczną kukułką naszej literatury bądź takim biednym zwariowanym nieszczęśnikiem jak ogarnięty płomieniami wędrówki dusz Słowacki, to naprawdę wolę zwariować. Na tle ojczyzny można zwariować. Mówię to w dziewięćdziesięciu procentach serio.

— *A jak z tym dnem SF?*

— W krajach socjalistycznych dno literatury jest jednak chyba nieco wyżej.

— *Ze względu na komercjalizację zachodniego rynku wydawniczego?*

— Pisarz na Zachodzie jest pracującym na zamówienie wyrobnikiem, który musi w jak najkrótszym czasie napisać możliwie dużo tekstów. Chodzi tylko o to, aby je sprzedać. Ja zupełnie nie żartuję, bo to poważna sprawa. Nie wiem, czy rzeczywiście jest lepiej, gdy wybitny talent siedzi z inkaustem i piórem na strychu i ginie z głodu, ale bywa przecież, że niektórym to służy. Profesjonalizacja i materialna motywacja doprowadzają do koszmarnych skutków, bo z czasem nawet świetnie zapowiadający się pisarz zaczyna produkować „z metra”. Wyrobnicy fantastyki nie próbują nawet wprowadzać jakiejś śmielszej roboty myślowej. Materiały w magazynach SF to jest antologia nędzy pod każdym względem. Zupełnie jak w składzie

bławatnych materiałów, zalanym ordynarnym perkalem, który sprzedaje się czarnym ludziom noszącym w nosie ucho od filiżanki.

Tam jest już tak, że jeden facet pisze wyłącznie o pielęgniarkach, lekarzach, rakarzach albo hydraulikach. Czy pan widział kiedyś taki album pod tytułem *OKO*, przynoszący różne starocie i fotokopie romansów z okolic 1900 roku? Jakie tam są przepiękne dialogi: „Idź precz z dzieckiem nieślubnym!” Albo te cudowne tytuły: *Tajemnice piwnicy*, *W kopalni soli w Wieliczce mord straszliwy*, *Dwie zakonnice zamordowały trzecią.* Może to jest właśnie dno? Ale czasem obawiam się, że jest tak jak w aforyzmie Stanisława Jerzego Leca: spada człowiek na trzecie dno, a tu od spodu ktoś jeszcze puka. Żadnego więc dna niby nie ma, ale kiedy biorę do ręki amatorskie fanziny, które wydają młodzi entuzjaści fantastyki naukowej, wydaje mi się, że jestem już na ostatnim dnie.

Przysyłali mi różne rzeczy. Jakie potworne błędy, w tym ortograficzne! Kiedy panu opisują te wspaniałe urządzenia, które światłami tak cudownie mrugają, ale mrugają przez o z kreską, to ręce opadają, nogi opadają, wszystko opada! Gdybyśmy szli w konkurencjach w dół i zapytali, kto spada najniżej, odpowiedź musi brzmieć: paralityk! Ale paralityk może mieć obcięte obie nogi bądź wyłupione oczy. I tak odnajduję się w sferach, gdzie nie działa już zmysł sędziów sportowych, ale czysta litość. Zasłonę miłosierdzia spuśćmy na ten rejon. Wszystko w człowieku się wzdraga!

— Powtórzę pytanie: czy istotnie uważa pan, że ilość szmelcu literackiego w SF jest większa niż w „normalnej” literaturze?

— Szmelcu jest pewnie tyle samo, tylko wierzchołków nie ma, bo nad normalną literaturą unoszą się Himalaje Dostojewskich, Tołstojów i Mannów. W fantastyce naukowej takich gór nie ma — nawet w namiastce.

— Skoro jest aż tak niedobrze, to proszę mi wyjaśnić, co pańskim zdaniem ciągnie tam roztropnych ludzi?

— To się pewnie wiąże z homogenizacją wielkich zbiorów czytelniczych. Im mniej kompetentni czytelnicy, tym większą zwracają uwagę na fabularność. Antek kopnął w tyłek Mańkę — nic więcej się nie dzieje. Sprawy techniki powieściowej, narracji, języka zupełnie ich nie interesują. Wskazane byłyby badania z zakresu socjologii odbioru literatury. Istnieje milcząca większość czytelników, o których mi nic nie wiadomo, jednakże mogę prowizorycznie określić tych, którzy na Zachodzie piszą do magazynów amatorskich i urządzają nagminnie konkursy SF z notami za utwory. Zagadnienia literatury jako literatury nie istnieją dla nich w ogóle! Pan rozumie, co to znaczy: nie istnieją?! Oni niemalże dają na mszę za duszę Podbipięty. Naturalnie wiedzą, że to jest fikcja, bo to ludzie dorośli, ale nie wynika z tego nic. Oni nie wiedzą zupełnie, że istniał jakiś tam Wells! Przecież to bardzo stare! Kto będzie czytał książki o pożółkłych kartkach? Kto z nich będzie nosił spodnie skrojone według mody tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego? Tam naprawdę tak myślą! Oni nie czytają niczego innego poza SF.

Wiadomości z fizyki? Z SF. Wiadomości biologiczne? Z fantastyki. Były próby zrekonstruowania psychofizycznego profilu tych czytelników i autorów w badaniach amerykańskich psychologów, i wie pan, co się okazuje? Najczęściej są to młodzi ludzie z ogromną ilością frustracji — czujący się samotnie, nieudacznicy. Często po prostu nie mający szczęścia do kobiet. Kiedy taki przygruchał sobie kobitkę, bardzo szybko przestawał wydawać te fantastycznonaukowe magazyny. To jest po prostu środek komunikacji towarzyskiej. A skoro tak, nie można wydawać pisma o aurze *Elegii duinejskich* Rilkego — trzymajcie mnie, nie można — bo odstraszy się ewentualne kandydatki do ołtarza. A SF jest obiegowa, popularna i nowoczesna. Nie to, co powieść kryminalna — nie ma trupów, nie ma mordercy. Są inne światy, jest nauka, jest

kosmos! (*nagle krzyczy*) Ale inne światy są sfałszowane! Kosmos jest sfałszowany! Parametry fizyczne sfałszowane! Charaktery ludzkie — sfałszowane! Mechanizm odkryć naukowych — sfałszowany! Działania polityczne — sfałszowane! Wszystko od początku do końca sfałszowane!!!

Przeciętna powieść kryminalna zawiera większy procent prawdy niż te bzdury. W prozie dedektywistycznej przynajmniej siada się na krzesłach, jada się z talerzy, jeździ się autami — ten realizm mi po SF bardzo smakuje. Daję słowo, to jest świętą prawdą. Przed paru laty leżałem chory na grypę i otrzymałem od zachodniego wydawcy SF wielką skrzynkę z książkami. Brałem jedną po drugiej do ręki i robiło mi się niedobrze i czarno przed oczami. Wśród tych książek znalazł się chyba przez pomyłkę jeden romans — skromna książka o życiu na prowincji. Była tam kuchnia, matka, dzieci, które ze sobą po prostu rozmawiały. Z jaką rozkoszą czytałem, że matka robiła zupę! Tamtej „firmowej" prozy nie mogłem już czytać. Nie znoszę bredni! Stałem się alergicznie uczulony na SF i reaguję na nią tak, jak mój organizm reaguje na pyłki kwitnącej trawy, gdy nie zażywam antyhistaminowych środków. Takie książki odrzucam natychmiast w kąt.

Co ludzie z tego mają? Tak, to bardzo ciekawe pytanie! Mogę sobie wyobrazić, co odczuwają, gdy czytają *Wojnę światów* czy *Trudno być Bogiem*, ale tutaj nie wiem. Jestem tak wrażliwy na drewnianą prozę, że jeśli ktoś mi chce zasunąć tylko fantastyczną fabułkę, to dziękuję, bo mogę sobie sam wymyślić takich trzydzieści. Nie potrzebuję, aby mnie ktoś karmił łyżeczką. Gdybym był niemowlęciem, to może owszem, ale w moim wieku szkoda mi na to czasu. Co ludzie z tego mają? To jest rzeczywiście dla mnie niejasne. Nigdy nie traktowałem czytania jako zabijania czasu. Zabijać czas to zupełnie tak, jakby zabijać żonę czy dziecko. Nie mam cenniejszej substancji niż czas.

— (zaskoczony) *Jeszcze nie widziałem u pana takiego rozjuszenia jak podczas tej rozmowy o science fiction.*

— Zawsze mówię o niej z taką pasją — bo jak głupiec straciłem mnóstwo czasu, pisząc, tłumacząc, przekonując i apostołując w Ameryce, za co spotkałem się tam tylko z całą masą wymysłów. Bardzo sprawiedliwie wobec siebie napisałem kiedyś do jednego australijskiego pocieszyciela, że wyszedłem na błazna, gdyż przez parę lat zachowywałem się jak misjonarz w burdelu, pragnący nawracać upadłe panienki.

— *A co w takim razie z rzeczami, które zazębiają się z SF, choć nią przecież nie są. Czy wrzaśnie pan z oburzenia, gdy wymienię nazwisko Ericha von Dänikena?*

— Nawet nie krzyknę. On, podobnie jak Charles Berlitz, specjalista od Trójkąta Bermudzkiego, jest dostawcą bredni, w które ludzie bardzo lubią wierzyć. Skoro głębokie i wstrząsające tajemnice sacrum, grzechu i wiary zostały z kultury wyrugowane, potrzeba czegoś nowego w opustoszałych miejscach. Nie ma żadnej rady na to, że ludzie zastępują je tandetą. Gdybym trzydzieści lat temu przyszedł z gipsowym, ładnie pomalowanym świątkiem do wsi łemkowskiej i zaproponował zamianę na oryginalnego, to zapewne mieszkańcy by się na to łatwo zgodzili. Ci, którzy użytkują płody genialnych świątkarzy, geniuszy sztuki sakralnej i innych Nikiforów, nie zdają sobie z tego na ogół sprawy. Bardzo łatwo podmieniać autentyczne wartości na tandetę. Więc co się tyczy samego Dänikena, to sprawa na tym polega.

Pikanterii sprawie zaś przydaje fakt, że on chyba wierzy w głoszone przez siebie brednie. Choć to pewnie też nie ma żadnego znaczenia. Kiedyś zapytałem paru wybitnych antropologów w Berlinie Zachodnim, dlaczego nikt nie sprostuje tych potwornych bzdur, które wołają o pomstę do nieba. Okazało się, że jeden z nich już to zrobił. I co? Jego książka miała trzy tysiące nakładu, a Dänikena milion! Więc szkoda nawet czasu, aby pukać w ten mur. Tego,

co jeden idiota nabredzi, nawet czterdziestu mędrców nie naprawi.

— Rozmawiamy dzisiaj o pańskich gustach. Bardzo dużo udało się już wyciągnąć z pana zeznań na temat literatury, więc może jeszcze zajrzymy do innych sztuk? Proponowałbym najpierw teatr, tym bardziej że oświadczył pan już, iż odczuwa dziwną nieufność do aktorstwa.

— Sprawa teatru jest dość prosta, gdyż jestem zupełnie niezdolny do rozpoznawania jakości dramaturgicznych utworu scenicznego w lekturze. Wielekroć odnosiłem wrażenie, czytając utwory Mrożka, których miałem honor być jednym z pierwszych czytelników w dawnych latach, że one zupełnie nie nadają się na scenę, bo są „dziurawe". Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że one muszą być „dziurawe", bo na scenie zostają wypełnione działaniami aktorskimi. Więc ta ich niesamoistność językowa czyli to, że stają się prawdziwie żywymi zjawiskami naszego odbioru dopiero na scenie, a nie w czasie lektury, zawsze mi przeszkadzała. Jestem bardzo zawężony do warstwy językowej i literatura, która redukuje ten plan — choć *Dziady* bardzo lubię i częstokroć do nich wracam — pozostawia mnie bezradnym, bo nie potrafię się dać nieść temu scenicznemu „dzianiu się". A poza tym wszystkim nie mogę już chodzić do teatru, bo jestem głuchy, więc tym bardziej zostałem skazany na lekturę.

Dodam jeszcze, że całkowicie dyskredytuję siebie jako autora na planie dramaturgicznym. To jest *sui generis* umiejętność, której jestem pozbawiony w sposób dość wyborny.

Poza tym jest ten kłopot, że jestem dość tradycyjny. Kiedyś byłem w „Cricot II" na Kantorowskiej adaptacji Witkacego, którego bardzo cenię. Reżyser wsadził swoich aktorów do pojemników na śmieci i kazał im wykrzykiwać swoje kwestie równocześnie. Wszyscy krzyczeli, przewracali się z łoskotem kubłów po ziemi i nic nie można było zrozumieć. Sądzę, że on nie miał do tego

artystycznego prawa, tak jak pewnie nie miał go Hanuszkiewicz, wsadzając na scenę japońskie hondy. Ja jestem bardzo konwencjonalny, mam szacunek do dzieł klasycznych, więc na ogół życzę sobie mieć te utwory w postaci klasycznej.

— O muzyce nie będziemy pewnie rozmawiali, bo zwierzył się pan już, że słoń zdeptał panu ucho, więc może porozmawiamy jeszcze o filmie.

— Mam poczucie niemocy osobistej na tle niemożności napisania jakiegoś dobrego scenariusza. Lecz zwykle wtedy nawiedza mnie stara anegdota o dialogu Napoleona z burmistrzem małego francuskiego miasteczka: — Dlaczego nie strzelaliście na moje powitanie? — Bo nie mamy armat! Po prostu nie umiem pisać scenariuszy. A poza tym tekst scenariusza jest tylko surowcem, półfabrykatem. Aby powstało dzieło ciekawe i oryginalne, potrzebny jest jeszcze pokrewny duchowo autorowi scenariusza reżyser. To jest bardzo rzadkie, a moje ponadtrzydziestoletnie doświadczenie przekonuje mnie, że ten związek dusz musi tutaj zaistnieć.

— To pewnie nie do końca prawda.

— Z tym jest podobnie jak z grą w szachy z komputerem. Słabemu mózgowi ludzkiemu, który nie jest zdolny do wykonywania milionowych operacji w ułamkach sekundy, przeciwstawia się brutalną siłę obliczeniową automatu. Okazuje się jednak, że ta przewaga działa tylko do pewnej granicy. Komputer nie rozumie, nie myśli, na niczym mu nie zależy, nie chwyta żadnej całości, tylko działa według programu, więc uzyskuje poziom bardzo dobrych amatorów, których „bije”, ale z mistrzem przegrywa.

Wydawcom się wydaje, że jeśli dobrze zapłacą za tłumaczenie, to suma podniesie poziom artystyczny przekładu. Tutaj jest raczej potrzebne pokrewieństwo duchowe pomiędzy autorem a tłumaczem.

— To można pewnie mniej tajemniczo wyłożyć.

— Można. Chodzi o to, że kiedy zakres lektur i życiowych doświadczeń autora oraz tłumacza trochę się pokrywa, wówczas pokrywają się też semantyczne otoki pojęć, słów, stylu i idiomatyki. To jest przesłanka konieczna, ale też niedostateczna.

— *Kiedy pojawia się przesłanka dostateczna?*

— Wraz z talentem, a to jest rzecz, której nie można nabyć za żadne pieniądze.

— *Wykonał pan skok pomiędzy filmem a przekładami.*

— Wiem, ale chyba nie bardzo daleki, bo to przecież też tłumaczenie, tyle że nie z jednego języka etnicznego na drugi, ale z języka utrwalonego w słowie na język obrazów. Tu też musi być jakieś pokrewieństwo, które jeśli nie zakłada tożsamości, to przynajmniej skłonność do zajęcia — przynajmniej w obrębie tego dzieła — podobnego stanowiska. Dla mnie jest coś z incestu w sytuacji, gdy autor mówi, że coś jest na najwyższym poziomie jego całościowej wizji bytu, a potem przychodzi inny facet i używa elementów autorskiej wypowiedzi jako sygnału, który ma oznajmiać światu, że to, co pisarz mienił czarnym, jest brunatne, a to, co białym, jest czerwone. To jest dla mnie tożsame ze zdradą, gdyż on przypisuje mi konteksty, na które nie daję zgody i które mi do żywego dopiekają. A ponieważ nie można mieć z góry gwarancji na to, że tak się nie stanie, więc obawiam się przekładowych eksperymentów, a doświadczenia, o których wcześniej mówiłem, przekonały mnie o zasadności moich obaw. Domagałbym się czysto pragmatycznych gwarancji, że jeśli nie będę zadowolony ze scenopisu, to mam prawo utrącić całe przedsięwzięcie. Ale żaden na świecie producent się na to nie zgodzi, bo on wyłożył pieniądze, więc maszyna musi potoczyć się dalej.

— *To jest spojrzenie na kwestię od strony kuchni filmowej. Jak wygląda obraz oglądany oczami konsumenta?*

— Dość słabo orientuję się w produkcji filmowej i nie mam prawa przypisywać sobie nawet tej kompetencji, którą

ma przeciętny kinoman. Pewne filmy Wajdy mi się podobają, inne zaś nie; jedne filmy Kubricka akceptowałem, inne wyprowadzały mnie z równowagi. Większości nazwisk współczesnych reżyserów po prostu nie znam i od wielu lat nie chodzę do kina.

Mam wrażenie, że w filmie zawarta jest spora niesamoistność ze względu na uzależnienie reżysera od scenariusza i producenta, aktora od reżysera oraz odwrotnie *et cetera*. To mi się bardzo nie podoba. Może powiem tu straszne głupstwo, ale sądzę, że rola aktora w filmie jest większa niż w teatrze, bo kamera poprzez najazdy, odjazdy i zmiany perspektywy zmienia dystans odbiorcy w sposób, który jest niedostępny teatrowi. Co, nie zgadza się pan? Myślę, że jeśli na scenie zostaje zachowane minimum umiejętności rzemieślniczej, wierności tekstowi i reżyserii, to jakoś to będzie. Kręci pan głową, dlaczego?

— *Widzę to zupełnie inaczej, ale nie o moje tu przecież przekonania chodzi, lecz o pańskie.*

— W każdym razie tak mi się wydaje i tak to odbieram. Jest jednocześnie rzecz, która napawa mnie pewnym smutkiem: filmy starzeją się znacznie szybciej niż literatura. Dlaczego Charlie Chaplin spośród armii mistrzów praburleski pozostał ciągle żywy, a im bardziej jego twórczość miała ambicje, by upodobnić się do normalnej roboty filmowej, tym było gorzej? To są zagadki.

Wczoraj na przykład oglądałem w telewizji francuski film gangsterski z lat pięćdziesiątych z Jeanem Gabinem. Była w tym filmie nieprawdopodobna staroświecczyzna i poczciwość. Nie tyle mnie to raziło, ile budziło nieintencjonalną śmieszność: ostrzeliwują się dwie grupy gangsterów, samochód wylatuje w powietrze, a potem jeden gangster okazuje szlachetność wobec drugiego i wykupuje go z rąk nieprzyjaciół. I te puste drogi, po których ani jeden samochód nie przejeżdża. Straszna staroświecczyzna, ale pech polega na tym, że to już nie retro, ale niedołężność

i głupkowata poczciwość. Reżyserzy tych lat nie potrafili jeszcze dobrać się do bardziej perwersyjnych stron ludzkiej natury. Ci straszni gangsterzy byli w gruncie rzeczy dość poczciwi. Mordowali, owszem, ale kompletnie bez ikry. Zupełnie jak na weselu góralskim — ktoś kogoś podzióbał kozikiem.

— *W takim razie powinna się panu podobać spójna matematyka gangsterska w „Ojcu chrzestnym”.*

— Bardzo dobry film. Jego nieszczęściem jest konwencjonalizacja, posunięta o wiele dalej niż komercjalizacja podlejszych rewirów literatury. Każdy film, który się uda, zaraz zaczyna ciągnąć za sobą całą czeredę rozmaitych King Kongów z platfusem. To samo było z *Frankensteinem* i to samo stało się z *Ojcem chrzestnym.* Reżyser zaraz dorobił *Syna ojca chrzestnego*, a pewnie niedługo pojawi się *Szwagier ojca chrzestnego.* Tak samo pojawiły się *Gwiezdne wojny*, zaraz po nim *The Empire Strikes Back*, a na Zachodzie już jest dalszych siedem części. To mi odbiera wszelką uciechę. Jest różnica pomiędzy miłością a prostytucją. Niby wszystko podobne: pocałunki te same, genitalia te same, ale przecież jest jakaś cholerna różnica, która przeszkadza rozsmakowywać się w tej potrawie.

Komercjalizacja to potworna rzecz. Jeśli obejrzeć film *Caligula*, to okazuje się, że w starożytnym Rzymie nie działo się nic oprócz kopulacji. Maszyny do obcinania głów, wielkie penisy, potworne sceny sadystyczne… Okropne! Albo słynny *Boot* — najdroższy film w historii kinematografii niemieckiej. Jest to po prostu historia łodzi podwodnej, która zostaje bardzo solidnie zatopiona i wszyscy pomału konają. Fantastycznie zrobione zdjęcia kolorowe, panorama podwodnych wybuchów bomb głębinowych i inne podobne rzeczy. Oczywiście o nic innego tam nie chodzi, tylko o to, aby oni wszyscy konali i okropnie się męczyli. W ogóle sceny powolnego umierania, cierpienia i rozkładu publiczność bardzo lubi, jeśli wnosić

z frekwencji. Nawet diabeł święconej wody się tak nie boi, jak producenci pierwiastka intelektualnego. Nie daj Bóg, aby widz mógł sobie coś pomyśleć. Proliferacja tych procesów jest wręcz przerażająca.

— *A cóż się dzieje z pańskim tradycjonalizmem, gdy staje pan przed malarstwem?*

— Dużo wysiłku włożyłem, aby podobało mi się — jako koneserowi zup staroświeckich — nowoczesne malarstwo. Podoba mi się tylko w nielicznych wydaniach, ale trudno to już uznać za całkowicie nowożytne. Znajduję upodobanie w niektórych surrealistach, u których widzę coś więcej niż tylko potrzebę epatowania. Doceniam na przykład sprawność techniczną Salvadora Dali, ale jego nieznośne w każdym płótnie hochsztaplerstwo i malowanie *pour épater le bourgeois* wyprowadza mnie z równowagi. Mam wspaniale wydany tom Salvadora Dali, w którym można odnaleźć fikuśne wariacje gastronomiczne.

Niektóre wcześniejsze okresy Pablo Picassa, na przykład „błękitny", dość mi się podobają. Jednak bardzo wybiórczo. Nie padam na twarz przed każdym malunkiem, który nagwazdrał na przypadkowej serwetce. Aczkolwiek widzę nieprawdopodobną żarłoczność jego talentu. On rzucał się w każdą dziedzinę, która była jeszcze do zaanektowania, i zawłaszczał ją tak, że pozbawiał chleba tłumy nieszczęsnych współzawodników.

Ale kiedy patrzę na stare płótno, najczęściej, trzeba przyznać, reprodukcję, widzę niepowtarzalność tej zatrzymanej urody świata, której zupełnie nie zna współczesne malarstwo. Nie wiem, jak śmiem to powiedzieć, ale wolę na przykład Fidiasza. To już jest z mojej strony jakieś cofanie się w otchłań przeszłości, bo nawet nie wiktorianizm. Dawne epoki trwały w sztuce po sto, dwieście lat, a dziś trwają one rok, może półtora. Owoce są więc coraz mniejsze, bo nie mają czasu na dojrzewanie. Są oczywiście wyjątki, gdy ktoś tam coś cierpliwie gryzmoli czy igłą ryje, ale codziennie rano

chciałbym dziękować Panu Bogu za to, że nie obdarzył mnie talentem malarskim.

Wyznaję doktrynę — którą już gdzieś artykułowałem — że kiedy otwierają się nowe pola i pojawia się nowa paradygmatyka, człowiek obdarzony wielkim talentem może wiele zdziałać, ale jeśli ma nieszczęście urodzić się w epoce schyłkowej, gdzie oprócz epigoństwa nic prawie nie można zrobić, albo, co jest tym samym lub jeszcze gorszym, następuje przyspieszone przeskakiwanie poronne z mody w modę, to jest dla niego wielkie nieszczęście. On się po prostu nie może wypowiedzieć, bo środki artystyczne w sztuce plastycznej są nierównie silniej i gwałtowniej wyeksploatowane niż na przykład w literaturze. Istnieje chyba wyższy uniwersalizm słowa. Jeśli ma się do przekazania jakieś treści, które są możliwe do wyartykułowania w języku, jest się w lepszej sytuacji, nawet gdy płynie się pod prąd wszystkich aktualnie aprobowanych kierunków. W sztukach plastycznych jest znacznie gorzej, bo nie można się przebić. Jest to trudna dziedzina, na której się nie znam, ale mogę przecież powiedzieć: nie wiem, jak się robi zasmażkę, lecz zupy jadam. Jeśli więc tak postawić sprawę, to wolno mi pewnie powiedzieć to, co powiedziałem.

— *A jak pan w takim razie trawi takie niezwykłe, niepodległe specjalnie klasyfikacjom, zjawiska jak powiedzmy Hieronim Bosch?*

— Bosch, Boże kochany! Zupełnie nie wiem, skąd się taki tutaj wziął. On chyba przyszedł z zupełnie innych światów. To jest zjawisko tak zdumiewające, że wręcz niemożliwe. On był i malował, ale jego nie powinno być (*śmiech*). Jak on to zrobił? Nie wiem.

Próbowałem się tego dowiedzieć od różnych boschologów, ale nie dowiedziałem się niczego, bo ich eksplikacje są takie, że z jego twórczości można wyekstrahować różne holenderskie porzekadła. Mnie takie interpretacje nic nie dają. Wobec Boscha mam uczucie

podziwu, ale przede wszystkim bezradnego zdumienia. Skąd on to wszystko wziął? To jest zjawisko zdecydowanie nadprzyrodzone. On nie miał prawa tego wszystkiego wiedzieć ani tym bardziej dojść do takich wizji. Jest to dla mnie jeden z najbardziej osobnych i odstrychniętych twórców świata. Breughel jest jak księżyc, a Bosch jak słońce. Księżyc to wspaniała rzecz, ale kiedy wschodzi słońce, księżyca już nie widać.

— Słuchając pana medytacji o literaturze, malarstwie i filmie, trudno nie odnieść wrażenia, że nie wprost, ale wystarczająco dobitnie, formułuje pan tezę o dekadencyjnym charakterze współczesnej kultury bądź, węziej, sztuki.

— Zjawiska, jakie postrzegam, rzeczywiście nie mogą być inaczej interpretowane niż jako znamiona jej schyłku. To wszystko się tworzy, kupuje, sprzedaje, więc potrzeba zarobienia i pochałturzenia jest tu silnym czynnikiem napędowym i niezwykle istotnym elementem tego, że ten schyłek nie chce się skończyć. W poszczególnych dziedzinach, a zwłaszcza w plastyce, widać już jednak wyraźnie rozpaczliwą akceleracje. Paradygmaty są abortywne, więc widać tylko poronienia. Wszystko dziś leci z taką szybkością, jakby ktoś raz za razem spuszczał wodę w klozecie. Wszystko meandrami spływa do kanalizacyjnej rury.

Prócz tego przyspieszenia niczego nie dostrzegam. Mówiłem o tym niejednokrotnie z wielkim ubolewaniem. Chciałem nawet napisać szkic *Granice wzrostu kultury*, bo mam dużo materiałów na ten temat i wysunąć hipotezę, że tak jak są granice wzrostu przemysłowego, tak samo istnieją granice wzrostu kulturowego. To są procesy ewolucyjne, gdzie jest odsiew, obumieranie i wyczerpywanie się przestrzeni konfiguracyjnej, a potem pojawia się następna przestrzeń i paradygmatyka. Ale jeśli mamy do czynienia z tak totalnym przyspieszeniem jak obecnie, to kryteria się zacierają. Dla mnie symbolem są

Puszki z zupą pomidorową firmy Campbell Andy’ego Warhola. Bierze się ich odpowiednio dużo i ot, dzieło sztuki. Kantor kiedyś zajmował się znęcaniem nad parasolami, które wdeptywał w gips, a potem to wszystko powieszono na różnych piętrach Muzeum Narodowego. Bierze się muszlę klozetową i już jest sztuka.

Byłem kiedyś na wystawie jakiegoś Japończyka w Berlinie Zachodnim, która nazywała się *Nad wodą* (byłem jeszcze wówczas tak głupi, że chodziłem na wystawy sztuki nowoczesnej). Artysta postawił w sali kilkaset plastikowych wiader z wodą, i to już wszystko. Wszyscy, a jakże, podziwiali i chodzili pośród wiader z powagą. No, jeśli można już takie „numery” zasuwać, to jest to najlepszy dowód, że sztuka się „rozpuszcza” i nie ma żadnej różnicy pomiędzy nią a niesztuką. Na przykład biegnie pan ulicą, podbiega do jakiejś niewiasty, zdziera jej majtki i krzyczy: happening! Co, nie jest? Jest! Może się pan jeszcze domagać, by dała panu po gębie, aby było katharsis. Wszystko jest możliwe. Dla mnie w każdym razie to przestaje być zabawne.

Księga skarg i wniosków

— Siedzę naprzeciwko jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych. Wie o panu niemal każde dziecko i każdy dorosły w kraju. Obcokrajowcy spośród polskich pisarzy potrafią wymienić Sienkiewicza, Mickiewicza, Miłosza, Gombrowicza i pana. Przekłady książek Lema obejmują niezwykłą ilość języków, w tym egzotycznych. Ilością nakładów góruje nad panem wyłącznie Sienkiewicz, którego ma pan w tej rywalizacji realną szansę prześcignąć. Wdrapał się pan zatem na niezwykle wysoki już postument. Interesuje mnie samopoczucie człowieka z Parnasu: kim czuje się w narodowym piśmiennictwie, czy dobrze mu we własnej skórze, czy pasują mu laurowe liście do skroni, jak ocenia stabilność swojej pozycji w kulturze? Zacząłbym od węższego pytania: jak pan sądzi, która z pańskich książek ma największą szansę przetrwania?

— To trzeba dwojako rozumieć: która ma największe szanse i której najlepiej bym życzył.

— Oczywiście to drugie. Od razu jestem nawet gotów wytypować. Myślę, że wymieni pan „Summę technologiae”.

— Więc pana zaskoczę: wcale nie. Życzyłbym sobie, aby przetrwała *Cyberiada*. Przy *Summie* natomiast dlatego nie będę się upierał, bowiem jeżeli uzyska ten stopień

korroboracji bądź weryfikacji, co na przykład teoria Kopernika *si parva licet comparare magnis* (*śmiech*), stanie się okropnym banałem. Czyż może być większy truizm od stwierdzenia, że ziemia obraca się wokół słońca? Cokolwiek z tej książki się spełni i pojawi w programie szkolnym klasy czwartej, tym samym zostanie obrócone w zupełny banał. Dwadzieścia lat temu nie istniało nic takiego jak podwójna spirala nukleotydowa, operony, a dziś znajdzie pan to wszystko w repetytorium z biologii dla szkół średnich. Świadomość tego nie pozwala mi opowiedzieć się po stronie tej książki.

A poza tym jest jeszcze możliwość, że wszystko, co w niej się znajduje, okaże się bezzasadnym rojeniem. Więc alternatywa jest prosta: jeśli źle przepowiedziałem, to książkę można wyrzucić do śmieci, a jeśli wszystko będzie się sprawdzało, to będę wczesnym prekursorem. A los wszystkich prekursorów jest taki sam: wbrew pozorom nie pozostaje po nich nic!

Troszeczkę przed Karolem Darwinem zupełnie niezależną od niego teorię ewolucji stworzył Alfred Russel Wallace. Uczeni o tym wiedzą, ale maturzyści nie muszą już o tym wiedzieć. A kto dzisiaj pamięta, co mówił Roger Bacon przed swoim następcą o tym samym nazwisku? Nie można mieć zbyt wiele złudzeń, a najlepiej nie mieć najmniejszych iluzji.

Moim życzeniem jest, aby przetrwała *Cyberiada*. Ale która z moich książek przeżyje, tego nie wiem. Moje dzieło jest jak materac czy siatka metalowa w łóżku, która zawieszona jest na wielu rozmaitych zaczepach. W zależności od tego, jaka będzie następna epoka i jakie w niej pojawią się rodzaje rezonatorów intelektualnych, dana książka może się odezwać lub nie odezwać współbrzmiąco. To są sprawy nieprzewidywalne. „Nikt nie gości na tych pokojach u potomności, które sobie wybrał” — przypomnę słowa Norwida.

Kiedy pojawili się na świecie hippisi, wówczas książką ich pokolenia stał się nagle *Wilk stepowy* Hermanna Hessego. Diabli wiedzą dlaczego. Gdy coś się już zdarzy, *ex post* wszystko można wytłumaczyć, ale przewidzieć niepodobna. A przetrwania *Cyberiady* życzyłbym sobie dlatego, że jest to rzecz oryginalna, a zarazem nie pozbawiona solidnego, choć głęboko w niej zakopanego, pierwiastka intelektualnego.

— *Gdybym zapytał pana — najzupełniej serio i bez ironicznych podtekstów — o skalę swojego wkładu w polską literaturę, to jak pan by odpowiedział na to pytanie?*

— Aktualnie jest on prawie zerowy. Wkład jest taki, jaki zostaje orzeczony przez kompetentnych znawców. Eksperci, omawiając wydarzenia literackie ostatnich trzydziestu, czterdziestu lat, mojego nazwiska nie wymieniają. Składają się na to dwa powody. Po pierwsze nie ma mnie gdzie podczepić. Jestem jak kot, który chodzi własnymi drogami. Dla krytyków mógłbym się urodzić — na szczęście jeszcze nikt mi tego nie powiedział — w Brazylii, Nowej Zelandii, na Ziemi Ognistej lub być Eskimosem. Za czasów Stalina o takich mówiło się: *bezrodnyj kosmopolit.* Ta kwestia jest bez wątpienia zasadna, bo z punktu widzenia piszącego historię literatury dla obcych — wtedy wszystko widać wyraźniej — należy posługiwać się pewnymi całostkami, które są zawsze szersze od nazwisk. Są epoki, fazy, kierunki, prądy, nurty i szkoły. Ja nie należę nigdzie, bo jestem skądinąd.

Uważam, że należę do literatury polskiej integralnie, ale cała paradygmatyka mojej twórczości nie idzie ani od romantyzmu, ani pozytywizmu, ale od tego, co jest dwudziestowiecznym dorobkiem myślowym ludzkości. To była nieustanna próba, gdy zalewały nas coraz większe fale światowych przemian, ażeby zachować dla literatury położenie zwierzchnie, żeby literatura nie dała się zalać i pogrążyć, aby nie stała się tylko sejsmografem jednostkowych drgnień duchów, nie rozumiejących, co się

z nimi dzieje. To nie jest oczywiście rzecz, którą można do jakiejś szkoły przyczepić.

Rozmawiałem niedawno z „dziekanem polskiej krytyki literackiej” — Janem Błońskim, który właśnie pisał większe ujęcie twórczości ostatnich dekad i powiedział mi szczerze, że nie umieścił mnie w tym omówieniu, bo nigdzie mu nie pasowałem. Rzekł: „Nie mam dla ciebie uchwytu”. „Jako o człowieku mogę, jako o pisarzu nie” — dodał potem. Krytyk musi mieć po prostu jakiś system, żeby wprowadzić taksonomię. Nie może więc tam pojawić się facet, który w połowie jest szafą, w połowie samochodem, a na dodatek wykazuje cechy maszyny do szycia. I jeszcze jest to rodzaj zwierzęcia. Co on biedny ma wtedy zrobić?

Przede wszystkim musi mieć intelektualnych antenatów, a tu już zaczynają się kłopoty. A przecież to jest bardzo porządny krytyk. Kiedy przebywał we Francji i ukazała się *Summa technologiae*, wówczas skomentował ją entuzjastycznie w jakimś piśmie — co nie miało oczywiście żadnego znaczenia — i napisał, że to jest bez wątpienia literatura, *sui generis*, ale literatura. Równocześnie już wtedy podkreślił, że nie potrafi mnie umieścić w żadnym porządku. Podobną irytację wykazał zresztą również Kołakowski, który skrytykował *Summę* w „Twórczości”, a potem wysłał do mnie list prywatny, w którym pisał, że on widzi „blask pierwszorzędnej inteligencji”, ale jest to coś tak obcego jego mentalności i nasze galaktyki umysłowe są tak odległe czy niestyczne, iż nie ma dla mnie uchwytu i kryteriów.

Poszczególne książki były, z osobna biorąc, uczciwie recenzowane, ale traktowane tak, jakby ktoś przyniósł wazon na kwiaty, a obdarowany nie wie, czy to jest nocnik, garnek na grochówkę, spluwaczka, czy też abstrakcyjna rzeźba. Nie wiadomo co! Było więc kłopotliwe, iż byłem niepochwytny i nielokalizowalny. Trudno było dojść, o co chodzi. Dziś, kiedy o *Masce* pisze jakiś zachodni profesor, od razu wali z grubej rury, że to jest o wolnej woli.

Po prostu z miejsca wkracza w rzeczywistą problematykę, a nie błądzi pośród didaskaliów, w jakich utwór został odegrany. A o to właśnie chodzi.

I tutaj już pojawia się druga przyczyna kłopotów z lokalizacją Lema, bowiem aby dokopać się do rzeczy, o których pisałem, trzeba być podkształconym w tych kwestiach. Każdy pisarz przyciąga na ogół jakiś typ krytyki: albo na zasadzie pokrewieństwa duchowego, albo podobnego spojrzenia na świat, albo przejścia przez tożsamą formację kulturową. Tymczasem w moim wypadku tak nie jest. Wszyscy krytycy nadający w kraju ton życiu literackiemu są polonistami. Przynajmniej ogromna większość. Tymczasem ja jestem z innej parafii.

Sam mi pan niedawno przytaczał z wycinków czasopiśmiennych zarzuty niezrozumiałości. Tak, to prawda, a widać to też znakomicie po tym, że moje dawniejsze książki, w których było mniej pierwiastka intelektualnego, miały znacznie większe nakłady.

Krytyk również okazuje się niekompetentny. Wyobrażam sobie na przykład, że można o moim pisarstwie napisać książkę, która byłaby zupełnie wyobcowana z gruntu literatury, a prezentowałaby moją rolę jako anteny wychwytującej z wyprzedzeniem odkrycia lub zwroty myśli naukowej w dziedzinie ujęć fundamentalnych. Ot, choćby moja teza z *Golema* o stosunku substancji dziedzicznej do organizmów. Gdyby ktoś się chciał za to brać, wymagałoby to od niego kolosalnej erudycji, wykraczającej poza literaturę. A tymczasem w moich książkach jest mnóstwo takich rzeczy, i to z różnych sfer naukowego poznania. To nie byłaby praca, którą można nazwać krytycznoliteracką. Ja siedzę okrakiem. Zostałem więc wypędzony ze wszystkich światów, bo nie mogłem zakorzenić się w żadnym. Dlatego musiałem wyjść z fantastyki, bo wzięła ona wyraźny rozbrat z myśleniem i nauką.

W RFN wszystkie moje nakłady bije książka Johna Ronalda Reuela Tolkiena *Władca pierścieni*, traktująca o elfach. Nie jest to literacko najgorsze, żadna bredniowata szmira z galaktycznymi korsarzami, ale to są przecież „misztygałki". Świat sfingowanych folklorów, czarów, walki dobra ze złem i światła z ciemnością. To najdoskonalsze wcielenie literatury eskapistycznej naszych strasznych czasów. To są antypody. Nie chcemy być trzciną myślącą, nie chcemy wiedzieć, jakie przykrości mogą na nas czekać. Chcemy być gdzieś indziej, bo tam jest przyjemniej. To jest dostateczna racja istnienia dla takiego pisarstwa.

Kiedy natomiast przychodzi ktoś i powiada, że obwieści rzeczy, o których nie było wiadomo, a które mogą być ważne dla losów świata, lecz trzeba będzie się do ich odbioru porządnie podkształcić, to zaraz przyjmuje się to na bagnety. Widocznie tak jest. Trudno. Teraz mnie to ani ziębi, ani grzeje, gdyż wiele książek mojego pióra odłączyło się ode mnie doskonale. Ich los światowy zupełnie nie zależy od tego, co ja o nich myślę, mówię, czego im życzę. Uważam — jednym słowem — iż istnieją ważkie, obiektywne, racjonalne powody, dla których mogę być amputowany z polskiej literatury. Nic na to nie poradzę.

— *Wielki Boże, to grzeszy znaczną przesadą. Z tego, co pan mówi, wynika, że o obliczu, ocenie i recepcji literatury narodowej decydują krytycy. Przecież to nieprawda.*

— Więc pan twierdzi, że wysokość lokaty nie zależy od krytyków? Zatem od czytelników? Ale czytelników nie słychać wprost. Ten odruch sięgania po książki jest gestem historycznie niedostrzegalnym. Były milionowe nakłady książek, z których nie zostało nic. Popularność danego autora albo fakt, że zbudował sobie za honoraria cztery zamki, nic nie znaczą. Nikt nie wie, czy odciśnie swój ślad w życiu duchowym epoki i czy pójdą z tego w przyszłość jakieś ablegiery.

— Co do tego zgoda, ale pan zdaje się mniemać, że jeżeli dziesięciu krytyków uprze się, aby publicznie orzekać, że poeta Bzdyć jest pisarzem wybitnym, to z tego coś wynika.

— Nie mamy dziesięciu krytyków. Mamy jednego Berezę, który odkrył trzystu młodych i genialnych pisarzy. Jest tam generał dywizji Drzeżdżon, generał broni Słyk i mnóstwo innych generałów. On ma cały arsenał, w którym stoją hojnie przez niego wręczane buławy marszałkowskie. Tym sposobem niechybnie niejedną literacką duszyczkę już złamał.

Była też swego czasu w redakcji „Tygodnika Powszechnego" pewna dobra kobieta — Zofia Starowiejska-Morstinowa. Niegłupia, wykształcona, w dodatku mi matkowała. Ale nie wiedzieć czemu, wysoko ceniła moich *Astronautów.* W byciu dobrym krytykiem przeszkadzała jej nadludzka dobroć. Zawsze znajdowała łagodzące okoliczności, czyli to, co Sandauer nazwał „taryfą ulgową". Była zbyt dobra, by kogoś „zjechać" naprawdę.

Obie te postawy są niedopuszczalne. Literatura to jest gra, w której musi iść na ostro. Jeśli ktoś nie potrafi mówić po polsku, nie może być dobrym pisarzem; jeżeli ktoś bredzi, to też odpada. Choć z tym bywa różnie… Cóż więc robi krytyka?

Są różni generałowie literatury polskiej, ale nie ma w niej Lema. Niedawno ktoś wydawał o mnie książkę na Zachodzie i prosił mnie o przysłanie tak zwanej *secondary literature.* Okazało się, że nie ma o mnie żadnej małej, zwięzłej monografii. Napisał ją dopiero Jerzy Jarzębski, bo nic gotowego nie istniało. Ukazała się we Frankfurcie pt. *Zufall und Ordnung. Zum Werk Stanisław Lems.* Proszę pana, taka sytuacja uniemożliwia pisarzowi rozpoznanie samego siebie. Przecież nie jestem wypchany doskonałą samowiedzą, nie zawsze wiem, skąd się wziąłem, dokąd idę, gdzie mnie to prowadzi i co to wszystko razem znaczy. Rzeczywiście nie jest prawdą,

że krytyka może skutecznie pomagać, ale jest w stanie zredukować czas błądzeń. I to już byłoby bardzo wiele.

— Jeśli pisarz to istota błądząca, niepewna, potrzebująca czasem wsparcia, to czegóż oczekuje pan po tak samo błądzącym krytyku?

— Byłoby dobrze, gdyby oni tylko błądzili, ale bywa i odwrotnie. Znakomitym przykładem jest Karol Irzykowski, który odsądził od czci i wiary całą twórczość Zbigniewa Uniłowskiego. Nigdy nie szanowałem tego krytyka i przyznam się, że czytając wydania jego pism, usiłowałem dojść tego, czym on takim świecił, że zauroczył całą swoją generację, ale nie mogłem w żaden sposób tego wyniuchać. To, że napisał bardzo prekursorską i niedobrą książkę, jaką jest *Pałuba*, to nie jest zasługa krytyczna. To, że napisał *Beniaminka* i był bardzo szczery w podawaniu motywów swoich napaści na Boya Żeleńskiego, to jest zasługa tylko z zakresu odsłaniania garderoby duszy. Kiedy zaś czytałem jego pamiętniki, gdzie opowiedział historię swojej córeczki i jej śmierci, skręcało mnie w czwartą stronę. Nigdy w życiu nie pozwoliłbym sobie na taki ekshibicjonizm nawet przed papierem, który ma pozostać w szufladzie.

Poza tym rozumny krytyk pewnych rzeczy robić nie może. Skądinąd wiem z prywatnej enuncjacji Szczepańskiego, który przedłożył Irzykowskiemu swoją prozę, iż odradził on mojemu przyjacielowi pisanie i nakazał przyjęcie posady biurowej, bo do literatury absolutnie się nie nadaje. Powiem tylko tyle: jest prawdopodobne, że gdyby przyszedł ktoś do mnie dzisiaj z taką prozą, jaką produkowałem w czterdziestym siódmym roku, wówczas bym uznał, że to jest grafoman, ale nigdy nie śmiałbym takiej apokryzy ani żadnych entuzjastycznych bądź skazujących na niebyt opinii wygłosić. Więc to, że Irzykowski pozwalał sobie na podobną apodyktyczność w stosunku do młodych, przekreśla go w moich oczach jako krytyka, bo ten, kto ma tak betonową pewność, nie może

być dobrym sojusznikiem literatury, gdyż ta jest nieprzewidywalna.

— *Pastwienie się nad krytykami to główne hobby pisarzy, więc nic dobrego z tego nie wyjdzie i porzućmy tę kwestię. Ze zdumieniem konstatuję, że czuje się pan zupełnie zapoznany. Albo to kokieteria, albo okrutne nieporozumienie.*

— Proszę pana, ja w pewnym sensie nigdy nie przestałem być na marginesie w Polsce. To się tłumaczy tak oto: zostałem wywindowany w górę wcale nie przez krytykę światową, tylko przez bardzo powolne osmozy i reperkusje światowe. Czasem przyjechał do kraju ktoś taki jak Susan Sontag i kiedy pytano ją, co sądzi o Gombrowiczu, to odpowiadała: „A jest przecież u was taki ciekawy pisarz jak Lem". Potem pytano ją o jakiegoś, dajmy na to Pipsztrykowskiego, a ona znowu: „Ale Lem jest ciekawszy". Ja takie historie zawsze odnotowywałem ze smutnym zainteresowaniem i przez długie lata było mi przykro, że nikt nie jest u nas wyczulony na proponowaną przeze mnie problematykę.

A trudno mi nie powiedzieć, że większość przekładów tego, co napisałem, jest gorsza od oryginałów. Kilka razy miałem szczęście trafić na kongenialnie tłumaczących translatorów, ale ścigało mnie jakieś ponure zrządzenie losu. Jestem racjonalistą, ale rzeczywiście wyglądało tak, jakby mnie ścigało fatum. Na przykład nieprawdopodobnie zdolna tłumaczka Irmtraud Zimmerman-Göllheim z Austrii, tłumacząca także znakomicie Białoszewskiego, nie mając jeszcze trzydziestu lat, zmarła na straszną odmianę galopującego Parkinsona. To tylko jeden z paru przykładów.

Ale niestety większość przekładów jest znacznie gorsza. Nie muszę chyba tego tłumaczyć, bo wystarczy przeczytać kilka stron *Cyberiady*, żeby zorientować się, z jak poważnymi trudnościami musi borykać się tłumacz. Ze mną było trochę tak jak z Faulknerem, który został Ameryce „nadany" przez Francuzów, gdyż w Stanach nie cieszył się

nigdy specjalną popularnością, nawet wtedy, gdy był najbardziej płodny.

— Zupełnie nie rozumiem tego tonu rozgoryczenia. Wkroczył pan w wielką literaturę nagłośniony przez rynek zachodni. To był uśmiech losu, a nie przekleństwo. Nie skakał pan z pierwszego piętra trampoliny do pustego basenu krajowego, lecz od razu z trzeciego — do podgrzewanej wody i to w zagranicznych kąpielówkach. Uczestniczy pan dzięki temu nie tylko w obiegu krajowym, lecz w cyrkulacji uniwersalnej.

— Odpowiem panu wprost: kiedy wymienia się polskich pisarzy, których wydała ojczyzna w ostatnim ćwierćwieczu, można mnie wymienić lub nie, a to ze względu na wspomniany już brak „przydziału”. Dam panu przykład: ukazała się książka Błońskiego *Romans z tekstem*, w której indeksie nie znajdzie pan mojego nazwiska.

— Pokażę za to panu dziesięć innych, w których nazwisko Lema widnieje złotymi zgłoskami wyryte w indeksach. To żaden dowód. Pan demonizuje swoje zapoznanie w kraju, bo przecież nie ma — może poza „Sezamem” i „Czasem nieutraconym” — książki Lema, która nie miałaby kilku przynajmniej wydań.

— To trzeba rozdzielić. Przecież ja nigdy nie miałem w Polsce tylu wydań, ile miały opowiadania Conan Doyle’a o Sherlocku Holmesie. Ani pewnie nawet tylu, ile ma Meissner. A może zresztą tyle samo? Tu przecież chodzi o tak zwaną klasę intelektualną i o to, czy dany pisarz tworzy literaturę rozrywkową, czy też w jego książkach kryją się jakieś głębsze treści. A zatem czy to jest coś, co może przejść do historii literatury, a może i szerzej — myśli ludzkiej. Czy ktoś napisał u nas, że Lem proponuje pewne wizje, które są w literaturze na skalę światową pierwsze, i z tego tytułu należy do grona największych duchów drugiej połowy dwudziestego wieku? A takie rzeczy pisano o mnie na przykład w Ameryce.

— Przed przyznaniem Nagrody Nobla Miłoszowi słuchałem audycji radiowej, w której Sprusiński rozważał polskie kandydatury do tej nagrody. Nie wymieniał co prawda nazwisk, lecz opisowo charakteryzował problematykę książek. Za tymi metryczkami ukrywali się Iwaszkiewicz, Herbert, Andrzejewski, Miłosz, Różewicz i oczywiście Lem. Według pana to jest dowód na brak uznania?

— Ja o tym wiem, bo doszły mnie słuchy, że ktoś mnie w tym komitecie lansuje. Ale powiedziałbym tak: matka jest niewymienna na żadną inną osobę. Człowiek, który ma potem powodzenie u dziesięciu tysięcy kobiet, nie może uważać, że zyskał nową matkę. Nie mówię więc, że źle jest zjeżdżać do kraju ze światowej wyżyny, lecz twierdzę, że są pewne rzeczy niewymienne.

Tymczasem w kraju rzadko spotykałem się z aprobatą. Kiedy jako członek Koła Młodych przy ZLP przy ulicy Krupniczej 22 przedstawiałem swoje teksty wraz z kolegami, słyszałem o różnych nadziejach polskiej literatury. Jako pierwszego Wyka odkrył tam Macha. Tymczasem ja byłem szarym gąsiątkiem. Nikt nie uważał, że może coś ze mnie wyrosnąć. Ja zresztą też nie sądziłem, bo jak wiadomo, same gołe chęci to jeszcze za mało.

To jest delikatna sprawa i nieprzyjemna dla mnie, ale ją wyartykułuję: jeśli założyć, że jestem duchem pierwszej klasy, to powinny się mną zajmować duchy tej samej klasy. Natomiast osoby, które brały się za moją twórczość, zawsze ściągały mnie w dół. Jeśli więc ktoś pasjonował się Lemem, zaraz potem okazywało się, że jego frapują przede wszystkim latające talerze, a literatura znajduje się na czwartym planie.

— Słucham pana z rosnącym zdumieniem. Zostawiłem u pana podczas naszego ostatniego spotkania ogromną stertę kserokopii z publikacji krajowych, poświęconych pańskiej twórczości. Pomijam to, że ich ilość jest wręcz porażająca, ale przecież tam są autorzy o znakomitych

nazwiskach, których trudno podejrzewać o fascynację UFO: Szpakowska, Kołakowski, Grochowiak, Burek, Kornhauser i mnóstwo, mnóstwo innych.

— Moja święta naiwność i ciekawość kazały mi przejrzeć te odbitki. Myślę, że gdyby się znalazł taki dziwny historyk literatury, który by się przez to wszystko przekopał, a potem dopiero wziął się za moje książki, dostałby wielkiego zamętu i „zachachmęcenia" w głowie. Poza recenzjami moich prac dyskursywnych bardzo niewiele by się z nich dowiedział o mojej twórczości. Lektura tych tekstów potwierdziła moje przekonanie żywione dotąd intuicyjnie, będące podstawą mojej polityki nieczytania recenzji. Okazało się bowiem, że osoby mające się za krajowych intelektualistów uważają, iż przynosiłoby im ujmę czytanie Lema. Na zdrowie! Jest to zabawne, bo pogląd taki został wypowiedziany już po *Summa technologiae* i całej masie innych książek. To jest objaw raczej smutny.

Przy okazji powiedziałbym tak: taksonomia moich recenzentów, gdyby przeprowadzać ją w planie diachronicznym, okazuje się sprawiedliwa, ale w synchronicznym już nie, gdyż ich teksty powstawały na przestrzeni ponad ćwierćwiecza. Niemniej taksonomia ta jest ciekawa, bo potwierdza pewną prawidłowość nadrzędną. Pan wie, że moim „konikiem" jest statystyka. Ten materiał pozwala właśnie na wnioski statystyczne. Potwierdzają one domniemania, które ze znaczną przymieszką grzechotnikowego jadu wypowiadał Miłosz, że Polacy są potrzebni Polakom wyłącznie wtedy, gdy stanowią materiał eksportowy. Polacy potrzebują też znamienitych lub próbujących się przedrzeć ku znamienitości rodaków po to, aby stosować wobec nich Gombrowiczowską ostrogę, czyli aby ich unicestwiać.

Tak bowiem postępowała część moich recenzentów. A szczególnie jednego wspomnę, który chociaż już nie żyje, a o zmarłych należy wyrażać się dobrze, wyróżnił się jednak

na tyle, że warto o nim parę słów powiedzieć. Prawo to też daje mi fakt, iż ja również niebawem będę *mortuus*, gdyż każdy być musi. Chodzi o tłumacza literatury angielskiej — Juliana Stawińskiego, który prowadził przez długie lata przeglądy prozy współczesnej w „Roczniku Literackim”. On właśnie przyrównywał mnie do księdza Chmielowskiego, twierdząc, iż dopuszczam się masowych oszustw i szalbierstw, że wręcz bredzę, co przez niektórych zostaje potraktowane jako poważne nauki. W jednym ze swoich tekstów wyśmiewał się z tego, że wypowiadam się na temat takich nie istniejących bytów jak antymateria. To mnie bardzo uderzyło, gdyż myślałem, że każdy, kto skończył szkołę średnią, powinien wiedzieć, że antymateria istnieje tak samo jak materia. Nie wiedzieć, co to jest antymateria, jest w moim przekonaniu tym samym, co brak wiedzy, że istnieje prąd elektryczny. Takie nasilenie ignorancji, jak mniemam, dyskwalifikuje krytyka do wypisywania jakichkolwiek recenzji. Uważam, że istnieje pewne ogólne minimum wykształcenia na poziomie sześciu klas szkoły powszechnej, które krytyk opanować musi, żeby się móc czymkolwiek zajmować. Choć wiadomo, że tu działa samozwańczość i akceptacja autora przez odnośne redakcje.

Charakterystyczny jest też przypadek Jana Kotta, który w „Astorii” chełpił się tym, że nie wie, po co są potrzebne dwa druty w przewodzie, by płynęła elektryczność, gdyż według niego jeden powinien w zupełności wystarczyć. Nie jest ważne, że on to powiedział, ale to, że chełpił się swą niewiedzą.

Ciekawą też rzeczą jest stosunek nauki do literatury i sztuki. Jak wiadomo, bardzo stanowczy pogląd na tę sprawę miał Gombrowicz, który uważał, że nauka to rodzaj pytona, który swoimi objęciami musi zadławić sztukę. Nie wiem, skąd by się to miało brać, skoro istnieją w nauce, skądinąd bardzo rzadkie, wybitne jednostki twórcze parające się literaturą. Trzeba przy tym zrozumieć,

że na czterystu naukowców z rzadka przypada jeden jako taki uczony, na kilkanaście zaś tysięcy przypada jeden wybitny. A pomiędzy uczonym wybitnym a uczonym przeciętnym jest różnica mniej więcej taka, jak między Metternichem a kapralem Legii Cudzoziemskiej, który przy pomocy bandy oprychów ogłosił się wodzem naczelnym, a potem mianował się dyktatorem w Zambii. Jest przepaść dzieląca umysły we wszystkich fachach, a więc i w tym. Nie ma żadnego powodu, dla którego by tak być nie miało.

W *Wizji lokalnej* skasetowany Bertrand Russell powiada, że rozkład normalnej inteligencji obowiązuje nie tylko w społeczeństwie, ale również we wszystkich profesjach, więc i wśród filozofów i krytyków. Wśród nich też jest więcej idiotów niż ludzi rozsądnych. Tu nie chodzi tylko o inteligencję, ale również o sprawność, świadomość i morale. To jest niewątpliwe. Nie ma dziedziny, gdzie byłoby inaczej.

— To rozumowanie, które pan przeprowadził w statystyce nazywa się wnioskowaniem z próby o populacji. Na podstawie wypocin paru recenzentów orzeka pan o krytyce „en masse”.

— Ale to dzieje się na wszystkich poziomach. Na przykład przy lekturze tych recenzji uderzał mnie często ton nienawistny. Przed kilkoma godzinami trzymałem w ręku recenzję Adama Klimowicza z *Wysokiego Zamku*, z której wionie morderczą niechęcią. On imputuje mi wiele rzeczy, stosując inwektywy *ad personam.* Twierdzi na przykład, że mam wyborną pamięć i nie mechanizm spontanicznie uruchomionych wspomnień stworzył tę książkę, ale moja świadoma chęć podkreślenia jednych rzeczy, a ukrycia innych. Przede wszystkim dotyczyć to ma przemilczania okrutnych i srogich warunków ekonomiczno-społecznych, w jakich znalazł się Lwów, kiedy miałem cztery czy dwanaście lat.

Muszę powiedzieć, że jest to szczególnie jaskrawy idiotyzm. Jako dziecko w rodzinie burżuazyjnej — mój ojciec

zarabiał dziewięćset złotych, co było sporą sumą, a ponadto miał z prywatnej praktyki kamienicę — nie mogłem wiedzieć, że istnieje coś takiego jak walka klas. Jest rzeczą przerażającą, ale prawdziwą, że w wieku lat siedmiu o Marksie jeszcze nie słyszałem. W tej książce moja pamięć zachowywała się jak rozdarty worek, więc można tam znaleźć opis pogrzebu Kozaka, podczas którego widziałem sporo nędzy, która jednak musiała mi się wydać rzeczą naturalną, bo dziecko wrastające w pewną realność zastaną wszystko przyjmuje jako oczywistość. Była ona naturalna tak samo, jak tłumy rozmaitych grajków i linoskoczków, chodzących i fikających po podwórkach, ku którym sypały się z okien pięciogroszówki zawinięte w papierki. Była to epoka znacznych różnic społecznych i majątkowych. Ale pisząc *Wysoki Zamek*, starałem się operować świadomością dziecka, a nie moją dzisiejszą, gdyż byłby to palimpsest albo niestrawna miszkulancja. W końcu jeśli to miał być repertuar wspomnień ograniczający się do pierwszych lat dziecięcych i gimnazjalnych, nie mogłem do niego domieszać wiedzy uzyskanej dwadzieścia lat później. To byłoby bezsensowne.

Poza tym z tego tekstu Klimowicza wynika, jakobym kłamał, opisując „legitymacjonizm”. Czyli że jest to jeszcze jeden tekst fantastyczny Stanisława Lema. Kiedyś, pisząc *Filozofię przypadku*, zastanawiałem się, w jaki sposób pisarz może dawać rękojmię, że coś jest szczerością albo nie jest. Czyż miałbym składać notarialne przysięgi, powoływać świadków i wynajmować prywatnych detektywów? Wojna zniszczyła nasz dom, a z nim te wszystkie dziecięce bazgroły wraz ze srebrnymi niteczkami do zszywania legitymacji i zębatymi kółkami z budzika do perforowania. Wszystko było jednak tak, jak opisałem. Czego nie było, to wiedzy, w jakim celu to robię. Tę świadomość *ex post*, z pozycji czterdziestu lat życia, tam wyłożyłem, natomiast materiał rzeczowy nie został zmyślony. Ale jakie na to można przedstawić dowody?

Jest też wśród tych szkiców dziwny tekst Tomasza Burka, który napada na mnie jako na Galicjanina. W pewnym sensie wypieranie się tego, żem się w Galicji urodził, byłoby nonsensem, choć z drugiej strony nie wiem, jak można postulować taką opozycję. Kiedy obracamy się w środowisku, w którym nie ma nikogo oprócz Polaków, to z tego, że jesteśmy Polakami, nie zdajemy sobie na ogół sprawy, chyba że ktoś nam proponuje, żebyśmy pogadali jak Polak z Polakiem. Tak samo, jeśli mamy samych białych i ani jednego kolorowego, to nie powstaje żadna opozycja względem kolorowych. Nie istnieje opozycja ludzi jako istot przynależących do gatunku *homo sapiens* tak długo, jak długo nie pojawi się reprezentant innego rozumnego gatunku, gdyż dopiero w tym momencie powstaje taksonomiczna cezura: my–oni.

A teraz konkretnie: za sprawą neurastenicznej natury mojego ojca byłem aż do wybuchu wojny trzymany jak w wacie, nie miałem roweru i nigdy nie wyjechałem dalej niż do Jaremcza i Worochty. Jedynym miastem, jakie znałem, był Lwów. Stolicę zobaczyłem dopiero w czterdziestym siódmym roku, a Kraków w czterdziestym szóstym. Jak zatem w takiej sytuacji mógłbym pisać rzeczy mające charakter opozycji pomiędzy Galicją a Kongresówką? Propozycja więc, która mojemu stanowisku dosztukowuje jakieś warszawskie antypody, jest fikcją wymyśloną przez Burka. Jeden Bóg wie, po co to było potrzebne temu bystremu przecież krytykowi?

Ciekawe, że najlepsze omówienia *Wysokiego Zamku*, które nie wychodziły od przedustawnych i najzupełniej dowolnie wysnutych pojęć krytycznych oraz traktowały mój tekst w jako takiej immanencji, pochodzą od jednego bardzo inteligentnego Rosjanina i paru Szwajcarów. A mówię o tej powieści, bo jest względnie „normalna”. To autobiografia literacka i nie trzeba przywoływać kanonów nauki ani kryteriów fantastyki, aby ją właściwie ocenić.

Do autorów, których czytałem zawsze z wielkim uszanowaniem, należy Małgorzata Szpakowska. Z satysfakcją więc przeczytałem jej omówienia, których nie znałem. Nie trzeba do nich nic dodawać, bo teksty sensowne nie potrzebują autorskiego komentarza.

Teraz chciałbym powiedzieć parę słów o pana tekstach, gdyż można w nich znaleźć ciekawe zjawisko. Widać w nich charakterystyczną ewolucję, aczkolwiek nie mogę tego w pełni chronologicznie zweryfikować. Odnoszę wrażenie, że wystartował pan z pozycji sceptyczno-krytycznej — nie chcę powiedzieć, że niechęci — co polegało na trzymaniu mnie na dystans, spoglądaniu przez cudzysłów i sceptycznym przyglądaniu się temu, co urządzam. Czyli że można się temu przyglądać z zainteresowaniem, ale nie bez pewnej domieszki podejrzliwości. Zupełnie jakby pan rozważał, czy to jest rzeczywiście szczery kruszec, czy też posiada domieszki innogatunkowe. Ale to było raczej delikatne, więc nie mam powodu, aby się do pana przyczepiać.

Jednakże można też spotkać inny typ podejrzliwości. Pojawił się on w jednej z recenzji, po której przemknęło moje oko, a polega na osądzeniu mnie nie w sposób krytyczny, ale kwestionujący totalnie. Tam było powiedziane tak: my jesteśmy humanistami, a Lem ma wykształcenie przyrodoznawcze, więc gdyby on nam pokazał, co potrafi zrobić z mitologią, to potrafilibyśmy to właściwie ocenić i orzec, czy jest ciekawe, ale niestety Lem bierze się nie do mitologii, ale do cytologii, skąd czerpie swoje dziwactwa i tym nas zaskakuje i obezradnia.

Pod względem merytorycznym jest to jakoś zasadne. Rzecz jednak w tym, że ja żadnej cytologii rozumianej *pars pro toto*, to znaczy jako wycinka nauk ścisłych, do żadnej literatury nigdy nie pakowałem, lecz operowałem jedynie zwierzchnią paradygmatyką tych nauk. I muszę powiedzieć, że automatyczne przyłączenie genetyczne, źródłowe bądź wpływologiczne czyichkolwiek tekstów

do obszaru mitologii tak samo nie przysparza chwały ani nie strąca w Hades, jak gdyby dotyczyło to cytologii czy cybernetyki. Nie jest ważne, kto i co skąd bierze, ale co z tym robi. Tylko to decyduje, czy to jest jakiś *incest*, kazirodcze i bluźniercze przeinaczenie sensów zaczerpniętych z jakiejś dziedziny, czy też sensowny użytek uczyniony z danego obszaru źródłowego.

Jeśli więc spoglądam na ten materiał jako na próbkę statystyczną, widzę w nim po pierwsze, ogromne rozchwianie kryteriów, a po drugie, brak jakiegoś łącznego stanowiska. Wielu krytyków oceniało mnie jedynie od książki do książki. Omawiali je w izolacji, nie zajmując się tym, co było przedtem, ani tym, co potem. Oddzielić by przy tym należało tę część krytyk, która pojawiała się w prasie codziennej, gdyż charakteryzuje się sporą powierzchownością. Tam pojawia się wyłącznie jako materiał eksportowy: „Chwała Lemowi, gdyż czyni nas przed światem znamienitszymi”. Nie chodzi w nich o to, za co i czy się czasem zagranica nie pomyliła, bądź czy nie doszło do jakiegoś oszustwa ze strony autora lub wydawców, ale o sam fakt dużych nakładów, licznych omówień i wielojęzycznych tłumaczeń. Jakby to była wystarczająca racja, aby się o mnie wyrażać pochwalnie. To jest jeden ze smutnych objawów, źle świadczących o kulturowym samopoczuciu i niepodległości duchowej Polaków. W tym natomiast przypadku tego odłamu inteligencji, która uprawia krytykę. Przecież to nie jest żaden tytuł do chwały, że kogoś się obficie tłumaczy. Ostatecznie przekłada się znacznie więcej powieści kryminalnych niż cennej, a zgrzebnej prozy typu Jana Józefa Szczepańskiego.

— *Ten pański długi wywód nie świadczy o tym, że rodzima krytyka jest ślepa jak kret, lecz co najwyżej — co jest też dyskusyjne — że ma oko z guzika.*

— Nie chciałbym się tutaj wyzłośliwiać, bo porachunki z krytyką faktycznie są niemądre, ale wciąż chodzi o brak

rozeznania w tym, co się ma. Generalnie biorąc, jest tak, że wydolność kulturową społeczeństwa rozpoznaje się na ogół podług tego, w jakiej mierze samo potrafi rozpoznać, co się w nim rodzi i czy może być początkiem czegoś nowego. A jednocześnie w jakim stopniu potrafi to zjawisko „rozhuśtać”. Czasem nie potrafi tego światu „narzucić”, gdyż są po temu obiektywne trudności: polityka, kryzysy, wojny, bariery językowe, kulturowe i Bóg wie co jeszcze. Tysiące rzeczy mogą działać jako „dławiki”, lecz to jest osobna sprawa. Tymczasem w mocy pozostaje problem, że znacznie przyjemniej jest być rozpoznanym przez rodaków aniżeli przez obcych. To jest dla mnie sprawa poza wszelką dyskusją. Nigdy nie byłem w kraju hołubiony. Mówię o tym spokojnie i obiektywnie, bo to należy do mojej biografii.

— Proszę wybaczyć mi szczerość — ta obowiązuje nas obu — ale łatwo byłoby zinterpretować pańską wypowiedź jako artykulację ton megalomanii i pretensji.

— Skargi, proszę pana! Nie jest aż tak źle, jak pan mówi. Mam już sześćdziesiąt lat. Jeśli wszystko pójdzie tak jak dotąd, ilością przekładów przegonię za rok lub dwa samego Sienkiewicza. Nie mogę więc uskarżać się na brak rozgłosu. Poza tym poczucie niedopieszczenia czy zapoznania, jakie często przejawiają pisarze, budzi mój niesmak. No bo dlaczego ty jesteś taki „pieściwy”? Czemu ciebie trzeba tak „wieńczyć”? Jest charakterystyczne, że kiedy otrzymuję wielkie paki obcojęzycznych recenzji, wówczas szukam w nich czegoś, co mogłoby mnie o czymś poinformować. Natomiast laury, wawrzyny i liście bobkowe zupełnie mnie nie interesują. Ja tego w ogóle nie czytam, bo potrawa to jałowa i nic z niej nie wynika. Wolałbym nawet, żeby ktoś się ze mną starł i powiedział, że z poruszaną przeze mnie problematyką nie jest tak, ale inaczej. Taka dyskusja czy spór, z którego nikt nie może wyjść zwycięzcą! Tak jak bywa to w ujęciach filozoficznych, gdzie możliwe są różne uchwyty ontologiczne. Chodzi o pewien poziom polemiki,

podczas gdy mnie kwalifikowano zwykle ze względu na zewnętrzną ornamentację.

Wiele złego sprawiło też piętno zarazy gatunkowej. Jest bowiem rzeczą dziwną, że kiedy odchodziłem od gatunku *Doskonałą próżnią* i *Wielkością urojoną*, wówczas uznawano to za ucieczkę od literatury, a nie za przejście w inny rodzaj literatury, na przykład eseistyczny. Dlaczego innym wolno bawić się w narrację traktatową, a mnie nie wolno? Choć równocześnie sytuacja ta miała tę dobrą stronę, że potężna „wichrowatość" krytyk sprawiała, iż nikt mnie nie mógł „ustrzelić", gdyż celowano tam, gdzie mnie w ogóle nie było.

Pochwały na nic! Wydaje mi się, że wystawianie cenzurek i stopni to podejrzane zajęcie. Im środowisko literackie mniej zacne, bądź, mówiąc brutalnie — podlejsze, tym większa tendencja do ustawiania wysokich pionowych skal metrycznych: kto w górze, kto pośrodku i kto na dole.

— *Może jestem tępy, ale dopiero teraz zrozumiałem, na co się pan skarży. Chodzi o poczucie osamotnienia i wyizolowania, prawda? Siedzi prorok-mędrzec w wysokiej wieży z kości słoniowej, ale nikomu tamtędy nie wypada droga, więc gada do ściany.*

— Tak, tylko ja nieco inaczej bym określił tę sytuację, gdyż jest ona raczej taka jak szympansa w klatce u Wolfganga Köhlera. U sufitu, zbyt wysoko, żeby podskoczyć, wisi jakiś banan, więc małpa buduje sobie ze skrzynek i odpadków piramidę, z której próbuje sięgnąć po upragniony owoc.

Kiedy przyglądam się bibliografii w książce Douglasa Hofstadtera *Gödel, Escher, Bach. An Eternal Golden Braid,* ślina płynie mi do gęby na widok spisu wspaniałych książek, których nigdy nie widziałem na oczy. Przestudiowałem dokładnie tę olbrzymią bibliografię i stwierdziłem, że znam z niej tylko trzy książki! A tu są setki. To jest bardzo irytujące, bo mam wrażenie, że jestem Robinsonem na wyspie bezludnej i wszystko muszę wykonywać

od początku do końca sam. Nie mam nawet glinianej miseczki, tylko muszę pójść po glinę, zmieszać ją z wodą, skrzesać ogień i setki innych rzeczy muszę robić sam. Zawsze odczuwałem niedosyt z powodu odcięcia od źródeł informacyjnych i myśli światowej i nigdy nie udawało mi się zdobyć tych książek, których pragnąłem. Była jakaś zadziwiająca dysproporcja pomiędzy łatwością dotarcia do tego, na czym mi najmniej zależało, a trudnością uzyskania tego, na czym zależało mi najbardziej. Gdy chodziło o ogromne powiększenia i dokumentację sposobu funkcjonowania narządów płciowych, to *skolko ugodno*, ale jeśli potrzebowałem „New Scientist" lub jakichś specjalistycznych danych, to napotykałem takie opory, które dawniej zdawały się nie do pomyślenia w skomercjalizowanej cywilizacji, gdzie powinno się tylko składać zamówienie u księgarza. Przecież nikomu się nie kalkuluje spełniać zamówień faceta ze wschodniej Europy, który poszukuje reprintu bądź książki wydanej przez Massachusetts Institute of Technology. Gdybym był informatykiem i pracował w Instytucie Maxa Plancka, zapewne samo by do mnie przychodziło. Jako *outsider* mam z tym jednak poważne kłopoty.

Z jednej strony można powiedzieć: skoro zawsze byłeś Robinsonem i chałupnikiem, lecz osiągnąłeś tyle, że ktoś, kto zjadł wszystkie rozumy, chce się nad twoim tekstem zatrzymać, to może nie wszystko jest jeszcze wyzbyte sensu? Z drugiej jednak czasami myślę sobie: cholera, gdybym miał taki dostęp do literatury światowej jak ten autor, który we wstępie dziękuje czterdziestu sześciu osobom za możliwość przedyskutowania węzłowych problemów, podczas gdy ja mogłem tylko ze ścianą porozmawiać, to Bóg wie, co potrafiłbym lepszego wycisnąć ze swojej mózgownicy. To jest czysta supozycja, bo być może nic bym nie wycisnął, a te otchłanie mądrości przywaliłyby mnie tak, że nie śmiałbym się nawet piśnięciem odezwać. Bardzo możliwe. Ale mam takie myśli.

W sferze badań węzłowych, które jedynie mnie interesują, jestem koszmarnie niedoinformowany. Gdybym miał dostęp do źródeł, zapewne rzeczywiście nic innego bym nie robił, tylko czytał i jeszcze uważał, że za mało wiem.

Jestem dyletantem, który jak ciekawa pchełka skacze sobie z jednej dziedziny do drugiej. I stwierdziłem, że w całej światowej palecie fantastów jestem wyjątkiem. Przecież z tymi wszystkimi Golemami i kosmogoniami jestem równocześnie okropnym sceptykiem, który nie wierzy w żadne trójkąty bermudzkie ani w talerze latające, w czytanie myśli, psychokinezę, życie duchowe roślin i tysiące rzeczy, które żywią tę literaturę. Nie wierzę w to do tego stopnia, a nawet mam za zupełną brednię, że nigdy z tym nie stykałem się inaczej jak przez drwinę, groteskę czy humoreskę. Poważnie nigdy. Jeśli kiedykolwiek brałem to na warsztat, to po to tylko, aby doprowadzić kwestię do takiego czy innego absurdu.

W tym miejscu zawsze byłem niezwykle odstrychnięty — przynajmniej w zestawie lektur — od wszystkich kolegów po piórze w kraju i za granicami. Tu niewątpliwie tkwi zasadnicza różnica, polegająca na tym, że obszar mojego źródłowego myślenia leży zupełnie gdzie indziej. Bazując zaś na nim, zawsze odczuwałem potrzebę posiadania licznych instytutów naukowych. Główny bez wątpienia zajmowałby się selekcjonowaniem dla mnie lektur, bo człowiek poddany Niagarom książek i tekstów zagrożony jest niebezpieczeństwem zamulenia umysłu. Przed każdą zaporą odnajdzie pan urządzenia, które zapobiegają zamuleniu się przejść do turbin. Nigdy nie miałem takich możliwości.

Zawsze musiałem się męczyć ze wszystkim sam, w związku z czym moja wydolność nie mogła być taka, jakiej bym sobie życzył. Pan się uśmiecha… Oczywiście uśmiecha się pan słusznie, ale gdy sobie pomyślę, że byli tacy powieściopisarze jak Edgar Wallace, którzy nie mieli czasu na pisanie, więc tylko dyktowali lub rzucali koncepty,

a potem cała sfora wykonawców — jak w Hollywood — przetwarzała to w materię literatury, to wcale nie uważam tego za absurdalne. Dla wznioślejszych poznawczo celów godziłoby się tak postępować.

Jeżeli byle idiota w każdym rządzie ma całe sfory urzędników na swoje usługi, to dlaczego nie mógłby ich mieć Lem? Tylko paru niezbędnych specjalistów, którzy pomogliby mi w wyszukiwaniu potrzebnych tytułów. W końcu nie jest tak, że wszystko wiem. Na przykład koncepcja, którą wygłosiłem w pierwszym wykładzie Golema, o tym, że nie substancja dziedziczna jest „służącym", a gatunki „panami", lecz poszczególne organizmy są etapowymi wzmacniaczami służącymi proliferacji kodu dziedzicznego, została niezależnie ode mnie wypowiedziana — jak już mówiłem wcześniej — przez Dawkinsa w książce *The Selfish Gene* parę lat temu, lecz do dnia dzisiejszego nie udało mi się jej uzyskać. A przecież są na pewno na świecie dzieła, które bez wątpienia mogłyby mnie w skuteczny sposób nie tylko poinformować i zapłodnić, ale również pchnąć do napisania jakichś innych rzeczy. Ale tu już wkraczamy w obszar książki, której nigdy nie napiszę, a którą bym nazwał *Księgą skarg i wniosków.*

— Jest więc tak, jak mówiłem: z wysokiej góry stentorowym głosem obwieszcza pan ludzkości groźne prawdy, oblekając je w formy mieniące się literaturą, i złości się, że głos nie jest wystarczająco słyszalny, a świat nie chce się odwdzięczyć bieżącymi raportami naukowymi o swoim stanie. Wielka moc uroszczenia ukryta jest w takim stanowisku.

— Po pierwsze, przemawiam bez wątpienia literaturą. Diagnoza mojej ucieczki z tego terenu jest nietrafna. Sądzę, że wszędzie wraz ze mną pojawia się literatura. To znaczy ciągnę ją za sobą, rozciągając do granic możliwości niczym elastyczne majtki aż do miejsc, gdzie dotąd jeszcze nie sięgały. Takie jest moje osobiste poczucie. Dla mnie to jest literatura i nigdy nie byłem niczego bardziej łasy aniżeli

takich rozciągań literatury ku obszarom, gdzie jej jeszcze nie było. Całe systemy filozoficzne powstawały przecież jako płód roboty literackiej, ale przecież były serio jako takie właśnie systemy traktowane.

— To dla mnie oczywiste. „Also sprach Zarathustra" Nietzschego czy „Die Welt als Wille und Vorstellung" Schopenhauera to bez wątpienia literatura, choć jednocześnie czystej wody filozofia. Księga „Apokalipsy" świętego Jana to też literatura, choć przecież przede wszystkim profecja. Ważna jest przede wszystkim funkcja, ku której ta literatura została obrócona.

—Ale ona nie jest od tego, aby była zaprzęgana w tę czy tamtą stronę. Pisarz to nie jest ten, kto nosi po gościńcach zwierciadło, aby się w nim ludzie odbijali, ale ten, kto mówi swojemu społeczeństwu i swoim czasom rzeczy, których nikt wcześniej nie pomyślał.

Kiedyś miałem ciekawą rozmowę z żoną, która jest dziwnie przenikliwa, podczas gdy ja widzę gwiazdy za dziesiątym parsekiem, ale nie dostrzegam tego, co mam pod nosem. Otóż wysnuła ona taką sugestię, że ja z latami zacząłem mieć poczucie misji. Misji w tym sensie, że przyszedłem, aby pewne rzeczy powiedzieć, ludzie mają tego wysłuchać, a następnie świat ma być… może nie zbawiony i poprawiony, ale jednak, że się do ogólnej poprawy świata przyczynię.

Potem okazało się, że niczego nie można ani w Polsce, ani na świecie poprawić, a co więcej, wcale nie jest tak, że wszyscy ludzie, chodząc po ulicy (*śmiech*), mamroczą pod nosem ważniejsze ustępy moich książek. Oczywiście uroszczenie takie świadczy o obłędzie lub jakiejś innej formie manii wielkości, bez względu na to, czy się jest Kantem, czy tylko mizernym pisarzyną. Nie o to chodzi. Lecz faktem jest, że jeśli przedstawiałem pewne rzeczy, to widać moja podświadomość oczekiwała, że zostaną one zakonotowane i przyjęte do wiadomości.

Spadły na mnie wszystkie splendory i ordery, łącznie z Orderem Sztandaru Pracy, więc nie mogę powiedzieć, że byłem zapoznany. Byłem pyszny! Może nawet bardziej od samochwalnego Irzykowskiego, choć nigdy jak on nie zgłaszałem się z wyciągniętym palcem, mówiąc: „Przepraszam, ale ja to mówiłem pierwszy w skali światowej, proszę bardzo, tu są dane bibliograficzne w dziedzinie filozofii stosowanej czy biologii, mogę udowodnić”. Prawdopodobnie oczekiwałem tego, co skarykaturowałem w cyklu *Cyberiady*, gdzie pojawia się filozof Chloryan Teorycy Klapostoł, który przez siedemdziesiąt lat genialne prawdy obwieszcza, ale pies z kulawą nogą nie zwraca na to uwagi. Jest to niewątpliwie autoportret z dużą domieszką kwasu.

Moja obecna niechęć do pisania bierze się również stąd, że nie zależy mi na tym, żeby napisać jeszcze jedną książkę, aby ją wydano i przetłumaczono. W przeciwieństwie do moich wydawców, którym zależy wyłącznie na zbycie, a to, czy będzie się tymi tekstami podpierało nogę od krzesła czy chwiejącego się stołu, to ich nie obchodzi, zależy mi na czytelniku. Życzę sobie być czytanym, a nie tylko kupowanym. Gdyby nabywanie Lema miało być rodzajem mody, wówczas cały mój wysiłek stałby się bezsensowny.

Chęć bycia nie tylko wydawanym, ale i czytanym jest dość pospolita wśród piszących. Nie sądzę, aby było wielu pisarzy uważających literaturę za rodzaj butelkowej poczty Robinsonów na wyspach bezludnych, którym wystarczy gest włożenia notatek do jakiejś flaszki, wrzucenia jej do oceanu, bez oczekiwania na wyciągnięcie jej przez kogoś z tej wody. Gdyby tak było, to po co wrzucać ją do wody? Lepiej zakopać przy brzegu swojej wyspy w piasku.

Nawet przy założeniu, które nie jest bezsensowne, że piszę po to, aby pouczać samego siebie, iż odpowiadam sobie na własne pytania, bo nigdzie indziej nie znajduję na nie odpowiedzi, to nawet ten monologowy dialog

zachodzący pomiędzy mną a mną nie jest dostateczną racją dla tak cholernie ciężkiej roboty. Już lepiej byłoby powiedzieć sobie tak: napisałem około trzydziestu książek, mają one nakład około dziesięciu milionów, wyszły w siedmiuset wydaniach, więc nie będę już nic robił, lecz co najwyżej odcinał kupony i żył jak jakiś Petroniusz. Ale mnie to nie wystarcza. Chciałoby się coś więcej zrobić, ale tak, by były tego jakiekolwiek efekty.

— *Obawiam się, że rzeczywiście przeżywa pan odwieczny dramat Kasandry.*

— Wiem o tym i trudno powiedzieć, na co jeszcze czekam, bo jeśli rozważać poważnie, to cóż może literatura? Czy może ona wpłynąć choćby na poprawę obyczajów politycznych świata? Nie może! Ale równocześnie siedzi w człowieku irracjonalna nadzieja. Ale zaraz potem przychodzi rozczarowanie. Jak to, ja dwadzieścia sześć lat temu napisałem, że to się musi źle skończyć, i nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi? I nie pojawił się taki hamulcowy, który by pociągnął w odpowiednim momencie za uchwyt hamulca? Moje odczucia rzeczywiście wynikają z nadzwyczajnej mocy uroszczeń. To jest wręcz góra pretensji! A przecież wiadomo, że żadne największe nawet dzieło ani żaden największy umysł ludzki tak naprawdę niczego nie poprawiły w ludzkim świecie. Lecz przyznaję się do tego, gdyż wydaje mi się, że ten czynnik współuczestniczył w powstawaniu moich rozmaitych książek. To można wykryć jako jedną ze składowych wielu moich utworów.

— *To jest, mówiąc krótko, intencja dydaktyczna.*

— Niewątpliwie tak było, że przyszedłem, aby nauczać, więc mogę powiedzieć, że mało jest moich utworów, które byłyby wytrzebione z dydaktycznej intencji. *Eden* na przykład to książka przygodowa, ale przecież traktuje o tym, jak blokowanie informacji w obiegu społecznym doprowadza do katastrofalnych skutków. *Solaris* to atak na mitologię antropocentryczną, leżącą u podstaw

programu współczesnej kosmogonii. Pod tym kątem można przejrzeć wszystkie książki. A równocześnie miałem przecież jakiś dar antycypowania pewnych przejawów życia umysłowego w środowiskach, gdzie panuje poznanie kumulatywne. Niewątpliwie tak było. Patrząc na moje książki, można rzeczywiście znaleźć — nie wiem, ile wart — zamysł dydaktyczny. Muszę jednak wtrącić tu uwagę, iż wcale nie było tak, że siadałem przed maszyną, wkręcałem papier i myślałem: a o czym to jeszcze powinniśmy dziś pouczyć nieszczęsną i ogłupiałą ludzkość, aby wreszcie wkroczyła na drogę prawości i cnoty? Tak oczywiście nie było, ale ta dydaktyczna żyłka rzeczywiście głęboko we mnie siedzi.

— *Pan oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, jakie niebezpieczeństwa kryje w sobie ta postawa? Każdy z nas miał jakiegoś namolnego nauczyciela głoszącego uczone i słuszne prawdy, których nie chcieliśmy słuchać.*

— Nie zastanawiam się, czy to jest dobre, czy złe, sensowne czy bezsensowne. Jestem starym człowiekiem posiadającym mikroskopijną ilość złudzeń. Zdaję sobie sprawę, że sposób, w jaki książki „załamują się” w umysłach odbiorców, jest nieprzewidywalny i ogromnie rozbieżny względem moich naiwnych, autorskich oczekiwań. Czasem mam wrażenie, że jest we mnie coś z buntownika, który uważa, że godzi się walczyć z nałożonymi na nas przez naturę biologiczną restrykcjami w postaci niezwykłej krótkości istnienia. Możliwość wskoczenia obu nogami w inną, przyszłą, czysto wirtualną realność cywilizacyjną jest już dla mnie sama w sobie nagrodą. Nagrodą w takim sensie, jak cnota jest swoją własną nagrodą, i żadnych dodatkowych darów ani tu, ani w zaświatach nie powinna się domagać. Jeżeli widzę, że się nie pomyliłem i generalny kierunek moich poszukiwań jest właściwy, jest to dla mnie wystarczająca satysfakcja. Nie dlatego, że otrzymam mnóstwo pochwał czy pieniędzy, ale dlatego, że jest rzeczą samą w sobie.

Ta mglista intuicja nie wyprowadziła mnie dotąd na jakieś bezdroża. I jeszcze więcej bym powiedział: jest to też doping, bo jeśli mnie tak szybko doścignięto, to należy próbować następnego skoku w nieznaną dal. Wygodne rozłożenie się na laurach zupełnie mnie nie satysfakcjonuje.

W tym więc porządku proszę rozumieć moje wyznania, iż nie satysfakcjonuje mnie żadna intensywność i obfitość laurów, które się na mnie wkłada, lecz to, czy wieńczą mnie nimi osoby, które uważam za kompetentne. Zwracam uwagę na to, czy są to gołosłowne pochwały, będące skutkiem przydzielenia mi na ślepo znaku wysokiej jakości, czy też wypowiedzi osób zorientowanych w problematyce. Przyjemnie zaskoczony jestem dopiero wtedy, gdy jakiś specjalista, pracujący na najbardziej wysforowanym froncie konkretnych badań, powiada, że Lem pisał dwadzieścia lat temu o sprawach, które dziś są tematem zaciekłych dyskusji w obrębie najnowszych osiągnięć nauki. Przyzna pan, że nie są to satysfakcje typowe dla pisarzy.

— *To zależy od tego, co się z tą satysfakcją robi. Jeśli się z nią obnosi jak bohater „Monizy Clavier" Mrożka z wybitym zębem, to nic dobrego.*

— Tego mi nie można zarzucić. Nie sądzę, aby Franz Kafka, mogąc jak Łazarz wstać z grobu, był zdolny czerpać ogromne uciechy z faktu odnalezienia przez *Kolonię karną* koszmarnych desygnatów w postaci niezliczonych Oświęcimiów czy Brzezinek. Przecież on by nie powiedział z satysfakcją: proszę, przewidziałem! To był umysł innego rodzaju, gdyż chodziło mu jedynie o możliwości wirtualnie tkwiące w ludzkim duchu. Mnie też o to chodzi.

— *Wracając do kwestii pańskiego dydaktyzmu i pasji pouczania, muszę powiedzieć, że współcześnie postawa taka jawić się musi jako coś szalenie anachronicznego.*

— Bo to jest rzeczywiście niewspółczesne. I dlatego jestem na bakier z całym trendem literatury światowej, która wycofuje się z tych dawnych pozycji. Nikt już filozoficznych bajeczek oświeceniowych nie pisze. Nikt nie

pragnie się bawić w encyklopedystę. Raczej odwrotnie: wchodzi się w psychikę człowieka i rozdyma się ten mikrokosmos do ogromnych rozmiarów.

Albo popiera się twórczość zajmującą się tylko językiem i czyniącą różne igraszki z formą, czyli to, co lansuje Bereza, namawiający do zabawy językiem. Dla mnie natomiast to jest szlifowanie ładnych wisiorków w języku czyli lingwistyczna galanteria.

— *No dobrze, ale pan też lubi pobaraszkować w języku.*

— Ale nie można mojej roboty pisarskiej ograniczyć do tego, co jest zabawą może śmiertelnie poważną, ale zawsze zabawą. Płoche igraszki *Cyberiady* są echowym odtworzeniem „twardych” koncepcji i pojawiają się tam w wariacjach. A bogata wariacyjność wydaje mi się znamieniem sztuki. Jest rzeczą zbędną — uważam kategorycznie — aby należało dobrze przyswojoną teorię naukową przedstawiać w rozmaitych ujęciach, jak w kompozycji muzycznej. Sądzę natomiast, że w literaturze można, warto i należy bawić się takimi wariacjami, które w pierwszych lekturach nie są jeszcze duplikacją, lecz całkowitym *novum*. Czyli że odpowiedniej rzeczy daje się po raz pierwszy słowo, choć w rzeczywistości autor wie, iż nie daje tego słowa po raz pierwszy. To jest pewnego rodzaju zmiana kostiumu, a kostiumowość jest dla mnie niezbywalna w literaturze, gdyż to jest jej integralna własność. Nie ma powodu, aby czegoś, co było skomponowane jako symfonia, nie spróbować odegrać na grzebieniu lub źdźble trawki.

Podsumowując, muszę powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, iż moja linia ewolucyjna była odwrotna do generalnego trendu rozwojowego. Swoimi książkami postanowiłem odwrócić nie tyle bieg Wisły, ale wszystkich rzek. W związku z tym totalnie skłóciłem się z całą science fiction. Jednym z widocznych efektów tego konfliktu było pozbawienie mnie członkostwa honorowego Science Fiction Writers of America.

— Za „Fantastykę i futurologię”?

— Nie, ona nigdy nie ukazała się w Stanach Zjednoczonych. Za artykuł, przyległy zresztą do tej książki, zatytułowany *Die verunglückte Phantasie*, który wydrukowany został w „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, a potem był przetłumaczony w Ameryce ze złośliwymi przeinaczeniami. Wprawdzie pozwoliłem sobie w nim na ostrą nieraz krytykę, lecz nie stosowałem krytyki *ad personam*, podczas gdy ktoś dorobił temu artykułowi jakieś osobiste docinki. Zrobiła się z tego chryja, w efekcie której doczekałem się przezwiska „polskiego Sołżenicyna”. Zdarzenie to stało się ostatnim aktem mojej działalności apostolskiej *in partibus infidelium* w science fiction. Zbyt dużo energii zmarnowałem na pisanie niezliczonych artykułów, a poza tym uświadomiłem sobie bezsensowną daremność tego przedsięwzięcia.

— To niech pan może opowie coś więcej o swoich bojach z krytyką zachodnią…

— Moje doświadczenia z nią są jak najgorsze z tytułu niezliczonych nieporozumień. Był taki okres w moim życiu, gdy przyjaźniłem się korespondencyjnie z doktorem Franzem Rottensteinerem. Wydawał on wówczas pismo „Quarber Merkur” (Merkur to po prostu merkuriusz, Quarber zaś to maleńka miejscowość, w której narodziło się to pismo). Ukazało się około pięćdziesięciu numerów, poświęconych teoretycznym zagadnieniom związanym z szeroko rozumianą fantastyką, przy czym na pierwszej stronie periodyku każdy czytelnik mógł odnaleźć hasło przewodnie: „Walka z przeklętą tandetą literacką”. Kiedy Rottensteiner dorwał się do krytyki na kontynencie amerykańskim, wówczas stał się powszechnie znienawidzony i wszystkie bagnety zwróciły się w jego piersi. A ponieważ działaliśmy wówczas wspólnie i także drukowałem po niemiecku w tym piśmie, więc i w moje również. Nazywałem to działalnością apostolską i rozjaśnianiem amerykańskich umysłów.

Występowaliśmy przeciwko wszelkim objawom tandety i umysłowej nędzy w science fiction. Piliśmy sobie z ust, gdyż Rottensteiner ma instynktowną niechęć do tego rodzaju twórczości. Pracowaliśmy wówczas jako tandem, więc momentami nawet mylono nas ze sobą w fanzinach. Publikowaliśmy miażdżące teksty, a one szły od Australii po Kanadę, czyli tam, gdzie klan autorów SF jest najbardziej aktywny. Dziś jest to domena zamknięta, ale kiedy zaczynaliśmy naszą akcję, daleko jeszcze było do kanonizacji fantastyki i pojawienia się jej w uniwersyteckich murach jako przedmiotu wykładów. Nie było jeszcze wówczas „Science Fiction Studies", w których do dzisiaj jesteśmy wraz z Rottensteinerem *contributing editors.* Nasza działalność była rodzajem wyzwania rzuconego całej fantastyce.

Jego efekty odczułem, gdy ukazywały się moje książki i miały fatalne recenzje w różnych fanzinach. Zmieniło się to dopiero po tym, gdy moją twórczością zaczęli się zajmować krytycy z prawdziwego zdarzenia, stojący na najwyższym świeczniku. Paru z nich można odnaleźć w wydanej ostatnio przez Suhrkampa książce poświęconej mojej twórczości pt. *Űber Stanisław Lem*. Wcześniej jednak każdy krytyk czytał moje utwory tak, jak ktoś, kto chce odnaleźć w książce telefonicznej receptę na produkowanie pączków, a nie znalazłszy niczego na ten temat odrzucał ją niezadowolony. Ja natomiast uznałem już wówczas, że jest zupełnie bezsensowną rzeczą wdawać się w polemiki i wyjaśnienia, które miały charakter następujących powiadomień: nieprawdą jest, co twierdzi krytyk X, że moja książka poświęcona jest sprawie Y, natomiast prawdą jest, iż poświęcona jest sprawie Z i Ω. To były wielkie zespoły nieporozumień.

Teraz sytuacja się odwróciła, nie mogę powiedzieć, że nie na mój pożytek materialny, ale nie na moją korzyść w kategoriach merytorycznych. Uzyskałem coś, co odpowiada marce dobrego artykułu. Kiedy ktoś pragnie

kupić samochód i widzi na masce trójpromienną gwiazdę w kółku, która jest znakiem Mercedesa, nie musi wynajmować zespołu inżynierów, którzy zbadają jakość produktu, lecz zawierza marce. Jeśli więc wydawca zachodnioniemiecki mówi do mnie: „Panie Lem, dam panu na ślepo pięćdziesiąt tysięcy marek, jeżeli napisze pan dla mnie książkę”, to nie oznacza to wcale, iż jestem twórcą arcydzieł, lecz że się dobrze „sprzedaję”. I tylko tyle.

— *A cóż powie pan o swoich krytykach zagranicznych?*

— W bardzo licznych recenzjach, które pojawiają się jak ogon ciągnący się za kometą za każdą moją książką, są zdawkowe pochwały, które oznaczają tylko to, że dany krytyk jest przekonany, iż ma do czynienia z produktem dobrym, który należy pochwalić, aczkolwiek on sam nie bardzo wie, o co tam chodzi. Natomiast krytycy zorientowani w problematyce scjentycznej są w skali globu do policzenia na palcach obu rąk. Ludzie znający się na krytyce literackiej i sprawach współczesnej nauki są dość rzadkimi wypadkami. A nie znając się na tych sprawach, nie można pisać o moich książkach z większym sensem, bo skąd ignorant ma wiedzieć, które koncepcje są moją własnością, które są ekstrapolacją, a które wyciąganiem ostatecznych wniosków z faktycznych ustaleń nauki. Trudno aby ktoś, kto tego nie studiował, a co gorsza, kogo ta problematyka wcale nie fascynuje, uważał, że to jest coś innego niż wdzięczne bajanie lub bujanie gości.

— *Krytycy anglosascy pana zwalczali, inni w ogóle nie wiedzieli, o co chodzi w pańskich książkach, z kraju pana nie „nagłaśniano” na Zachód, wydawcy zagraniczni drukowali pana tylko dla zysku. W jaki więc sposób, przy tak niekorzystnych koniunkturach, dobił się pan jednak komercyjnej marki? Przecież nie zawdzięcza pan tego pierwiastkowi intelektualnemu, bo on — jak rozumiem z poprzednich wypowiedzi — raczej przeszkadza w sprzedaży.*

— Element intelektualny budzi u wydawców na Zachodzie zgrozę. I to straszną! Diabeł się tak nie boi święconej wody jak oni myślenia. Wydawcy to są ludzie, którzy wszyscy razem na kupę zupełnie nie znają się na literaturze. I wydaje się, że jest im to rzeczywiście niepotrzebne. Oni czekają na objawienie, żyją mitem bestselleru. A co ciekawe, nie potrafią nawet odróżnić książki, która dobrze kandyduje do tej szansy, od utworu, który nie ma na to najmniejszej szansy. To są handlarze bawełną, którzy nie odróżniają bawełny od pierza. Zawsze mnie to zresztą zastanawiało. Co prawda nie mogę powiedzieć, aby to była reguła, ale dotyczy to jednak wielu wydawców.

A jeśli chodzi o moją drogę do zachodniego sukcesu, zawdzięczam ją głównie swojemu powolnemu rozwojowi. Na początku pisałem książki niedobre, ale dość „czytelne", a później mniej „czytelne", ale za to lepsze w kategoriach intelektualnych i artystycznych. Ta właśnie okoliczność sprawiła, że uzyskałem znaczną poczytność. Gdybym wystartował na rynku światowym książkami takimi jak *Wielkość urojona*, to o żadnych milionowych nakładach nie byłoby mowy, bo w najlepszym razie byłbym znany bardzo wąskim kręgom. Do mojego awansu doprowadziły pierwsze powieści, takie jak *Astronauci* czy *Powrót z gwiazd*. Nie wszystkie zresztą wczesne książki były tak niedobre, bo nie można tego chyba powiedzieć o *Solaris* czy *Dziennikach gwiazdowych*, które jednak miały spore nakłady.

— Ale na logikę taki kierunek pańskiego rozwoju powinien był odstraszać część czytelników?

— Oni rzeczywiście odpadali, ale wielu zostało mi wiernych. Tak powstała swoista gmina wyznaniowa i często na różnych spotkaniach słyszałem, że jednego nakłoniłem do studiów astronomicznych, a drugiego matematycznych. Może to niełądnie, ale z czasem przyzwyczaiłem się do wysłuchiwania, że tak dalece wpłynąłem na losy ludzkie. Niewątpliwie jest to solidna forma za brak sensownej opieki

krytycznej. Wprawdzie pisze się dla czytelnika, ale też by się chciało, aby również krytyk był czytelnikiem wyśmienitym i genialnym, który wtyka termometr do tekstu i odczytuje, jaka w nim panuje temperatura. Ale niestety tak dobrze nie było.

— Z tego, co pan mówi, wynika, iż wychodził pan w świat prywatną furtką. Czy nie był pan lansowany na drodze normalnej wymiany kulturalnej?

— Najlepiej to widać na przykładzie krajów, w których polityka przekładowa jest ściśle uzależniona od istnienia sterowanej hierarchii literackiej. Na ogół wyglądało to w ten sposób, że nikt z profesjonalnych tłumaczy polskiej literatury, kontaktujących się systematycznie z Ministerstwem Kultury i Zarządem Głównym ZLP, nie prekładał mojej prozy. W Związku Radzieckim tłumaczył mnie znakomity astrofizyk, znakomity matematyk i jakiś chyba japonista, a zatem ludzie rekrutujący się spoza środowiska literackiego.

— A przecież w Związku Radzieckim jest pan niezwykle popularny. Odbiór pańskich książek, co wiem od przyjaciół, jest w tym kraju wręcz entuzjastyczny.

— W ZSRR mam wydania w gigantycznych nakładach. Kiedy przygotowywano w języku polskim i rosyjskim książkę pt. *O przyjaciołach*, wielu naszych pisarzy kleciło nieprawdziwe teksty o tym, jak kochają Związek Radziecki bądź jak są kochani w tym kraju. Tam jest bodaj jeden autentyczny tekst: mój. Autentyczny dlatego, że przygoda, którą przeżyłem w ZSRR, jest niewiarygodna.

— Myślę, że będzie na miejscu, jeśli pan o niej szerzej opowie.

— Chętnie, bo to było wspaniałe przeżycie. Kiedy przyjechałem przed wielu już laty, wraz z delegacją pisarzy, do Moskwy, wówczas siłą żywiołowego parcia środowiska naukowego, studentów i członków Akademii Nauk zostałem dosłownie odszczepiony od grupy, która miała ustalony program zwiedzania. Przez dwa tygodnie praktycznie nie

widywałem się z kolegami, gdyż byłem na Uniwersytecie im. Włodzimierza Iljicza Lenina, w elektrowni atomowej, w Instytucie Wysokich Temperatur bądź wieziono mnie do Charkowa. Uczeni doprowadzili do tego, że osłupiała ich naporem ambasada polska zorganizowała rodzaj koktajlu, na którym pojawiła się prawdziwa elita nauki radzieckiej, aby mnie uczcić. To były obłąkane tygodnie, kiedy sekretariat ambasady stał się moim sekretariatem, tak niezliczona ilość zaproszeń nadchodziła ze wszystkich stron. W drugim rzucie dołączyli się do tego kosmonauci z pierwszego Woschoda Boris Jegorow i Konstantin Feoktistow i zupełnie mnie już wessali.

Kiedy w rok później znów pojechałem z jakąś delegacją, wszystko powtórzyło się, ale na jeszcze większą skalę. Pamiętam swoje spotkanie ze studentami uniwersytetu moskiewskiego, na które zwaliły takie tłumy, że musiałem wyglądać jak Fidel Castro wśród wielbicieli. Temperatura Rosjan, kiedy mają wrażenie przygody intelektualnej, jest nieporównywalnie wysoka w stosunku do tego, co zdarza się w innych krajach. Sartre, gdy wracał z Moskwy, był dosłownie pijany od noszenia na rękach. Ja tego też doświadczyłem. Rosjanie, kiedy są komuś oddani, zdobywają się na takie samozaparcie i poświętliwość, są tak wspaniali, że trudno wprost opisać.

Muszę powiedzieć, że w ogóle nie byłem w stanie dostrzec rzeczywistości radzieckiej, gdyż przez cały czas byłem od niej oddzielony murem ludzkim. Wtedy byłem jeszcze na tyle młody i wytrzymały, aby to wszystko znieść, ale te dni liczyły od osiemnastu do dwudziestu godzin. Ja prawie w ogóle nie mogłem spać, gdyż telefony rozpoczynały się już od szóstej rano. W tym wszystkim — co ciekawe — uczestniczyły chmary uczonych. Ciągali mnie do prywatnych domów, do Biblioteki Gorkiego, do prezesa Estońskiej Akademii Nauk, ale nie było tam ani jednego pisarza prócz mnie. To był nieprawdopodobny kołowrót.

Miałem tam poczucie ersatzowego tryumfu, bo przecież wolałbym, aby to działo się w kraju.

Kiedy laureat Nagrody Nobla, fizyk radziecki Ilja Michajlowicz Frank przyjechał do Krakowa, pierwszą rzeczą, jaką uczynił, było skontaktowanie się ze mną. Przez półtorej dekady mój dom był miejscem pielgrzymek. Kiedy przyjeżdżała jakaś radziecka delegacja naukowa, to wiedziałem, że prędzej czy później tutaj „spadną", bo to było zwykle ich ekstra żądanie, które przedkładali organizatorom. Nie mogę się więc uskarżać, abym był przez nich niedopieszczony. Przeciwnie, byłem zapieszczany nieomal na śmierć. Nawet w ambasadzie w Moskwie miałem wrażenie, że jestem rarogiem. Byłem tak wypychany ku górze przez tych rozentuzjazmowanych naukowców i działo się to tak spontanicznie i żywiołowo, że trudno było temu przeciwdziałać. Opowiadając o tym we wspomnianej książce, musiałem sporo tonować ze względu na kontekst.

— Naprawdę chciałby pan w taki sposób być rozpieszczanym w kraju, w takiej atmosferze żyć i pracować?

— Zrozumiejmy się właściwie. Osoby wybitne i znakomite zawsze pochodzą z dalekich stron. Mnie były aplikowane tak niesłychane i z nóg zbijające dawki entuzjazmu, ponieważ pojawiałem się rzadko oraz na krótko. W Moskwie miałem poczucie, że jestem konieczny i że strasznie mnie potrzebują. Aby pokazać tę temperaturę, opowiem dwie historyjki.

Kiedy ściągnięto mnie do Charkowa, to mimo iż z samolotu wysiadało sie tylko przez podest do wagoników ciągnionych przez specjalny traktor, czekający już pod samolotem naukowcy wyciągnęli mnie i zapakowali do wołgi, która pomknęła do miasta. Obraz był humorystyczny, gdyż byłem tak zawalony chryzantemami — a była to późna jesień, więc nie było innych kwiatów — że miałem wrażenie, iż jestem bardzo dostojnym trupem,

którego wiozą na cmentarz. Skojarzenie z Zaduszkami było oczywiste, bo pokrywała mnie ogromna masa okropnie zimnych, białych i wilgotnych kwiatów. Można było pomyśleć, że wykupiono wszystkie kwiaty w Charkowie. Byłem tam dwa dni, ale nie widziałem nic — nawet jednej ulicy. Kiedy nawet w wigilię odlotu do Moskwy kilkudziesięciu profesorów i docentów odprowadzało mnie pieszo do hotelu, a naprzeciwko spotkaliśmy jakiegoś ryczącego pijaka, który szedł sinusoidą, moi poczciwi opiekunowie skupili się wokół mnie jak kwoki osłaniające pisklę przed jastrzębiem, by oszczędzić mi tego przykrego widoku.

Druga historia zdarzyła się, gdy prof. Piotr Kapica, też laureat Nagrody Nobla, najstarszy uczeń Ernesta Rutherforda, *stariejszyna sowietskoj fiziki*, życzył sobie ze mną rozmowy. Zaprosił mnie do siebie i ku straszliwemu rozczarowaniu swoich współpracowników zamknął się ze mną na cztery spusty w gabinecie i rozpatrywaliśmy sprawy ziemi i nieba. Kiedy po wyjściu zobaczyłem zawiedzione miny, wówczas lekkomyślnie powiedziałem, że jeśli ktoś życzy sobie ze mną porozmawiać, zapraszam wieczorem do hotelu. Przyszło tylu ludzi, że się przeraziłem. To był bardzo duży pokój, ale wszyscy stali, bo nie było miejsca do siedzenia nawet na podłodze. Przy obecności jakichś sześćdziesięciu osób odbył się tam rodzaj mitingu. Bez względu na to, czego oni się po mnie spodziewali i co jest warta moja literatura, było to niezwykle autentyczne.

Autentyczna też jest, cokolwiek złego chciałoby się powiedzieć o tym społeczeństwie, nauka radziecka. Wbrew temu, co niektórzy powiadają, mają prawdziwą, solidną kosmonautykę, a nie jakąś wypchaną czy zrobioną na drutach.

Świat nauki rosyjskiej był dla mnie wielkim zaskoczeniem. Ja im z kolei pewnie zastępowałem wszystkich: Albrta Camusa, Jeana Paula Sartre’a, Jamesa

Joyce’a i Franza Kafkę. Bardzo to silnie kontrastowało z tym, co było w Polsce. I u nas mam autentycznych czytelników, na temperaturę spotkań też nie mogę się uskarżać, ale tak nigdy nie było.

— *Na co więc pan się uskarża? Tam był pan pisarzem na jeden raz.*

— Odpowiem panu przykładem. Kiedyś przyjechali do Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie moi znajomi kosmonauci radzieccy i życzyli sobie mojej obecności. Próbowano mnie więc zawieźć do stolicy wojskowym odrzutowcem, ale się nie zgodziłem, bo była zła pogoda, więc nie miałem ochoty rzucać się na spadochronie do stóp kosmonautów. Zawieziono mnie zatem samochodem i zostałem wciągnięty w orbitę urzędowych obrządków. Kiedy jednak znaleźliśmy się razem w jakimś instytucie lotnictwa, wówczas doznawaliśmy bardzo przykrych uczuć: kosmonauci dostali kwiaty, wpisali się do księgi itd., a z tym Lemem, jak z lokajem, nie wiadomo, co zrobić. Poza tym w Moskwie wszyscy mnie znali i czytali, sam Pierwszy Konstruktor ZSRR, czyli prof. Sergiusz Korolow, który stworzył program kosmiczny, czytał Lema i kochał Lema, a w kraju ci panowie i te pułkowniki, nie wspominając już o obstawie, bo ta nic nie czytała, nie mieli o mnie najmniejszego pojęcia. Byłem tam wyszywaną poduszką, której goście sobie życzyli, więc uprzejmi gospodarze im ją dostarczyli.

— *To jest kwestia z obszaru kultury osobistej, więc pewnie szkoda czasu na przywoływanie takich wspomnień.*

— Ale to się wiąże z kwestią nieautentyczności, która zbyt często ujawnia się w środowisku naukowym. Kiedyś próbowano mnie zaprosić na międzynarodową konferencję poświęconą Heglowi, która się miała odbyć w Madrycie. Nie pojechałem, bo go nie znoszę, a być *advocatus diaboli* nie przystoi, ale to wszystko miało interesujące preludium, gdyż organizatorzy, nie znając mojego adresu, zwrócili się z tym do obecnych tam przedstawicieli Polskiej Akademii

Nauk. Ci najpierw bardzo długo udawali, że nie słyszą, co się do nich mówi, a potem, że nie wiedzą, jak dotrzeć do mego adresu. Dość powiedzieć, że strona polska zrobiła wszystko, abym nie mógł otrzymać tego zaproszenia i organizatorzy sami musieli sobie poradzić.

Potem była historia z konferencją poświęconą cywilizacjom kosmicznym w Biurakanie w 1971 roku, na której miałem być jedynym Europejczykiem pośród Amerykanów i Rosjan. Nie pojechałem, gdyż zaproszenie powędrowało pod jakieś sukno. Organizatorzy bardzo naciskali, a nawet zwrócili się wprost do prezydium Polskiej Akademii Nauk... i w przeddzień otwarcia zjazdu rozdzwoniły się telefony, że muszę koniecznie pojechać. Już był zamówiony nocny pociąg do Warszawy i samolot na Krym, ale nie pojechałem, choć miałem ogromną ochotę, bo zgotowano mi rolę „walizki". Gdyby się to odbyło w normalnym terminie, wówczas nic by nie stało na przeszkodzie.

Były więc w kraju próby sugerowania, że Lema nie ma. Spotykałem się z tym często w naszych ambasadach i ataszatach, bo wiadomo, że one zajmują się wszystkim, tylko nie sprawami kultury polskiej. I zawsze tak było, bo każdy, kto czytał Boya, wie, jak to było, kiedy profesor Załęcki przyjechał do Paryża zamiast Żeleńskiego. Ta tradycja jest nadal podtrzymywana.

Natomiast ja, który z domu jeszcze wyniosłem uszanowanie dla ludzi nauki, chciałem wierzyć, że jest to kategoria ludzi lepszych i hołubiłem w sobie naiwny obraz światłych profesorów, którzy nie znają niższych przywar gatunku. To się zbyt często nie sprawdzało. Były oczywiście wyjątki, więc nie mogę powiedzieć, abym nie miał dobrych stosunków z polskimi uczonymi, ale dotyczą one relacji prywatnych. W relacjach instytucjonalno-urzędowych traktowano mnie wciąż jako kłopotliwego dyletanta, który nawet nie jest habilitowany, a tu próbują go ściągnąć na różne poważne sesje i konferencje. Takie niezręczne

historie, jak z Madrytem i Krymem, wciąż się powtarzały. Czasami próbowano wysłać na moje miejsce kogoś innego…

— Teraz ma pan doktorat honoris causa, więc może się to już skończy. Kwestia jednak tkwi w PRL-owskim podejściu do kultury.

— Można mnie podejrzewać, że wyjeżdżam z resentymentami, ale to rzeczywiście dotyka sprawy systemu, który lansował ludzi nieautentycznych. Idealna sytuacja dla systemu jest taka, gdy ktoś się staje wielkim pisarzem czy wielkim artystą od nałożenia rąk Partii. Jeżeli nakłada na kogoś ręce, to wiadomo, że on staje się wielki i potężnieje, natomiast jeśli ręce zostają zdjęte, charyzmat ulatnia się jak kamfora i zostaje kupa śmiecia.

Kiedyś był u mnie i siedział na tym samym co pan teraz fotelu, wówczas Numer Dwa — generał bezpieki tow. Franciszek Szlachcic. W pewnym momencie powiedział, że dziwi się temu, jak daleko zaszedłem, bo przecież — on używał *pluralis maiestatis* — „nie pomagaliśmy”. A potem zasumował się nieco i dodał: „nawet przeszkadzaliśmy trochę” (*śmiech*). On miał takie zagrania absolutnej szczerości.

— Czym tłumaczy pan sobie tę sytuację? Nie podejmuje pan wprost problematyki polityczno-społecznej, nie był pan szczególnie niewygodny dla władzy, pomijając parę aluzyjnych utworów.

— Obawiam się, aby nie dokonać nadmiernej racjonalizacji, gdyż wiele rzeczy wywołanych jest zapewne zwykłą inercją i losowością. Przede wszystkim zawsze byłem wolnym ptakiem. Nie udzielałem się, nie antyszambrowałem, nie zwracałem się o stypendia, lecz wyjeżdżałem za własne pieniądze, a kontakty z ministrami kultury miałem podczas wręczania nagród państwowych. Dla partii na pewno wygodniejszy jest człowiek, który je z ręki i jest uzależniony.

Twórca, który ma silne oparcie za granicą, ale nie w ramach kulturalnej wymiany, którego wydają tu i tam,

i diabeł wie gdzie jeszcze, jest jakiś dziwny. Decydenci proponują mu, żeby jechał tam, a on powiada, że wybiera się gdzieś indziej. A więc: niepokorny w stosunku do władz, ale nie urządza brewerii. Następnie: pisarz niedyspozycyjny, więc nie można od niego wymagać usług. Kiedy na przykład pytano mnie jeszcze przed Sierpniem — w ramach wielkiej kampanii propagandowej — co sądzę o bombie neutronowej, powiedziałem, że jest ona w moim przekonaniu takim samym nieszczęściem jak bomba atomowa i nie widzę żadnej różnicy. I nic więcej! Dziennikarz przeprowadzający wywiad była niezwykle zdumiony.

Nie entuzjazmowałem się byle czym, nie leciałem z otwartymi ramionami do każdej delegacji pisarzy demoludów, trudno mnie było do czegoś zaprząc, nie spełniałem oczekiwań towarzyszy, byłem więc jakiś „łykowaty”. Nie mogę powiedzieć, abym wyraźnie czuł, że ktoś mi specjalnie przeszkadza. No, może raz i drugi, kiedy Tarkowski dostał bzika na punkcie sfilmowania *Solaris…* Tłumaczyli mu wtedy jacyś aparatczycy z Warszawy, że nie należy jej ekranizowac, bo jest idealistyczna, subiektywistyczna i metafizyczna, ale trafiono kulą w płot, gdyż Tarkowski cały jest idealistyczno-metafizyczny i na dodatek „rosyjska dusza”, więc nie był dobrym adresatem tego rodzaju przestróg. O całym tym wydarzeniu wiem zresztą od strony rosyjskiej.

Poza tym czasem przez przypadek zdarzały się jakieś dziwne koincydencje. Kiedy na przykład napisałem *Kongres futurologiczny*, który złożyłem w „Szpilkach”, moment druku przypadł na Grudzień siedemdziesiątego roku. Na Wybrzeżu masakra, a w moim tekście też strzelają, więc chociaż numer był już wydrukowany, zdjęto cały nakład z maszyn. Często miałem tego typu przypadki. Opowiadam to panu za pomocą małych anegdotek, ale w rzeczywistości układały się w większe całostki.

Era gierkowska miała swoje specyficzne uwarunkowania. Wtedy hołubiony był każdy pisarz, który nie brykał, na przykład Andrzej Kuśniewicz. Mimo to, niektóre jego pozycje sobie cenię. À propos, która z jego książek najbardziej się panu podoba?

— *Poza „Lekcją martwego języka" nie lubię żadnej książki Kuśniewicza.*

— (*ucieszony*) Widzi pan, ja również wysoko sobie ją cenię. Moim zdaniem to jest bardzo dobra powieść. Z budownictwem socjalizmu ma tyle wspólnego, ile my obaj z nauczaniem dialektu mandarynów, ale dobrze jest się czymś takim pochwalić. Kiedy tow. Jerzy Łukaszewicz z KC PZPR przyjmował Teodora Parnickiego, urządzano niezwykłe celebry. Po prostu pisarze byli tolerowani pozytywnie na tej zasadzie, że władza chciała pokazać, iż ma coś wartościowego w swojej kulturze, a przy tym jest to równie nieszkodliwe jak abstrakcyjne malarstwo. Nikt tego nie zrozumie, więc i nikogo to nie podburzy, a o żadnym wichrzeniu nie ma mowy. Można chwalić, bo nie wiadomo, o co chodzi.

— *Nie wiem, czy zna pan „Świat nie przedstawiony" Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego? Został pan w tej książce umieszczony pośród pisarzy właśnie takich jak Parnicki, Buczkowski i Kuśniewicz, a zatem mieszkańców wieży Babel — „bezpiecznych" dla aparatu władzy.*

— Zagajewskiego poznałem osobiście w Berlinie Zachodnim, gdzie przegadaliśmy długie godziny. W trakcie tych rozmów zeznał, że to nie on pisał te karty. Kornhauser jakoś naiwnie to wykoncypował. Zresztą to dotyczy wymowy całej tej książki. Polemizował z nią swojego czasu Błoński, między innymi w tym punkcie, który dotyczy *Kongresu futurologicznego.* Krytyka autorów przejęła bowiem sporo założeń socrealistycznych, czyli ściśle rozumianej, instrumentalnej doraźności pisarstwa. Gdyby się przejąć tym, co oni pisali, wszyscy musieliby drukować w podziemiu.

Kiedyś napisałem tekst będący analizą grup nieformalnych w systemie władzy, który miał być dołączony do nowego wydania *Dialogów*. Warszawska cenzura zdjęła mi go z miejsca. Jeśli coś szło pod nożyce cenzorskie, nie przywiązywałem do tego zbytniej wagi, nie obnosiłem się z ranami, nie prowadziłem diariusza okaleczeń. Ze względu na szeroką działalność za granicą byłem bowiem w sytuacji koncernu naftowego, który ma pewne straty na Florydzie, bo się niczego tam nie dowiercili, ale za to ma jeszcze pola naftowe w Kuwejcie, sieć wież w Nikaragui i paru jeszcze innych miejscach na ziemi. Jeśli więc mam interesy na całym świecie, nie mam powodu by płakać nad jedną płachtą ziemi. Inna rzecz, że zawsze najbardziej mi zależało na drukowaniu w kraju, o czym najlepiej świadczy zbudowanie takiej wielkiej machiny osłonowej jak *Edukacja Cyfrania* po to tylko, aby opublikować tekst w ojczyźnie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że moja obecna robota coraz bardziej jest sprzeczna z klasycznymi kanonami literatury. Jestem obcym ciałem na jej terenie, a nawet gdyby się ktoś uparł, mógłby powiedzieć, że pasożytem, gdyż wykorzystuję rozmaite typy *licentia poetica* dla celów, które są sprzeczne z jej ogólną orientacją. Ale ponieważ tak się dzisiaj szczęśliwie składa, że literaturą jest wszystko, o czym oświadcza się, iż literaturą jest, więc nikt mnie nie może dla swojej zachcianki relegować z tego obszaru. Ani fikcjonalność, ani hybrydyczność płodów mojego umysłu, nie mogą być uznane za *dolus*, a więc coś takiego, co zasługuje na wyrzucenie z literatury i wtrącenie tam, gdzie przebywają dusze niewinnych niemowląt, których nie zdążono ochrzcić.

Zdaję sobie sprawę, że znajduję się na dziwacznym miejscu, gdzie graniczą ze sobą: literatura, nauka, filozofia, hipotezotwórstwo, nieodpowiedzialne bredzenie i profetyczność, która jest dziś w najwyższym stopniu niemodna. Jednak w tym miejscu się zadomowiłem, czuję się w nim dobrze i jako nisza życiowa niezwykle mi

odpowiada. Moją ambicją jest działać na tym terenie tak długo, jak się da, pod zwierzchnim imperatywem, który każe mi dążyć do prawdy. Nie umiem jednoznacznie powiedzieć, czy jest to prawda orzeczeń naukowych o człowieku i jego świecie; czy jest to prawda rozumiana scjentycznie, czy metaforycznie; czy chodzi o jednoznaczność ustaleń i orzeczeń, czy też o jakieś przypowieści, porównania i alegorie. Takiej autodiagnozy nie próbuję sobie nawet stawiać, bo nie wiem, czy to jest aż tak ważna. Źródłem napędowym mojej działalności jest ogromna ciekawość oraz chęć — zabrzmi to dziwnie w ustach człowieka, który jest twórcą iluzji — wytrzebienia ogromnej ilości urojeń, którym poddaje się ludzki gatunek. Czuję się jak ktoś, kto został postawiony przed trybunałem i ma mówić prawdę, prawdę i tylko prawdę, jednakże udzielono mu tej łaski, że może ją głosić tak, jak potrafi i jak jest do tego zdolny — a więc również obrazem, przypowieścią i fantasmagorią, jeśli tylko mówiący ma poczucie, czysto intuicyjne zresztą, że się od tej prawdy nie odrywa, że jej nie zdradza, nie przemalowuje, nie fałszuje i nie przeinacza.

Oczywiście jest to działalność wewnętrznie sprzeczna, gdyż sam wielokrotnie podkreślałem, że wątpliwe wydaje mi się istnienie prawdy wiecznej. Wiem naturalnie, że ogromna większość tego, co napisałem i napiszę, ulegnie anachronizacji i punkty ciężkości przeniosą się w przyszłym odbiorze. Ale też liczę na to, że nie wszystko zostanie unieważnione lub uznane za ogromne nieporozumienie, ponieważ uważam, że nie wszystko, co wiemy, jest chwilowe i przemijające. Gdyby bowiem tak było, to nic w sposób trwały nie pozostałoby własnością ludzi.

W cywilizacyjnej jamie

— Narzekał pan w trakcie naszych rozmów, że nikt nie interesuje się przyszłym losem ludzkości, że żywotne są tendencje eskapistyczne, będące w istocie ucieczką od zawikłanych problemów współczesnego świata, że nikt nie chce wiedzieć, co nas może czekać w przyszłości, że jako gatunek przymykamy trwożliwie oczy przed wizją dramatów, które szykuje nam przyszły świat. Trudno mi więc nie zapytać, jaką przepowiednię ma pan w zanadrzu dla Europy i świata?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem, co będzie się działo ze światem i Europą. Wielokrotnie zastrzegałem się, że nie wierzę w możliwość wiarygodnego ferowania takich orzeczeń. W swoich poglądach na ten temat stoję niedaleko Karla Poppera — jestem antyhistorycystą. Nie wierzę, że istnieją jakieś prawa rozwojowe, podobnie jak nie wierzę, że istnieją pozatechnologiczne, długodystansowe, kompleksowe i niekompleksowe trendy. Orzekanie takie przypomina mi przewidywanie przebiegu skomplikowanych partii szachowych. Z tym że to są takie szachy, w których partner może w każdej chwili — zamiast wykonać kolejny ruch — wyciągnąć z kieszeni nóż, pałkę lub rozbić szachownicę na głowie partnera, bo wyda mu się to z jakichś powodów korzystne. Przyzna pan, że jeśli

poszerzyć reguły szachów o takie zachowania, to o żadnym przewidywaniu przebiegu gier mówić nie można.

— *Proszę więc nakreślić ogólnie pańskie aktualne rozpoznanie globalne, a później zastanowimy się, co z tego wynika i do czego prowadzi.*

— Widzę rosnącą destabilizację w skali światowej. Wyczerpujące się zasoby Ziemi w obrębie istniejących i działających technologii są wykorzystywane przede wszystkim dla potrzeb prowadzonych w ogromnym tempie zbrojeń. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że ta cywilizacja nie zdoła wyosobnić środków inwestycyjnych, ludzkich i umysłowych potrzebnych dla wejścia na następny stopień technologicznego rozwoju (poza militarnym), który mógłby zapobiec wysychaniu tradycyjnych zasobów energetycznych i materiałowych. Jest to bardzo poważne niebezpieczeństwo, nawet gdyby nie miało dojść do wojny w skali światowej.

Przeżywamy zjawisko globalnej destabilizacji, a potęguje ją ciasnogłowy egoizm poszczególnych państw Europy Zachodniej, które bronią zaciekle swojej archaicznej już suwerenności, nawet na planie militarnym. Instynkt samozachowawczy tych państw jest całkowicie zdominowany przez pragnienie utrzymywania własnego przemysłu zbrojeniowego. Każdy z tych krajów posiada jakieś pięćdziesiąt rodzajów czołgów, armat i samolotów, w związku z czym nie pasują do siebie ani części, ani amunicja… nic nie pasuje, bo każdy chce mieć własny arsenał zbrojeniowy. Jest to wycinek szerszego zjawiska, który pokazuje, że wszystkie kazania o Parlamencie Europejskim i Wspólnocie Europejskiej są iluzją, bo wszystko trzyma się w kupie tylko przez świadomość posiadania przeciwnika. Na całym Zachodzie można dostrzec gołym okiem tendencje schyłkowe. *Untergang des Abendlandes*!

— *Sfera działań politycznych rzeczywiście opiera się na zasadach, które nie podlegają racjonalnemu*

przewidywaniu, lecz kwestie związane ze zbrojeniem, z militarnymi potencjałami i strategiami wojskowymi to już domena technologii, gdzie to już jest możliwe. Jak więc na tym terenie wygląda sytuacja i w jakim kierunku będzie postępował rozwój?

— Rodzaj zagrożenia atomowego będzie się zmieniał w przyszłości, gdyż zmienia się nieustannie. Politycy wciąż jeszcze usiłują używać kategorii broni konwencjonalnych i niekonwencjonalnych, ale coraz wyraźniej widać, że podział ten jest iluzoryczny, bo jeśli można zaprogramować rakietę tak, aby poszukiwała celu „na własną rękę", to nie mamy już do czynienia z bronią konwencjonalną, lecz z bronią „inteligentną". Wkrótce więc okaże się, że bronie atomowe są — co już wiemy — straszliwe, ale praktycznie nieużytkowalne, gdyż paskudnie zakorkowały techniczną myśl militarną. Nie można planować żadnej wyrafinowanej wojny, gdyż zaraz przemieni się w totalną rzeź. Już w tej chwili tworzona jest kolejna faza rozwoju militarnych arsenałów. Jestem przekonany, że za czterdzieści lat Zachód będzie usiłował zastąpić żołnierzy — którzy są bezcenni, a poza tym po prostu się boją — urządzeniami automatycznymi. Po co kogokolwiek narażać i jeździć na front, skoro można tam posłać roztropne maszyny?

— Czy orientuje się pan, jaki jest kierunek prac nad technologiami zagłady?Miałem okazję rozmawiać kiedyś prywatnie ze specjalistą z wielkiego francuskiego laboratorium wojskowego. Niczego z niego nie dało się wyciągnąć. Ale jedno zdanie mi wystarczyło: — „Pracujemy nad rzeczami tak przerażającymi, że nikomu się to nawet nie śni".

— Wszyscy pracują nad broniami biologicznymi — do czego oczywiście nikt się nie przyznaje — oraz nowymi generacjami, wciąż jeszcze nie wypróbowanych, broni chemicznych. Poza tym badania militarne koncentrują się jeszcze nad broniami psychochemicznymi (takimi jak

w moim *Kongresie futurologicznym*) oraz kosmicznymi (sieć łączności, nadzoru, szpiegostwa). To wszystko pojawia się już na szkicownikach komputerów. Mój Golem przeskoczył epoki, mówiąc, że w przyszłości walczyć ze sobą będą sztuczne środowiska cywilizacyjne. Właśnie wokół tej kwestii, jak wokół ukrytej sprężynki, osnuta jest cała *Wizja lokalna*, gdyż moje „apokalipsy" są schowane, a nie pokazane jak dziecięce obrazki.

Nikt nie ma ochoty rozpętać wojny, po której nie będzie ani zwycięzców, ani pokonanych. Trudno, aby sztaby życzyły sobie takiej właśnie wojny, a zatem podejmują usilne próby „obejścia" tej pułapki. Następne stulecie — jak napisałem we wstępie do trzeciego wydania *Summy technologiae* — będzie bez wątpienia stuleciem biotechnologii, co prawdopodobnie będzie miało wszelkie konsekwencje militarne w postaci pojawienia się środków kryptowojennych wywodliwych z biotechnologii. Znaczną też rolę odegra zapewne wspomniana już dekonwencjonalizacja środków bojowych oraz wzrost roli ślepego trafu.

— Nie rozumiem, przecież technologiczna „obudowa" wojny współczesnej (przez automatyczne, półautomatyczne, skomputeryzowane i Bóg wie jakie jeszcze układy sterujące i korygujące) ma na celu wyeliminowanie właśnie przypadkowości, a zatem nadanie zagładzie maksymalnej precyzji?

— Jeżeli ma pan do czynienia z bronią, która na odległość sześćdziesięciu kilometrów sama odnajdzie cel i z centymetrową dokładnością weń trafi, a jest to tylko jeden z wielu elementów współczesnego arsenału środków, które nigdy dotąd nie były wypróbowane inaczej niż na poligonach, a więc w warunkach sztucznych, to jeżeli dojdzie do zmasowanego ich użycia, prawdopodobnie o powodzeniu lub klęsce danej operacji będą decydowały ułamki sekund. Każdą z tych broni można istotnie wypróbować, ale nie można stworzyć takiego *theatrum*

symulacyjnego, w którym te bronie mogłyby być wszystkie naraz zastosowane. A gdyby nawet były takie warunki — mówię to intuicyjnie — rychło by się okazało, że nieobliczalne, umykające poza ułamki nanosekund różnice nastawienia, koherencji czy naciśnięcia guzika zadecydują ostatecznie o śmierci lub życiu. Czyli wyrzucona za okno losowość powróci drzwiami.

Im bardziej precyzyjne, rozumne i logiczne bronie, tym trudniej o wyrugowanie elementu przypadkowości. Brzmi to może paradoksalnie, ale wydaje mi się, że właśnie tak będzie. Do tej pory bowiem mieliśmy wojny lokalne, w których arsenały reprezentowane były zaledwie szczątkowo (trochę broni pancernej i powietrznej), gdyż nie wytoczono ogromnego zaplecza elektronicznego ani tej palety środków, które wciąż spoczywają w arsenałach.

Moim zdaniem sztaby są kompletnie nieprzygotowane do toczenia takich wojen. Podczas wojny na Falklandach Argentyńczycy użyli przeciwko brytyjskiemu niszczycielowi „Sheffield” francuskiej rakiety Exoced. I rzecz zabawna: byli zdziwieni, że im się udało zatopić ten okręt. A przecież ta rakieta nie była narysowana na papierze, lecz stała na wyrzutni. Dlaczego dla Argentyńczyków dziwne było to, co dla mnie było oczywiste?

— Wspomniał pan, że nadciągająca epoka będzie erą biotechnologii. Najwięcej słyszy się o badaniach nad dziedzicznością. W jakim miejscu znajdują się te badania? Jakich błogosławionych bądź morderczych efektów możemy się po nich spodziewać w obrębie najbliższej generacji?

— Najbliższą generację rozumiem jako okres trzydziestu, czterdziestu lat. A więc w ramach wielkiego rozwoju biotechnologii spodziewam się przede wszystkim powstania inżynierii genowej. Już jest nawet takie hasło: „Sztuczne życie dla przemysłu”. Rozwinie się też zapewne ektogeneza, czyli pojawianie się dzieci, które powstają w próbówce. Ale to tylko wtedy, gdy zajdzie taka potrzeba. Badania nad dziedzicznością będą się więc bez wątpienia w ciągu

najbliższych dziesiątków lat koncentrowały na dwóch obszarach: na wywodzeniu z tych badań nowego typu zabójczych broni (a będą to bronie kryptomilitarnej, powolnej, masowej zagłady) oraz na przemysłowych zastosowaniach sterowania dziedzicznością. Już w tej chwili jest tego bardzo dużo. A więc bakterie jako nowe narzędzia w kopalnictwie, w zagęszczaniu pewnych pierwiastków i ciał, znajdujących się w silnym rozcieńczeniu czy rozproszeniu w roztworach (na przykład w morzu lub niskoprocentowych rudach); bakterie jako odpowiednio wysterowane urządzenia syntezy leków, środków chemicznych i paliw; bakterie i pierwotniaki w maksymalizowaniu efektów fotosyntezy dla pochłaniania energii słonecznej, w rozwoju pewnych monokultur w przemyśle żywnościowym. Tę listę można bardzo długo ciągnąć. Wszystkie te badania będą się rozwijały w ciągu najbliższej generacji. Już w tej chwili powstała wielka korporacja amerykańska pod nazwą GenTech, która niczym innym się nie zajmuje, tylko technologiami genetycznymi.

Oczywiście podobnie jak w przypadku cybernetyki, która urodziła rozmaite poddziedziny, tak i tutaj będzie się to zapewne mnożyło. Z tym jednak, że korzyści, jakie będzie mogła mieć z tego medycyna, są wciąż jeszcze niejasne i niewiadome.

— *A co z protestami społeczeństw i uczonych?*

— Te przerażone okrzyki rozmaitych uczonych, że nie należy dalej prowadzić badań nad dziedzicznością, bo w ten sposób możemy dużo zła narobić, nie dadzą żadnego rezultatu i wszystko skończy się tylko na okrzykach.

— *Więc co w takim razie z niebezpieczeństwami?*

— Niebezpieczeństwa są. Przede wszystkim można będzie utworzyć nowe bronie, które mogą okazać się znacznie bardziej niebezpieczne od atomowych. Broń jądrowa ma bowiem to do siebie, że choć jest okropna, nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, czy została zastosowana, czy nie. To dość dobrze widać! Natomiast

rozpraszanie nad terenem wroga patogenetycznych substancji, uszkadzających trwale dziedziczność, może być przeprowadzane w sposób zupełnie tajny. W *Wizji lokalnej* jest właśnie duży fragment poświęcony temu tematowi, który zobrazowany został z perspektywy trzystu lat po takim konflikcie. Występują tam dwa państwa, z których jedno zabiło drugie w całości. To będzie możliwe i realne.

— *Czy ta „równowaga strachu" nie jest w stanie powstrzymać zbrojących się stron? Czy jest szansa na zahamowanie rozwoju tych technologii?*

— Leży przed panem najnowszy numer „Spiegla", w którym jest spory artykuł *Aufrüstung im All* poświęcony zbrojeniom w kosmosie. Niedawno czytałem też duży tekst o słynnym „mieczu Damoklesa", który w postaci nuklearnego parasola wisi nad naszymi głowami. W moim przekonaniu nie ma żadnej sytuacji natury technicznej, która ma charakter ostateczny. Nie ma dziedziny tak rozbudowanej, zwłaszcza w obrębie broni masowego zniszczenia, która byłaby ostatnim piętrem osiągnięć. Ale też opoka, na której wznosi się to, co nazywamy „równowagą strachu" i zdolnością do zadania ciosu odwetowego, może zostać podważona w swoim fundamencie przez dalszy bieg procesu rozwojowego.

Wiele spraw instrumentalnych, które będą miały olbrzymie, a może nawet decydujące znaczenie dla przyszłego oblicza cywilizacji, nie dlatego się rozwija, że wiadomo, iż opokę naruszą, ale z prostej niewiedzy. Mówiąc inaczej, odkrycia, które wywracają do góry nogami połowę naszej wiedzy, pojawiają się w sposób jak najbardziej zaskakujący. Nie można przecież uwzględnić tego, co nie odkryte, ani nie można przewidzieć tego, co nieprzewidywalne. W obrębie tak doskonałej ignorancji można tylko w oparciu o znajomość historii ludzkości i historii nauki podkreślać ten zaskakujący wszystkich, łącznie z fachowcami, charakter nowych przyrostów wiedzy.

Można też, i jest to moja robota pisarska, stwarzać modele pokazujące, w jaki sposób mogłoby dojść do takich przemian. Proszę jednak pamiętać, że modele te nie roszczą sobie pretensji do statusu prognozy, która pokazuje, że działając w taki, a nie inny sposób, w takiej, a nie innej dyscyplinie naukowej, doprowadzimy do konkretnych wyników, które przemienią oblicze cywilizacji, unieważnią istniejące arsenały i zmuszą polityków do określonych działań. Nie są to więc prognozy *sensu stricto*, lecz modele myślowe, które pokazują, jak fałszywe może być myślenie pozornie tylko docierające do granic naszej wiedzy. Fałszywe jest bowiem przekonanie, iż nic prócz liniowego, ekstrapolacyjnego wzmacniania potencjałów niszczących nie jest możliwe.

Jedną z dziedzin, na której mi najbardziej zależało jako na modelu, jest sfera działań kryptowojennych, a zatem działania na szkodę przeciwnika w sposób dla niego niewykrywalny. A tych modeli może być znacznie więcej. W ostatnich latach ta sprawa szczególnie mnie frapowała.

— Rozumiem, ale czy mógłby pan zilustrować to w porządku bardziej praktycznym?

— Jest takie pismo „Bulletin of the Atomic Scientist”, które zaczęło wychodzić po wybuchu bomby atomowej. Na okładce jest wyrysowana tarcza zegara, która po pierwszych wybuchach pokazywała „za dziesięć dwunasta”. Po pierwszym wybuchu bomby wodorowej na Bikini wskazówki przesunęły się na „za pięć dwunasta”. Kiedy oba bloki militarne posiadały rakiety balistyczne zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych, zmieniono na „za trzy dwunasta” i tak już pozostało na okładce do dziś. Wydaje mi się jednak, że jest to stan przejściowy, bo nie jest zasadnym hasło: *one World or none.* Bo znaczy to, że albo będzie jeden świat pokojowy, albo żaden. Jest jeszcze więcej możliwości. Niekoniecznie wszystko musi się zasadzać na liniowym wzroście potencjałów, gdyż skoki wiedzy mogą doprowadzić

do zmiany strategicznej i globalnej równowagi. Mówiąc brutalnie i prosto: sytuacja światowa nie daje się żadnym prymitywnym sposobem zamrozić, ponieważ przyrosty nauki są nie do zahamowania. „Zakrywacze” odkryć zajmują się całkiem daremną robotą. Nic nie będzie z prób samoograniczania się nauki, które są podejmowane w dziedzinie bioinżynierii genetycznej. Żadne zarzekania się i konwencje nic nie pomogą. To musi iść dalej!

— *Aż do wejścia w sytuację bez wyjścia? Jakoś nie umiem sobie wyobrazić takiego skoku nauki, który uczyni nieprzydatnymi te zwały zabójczych technik.*

— Stąd się wzięła moja koncepcja pułapki technologicznej, w którą ludzkość może się sama wpakować. Może się okazać, że znaleźliśmy się w sytuacji, gdy żadne działania polityczne nie pomogą, jeśli nie zostanie zniesiona reguła dwóch antagonistycznych — mniej więcej równych sobie potęgą — militarną bloków.

— *Czyli wpakowaliśmy się już w tę pułapkę?*

— To znaczy czy dostatecznie głęboko już w niej siedzimy? Na to pytanie nie ma pewnej odpowiedzi bez względu na to, jak byłaby ona fascynująca. Jest to jeden z najważniejszych problemów, które mnie od lat pasjonują. Ale nie umiem odpowiedzieć.

Powiem natomiast, że odnoszę wrażenie, iż wraz z tymi straszliwymi przyrostami technologicznymi znajdujemy się na bardzo niskim, „podgolemowym” poziomie rozwoju. To, co jest jeszcze instrumentalnie możliwe, przekracza nasze — również moje — najśmielsze wyobrażenia.

Nie zapominajmy też, że w świecie tak antagonistycznym jak nasz wszelkie zachwiania istniejącej „równowagi strachu” powodują niezmiernie groźne sytuacje. I nie jest też wcale powiedziane, iż wszelkie istniejące dotąd i tradycyjnie używane strategie natury politycznej, nawet przy względnie dobrej woli obu stron, nie doprowadzą do anihilacji globalnej. One mogą stać się zupełnie nieskuteczne, gdyż świat ludzki wejdzie w tak głęboką

pułapkę technologiczną, że żadne już działania polityczne nie będą miały sensu, bo będą całkowicie sparaliżowane.

— *Może to dziecinny wniosek, ale w takiej sytuacji trzeba wybić klin klinem.*

— Jest pan niedaleko koncepcji osławionego i bardzo popularnego futurologa Hermana Kahna, który w sposób naiwnie brutalny usiłował rozstrzygnąć tę sprawę raz na zawsze i wymyślił tzw. *Doomsday Machine*, czyli „maszynę Sądu Ostatecznego". Pomysł polegał na tym, że jedno z supermocarstw zbuduje na swoim terenie hipergigantyczny aparat nuklearny i oświadczy na zasadzie szantażu: albo będziecie się wszyscy zachowywać porządnie, albo uruchomię urządzenie i cała ludzkość zostanie zniszczona.

To jest dla mnie eschatologiczna odmiana zabawy w *chicken*, którą wymyślili Amerykanie: naprzeciw siebie, w największym pędzie jadą dwa samochody i kierowca, który bardziej się boi, w ostatnim momencie „odbija" kierownicę, by uniknąć czołowego zderzenia. Potem, w następnych swoich eksperymentach myślowych, Kahn udoskonalił tę koncepcję, postulując, aby obie strony posiadały podobne urządzenia, ale o charakterze defensywnym. Wtedy nie potrzeba żadnego wyścigu zbrojeń i można zaoszczędzić kupę pieniędzy, bo każde mocarstwo ma urządzenie, które zaprogramowane jest tak, że jeśli jego posiadacz zostanie zaatakowany, natychmiast zniszczy życie na Ziemi.

Zdawałoby się, że to jest *prima facie* murowane zabezpieczenie przed agresorem. Tymczasem nieprawda, gdyż w swojej prymitywności koncepcja ta nie uwzględnia słynnej taktyki „salami". Nie trzeba rzucać rakiet ani bombardować, tylko nie dać zaatakowanemu możliwości rozpoznania, czy został zagrożony w swoich żywotnych interesach. Jeśli coś będzie się działo w Angoli, Australii, Polsce czy na Antarktydzie, to trudno, aby zagrożone

mocarstwo uznało, że to jest powód, dla którego należy uruchomić machinę.

A trzeba podkreślić, że taktyka ta odznacza się wielką rozmaitością, bo można odkrawać raz za razem bardzo cieniusieńkie „plasterki”. W ten sposób można działać skutecznie, aż po pewnym czasie zaatakowana strona stwierdzi, że to czego by nie odstąpiła jako grubej „pajdy”, oddała już w postaci wielkiej ilości drobnych „plasterków”. A więc tak prymitywne i kategoryczne — na zasadzie alternatywnego działania — urządzenie nie broni przed agresją. A dlaczego? Bo nie odpowiada rzeczywistej, bardziej skomplikowanej sytuacji świata. Te naiwne wyobrażenia są scenariuszami wymierzonymi w świat, którego nie ma.

— *W takim razie o żadnej formie obwarowanego nauką prognozowania nie ma mowy.*

— Predykcja naukowa polega na tym, że przepowiada się na przykład zaćmienie Słońca czy Księżyca. Takie rzeczy można określać z dużą precyzją. Jeśli chodzi o dane z historii Państwa Środka, czyli Chin, to najstarsze pochodzą sprzed dwu tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa, ponieważ któryś z kronikarzy napisał, że miało miejsce zaćmienie Pana Niebios. Jest bardzo łatwo zbadać, kiedy to było. To są jedynie pewne dane.

Nie, nie można niczego przewidzieć, a szczególnie odkrycia, bo jak słusznie zauważył Popper, „*przewidzieć odkrycie, to znaczy zrobić odkrycie*”. Jeśli jest pan w stanie przewidzieć treść książki, która ukaże się za czterdzieści lat, to pan ją już napisał i ukaże się ona jako plagiat pańskiej przepowiedni.

— *Ale bazą naszego rozwoju i jedyną „klapą bezpieczeństwa” jest programowanie rozwoju, sporządzanie scenariuszy hipotetycznych zdarzeń, przewidywanie skutków konkretnych decyzji. Cała hossa futurologiczna, którą niedawno przeżywaliśmy, jest pochodną takich potrzeb. Czy chce pan powiedzieć,*

że wszystko to kwalifikuje się na śmietnik podobnie jak koncepcja Kahna?

— Muszę powiedzieć, że mam bardzo złe mniemanie o futurologii. Wszystkie jej proroctwa to kupa śmiechu. Zbyt dużo tego kupowałem i czytałem, ażeby mieć jeszcze jakiekolwiek złudzenia. Futurologom najbardziej zależało na takim przewidywaniu, które było w najwyższej cenie lub gwarantowało estymę u polityków. A ponieważ przewidywanie zajść polityczno-militarnych, za które oni przede wszystkim się brali, jest absolutnie niemożliwe, więc nic mądrego z tego wyjść nie mogło. Natomiast to, co ma rzeczywiste, choć upośrednione oddziaływanie, to znaczy technologiczne skutki badań podstawowych w nauce, nie interesowało ich zupełnie. Po pierwsze, problem ten w ogóle nie wydał się im istotny, a po drugie, nie mogli się z nim wybrać do szerokiej publiczności.

Mam książkę bardzo dobrego fachowca angielskiego, prezentującą prognozy w zakresie technologicznym. Są w niej tablice statystyczne, wykresy, korelacje, procenty. Wszystko w niej jest jak należy, ale nie cieszyła się ona popularnością ani nie stała się bestsellerem. Jeśli nie przepowiada się wyników wyborów w Stanach Zjednoczonych, nie określa, gdzie Związek Radziecki zainstaluje rakiety, ani nie mówi, co zrobi w najbliższym czasie partia chadecka, lecz opowiada, co będzie się działo z badaniami podstawowymi w określonej dziedzinie nauki, to nie należy się spodziewać wielkich dotacji i subwencji, powołania do „Komisji 2000” czy masowych przekładów. Futurologia „jechała” na sensacjach. Dziś są to rzeczy nadające się do czytania tylko wieczorem przy kawce z pianką…

— *Więc sugeruje pan, że futurologia jako nauka nigdy nie istniała i nie istnieje?*

— Futurologii jako nauki nie ma. To zawracanie głowy. Dało się na to nabrać dość dużo ludzi, również światłych. Nieprzyzwoicie jest znęcać się nad trupami bądź kopać

tych, którzy leżą, więc powiem oględnie. Futurologia znajduje się w fazie całkowitego wygaśnięcia. To, co z niej pozostało czyli symulowanie gier strategicznych dotyczących przyszłej wojny światowej, stanowi utajnione i żałosne szczątki. Natomiast futurologii globalnej, jako opracowań takiego typu, jakie jeszcze parę lat temu fascynowały publiczność, już nie ma.

Książki, które jeszcze niedawno spływały lawinowo do księgarń i rozpychały się na półkach, zniknęły z nich zupełnie, bo zawarte w nich przepowiednie zamiast być samorealizującymi się, okazały się samoośmieszające. Nic z tych prognoz nie wyszło!

Parę lat temu Kahn napisał, że pułap ceny baryłki ropy naftowej wynosi dwanaście dolarów. Więcej być nie może! To jest prognoza ścisła i, jak to się mówi uczenie, skwantyfikowana. Co z tego, skoro dziś ta baryłka kosztuje trzy razy więcej? Bardzo przepraszam, ale ludzie tego nie zapominają, zwłaszcza ci, którzy na takich prognozach opierali swoje inwestycje.

Dla nich Herman Kahn jako wyrocznia przestał się liczyć. Błędem futurologów było to, że nie posiadali żadnej koncepcji, lecz postępowali eklektycznie, poczynając od tworzenia kalendarzy i katalogów przyszłych osiągnięć, a kiedy się nie sprawdzały, przeszli na mnożenie scenariuszy. To jest metoda z gry w ruletkę, gdy obstawia się maksymalną ilość pól. Niestety to nie ruletka, bo za przewidywaniami stoją inwestycje, przemysł i rozwój, których nie można cofnąć. Sama wielość tych scenariuszy odwierzytelniała wszystkie te poczynania.

— Z tego wynika, że futurologia była quasi-naukową modą?

— Bo to była zarówno moda, jak i biznes, co stało się szczególnie widoczne po połączeniu jednostkowych inicjatyw w ramy organizacyjne. Sondaż przyszłości stał się interesem, dając książki, konferencje, fachowe pisma, międzynarodowe zjazdy. Lecz co się okazało? Ta góra

urodziła mysz. Jak napisałem kiedyś, to dziecko okazało się impotentem, mimo iż bardzo gwałtownie rosło. Dziś widać to czarno na białym, gdyż potomstwa nie ma i nie będzie.

Powiadano, że matką tej dyscypliny była potrzeba, a ojcem duch czasu. Ani ojciec jednakże, ani matka nie są gwarantami osiągnięć dzieci. Mówi się też, że kolektywność nauki jest rękojmią jej pewności poznawczej. Lecz płodność danej dyscypliny nie jest funkcją liczby fachowców. Jeśli brak niezbitych aksjomatów wyjściowych i metodyki sprawdzeń, błąd może zarażać największe zespoły badaczy. Nie ma nic bardziej denerwującego nad lekturę samoośmieszających się prognoz sprzed kilku czy kilkunastu lat, które były wycelowane w rok dwutysięczny, a trafiły w próżnię.

— *Nie od rzeczy byłoby jednak powiedzieć, że należał pan do tego klanu. Na czym polegał błąd?*

— To było moje wielkie rozczarowanie, ponieważ *a priori* nie wierzyłem w możliwość takiego przewidywania, ale skoro tak wielu mądrych ludzi się za to brało… Jestem dość łatwowierny, ale tylko do pewnego momentu, kiedy łatwowierność ustępuje agresywnemu sceptycyzmowi. Agresywnemu w tym sensie, że jeśli ktoś się na moich oczach trzy razy skompromitował, to nie chcę go już czytać.

— *Ale przecież całej futurologii nie można odsądzać od naukowości. Ostatecznie prace Klubu Rzymskiego, opublikowane w ich słynnym „Raporcie”, bazowały na bezstronnych analizach komputerowych i wydają się, nawet dziś, dość sensowne.*

— Rzeczywiście, sporo tam było prawdy, ale też i sporo przesady. Jednego byłem pewien: pies z kulawą nogą w sferach decydenckich do nich nie zajrzy! Wiele nieodtwarzalnych dóbr rujnowało się w ramach przyspieszającego się wyścigu zbrojeń, o czym pisali autorzy *Raportu*. I co?

— *Oczywiście nic* (*śmiech*).

— Pierwszy *Raport* był zanadto alarmistyczny, gdyż traktował świat na tej zasadzie, że jeśli sąsiad siedem razy na tydzień zdradza swoją żonę, to statystycznie sprawę ujmując, każdy czyni to co drugi dzień. Wiele analiz było podanych w ten sposób.

Były tam też analizy lepiej skwantyfikowane oraz próby modeli komputerowych. Jest jednak stanowczo za mało możliwości modelowych, programowych oraz samej sprawności komputerowej, aby wykonać adekwatne modele. Poza tym istnieje za dużo czynników nieprzewidywalnych, niepodległych przepowiedniom w zakresie decyzji. To jest tak, jakby pan chciał rozeznać tajniki toczących się jednocześnie stu partii szachów, których skutki będą miały jeszcze dalsze skutki. Nie jest to możliwe. Można obliczyć zachowanie się wielkiego kapitału, jeżeli będą określone konfiguracje polityczne, ale przecież sfera politologii i polityki to obszar, na którym futurologia „połamała się" najdotkliwiej. Tam wiele zależy po prostu od decyzji i od ruchów tego rodzaju jak na przykład w sześćdziesiątym ósmym roku.

Raport Rzymski był więc w zasadzie słuszny, ale ta słuszność wymierzona była w dwudziesty pierwszy wiek. Autorzy rzeczywiście mówili, że nastąpią załamania, ale trochę sami się zdziwili, kiedy one nastąpiły. Takie przepowiadanie nic nie daje. Los Kasandry jest dobrze znany.

Całą sprawę w miarę dokładnie omówiłem w przedmowie do trzeciego wydania *Summa technologiae*, dokąd odesłać należy żądnych dalszych uszczegółowień.

— Z tego, co pan mówił o kierunkach biotechnologicznej eksploracji, wynika, że we wszystkich technologicznych gałęziach poznania panuje pełna merkantylizacja, gdyż uczony ciągnięty jest za jeden rękaw przez przemysł nastawiony na konsumpcję, a za drugi przez przemysł zbrojeniowy. Wynika z tego, że autonomia nauki światowej

została już zgwałcona i nie jest możliwe uprawianie nauki „czystej”.

— Związki, w jakie weszła nauka z wielkimi korporacjami i monopolami w swoich najbardziej przodujących oddziałach, gdzie rokuje to największe zyski technologiczne, zacieśniają się coraz bardziej. Daje to bardzo wątpliwe rokowania co do dalszego utrzymania niezawisłości nauki. Zwłaszcza dlatego, że uczony musi mieć poczucie, że nawet jeśli nie jest w stanie wszystkiego przebadać, to jednak jest to możliwe. Tymczasem nie można penetrować wszystkich nasuwających się tematów, bo na to nikogo nie stać, więc decydują priorytety ekonomiczne albo militarne, które narzucają niezwykle mocny patronat nauce w danej dziedzinie badań „czystych” i podstawowych.

— *A co z moralnością uczonego?*

— Kanon moralny się zmienia, więc nie można powiedzieć, że panuje totalna demoralizacja. Nikt nie mówi: „*dostaniesz cztery ordery*”, ale „*jeśli przyjdziesz do nas, będziesz miał olbrzymie możliwości, ale nikt cię nie zmusza; nie musisz*”. To jest przecież bardzo kuszące.

Poza tym jest jeszcze inna rzecz. We wczesnych fazach badań typu podstawowego, to znaczy takich, które jeszcze żadnych zysków przemysłowych wielkiemu kapitałowi nie rokują, nie można się dobrze zorientować. Żaden specjalista z prawdziwego zdarzenia nie może z góry powiedzieć, że w danym kierunku iść nie warto i że nie ma co inwestować, lub odwrotnie, bo nie wiadomo jeszcze, jak się sprawy potoczą, kiedy wiedza będzie wystarczająco duża, by móc to orzekać. A równocześnie są liczni badacze motywowani „czystym” głodem poznania, którzy przyjmują narzucone warunki gry, biorąc pieniądze za orzeczenie, że dana rzecz się opłaca. Oni często działają w sytuacji przymusowej, która ich etycznie usprawiedliwia, a czasem sami nie zdają sobie sprawy z tego, że orzekają podług zasady *wishful thinking*. Zwykle są istotnie przekonani,

że poznawczo opłaci się to, co kalkuluje się również finansowym mocodawcom. W pocztkowej fazie badań tego rodzaju czynniki bardzo poważnie warunkują bieg wydarzeń.

Jeśli ktoś chce się zadowolić małym, to może oczywiście uprawiać w garażu takie badania podstawowe, jakich dusza zapragnie, ale pensja będzie mała i nie będzie „uzbrojenia" technicznego. Dzisiaj natomiast w nauce wszystko ogromnie kosztuje. Obecne urządzenia badawcze oscylują pomiędzy dawnym laboratorium a wielkim obiektem przemysłowym. W fizyce niczego się już nie zrobi bez urządzeń kosztujących miliardy dolarów. A na to stać wyłącznie Związek Radziecki, Stany Zjednoczone i CERN w Genewie, bo to inicjatywa zbiorowa. Żadne z państw europejskich nie jest w stanie sprawić sobie kolosalnego przyspieszacza cząstek. Można więc zajmować się nauką „czystą", ale z mikroskopem w garści jak Erich Koch czy Ludwik Pasteur nikt już dzisiaj niczego nie zmajstruje.

— *Jeśli to wszystko opiera się na wielkich pieniądzach, to jak wygląda obecnie wkład nauki polskiej w światową?*

— Okropność! Osiem miesięcy temu pisałem na zamówienie Polskiej Akademii Nauk opracowanie w dziedzinie nauk biologicznych. Napisałem, że stan jest zerowy! W żadnej gałęzi niczego nie dokonamy, nawet w matematyce, bez komputerów. Niczego! Może co najwyżej w filozofii. Bez technicznego rynsztunku nic nie można zrobić.

Astronomowie na przykład posyłają materiały do obliczeń po znajomości. Po pierwsze, czas komputerowy na dużych maszynach bardzo dużo kosztuje, po drugie, zakłady potrzebują tych maszyn dla siebie, a po trzecie, taki delikwent czeka trzy miesiące, aż obliczenia powrócą. Napisałem, że to jest zmierzch nauki polskiej. Na długi, bardzo długi okres. Wiedza nie podnosi się tak łatwo.

— *Cywilizacja ludzka jest systemem naczyń połączonych. Ogromne przyrosty wiedzy ostatnich kilkudziesięciu lat,*

technologia wdzierająca się drzwiami i oknami do naszego życia, zmieniające się formy szeroko rozumianej konsumpcji i wiele innych zjawisk bez wątpienia silnie odciskają się na naszej moralności, obyczajowości, wierzeniach, postawach czy, ogólnie mówiąc, świadomości. Jest pan jednym z apostołów nauki i technologii, więc właśnie pana należy zapytać, czy rozwój technologiczny wyprzedził obyczajowy? Jakie są skutki tego zjawiska?

— Naturalnie, takie wyprzedzenie istotnie zachodzi. A skutki tego są koszmarne, bo wszystkie terroryzmy i podobne ruchy rozwijają się w prostej proporcji, szczególnie tam, gdzie obficie owocujące technologie są ogólnie dostępne, gdzie daleko posunięta jest permisyjność oraz funkcjonują szacowne zasady *neminem captivabimus nisi iure victum*. To jest cena, jaką społeczeństwa płacą za swoją swobodę i liberalizm. Obyczajowość ludzka jest jak heretyk rozrywany na sztuki przez zaprzęgi potężnych perszeronów.

Czytam niekiedy drobne ogłoszenia w prasie zachodniej. Często spotkać można takie, które gloryfikują pewne formy onanizmu. Istnieją również maszyny, najczęściej w postaci gumowych lal męskich i damskich, które bardzo dobrze onanizują. Mają one wmontowane w brzuchu małe magnetofoniki i zachęcają swoich właścicieli czułymi słowy, aby robili z nimi „różne rzeczy”. Są dostępne pornoteki i pornokasety… Dawniej miał pan miłość, romantykę i sprzężoną z nimi erotykę, a dziś wchodzi pan do sklepu, gdzie leżą na półkach sztuczne genitalia, jakieś pompki, maszyny, dźwignie i pokrętła, które można sobie kupić, a następnie wsadzać gdzie się komu podoba, aby była z tego przyjemność. Być może jest to jakaś wartość, ale z punktu widzenia tradycji medyteralnej niesłychanie spodlona.

Kiedyś w Berlinie Zachodnim złapał mnie na ulicy deszcz, więc schroniłem się do najbliższego sklepu, który okazał się porno-shopem. Nie mogąc już oglądać tych

porozstawianych gołych zadków, usiadłem w kinie, gdzie odbywały się kopulacyjne maratony, którym dosztukowano jakieś fabułki. Trudno było się powstrzymać od śmiechu. To była humorystyka, a nie stężenie erotyki. W pewnych momentach przypominały mi się zajęcia z ginekologii na medycynie. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że śmiech to niewystarczający środek samoobrony, bo mamy przed sobą ogromny przemysł.

— Jakie, pana zdaniem, będą skutki odrywania się seksu od rozrodu?

— To może nie jest aż tak straszne. Znacznie gorsze jest to, że seks traktowany jest dzisiaj w kategoriach usługowych i stanowi nieprawdopodobną taniochę. Dam panu taki przykład: mój syn posiada motocykl, podczas gdy ja nie posiadałem nawet roweru, kiedy więc po wielu latach go otrzymałem, była to dla mnie niezwykła frajda, większa zapewne niż mojego syna, gdy otrzymał motocykl. Nie chcę przez to powiedzieć, że należy budować cierniowe drogi prowadzące do zaspokojeń, ale tego aspektu łatwości nie można zapoznawać, bo jeśli seks jest tak powszechnie dostępny, staje się to kulturowo niebezpieczne.

Seks, a właściwie lepiej mówić erotyka, uległ nieprawdopodobnej deprecjacji. Mało kto zdaje sobie z tego sprawę, ale na Zachodzie przestało już praktycznie istnieć erotyczne malarstwo, bo zostało zniszczone przez pornografię. A przecież erotyka i pornografia to jak ogień i woda. To się wyklucza. Kiedy widzi pan w sklepie te ogromne, nadmuchiwane genitalia i inne okropne rzeczy, wówczas znika sfera łagodnej intymności, zakazów, domysłów i zawoalowań. Wszystko zostało rozszarpane przez komercjalną pornografię.

Odczułem to nawet na sobie, bo kiedy na Zachodzie rozważano możliwość filmowania moich książek, zaraz pojawiły się postulaty: tutaj nie ma panienek, więc może jakąś wprowadzić, rozebrać i „coś tego”. To jest zjawisko

wielozakresowe i obejmuje mnóstwo innych rzeczy, nieraz bardzo intymnych.

— Chyba tylko ponury fenomen śmierci opiera się tej komercjalizacji.

— Tak, dzisiejszy świat, o czym pisałem w *Prowokacji*, jest zupełnie bezbronny wobec tej kwestii. Chociaż są różne rodzaje „oswajania” śmierci — na poły humorystyczne i komercyjne zarazem, na przykład obłędne praktyki krematoryjne w Ameryce, szminkowanie trupów, rozpaczliwe wysiłki pięćdziesięcioletnich aktorek odgrywających dwudziestoletnie panienki.

Słynna ongiś gwiazda filmowa, Mae West, miała już osiemdziesiąt lat i robiła pod siebie, ale jeszcze zakuwano ją w pancerz szminek i zanurzano w cemencie pudru. Śmierć jest centralną sprawą w życiu człowieka i nie można jej oszukać. Co tu dużo gadać: współczesna cywilizacja jest wobec niej bezradna. Stąd ten potworny strach, odwracanie się do niej plecami, brak godności i groteskowe praktyki.

Ten przyzwalający na wszystko świat potrafi człowieka czasem zniesmaczyć do szczętu. Kiedy wybuchła wojna o Falklandy, „The Economist” obliczał, czy ta wojna się Anglii kalkuluje. Powiedziałem wtedy, że to jest tak, jakby w 1936 roku rząd radziecki powiedział, że życzy sobie odebrać nam Polesie, więc polski sztab postanowił usiąść i policzyć, czy te błota są godne walki. Kiedy byłem młodym człowiekiem, nikt nie myślał w tym porządku. „Nie oddamy piędzi ziemi”, „nie damy nawet guzika”, owszem, ale żeby to liczyć? Do dzisiaj rozumowanie takie wydaje mi się niegodziwe.

— To ciekawe, że „komputeryczny” Lem myśli w porządku tak emocjonalnym.

— Być może to są rzeczy, które wyssałem z mlekiem matki, więc nie układają się dobrze w porządku mego myślenia empirycznego. Być może powinienem zastanawiać się, czy to się kalkuluje, czy nie, ale wcale tak nie myślę. Nienaruszalność terytorium to jest rzecz, która nie może

być wymieniona na żadne kalkulacje ekonomiczne. Gdybyśmy myśleli w ten sposób, to w trzydziestym dziewiątym roku poddalibyśmy się bez walki i nie dostali — co z góry było wiadome — tak straszliwego łupnia. W każdym razie nie bylibyśmy tak zmasakrowani. Mimo to uważam, że należało czynić tak, jak się czyniło. Jakieś szczątki romantycznego, dyluwialnego stosunku do spraw ludzkich nie są mi obce, wręcz przeciwnie, są we mnie wciąż żywotne. Nie próbuję się na kształt programu komputerowego zmienić w systematykę kolorowych kwadracików, które się ładnie sumują we wszystkich kierunkach. Mówię tak, jak myślę i odczuwam.

To są odruchy głębsze zapewne niż moje myślenie racjonalne. Pamiętam dokładnie, że kiedy 6. Pułk Artylerii Ciężkiej wyjeżdżał w trzydziestym dziewiątym roku z Cytadeli i poddawał się Sowietom, stałem wraz z wszystkimi na ulicy i płakałem. Tu nie ma co teoretyzować! Kiedy mi ktoś najbliższy umrze, też nie będę filozofował, lecz cierpiał. Pod „komputeryczną” powierzchownością ukrywa się całkiem zwyczajny facet.

Wróćmy jednak do społeczeństw przyzwalających. To wydrążenie przez powszechną komercjalizację jest niemal totalne. Ale też poczucie trwałości epoki dobrobytu już zdaje się zmierzchać. Dla przybyszów z naszego nędznego Wschodu jest to zawsze widok humorystyczny: miód cieknie po brodach, wszystko się błyszczy i lśni, a oni jacyś zatroskani i zmartwieni. Jest w tym daleko posunięty brak perspektyw, a poza tym okropna hedonizacja. Kisielewski nazwał to kiedyś zanikiem „ducha wojownika”, co należy rozumieć dość szeroko. Nie pojmuję tego jako konieczności podejmowania bojów, ale jako bezinteresowność eksploracji, ofensywność w kulturze. Nie musi to znaczyć: „nie chcemy zarabiać”. Może raczej: „to nie jest najważniejsze”.

Ta ogromna fala komercjalizacji jest faktem niezaprzeczalnym. Obraz tej cywilizacji jest dla mnie nad

wyraz smutny. Ilekroć wyjeżdżałem wraz z żoną i dzieckiem do Austrii, szukałem zwykle małej miejscowości w Alpach, aby było kilkanaście domów, a wokół białe olbrzymy, a nie mury Wiednia czy Frankfurtu. Nigdy mnie nie podniecała myśl, że za pomocą concorde'a mogę się w kilka godzin znaleźć w Nowym Jorku, a zaraz potem na Miami Beach. W tym obszarze zbieżność moich poglądów z poglądami Miłosza jest znaczna.

— *Sam pan jednak podkreślał, że za permisyjność i przyjemne życie należy płacić jakąś cenę. Ale zysk jest niebagatelny: poszerzenie granic ludzkiej wolności, zwiększona możliwość kształtowania losów swojego kraju. Mam na myśli to wszystko, co składa się na pojęcie państwa demokratycznego.*

— Muszę panu powiedzieć, że ta demokracja, która na Zachodzie jest bardzo demokratyczna, wywołuje we mnie wielkie dyzgusta. Nie chodzi o to, że odpowiadają mi ustroje totalitarne, ale że ten kierunek rozwoju demokracji — bo nie jest to przecież coś, co zostało na wieki zamrożone — zupełnie mi nie odpowiada. Demokracja odznacza się tym, że każdy może publicznie wystąpić, jeśli ma po temu środki i pieniądze, i gadać różne rzeczy, na przykład, że pomiędzy mężczyzną a kobietą nie ma żadnej różnicy, że należy skasować wszystkie szkoły i tym podobne. Ostatnio w Republice Federalnej Niemiec zrównano w prawach lekarzy i znachorów. Wszystko w ramach tej demokracji. Potem wielka fotografia takiego faceta o głębokich oczach, w białym kitlu i z probówką w ręku przekonuje nas, żeby udać się nie do lekarza, lecz do znachora. To zrównanie mi nie smakuje, bo jestem zwolennikiem cywilizacji ekspertów. Wielka jest różnica pomiędzy cywilizacją ekspertów a cywilizacją demokratyczną, w której nad wszystkim się głosuje.

Przecież tam się głosuje nawet nad tym, czy należy wprowadzać energetykę atomową. Niedawno czytałem w „New Scientist" artykuł wykazujący, że ryzyko związane

z tak poczciwymi energetykami jak słoneczna jest znacznie większe niż w przypadku energii nuklearnej. Dlaczego? Jak to być może? Badacze, którzy racjonalnie podeszli do sprawy, powiadają, iż na ogół wyobrażamy sobie, że ryzyko z wprowadzeniem energii słonecznej ogranicza się do dachu, gdzie mamy zainstalowane komórki fotoelektryczne, które wytwarzają prąd, jeśli są naświetlane przez słońce. Czyli że najgorsze, co może się stać, to pęknięcie rurki lub zawalenie się dachu. Tymczasem ryzyko związane z wdrożeniem tej technologii obliczać należy od samego początku, a początek to wydobywanie metali, węgla, wytwarzanie ogromnej ilości różnych urządzeń. Kiedy się to wszystko doda, wówczas wychodzą nieciekwe rzeczy.

Jest sobie taka niewinna energetyka jak alkohol metylowy, który może być używany jako paliwo płynne. Ten typ energetyki wykazuje jedno z najwyższych zagrożeń dla życia ludzkiego. Jak to jest możliwe? Całkiem zwyczajnie: alkohol metylowy produkuje się z celulozy, celuloza to inaczej drzewa, drzewa należy ścinać, a przy wyrębie lasów jest wysoka wypadkowość, której uniknąć nie sposób. Jeśli więc tę wysoką wypadkowość dodać do szkodliwości używania alkoholu metylowego (nie myślę o piciu), to sumarycznie okaże się, że jest to energetyka bardziej niebezpieczna niż nuklearna.

Tego rodzaju większych całości na ogół nie ogarniamy. Jazda na motocyklu przynosi zagrożenie siedemdziesiąt pięć razy wyższe niż jazda samochodem; auto przynosi zagrożenie w skali jeden do piętnastu tysięcy wypadków śmiertelnych i skończonych ciężkim kalectwem rocznie, podczas gdy zagrożenia znane w energetyce są znacznie niższe. A przecież nikt się z tym nie liczy, wsiadając do samochodu, chyba że niedawno zabito mu na skrzyżowaniu żonę lub dziecko. W ten sposób się nie „rachuje”.

Ocena zagrożeń cywilizacyjnych, jakim ludzie podlegają, jest bardzo wybiórcza i wagowo niesprawiedliwa. Nad każdą elektrownią atomową wisi wizja grzyba atomowego, i w związku z tym zaczynają się kłopoty. Nie tak dawno jakiś amerykański myśliwiec wojskowy spadł w czasie lotu ćwiczebnego w odległości około dwunastu kilometrów od elektrowni atomowej w Republice Federalnej. Co za straszny krzyk się podniósł, gdy okazało się, że betonowy pancerz, chroniący stos przed uderzeniem zewnętrznym, wytrzymuje uderzenie samolotu spadającego z szybkością nie większą niż czterysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. A to był „Phantom" lecący z szybkością dziewięciuset kilometrów. Prawdopodobieństwo upadku takiego samolotu właśnie na stos jest niezmiernie małe, a ludziom rysuje się to jako niezwykła groza. Natomiast niebezpieczeństwa realne są lekceważone zupełnie.

Wiadomo, że w okresie trwania wojny w Wietnamie więcej Amerykanów zginęło na drogach w wypadkach samochodowych niż na froncie. Ale przecież nikt przeciwko ruchowi na drogach nie protestował. Po prostu ludzie tak rozumują. W takim właśnie „środowisku" zanurzona jest ta demokracja. Dla mnie nie jest to sprawa obojętna. W tej samej demokracji kandydatów na wielkich polityków oferuje się i „sprzedaje" społeczeństwu takimi samymi metodami jak zupę pomidorową w puszkach. To jest dokładnie ten sam mechanizm. Odbieram to jako postępujący upadek przeciętnego poziomu inteligencji polityków. Wyjątki oczywiście nie deprecjonują reguły. A poza tym w tej demokracji każdy głos liczy się tak samo: sprzątaczki, profesora uniwersytetu i wariata, który właśnie otrzymał papiery po wypisaniu ze szpitala. Nie jest to na pewno dobre, choć może to najmniejsze zło, jakie można sobie wyobrazić.

— Czy podkreślany coraz częściej współcześnie „głód metafizyki" jest efektem tej hedonizacji społeczeństw?

— Ja bym raczej powiedział, że obserwujemy bękarty metafizyki, jej wstrętny pomiot, a nie ją samą, więc byłoby to raczej przedłużenie tych procesów, a nie odcięcie się od nich. Napisałem kiedyś, że pseudooświecone masy Zachodu wstydzą się współcześnie wiary w Pana Boga, ale nie wstydzą się szukać fałszywych namiastek i używek. Łatwiej przyjmują do wiadomości istnienie latających talerzy niż aniołów i trójkąta bermudzkiego niż piekła. Takie tandety metafizyczne są obecnie bardzo poszukiwane. Jest to prawdopodobnie antidotum — mówię teraz intuicyjnie, bez żadnych dowodów — na rozpanoszony, apodyktyczny ton nauki, która przynosi ustalenia ostateczne. Przyjemnie przecież dowiedzieć się, że nauka czegoś nie wie, a uczeni stoją z wywalonymi gałami. Stąd na przykład częste pogłoski w kręgu UFO-manów, że rządy wielkich mocarstw posiadają mnóstwo dowodów na istnienie UFO, tylko nie chcą ich — nie wiadomo dlaczego — podać do publicznej wiadomości.

To są zwyrodniałe formy przyduszonej metafizyki, jakieś rakowe przerzuty, metastazy. Opatrzona naukowym *nihil obstat* wiedza przyrodoznawcza strasznie się dziś skomplikowała, natomiast wszystkie Dänikeny i Berlitze od trójkątów bermudzkich podają wersje łatwe i zrozumiałe. Jakis czas temu na topie był niejaki George Adamski, z pochodzenia Polak, który rzekomo jeździł na pokładach statków-talerzy i rozmawiał (oczywiście po angielsku) z zielonymi człowieczkami — takie rzeczy bardzo chętnie się przyjmuje. Podobnie zresztą jak to, że pelargonia cierpi, gdy ją kopiemy, że chrzan, rosnąc na grządce, ma coś za złe swojemu właścicielowi, że kiedy jedna pani umarła, to wszystkie jej tulipany uschły, i inne podobne banialuki. To są rzeczy proste. Tu nie trzeba wysilać umysłu.

To jest jakieś zadziwiające wskrzeszenie animizmu, tylko że nikt sobie z tego nie chce zdać sprawy. Dawniej religia dostarczała wyjaśnień prostych, dziś funkcję tę przejmują

pseudometafizyki. Jestem jasnowidzem! Czy to nie proste? Wezmę stare zdjęcie i powiem, że osoba z fotografii jest tam a tam i robi to czy tamto. To jest cudowne, ale nie w tym sensie, że to jest cud, ale że to jest cudownie upraszczające. Nie ma żadnych strasznych wzorów ani kłopotów z niezrozumiałymi słowami, których używają uczeni, lecz „z punktu” dowiadujemy się pewnych rzeczy. Nie tylko, że się dowiadujemy, ale wiadomości zostają doprowadzone do ich stanów ostatecznych. Kiedy się mówi bowiem, że ongiś przybyli tu jacyś praastronauci i nauczyli tępych Egipcjan budowania piramid, w tym miejscu nie ma już żadnej dyskusji. Wszystko jest wyjaśnione. Ludzie bardzo to lubią.

— *Ale ludzie nie mogą żywić się jedynie panrelatywizmem i pseudowartościami. Co w takim razie uważa pan za spoiwo aksjologiczne? Czy empirię, która „morduje” metafizykę?*

— Nie istnieje sytuacja, w której ma miejsce całkowity brak spoiwa aksjologicznego. Kiedy powiadam pospolicie, że wartości „padają”, to istotnie tak jest, ale nigdy w tym miejscu nie pozostaje aksjologiczna próżnia. Żadna społeczność nie może dotrzeć do całkowitego nihilizmu. To nie jest możliwe. Następuje jedynie wymiana wartości na podlejsze.

— *A może nie jest aż tak źle z tym upadkiem wartości? Ostatnie dekady przynoszą wyraźne ożywienie Kościoła. Bez względu na stanowisko światopoglądowe nie można przecież powiedzieć, aby był on siewcą wartości niestabilnych, relatywnych czy nieautentycznych.*

— Jak słusznie zauważa Kołakowski, zawsze dobrze mieć jakiś punkt odniesienia. Podobnie jak on uważam, że w laicyzacji i desakralizacji ukrywa się wiele zła, ale miałbym zastrzeżenia. Rola Kościoła na przykład w Ameryce Południowej… Nie chcę powiedzieć, że ludzie, którzy połamali obie nogi, powinni się zajmować tymi, którym boleśnie wycięto śledzionę. Jednak zrobiła się jakaś

„odwrotka”. Kościół, który dawniej był rzecznikiem posiadających, brał ich w obronę i namaszczał królów, a biedakom jedynie dawał pociechę, mówiąc, że bogaci nie dostaną się przez igielne ucho do raju, zaczął się w końcu martwić biedakami. Choć równocześnie przecież panoszy się wciąż laicyzacja i jest coraz mniej powołań.

Jeśli można tak śmiesznie powiedzieć, jestem jeszcze mniej wierzący niż Kołakowski i uważam zawód duchownego — wszelkiej religii — za jeden z najdziwaczniejszych pomysłów, jakich się ludzie kiedykolwiek dopracowali. Jest to dla mnie coś ogromnie dziwnego, a powszechność zjawiska nie zmniejsza w moich oczach jego dziwności. To, że ktoś może być bardziej od innych za pan brat ze Stwórcą, jest dla mnie czymś niesamowitym.

Podobnie też zawsze mnie dziwiło, już w wieku piętnastu lat, że Pan Bóg posiada postać osobową, i to jeszcze podobną do człowieka. Kiedy przekonywałem się, ucząc się różnych rzeczy, jak bardzo partykularnym tworem w ewolucji jest człowiek, a na dodatek jak bardzo antropocentrycznie i teocentrycznie jest zaangażowany biolog w sprawach tej kulturowo nam narzuconej interpretacji, kiedy zajmuje się ewolucją, uznałem, że widać inaczej nie można. Nikt nie może patrzeć na bliźniego jak na poruszający się worek wypełniony wnętrznościami.

Kościół jako instytucja został tak wspaniale opisany przez Kołakowskiego w jego fundamentalnej pracy *Świadomość religijna i więź kościelna*, że nie warto o tym dyletancko rozprawiać. Powiem tylko, że jest nieusuwalna antynomia pomiędzy instytucjonalnością Kościoła a jego powołaniem. Kościół jest jak system melioracyjny kanałów nawadniających, które Pana Boga regulują, nastawiają, określają i ograniczają. On milczy jak zaklęty, ale Kościół zdaje się aż tyle o Nim wiedzieć. Każdy, komu wydaje się, że w tej sprawie ma coś do powiedzenia, zaraz leci i gada. Gdybym miał naturę wierzącego, nie należałbym

do żadnego wyznania. Sama instytucjonalizacja teodycei wydaje mi się pomysłem szalonym. Tylko fakt, że jest to instytucja tak powszechna i czcigodna, sprawia, że nigdzie tego nie głoszę.

— Nie odpowiedział pan jednak na pytanie, czy w sytuacji „wydrążenia" metafizycznego Kościół jest w stanie dawać społeczeństwom wiarygodne oparcie?

— Przyznaję, że w czasach kiedy wszystkie procesy i zmiany cywilizacyjne rwą więzy rodzinne, podmywają grunt wartości tradycyjnych; w czasach kiedy dziewięćdziesiąt pięć procent uczonych przewraca niechcący do góry nogami wszystkie ustalenia kultury, istnienie instytucji, która tak mocno opowiada się przy tradycji, jest bardzo ważne.

Tutaj znów idę na ugodę z Kołakowskim, ale muszę dodać, że nigdy, jak on, nie odważyłbym się pouczać katolików, co mają robić, aby być dobrymi chrześcijanami. Ten, kto sam nie jest dobrym chrześcijaninem, powinien raczej w takich okolicznościach nabierać więcej wody w usta.

— „Żadna religia nic nie może uczynić dla ludzkości, zmniejsza ból istnienia jednostek, ale powiększa ogół nieszczęść przez swoją bezradność" — to słowa z pańskiej eseistyki. Jak godzić je z tym, co pan teraz mówi?

— To w najmniejszej mierze nie zmienia faktu, że „jak trwoga, to do Boga", i że jest tam jakieś ocalenie. Wiara rzeczywiście koi. Psychologiczna pożyteczność religii jest powszechnie znana. Nie widzę tu żadnej sprzeczności. Jedyne, co można jeszcze sensownie powiedzieć, to to, że religia nie może być skutkiem złej wiary. To znaczy, że będąc ateistą, a zarazem wiedząc, że religia koi cierpienia duchowe, nie można się od tej wiedzy nawrócić. Nie można uwierzyć w Pana Boga tylko dlatego, że to nam dobrze zrobi.

— A czy zgadza się pan z poglądem, że przyczyną rozpadu cywilizacyjnych norm i zasad oraz wielu innych

wynikających stąd zjawisk jest rezygnacja z oparcia, jakie dawał ludzkości transcendentny fundament?

— Znów powrócę do Kołakowskiego, który w szkicu *Odwet sacrum w kulturze świeckiej* powiada, że zeświecczenie i laicyzacja doprowadziły do tego, że sacrum w kulturze przestało praktycznie istnieć. Dawniej, kiedy istniało i było upowszechnione, każde zjawisko będąc sobą, miało jednocześnie swój sakralny „dodatek" i było „pokropione" uświęceniem bez względu na to, czy był to zawód, małżeństwo czy śmierć. Dzisiaj natomiast pojawia się mania zrównywania i amorfizacji, która niszczy ten czynnik stabilizujący. To jest zjawisko groźne i ponure. On pisze tak:

„Żyjemy w świecie, w którym wszystkie formy i wszystkie odróżnienia odziedziczone wystawione są na gwałtowne ataki w imię ideału totalnej jednorodności, przy użyciu mglistych równań, stosownie do których każda różnica jest hierarchią, a każda hierarchia jest opresją: dokładny odpowiednik czy też symetryczny biegun dawnych równań konserwatywnych, które sprowadzały wszelką opresję do hierarchii, a wszelką hierarchię do różnicy. Mamy często wrażenie, jakby wszystkie znaki i wszystkie słowa, które budowały naszą podstawową siatkę pojęciową i udostępniały nam system rudymentarnych odróżnień, waliły się na naszych oczach: jak gdyby wszystkie bariery między opozycyjnie uzupełniającymi się pojęciami zacierały się z dnia na dzień.

Nie ma już jasnego odróżnienia w życiu politycznym, między wojną i pokojem, między suwerennością a podległością, między inwazją a wyzwoleniem, między równością i despotyzmem: ani bezspornej różnicy między katem i ofiarą, między kobietą i mężczyzną, między pokoleniami, między zbrodnią i bohaterstwem, między prawem i gwałtem, między zwycięstwem i porażką, między lewicą i prawicą, między rozumem i obłędem, między lekarzem i pacjentem, między nauczycielem i uczniem,

między sztuką i błazeństwem, między wiedzą i ignorancją. Ze świata, w którym te wszystkie słowa ujawniały i identyfikowały określone przedmioty, jakości i sytuacje, ułożone w opozycyjne pary, przeszliśmy do świata, gdzie opozycje i klasyfikacje, nawet bardziej podstawowe, wycofane są z obiegu. Łatwo cytować przykłady tego osobliwego rozpadu pojęć; mamy je w obfitości i wszystkie są powszechnie znane".

Kołakowski powiada tutaj, że ta ucieczka, wyparowanie *sacrum* rzeczywiście daje takie skutki. Istotnie jest pęd do takiej uniformizacji, żeby „wszystko dla wszystkich w jednakowy sposób", ale sądzę, że przyczyny tego zjawiska są bardziej złożone i niejednorodne w różnych dziedzinach. Odróżnorodnienie, uamorficznienie, przeciwko czemu sam Kołakowski powstaje, jest tutaj analizowane pod kątem skutków jednej tylko przyczyny — wyparowania *sacrum*. Ten cały wywód jest niezmiernie sugestywny, ale nie falsyfikowalny. Zdaje mi się, że wyparowanie *sacrum* z życia umysłowego to tylko jeden z czynników powodujących owe likwidatorskie wysiłki — unicestwiania licznych bazowych opozycji, na jakich opierają się znaczenia „naszej podstawowej siatki pojęć".

Inny czynnik upatruję w tym oto, że moim zdaniem każdy system typu religijnego wierzenia albo filozoficznego światopoglądu powstawał wysiłkiem zbiorowym, poprzez transformatywną i kumulatywną robotę jednostek oraz zbiorowości, aż okrzepł na pewnym stadium tych procesów. Powstawała zdogmatyzowana wiara lub szkoła filozoficzna. Zawsze było przy tym tak, że całość poglądów podawanych do wierzenia (jako religia) lub do uznania (jako filozofia) mogła się zmieścić w jednej ludzkiej głowie. Nie mogło być tak, żeby duchowny określonego wyznania nie był w stanie zapamiętać naczelnych prawd tworzących jego *Credo*. Nie mogło być tak, żeby filozof zbudował system zbyt złożony dla jego własnej pamięci, przez co ani on, ani nikt inny nie potrafiłby owego systemu ogarnąć myślowo jako całości.

Wydaje mi się zatem, że istnieje pewien najwyższy poziom złożoności i komplikacji ludzkich systemów myślowych, które nie są wprost empirycznego pochodzenia, lecz stanowią albo „pomysły” filozofów, albo są — w wierzeniach — Objawieniami.

Analogicznie każda pierwotna kultura wykształca system norm, obyczajów, nakazów i zakazów, który jest do ogarnięcia i zapamiętania przez każdego uczestnika tej kultury. Mogło być najwyżej tak, że wszystkie normy, zakazy, nakazy znała pewna grupa czy kasta wyróżniona (na przykład kapłańska), ale to już zachodziło na następnym szczeblu ewolucji społecznej. Lecz nie mogło i nie może być tak, aby istniały kościelne dogmaty, o których nic nie wiadomo nawet papieżowi, ponieważ ich pełny zbiór nie mieści się w jednej głowie. Inaczej mówiąc, zasadniczy szkielet pojęciowo-dyrektywny, który tworzą sobie społeczne zbiorowości jako swoją kulturę duchową, ma granice co do ilości ważnych elementów sensowych i co do ich wzajemnych relacji. Całość tak wytwarzanej siatki pojęciowej nie może przekraczać umysłowej pojemności jednostkowej. Natomiast empiria jest pompą, przystawioną przez naukowców do świata, tłoczącą w ludzkość informację bez jakichkolwiek ograniczeń. Powstają tedy specjalizacje coraz bardziej rozgałęzione. Na „wszystkim” nie może się już znać nikt. Kiedy zaś ten przybór trwa, coraz trudniej o najwyższe autorytety, czyli o ludzi, którzy chociaż w jednej dziedzinie wiedzą „wszystko”. Już to kieruje życie duchowe w stronę niejakiej *urawniłowki*. Najpierw herezje przestają być herezjami, a potem tworzy się taka demokratyczna sytuacja, że każdy może samozwańczo mianować się ekspertem tam, gdzie nie trzeba do tego dyplomu, na przykład w futurologii, w astrologii, w dianetyce, w poznaniu pozazmysłowym, w leczeniu nakładaniem rąk, w różdżkarstwie. Jest to zaraźliwe. A co gorsze, kuszące.

Żeby porządnie orientować się w psychiatrii lub w pedagogice, trzeba długich lat uciążliwych studiów. Żeby twierdzić natomiast, że umysłowe choroby są wmówieniem albo skutkiem istnienia alienacji i eksploatacji, czy też że całe szkolnictwo we wszystkich jego odmianach nic nie jest warte, a jedno i drugie powstało jako efekt zmowy jakichś tam niby-rzeczoznawców, których należy przepędzić, do wygłaszania takich twierdzeń nie trzeba zbytniego umysłowego trudu.

W masowej kulturze panuje powszechna łatwowierność, ponieważ leci w nią grad sprzecznych twierdzeń ze wszystkich szkół filozoficznych, politycznych partii, producentów rozrywki, dzienników i tak dalej. Im trudniej się rozeznać w tym gąszczu, tym łatwiejsza staje się kariera prymitywnie, lecz z wielkim wrzaskiem głoszonych tez, wsparta gwarancją „demokratyczności” oraz przekreślająca złożoność znanych ekspertom prawd jako banialuków. Tam, gdzie jest tysiąc skłóconych autorytetów, nie ma ani jednego godnego pełnego zaufania, więc powstają bardzo korzystne warunki dla umysłowego szarlatańskiwa. To pewno nie wszystko, lecz w każdym razie wykracza to już poza jakowąś „zemstę *sacrum*”. Co więcej — i co pragnę podkreślić — w takim ujęciu okazuje się ono rzeczą wtórną, pierwotną natomiast jest po prostu ilość informacji, jaką może ogarnąć rozumiejąco ludzki umysł. *Sacrum* to płód etapu, na którym naturalna pojemność głów nie mogła zostać przekroczona. Lawina informacyjna rozsadziła ten limit.

Z tejże przyczyny, mówiąc nawiasem, umarła właściwie epika, ponieważ nie można żadnym poszczególnym dziełem artystycznym ogarnąć zbyt rozrosłej złożoności świata. Jeśli *sacrum* było ofiarą tej lawiny, w jakimkolwiek upośrednieniu, to zakusy niszczenia diametralnych par pojęciowych są jak gdyby bezświadomym odruchem źle pojętej samoobrony przed ostatecznym potopem, przed utonięciem we wciąż przybierającym oceanie wiadomości.

Drzewo tych wiadomości rozpleniło się w dżunglę, a likwidatorzy przeciwstawnych znaczeniowo pojęć usiłują w nas wmówić, że można ją z czystym pożytkiem wykarczować, i tym samym mile uprościć sobie życie.

To są bardzo złożone procesy. W przemianach kultury panuje duża nieprzewidywalność i swoista nieodwracalność. Gdyby tę książkę Kołakowskiego wydrukować w milionowych egzemplarzach i gdyby wszyscy wzięli ją sobie bardzo do serca, nie spowodowałoby to jednak zapewne rezurekcji *sacrum.* Ale jeśli chodzi o diagnozę objawów, jest ona trafna. Filozof ma prawo, aby być kategorycznym. To jest domniemanie, nie wyartykułowane na prawach empirycznej hipotezy, tym bardziej że nie wiadomo, jak tego rodzaju mniemanie zweryfikować.

— Czy tak powszechna ucieczka od umysłowego wysiłku i jego osadzaniu w wartościach pozwala mniemać, że mamy już do czynienia z patologią kultury?

— Znów trudna rzecz. Patologia kultury zakłada, że istnieje jakaś nadkulturowa norma. Jeśli założyć, że należymy do kultury śródziemnomorskiej w jej współczesnej fazie, to trzeba powiedzieć, że patologia kultury panuje wszędzie. Może to przykre i dziwne, ale dla nas *tertium comparationis* stanowi czas miniony. Z tej perspektywy za jedne zwyrodnienia możemy wieszać psy na kapitalizmie, za drugie na komunizmie. Orzekanie, w którym miejscu mamy już do czynienia z patologią kultury, jest bardzo trudne i ryzykowne.

Skąd wiedzieć, czy w jedenastym wieku w Chinach mieliśmy do czynienia ze zjawiskami patologicznymi? Jaka będzie opinia racjonalisty i ateisty o epoce, w której dobry Bóg skazywał na potępienie martwo urodzone i nieochrzczone niemowlęta? Gdzie są kryteria immanentne i z zewnątrz wniesione, według których można byłoby to oceniać? Współcześnie kultura przypomina okropny żołądek, który pochłonął szczątki wcześniej istniejących

kultur i tworzy z nich papkę. Widać to w masowej kulturze, gdy ludziom nie wystarcza ich własna religia, lecz poszukują sobie jakiegoś guru.

Czy bez kryteriów godzi się obrzucać mięsem kulturę? Bardzo ryzykowne są takie zabiegi, gdyż raz okazuje się, że coś jest patologią, a innym razem, że nie jest. To nie jest alternatywa ostra jak ta, że można z tramwaju wyskoczyć albo nie wyskoczyć, ale częściowo tego uczynić nie można. W każdej kulturze mogą się pojawiać objawy, które z jakiegoś immanentnego dla tej kultury stanowiska można uznać za patologiczne albo nie.

Jednakże pojęcie to należałoby jeszcze odmetaforycznić, bo patologia to przecież pojęcie zaczerpnięte z medycyny i oznacza przeciwieństwo zdrowia. Nie wiem, na czym polega „zdrowie" kultury. Gdyby sięgnąć do Hitlera, to zapewne na tym, aby wszyscy chodzili czwórkami i śpiewali *Horst Wessel Lied*. To jest trudna sprawa, która nie nadaje się na krótką odpowiedź. Tu należałoby napisać książkę.

— Jak się pan czuje w tym najwspanialszym ze światów?

— Najbardziej przykrym rozczarowaniem dla natur takich jak moja jest dowiadywanie się — i to mimo oporów i niechęci — że nasz świat składa się w dużej części z wariatów i idiotów i że jego losy w dużym stopniu od nich właśnie zależą. Oczywiście gdyby ludzkość składała się wyłącznie z wariatów i idiotów, w ogóle nie warto by żyć. Na szczęście tak jeszcze nie jest, ale oni ogromnie przeszkadzają wszystkim innym.

— Sporo rozmawialiśmy o ruinie wartości, o upadku nauki, o zagrożeniach cywilizacyjnych. Z tych diagnoz zdaje się wynikać, że człowiek wykazuje więcej inwencji w działaniach destruktywnych niż konstruktorskich. Czasem zastanawiam się, czy pańska doktryna Trzech Światów nie zawiera źdźbła prawdy o ludzkiej naturze.

— Mnie też czasem zastanawiają niektóre niesamowitości ludzkiej natury. Opowiem panu pewną historię. Dostałem kiedyś list od prof. Benno Muellera-Hilla z Instytutu

Genetyki w Kolonii, któremu wpadła do ręki moja *Prowokacja* i zdumiała go zbieżność pewnych wyrażonych tam konceptów z pracą, którą napisał i pragnął mi przekazać. Kiedy wyjechałem do Berlina, przysłał mi tę książkę. Była to jedna z najkoszmarniejszych lektur mojego życia, bo analizuje rolę niemieckich psychiatrów, psychologów i antropologów w czasach Hitlera. Posługując się niezwykle sumiennie wykonaną dokumentacją, cytatami i olbrzymią bibliografią, wykazał, że ich uczeni nie tylko nie sprzeciwiali się koncepcjom hitlerowskim, ale z wysiłkiem godnym lepszej sprawy zabrali się do sterylizowania i mordowania jak najbardziej aryjskich chorych umysłowo we własnych klinikach. A czynili to z takim zapałem, że w pewnym momencie podcięli gałąź, na której siedzieli, gdyż rodziny umysłowo chorych przestały oddawać swoich bliskich pod opiekę psychiatrów. Po prostu rozeszło się, że w prywatnych klinikach dokonuje się mordów.

Autor namalował obraz tak koszmarny, że zaskoczył nawet mnie, który przeżyłem okupację i interesowałem się poświęconymi tej kwestii publikacjami. Nadzwyczajna gorliwość ludzi w lekarskich kitlach doprowadziła do tego, że stali się autorami bogatych w szczegóły koncepcji eksterminacyjnych, nie ograniczających się bynajmniej do Żydów czy Cyganów. Ci uczeni robili znacznie więcej, niżby mogli się po nich spodziewać Himmler i Hitler. Kiedy zaś przyszli Amerykanie, najznamienitsi z nich popełnili samobójstwa, lecz większość *hat sich gegeneinander reingewaschen*, wystawiła sobie świadectwa denazyfikujące i szczęśliwie przetrwała do dziś na rozmaitych katedrach. Może tylko w czasach intensywniejszej denazyfikacji, prowadzonej jeszcze przez Amerykanów, ukryli się gdzieś „w krzakach”. Jest rzeczą charakterystyczną, że ta praca nie mogła być do dzisiaj opublikowana i dopiero teraz, gdy ci uczeni odchodzą na emerytury, coś takiego jest do pomyślenia.

Ci profesorowie i privatdocenci pozostawili po sobie nieścieralne ślady w postaci nazistowskich materiałów powielanych drukiem, a podpisanych ich nazwiskiem. Doszło do tego (*śmiech*), że Himmler musiał ich powściągać. Jedynym autorytetem zbiorowym, jaki usiłował się temu przeciwstawić, był Kościół katolicki, w mniejszym zaś ewangelicki. Tego się nie da niczym wytłumaczyć.

Nawet postacie tak wspaniałe jak laureat Nagrody Nobla, Max Planck, nie protestowały, gdy wyrzucano Żydów z kierownych przez nich placówek naukowych. On protestował tylko wtedy, gdy wyrzucono z Kaiser Wilhelm Institut jego najbardziej wartościowych współpracowników. Jeśli jednak zwolnienia dotyczyły aparatu administracyjnego, bardzo punktualnie i akuratnie wykonywał polecenia. Wykonywał, ale na szczęście nie przejawiał inicjatywy, więc należy to odgraniczyć.

Wymieniliśmy z profesorem Muellerem-Hillem kilka listów. W jednym z nich napisałem, że aczkolwiek jest to przerażające, jest rzeczą niewątpliwą, że jeśli chwila historyczna, z poduszczenia takiej czy innej władzy motywowanej ideologicznie bądź jakoś inaczej, stworzy przyzwolenie na działania destrukcyjne, zawsze znajdzie się moc ludzi — również z najwyższymi tytułami naukowymi — którzy skorzystają z tego niezwykle gorliwie. Nie tylko będą robili wszystko, co im nakażą, nie tylko będą się powoływali na jakieś przymusy i naciski, ale jeszcze z własnej inicjatywy będą dokręcać śrubę mordu.

Ta bezinteresowność działań niszczycielskich zdaje się w tym świetle stanowić integralną własność natury ludzkiej. Nie mówię, że u wszystkich, ale w kategoriach socjologicznych jest ona latentna, utajona, a przejawia się zawsze, kiedy zdejmie się pewien zakaz i stworzy się taką możliwość. Ci ludzie, jak dowodził Mueller-Hill, wypełniali tę przestrzeń potwornościami, których się nikt od nich nie domagał, nie żądał, które nawet bywały sprzeczne z ich materialnym, naukowym i życiowym interesem. To jest

przerażające, bo chodziło im przecież tylko o to, aby uzyskać prawo do legalnego dręczenia, sterylizowania i zabijania ludzi, dokonywanego pod auspicjami nauki. Na skutek tego w latach czterdziestych wyraźnie osłabł napływ najlepszej intelektualnie młodzieży niemieckiej na kierunki psychiatryczne, bo rozeszło się już, że jest to kierunek rzeźniczy.

Przy okazji napisałem w jednym z listów, że u nas pod przykrywką stanu wojennego też uaktywnili się ludzie, którzy w sposób najzupełniej bezinteresowny usiłują zniszczyć może nie życie ludzkie, ale kulturę. Na przykład pisma literackie i inne rzeczy, które im zupełnie nie przeszkadzają ani ich nie uszczuplają. To efekt ich (*z naciskiem*) bezinteresownej pasji niszczycielskiej, z której absolutnie nic nie mają. Tę destrukcję mogą urzeczywistnić tylko posługując się terminologią obowiązującą oficjalnie i usankcjonowaną przez komunistyczną ideologię, bez względu na to, jak jest ona nadużyta. Zdaję sobie naturalnie sprawę z przerażającej dysproporcji pomiędzy morderczymi działaniami niemieckich uczonych a działalnością naszych trzeciorzędnych skrybów i grafomanów, ale uważam, że w ten sposób ujawnia się ta latentna tendencja niszczenia wartości. Tu musi być jakieś źródło satysfakcji dla tych, którzy to robią.

Lektura ta była więc dla mnie bardzo ważna, ważniejsza może niż sama *Prowokacja,* w którą sam nie wierzyłem, imputując — ustami zmyślonego autora niemieckiego — katom obozowym jakieś „wyższe”, idące z obszaru „czarnej mszy”, koturnowe uzasadnienia ich genocydowych wysiłków. To było znacznie okropniejsze, bo z tej zabójczej gorliwości człowieka nigdy sobie tak jasno nie zdawałem sprawy. Jest to niewątpliwie jakiś aneks do istoty natury ludzkiej.

Być może wiele okrucieństw, których dopuszczono się w czasach Inkwizycji, dałoby się wyjaśnić w podobny

sposób. Satysfakcja tak działających ludzi jest tym większa, im bardziej nasycona jest oficjalna szczytność ich postępowania. Bez wątpienia znęcanie się, niszczenie wartości, mordowanie w aureoli szlachetnego propagatora idei jest wspanialsze od trwożliwego skrytobójstwa, morderstwa bądź gwałtu w piwnicy. Najbardziej lube niszczenie i zabijanie objawia się nie wtedy, gdy dokonywane jest na własną rękę i w strachu przed konsekwencjami karnymi, ale wtedy, gdy pojawia się w majestacie ideologii, prawa, religii czy państwa totalitarnego. Człowiek taki nie dość że syci swoje — nazwijmy to językiem moderny — tajemne chuci, to jeszcze może się za to domagać wyróżnień, pochwał i nagród.

Nie wiem oczywiście, czy jest to *constans* natury człowieczej. Każda hipoteza ponadhistorycznie artykułowana jest wątpliwa i ryzykowna. Uważam, że jest dopuszczalna, ale niekonieczna, i wcale nie narzucająca się jako jedyna hipoteza, że tak właśnie działają ci, których nie stać na nic lepszego. Bo przecież jeżeli nie mogą działać w kreacji pod znakiem dodatnim, to tutaj znajdują możliwość działania pod znakiem ujemnym. Czyli: rżnąć, bo to lube. A uzasadnienia są rzeczą wtórną, które można dorobić w każdej chwili.

— Potworne rzeczy pan opowiada. Czy widzi pan zatem jakąkolwiek szansę na wyrugowanie tego składnika?

— Nie, nie widzę.

— A jakie warunki należałoby spełnić, aby to było możliwe?

— To jest napisane w *Golemie*. Mój komputerowy filozof powiada, że człowiek musi się gruntownie przerobić, ale wówczas zachodzi obawa, że może już wtedy przestać być człowiekiem. Harmonijny rozwój ludzkości to dla mnie rodzaj kwadratowego koła.

— A jakie są obecnie szanse na bioinżynieryjne przekształcenie człowieka?

— W tej chwili żadne, gdyż zakładają wiedzę, której wciąż jeszcze nie posiadamy. Nie można przebudować czegoś, czego budowy się wciąż jeszcze nie zna.

— *Czyli człowiek zawłaszczył różne potęgi, z energią nuklearną na czele, zbyt wcześnie?*

— A istnieje taka koncepcja, według której ludzkość niczym dziecię w wieku pokwitania zostało wprowadzone, zamiast do kościoła, do straszliwego lupanaru. Spoglądając jednak na tę kwestię z odległej perspektywy, niepodobna sobie wyobrazić, kiedy niby miałyby nastąpić te głębsze uświadomienia latentnych potęg drzemiących w naturze, tak aby można było uznać, że nie jest to przedwczesne, lecz „w sam raz".

Zdolności autoewolucyjne, o których pan wspominał przed chwilą, ludzie posiądą prawdopodobnie w dwudziestym pierwszym wieku i wtedy też bez wątpienia rozlegną się chóralne krzyki roztropnych komentatorów, że to przedwczesne. Oczywiście to nic nie da, ludzkość pójdzie dalej.

— *Rysuje pan wcale malownicze perspektywy. Czyli jesteśmy „zakorkowani"? Czy możemy się w takim razie spodziewać czegokolwiek dobrego po eksploracji kosmosu?*

— Aktualnie wygląda to tak, że wszystkie środki będą pochłaniane przez działania mające charakter militarny. A będzie się to działo w przyszłości liczonej nie na lata, ale na dziesiątki lat. To w pewnym sensie zagważdża dalsze możliwości, ponieważ wszystko, co miałoby służyć dalekosiężnej eksploracji, będzie musiało korzystać z okruszków z wojskowego stołu.

— *Ale przecież przemysł zbrojeniowy potrzebuje nowych surowców, więc przy okazji normalnym ludziom coś może z tego „skapnąć".*

— Wyobrażenia, jakobyśmy mogli mieć coś z tej eksploracji w sensie materiałowym, surowcowym czy paliwowym, są mylne i tak będzie przez długi czas ze względu na to, że znajdujemy się na dnie tzw. „leja

grawitacyjnego”, którego pokonanie jest zbyt kosztowne. Nawet gdyby powierzchnia Księżyca zaścielona była grubymi warstwami pięćdziesięciokaratowych brylantów, eksploracje takie byłyby nieopłacalne, gdyż koszt transportu będzie większy niż koszt klejnotów. Nie znamy niczego, co w swojej wadze i objętości byłoby kosztowniejsze od brylantów, a ponieważ znamy całą tablicę Mendelejewa, więc po eksploracji typu geologicznego czy kopalinowego nie możemy się niczego spodziewać.

Wiele natomiast może zdarzyć się w zakresie powstawania nowych zawodów czy miejsc pracy, a takoż w postaci nowych przyrostów wiedzy, które jednak nie przynoszą żadnych bezpośrednich skutków. Za pomocą sputników możemy rozpoznać wielkie planety z Saturnem i Jowiszem na czele, ale nic z tego nie będziemy mieli. Za to jest to ciekawe.

— *A co z możliwością wyprowadzenia części przemysłu na orbitę, co jest zresztą pańską koncepcją?*

— Ta koncepcja wydaje mi się dziś mało prawdopodobna, choć rzeczywiście kosmos jest tak duży, że nawet traktując go jako kloakę i zbiornik zanieczyszczeń, nie można go zapaskudzić. Aby więc nie rujnować równowagi ekologicznej na Ziemi, można by sobie wyobrazić takie fabryki, ale musiałyby być one samoczynne, gdyż, jak trafnie zauważył Stanisław Lem w *Wizji lokalnej*, kosmonautyka jest dziwnie podobna do długoterminowego więzienia. Dwa lata należy lecieć do najbliższej planety naszego układu, co oznacza cztery lata kryminału. I to bardzo dobrego, bo z najlepiej strzeżonego więzienia zawsze ktoś ucieknie, ale z rakiety nie ucieknie nikt.

— *Rozwiązać tę kwestię mogłaby kolonizacja planet.*

— W dużym stopniu jest to nieprawdopodobne. Kiedyś zapytano Andrewa Irvine’a i George’a Mallory’ego (którzy zginęli zresztą na Mount Evereście), dlaczego wchodzą na Himalaje. Odpowiedzieli: „*Dlatego, że istnieją*”. Niewątpliwie odpowiedź ta jest również słuszna

w odniesieniu do gwiazd i planet. Fundusze jednak, jakie należy zebrać dla eksploracji Himalajów, są tej wielkości, że zawsze znajdą się protektorzy. Aby pchnąć ludzkość w kosmos, niezbędne są zasoby całej Ziemi. Jeżeli więc ludzkość dalej będzie się oddawać zabawom militarnym — a będzie bez wątpienia — to o żadnych eksploracjach mowy nie ma.

Niemniej mogę sobie przecież wyobrazić, że w przyszłości eksploracja taka będzie się odbywała i przynosiła mniej lub bardziej oczekiwane rezultaty. Może to jednak nastąpić w tej erze, kiedy większość prac na Ziemi zostanie już zautomatyzowana. Poza tym nie może to mieć charakteru wypchnięcia na okołoziemską orbitę rezerwowej armii pracy. Mars nie będzie tym, czym dla caratu była Syberia.

W odleglejszym czasie za możliwe uważam powstanie inżynierii planetarnej, która będzie się zajmowała takim przerabianiem planet, aby na nich mogli mieszkać ludzie. Jest sprawą otwartą, czy to byłoby w dzisiejszym rozumieniu zasad ekonomiki opłacalne. Przypuszczam, że według dzisiejszych reguł bez wątpienia nie, ponieważ inwestycje wstępne byłyby większe niż korzyści, które można byłoby uzyskać. Nie uważam jednak, że dzisiejsze reguły ekonomiki są dane od Pana Boga raz na wieki i że zawsze będzie się rozumowało tak jak dziś, a nie inaczej. Można przecież powiedzieć, że kosmos jest źródłem niewyczerpanej energii, i że można będzie budować urządzenia bardzo kosztowne tak, aby były prawie darmo. Jak wiadomo, by wyprodukować kilka miliardów plemników, z których każdy zawiera gotowy projekt samorealizującej się budowy człowieka, wystarczy prosta onania. Jeśli koszta mikroprocesorów sterujących będą tego rzędu, to znaczy prawie żadne, nic nie stoi na przeszkodzie. Naturalnie dziś ani Wschód, ani Zachód nie może się posługiwać tego rodzaju kryteriami ekonomicznymi, ale wszystko jest w tym dziwnym świecie możliwe. Aczkolwiek

prawdopodobieństwo, że ludzkość nie przedostanie się przez to „ucho igielne”, które sobie tworzy, jest spora i prawdopodobnie ulegnie jakiejś strangulacji lub jakiejś formie *auto da fé*, to jednak możliwość taka nie powinna być z góry wykluczona z naszych przewidywań. Wtedy bowiem będą możliwe takie korzyści, które są nieprzeliczalne na zyski w ziemskich bankach i monopolach. Tak, to wydaje mi się zupełnie możliwe.

Osobna rzecz jednak to kwestia tych przyszłych technologii. Musiałaby to być technologia równie uniwersalna jak człowiek w swoim środowisku: sam chodzi, sam się odżywia, sam oddycha, sam się o siebie troszczy, sam się naprawia, nie potrzebuje żadnych surowców ani energetycznych linii dosyłowych. I nie antropomorfizm w rozumieniu upostaciowania kształtowałby takie twory — tej gigantycznej siłą rzeczy inżynierii planetarnej — tylko potrzeby, które dyktowane są warunkami, że urządzenie takie musi być samowystarczalne.

— Ostatnia już z rzeczy kosmicznych. Osobiście w to zupełnie nie wierzę, ale czytelnicy by mnie zabili, gdybym nie zapytał o ewentualną szansę wyjścia z cywilizacyjnej opresji dzięki Innym?

— Kontakty z innymi cywilizacjami wydają mi się zupełnie nieprawdopodobne. Wyobraźmy sobie, że porozumiewamy się z cywilizacją asyryjską, z pierwotnymi mieszkańcami Australii lub Indianami, którzy budowali puebla w środkowej Ameryce. Cóż ciekawego moglibyśmy sobie powiedzieć? Czym takim moglibyśmy ich uszczęśliwić, za co nie przeklęliby nas do ostatniego pokolenia? Czego moglibyśmy się od nich dowiedzieć? Doprawdy nie wiem.

Ktoś powie, że przymierzamy się do kontaktu z kulturami prymitywnymi. Wobec tego porozumiewajmy się z dworem Króla Słońce. Nic innego prócz zgrozy byśmy w nich nie wywołali. Cóż mamy lansować? Nasz potwornie zatłoczony,

zasmrodzony i zuniformizowany świat, który przypomina koncepcje niwelizmu Witkacego?

A przecież pamiętajmy, że różnice pomiędzy cywilizacją ziemską a hipotetycznymi cywilizacjami innoplanetarnymi musiałyby być o setki rzędów większe niż pomiędzy cywilizacją babilońską a naszą. Być może, że Oni nawet słyszą gdzieś u siebie popiskiwanie naszych telewizorów i wzruszają ramionami: „Z czym do gościa?”

— Kiedy jeszcze futurologia była pełna wigoru, sporo miejsca poświęcano problemowi automatyzacji produkcji, który wyprze ludzkość z jej warsztatów pracy. Przed chwilą też pan o tym napomknął, mówiąc o wypchnięciu rezerwowej armii pracy w kosmos. Jak się orientuję, problem ten wcale nie upadł wraz z futurologią, lecz powoli się zaognia. Co w dużej perspektywie ma się stać z tymi ludźmi?

— Postępy nauki i techniki nie są moim wymysłem bajecznym, lecz tego rodzaju rzeczywistością, która notorycznie jest ignorowana. Literatura nie przyjmuje jej do wiadomości. A jeżeli przyjmuje, to zaraz zostaje nazwana science fiction i problem jest pozornie „z głowy”. Tymczasem nie jest żadną SF, że roboty spowodowały zagrożenie całej ekonomiki amerykańskiej i zaszachowały przemysł samochodowy w USA. Po prostu koszta produkcji samochodu w Japonii są niższe, gdyż tam proces produkcyjny został szybciej skomputeryzowany. A na dokładkę okazało się, że roboty odznaczają się nieprawdopodobną uniwersalnością, bo jeśli mamy tokarkę, to ona zdolna jest tylko do bardzo wąskiej i ograniczonej serii operacji, podczas kiedy robot posiada program nieco większy od kasety, który zamieniony na inny sprawia, że urządzenie nie będzie już składało silników samochodowych, lecz zacznie produkować stoliki lub globusy geograficzne. Maszyna więc pozostaje ta sama, natomiast zmienia się program. To jest rzeczywiście rewolucja przemysłowa. Jej skutków nie da się przewidzieć.

Przede wszystkim widać już uniezależnienie się od zjawisk rynku pracy. Komputer, który steruje linią produkcyjną oraz urządzenia pracujące przy taśmie montażowej mogą być czynne przez całą dobę i nie skarżą się z tego powodu. Muszą być oczywiście doglądane i trzeba je utrzymywać w stanie operacyjnej sprawności, ale nie wymagają opieki lekarskiej, urlopów, świadczeń socjalnych. Jest to jakiś zaczątek procesu likwidacji proletariatu, armii pracy czy klasy robotniczej, łącznie z technikami i wszystkimi, którzy pracują nietwórczo, o których Norbert Wiener pisał w *Human Use of Human Beings*, a wcześniej jeszcze Stanisław Lem w swoich bajaniach.

Mamy więc społeczeństwo liberalnodemokratyczne, w zasadzie oparte na zasadach kapitalistycznych, w którym intensywnie postępuje zanik armii pracy wykwalifikowanej i niewykwalifikowanej. Wszystkie zawody, w których wystarczy umiejętność nietwórczego powtarzania czynności umysłowych czy fizycznych, mogą być zautomatyzowane. To jest już dziś sprawa zupełnie realna. Dziewięćdziesiąt pięć procent pracy biurowej i związanej z wielkim przemysłem można skomputeryzować.

— *Są tacy, którzy niezwykle boją się tej automatyzacji z zupełnie innych powodów.*

— Domyślam się, o co chodzi. Nawet niedawno jeden z robotów o mało co nie zabił technika. Taki automat wygląda jak pająk, najczęściej — nie wiem czemu — pomalowany jest na żółto, ma czujniki wizualne, które pomagają mu w wyborze i montażu poszczególnych części. Otóż on się popsuł i „potraktował” wspomnianego technika miłośnie, próbując go objąć i przycisnąć. Niechybnie połamałby mu wszystkie żebra, ale na szczęście pracownik się wyrwał. Oczywiście zwykły defekt, a nie żadna Frankensteinowska, wcielona w maszynę intencja mordercza. Nie większa w każdym razie niż wówczas, gdy kogoś rozjeżdża lokomotywa.

— *Ludzie chętnie dowodzą wyższości homo sapiens nad skomputeryzowanym automatem.*

— I oczywiście bez sensu, bo maszynę należy traktować wyłącznie jako maszynę. Z tego powodu dochodzi czasem do dziwacznych zwyrodnień. Są na przykład tacy wariaci, którzy wielkim kosztem produkują programy do gry w szachy po to tylko, żeby zrobić na złość najwybitniejszym graczom, którzy twierdzili, że wybitnego szachisty maszyna nigdy nie pokona. To jest bardzo tania satysfakcja, bo wiadomo, że maszyna zachowuje się tutaj w kategoriach psychicznych dokładnie tak jak ciągnik, który — każdy wie — jest zawsze silniejszy fizycznie od człowieka. Żaden to więc przywilej dla maszyny ani dla mnie ujma, że ja samochodu nie pociągnę, on zaś mnie z łatwością. Nie widzę żadnej specjalnej chluby dla konstruktora w fakcie, że zbudował maszynę, która potrafi przeprowadzić trzysta sześćdziesiąt tysięcy operacji na sekundę i rozważa wszystkie pociągnięcia alternatywne, których szachista nie mógłby rozważyć w ciągu całego życia. Owszem, gdyby ona potrafiła zadziałać w sposób równie intuicyjny i chytry jak szachista, to oczywiście pochwalę, gdyż zaczniemy się zbliżać do stworzenia „ducha” w maszynie. Dopóki tego nie ma, maszynie jest wszystko jedno, czy wygrywa, czy przegrywa i ma do zaproponowania tylko brutalną moc obliczeniową.

— *Wróćmy jednak do tematu. Mamy groźbę uwolnienia od pracy ogromnej liczby ludzi, którzy pójdą na zasiłki rządowe, będą mieli dużo wolnego czasu… I co wtedy? Jeśli wierzyć ostatnim dwóm pańskim książkom, nasilą się nastroje anarchistyczne i terroryzm. W „Wizji lokalnej” są retrospekcje, opowiadające o potwornym rozpadaniu się encjańskiej cywilizacji, której z rozpaczy zafundowano etykosferę czyli jakby kaftan bezpieczeństwa dla wszystkich. Czyż my również mamy na to czekać?*

— Jeśli ów *leisure time* stanie się własnością dużej części społeczeństwa, kiedy sytuacja bezrobocia stanie się

sytuacją normalną dla sporej części społeczeństwa, przy założeniu oczywiście, że istnieją sposoby i źródła energetyczne, aby utrzymać w materialnym dostatku miliony ludzi, to istotnie pojawia się pytanie: co robić? Doświadczenie poucza, że wielu ludzi chętnie nic nie robi, ale dla większej części ludzkości jest to źródło kolosalnych frustracji. Kwestia zastąpienia czymś klasycznych motywacji życia jest w tym momencie problemem pierwszej wagi.

Kiedy społeczeństwo jest wybornie zaspokojone, kiedy wszystko jest dozwolone, jak przystało na cywilizację permisyjną, kiedy wreszcie dewaluują się wartości, zaczynają się rodzić frustracje, które z kolei prowadzą do postaw nihilistycznych. Wtedy pojawiają się działania zmistyfikowane.

— *W jakim sensie?*

— W tym, w jakim pisał o niej Karol Marks, czyli że czyni się jedno, a myśli się, że robi się coś innego. Bez wątpienia wiele ruchów terrorystycznych ma jak najzacniejsze intencje i dlatego w mojej książce też jest grupa terrorystów, usiłująca wysadzić Golema w powietrze jako największe zagrożenie dla ludzkiego gatunku. Ci wszyscy, którzy niszczą, żeby uratować stan aktualny lub powrócić do jakiejś cudownej arkadii — jak luddyści, niszczący w dziewiętnastym wieku maszyny parowe — mają programy zmistyfikowane albo sfingowane — częściowo lub całkowicie. Nie jest ważne, pod jakimi sztandarami działają, ale to, że zmierzają do destrukcji urządzeń, struktur i kierunków rozwojowych.

Etykosfera miała być pewnego rodzaju kaftanem bezpieczeństwa — niewidzialnym i łagodnym, (*sarkastycznie*) łagodniejszym niż ten stan wojenny, który zaserwował nam Jaruzelski, by nie dopuścić do totalnej alienacji. Przypuszczałem więc zasadnie, że istoty rozumne będą się w tych kaftanach czuły bardzo nieszczęśliwe i nadzwyczajna dyskrecja ich działania nie osłabi kolosalnej

frustracji. Przypuszczałem też, że rozpoczną się działania mające na celu rozerwanie tych niewidzialnych oków i że opozycja taka działać będzie w równym stopniu racjonalnie, co i irracjonalnie. Ta zasada podana jest już przez klasykę, bo odnajdujemy ją w *Notatkach z podziemia* Dostojewskiego. Kiedy będziemy już mieli wszystko i zostaniemy zapędzeni do Kryształowego Pałacu, nie mogąc już nic innego zrobić, człowiek zwariuje. Swoim obłędem objawi swoją wolność.

— *Czy może pan uściślić? Wszyscy oszaleją?*

— To nie znaczy, iż ludzie — gdy ich będzie pięć czy osiem miliardów — w sensie psychiatrycznym zwariują. Myślę, że nie wystarczy im udaremnić możliwości gwałtownych działań, mających na celu unicestwienie *status quo*, które uważane jest przez nich za niegodziwe; nie wystarczy im dać największe uciechy i kiełbasy z marcepanu; nie wystarczy umożliwić im nieustanne podróżowanie i kopulowanie z pięknymi niewiastami lub ich androidowymi symulatami; to wszystko razem nie wystarczy. Tutaj konieczna jest koncepcja, zasugerowana jako dalsza możliwość w *Wizji lokalnej*, aby powstał rodzaj wyższej fazy etykosfery, działającej nie tylko jako urządzenie profilaktyczne i antyterrorystyczne, ale również satysfakcjonujące ludzi na tej zasadzie, że bada skrycie ich chętki, namiętności, usposobienie i profile charakterologiczne osobowości, a potem stara się dobierać każdemu taki los, jaki mu będzie najbardziej odpowiadał. Byłby to rodzaj wielkiej reżyserii i aranżacji życia.

— *Nie da się nikomu „przylepić" losu do osobowości, a frustracja człowieka w Kryształowym Pałacu nie ustanie, gdy będzie miał świadomość kryptokracji. Kiedy uświadomi sobie, że jego los nie jest autentyczny, lecz sterowany, właśnie wtedy dostanie obłędu.*

— Odpowiem panu. Moją żonę poznałem tak, że poznałem jakąś panienkę na medycynie, która poznała mnie z inną panienką, z którą poszliśmy po skrypt

do trzeciej panienki… która od dwudziestu ośmiu lat jest moją żoną. Nie uważamy na ogół za abominację tego, że przypadki o charakterze czysto losowych serii doprowadzają do definitywnego ustalenia naszego losu. Gdyby natomiast okazało się, że to jakiś potężny komputer wysterował tak naszymi krokami, bylibyśmy zapewne zniesmaczeni.

Wie pan zapewne, że istnieją już komputerowe biura matrymonialne, w których kandydatów bada się psychologicznymi testami, a potem według korelacji sprawdza się, czy dane pary sobie odpowiadają. Potwierdza się już, że tak kojarzone małżeństwa mają większą szansę przetrwania niż te, które dobierają się przy użyciu metod „klasycznych". Z racjonalnego punktu widzenia nie wiadomo, co temu zarzucić. Na pewno jest to lepsze niż swaty w imię interesów rodziny, łączenia majątków i tak dalej. Jest w nas natomiast coś takiego, że odrzucamy sterowanie roztropnym urządzeniem, które pragnie uwzględnić nasze dobro, a chętnie powierzamy się małpio złośliwemu losowi, który nie jest niczym innym jak serią przypadków. Być może jest to przesąd wywołany przeszłością. Chcę być wolny! Tutaj już jesteśmy na rozdrożu filozofii człowieka oraz postępów wiedzy i techniki.

— Czyli nie dojrzeliśmy do naszej techniki, tak? Proszę zatem powiedzieć, po czyjej stronie się pan opowiada: Golema, czyli niepowstrzymanej technologii, czy terrorystów, a zatem „nienadążającej" ludzkości? Wszystko wskazuje na to, że po stronie Golema.

— Podcinałbym gałąź, na której siedzę, gdybym opowiadał się po stronie urządzeń zdolnych przejąć prace umysłowe człowieka. Nie mogę powiedzieć, że jestem tylko po stronie Golema, bo to byłoby szaleństwo. Trochę też jestem po stronie tych „husytów"… W każdym razie rozumiem racje ich działania.

— A dlaczego nie zakłada pan tak prostej możliwości jak ta, że rozwój technologii i automatyzacji zostanie w którejś fazie wstrzymany?

— Nie ulega dla mnie wątpliwości, że długotrwały trend wypierania człowieka z jego niezliczonych nisz życiowych już się rozpoczął i postępuje. Nie widzimy tego, bo wpadliśmy do straszliwie głębokiej jamy cywilizacyjnej, skąd widać tylko ściany. Rzeczywiście nie wiadomo, co zrobić z armią ludzi uwolnionych od pracy. Nieprawdą jest, że wszyscy są uzdolnieni kreacyjnie i z każdego da się wykrzesać twórcę. To jest rzeczywiście fatalne. Mnie jednak nie zajmowało takie rozwiązanie, które zakłada zupełne sparaliżowanie postępów technicznych w imię ratowania miejsc pracy dla ludzi, którzy są z nich wypierani przez ewolucję techniczną.

— Dlaczego? Technologia jest dla ludzi, a nie odwrotnie.

— Jednym z motywów jest to, że wiele rzeczy ludzie robią tylko dlatego, iż je lubią. Jednym z takich powołań jest pomnażanie wiedzy, więc rezygnację z tego dla cięcia desek i kładzenia cegieł — co z powodzeniem może robić maszyna — uważałbym za ośmieszenie i poniżenie ludzkiej godności. Jak to, nie możemy się rozwijać tylko dlatego, że należy ratunkowo zachować „czarnoroboczych”? Kiedy cywilizacja raz wstąpi na technologiczną drogę, technologia staje się zmienną, niezależną od woli jednostek. Każda faza osiągniętej już sprawności technicznej otwiera szansę dotarcia do następnej, a porządek, w jakim dokonuje się odkryć, nie zależy od tego, czy ich owoce będą pożywne, czy zabójcze, lecz od już zawłaszczonej wiedzy. Kolejność instrumentalnych osiągnięć wyznaczana jest przez ich ustopniowanie w trudności zdobycia. Mniemanie, jakoby na przykład nie doszło do wyzwolenia energii atomowej, gdyby nie było Nielsa Bohra, Lisy Meitner, Alberta Einsteina i Marii Curie-Skłodowskiej, gdyby wszyscy oni pomarli w kołyskach, jest błędne. Odkryć tych dokonaliby inni uczeni, ponieważ leżały na szlaku przyrostów wiedzy

empirycznej. W *Summie technologiae* nie zajmowałem się tedy kwestiami rodzaju etycznego — czy należało wyzwolić atomową energię, czy raczej nie, czy opłacało się przekazać maszynom prace umysłowe dotąd wykonywane wyłącznie przez ludzi, czy jedno supermocarstwo może zniszczyć drugie nową bronią, ponieważ po to, żeby cokolwiek uczynić (a przedtem rozważyć etyczny aspekt czynu), trzeba mieć pierwej realne środki materialne.

Ewolucji naszej wiedzy w świecie antagonistycznym nie można zamrozić nakazem, a każdy inny świat jest w naszej epoce mrzonką. Człowiek nie ograniczy się w swoim poznawczym ruchu, bo jego impet nie podlega decyzjom ani poszczególnych uczonych, ani poszczególnych polityków. Jak dotąd pułapka technologiczna nie zatrzasnęła w sobie ludzkości w tym sensie, że ludzkość nie musi popełnić samobójstwa. Porozumienie i jego pochodna jako koegzystencja potęg jest wciąż możliwa. Możliwa jest przede wszystkim dzięki temu, że nie ma dotąd możliwości sporządzania takich narzędzi, środków czy broni, które całkowicie zacierają różnicę między stanem wojny i stanem pokoju. Jeśli takie środki jednak zostaną sporządzone, zagrożenie okaże się nieporównanie większe niż w tym stuleciu. Dokonuje się powolny zwrot, który nie jest na ogół dziś uświadamiany, składający się na technologiczną bombę, która zostanie podłożona pod istniejące fundamenty technik produkcyjnych właśnie gdzieś w dwudziestym pierwszym wieku.

— *Jakie są objawy tego zwrotu?*

— Poszczególne składowe można dostrzec przede wszystkim w gwałtownym rozwoju komputeryzacji i jej straszliwej — w sensie mocy obliczeniowych — inwazji w rejony życia publicznego i prywatnego, w rozpoznawaniu mechanizmów dziedziczności, a także w coraz dokładniejszej znajomości przebiegów ewolucyjnych. Kiedy ta bomba wybuchnie, nastąpi wielka przemiana wszystkiego. Jak ktoś słusznie powiedział: technologia

cywilizacji silnie górującej nad nami zawsze wygląda jak magia i cud.

Dam panu ulubiony z moich przykładów dla zobrazowania takiego „cudu”. Niewidzialny gołym okiem plemnik mieści w sobie cały plan budowy organizmu ludzkiego, wraz z jego mózgiem i narządami. Ten plan uwzględnia nawet sposób uśmiechu oraz charakterystyczne gesty i zachowania osobnika. Pan uśmiecha się z powątpiewaniem? Dziedziczy się wszystko: tryb gry mimicznej, sposób mrużenia oczu, tiki. To są mechanizmy neuralno-mięśniowe, które są zakodowane i zaprogramowane. W kategoriach dzisiejszej technologii jest to zupełna magia.

Załóżmy więc, że następuje to przejęcie biotechnologicznych zasad produkcji. Jeśli powstanie inżynieria genetyczna, to bez wątpienia nie w tym kształcie, jak kładą nam do głowy różni popularyzatorzy, czyli że będzie się udoskonalało ludzki gatunek, albo że na zasadzie klonacji, biorąc z błony śluzowej lub skóry pojedynczą komórkę, doprowadzi się w odpowiednich inkubatorach za pomocą odpowiednich bodźców do powstania bliźniaka tego człowieka, który był dawcą komórki. Nie sądzę, aby to mogło mieć inny sens poza kuriozalnym. Sensowne jest coś zupełnie innego, a mianowicie przejęcie pewnych generalnych zasad postępowania w obrębie produkcyjnym.

Najdokładniej widać okropną nędzę naszych obecnych technologii, gdy zestawiamy je z technologiami natury. Kiedy produkuje się dziś „sztuczne serce”, to za oczywiste przyjmuje się, że jego właściciel musi być podłączony (co jest jego jawnym nieszczęściem) do wielkiej pompy tłoczącej, która napędza to serce sprężonym powietrzem, albo że będzie nosić plecak z bateriami elektrycznymi. Tymczasem serce naturalne jest taką pompą, która „silnik” posiada wbudowany w swoje ściany. To tak dalece góruje nad naszymi rozwiązaniami, że nikt nie próbuje tego

w sensie technologicznym powtórzyć, gdyż jest to na obecnym poziomie wiedzy wręcz niewyobrażalne.

A teraz rozważmy sposób wytwarzania produktów przez człowieka. We wszystkich jego procesach produkcyjnych, od czasu kiedy wziął do ręki pierwszy otoczak i zaczął go ociosywać, mamy do czynienia z obrabiarką. Jest ręka ludzka i jest obrabiany przedmiot. W biologii taki podział w ogóle nie istnieje. Wszystko tworzy się „samo". Po prostu sama recepta produkcyjna „obraca się w ciało". To jest *differentia specifica* Natury. Cała moja i mojej *Summy* prognoza spoczywa na przekonaniu, że ludzie się tego nauczą. Tutaj powstaje szansa skoku rozwojowego.

Tylko na miłość boską: nie można myśleć, że to nas doprowadzi do szczęśliwości. To są głupie mrzonki o postępie: im szybciej kręcą się maszyny, tym szerzej się wszyscy uśmiechają. Szczęście ludzkości to zupełnie inna sprawa.

— *W pańskich prognozach dominuje ton kasandryczny. Ale od czasu do czasu przebija jakaś nutka nadziei. Skąd ona się bierze?*

— Skąd ja czerpię swój optymizm? Ależ on jest minimalny, gdyż stojąc w obliczu naszej cywilizacji, czuję się jak nad łożem bardzo ciężko chorego. Cóż tutaj mogą zrobić lekarze? Przede wszystkim należy zawołać księdza i przedsiębiorcę pogrzebowego.

Niestety, w kategoriach intelektualnych jest to perspektywa zupełnie nieciekawa, gdyż nie daje rozumowi żadnego pola do popisu. A ponieważ zależy mi na tym, abym mógł kontynuować prace myśli i wyobraźni, więc nie opowiadam tego, co jest prawdopodobne, a mianowicie, że ludzkość skończy ze sobą za mego życia lub niedługo potem. Jest to ewentualność dość prawdopodobna, choć nie aż tak prawdopodobna jak ta, że za trzydzieści lat nie będę już żył. Dlatego jestem skłonny przypisywać ziszczalność domniemaniom, że ludzkość będzie istniała dalej. A jeśli będzie istniała, to wszystko będzie inaczej niż teraz,

bo co czterdzieści lat wszystko się odmienia. Tyle że nie wiemy, czy potem pójdzie ku gorszemu, czy lepszemu. Osobiście, na podstawie tego, co się obecnie dzieje, obawiam się bardzo dwudziestego pierwszego wieku. Nie przypuszczam, aby możliwe było wprowadzenie rządu światowego czy jakiejś formy „etykosfery".

Czasem jednak zdarza mi się pomyśleć, że człowiek zdołał jednak wypowiedzieć słowa tak zdumiewające, jak chociażby *„miłujcie nieprzyjacioły wasze*". Jest rzeczą porażającą, że taka koncepcja uzyskała rangę jednej z panujących na świecie religii.

— *Fakt, to niezwykłe, zwłaszcza, że tą altruistyczną zasadą kierują się także zwierzęta. Ale z drugiej strony w imię tej i innych wzniosłych zasad popłynęły w historii ludzkości rzeki krwi.*

— Nie zapomniałem o tym. Dziś rano czytałem słowa pewnego księdza baskijskiego w książce o terroryzmie: *„Mordować, mordować, bomby rzucać, mordować*". Jak na księdza katolickiego są to dość osobliwe poglądy. Dziwne, że go zwierzchność nie zasuspendowała.

Jeszcze ciekawiej powiedział pewien protestant: *„Dopiero kiedy ostatni ksiądz zostanie powieszony na kiszkach ostatniego Irlandczyka, na świecie zrobi się przyjemniej*". Chociaż nie jestem katolikiem ani nawet chrześcijaninem — przecież przyjemniej mi, że powiedział to protestant, a nie katolik.

— *W tym akurat nie widzę źródeł wspomnianych resztek optymizmu.*

— Mimo wszystko jest postęp w dziedzinie nauk ścisłych, mimo wszystko czegoś się o świecie i sobie dowiadujemy, mimo wszystko system zabezpieczeń przeciwlosowych jest sprawniejszy niż parę wieków temu i „czarna śmierć" już tak nie grasuje. Chociaż to przykre, dziś dowiadujemy się, że głównym zagrożeniem dla człowieka jest sam człowiek. Nie zawsze tak było.

A poza tym czyż doprawdy można mi imputować choćby minimalistyczny optymizm? Czyżby to miało wynikać z tego, że piszę jeszcze książki, zamiast schować się pod biurkiem i czekać, aż wyczerpią mi się biologiczne siły organizmu? Znów powrócę do przykładu z Miłosza: jak stary ogrodnik przewiązuję pomidory w dzień końca świata.

Wyjaśniać świat

— Kiedy byłem chłopcem i spoglądałem w rozgwieżdżone niebo, wówczas przygnieciony ogromem nieboskłonu, na którym mrugały — jak mnie wtedy zapewniano — takie same, tyle że większe od naszego światy, biegłem do dorosłych i pytałem, skąd się to wszystko wzięło. Odpowiadano mi na ogół, że wszystko zawsze tak było i jest wieczne. Późniejsze lata przyniosły rozbicie tego i tak trudnego do zrozumienia stanu rzeczy, gdyż dowiedziałem się, że wszystko powstało z jednego ogromnego wybuchu. Nie powiem, aby poprawiło to moje samopoczucie poznawcze, bo po pierwsze zamieniono wyobrażenie na jeszcze trudniejsze, a po drugie przekonano mnie, iż tak naprawdę to nic nie wiadomo na pewno. Jak obecnie wygląda sytuacja? Czy eruptywna teoria powstania Wszechświata jest uznana za udowodnioną?

— No, niestety jest już paru takich uczonych mężów, którzy udowodnili, że ona wcale nie jest konieczna. Muszę jednak powiedzieć, że to są rekonstrukcje używające tak długich łańcuchów rozumowań opartych na dowodach pośrednich i nieweryfikowalnych w bezpośrednim teście eksperymentalnym, że można mówić tylko o wielostronnie uzasadnionych hipotezach. Wynika z nich, że był taki moment krytyczny, od którego można liczyć istnienie

Wszechświata. Ale też może być ktoś, kto powie, iż to wcale nie znaczy, że właśnie wtedy zaczął się Wszechświat, lecz że stało się z nim tylko coś niezwykłego. To może być fragment większej całości. To mógł być po prostu taki metagalaktyczny pęcherz, który nagle wyskoczył, i w którym my się właśnie znajdujemy. Ale może być też tak, że wcześniej było coś innego, po czym nie zostało już nawet śladów. Tu już jednak wkracza „brzytwa Ockhama": nie należy mnożyć bytów ponad konieczność. Nie ma żadnych danych potwierdzających, że wcześniej „coś" było, więc przyjmujemy, że było „zero".

Cofać się można wyłącznie do okresu oddalonego od wybuchu o 10^{40} sekundy, gdyż dalej zaczyna się niezgodność mechaniki kwantowej oraz ogólnej teorii względności. Tam już nic nie można odkryć.

— *Czy to znaczy, że „tam" obowiązywały inne prawa?*

— „To", z czego wszystko powstało, nazywa się singularnością — jest to takie miejsce, w którym absolutnie wszystkie prawa fizyki — a więc termodynamiki, elektromagnetyczne oddziaływania — nie działały. „Tam" było coś innego. Nie wiadomo co. Jest książka amerykańskiego fizyka, który otrzymał już chyba Nobla, Stevena Weinberga, pt. *Pierwsze trzy minuty*, w której wszystko zostało bardzo dobrze opisane. Po tej erze pozostało promieniowanie szczątkowe, które rzeczywiście jest wykrywalne aż do dzisiaj. Powszechnie więc przyjęta teoria *Big-Bang* zwyciężyła ostatecznie w świadomości astrofizycznej. A koncepcja zakładająca, że Wszechświat zawsze tak samo wyglądał i nic się nie zmieniło, przegrała, niestety, w tym starciu.

— *W pierwszym zdaniu stwierdził pan jednak, że teoria Big-Bang też została już podważona?*

— Proszę się tak nie niecierpliwić — już mówię. W tej chwili, *in statu nascendi* mamy nową koncepcję kosmologiczną, która ma odpowiedzieć na pytania, które

nękały bardzo fachowców ze ściśle matematycznego punktu widzenia. Są bowiem poważne kłopoty z wybuchową teorią powstania kosmosu z uwagi na to, że przy wybuchach nigdy nie dochodzi do całkowicie równomiernego rozmiecenia substancji wybuchającej, podczas gdy rozmieszczenie galaktyk i gromad galaktyk — aż po najdalszy zasięg optyczny i radioastronomiczny — jest zupełnie równomierne. W nim powinno być trochę nieporządku, a wszystko jest idealnie losowo rozrzucone. W uszczegółowieniu modelowym napotykamy więc poważne trudności, bo przecież każdy wybuch ma swoje prawa, które są niezłomne. W pierwszych ułamkach nanosekund wybuch ten działa jak każdy wybuch, co oznacza, że nie może się on rozprzestrzeniać z absolutną regularnością. Nie przybiera postaci kuli czy nadymanego balonu, lecz ma postać krzaczastą. Ze względu na daleko posunięte równomierności straszliwych mocy emisyjnych promieniowania zawartych w prabąblu wybuchającego kosmosu powinny były one ulec „zamrożeniu” i być możliwe do odczytania z dzisiejszego residualnego promieniowania czaszy niebieskiej. Niestety, to resztkowe promieniowanie jest absolutnie równomierne.

To jest tak fundamentalny kłopot, że nawet autorzy tej teorii nie śmieli schować go „pod dywanem”. W pierwszych ułamkach mikromiliardowych części sekund wszystko działo się z taką szybkością, że żadne mechanizmy kauzalne nie mogłyby doprowadzić do wyrównania temperatur i ciśnień. Wszystko, co ma charakter działania przyczynowego, może się rozprzestrzeniać — tu w dalszym ciągu obowiązuje ogólna teoria względności, a w tym wypadku nawet szczegółowa — z szybkością jedynie dopuszczalną, jaką jest szybkość światła. W tym wypadku jednak nawet ta szybkość nie mogłaby wystarczyć, aby to wszystko ujednolicić.

— I co w takiej sytuacji? Wyrzucamy teorię Big-Bang na śmietnik?

— Kiedy pewna teoria daje wyniki, które nie są do końca doskonałe, to wcale nie jest tak, że wszyscy ciskają ją za burtę i szukają nowej. Najpierw się szuka nowej, a potem konkurentkę przystawia się do starej. Jeśli nawet teoria jest całkiem niedobra i wszyscy wiedzą, że należy ją podpierać przy pomocy matematycznych sztuczek, które likwidują pewne nieskończoności… to jednak się to robi, proszę pana, bo nie ma nic lepszego na podorędziu. Kiedyś przyszła do nas pewna elegancka pani i siedziała boso, gdyż oddała buty do szewca, który je właśnie naprawiał. Przecież nie będzie chodziła z gołymi stopami po ulicy… Gdy nie ma lepszej teorii, trzeba się trzymać tej, która jest.

— *W takim razie muszę zapytać, czy dojrzewa już jakaś teoretyczna konkurentka? A jeśli nie, to proszę powiedzieć, jakimi metodami stempluje się starą koncepcję?*

— Próbuje się ratować ją twierdzeniami, że w wyniku wybuchu powstał nie jeden bąbel kosmiczny, ale kilka — czyli że powstało jednocześnie kilka kosmosów. Czasem, kiedy się dmucha w słomkę podczas zabawy w puszczanie baniek mydlanych, zamiast jednej bańki powstaje kilka razem zlepionych. Kiedy się przyjmie takie założenie, wówczas matematycznie i astrofizycznie wszystko zaczyna nieco lepiej wyglądać, gdyż możliwe jest, że inne kosmosy są — diabli to wiedzą — mniej regularne, a nasz bardziej „udany”. Każda z tych baniek jest oczywiście samoistna, więc my z wnętrza naszej bańki nie możemy już niczego więcej ustalić, bo tego zakazują nam podstawowe prawa fizyczne. Każdy z wszechświatów jest nieskończony, ale ograniczony. Tego nie da się zweryfikować, bo nie można doświadczalnie sporządzić kosmosu i sprawdzić, czy hipoteza ta jest prawdziwa. Z punktu widzenia empirycznego jest to kontrempiryczne, bo założenie bycia w kosmosie polega na tym, że wykroczyć poza niego nie można i nigdy nikt się nie przekona — bo jest to niemożliwe — czy istnieje jakiś inny kosmos. Z punktu widzenia ortodoksji empirycznej jest to już czysta metafizyka.

Różnie to można interpretować, lecz są to trudności, które świadczą o tym, że nie jest to już całkiem młoda teoria. Uważam, że powinna już powstać nowa. Nie tak łatwo jednak przejść od jednej koncepcji do drugiej. Z góry tego wymyślić nie sposób, chyba że ktoś się bawi tak jak ja. *Nowa Kosmogonia* z *Doskonałej próżni* — jest tą następną teorią. Ale to już jednak fantazja.

— *A jakie rysują się alternatywy?*

— Ciekawą koncepcję przedstawił podczas kolokwium w bońskim Instytucie Maxa Plancka prof. Izaak Chałatnikow z moskiewskiego Instytutu Fizyki Teoretycznej. Początek i koniec Wszechświata są według niego zasadniczo chaotyczne. Nie istnieje wtedy tak zwana jednostrumieniowa przyczynowość. Gdy materia znajduje się w nadzwyczaj silnym stanie skupienia, dalszy bieg wydarzeń jest, tzn. ma być, zasadniczo nieobliczalny. Nie wiadomo, czy „kosmiczny pęcherz" rozedmie się w taki Wszechświat jak nasz, czy się zapadnie w „poronieniu". O tym, co będzie, decyduje przypadek. Można by go też wyrazić słowami, że fizyka, jako zbiór praw natury, nie jest przedustawnie zadana z góry, ale kształtuje się współbieżnie z zajściami. Przez to właśnie rozwiązania równań ogólnej teorii względności mogą się od siebie mocno różnić, chociaż są w swym rozrzucie równouprawnione. Rosyjski matematyk i kosmolog prof. Aleksander Friedman przedstawił małą grupę takich definitywnych rozwiązań jeszcze w 1922 roku. Podług tej koncepcji dana fizyka powstaje z danym kosmosem i razem z nim się załamuje. „Wychodzimy z chaosu i w chaos wracamy". Oznaczałoby to, że ani jednoznaczne odtworzenie początków, ani końca nie jest zasadniczo możliwe. Wygląda na to jedynie, że procesy takie są w swoim przebiegu nieodwracalne, że kosmos nie może się zachowywać jak film, puszczony raz „normalnie", a drugi raz na odwrót. Tak więc widać, jak mój ulubiony czynnik, przypadek, zdobywa coraz wyższą lokatę w kosmologii,

co utwierdza mnie w przeświadczeniu, żem szedł właściwą drogą. Oczywiście prawdy tego rodzaju nie są żadnymi świadectwami uwierzytelniającymi jakość beletrystyki w kategoriach estetycznych, ale pod względem poznawczym „wszystko jest w porządku”. Zwłaszcza w mojej *Nowej Kosmogonii*.

— Proszę zatem powiedzieć, w jakim stopniu można traktować zobowiązująco teorię prof. Razgłaza zgłoszoną w „Dziennikach” — kosmos jako „byt na kredyt”. Wszechświat jako „dłużnik nicości”.

— To jest śmieszna historia, bo ja nie traktowałem jej poważnie i nie traktuję w dalszym ciągu. Teoria fluktuacyjna, zakładająca, że kosmos powstaje jako olbrzymie naruszenie nicości, jest metodologicznie poprawna i można tak rozumować, ale nie ma szans na przyjęcie. Muszą być jakieś kryteria. Koncepcja ta jest nieprawdopodobną elefantiazą zjawisk rzeczywistych, postrzeganych w skali najmniejszej. Czasami tak się zachowują mezony, gdyż naruszają prawa zachowania, lecz czynią to tak szybko, że właściwie nie naruszają, bowiem dzieje się to w „szparze” niemierzalności. Podobnie wygląda sprawa w teorii próżni fizycznej. Wiemy, że żadnej próżni fizycznej nie ma, bo wszędzie są cząstki wirtualne, jednak mają one to do siebie, że nie mogą się zrealizować, gdyż nie posiadają do tego energii. Jeśli wprowadzimy pewne kwanty energii, to one mogą się ujawnić, jednak robią to tak szybko, że nie można ich przychwycić na „gorącym uczynku”.

Wszystko dzieje się na pograniczu empirii, jeżeli rozumieć będziemy ją tak samo, jak rozumieli ją przyzwoici filozofowie natury. Logicznie więc teoria ta jest poprawna, ale doprawdy nie wiem, jakim doświadczeniem można by ją zweryfikować.

Kilka lat temu przeczytałem jednak w „Science News” podpartą matematycznie hipotezę amerykańskiego fizyka, postulującego, aby traktować kosmos jako fluktuację.

Nawet trzymałem ten numer przez pewien czas na półce na dowód, jak wielki teraz panuje na świecie tłok myślowy. Niepodobna, aby ktoś wymyśliwszy coś, pozostał z tym sam na świecie.

— Jest jakaś potworna dysproporcja pomiędzy światem wybuchających kosmosów, „łamiących się" gwiazd, niewyobrażalnych ciśnień, temperatur, obszarów, otchłani czasu, absolutnie zabójczych promieniowań i wszystkich trudnych do ogarnięcia procesów składających się na kosmogenezę a kruchością życia na Ziemi, słabością i ograniczeniem poznawczym gatunków ją zamieszkujących. Ta dysproporcja wydaje się jeszcze bardziej poruszająca, jeżeli założymy, że jesteśmy sami w kosmosie. Jak sobie tłumaczyć ten niezwykły wytrysk życia pośród piekła gwiazdowych czy galaktycznych erupcji? Wszystko zdaje się wskazywać, że biogeneza i związana z nią ewolucja to efekt jakiejś nieprawdopodobnej kosmologicznej ruletki.

— Moje rzetelne przeświadczenie każe mi powiedzieć, że dzisiaj daje się zauważyć coraz wyraźniej rozpoznawalny związek — i jest to więź wielozakresowa — pomiędzy własnościami fizycznymi Wszechświata, które posiadał on od samego początku swojego powstania, a zjawiskami powstania życia. Oznacza to, że gdyby mnóstwo stałych fizycznych, własności materii, elektronów, atomów, cząstek elementarnych czy praw fizycznych nie posiadało wartości dokładnie takich, jakie posiadają, to powstanie życia, a zatem i człowieka, byłoby niemożliwe. We współczesnej kosmogonii i kosmologii dość późno powstała koncepcja, wprowadzona w nieśmiały sposób przez zażenowanych astrofizyków, którą określa się mianem *antropic factor.* Na dobrą sprawę nie wiadomo do końca, jak ten czynnik traktować. Po prostu jest tak, że gdyby sporządzić spis własności materii, które niezbędne są do powstania życia, i których nieznaczne tylko przesunięcia zupełnie

udaremniłyby biogenezę, to lista taka musiałaby być nieprawdopodobnie długa.

Wcale nie jest tak — jak można by sądzić przed rozpoznaniem tych własności materii — że podobnie jak przy tasowaniu kart czy rzucaniu kośćmi, czyli drogą czystego mechanicznego powtarzania losowych rozkładów tych nieprawdopodobnych kombinacji kosmicznych danych wyjściowych, można było uzyskać biogenezę. Wcale tak nie jest. Gdyby u początków kosmogenezy nastąpiły choćby niewielkie zmiany, to nigdy by nie doszło do biogenezy.

Można bardzo dokładnie przedstawić, w kategoriach fizycznych i matematycznych, rozmaite rodzaje powstających kosmosów, które uniemożliwiają powstanie pewnych związków chemicznych, pewnych rodzajów reagowania tych związków, a zatem czynią zupełną niemożliwością powstanie czegoś takiego jak kod dziedziczny czy molekuły biologiczne.

Tutaj tkwi jakaś ogromna zagadka. Nie wolno już zgodzić się na dotychczasowy, tradycyjnie obojętny ontologicznie, choć poprawny scjentycznie model, który głosi, iż jest niesłychana różnorodność możliwych kombinacji wyjściowych stanów kosmosu i stanów materii. Nie jest wcale tak, że jeśli ktoś będzie przez miliardy lat grał w kosmicznego brydża, to w końcu doczeka się wielkiego szlema w postaci życia. Aby on się w końcu złożył, należy mieć określone karty oraz muszą być przyjęte określone reguły gry. Wydaje się, że w tej grze karty były tak rozdane, a warunki gry tak „ustalone”, jakby zdawała się ona uwzględniać możliwość zakiełkowania procesu biogenetycznego. Nazywam to wielką zagadką, której nie umiem rozwiązać i dlatego ostatni wykład Golema zamknąłem wielkim zdaniem, które ma być rekapitulacją jego poglądów na sprawy kosmologii i kosmogonii oraz sprawy życia w kosmosie, a zbudowane jest tak chytrze, że można je traktować amfoterycznie i rozbudować wokół niego całą sieć interpretacji.

— Nie chcę strzelić głupstwa, ale z tego, co pan mówi, zdaje się wynikać, że dopuszcza pan myśl, iż wszystkie procesy kosmogenezy zostały „zaprogramowane" na powstanie biogenezy, a zatem człowieka. Jak rozumiem, sugeruje to zarazem intencjonalność kreacji, a zatem umieszcza u prapoczątków kosmosu jakiegoś — boję się wyartykułować to wobec zakamieniałego agnostyka — Stwórcę.

— Jest to dla mnie fascynujące, bo nie mogąc dać zgody na żadną postać osobowego kreatora — tu rzeczywiście jestem zakamieniałym ateistą — i odmawiając personalnych własności temu, co dało początek światu, dostrzegam równocześnie nieprzypadkowość bądź niedostateczne wyjaśnienie w akcie postulowania całkowitej przypadkowości powstania życia, a więc i człowieka. Tutaj w mojej ontologii i w moim myśleniu zieje potworna dziura, której nie potrafię niczym zapełnić. Niczym! To jest jednak dylemat, który za dziesięć, pięćdziesiąt albo pięćset lat może okazać się czymś pozornym. Wynika z tego, że żaden człowiek, a zatem i ja, nie może wyskoczyć ze swej skóry ani z chwili historycznej, gdyż horyzont wiedzy, w którym tkwimy, jest nieprzekraczalny. Jestem tutaj — powtórzę — na samym dnie mojego myślenia ontycznego. Jedyne więc, co mogłem zrobić, to zdać sprawę z tego stanu rzeczy w oparciu o najpewniejsze fakty, ustalenia i diagnozy. One właśnie prowadzą nas do tego dziwnego miejsca, w którym musimy postulować akt narodzin kosmosu jako zjawiska czysto fizycznego, a zarazem dostrzegać takie właściwości tych narodzin, które są sfokalizowane w ten sposób, że umożliwiły powstanie życia.

Nie jestem zresztą wyłącznym prekursorem na tym polu, gdyż jest taki nieortodoksyjnie myślący astrofizyk amerykański, Freeman John Dyson, który w swojej autobiografii *Disturbing The Universe* snuje podobny wątek myślowy, nie mając zresztą zielonego pojęcia, że gdzieś

na świecie, na jakiejś podkrakowskiej półwsi — Klinach, ktoś zdążył to już powiedzieć.

Antropic factor to nie jest rzecz, którą astrofizyk może tylko dziecku do snu opowiedzieć. Tu jest coś na rzeczy! Jestem czymś więcej niż agnostykiem, więc na podstawie tego, że życie nasze wygląda tak przykro i nieciekawie, nie mogę przystać na to, że jest jakaś ciemna moc, która włada światem, bądź stwórca ze znakiem ujemnym, który dla igraszki stworzył kosmos z takimi możliwościami.

— *Ależ skąd taki wniosek? Z tego, że życie sprawia wrażenie stworzonego, a nie zrodzonego z ewolucyjnej ruletki, wcale nie wynika, że sprawiła to ciemna siła kreacyjna.*

— Związek pomiędzy brzegowymi warunkami powstania kosmosu i biogenezą nie daje się traktować w jakichś jednoznacznie rozłącznych kategoriach dobra i zła. Jeśli istoty ludzkie, które dzięki niezwykle skupionemu — nie chcę powiedzieć, że intencjonalnie utworzonemu — powiązaniu danych własności natury zostały „zamierzone”, to trudno z kolei zrozumieć, czemu najpierw wchodzą w fazę cywilizacji technicznej, a potem dążą w kierunku technologicznej pułapki, z której nie ma innego wyjścia niż autolikwidacyjne. Nie chciałbym się tu poddawać swojemu przyrodzonemu pesymizmowi, ale to są konstatacje graniczne.

Podmiot myślący nie ma dostatecznych podstaw ani dostatecznego oparcia w faktach dla diagnozy, która by mówiła, że było „zaplanowane” utworzenie istot rozumnych, a potem wprowadzenie ich w pułapkę, bądź danie im takiej szansy uratowania się, którą muszą zmarnotrawić, gdyż popełniły grzech pierworodny czy też z niej zrezygnowały. Tutaj powstaje zagadka, która ma jednocześnie charakter fizyczny i metafizyczny. W jej obrębie nie można stworzyć żadnej spójności myślowej. Dzisiaj nie można nic więcej powiedzieć. Wszystko to zresztą jest nie tyle artykulacją moich filozoficznych

przekonań, ile raczej dylematów i rozdarć — tu nie mam żadnej pewności.

— Czy pan zbyt łatwo nie osądza tych biednych istot, które wloką na swoich plecach cały bagaż ewolucji naturalnej, oczekując od nich jakichś cudów autosterowalności?

— Pewnie, można bawić się w takie hipotezotwórstwo, które ma pokazać, że każdy kolejny krok w ewolucji naturalnej był przypadkowy, ale i konieczny w kategoriach hipotezy ergodycznej. Znaczy to, iż zgadzamy się, że działania okrutne, drapieżne, klasyfikowane jako działania spod znaku Zła, są wywodliwe z głębokich trzewi ewolucji naturalnej czy nawet z fizyki kosmosu. Ale czy to nie ma charakteru adwokackiej mowy obrończej i rozpaczliwego uniku? Możemy oczywiście użalać się nad sobą, ale nie mamy prawa, w jakie wyposażył Dostojewski Sonię Marmeładową — powoływania się na niezmiernie fatalne okoliczności obiektywne, które nie dały jej możliwości wyboru, bo tatuś był biedny, rodzina biedna, ona nie miała się z czego utrzymać, więc musiała się skurwić. Nie mamy takich bezwzględnych kryteriów, które pozwoliłyby odciąć się od tego rodzaju usprawiedliwień i wyprowadzić naszą sytuację na „czystą wodę".

— Z jednej strony uważa pan, że ludzkość jest w ślepej uliczce, a z drugiej przecież rysuje pan w „Golemie" czy w „Nowej Kosmogonii" koncepty psychozoików, co pozwala mniemać, że nie uważa pan technologicznej pułapki za całkowite „więzienie".

— Można naturalnie, aby sobie ułatwić życie, postulować mnogość zamieszkanych światów. Tylko że wtedy sprawa okropnie banalnieje. Wybieg ten znaczy bowiem, że uznajemy, iż ludzkość jest aberracją, a my jesteśmy jak dziewczę, które dla bardzo tanich uciech i satysfakcji kompletnie się skurwiło, a potem wykonuje projekcję samoobronną, twierdząc, że każda niewiasta jest kurwą

podszyta, podczas gdy tamta w istocie należy do mniejszości.

Można postulować w sposób abstrakcyjny wielość światów zamieszkanych, na których rzeczy przebiegają pomyślniej, a tym samym uznawać, że jesteśmy w rodzinie kosmicznej przykładem godnym napiętnowania. Ponieważ jednak nie mamy żadnych danych na domniemanie, jakoby inne cywilizacje istniały — ostatecznie wszelkie poszukiwania spełzły na niczym — więc tym samym wykraczamy poza obręb nauki i wchodzimy w obszar fantastycznej literatury, która poza dobrą wolą i abstrakcyjną chęcią zacnego samooskarżenia, a także przeniesienia lepszych losów na „innych" nic więcej nam nie proponuje.

Nad tym wszystkim jednak — co przypominam — króluje ta zagadka, o której mówiłem, a mianowicie, że nie da się sprowadzić powstania życia na ziemi wraz z człowiekiem do czystej losowości. Wyglądałoby na to, że ktoś zrobił sobie z nas okrutny żart i jest odwrotnie, niż powiadał Einstein: *raffiniert ist der Herrgott, aber boshaft ist Er nicht* (Pan Bóg jest wyrafinowany, ale nie złośliwy). Wszystko bowiem wskazywałoby, że „To", co stworzyło kosmos, było bardzo wyrafinowane i niezmiernie złośliwe, gdyż wszystko jest tylko wznoszącą się budowlą, która musi się zapaść w ruinę.

— Spójrzmy na kwestię jeszcze inaczej. Pan mówi: świat nie został stworzony, ale wygląda, jakby był stworzony. Alfred Testa z „Nowej Kosmogonii" powiada: „Czysto odruchowo sądzimy (...), że cały świat materialny ostro podlega takiej dychotomii logicznej: albo został stworzony przez Kogoś (...) — albo też nie został przez nikogo stworzony: a wówczas znaczy to (...), że nikt go nie stworzył. Otóż Acheropoulos powiedział: Tertium Datur". Ta trzecia możliwość to koncepcja kosmosu jako Gry. Pan w to wierzy?

— To jest zabawna rzecz. Oczywiście, że ja w to nie wierzę, ale gdyby mi ekspert powiedział, że coś w tym jest, to bardzo bym się ucieszył. To jest koncepcja nieprawdopodobna ze względu na jej totalne odstrychnięcie się od wszystkich współczesnych wyobrażeń na temat kosmosu. To jest bardzo zgrabny falsyfikat, tak chytrze uwiarygodniony, iż niezwykle podoba się fizykom i kosmologom.

— *Trudno mi w takim razie nie powrócić raz jeszcze do kwestii szans na kontakt z inną cywilizacją. Zawsze wyraża się pan o tym sceptycznie, ale widzę, że chciałby pan wierzyć.*

— Myślę, że i to jest zagadką, na którą w obecnym horyzoncie wiedzy nie ma żadnej, absolutnie żadnej odpowiedzi. Gdyby nawet Ktoś albo Coś napisało do nas „list” płomiennymi literami na nieboskłonie, to i tak byśmy jego treści nie zrozumieli. Do tego nie dorośliśmy cywilizacyjnym poziomem. We wszystkich moich książkach, które tej kwestii były mniej lub bardziej poważnie poświęcone, przedstawiałem kolejne — często wykluczające się — warianty wyjaśniające zagadki *silentium universi.* Najlepszą na to odpowiedź dał pewnie Golem: Wysoki Rozum nie ma o czym gadać z pętakami.

Nalimow, na którego się już powoływałem, uważa, że gdyby nawet dochodziły do nas jakieś sygnały, muszą one być wyartykułowane w jakimś języku. Jeśli rozziew cywilizacyjny, kulturowy i biologiczny będzie zbyt wielki — a tak być chyba musi — to my z tego nie zrozumiemy nic. Można naturalnie twierdzić, że tkwimy w morzu sygnałowym, lecz ze względu na brak odpowiednich środków nie jesteśmy w stanie tych sygnałów rozpoznać i wychwycić. Traktuje o tym *Głos Pana.* Wydaje mi się jednak, może najfałszywiej w świecie, że w tego rodzaju odpowiedzi jest jakiś unikowy banał. Tutaj wszystko sprowadza się do tego, że nie mamy odpowiednio sprawnego „radia” i koniec. A gdybyśmy mieli, to „inni” nas

elegancko o wszystkim poinformują. Nie, zagadnienie jest inne.

Ono ściśle łączy się z tym, o czym mówiliśmy wcześniej: z jednej strony prawa natury są „wycelowane” w życie, a z drugiej implikowana przez to powszechność jego powstawania i Rozumu w kosmosie wcale nie jest faktem. Wygląda tak, jakby „Coś” stworzyło Wszechświat po to tylko, aby w jakimś mikroskopijnym punkcie mogło powstać życie rozumne. Jest tu sprzeczność, bowiem — jak mówiliśmy — ta straszliwa nadmiarowość kreacji, destrukcyjny charakter wszystkich przemian gwiazdowych i te hekatomby trupów, z których składa się ewolucja, nie dają się pogodzić z żadną zacną intencją. Tu nie ma miejsca na żadną wersję teogonii i teodycei. To jest jakiś piekielny problem.

— Proszę mi powiedzieć, skąd w panu przekonanie, iż obce cywilizacje (jeżeli istotnie są) zmierzać muszą w kierunku technologicznym (na przykład astroinżynierii)? A może te cywilizacje trwają od pradziejów niezmienne, trochę jak ryby głębinowe, tkwiące wciąż w tej samej postaci na dnie oceanów?

— Ależ to odpowiada również moim przekonaniom. Tylko jeżeli istnieją cywilizacje, które nie poruszają się w kierunku technologicznym, to są one absolutnie niewykrywalne i nie można z nimi nawiązać kontaktu. A zatem traktujemy je tak, jakby ich w ogóle nie było. *Per analogiam* powiedziałbym tak: liczba kobiet, z którymi nie będzie pan utrzymywał stosunków erotycznych, a które żyją na ziemskim globie, jest ogromna, niemniej nie wynika z tego, że te kobiety nie istnieją. Na planecie mieszczącej prawie pięć miliardów ludzi jest to prawda z gatunku banalnych. Musimy zatem stawiać na cywilizacje rozwinięte, bo z innymi kontaktu nawiązać nie można. Gdyby nawet tylko jeden promil cywilizacji obrał kierunek technologiczny, to i tak jest to nasza jedyna deska ratunku

— jako dla szukających kontaktu — bo nic innego nam nie pozostaje.

Ale też nie spodziewajmy się niczego specjalnego po takim kontakcie. Radzę zrobić takie proste doświadczenie: proszę wziąć do ręki traktat Arystotelesa *O niebie* i spojrzeć, co sądzi on o ciałach niebieskich. Powołuje się na różne oczywistości, które są dla nas wszystkim, tylko nie oczywistościami. A przecież to był anatomicznie taki sam człowiek jak my. Okazuje się nagle, iż nawet porozumiewanie się ludzi pochodzących z różnych epok historycznych nie jest wcale rzeczą prostą, gdy nie ogranicza się do łyżki, talerza, i tego, co się na nim znajduje.

— Twierdzi pan w swoich książkach, że dla powstania Rozumu są niezbędne następujące warunki: nieduża grawitacja, stałe natężenie promieniowania kosmicznego, zmienność środowiskowa. Czy nie dokonuje pan przypadkiem ekstrapolacji praw naszego globu na prawa całego kosmosu?

— Gdybyśmy mieli dużą grawitację, to wszystko byłoby dokładnie rozpłaszczone i nic z niczym nie mogłoby się jak należy połączyć. Jeżeli zaś będziemy mieli do czynienia z potężnym nasileniem promieniowania, wszystko będzie się tylko żarzyło w ciemności, gdyż temperatura będzie wynosiła trzy tysiące stopni Celsjusza. Jak pan sobie wyobraża tam życie?

— Te argumenty przypominają mi pana opowiadanie, w którym pozazaziemski filozof tłumaczy młodemu człowiekowi, że na Ziemi nie jest możliwe życie.

— Tam jest to przesolone, bo to groteska.

— Schemat rozumowania jest taki sam: na Ziemi nie jest możliwe życie, gdyż tam panują warunki inne od naszych.

— Są fizycy, którzy powiadają, że nie jest do końca wykluczone powstanie życia na gwiazdach neutronowych, gdzie panuje potworne ciśnienie, elektrony są wtłoczone do jąder atomowych, a jądra tworzą ciecz jądrową. Życie

polega więc na tym, że poszczególne nukleony mogą pełnić funkcję molekuł. Nikt sobie nie wyobraża, jak tam jest, ale nie wydaje mi się niemożliwe, że coś tam jest.

Warunki takie, o jakich pan wspomniał są potrzebne nie tyle dla powstania Rozumu, ile raczej dla przebiegu ewolucji, która by doprowadziła do jego powstania. Mniejsza bowiem o to, czy będą to ciała białkowe czy niebiałkowe — rzecz w tym, że jeśli warunki, w których to życie będzie zawieszone, okażą się opresywne i będzie ono nadmiernie masakrowane, wówczas żadnego długodystansowego trendu nie wytworzy. Jeżeli natomiast będzie tam panowała stagnacja typu „rajskiego", to oczywiście organizmy zatrzymają się na bardzo niskim poziomie rozwoju i Rozum też nie powstanie, gdyż wszystkim ustrojom, jako glonom czy algom, będzie się żyło doskonale i nie będzie żadnego ciśnienia w kierunku doskonalenia się gatunków. Musi wystąpić specyficzny zestrój: ani za dużo, ani za mało. Ostateczny wyrok w tej kwestii wydał w drugiej przemowie Golem, więc zdaję się na niego.

— Filonous w „Dialogach" powiada, że zasady działania mózgu we wszystkich zakątkach Wszechświata muszą być takie same. Czy to nie jest optyka skrajnie antropocentryczna?

— Jest inaczej. Zależy na jakim poziomie chcemy to rozumieć. Funkcjonowanie mózgu kury, która chodzi po podwórku, różni się znacznie od działania mózgu ludzkiego, ale na poziomie elementarnym mamy do czynienia ze zjawiskami podobnymi. I to nie tylko na poziomie ziarnistości podstawowej, czyli atomu bądź nawet związków chemicznych, ale również tam, gdzie mózg działa jako specyficznie ośrodkowy układ nerwowy, tam gdzie następuje przełączenie i przewodzenie bodźców. Podobieństwo może być zachowane nawet przy innym budulcu. Podstawowe zasady działania komputerów są przecież takie same jak pracy ludzkiego mózgu — elementy

logiczne, przepuszczanie bodźców bądź ich zatrzymywanie itd.

Z tych samych materiałów budowlanych — bo to są czynnościowe „cegiełki” — można jednakże zbudować zarówno bazylikę Świętego Piotra, jak i zgoła nieciekawe koszary. Oczywiście nie powiadam, że wszystko jest takie samo, lecz twierdzę, iż sposób przetwarzania informacji przez każdy układ w rodzaju mózgu musi być zasadniczo taki sam z uwagi na to, że wszędzie w kosmosie panują te same prawa fizyczne, a zatem dotyczy to też teorii informacji. Nie przeszkadza to jednak w żaden sposób przeświadczeniu, że jeśli przyjąć istnienie istot pozaziemskich, to ze względu na odmienną historię powstawania ich mózgów muszą się one znacznie różnić od naszych. Z tożsamych czynnościowo elementów można budować nad wyraz nietożsame czynnościowe całości. W tym momencie, jak pan widzi, nie jestem już na pewno antropocentrystą, lecz zgoła jego przeciwnikiem.

— Kończąc te rozważania o Innych, pragnąłbym jeszcze zapytać, co sądzi pan o miliardowych wydatkach na stały nasłuch kosmosu i o wszystkich pracach wykonywanych — przez bądź co bądź wybitnych badaczy — w ramach CETI?

— CETI ledwie zipie. Mają jeszcze jakieś sympozja, bo kto ich nie ma, ale jakie to ma znaczenie. Co oni tam uradzą!

Przede wszystkim nie ma na to już pieniędzy. Był taki projekt amerykański o nazwie Cyklop, który przewidywał wydatki rzędu miliarda dolarów na niesłychanie skomplikowane, skuteczne, a zarazem błyskawiczne skalowanie nasłuchowe kosmosu. Niestety, pieniądze poszły na rakiety, ładunki plutonowe, nowoczesne myśliwce i inne bomby czy granaty. Nie ma pieniążków, więc nikt nie będzie już tego robił. Na razie.

Ale to jest tylko jeden problem, związany z poszukiwaniem innych cywilizacji. Istnieje jeszcze drugi, ale tej kwestii muszę już poświęcić malutki wykładzik. Otóż

każda galaktyka składa się z tak zwanych rękawów spiralnych. Nasza ma zdaje się dwa. Te rękawy się obracają, lecz gwiazdy, z których się one składają, kręcą się z inną szybkością niż rękawy, gdyż nie składają się one tylko z gwiazd, lecz są jakby falami zagęszczenia. W związku z tym te gwiazdy, które kręcą się wolniej, dostają się periodycznie w obręb spiralnych rękawów, a potem z nich wychodzą. Układ Słoneczny wraz z Ziemią mniej więcej raz na pół–półtora miliarda lat dostaje się w głąb rękawa. W środku jest bardzo nieprzyjemnie — duży tłok astrofizyczny sprawia, że wybuchy Nowych mogą całkowicie unicestwić życie.

Aby lepiej to panu wyjaśnić, opowiem o stolnicy. Kiedy gospodyni wyrabia ciasto, to najpierw je rozrabia, a potem wraz z drożdżami wkłada do jakiejś formy, gdzie pozwala mu rosnąć. Nie daj Bóg wtedy trącić, bo opadnie. Jest faza wyrabiania i faza bezwzględnego spokoju. Podobnie jest z protoplanetarną mgławicą słoneczną. Gwiazdy otoczone obłokami materii stellarnej nie bardzo chcą i potrafią same z siebie wytworzyć planety. Potrzebny jest swoistego rodzaju „pych”, który dają Nowe lub Supernowe, wybuchające względnie niedaleko. W tym momencie nie mamy jeszcze gwiazd — jest tylko rozpylony gaz i twarde promieniowanie, które zabija wszystko. Idąca jednak fala uderzeniowa umożliwia powstanie krystalizacyjnych ośrodków protoplanetarnych, z których wyłania się piękny układ planetarny. Ponieważ wiemy, że na gwiazdach życie rodzić się nie może, a jest to możliwe na planetach, więc taki udar promienisty jest pożądany.

Teraz musi nastąpić czas spokoju dla kosmicznego „ciasta” — przez parę miliardów lat ma panować zupełny spokój. Prawdopodobnie analogicznie było z naszym układem. Prędkość obrotowa gwiazd względem ośrodka galaktyki oraz prędkość poruszania się spiralnych rękawów jest prawie taka sama. Różnica jest minimalna, więc dość rzadko do tego przechodzenia dochodzi. Słońce jest jednak

odrobinę szybsze, więc ten rękaw systematycznie dogania, przechodzi przezeń, by po iluś miliardach lat wejść w następny. Prawdopodobnie w momencie wychodzenia stamtąd wybuchnąć musiała Supernowa — na obrzeżach ramion wybuchy są statystycznie częstsze — w wyniku czego powstał system planetarny i na Ziemi przez miliard czy półtora miliarda lat życie mogło się kształtować w spokoju.

— *Czyli za jakiś czas znowu wejdziemy w rękaw?*

— Oczywiście, zdarzy się to za jakiś miliard lat i istoty, które będą zamieszkiwały Ziemię — jeśli będą — mogą mieć bardzo poważne zmartwienia. Wewnątrz rękawa jest bowiem dużo większe zagęszczenie pyłów, a poza tym ewentualny wybuch Supernowej, nawet w odległości kilkudziesięciu jednostek astronomicznych, spali wszystko na amen.

Sumując, należy zatem powiedzieć, że poszukiwanie życia tam, gdzie planety często wchodzą w rękaw i często z niego wychodzą, jest bezsensowne, bo czas relaksacji jest zbyt mały, by życie mogło się rozwinąć. Jeśli jednak poruszają się one w nazbyt odległej peryferii, też nie jest dobrze, bo jeśli stare gwiazdy odstają od rękawa, to nie ma szansy, aby otaczający je obłok przekształcił się w planety. A jeśli się nie przekształci, to nie ma żadnych szans na biogenezę. Można zatem w to życie — choć w dość gruby sposób — celować. Istnieje pewien obszar wyróżniony. Należy jednak wprowadzić zastrzeżenie, bo wszystko zależy od szybkości obracania się ramion rękawa. Na zasadzie efektów Dopplerowskich można tę prędkość obliczyć, ale wtedy, gdy są one dobrze ustawione wobec nas jako obserwatorów tejże galaktyki. Na razie jednak wiele nam z tego nie przyjdzie. Rozmieszczenie planet, które mogą być oazami życia, nie jest więc w mgławicach losowe, bo są tam pewne pasma preferowane. Nadzieje nie mogą być wielkie, bo jak słusznie powiedział Golem, kosmos nie jest wcale pełen

życzliwców posyłających braciom w Rozumie pozdrowienia oraz bezpłatne licencje produkcyjne. Ta wiara przygasa, choć są jeszcze tacy, co w tym po cichu „dłubią”. Osobiście nie mam nic przeciwko nasłuchom, bo jeśli alternatywą jest inwestowanie w prace nad ładunkami uranowymi i plutonowymi dla celów militarnych, to całym sercem staję po stronie wytężania uszu ku kosmosowi, bo to jest czynność niewinna. Ale cóż, mój głos, podobnie jak głos innych entuzjastów tej sprawy, nie jest zbyt donośny.

— Jest pan jedynym bodaj nienaukowcem biorącym — jeśli dobrze wyczytałem — udział w pracach CETI. Jaki pan ma stosunek do podejmowanych tam dyskusji?

— Ponieważ byłem nieobecny na radziecko-amerykańskiej konferencji w Biurakanie na Krymie, poświęconej poszukiwaniom innych cywilizacji — wspominałem już, dlaczego nie mogłem tam pojechać — napisałem małą rozprawkę, która została zamieszczona w tomie zawierającym materiały z tej sesji. Postulowałem tam, aby CETI założyła własną grupę autofuturologiczną. Chodziło mi o rozważenie, co stanie się z dzisiejszymi koncepcjami na temat rozmieszczenia, funkcjonowania i ewoluowania cywilizacji kosmicznych, jeżeli w ciągu dwudziestu do stu lat, mimo rozwijania technik nasłuchu, nie otrzymamy żadnych wyników. Jaką zastosować wówczas taktykę? Czy tak jak prof. Josif Szkłowski, który zresztą był jednym z założycieli tego ruchu, rzucić wszystko w diabły i powiedzieć, iż w kosmosie nikogo nie ma, czy też poszukiwać bardziej okólnych koncepcji i hipotez.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w panu żarzy się jeszcze iskierka nadziei.

— Już dość namnożyłem koncepcji na temat Innych. Mówiąc bardzo ostrożnie, czynnik intencjonalności nie jest w kosmosie nieobecny. W sensie intencjonalności kosmos poza Ziemią nie jest próżnią, niemniej nasze wyobrażenia na temat kierunków rozwoju cywilizacji kosmicznych i sposobów ich zachowywania się w zakresie

sygnalizacyjno-komunikacyjnym są z gruntu fałszywe. Czuję to, proszę pana, jakoś w „kościach”, bo nie mam na to żadnych podstaw: nie wierzę w możliwość przybycia Innych na Ziemię i nie wierzę w możliwość odebrania zrozumiałych sygnałów. Nie wiem dlaczego! Wszystkie wyjaśnienia są symplifikacjami. Przy tym wszystkim nie uważam jednak, aby Ziemia była w kosmosie jedynym punktem żywym. Siedzi mi w głowie myśl, że Oni są inni, więc zachowują się inaczej, niż sobie to potrafimy wyobrazić.

Pewien dowcipny wydawca zachodnioniemiecki ogłosił ankietę pod hasłem: „Jak zareagowałby pan na wylądowanie na Ziemi człekokształtnych istot z innej planety?” Wypowiedziała się masa różnych pisarzy i polityków, łącznie z synem feldmarszałka Erwina Rommla, który jest burmistrzem. Byłem jednym z nielicznych, którzy odrzucili taką możliwość. A ponieważ w liście odmówiłem udziału w ankiecie, twierdząc, że nie będę się zajmował konsekwencjami zjawisk niemożliwych, więc ów wydawca sfotografował mój list i zamieścił w książce wraz z innymi wypowiedziami. Był to jedyny przypadek w moim życiu, kiedy otrzymałem honorarium za list odmowny.

— W posłowiu do „Summy technologiae” pisał pan o odkryciu obiektów gwiazdopodobnych, które na tyle zaprzeczają fundamentalnym prawom fizyki, że nie można odrzucić możliwości, iż są to zjawiska astroinżynieryjne. Jakie były dalsze losy tego odkrycia i jak wpłynęły na fizykę?

— Chodziło tam o kwazary. Fizyka na szczęście się uratowała. Wtedy wszystko wskazywało na to, iż nie ma żadnych mechanizmów, które pozwalałyby generować tak ogromną ilość energii. Potem jednak, po szczegółowych obliczeniach okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. W nauce — jak już mówiłem — nie jest tak, że jeżeli coś nie gra, to oświadcza się zaraz, iż fizyka się

przewróciła, lecz poszukuje się dalszych uzgodnień. Prędzej czy później okazuje się, że jest do uratowania.

Są na przykład ciała, które dla obserwatora ziemskiego poruszają się z szybkością pozornie nadświetlną. Jest to złudzenie, choć nie złudzenie zmysłów, będące efektem szczególnego ruchu tych ciał i usytuowania ich względem obserwatora, bo jeśli ruch odbywa się pod odpowiednim kątem, to promienie dobiegają do nas w ten sposób… (*Lem kreśli omawiany układ palcem w powietrzu*). Gdy rzutujemy tak właśnie to ciało, jakbyśmy sądzili, że kieruje się prosto na nas, to wydaje się, że porusza się z szybkością większą niż szybkość światła. Jeśli jednak dokonamy poprawek uwzględniających jego rzeczywisty tor w oparciu o przesunięcia się jego widma ku czerwieni, okazuje się, że ciało to porusza się z szybkością ogromną, prawie przyświetlną, ale szybkości światła nie przekracza.

— *Jak pan ocenia możliwość naukowych zbłąkań?*

— Nauka jako całość nie błądzi. Zdarza się to tylko w takim sensie, że pojawi się jakiś Łysenko bądź, tak jak w Niemczech hitlerowskich, władza zażąda naukowego potwierdzenia ideologicznej bredni, a wówczas kupa dyspozycyjnych uczonych rzuci się do roboty. Ale to nie są zbłąkania nauki, lecz zbłąkania pseudouczonych.

— *Nie zaprzeczy pan jednak, że zdarzają się w nauce „ślepe uliczki”, gdy uczeni rzucają się hurmem tam, gdzie nic nie ma.*

— Z tym bywa różnie. Są na przykład sytuacje, gdy pewnego typu badania zamierają, gdyż jakiś umysł wyhodował koncepcję przedwcześnie. Było trochę takich zwariowanych dziwaków. Wiemy na przykład, że czterysta lat przed Chrystusem Arystarch „wymyślił” system heliocentryczny. Nie zachowało się to nawet w jego pismach. Wiemy o tym wyłącznie z relacji innych filozofów. Niestety w tamtej epoce nie można tego było w żaden sposób zweryfikować. Podobnie było z angielskim filozofem Francisem Baconem, który na trzysta lat przed rewolucją

naukowo-techniczną prorokował pojawienie się latających maszyn, urządzeń chodzących po dnie oceanów czy podnoszących ogromne ciężary. Jak na owe czasy też były to niezwykłe przepowiednie.

Poza tym zdarzają się „ślepe uliczki" wynikające z ogólnie fałszywego nastawienia. Znana jest na przykład teoria flogistonowa z epoki przedtermodynamicznej, która głosiła, że istnieje substancja, nazwana wówczas flogistonem, uczestnicząca aktywnie w procesie spalania. Cóż, nie wiedziano przecież wtedy nic o tlenie. Ta koncepcja została potem obalona i skorygowana.

Jeszcze inny rodzaj naukowego dryfu następuje, gdy zdarzą się tacy ludzie jak pewien biolog, który aby udowodnić swoją teorię, malował doświadczalnym salamandrom plamy farbą na grzbiecie. Kiedy go zdemaskowano, popełnił samobójstwo. Tutaj mamy do czynienia z namiętną chęcią udowodnienia swojej tezy, która sięga z determinacją po fałszerstwo.

Nieco inna historia zdarzyła się z promieniami N. Kiedy Wilhelm Röntgen wykrył słynne promienie X, wówczas zapalony patriotycznie i subiektywnie nieposzlakowany fizyk francuski Renè Blondlot wykrył promienie N. Wielu ludzi potwierdzało ich istnienie, a odkrywca otrzymał chyba nawet jakieś nagrody naukowe. Przypadkowo odkrył mistyfikację, wynikającą tylko ze zbiorowej sugestii, Ernest Rutherford czy ktoś inny, ale tej samej miary. Odbywało się to wszystko w zaciemnionym laboratorium, do którego właśnie przyjechał ów wybitny uczony, by sprawdzić rewelację. Zaczął po omacku ruszać niezbędnymi do eksperymentu filtrami, lecz zanim zdołał je osadzić na właściwym miejscu, nieszczęsny odkrywca, przekonany, że wszystko się już zaczęło, rozpoczął relacjonowanie swoich odczuć. To był błąd, który zdarza się czasem, gdy efekty są na pograniczu wyczuwalności. Zbiorowa sugestia, jak wiadomo, może przenosić góry. Gdyby zajął się tą kwestią freudysta, zapewne powiedziałby,

iż podświadomość Francuzów, urażona faktem dokonania wielkiego odkrycia przez Niemca, domagała się odkrycia ekwiwalentnego.

Znamy też inną możliwość błądzeń. Wiemy, że nowa wojna może wybuchnąć, gdy generałowie poprzedniej odejdą na emeryturę lub do grobów. Tak samo nowa, wspaniała i rewolucyjna teoria potrzebuje, by głosiciele i adherenci poprzedniej odeszli. Ogólna teoria Einsteina została praktycznie potwierdzona w 1915 roku w czasie zaćmienia słońca, co ogłoszono w Królewskim Towarzystwie Naukowym. Czy sądzi pan, że cały świat naukowy padł na twarz?

— *Z pańskiego triumfalnego tonu wnoszę, że nie padł.*

— Bo tak właśnie było. Philipp Lennard — niemiecki laureat Nagrody Nobla, siedząc w cieniu hitlerowskich pieców, przeklinał Einsteina wraz z całą „żydowską” fizyką, a w szczególności „ohydną teorię względności” do końca dni swoich. Do tej pory wszystkie wielkie doświadczenia pozytywnie zweryfikowały tę teorię, a przecież mimo to powstało wiele jej — gorszych i lepszych — konkurentek. Ta „słabszość” nie jest zresztą wcale taka prosta. Głównym mankamentem ogólnej teorii względności przy całym jej pięknie i prawdziwości jest matematyczna kłopotliwość. Gdy trzeba na przykład posadzić rakietę na Księżycu, nikt nie posługuje się teorią Einsteina, lecz Newtona, wprowadzając w ostatniej fazie poprawki. Jeśli bowiem wraz z komputerami zabierzemy się do teorii Einsteina, to w rozsądnym czasie nie uzyskamy potrzebnych wyników. Mamy więc przykład bardzo dobrej teorii, która świetnie się sprawdza i wszystkim imponuje, ale jednak budzi zastrzeżenia. Koncepcji, która ich nie budzi i pasuje na wszystkie okazje, praktycznie nie ma. Każda potężna teoria otoczona jest kręgiem konkurentek, które próbują ją nadgryzać.

Poza tym jak odróżnić sytuacje, gdy pojawia się taka konkurentka, która później uzyska prym, od sytuacji

wchodzenia w „ślepą uliczkę”? Kryteria nie mogą być ostre. Do dzisiejszego dnia istnieją fundamentaliści, którzy negują istnienie ewolucji naturalnej i twierdzą, że świat i życie zostały stworzone tak, jak to jest opisane w *Starym Testamencie.*

Gdybym pogrzebał nieco w głowie, pewnie przypomniałbym sobie różne smakowite historie rzeczywiście potwierdzające, że takie ślepe uliczki się zdarzają. Na przykład słynna hipoteza Pierre’a Fermata, który na marginesie jakiejś książki napisał, że ma dowód na sumy kwadratów pewnych liczb. Wszyscy rzucili się do szukania tego dowodu. Wydaje się, że on wprowadził matematyków w ślepą uliczkę, bo prawdopodobnie ten dowód zabłysnął mu nagle intuicyjnie i wydał się wiarygodny, podczas gdy był fałszywy. Wiele może być przyczyn, które wprowadzają naukę w ślepe uliczki, ale też nauka po jakimś czasie porzuca je i wchodzi na właściwe tory. W swojej omylności jest ona zatem nieomylna.

— *Sądzi pan zatem, że scjentyzm nie zna zwyrodnień?*

— Przede wszystkim, proszę pana, ja nie wiem, co to jest scjentyzm. To znaczy wiem, ale jednocześnie nie wiem, bo różni ludzie podają nader różne jego definicje. Można spotkać katolika, marksistę, ale jeszcze nigdy nie spotkałem scjentysty. Różne osoby krytykują scjentyzm, więc pewnie wiedzą, co to jest. Ja nie wiem. Słyszałem, że scjentysta to taki człowiek, któremu wystarcza nauka i który wyprowadza z niej dyrektywy na wszystkie okazje żywota. Ale to nie jest prawda, bo nauka nie jest urządzeniem dyrektywnym. Jeśli ktoś powie, że chce wystrzelić w kosmos rakietę, to proszę bardzo: wchodzimy na teren wiedzy ścisłej, wszystko obliczamy i programujemy. Ale jeśli powiemy, że zależy nam na uszczęśliwieniu ludzkości, to żaden uczony się przed nami nie zjawi. A nawet przeciwnie — będą się chowali po mysich dziurach.

To, co podaje się przeważnie za scjentyzm, z reguły wcale nim nie jest. Kiedyś nawet brałem udział w dyskusji

w „Znaku”, gdzie można spotkać „zawodowych” katolików intelektualistów, ale to nie są księża, bo mają dzieci oraz żony, a także nie posiadają święceń — nie mówię tego *ad personam* — i oni zdają się wiedzieć, co to jest scjentyzm, gdyż mówią, że jest ohydny. Dla nich jest on zwyrodniałą formą, w jakiej prezentowane są pewne koncepcje naukowe, ekstrapolowane na dziedziny, w których nauka nie ma nic, zupełnie nic do roboty — szczególnie w aksjologii. To niepoważne, nie warto się tym zajmować.

— *Proszę może określić, jakie wydarzenie czy odkrycie w świecie fizyki uważa pan za kluczowe w dwudziestym wieku?*

— Jeżeli spoglądać pod kątem perspektyw wynikających z danego ustalenia, to wydaje mi się, że takim kluczowym wydarzeniem jest upadek nadziei na istnienie cząstek elementarnych, których katalog byłby możliwy do zamknięcia. Okazuje się bowiem, że przy odpowiednich oddziaływaniach można uzyskać „wszystko ze wszystkiego”. Można to unaocznić następująco: jeśli mamy zastygłe w niskiej temperaturze kawałki gliny, to po podgrzaniu ich i oblaniu wodą uzyskamy maź, z której możemy ulepić, co nam się tylko podoba. Podobnie jest z materią. Najpierw był pramodel — atom jako mikroskopijny model słoneczny, potem przyszła klasyczna mechanika kwantowa, potem elektrodynamiczna, potem relatywistyczna, potem przyszły kwarki i tak dalej. Fizycy byli zrozpaczeni. Przedtem były jeszcze jakieś odpowiedniości nazw: ładunek, spin, lecz potem zrezygnowano z tej konwencji onomastycznej, bo są byty, które w obrębie naszego sensorium nie mają żadnych odpowiedników. Bogactwo tych przemian jest nieprawdopodobne i pełnego katalogu tych przemian nigdy się chyba nie utworzy. Nazwa „atom” miała świadczyć, że jest on niepodzielny; nazwa cząstki elementarnej miała oznajmiać, że jest ona elementarna. Atom nie jest atomem, cząstki elementarne nie są elementarne, próżnia nie jest próżnią — wszystko jest inaczej. Prowadzi nas to ku bardzo

odmiennemu obrazowi świata od tego, który nam patronował jeszcze trzydzieści lat temu. Tutaj rozpościerają się przed nami niezwykłe i szerokie horyzonty możliwości.

— *Dla takiego laika jak ja brzmi to niemal jak proklamacja indeterminizmu.*

— Nie, to nie jest „zwyczajny” indeterminizm. W porównaniu powiedziałbym następująco: ilość perwersji seksualnych, jakim ulega człowiek, jest właściwie nieskończona, bo ostatecznie można się masturbować wszystkim: książką, łyżką, papierosem, sztuczną szczęką i szklanym okiem, ale wcale z tego nie wynika, że wszystko jest możliwe, bo nikt na przykład nie zgwałci chmury. Tego się nie da zrobić z powodów czysto instrumentalnych. To samo w fizyce: bogactwo transformizmu jest niewyobrażalnie wielkie, ale to nie znaczy wcale, że wszystko jest dozwolone. Istnieją ścisłe zakazy, które powoli poznajemy.

Warto też wspomnieć jeszcze o fascynującej własności materii polegającej na tym, że istnieje ona tylko w pewnym przedziale ciśnienia, temperatur i grawitacji. Jeśli bowiem spojrzymy dla przykładu na dostatecznie dużą gwiazdę, która się zapada, to okazuje się, iż materia zapada się w nicość.

— *W jaki sposób to się dzieje?*

— Ona sama wyciska siebie z czasoprzestrzeni.

— *Dokąd?*

— Do „nigdzie”, do punktu. Świadczy to o tym, iż nieściśliwość cząstek elementarnych — hadronów, nukleonów czy leptonów, nie jest własnością bezwzględną, gdyż po przekroczeniu pewnych parametrów ciśnienia grawitacyjnego stają się one ściśliwe nieskończenie. To jest już poza granicami fizyki, która ogłasza tu swój własny upadek, bo nie jest w stanie przewidywać, co się dzieje „głębiej”. Ale to bardzo dobrze rokuje na przyszłość. Nie sądzę, by nasze wiadomości miały się na tym zatrzymać. Będzie coś nowego. Tyle że jeszcze nie wiadomo co.

— Chciałbym teraz przesunąć „celownik” naszej rozmowy na temat ewolucji. Od wielu lat pisze pan na nią donosy i paszkwile, niemal jak mieszkańcy spartaczonych wieżowców do spółdzielni mieszkaniowych. Mówiąc krótko, traktuje pan człowieka — celowo to wyostrzam — jako bubel, który został wyprodukowany przez firmę o nazwie ewolucja. Jak oddzielić rozwiązania nieuniknione od „łataniny” i improwizacji?

— Na ten temat można napisać przynajmniej jednotomową encyklopedię. Nie mamy żadnej możliwości ustalenia, co jest wynikiem pewnych konieczności i nieodzowności procesu ewolucyjnego, gdzie produktem końcowym jest człowiek, a co jest efektem rozmaitych przypadkowości i wyboczeń. Nie posiadamy żadnych danych na ten temat. Dlatego właśnie paszkwil na ewolucję znajdujący się na końcu *Summy* jest wielce niezupełnym wyliczeniem mankamentów, które jej zawdzięczamy. Wszystko jest tam dość fragmentaryczne i dla mnie samego dzisiaj dość kontrowersyjne. Ale przy tytule stoję dalej: *Paszkwil na ewolucję.* Dziś można byłoby to znacznie sumienniej wyłożyć, niż mógł to zrobić tamten laik, piszący w pośpiechu tę książkę.

Niemniej podtrzymuję to wszystko i rzeczywiście wiele z tego, co powiada również Golem w pierwszej i drugiej oracji, wyraża moje poglądy na ten temat. Istotnie sądzę, że stare, wleczone przez gatunki rozwiązania ewolucyjne mocno dają się nam we znaki. Przecież posiadamy jeszcze części mózgu należące filogenetycznie do płazów, gadów czy nawet do ryb. Nad nimi nadbudowały się kolejne piętra i często doświadczamy przez to kolosalnych sprzeczności. W *Non serviam* wypowiedziałem żartobliwie i ryzykownie tezę, która zafascynowała amerykańskich specjalistów od komputerów i sztucznej inteligencji, że świadomość jest efektem ogromnych napięć i sprzeczności, że jej powstanie jest swoistym wybiegiem — nasadzeniem „czapki” tam, gdzie żadnej jednolitości nie ma. Świadomość

w rzeczywistości jest korkiem pływającym na wzburzonych falach emocji i zaburzeń, które od spodu próbują ją tak czy inaczej ukierunkować, podczas gdy ona próbuje być zawiadowczynią tych wszystkich procesów. Czy tak jest istotnie? Nie mam pojęcia. To bardzo zuchwała hipoteza.

„Ewolucja jest sumowaniem się błędów wynikających z przesyłu plazmy dziedzicznej” — to jest w pewnym sensie dla efektu aforystycznego naciągnięte. Z jednej strony należy sądzić, że przekazy informacji tak złożonej strukturalnie jak dziedziczna — oparte przecież na niciach koloidowych typu nukleotydowego, które jeszcze zanurzone są w różnych „sosach” komórkowych — nie mogą trwać nieuszkodzone przez ruchy Browna przez miliardy lat; z drugiej zaś wiemy, że istnieją geny, które zmniejszają i zwiększają mutacyjność, że są pewne mechanizmy wewnątrzkomórkowe, które potrafią mutacyjność zmniejszać, a uszkodzenia reperować. Nie wiadomo jednak, czy ewolucja nie zareagowała na te pomyłki, bo nie mogła, czy dlatego, że „nie chciała”? Oczywiście jedno i drugie jest okropną personalizacją, więc można tylko rzec, że proces optymalizował się i uzyskiwał lepszą stateczność w kategoriach czystej dynamiki biochemicznej, a potem także populacyjnej, kiedy te mutacje uzyskiwały maksimum, które nie stanowiło optimum, bądź wahały się pomiędzy optimum a maksimum.

— *Czasem się zastanawiam, dlaczego ewolucja nie ograniczyła się do organizmów prostych?*

— Ja też nigdy nie mogłem zrozumieć — brzmi to jakoś głupio — jaki „interes” ewolucja mogła mieć w tym, że nie ograniczyła się do bakterii, lecz wzięła się za takie awangardowe eksperymenty, jakimi są wielokomórkowce. Można oczywiście powiedzieć, że skoro ona nie jest żadnym autorem, to niczego nie chciała. Nie mogła chcieć się popisać, bo nie było przed kim. Ewolucja działa przy użyciu tej samej strategii, jaką stosuje płynąca rzeka — posuwa się tak, jak może. Tutaj jest tak wiele rzeczy i procesów

sprzecznych, że zachodzi konieczność pewnych kompromisów. Ewolucja wykształciła w gatunkach ogromną ilość taktyk przeżywania i niestety jedne taktyki wykluczają drugie. Nie ma jednej doskonałej, więc musi dochodzić do kompromisów.

Równowaga biocenotyczna jest dzięki temu zawsze chwiejna. Dobór naturalny działa wprawdzie stabilizująco, ale tylko do pewnej granicy, bo jeśli działa zbyt dobrze i jest doskonałym statecznikiem, to w momencie ogromnej perturbacji klimatycznej czy astrofizycznej może nastąpić hekatomba całej plejady gatunków, co zdarzyło się w mezozoiku z jaszczurami i dinozaurami. Wtedy właśnie gatunki, które były wcześniej nieudacznikami sceny życiowej, to znaczy ssaki, powyłaziły ze swoich nor i w ciągu dziesięciu milionów lat przejęły tę schedę. Widać z tego, że ewolucja jest takim graczem, który przychodzi do kasyna i nie lokuje sztonów na jednym polu, lecz na wielu.

Radiacje ewolucyjne często brały się nie z nacisku warunków zewnętrznych, lecz z losowego kumulowania się pewnej puli genowej w określonej populacji, co powodowało pojawienie się cech nie posiadających charakteru adaptacyjnego. Równie wielkie znaczenie miał dobór seksualny, ale ta kwestia jest często trudna do weryfikacji. Były na przykład takie pancerniki — nie potrafię bliżej określić gatunku — które miały na plecach półtorametrowe „sztachety” z kolców ościstych. Nikt jeszcze nie wyjaśnił, do czego im były potrzebne. Jest hipoteza, dość naciągana, że to była chłodnica. Jeśli jednak nie, to zawsze pozostaje zrozpaczonym paleontologom taka ewentualność, że to się podobało samicom. Niestety tego nie da się sprawdzić, bo o żadnym przeprowadzeniu wśród nich ankiety mowy nie ma, gdyż po pierwsze, wymarły, a po drugie, niewiele ciekawego by nam powiedziały. Tych czynników, które mogą być kwalifikowane jako

przypadkowe, może być tak wiele, że nie potrafimy na ogół tego rozsegregować.

— *Jak pan spogląda na kwestię antropogenezy? Od czasu do czasu słyszy się o jakichś nowych wykopanych kościach czy czaszkach bądź skalnych malowidłach, ale jakiegoś syntetycznego obrazu wciąż brakuje.*

— Co do antropogenezy, to nie widzę aż tak specjalnych problemów. Jeśli jest to skomplikowane i zawiłe, to przede wszystkim dlatego, że na tym obszarze odbywała się bardzo kręta hybrydyzacja. Poszczególne grupy gatunkowe, które wyszły od antropoidów i zaczęły w wyprostowanej pozycji biegać na południu Afryki, popadały w długotrwałą, wielotysiącletnią izolację, a potem się krzyżowały. Powstawały też swoiste wysepki tych hominidów i stąd rodzą się te straszne klasyfikacyjne kłopoty. Jeśli się jest paleontologiem zajmującym się antropogenezą i pragnie się liniowo uszeregować te pierwociny człowieka na skali chronologicznej, robi się z tego taki gąszcz splotów, że za diabła nie chce się to udać.

I tak mamy sporo szczęścia, że podziały wypadły w porządku ras, co ujawnia się w barwie skóry i drobnych odmiennościach antropologicznych, bo gdyby objęły również ustrój mózgu, mielibyśmy znacznie większe problemy. Proszę wyobrazić sobie, co by to było za nieszczęście, gdyby przy krzyżowaniu się ras ludzkich dochodziło do bezpłodnych hybrydyzacji, a jej efekty były takie jak przy krzyżowaniu osła z mułem.

— *Czym pan tłumaczy wszystkie habitatywne zrywy wielkich grup praludzkich?*

— Hordy w czasach przedhistorycznych rzeczywiście miały jakiś szalony napęd, skoro przepchały się przez Cieśninę Beringa — inna rzecz, że wtedy był „most” lądowy z Ameryką — i docierały aż do terenów dzisiejszego Meksyku, gdzie z koczowników powstawały państwa Majów, Inków czy Azteków.

Rzeczywiście jest zastanawiające, co tak gnało tego człowieka pierwotnego. On dosłownie nie mógł usiedzieć na miejscu. Mówi się oczywiście, że biegał tak za stadami bawołów czy szablastych tygrysów — jest to możliwe — ale z drugiej strony każdy gatunek zwierzęcy ma swój *habitat*, którego nie opuszcza. Na ogół nie jest tak — pomijając wędrowne ptaki — by zwierzęta przebywały po sześć do ośmiu tysięcy kilometrów w ciągu roku. Nigdy nie przeczytałem ani słowa roztropnego wyjaśnienia na ten temat.

— *A dlaczego nastąpiła potem stabilizacja?*

— Pan mnie traktuje jak encyklopedię, która ma ujednoznaczniać to, co jeszcze nie jest w nauce ujednoznacznione. Wydaje mi się, że tym czynnikiem było powstanie języka. Jeszcze nie tak dawno temu sądzono, że okres rozwoju ludzkiego, licząc od hominidów, wynosił mniej więcej milion lat. Dziś mówi się już, że przynajmniej dwa. Wszystko jednak jest tu umowne, bo nie można na skali kalendarza narysować kreski i powiedzieć: w tym miejscu powstał pierwszy człowiek. W sumie więc to wszystko dość długo trwało, ale dlaczego nastąpiło to znieruchomienie ewolucyjne dla Buszmenów, Murzynów czy rasy kaukaskiej (białej)? Została postawiona jakaś niewidzialna bariera. Golem przedstawił koncepcję wziętą z sufitu, bo sądzę, że jakiś typ czynnika stabilizującego musiał zadziałać — nie wiemy tylko, co to za czynnik i jak się przejawił.

— *Jako gatunek szczycimy się przede wszystkim naszą inteligencją, podczas gdy pan twierdzi, że nie jest ona wcale warunkiem sine qua non lepszej adaptacji czy przeżywalności gatunku. Jakie są na to dowody?*

— Wie pan, jeżeli mamy inteligentnego faceta w szesnastym wieku, który zacznie zastanawiać się nad ortodoksyjnymi prawdami wiary katolickiej na własną rękę, to taki człowiek ma znacznie większe szanse skończyć

na stosie niż tępak, który nie będzie się porywał na takie roboty myślowe.

— *W jednej z poprzednich rozmów mówiliśmy o neandertalczyku, który miał mózg większy od mózgu dzisiejszego człowieka. Nie powie pan chyba, że właśnie z powodu pojemniejszej głowy wyginął?*

— Neandertalczyk, o ile wiadomo, nie pozostawił żadnych rysunków, które wykonał uzdolniony artystycznie *homo primigenius*, który pojawił się jakieś sześćdziesiąt tysięcy lat temu. Odlewy czaszki, ośrodek Paula Broki (dawniej zwany ośrodkiem Broca) — to są rzeczy bardzo dyskusyjne wśród specjalistów, więc jako dyletant nie śmiem wchodzić w to bez przygotowania.

Inteligencja nie jest istnością uprawniającą do wszechzakresowych działań. Można ją nader różnie rozumieć. W odniesieniu do człowieka obejmuje to zwykle zdolność transferu nabytych umiejętności z jednej dziedziny na drugą, z jednego pola receptorów na drugie. Na przykład pies nie jest zdolny do działalności symbolizacyjnej, podczas gdy dla człowieka nie jest to żaden problem i nie wymaga od niego specjalnej inteligencji. Ona jest na ogół jakoś skupiona, a więc mówimy o inteligencji werbalnej, motorycznej i tym podobnych, trudno zaś traktować wszystkie *en masse*.

— *A jak się ma poziom inteligencji do potencjału kreacyjnego?*

— Robiono takie badania i proszę sobie wyobrazić, że nie widać żadnych korelacji. Do tego potrzebne są wartości kwantyfikowalne, konieczne są też pewne skale. Istniejące więc testy pomiarów zdolności kreacyjnych są zwykłym mydleniem oczu. Proszę na przykład sporządzić skalę wartości literackich. Na szczycie umieści pan dramat elżbietański, ale co będzie na drugim czy trzecim miejscu? Kto był większym malarzem: Rafael czy Leonardo? To jest w ogóle niekwantyfikowalne.

Całą sprawę potencjałów kreacyjnych, uzdolnień wynalazczych, naukowych itp. należy wyrzucić za burtę i milczeć, zajmując się inteligencją reprodukcyjną albo tą, która zajmuje się wykonywaniem zadań. Prawdziwym źródłem postępów jest bowiem umiejętność ich stawiania. W testach zdani jesteśmy wyłącznie na modelowe odpowiedniki teoretyczne i abstrakcyjne zadań, za narzędzie mamy swój mózg, a efektorem jest ołówek. Dowiadujemy się tylko tego, co badany potrafi zrobić z zadaniem.

W ogóle istnienie baterii testów mierzących inteligencję, które byłyby niepodległe wpływom kulturalizacyjnym, jest poważnie kwestionowane. Prawdopodobnie nie ma testów neutralnych kulturowo. Dziecko wychowane w Melanezji nie może występować jako partner dziecka amerykańskiego. Byli wprawdzie tacy „testomani", którzy twierdzili, że istnieją miary absolutnie obiektywne, ale to mija się z prawdą. Testy zawsze są skażone pewną etnocentrycznością.

— *W swoich książkach twierdzi pan, że o poziomie inteligencji decyduje przede wszystkim dziedziczność. Dlaczego w takim razie nie powoduje to dryfów rodzinnych w kierunku „genialnienia" czy idiocenia?*

— Powodowałoby, gdybyśmy tylko mieli do czynienia z zamykaniem się kręgów rodzinnych. Gdyby było tak jak w wierszu Tuwima, że „spotkali się w święto, o piątej pod kinem miejscowa idiotka z tutejszym kretynem", a „następnie się zwarli w uścisku zmysłowym tutejsza idiotka z kretynem miejscowym", to bez wątpienia dorobiliby się syna idioty. Na szczęście istnieje polimiksja i panmiksja i wszyscy ze wszystkimi się krzyżują.

Takiej hekatomby inteligencji, jaką przyniosła okupacja, jeszcze nigdy naród polski nie przeżył. No i co? Po wojnie wieś weszła do miasta i w skali narodowej wcale nie widać spadku inteligencji. Oczywiście tej inteligencji, którą mierzą testy, a nie tej, która wynika z wadliwego systemu

szkolnego. Jeśli dawano nauczycielom najniższe pensje, to wprowadzono selekcję negatywną i skutki są wiadome.

O inteligencji decyduje dziedziczność, ale kombinowanie się cech, jak uczy tego genetyka populacyjna, nie jest proste. Jeśli weźmiemy silnie heterogeniczną populację o normalnym rozkładzie, okaże się, że najwięcej mamy osobników wzrostu średniego, a gdy następnie zaczniemy wybierać na homozygotyczność tylko najwyższe pary, to w krótkim czasie uzyskamy potomstwo o wzroście wysokim, ale dalej proces ten już się nie posunie, bo została wyczerpana cała zmienność. Co wtedy zaczyna się dziać? Pojawia się panmiksja i krzywa przesuwa się nieco w prawo, bo przeciętnie wszyscy są nieco wyżsi — trochę, ale nie za bardzo. Jeśli odnieść to nie do wzrostu, lecz do inteligencji — która nie jest jednostronna i jednoskalarnie mierzalna — jest to znacznie bardziej skomplikowane. Chociaż znane są grupy genów, które decydują o inteligencji, to nie jest też tak, że można ją wyselekcjonować i hodować w liniowym przyroście, bo pojawi się wspomniana krzywa normalnego rozrzutu.

— *A jakie są dowody decydującego wpływu dziedziczności na przekazywanie cech?*

— Dowody dają badania, o kilkudziesięcioletniej historii, nad bliźniętami jednojajowymi. Obserwujemy tu rzeczy budzące aż dreszcz niesamowitości. Jeśli jeden z bliźniaków zapadnie na gruźlicę, to zapadnie i drugi. Przy chorobach nowotworowych nawet daty śmierci są zbliżone. Oczywiście środowisko życiowe wywiera swój wpływ i może nie dopuścić do ujawnienia się pewnych cech, ale też nie doprowadzi ono nigdy do pojawienia się cech, których nie było w zalążku. Jeśli w kanale dziedzicznym nie było na przykład uzdolnień matematycznych, nie da się ich zastąpić żadnym wykształceniem.

— *Okularnik wykrywa różnice temperatur rzędu jednej tysięcznej stopnia; słuch moli reaguje na drgania naddźwiękowej echolokacji nietoperza; niektóre ryby*

wyczuwają zmianę napięć rzędu jednej setnej mikrowolta; oko ludzkie reaguje na pojedyncze kwanty światła. Bóg raczy wiedzieć, jak wiele innych wspaniałych wynalazków trwoni jeszcze ewolucja. Skąd więc u pana taka nieufność wobec telepatii na przykład? Argumentuje pan, iż taki wynalazek zostałby przez nią niewątpliwie zdyskontowany. Ale jeśli ewolucja okazuje się tak rozrzutna przy tylu wspaniałych „pomysłach", to skąd przekonanie, że nie wrzuciła do kubła na śmieci telepatii?

— Aby argumentem tym zająć się szczegółowo i przedstawić rzeczywistą bezzasadność uroszczeń telepatii w zakresie ewolucyjnym, musiałbym przysiąść fałdów i wysmażyć osobną pracę na ten temat. *Stante pede* nie wypada zastępować sumiennie udokumentowanego wywodu apodyktycznością i kategorycznością. Obecnie jednak inaczej postąpić nie mogę. Są pewne subtelności dyferencjacyjne zmysłów — bo to wszystko prawda, co pan powiedział — które są przeżywalnościowo bardzo użyteczne. Nie można tego jednak dowolnie przenosić z gatunku na gatunek, bo wyposażony w orle oczy tasiemiec niewiele miałby z nich pożytku.

Spójrzmy więc na sprawę inaczej. Owady ewoluują jakieś czterysta milionów lat, podczas gdy człowiek zaledwie trzy miliony. Owady miały więcej szans na wyhodowanie telepatii.

— *Ale w ich prostym systemie nerwowym taka zdolność nie mogła się zrodzić. Na to nie wystarczą węzły brzuszne. Potrzebny jest mózg wyższego rzędu.*

— Więc przejdźmy wyżej. Gady ewoluowały sto milionów lat. Wiem, zaraz pan powie, że mózg gada był na to za mały i potrzebny jest mózg ssaka. Tutaj mamy już obszar „tylko" czterdziestu, pięćdziesięciu milionów lat, lecz może pan arbitralnie powiedzieć, że na to nie wystarczy mózg wilka, lecz konieczny jest mózg naczelnych. No wie pan, na to nie ma żadnego kontrargumentu. Były konie z Eberfeldu, ale one nie odczytywały żadnych myśli, tylko reagowały

na najmniejsze drgnienia mimiczne. Tutaj trzeba się ograniczyć do czegoś konkretnego.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą biologom, że międzyosobnicze przekazywanie stanów systemu neuralnego wprost byłoby bardzo korzystne. Trudno podać sytuację, w której byłoby to nieużyteczne. To nie jest więc własność, która mogłaby być odsiana jednorazowo, lecz podlegałaby odsiewowi wielokrotnemu. Jest bowiem rzeczą symptomatyczną, że pewne urządzenia narządowe i tkankowe, które sprzyjały przeżywalności gatunków, powtarzały się jako ewolucyjne wynalazki wielokrotnie. Są znane na przykład grupy żółwi, które wytworzyły pancerze raz z tkanki kostnej, a więc ze szkieletów, a raz z ektodermy, czyli z utwardzonej skóry. Pochodzenie tych szkieletów jest więc odmienne, ale wygląd i funkcja są tożsame. Są to wynalazki zupełnie od siebie niezależne i występujące w przedziałach czasowych rzędu wielu milionów lat. Takich przykładów można podać więcej. Nic się takiego nie stało ze zjawiskami telepatycznymi.

Były próby takich interpretacji, gdy zastanawiano się nad sposobem budowania kopców przez termity, które, jak wiadomo, są niemal ślepe, a budują ścianki kopców z dwóch stron, gdzie precyzyjnie schodzą się one w kopułę. Okazało się jednak, że tutaj działają różne tropizmy — jedna grupa budująca czuje zapach drugiej i według tego orientują się podczas prac budowlanych. Podobnie jest z ćmą, która jest w stanie przywabić samca z odległości kilometra. Nie ma tu żadnej telepatii, gdyż okazało się, iż wydziela ona pewne substancje zapachowe. Przyzna pan, że oba wynalazki są godne podziwu. Dalipan, nie potrzeba tu żadnej telepatii. Próbowano więc „przyczepić” różnym zwierzętom telepatię, ale dokładniejsze badania utrąciły te wysiłki.

Gdyby telepatia miała istnieć, bez wątpienia pojawiłaby się w ośrodkach wodnych. Organizmy żyjące w wiecznych ciemnościach nie musiałyby sięgać po hermafrodytyzm ani

po świetlne lampki, za pomocą których się przywabiają. Gdziekolwiek spojrzymy, telepatii nie ma. Moc zbiorów przeczących jej istnieniu jest zbyt wielka, by móc uznać to zjawisko za wytwór ewolucji.

Jest za to inna możliwość, lecz trudno ją wyartykułować. Istnieje taki bazowy charakter samej struktury czasoprzestrzennej materii, który sprawia, że w pewnych okolicznościach może dochodzić do zupełnie niezrozumiałych równoległości. Coś jakby monady. To są słynne „zegary bez okien", które funkcjonują równolegle, i chociaż wcale nie rozmawiamy, to jednak każdy z nas zachowuje się jak nastawiony zegar, tak że wygląda na to, iż rozmawiamy, podczas gdy w rzeczywistości pan nie słyszy, co ja mówię, ani ja tego, co pan.

Nie można wykluczyć, że jest coś takiego. Zawsze stałem na stanowisku, że wszystkiego nie wiemy. To zjawisko jednak — pisałem o tym w jakimś artykule — jeśli zostanie rozpoznane, to bez wątpienia nie jako czytanie myśli, ale jako coś zupełnie innego. Ale być może nie ma w tym niczego. Nie powiem już ani słowa więcej, bo i tak dostałem już za to wielkie lanie. Od zwolenników telepatii za to, iż nie chcę uznać istnienia telepatii, od przeciwników zaś za to, iż dopuszczam jedną na milion szansę, że coś tam da się jednak „uskrobać".

— Generalnym przesłaniem „Golema" jest postulat opuszczenia więzienia, w jakie wpędziła nas ewolucja, zamykając w czterech ścianach ciała i mózgu. Wychodzi pan zatem z przekonania — nie formułowanego zresztą w tej książce expressis verbis — że z ludzkiej głowy nie można nic więcej wycisnąć. Czytałem jednak w paru pracach, że ludzki mózg pracuje zaledwie na ułamku swoich możliwości.

— To jest nieprawda! Rezerwy te istnieją, ale w zupełnie innym sensie. Nadwyżki można uzyskać tylko poprzez inne metody kształcenia i uruchamianie dodatkowych motywacji. Nie mamy w mózgu żadnych uśpionych obszarów. To są

bajania wywiedzione z antropologicznej mitologii, a nie rzetelnej wiedzy. Znajdujemy się raczej w punkcie krytycznym i dochodzimy do granicznych możliwości mózgu. Jeśli zajmujemy się murowaniem lub chałupniczym wyrobem butów, to posiadamy jeszcze rezerwy, ale jeśli poświęcamy się na przykład fizyce, dochodzimy do wartości krytycznych. Pamięciowa chłonność człowieka jest ograniczona, tempo zaś przetwarzania informacji w stosunku do komputerów wręcz skandalicznie niskie.

— I tu wsiada pan na swojego ulubionego konia, że należy powierzyć naszą przyszłość komputerom?

— Górujemy nad nimi tylko inteligencją, gdyż one są puste duchowo, a zatem głupie, ale to się zmieni i one przegonią nas bardzo szybko. Jestem o tym przekonany. Nie wiem, czy nastąpi to za czterdzieści, czy za dziewięćdziesiąt lat, ale wiem, że nastąpi. To będzie oczywiście bardzo przykre. W pierwszej fazie wypieranie człowieka nie musi nastąpić w sferze kreacyjnej, lecz to tylko kwestia czasu. O tym też mówił Golem, bo jak wiadomo (*śmiech*), on mówił o wszystkim.

— Pan już skazał i pogrzebał człowieka, a ja chciałbym jeszcze przez moment rozważyć, czy wyrok jest sprawiedliwy. W jednej ze swoich książek napisał pan, że pamięć ludzka posiada o milion elementów więcej, niż ujawnia to w czasie rozbudzenia świadomości. Czyli w stanie podświadomości mamy jakby więcej informacji. Przed chwilą jednak stwierdził pan, że mózg nie posiada żadnych rezerw. Jak to ze sobą uzgodnić?

— To są różne rzeczy, proszę pana. Mówiąc o rezerwach, miałem na myśli koncepcję, która głosi, że mózg ludzki dysponuje ogromną nadmiarowością, której żadna epoka jak dotąd nie obudziła z latentnego uśpienia. Natomiast rzecz, którą uważa pan za sprzeczność, pochodzi z innej parafii. Odpowiem anegdotką. Kiedy miałem dwanaście lat i byłem już małym intelektualistą, ojciec kupił mi podręcznik jazdy na nartach. Przed pierwszym założeniem

desek przeczytałem go od A do Z, a była to mądra książczyna, napisana przez znanego wówczas narciarza szwedzkiego. Byłem więc wybitnym teoretykiem narciarstwa, bo wszystko z niej zapamiętałem, lecz na oślej łączce waliłem się ze zdumieniem raz po raz w śnieg. Przetransponowanie mojej wiedzy na czyny jakoś nie wychodziło. A przecież nie jest prawdą, że my to mamy „w nogach”. Mamy to w mózgu! Tyle że w innych jego rejonach. Jakoś wcale nie jest łatwo przenieść wiedzę werbalną do móżdżku, który zawiaduje równowagą i koordynuje pracę kilkunastu tysięcy naszych mięśni.

Pamięć można więc rozumieć wąsko i szeroko. Ja rozumiałem ją szeroko. Jeśli potrąci pan człowieka, nawet niezbyt sprawnego fizycznie, wykona on szereg ruchów rękami i nogami, które wyglądają bezładnie i chaotycznie, ale są absolutnie celowe z punktu widzenia zachowania równowagi. Żadną jednak miarą nie uzyska pan z góry od takiego człowieka informacji o ruchach, jakie będzie wykonywał. Jest to właśnie nieświadomość. Nie ma ona nic wspólnego z podświadomością freudowską. To są wiadomości mające charakter animalny.

Zenon z Elei twierdził na przykład, że kot wyrzucony w powietrze do góry nogami nie jest w stanie wykonać obrotu, gdyż nie ma punktu oparcia. Niech pan rzuci kota. Bez wątpienia wykona ten obrót. Mniejsza z tym jak! Jednak ani kot, ani człowiek robiący salto nie powiedzą panu, jak to robią.

— *Przeprowadzano jednak eksperymenty ze śpiącymi, którzy w hipnozie udzielali informacji, jakich w stanie świadomości nie posiadali. Czyli są rzeczy, które zapisują się w mózgu, lecz normalną drogą wydobyć się nie potrafią.*

— Nie wszystko zapamiętujemy, bo istnieje selekcja. Gdybyśmy zapamiętywali wszystko, to w młodym wieku mielibyśmy zupełnie zagwożdżony mózg. On by już niczego nie przyjmował i byłby jak szkolna tablica, którą należy wytrzeć, aby zapisać coś nowego.

Jeśli powiem panu w tej chwili jakiś numer telefonu, to bez wątpienia pan go zapamięta i za godzinę wykręci na moją prośbę. Jeśli jednak nie będzie panu do niczego potrzebny, wówczas już jutro nie będzie go pan pamiętał. Wszystkie zabiegi mnemotechniczne, którym poddaje się podczas uczenia naszą mózgownicę, mają za zadanie przenoszenie wiadomości z pamięciowego pogotowia ratunkowego, jakim jest pamięć chwilowa, do pamięci trwałej. To wszystko, co się tam nie dostanie, zostaje wyrzucone. Jest rzeczą znaną, że jeśli doznajemy wstrząsu mózgu, nie pamiętamy niczego, co działo się w ciągu kilkunastu ostatnich sekund. To wszystko nie zostało zakodowane w pamięci trwałej, a to, co działo się w nietrwałej, ulega przerwaniu jak prąd, który został wyłączony.

Nasza pamięć nie wszystko przechowuje. Czytałem o takich wypadkach, że jakiś murarz potrafi opisać każdą z cegieł postawionego przez siebie muru, który liczy trzydzieści osiem tysięcy cegieł, ale ja takie sensacje przyjmuję z przymrużeniem oka, bo na to nie wystarcza głowa wielkości baniaka.

— *Niedawno miałem zadzwonić do teściów swoich przyjaciół, do których telefonowałem tylko raz kilka lat temu. Numer wykręcił mi się „sam”, choć myślałem, że go nie pamiętam, bo nie było żadnego powodu, abym pamiętał.*

— Trudno mi mówić o tym konkretnym przypadku, ale zwykle zapamiętujemy zjawiska i rzeczy, przy których zaszło coś szczególnego. Gdyby usłyszał pan taki numer, widząc uderzający w chałupę piorun, a potem wyskakujących z niej ludzi w płonących ubraniach, to powinien go pan zapamiętać, bo to jest już całostka kontekstowa.

Poza tym są różne rodzaje pamięci: wzrokowa, motoryczna, czynna, bierna i tak dalej. Każdy ma na przykład słownik czynny i bierny. Znacznie więcej słów znamy, niż używamy. W książce, która tutaj leży, Kołakowski

pisał o zlewaniu się w pewną amorficzność pojęć dawniej opozycyjnych. Jeśli pan zażąda, bez trudności to odnajdę, choć nie wiem, na której jest stronie. Po prostu wiem, że jest to mniej więcej w połowie książki na dwu trzecich wysokości karty po prawej stronie. Każdy, kto obcuje z książkami, zna doskonale to zjawisko.

Ponadto jest jeszcze specyficzna pamięć węchowa, filogenetycznie najstarsza, gdyż mózgowie jest najstarszą częścią naszego mózgu. Na przykład zapach ropy naftowej kojarzy mi się z widokiem szosy pod Stryjem. Z prostego powodu: przed wojną jeździły tam beczkowozy i polewały tę piaszczystą drogę ropą. Tak samo zapach kiepskiego, zalatującego siarką węgla kojarzy mi się z wyjazdem na wakacje, gdyż tuż przed wojną, gdy nie było jeszcze elektrycznych kolei, zapach ten przepajał dworce kolejowe.

To są rzeczy bardzo indywidualne, najczęściej oparte na mechanizmie warunkowania Pawłowa. Na przykład trudno jest zapamiętać kolumny przypadkowo zestawionych cyfr lub nic nie znaczących liter, ale i tutaj mogą się pojawiać osobnicy, którzy mają tak wyspecjalizowaną pamięć.

Dziś mam niejakie trudności z przypominaniem sobie imion własnych. Zwykle ma to charakter zaćmienia. Na zapamiętane nazwiska nakładają się bowiem inne, które „wyskakują” zamiast właściwego. W cybernetyce jest to bardzo poważny problem, jak dotrzeć do właściwej, zakodowanej informacji — zwłaszcza bezkontekstowej. Każde nazwisko otacza jakaś aura: José Ortega y Gasset pewnie się panu z czymś kojarzy, bo pewnie go pan czytał, ale nigdy nie przypomni pan sobie nazwiska Pampalińskiego, jeśli on nic nie napisał, nic nie zdziałał ani pana nie kopnął. Po prostu punktowe izolacje pamięci są miejscem bardzo niewdzięcznym do przypominania.

— A jak wygląda możliwość podniesienia operatywności mózgu za pomocą farmakologii?

— Możliwe jest tylko przedłużenie stanu aktywności kosztem tym gwałtowniejszego zmęczenia. Nie ma środków podnoszących inteligencję bądź umysłową wydajność. Były co prawda różne legendy, na których farmaceuci robili grube pieniądze, ale o tym nie warto gadać. Dla przykładu tylko powiem, że istnieje powszechny przesąd, iż kawa dobrze działa przeciwko opilstwu. Badania wykazują, że człowiek w stanie alkoholowego zamroczenia popełnia sporą ilość błędów. Kiedy podamy mu kawę, popełnia ich jeszcze więcej, ale subiektywnie uważa, że popełnia ich mniej.

— Każdy miewa od czasu do czasu uczucie, że przeżywa coś już kolejny raz czyli „sentiment déjà vu”. Na czym on polega?

— Jeśli spytamy psychologię eksperymentalną, to nie wiadomo nic. Myślę, że „ton” określonej sytuacji pobudza w nas na zasadzie rezonansu wrażenie pewnej swojskości czy obcości, czegoś, co zdarzyło się wcześniej i nakłada się jak dwa ujęcia na jednej klatce filmu. Ale to jest czysta supozycja.

Ja zresztą doświadczałem czegoś wręcz przeciwnego. Kiedy miałem gdzieś pójść, próbowałem sobie to wyobrazić, ale rzeczywistość była zawsze inna. Zabawne jest jednak to, co stawało się potem. Gdy następowało zderzenie rzeczywistości faktycznej z fałszywym wyobrażeniem, antycypacja się „odklejała” i pozostawała mimo wszystko w mojej głowie, na zasadzie bezdomnej imaginacji.

Kiedy pisałem *Katar*, to jakoś sobie wyobrażałem Zatokę Neapolitańską. Kiedy ją później zobaczyłem, wyglądała naturalnie inaczej, ale obraz wyobrażony wcale nie umknął, lecz pozostał. Teraz obie zatoki mieszkają we mnie jednocześnie. To jest chyba odwrotność *déjà vu*, które zresztą też mi się przytrafiało. Z jakiegoś nie znanego nam powodu, ze względu na jakieś naturalne pobudzenia wywołane określoną sytuacją, następuje przemieszczenie i rodzi się uczucie uprzedniego zaznajomienia się z nią.

A zatem nakłada się na tę sytuację, o której skądinąd racjonalnie wiadomo, że występuje po raz pierwszy.

— *Kończąc temat pamięci, chciałbym zapytać, czy mógłby pan powtórzyć za Pirxem: „co jak co, ale pamięć mam dobrą”?*

— Pamięć mam wyraźnie selektywną. Pamiętam rzeczy istotne dla mnie intelektualnie, podczas gdy wszystkie inne moja pamięć wyraźnie roni — numery telefoniczne, nazwiska, sprawy do załatwienia, miejsce, gdzie położyłem książkę.

— *Czytałem, że w fazie snu paradoksalnego osiągamy aktywność nieosiągalną na jawie?*

— Teraz podchodzi pan z tej strony? To nie do końca jest tak. Były istotnie takie próby, ale niezwykle dużo rozsnuto wokół nich publicystycznej przesady zmieszanej z mitologią.

Jest również taka pokrewna teoria, że człowiek spadający powiedzmy z czterdziestego piętra ogląda jakby „film” ze swojego życia. To jest zawracanie głowy! Czasem może się to pewnie przytrafić, ale nie ma powodów do generalizacji. Poczucie czasu jest przecież bardzo subiektywne. Czasem we śnie mamy wrażenie doświadczenia w ciągu jednej nocy wydarzeń z powiedzmy roku. To doznanie nie jest jednak dowodliwe i nie można go wyprowadzić na jawę. Budząc się, ma pan odczucie, że otchłanie czasu się panu wyśniły… i co? Nic, po prostu odczucie — i koniec. To jest współczynnik immanentnie należący do snu.

— *A czym jest w istocie sen? Ładowaniem mózgowego akumulatora?*

— Są na ten temat niezliczone teorie, ale tak naprawdę nic nie wiadomo, co samo w sobie jest już ciekawe. Mogę tylko powiedzieć, że nie myślę wcale, abyśmy byli jedynymi śniącymi istotami. Kiedy pies porusza przez sen łapami, węszy i skomli, to jestem przekonany, że śni, iż jest na łące i gdzieś biega. Szczegółów się nie dowiem,

bo po przebudzeniu niewiele mi opowie. Jestem przekonany, że wyższe ssaki śnią. Ale po co im to jest potrzebne? Nie wiem.

Są części snu z marzeniami sennymi i bez marzeń. Przyczyny natury użytkowo-ewolucyjnej są nieznane. Nie wiemy też, dlaczego nie można nie spać przez dłuższy czas. Rzeczywiście, po kilkunastu dniach czuwania popada się w rodzaj obłędu z majakami. Szukano jakichś substancji, które się miały gromadzić pod wpływem zmęczenia, ale nie wykryto niczego. Po prostu nie wiadomo.

— *Czy nie wydaje się panu rzeczą zastanawiającą, że penetrujemy kosmos, a o własnej głowie wiemy tak mało?*

— To jest rzeczywiście dziwne, ale zarazem też nie jest. Jeśli konsekwentnie, a nie od święta, trzymać się stanowiska, że jesteśmy naprawdę płodami ewolucji naturalnej i jeżeli tę ewolucję traktować będziemy zgodnie z jej przebiegiem, a nie jej idealizującymi interpretacjami, wówczas odpowiedź na pytanie o każdą z istotniejszych cech organizmu ludzkiego musi padać w porządku pragmatycznym. Z jednej strony istoty ciekawe mają większą szansę przeżywania, gdyż mniej rzeczy jest je w stanie zaskoczyć, z drugiej jednak nie muszą się orientować w mechanice własnego myślenia. Nie ma takich potrzeb. Potrzeb rozumianych naturalnie ewolucyjnie. Każda istota jest w znacznie mądrzejszy sposób skonstruowana, niż sama potrafi „się mądrzyć”. Nie tylko mrówka i pies nie potrafią siebie rozpoznać, ale nie potrafi też tego człowiek. Nawet jako społeczeństwo, przy tak ogromnej akumulacji wiedzy musimy przyznać, że to jest zadanie diablo trudne.

Człowiek inteligentny zawsze coś tam na temat funkcjonowania mózgu wyduka, ale wśród specjalistów poglądy na ten temat bardzo się zmieniają. W ciągu ostatnich ośmiu–dziesięciu lat nastąpiła na przykład głęboka zmiana, wywołana ustaleniem sporej autonomii

obu półkul — dziś mówi się, że lewa jest bardziej racjonalna, a prawa mniej. Robiono badania na epileptykach i okazuje się, że w człowieku mogą występować jakby dwie świadomości. Wyciągnąłem z tego wniosek, który mnie samego zaskoczył, że istnieje w mózgu nadmiarowość — ale proszę się nie cieszyć, bo jest to nadmiarowość zbędna. Jeżeli bowiem rozetniemy człowiekowi wielkie spoidło, a mózg pracuje poważnym procentem mocy w nim zainwestowanej, to wtedy tylko lewa półkula zawiaduje całością procesów myślenia i artykułowania. Mimo tego, że czynnościowo prawa półkula zostaje całkowicie odłączona, to jednak nie można wykryć istotnego spadku inteligencji.

W tej sferze więc możemy oczekiwać jeszcze bardzo poważnych perturbacji i głębokich przekształceń naszego generalnego wyobrażenia na temat sposobu funkcjonowania mózgu. Wydaje się, że powstał on przez duplikację, a zatem dość banalnie. Pionowa symetria organizmu pociągnęła za sobą rosnący rozdział obu półkul. Ale skoro żaden z fachowców nie może nic więcej na ten temat powiedzieć, to nie widzę powodu, abym ja — dyletant i literacina — wypowiadał się na te tematy w autorytatywny sposób. To są rzeczy do empirycznego zbadania.

— W trakcie naszych rozmów wspomniał pan o sympozjum Instrat, na którym w sposób ściśle naukowy, przy udziale wybitnych naukowców różnych specjalności, rozważano merytoryczną wartość hipotez wyrażonych w pańskiej twórczości. Czy mógłby pan powiedzieć, jak wypadła ta weryfikacja?

— Niemcy są niezwykle solidni, więc zabrali się metodycznie do pracy i wszystkie moje prace dostępne w języku niemieckim (dziewięćdziesiąt procent tego, co napisałem) poddali analizie komputerowej i sporządzili kolosalny wyciąg całości. Dyskusja wykazała — muszę tu iść na pospieszne generalizacje — że znaczna większość moich koncepcji zdaje się znajdować potwierdzenie w dalszym

rozwoju tych gałęzi nauki, których wałkowanie w połowie lat sześćdziesiątych wydawało się jeszcze fantastycznym majaczeniem. Część koncepcji jest już urzeczywistniana, część jest tego bliska, a jeszcze część przeszła ze sfery fantazjowania w sferę hipotez. W kategoriach poznawczych więc *naprawlenije gławnogo udara* (kierunek głównego uderzenia) było słuszne. O wartościach literackich nie wspominam, gdyż w tym kontekście traktować je należy trochę jak „opakowania" różnych koncepcji czy też — jak czyniono to na tej konferencji — jako *Gedankenexperimente* czyli eksperymenty myślowe.

— *Wszystkie pana koncepcje prognostyczne tak czy inaczej ogniskują się wokół głównej idei, którą wypowiada pan od „Summy technologiae" po „Golema". Głosi ona, iż człowiek powinien przejąć technologię, którą posługuje się Natura. Odnoszę wrażenie, że tutaj znajduje się punkt graniczny pańskich poszukiwań — poza nim zdaje się już panować ciemność Nieznanego. Czy tak jest w istocie?*

— Przyjęcie kanonów tej technologii wprowadzi nas w nową fazę rozwoju technologicznego. Zajdą tutaj tak wielkie i zupełnie nieoczekiwane zmiany jakościowe, że prognostyczne ich opisywanie natrafia na poważne trudności. Po pierwsze, jesteśmy w bardzo wczesnej fazie rozpoznawania tej technologii, która jest nam dana w trwającym cztery miliardy lat procesie ewolucyjnym i doprawdy bardzo niewiele jeszcze wiemy na temat funkcjonowania tych technologii wcielonych w organizmy. Po drugie zaś, do skierowania naturalnych recept konstrukcyjnych ku celom pozabiologicznym, nie mamy żadnej aparatury pojęciowej. Z tego powodu stajemy przed grupą spraw, które można określić jednym zdaniem: ignorancja w sferze rozpoznań sposobów wytworzenia przez ewolucję tych technologii, a także ignorancja w sferze konceptualnych ich wymodelowań.

Jeśli nie ma w istniejącym języku — naturalnie etnicznym, bo przecież nie stać mnie na budowanie modeli

matematycznych — pojęć zdolnych ująć te kwestie, to moja sytuacja staje się trochę taka, jak gdybym w epoce, gdy możliwe było tylko porozumiewanie się wielkim głosem poprzez przepaść lub rzekę, miał opowiedzieć o tym, jak to będzie, gdy zastosujemy do tego celu telegraficzne druty bądź radio. Jak wyobrazić sobie loty kosmiczne w dobie, kiedy oprócz orłów i innych ptaków nic nie unosiło się w powietrzu? Do tego nie ma ani słów, ani odpowiednich pojęć. Napotykamy tutaj ogromne kłopoty artykulacyjne.

Stąd też pochodzi pewna mglistość moich wyobrażeń, a zarazem ich niezborność. Nie wszystkie koncepcje, które usiłowałem jakoś unaocznić i ukonkretnić, byłem w stanie przedstawić na tyle jasno, by mogły być uznane za wyrazistą prognozę tego, co będzie. Aby tę trudność pokonać, uciekałem się do literatury fantastycznej, tworząc konstrukcje bardzo tradycyjne w historycznoliterackim znaczeniu, do tekstów mniej konwencjonalnych i zbliżających się w jakiś sposób do eseju (na przykład *Golem*), bądź wcielając te śmiertelnie dla mnie poważne sprawy w substancję utworów *par excellence* groteskowych, w których zacierałem granicę pomiędzy powagą a ironią, zabawą a powagą, czy wreszcie drwiną a namaszczeniem.

— *Czy mógłby pan na jakimś przykładzie pokazać, w jaki sposób zbliżyliśmy się do tych konceptów, które budował pan jako odległe antycypacje przyszłego zamachu człowieka na ewolucyjne technologie?*

— W jednym z ostatnich numerów „Newsweeka” odnajdzie pan notatkę na temat tak zwanych *biochips.* Laikowi niewiele to powie. *Chip* to maleńka płytka silikonowa, stanowiąca najmniejszy element scalony układu komputerowego. Dotąd cały postęp polegał na tym, że starano się po prostu coraz bardziej te elementy miniaturyzować sposobami *stricte* mechanicznymi. Takie podstawowe elementy trawi się „srebrnymi atramentami”, drukuje się obwody scalone, oblicza się ilość bitów

przypadających na taki *chip,* który jest dziś niewiele większy niż główka od szpilki i mieści tysiące bitów. Ale — powtarzam — jest to ciągle jeszcze produkowane sposobem mechanicznym, nawet jeżeli wykonują to nadzorowane przez człowieka automaty.

Tymczasem *biochips*, czyli *chipy* biologiczne, stanowią następną fazę rozwoju, którą niejasno jeszcze przepowiadałem w *Summie*, a która posługiwać się będzie żywymi organizmami. Jest to pierwszy krok prowadzący — jak się dziś wydaje — do granicy możliwego miniaturyzowania, gdyż jednostkami czynnościowymi mogą się stać poszczególne molekuły. Równocześnie zaś coraz częściej mówi się, że wielkie posiłki mogą nadejść ze strony inżynierii genetycznej, która pozwoli tak przesterować jakieś mikroorganizmy — powiedzmy bakterie — by produkowały elementy mogące się stać cząstkami układów myślących.

Pisałem o tym serio (a czasem żartobliwie), nazywając to „hodowlą informacji", za co mnie zresztą w dawnych latach wyśmiewano. Chodziło o to, by technologia działania żywego organizmu została wprzęgnięta do roboty, do której wcale nie była stworzona. Niemało jest wprawdzie ludzi, którzy powiadają, że zadanie to jest niewykonalne, ale z tego szkicu z „Newsweeka" wynika, iż biochemicy widzą możliwość, by cząsteczki pewnych związków chemicznych zachowywały się jak tranzystor. Chodzi o to, aby elektrony otaczające atomy grupowały się — w zależności od pola elektromagnetycznego — raz z jednej strony cząsteczki, a raz z drugiej. Wtedy odpowiadałoby to układom „tak–nie" lub „zero–jeden", a są to już elementy logiczne, czyli molekuły występujące w roli jednostek logicznych. Dzisiaj wydaje się to granicą wszelkich dalszych postępów w tej dziedzinie.

— Proszę powiedzieć, jak się pan czuje w roli współczesnego Nostradamusa, bo tak określono pana w jednym z opracowań?

— Nie zależało mi nigdy na przepowiadaniu konkretnej przyszłości, co czyniła przeważnie futurologia. Bardziej interesowało mnie sporządzanie scenariuszy zajść. Interesowały mnie alternatywy, a nie jednoznaczne orzeczenia. Jeśli w menu znajdziemy jedenaście zup, to wcale nie znaczy, iż szef kuchni uważa, że każdy, kto przyjdzie do restauracji, zje wszystkie. Jeśli proponuje ich większą ilość, to znaczy, że zakłada wybór. Nigdy nie zajmowałem się twierdzeniem, że będzie tak, a nie inaczej. Mam poczucie pełnej zgodności z Karlem Popperem, który twierdzi, że przyszłych wypadków przewidzieć nie można. Można w bardzo mglisty sposób przeczuwać kształty rozstajów, ale nie można powiedzieć, na którą drogę padnie wybór.

W starych dowcipach żydowskich odnajdziemy czasem otchłanne prawdy, opierające się na następującym modelu rozumowania: jeśli pójdziesz do asenterunku, to cię wezmą do wojska lub nie wezmą; jeśli wezmą, to pójdziesz na wojnę lub nie pójdziesz; jeśli pójdziesz, to ci urwie nogę albo ci nie urwie; jeśli ci urwie nogę… itd., itd. Tylko w ten sposób można coś orzekać. Tu zasada jest całkiem racjonalna. Ten typ myślenia w trybie warunkowym leży u podstaw *Summy* i w tym sensie nie jest spokrewniony z żadną postacią futurologii.

Jeśli mamy tę restaurację, w której stało jedenaście zup, można oczywiście powiedzieć, że zanim klient zje pierwszą zupę, w restaurację może trafić pocisk i wszystko rozleci się na strzępy wraz z klientem, kucharzem i talerzem, ale to wcale nie neguje faktu, iż zupy można było skonsumować. Gdyby ludzkość popełniła samobójstwo, nie zmieni to faktu, że dalsza droga stała jednak przed nią otworem. Mnie interesuje bardziej ta mniej prawdopodobna droga od bardziej prawdopodobnej, jaką jest zbiorowe samobójstwo ludzkości.

Jest jeszcze druga różnica pomiędzy mną a Nostradamusem. Nostradamus, podobnie jak futurolog,

powiada, co będzie, ale nie powiada, dlaczego tak będzie. On nie mówi nic na temat tego, w jaki sposób i jakimi drogami dojdziemy do pewnych stanów. Proszę zajrzeć do *Roku 2000* Kahna i Wienera: może zostanie pokonany rak, może będą uruchomione reaktory wodorowo-helowe, może zostanie wykorzystana i pokonana grawitacja… Ani słowa jednak na temat tego, jak może do takich stanów dojść. Tym się różni przepowiadanie stanu rzeczy od proroctwa. Prorok oznajmia, co się stanie, nie podając ani drogi, ani alternatyw, ani miejsc wyboru, ani ciągów rozwojowych działań, których zwieńczeniem jest przewidywany stan. Nigdy tak nie pisałem. Dlatego właśnie wziąłem za wzorce nie wizje „z powietrza”, ale wielkie przebiegi ewolucyjne, bo te niewątpliwie istnieją, i technologię, którą operuje ewolucja w naszych ciałach, bo to nie jest mrzonka, lecz fakt.

W gruncie rzeczy starałem się wsłuchiwać w to, co ustalone i możliwe w świecie natury, sugerując, że wszędzie tam, gdzie nie ma nieprzekraczalnych barier, możemy wejść. Nikomu nie próbowałem wmawiać, że można uzyskać na przykład nieśmiertelność tylko dlatego, że są ludzie, którym na niej zależy. To, że coś jest wartością dla ludzi, nigdy nie stanowiło dla mnie racji wystarczającej do podjęcia wysiłków wyargumentowania, że tak właśnie być może. Uważałem natomiast, że pewne rzeczy, które się dzieją w naturze, można zawłaszczyć. To są zjawiska realne, które tylko wymykają się naszej wiedzy i zdolności naśladowania.

Moje założenia są diametralnie odmienne od stanowiska przeciętnego filozofa, a zwłaszcza wywodzącego się z linii Immanuel Kant – Edmund Husserl – Martin Heidegger, gdyż silnie uskromniają postawę człowieka jako istoty poznającej. Zakładam bowiem, że jesteśmy gatunkiem zwierzęcym, który został wyposażony przez skomplikowane przebiegi ewolucyjne w najbardziej sprawny pod względem przetwarzania informacji mózg. Ale też *homo sapiens est*

primus inter pares, więc wraz z innymi jest ograniczony warunkami startowymi i granicznymi, które są ustanowione przez środowiska i przez proces naturalny. Z tego powodu mniemanie, że umysł ludzki ma coś wspólnego z Absolutem lub stanowi wzorzec „rozumu w ogóle”, traktować należy jako bezzasadne uroszczenie. Wszak inny gatunek może przekroczyć nasz poziom — może to być nawet gatunek inteligentnych maszyn, które sami stworzymy. Wcale nie jesteśmy pułapem nieprzekraczalnym.

— *A skoro ma pan taką wiarę w technologie zapisane w naszych ciałach, to wierzy pan również w receptury poznawcze zapisane w jezyku?*

— Wręcz przeciwnie, żywię wielką nieufność do absolutyzacji wiedzy informacyjnej, którą można wyprowadzić z jego tkanki. Proszę zwrócić uwagę, z jaką solennością ludzie typu Husserla czy Heideggera zawierzają językowi i łamią sobie nad nim głowę, sądząc, że można stamtąd wyekstrahować różne prawdy, które wykraczają poza dotychczas zdobytą wiedzę natury empirycznej. Ja wcale tak nie uważam.

Język jest tylko pewnym wypraktykowanym przez ludzi i obciążonym znaczeniami systemem komunikacyjno-sygnalizacyjnym. Teoretycznie można budować pewne modele tego, co jest. Proszę: (*stuknięcie*) stół! Ale przecież gwiazdy nie możemy postrzegać już tak samo jak stołu. My wiemy, co to znaczy postrzegać stół, krzesło czy kobiece kształty, ale aby postrzegać gwiazdę, próżnię czy inne cuda, musimy się podpierać całym systemem upośrednień i procedur symbolizacyjno-formalizacyjnych, które o tyle tylko są zbieżne z rzeczywistością, że w oparciu o nie możemy zbudować na przykład bombę termojądrową.

Na planie matematycznym możemy tworzyć pewne obrazy, ale równocześnie wielu rzeczy nie jesteśmy w stanie unaocznić ani uzgodnić z naszą logiką. Złudzeniem jest przekonanie, że poprzez zagłębienie się w języku możemy uzyskać głębszy wgląd w *natura rerum.* Moja postawa jest

bardzo daleka od postawy proroka, Nostradamusa czy Heideggera. Zawsze byłem przeciwnikiem filozofii *par excellence* językowej, która zakłada, iż poprzez badanie języka jesteśmy w stanie Bóg wie co określić.

Kiedy jednak ograniczymy się do tego, czego uczy nas biologia eksperymentalna, to dowiemy się wielu rzeczy przykrych, na przykład o naszych niewątpliwych pokrewieństwach z psem Pawłowa, gąsienicą czy muchą, ale też — uświadomiwszy sobie własne ograniczenia — dowiemy się, jak możemy empirią, przyrodoznawstwem, techniką i technologią wykraczać ponad swój poziom. Stąd rodzą się takie rzeczy jak filozofia eksperymentalna, teogonia i teodycea eksperymentalna. Ten, kto orzeka, że człowiek jest królem wszelkiego stworzenia i że nad dzisiejszego filozofa nic większego być nie może, ten nie tylko nie wznosi człowieka, lecz bardzo silnie go ogranicza, pakując go — jak do kryminału — do danego momentu historycznego. Ten natomiast, kto silnie uskromni człowieka i powie: „faktycznie, wielu z nas wymarło, jesteśmy silnie ograniczeni naszymi zmysłami i zwierzęcą progeniturą", ten paradoksalnie otwiera wrota dla nowych szans i możliwości. To jest w jakimś sensie moje credo.

— Poza poznaniem naukowym nie dopuszcza pan żadnych innych metod penetracji świata i człowieka. Ten typ poznania istotnie sytuuje się w ramach naszej zachodniej kultury na samym szczycie hierarchii epistemicznych strategii. Ale są przecież systemy kulturowe, które wyruszają na podbój tajników świata i człowieka z zupełnie innych szczebli drabiny.

— Wie pan zapewne doskonale, że istnieje maksymalna niezawisłość kulturowa empirii. Jest ona tak duża jak pomiędzy dziećmi a rodzicami. Diabli wiedzą, czym zajmowali się ojciec i matka Alberta Einsteina, lecz dobrze wiemy, czym zajmował się on sam. Nie sądzę, aby istniała daleko posunięta determinacja pomiędzy dokonaniami rodziców Einsteina a jego własnymi. Tak samo pewien

określony typ kultury wydał na świat empirię, która bardzo silnie uniezawiśliła się od swojego rodzica. Zawdzięczamy jej wiadomości z różnych dziedzin — bardzo mi doskwierające i fascynujące. W obrębie tamtych procedur poznawczych niczego się pan nie dowie na temat „czarnych dziur” i innych tajników świata. Wszystkie nirwany, koany buddyzmu zen, transmogryfikacje i transfiguracje są dla mnie niczym w porównaniu z dziwami natury, które objawia nam empiria. W żadnej cywilizacji nie widzę tego rodzaju danych. Urodziła to tylko formacja, do której również ja należę.

Empiria jest czymś w rodzaju potężnej wyrzutni w przestrzeń realną. Mam głębokie przeświadczenie, że wiedza przez nią dostarczana nie jest wiedzą pozorną. Nie wymyślę tu nic mądrzejszego od orzeczenia Karola Marksa, który zresztą także nie powiedział tego pierwszy, że teoria sprawdza się w praktyce. Jeśli hipoteza przynosi instrumentalne potwierdzenia w postaci rezultatów materialnych, które można dotknąć, które mogą coś stworzyć, które mogą kogoś uleczyć, to nie ma potężniejszego sprawdzianu jej prawdziwości.

— Czasem wydaje mi się, że niejeden katolik nie jest takim ortodoksą jak pan w stosunku do swego Boga — nauki.

— Ja wcale nie padam na kolana przed kulturą, która urodziła tę orientację poznania, lecz uważam, że nauka nie posiada rywali. Proszę zauważyć, że nawet Japończykom z ich czcią wobec przodków nic nie przeszkadza w plagiowaniu empirii — robią to tak doskonale, że zagrozili już tym, którzy wynaleźli tę empirię na Zachodzie.

Poza empirią niczego się nie mogę dowiedzieć! Skąd się wziął człowiek? Skąd się wzięły Ziemia i Słońce? Jak funkcjonuje mój mózg? Czym jest nasz język? Ku czemu zmierzam jako myśląca jednostka? To są wszystko pytania, które rozważamy w niniejszej rozmowie. Poza nauką nie

istnieją na nie odpowiedzi. A jeśli są, to one mnie nie zadowalają. Empiria jest najskromniejszą spośród wszystkich odpowiadających. Nie mówi, że wszystko wie. Przyznaje się do błędów. Podkreśla rozmiary własnej niewiedzy.

— *Jakoś zbyt często tego nie doświadczamy.*

— Pewnie, kiedy chodzimy do szkoły, gimnazjum czy na uniwersytet, to nauczani jesteśmy tego, co ustalone i pewne. Nauka jednak nie ukrywa rozległości obszarów swojej ignorancji. Niedawno nawet sprawiłem sobie *Encyclopaedia of Ignorance*. Ja nie widzę żadnej alternatywy; nawet nie mogę sobie wyobrazić kultury, która mogłaby dziś odrzucić empirię. Nie ma takiej, gdyż oznaczałoby to jej zgubę i wyrzucenie poza obszar istniejącego świata.

Nie wiem, co miałbym utracić, pozostając na swoim ulubionym gruncie. Nie jestem naturą kontemplacyjną ani nie jestem zdolny do wiary religijnej, która zasadza się na aktach strzelistych bądź objawieniu. Jestem naturą dość kacerską i naśmiewałem się nieraz nawet z nauki, jednakże właśnie ona dostarcza mi jedynie możliwej w tym świecie pewności orzeczeń o historii, budowie, funkcjonowaniu, a może i nawet przyszłych losach tego, co nas otacza.

Jestem przeciwnikiem autorytetu, ale to przecież nie przeszkadza mi głęboko szanować jako człowieka Karola Wojtyłę, choć przecież w najmniejszy sposób nie zbliża mnie to do katolicyzmu. Wyrażam się jednak o religii chrześcijańskiej z najgłębszym uszanowaniem, płynącym z moich wewnętrznych odczuć. Najpiękniejsze w niej jednak nie są dla mnie objawienia, lecz proste prawdy moralne każące miłować bliźnich, a nawet nieprzyjaciół. Piękno to zaś polega na tym, że jest to norma, która pracuje z poślizgiem tak wielkim jak żadna inna. Przecież to wspaniałe, że można się zwracać do ludzi z takim wezwaniem, za którym nikt nie jest w stanie nadążyć. Fakt, że religia ta jest w jakiś sposób panująca, wystawia mimo

wszystko nie najgorsze świadectwo ludzkości. Co prawda nie jest ona w stanie urzeczywistnić tego, co głosi, lecz sam fakt, że ludzie tak zbiorowo się do niej przyznają, jest czymś pocieszającym nawet dla takiego mizantropa jak ja.

Oportunistycznego zwolennika empirii nie czynią ze mnie bynajmniej osiągnięcia materialne ani poszerzony zasięg władztwa nad światem, lecz fakty, że jest to jedyne źródło, które może koić moje pragnienia. Przyznaję nawet — co może dowodzi mojego umysłowego ograniczenia — że nigdy mi nawet do głowy nie przyszło, iż mógłbym coś stracić z powodu zakorzenienia w tym systemie kulturowym. Doskonale rozumiem, że są ludzie, którzy mogą myśleć inaczej — zwłaszcza anachoreci i pątnicy. Ja myślę jednak w zupełnie inny sposób.

Pasja filozofowania

— Kiedy rozmawialiśmy o Golemie, który był piekielnie mądrą istotą, ale stanął w końcu przed barierą dalszych możliwości poznania, pomyślałem sobie, że jest jednak coś smutnego w tej ciekawości pchającej nas do przodu jakby po to tylko, by raz po raz objawiać nam własne ograniczenia. Nasza rozmowa też w końcu jest egzemplifikacją sytuacji z tej książki: ja zadaję panu pytania jak dr. Creve, a pan jak Golem XIV peroruje nad moją głową — czasem odpowiadając, czasem mówiąc do siebie. Obaj stukamy, na różnych piętrach, do drzwi wiedzy, które są pozamykane, i obawiam się, że słychać przede wszystkim kołatanie.

— Istotnie, pewnych granic, które dane są naszemu myśleniu, przekroczyć nie można i niewątpliwie może to rodzić poczucie smutku. Nie uważam jednak tego — jak pan to nazwał — kołatania za czynność jałową. Golem, który jest najwyższym spotęgowaniem mojego umysłu, rzeczywiście dociera do jakichś granic i nie wie już, co może być dalej. Te fantastyczne opowiadania o jego Wysokiej Rodzinie w Rozumie i przypuszczalnych pracach umysłowych, którym się ona oddaje, stwarzały mi bardzo urokliwy pejzaż. Samo już pokazywanie otchłannych tajemnic posiada pewien walor poznawczy, a być może i dla

innych to cząstkowe — bo na niższym poziomie — wkraczanie w bardzo wysoką zagadkę jest zajęciem sensownym.

Pańska obecność tutaj jest najlepszym dowodem właśnie takiej oceny wysiłku poznawczego, gdyż inaczej, zamiast tłuc się nocnymi pociągami, leżałby pan brzuchem do góry, poszedł na wspinaczkę lub robił tysiąc innych przyjemniejszych rzeczy. Odsłanianie tego, co zakryte, również dla mnie, godne jest bardzo wielkiej fatygi, nawet przy świadomości ogromnego ryzyka i nieuchronności popełniania uproszczeń, błędów i głupstw.

Sytuacja przypomina zapewne anegdotę o tym nieortodoksyjnym starozakonnym, który po dziesięciu latach prowadzenia parowego młyna przyszedł do rabina i powiedział: „Boga nie ma!” Wtedy rabin dał mu do przestudiowania ogromną górę uczonych ksiąg. Młynarz czytał je przez lat dwadzieścia, rzuciwszy młyn na pastwę losu, a potem przyszedł do rabina raz jeszcze i powiedział: „Boga nie ma”. Otóż *si duo faciunt idem, non est idem*: uprzednio wypowiadał się z otchłani absolutnej ignorancji, podczas kiedy za drugim razem jego twierdzenie wspierały całe armie argumentów, którymi mógłby posłużyć się w rozmowie z rabinem. Chcę więc powiedzieć, że nie jest wszystko jedno, czy od razu orzeknę, że danych granic przekroczyć nie można, czy też stwierdzę to po napchaniu głowy najlepszymi wiadomościami. Osobiście wydaje mi się jednak, że te granice są nieco nadszczerbione.

— Zgadzam się, lecz myślałem przede wszystkim o tym, że jest to rodzaj rozważań, który zawsze wraca rykoszetem — ma pokazać granice świata, a uzmysławia przede wszystkim granice człowieka.

— Dla mnie jedna rzecz jest niewątpliwa: żeby polubić tego rodzaju medytacje, trzeba bez wątpienia kochać się w rozmyślaniach typu ostatecznego, czyli w tym, co metafizyka nazywa eschatologią. Przyczyną wielu moich zmartwień, rozczarowań i osłupień — które jeszcze nie

ustały — jest to, że moc ludzi uważa filozofowanie za zajęcie nudne i jałowe. Cóż, trzeba się tym osobiście fascynować i przejmować na własny użytek. Tak musi być. Filozofowanie powinno być sprawą namiętności tak palącej i silnej, jakiej doświadczał na przykład Witkacy. Jeśli jednak komuś ta pasja jest obca, to nie będzie mógł odnaleźć satysfakcji w wielu mych książkach.

— *Porozmawiajmy zatem o pańskich gustach filozoficznych. Skoro już wcześniej wybrał pan sobie za patrona kostycznego Bertranda Russella, a teraz dopowiada pan, że filozofowanie musi być kwestią pasji, raczej spodziewam się, że zaraz zacznie się rozstawianie filozofów po kątach.*

— Przesadza pan, bo przecież już wcześniej wspomniałem, że w historii filozofii jestem bardzo słabo zorientowany, więc najpierw musiałbym się sam poduczyć, a potem dopiero mógłbym rzucać gromy. Choć przyznam, że mój stosunek do filozofów zawsze nacechowany był wyjątkowym stopniem subiektywizmu. Ten typ rozważań, który zaproponował Russell w *A History of Western Philosophy*, bardzo mi odpowiada, gdyż nie kryje on swoich sympatii i antypatii. Jeśli na przykład dzieło Edmunda Husserla uważa za jedno wielkie nieporozumienie, to w jego książce nie znajdzie pan ani słowa, które by świadczyło o tym, że taki filozof istniał. Historycy filozofii mają mu oczywiście za złe tak nonszalanckie traktowanie szkół filozoficznych, ale ja stoję po jego stronie. Gdyby wykładał na uniwersytecie, być może nie miałby do tego prawa, lecz w książce może chyba sobie pozwolić na to, by jednych omawiać z uszanowaniem, a drugich ironicznie bądź złośliwie.

O Heglu na przykład Russell powiedział, co bardzo mi zresztą odpowiada, że jego bogaty system świadczy tylko o tym, jak wiele oryginalnych i skomplikowanych konkluzji można wyprowadzić, jeżeli przyjmie się założenia fałszywe lub wewnętrznie sprzeczne. Nikt z filozofów nie zmęczył

mnie nigdy tak jak właśnie Hegel, więc kiedy pisałem o nim jako o „mętnym bajtloku”, dodając, że „precyzyjny dureń jest mniej szkodliwy od mętnego, bo męty są ciemne i patrzą przez to na głębię”, wówczas rzeczywiście wyrażało to moje faktyczne przekonania. Hegel jest dla mnie potwornym mętniakiem!

Zawsze byłem przebierny i jeśli wyczuwałem, że jakiś filozof nie odpowiada mojemu temperamentowi, bądź jeśli dostrzegałem w jego konstrukcjach systemowych jakieś dowolności, to bardzo szybko się z nim żegnałem. Tak było z Martinem Heideggerem czy Platonem. Nie szanowałem też nigdy „główniaka” Witkacego o Istnieniach Poszczególnych. To zupełny dziwoląg filozoficzny! Jest to styl filozofowania anachroniczny nie tylko dzisiaj, ale i wówczas, gdy był pisany.

— Zaraz, zaraz, nabiera pan takiego tempa, że później się tego wszystkiego nijak nie uporządkuje. Może najpierw cos więcej o tej niechęci do Hegla?

— Po co o Heglu, jeśli wszystko, co napisał, jest zupełnie niestrawne? Wolę zarezerwować sobie to samo prawo, które przyznałem Russellowi. Jako system jest to może porządne, ale nie stoi na porządnym gruncie.

— W takim razie co ma pan do Platona? Czy to ma jakiś związek z pana uwielbieniem Poppera, bo jeśli dobrze kojarzę, kompletnie schlastał koncepcje państwa wyłożone w „Rzeczypospolitej” i „Prawach”?

— Platon! Boże kochany — Platon to rzeczywiście wraz z Arystotelesem ojciec całej europejskiej filozofii. Ale ja jednak zgadzam się faktycznie z *The Open Society and Its Enemies*, gdzie Popper dowodzi, że Platon był twórcą paradygmatu totalitaryzmu. Doskonałe państwo, jakie przedstawił, jest dość paskudne. W ogóle uważam, że każda koncepcja uniwersalnego panaceum na przypadłości socjalne jest bardzo szkodliwa. Gdybym był dyktatorem w skali globu bądź przyjechał w tej roli jako przedstawiciel jakiejś cywilizacji z Alfa Centauri, to pierwszy przepis, który

bym wprowadził, orzekałby, iż każdy, kto głosi, że posiada panaceum ostateczne na wszystkie dylematy społeczne, ma być na dwadzieścia lat odosobniony. Dopiero po upływie tego okresu wolno byłoby porozmawiać z delikwentem, ale tylko na temat tego, czy pozbył się już swoich groźnych i szkodliwych — jeśli już nie zabójczych — mrzonek. Jest rzeczą charakterystyczną, że doktryny skromne są dla szerokich rzesz mało pociągające (bo mało obiecują), lecz za to są bez wątpienia mniej niebezpieczne. Nie ma więc żadnej partii popperystów, ale za to sporo innych. Karl Popper mówi po prostu, że można dokonywać tylko drobnych usprawnień w organizmach społecznych. I oczywiście nie ma partii „usprawniaczy drobiazgów".

— Zanim wsadzi pan do więzienia wraz z Platonem pięciu następnych filozofów, chciałbym zapytać o Artura Schopenhauera — tego jednego, którego zdaje się pan akceptować. Skąd w panu ta łagodność wobec niemieckiego idealizmu? Może dlatego, że nie znosił Hegla?

— Proszę spojrzeć na tamtą półkę: stoi na niej wydanie pism Schopenhauera z 1889 roku. To, co o nim myślę, napisałem kiedyś w felietonie dla „Pisma". Rzeczywiście, on mnie bardzo fascynował z ciekawych powodów. Proszę bowiem zwrócić uwagę na jego tragikomiczną sytuację zapoznania i dramatyczną walki z Heglem, którą musiał przegrać. Jakaż była w nim ogromna niezłomność wiary w swoje posłannictwo, a przy okazji oczekiwanie na laury!

Wewnętrzna sprzeczność jego doktryny jest wręcz pasjonująca: przecież ten człowiek — jak nikt wcześniej — pokazał ludziom nędzę ich bytowania, przedstawił im człowieka jako pacynkę, przez którą działa Wola, a jednocześnie domagał się od tych samych ludzi, którym głosił tak gorzkie prawdy, uznania, miłowania, wyniesienia i chwały. On był zupełnie jak lekarz, który wystawia pacjentowi świadectwo kompletnego kretynizmu, jako nieuleczalnej choroby, domagając się za to wdzięczności

i poszanowania… (*śmiech*) Przecież to się właśnie do tego sprowadzało.

— *Nie wiem, czy nie miesza pan planu czystej diagnozy filozoficznej z bardzo naturalnym ludzkim oczekiwaniem?*

— Myślę, że nie, bo sam Schopenhauer daje nam takie prawo, powiadając, że *Die Welt als Wille und Vorstellung* jest ostateczną prawdą. On faktycznie przypisał sobie rolę ust głoszących absolutną prawdę. No, jeśli ona jednak znieważa godność ludzką, to zabawne jest oczekiwanie za to wielkich laurów, a już szczególnie wyniesienia ponad Hegla, który mówił coś wręcz odwrotnego, ukazując bliskość człowieka i Absolutu, a nawet przedstawiając państwo pruskie jako doskonałe wcielenie idei. Bez wątpienia, proszę pana, Prusacy mieli więcej powodów, aby czuć wdzięczność wobec Hegla za tak wspaniałe uszlachcenie, niż wobec Schopenhauera, który zrobił z nich kukły poruszane tą dziwaczną maszynerią, jaką jest wszechogarniająca Wola. Wygląda to po prostu tak, jakby odkrył coś prawdziwego w kategoriach ontologii, co jednocześnie jest haniebne w sferze rozpoznania statusu bytowego wszystkich istot — z profesorami filozofii na czele.

— *Cóż, jakoś mi nie przyszło do głowy, by można tak brać „ad personam” zasadę indywidualizacji. Mniejsza jednak z tym. To chyba jednak nie jedyna przyczyna sympatii do Schopenhauera? Jak na razie wygląda mi to na życzliwość dla dziwactwa.*

— A znakomitość jego prozy?! Jest to jeden z nielicznych filozofów, których czyta się z niewątpliwą przyjemnością. Ze względu na estetyczne jakości odbioru jest on strawny zarówno tam, gdzie obcujemy z prawidłowo zbudowanymi argumentacjami, jak i tam, gdzie zapuszcza się on w wątpliwe regiony.

— *Zawsze z podziwem pisał pan o napaściach Schopenhauera na religię…*

— Owszem, antyreligijne diatryby Schopenhauera bardzo mi się podobały. Z lubością na przykład cytowałem go, pisząc o okrucieństwie śródziemnomorskiego Pana Boga, który stwarza człowieka z nicości, a potem, wiedząc, że on upadnie — Bóg jest wszak wszechwiedzący — daje mu taką „szkołę", że ten rzeczywiście ulega pokusom, by trafić do piekła, w którym będzie się przez wieczność smażył. Schopenhauer trafnie pisze, że *der arme Kerl aus dem Nichts*, więc człowiek zasługuje choćby na jedną rzecz, którą miał przedtem — na nicość. Bóg powinien mu oddać to, co było jego przyrodzoną i pierwotną własnością. Niestety, dobry Pan Bóg nawet tego mu nie oddał, lecz zamienił na kocioł. Czy to nie skandal? Tego rodzaju dosadność argumentacji, typowa dla Schopenhauera, bardzo mi odpowiada, tym bardziej iż nie jest ona pozbawiona swoistej — nie wiem, czy świadomej — ironii i humorystyki.

— *System Schopenhauera zwykle odpowiada — proszę wybaczyć — ponurakom i samotnikom.*

— To nie jest od rzeczy. Aura głębokiego pesymizmu, która przenika całą tę doktrynę, w istocie dość odpowiada mojemu widzeniu świata. W gruncie rzeczy sądzę, że gdyby Szekspir dożył tych utworów, byłby schopenhauerystą.

— *Szczerze mówiąc, nieco się dziwię, że nie kwestionuje pan koncepcji Woli. Jak na człowieka dość konkretnego powinien pan raczej się do niej „przyczepić", bo przecież jest strasznie ogólnikowa i zupełnie nieprecyzyjna.*

— Koncepcja Woli jest oryginalna, a wyższego stopnia precyzji Schopenhauer nadać jej chyba nie mógł. To jest w końcu kwestia terminologiczna, bo można przecież powiedzieć, że ciała się przyciągają, bo się „kochają potajemnie" — grawitacja to rodzaj „miłości". Autora *Parergów i paralipomenów* mocno wspierał język niemiecki, w którym łatwiej niż w polskim wejść w hipostazę. Tę doktrynę nader łatwo ośmieszyć w taki sposób, jak przed chwilą zrobiłem: elektrony krążą wokół jądra, bo się w nim

kochają! Jak długo Wola jest nieokreślona i nie podlega uszczegółowieniom, wszystko jest fajnie. Gdyby próbować precyzacji, okaże się, że przejawami Woli są repulsje i atrakcje biegunów magnetycznych bądź elektrycznych nabojów, bo przecież inaczej tego nie postrzegamy. W tym momencie pojawia się już animizm. Ponieważ on tego nie chciał, bo przecież nie mógł powiedzieć, że wszystko jest ożywione, a w starej wierzbie siedzi jej duch, więc odpostaciował to i doprowadził do takiego pierwiastka, który w obrębie języka ówczesnej filozofii był jeszcze strawny. Musiał dbać o to, aby nie wyjść poza ogólnikowość pojęcia Woli, gdyż inaczej ośmieszałby doktrynę.

Pisałem już kiedyś o tym, że to jedna z tych koncepcji filozoficznych, w których szczególnie jaskrawo ujawnia się nieodróżnialność sądów natury ontologicznej od quasi-zdań. Proszę zauważyć, że gdyby jakiś teolog uznał, iż ludzkość została zbawiona przez Judasza, a nie przez Chrystusa, to orzeczenie takowe trafiłoby do annałów chrześcijaństwa jako kacerstwo i nie znalazłby się nikt, kto by powiedział, że ten kacerz jest powieściopisarzem. Gdyby jednak nie było nigdy Schopenhauera, a jego wizję świata wymyślił, powiedzmy, Borges, to bez wątpienia nikt nie poczytałby tego za poważną propozycję ontologiczną, lecz włożyłby ją pomiędzy „Historie Judaszów”. Fantastykę od teologii odróżnia w tym momencie jedynie intencja artykułującego. Jeśli dana teza wypowiadana jest z asercją logiczną, to mamy do czynienia z ontologiem lub wariatem; jeśli jednak wypowiadana jest bez niej, uznajemy, że jest to literatura piękna.

— *A co pan sądzi o Schopenhauerowskiej koncepcji etyki?*

— Nie sądzę, proszę pana, aby to była porządna robota. Tam nie ma wyraźnej sankcji: nie wiadomo, dlaczego należy być dobrym. Moralność jest zawieszona w powietrzu. Mówiąc językiem Dostojewskiego, należałoby ująć sprawę następująco: *Raz Boga niet, to kakoj iz mienia*

sztabskapitan? Koncepcje etyczne Schopenhauera, podobnie jak jego rozważania estetyczne, wydają mi się dość słabe. On nie był w nich całkowicie oryginalny, gdyż przejął się doktrynami Wschodu (Maja), i choć wszystko na niemiecko-europejski użytek poprzeinaczał, uważam go w tej mierze za referenta. W kategoriach intelektualnych są to najsłabsze partie jego roboty. Zresztą (*śmiech*) cóż to z niego za nauczyciel moralności? Wie pan, za co on miał rozprawę sądową?

— *Zdaje się, że kogoś obił laską?*

— Gorzej! Jego sąsiadka rozmawiała na schodach z drugą sąsiadką i przeszkadzała mu w pracy, więc wybiegł wzburzony, wdał się z nią w kłótnię, a potem zrzucił ją ze schodów. Kobieta złamała nogę (*śmiech*), a potem była rozprawa sądowa, na której został zasądzony na dożywotnie odszkodowanie. Kiedy kobiecina umarła, Schopenhauer napisał: *obiit anus abit onus*. Zdanie to, zawierające skądinąd grę językową, należy przetłumaczyć tak: „stara kobieta umiera — znika ciężar". Sens istotny jest jednak taki: „przeklęta stara baba zdechła (*śmiech*) — nareszcie nie będzie wydatków". Tego rodzaju bezpośredniość — tak bardzo nie harmonizująca z jego etyką — jest dla mnie czymś ludzkim. Ten raptus i mizantrop zawsze wydawał mi się sympatyczny.

— *W takim razie powinien panu także odpowiadać Fryderyk Nietzsche. Propozycja filozoficzna dość groźna, gdy zważymy na konsekwencje, lecz logicznie chyba spójna, a przy okazji sporo dziwactw.*

— Może, ale ja go jednak bardzo nie lubię. Między żywotem Schopenhauera a jego koncepcją istniała kolosalna sprzeczność i aczkolwiek takowa występuje również u Nietzschego, to przecież Schopenhauerowska jest sympatyczna i zabawna, podczas gdy Nietzscheańska obraża mnie i gniewa. Ten głosiciel skandali i twardziel — jeśli spoglądać w jego pisma — był w istocie miękki i rozmamłany. Przecież on stale nadrabiał miną — w swoją

doktrynę włożył wszystko, czego nie posiadał. Wiele jest tam nieprzyjemnego zakłamania. A poza tym *Tako rzecze Zaratustra* bardzo mnie denerwowało, gdy czytałem to w wieku szesnastu lat.

— *Pewnie był pan na to zbyt młody, a poza tym czytał pan pewnie w przekładzie Berenta, który jest okropny.*

— Może rzeczywiście te fałsze i koturny zrodziły się ze strasznej maniery młodopolskiej. Ale nie sądzę, żeby tylko. W tej doktrynie jest sporo tromtadrackiej przesady. Kiedy coś należy powiedzieć z umiarem, Nietzsche wygłasza to w grzmotach wagnerowskich, których nie cierpię. Kiedy dojdzie we mnie raz do zdecydowanej, żywiołowej antypatii, trudno ją później przezwyciężyć.

— *Gdyby ustalać jakieś linie ciągłości, to na tej, o której teraz mówiliśmy, układa się Heidegger — za chwilę wyjaśni pan powody swojej rezerwy wobec niego — a gdzieś u końca tkwi Jean Paul Sartre…*

— Wybitnie nieprzyjemna postać, proszę wybaczyć, że przerywam, ale muszę dać upust swojej głębokiej antypatii do tego niegodziwca, który pewnie nawet nie wiedział, że nim jest. Tylko człowiek wewnętrznie nieuczciwy może się ważyć na twierdzenie, że to, co jest ciemną stroną wspaniałego ustroju, nie może być wypowiedziane, choć jest prawdą.

— *Chodzi panu o obozy sowieckie?*

— Naturalnie. Potem zaś zachorował na maoizm. Jego entuzjazm dla totalitaryzmu tłumaczyłem zawsze jako chęć przebywania w pierwszym szeregu. On się okropnie bał, że historia może go wypluć, że może stracić widownię, gdyż młodzi pójdą w innym kierunku.

Jeżdżąc po świecie, uparcie nie dostrzegał tych potwornych rzeczy, które Pol Pot — też wychowanek Sorbony — wyprawiał w Kambodży, rżnąc miliony ludzi w imię świetlanej przyszłości. Nie zapomniał za to odwiedzić w RFN-ie Andreasa Baadera (z grupy terrorystycznej Baader-Meinhoff) i użalić się w prasie,

że ma w więzieniu nie dość wykwintny klozecik. Ten typ wybiórczego widzenia świata deprecjonuje go w moich oczach zupełnie jako człowieka.

— *Zanim przejdziemy do Heideggera, chciałbym zapytać pana o stosunek do empiryzmu logicznego, a szczególnie do Ludwiga Wittgensteina, który wydaje się dość niejednoznaczną postacią spośród tych, które wyszły z Koła Wiedeńskiego.*

— Tego filozofa dzisiaj wszyscy niezwykle szanują, a już szczególnie jego *Tractatus Logico-Philosophicus*, nad którym męczył się przez szesnaście lat. Studiowałem wersję niemiecko-angielską, zbudowaną trochę na zasadzie „księgi objawień". Podobno bardzo irytowała Rudolfa Carnapa.

Po długich latach rozmyślań Wittgenstein w gruncie rzeczy odwołał wszystko, bo przecież w *Philosophische Untersuchungen* znajdziemy już inne postawienie sprawy. Początkowo hołdował atomizmowi logicznemu, uważając, że istnieje możliwość doprowadzenia wypowiedzi językowej do stanu jednoznaczności. Potem jednak energicznie zaczął się z tego wycofywać, zorientowawszy się, że wcale tak nie jest. Dlatego też powoli zaczął przechodzić na pozycje bliższe probabilistycznemu traktowaniu języka, co można udokumentować jego ostatnią książką, gdzie powiada przecież, iż język to są gry *sui generis*, a między poszczególnymi grami zachodzi takie podobieństwo, jak pomiędzy członkami rodziny, a zatem pokrewieństwo. Jednym słowem, zaczął się już w świadomy sposób salwować metaforyką, aby oddać to, czego wówczas nie umiał jeszcze powiedzieć inaczej. Zresztą dziś jeszcze nikt tego nie potrafi przedstawić w sposób dobrze sformalizowany.

Wittgenstein powiadał też na przykład, że „granice mego języka są granicami mego świata". Generalnie trzeba się z nim zgodzić, gdyż wystarczy spojrzeć na to straszliwe *mare tenebrarum* trudności, które napotykałem zawsze, gdy chciałem przedstawić świat radykalnie odmienny

od naszego. Te niesłychane kłopoty wynikały rzeczywiście z tego, że przekraczać granice swojego świata oraz granice opisującego ten świat i budowanego na nim języka jest prawie niemożliwe.

Teraz może sam przejdę do Heideggera. Zajmował się on bytem człowieka, skazaniem na istnienie, lecz uprawiał tę problematykę na planie czysto językowym. Wraz ze swoimi intelektualnymi spadkobiercami położył kamień węgielny pod całkowite zawierzenie językowi. Zwolennicy tej koncepcji zdają się uważać, że język wyjaśnia pewne rzeczy do końca, a poza tym ukazuje ostatnie granice, do których w ogóle może się zbliżyć istota poznająca. To po prostu nieprawda. To, czego dowiedzieliśmy się dotąd o języku, skłania nas przede wszystkim do stwierdzenia, że nadaje się on w sposób partykularny do sprawnej komunikacji ludzi w obrębie ich niszy ekologicznej, jaką może być: jakaś mała planeta, pewien układ socjalny, określone warunki klimatyczne, dany okres historyczny i tak dalej. W takich ramach artykulacje, które zachowują swój kształt leksykograficzny, tracą z upływem czasu dawne sensy i uzyskują nowe. Wystarczy, aby powstała nowa konsytuacja, nowe konteksty historyczne czy kulturowe.

Fizyka usiłowała początkowo możliwie blisko trzymać się rzeczywistości danej zmysłowo i empirycznie, lecz z czasem coraz wyraźniej traciła w nich oparcie.

— Jeżeli chce pan teraz opowiedzieć o odrywaniu się konkretnych pojęć od zjawisk, którymi współcześnie zajmuje się królowa nauk empirycznych, to muszę przypomnieć, że już o tym mówiliśmy.

— Dobrze, więc pominę ten element. Powiem może tylko tyle, że fizyk przyzna dziś, iż gluony, które pojawiają się w teorii, nie istnieją inaczej aniżeli poprzez określone rozwiązania pewnych równań. Fizyk nie chce naturalnie powiedzieć przez to, iż w próżni fizycznej znajduje się kupa równań matematycznych, które pozostają wobec siebie w określonej relacji. On po prostu nie może inaczej

zbudować modelu odtwarzającego stan rzeczy w mikroświecie. Aktualnie nic lepszego nie można zaproponować. Cała ta linia rozwojowa fizyki wskazuje, że jeśli wykraczamy w określonych kierunkach poza niszę bytową człowieka — jako eks-małpiszona obdarzonego rozumem — to język, jakim się on dotąd posługiwał, przestaje być językiem w pełni pojmowalnych znaczeń.

Filozof jednak z lingwistycznego tronu nie rezygnuje. W dalszym ciągu próbuje odnosić się do rzeczywistości; kopie się w sensach, drąży je i poprzez nie pragnie dostrzec ich głębsze dno. Ale nie może przez to niczego uzyskać. Dzisiaj każdy fizyk i każdy, kto zna filozofię fizyki czy filozofię przyrodoznawstwa współczesnego, wie doskonale, że jest to bardzo wąskie pole, poza które wyszliśmy już w wielu miejscach. Same przyrosty poznania wyciągają nas niejako za włosy poza region „rozumiejących" artykulacji językowych.

— *Jeśli tym jakościom nic, co znamy, nie odpowiada, to jaka jest ich weryfikowalność?*

— Ostatecznym kryterium jest praktyka. Istnienia gluonów nie potwierdza wyłącznie wmówienie fizyków ani nawet możliwość określonego interpretowania pewnych fragmentów fotografii w komorze Wilsona, lecz przede wszystkim to, że powiększając naszą realną wiedzę i konstruując na jednej matematyce drugą, możemy zbudować wodorową bombę, pojazd fotonowy czy Bóg wie co jeszcze. To są ostateczne sprawdziany.

Człowiek, który filozofuje na modłę Heideggera, poza apelowaniem do naszych poczuć sensowych i naszego rozumienia języka niczego nie może nam dostarczyć.

— *Ale przecież ten cały przyrost wiedzy w niczym nie zmienia faktu, że człowiek musi poszukiwać odpowiedzi na te pytania, które stawiał jeszcze Platon?*

— Jeżeli jednak nauka udziela odpowiedzi w zakresach, które nie są aksjologiczne — bo przecież nauka nie preferuje żadnej etyki ani nie formułuje żadnych kodeksów

— i nie pochodzą z tych lingwistycznych dociekań, lecz poszerzone są o nowy typ wiedzy, to nie wolno ich ignorować i należy przyjmować je do wiadomości. Należę do tych, którzy uważają, że skoro wykroczyliśmy najbardziej wysuniętymi czołówkami poznania przyrodoznawczego poza strefę rozumiejącego języka, to należy dokonać pewnych poprawek w naszym myśleniu. Przyjmuję to do wiadomości i gotów jestem się przed tym ukorzyć, bo takie są po prostu fakty.

Filozofia typu heideggerowskiego najwyraźniej sobie tego nie życzy, a jeszcze bardziej nie życzy sobie tego jej uboga kuzynka, jaką jest filozofia lingwistyczna, którą tak namolnie uprawiają Anglicy. Ona już nawet nie zmierza do tego, czego chciał Heidegger, który spoglądał w język i poszczególne artykulacje, by dojść do tego, jak to jest naprawdę z człowiekiem, lecz ogranicza się do badania syntaktycznej i semantycznej struktury zdań. Tutaj już się niczego nie mówi o świecie. Świat dawnej filozofii niknie. Oni mówią tak: w oparciu o to, jaki język będziemy rozważali, określać będziemy, do jakiego rodzaju filozofowania jest zdolny człowiek. Dla mnie to scholastyka.

W ogóle uważam, że jest jakieś stadium schyłkowe, skoro przychodzi taki Paul Feyerabend i powiada, że wszystkie indukcje i dedukcje to jedno wielkie zawracanie głowy, że o żadnych precyzacjach metody mowy nie ma, że *anything goes* i wszystkie metody są dobre. On stwierdził (co i tak było wcześniej wiadomo), że poznając efektywnie świat, sami nie wiemy, jak to robimy. Jeśli zatem uzyskujemy przyrost wiedzy realnej, to wszystkie drogi dociekań są dobre — nieważne, czy są one ze sobą zgodne, czy opierają się na indukcji, czy na czymś innym. Ja oczywiście mocno upraszczam, ale sam Feyerabend nazwał to anarchizowaniem filozofii. Nie chodzi wcale o to, by budować system, skoro jest to dziecięca zabawa w klocki. Po co nam system? Lepiej, żeby to, co mówimy, okazywało się zgodne z tym, do czego człowiek

rzeczywiście dochodzi. Filozofowie mają się przed tym pokłonić z poszanowaniem, a potem Feyerabend ich wszystkich, wraz ze swym mistrzem Popperem, któremu naurągał, wywali za burtę. Pan się śmieje, a ja to mówię z niewielką nawet przesadą. Dziś jest czas niszczenia rozmaitych *constans.* W filozofii powstaje dadaizm. Są jeszcze inne, nie mniej dziwaczne kierunki. Feyerabend twierdzi, że czas systemowej filozofii już minął. Minął nawet czas takich robót, jakie przeprowadzali Heidegger czy Husserl. Ostatecznie ten drugi napisał też tylko pierwszy tom *Rozważań*, a drugiego już nie wydusił. Stąd mój sceptycyzm.

— *Po pierwsze, zbyt łatwo pakuje pan Husserla z Heideggerem do jednego worka, a po drugie, jednym cięciem topora rozcina pan wielowarstwową tkankę ich systemów.*

— Zdaję sobie sprawę z niesłychanego wyrafinowania, nadzwyczajnej subtelności i z różnych wspaniałości, które postulowali jeden i drugi, każdy zresztą inaczej. Wiem też, że wymienianie ich jednym tchem jest naganne, ale żeby to zrobić rzetelnie, musielibyśmy gadać do końca świata. Tak czy owak, ich postawa zawsze wydawała mi się swojego rodzaju okropnym zawężeniem. To jest ta starożytna wieża z kości słoniowej, w której oni się zamknęli wraz ze swymi wiernymi uczniami i spadkobiercami duchowymi, i teraz w niej siedzą oraz dłubią, podczas gdy świat nie chce się zatrzymać i idzie dalej. A co najgorsze idzie w zupełnie inną stronę.

— *Proszę w takim razie powiedzieć, w jakim kierunku powinny pójść badania nad językiem, bo drugi już raz rozważa pan kwestię niewłaściwego podejścia do problemu, a nie proponuje pan żadnego rozwiązania.*

— Jest taka książka, o której już zresztą wspominałem, lecz nie było miejsca na rozwinięcie tematu. To praca radzieckiego statystyka i matematyka Wasyla Wasiliewicza Nalimowa pod tytułem *Wierojatnostnaja modiel jazyka.* Ta

książka jest dość sprzeczna z modnymi i obiegowymi dziś koncepcjami języka, semantyki i lingwistyki. Stoi ona w silnej opozycji wobec atomistycznej, logicznej koncepcji modelu języka. Autor stworzył w niej jednoosiowy schemat, na którym umieścił rozmaite języki: od bardzo „twardych” po „miękkie”. Naczelnym pojęciem, na którym zasadza się ten prosty w gruncie rzeczy model probabilistyczny, jest prawdopodobieństwo według Thomasa Bayesa.

— *Proszę się zatrzymać. Jeśli nie wyjaśni pan, co to są języki „twarde” i „miękkie”, to nie ma mowy, abym dalej rozumiał ten wywód.*

— Języki „twarde”, proszę pana, mają budowę cegiełkowo-atomową i w skrajnych przypadkach są to języki bezkontekstowe, a zatem takie, w których kontekst nie jest potrzebny do rozumienia.

— *Na przykład?*

— Powiedzmy, niektóre języki maszyn cyfrowych. Nalimow umieszcza bardzo blisko „twardych” — w czym się z nim nie zgadzam, lecz mniejsza o to — język kodu dziedzicznego. Byłem, mówiąc nawiasem, bodaj pierwszym, który twierdził, że to jest pierwszy język, jaki powstał na ziemi, i nie należy tego traktować jako metafory, lecz prawie najzupełniej dosłownie. Jest to naturalnie język *sui generis,* gdyż nie odnosi się do świadomości, lecz „mówią” nim organizmy organizmami do organizmów. Artykulacjami tego języka są zarówno roślinne, jak i zwierzęce gatunki w przyrodzie.

— *A co to są języki „miękkie”?*

— Języki naturalne. Pośrodku jest język polimorficzny, czyli nasz zwyczajny język etniczny, wieloznaczny.

— *Aha, i ze względu na stopień polimorficzności pomiędzy nimi usytuowane są inne języki, w zależności od ich polisemii?*

— Tak, przede wszystkim te, którymi posługują się różne działy nauki: w fizyce dzięki matematyzacji mamy większą „twardość” logiczną, a na przykład w historii, a już

szczególnie w filozofii mamy do czynienia ze znacznym stopniem „miękkości”.

— *Czyli język sztuki byłby jeszcze bardziej przesunięty ku „miękkości”?*

— Nalimow przedstawia bardzo zabawnie, co mi wielce odpowiada, jako język najbardziej zwyrodniały — ale to nie jest określenie pejoratywne, lecz czysto fizyczne — współczesne malarstwo abstrakcyjne. Są tu zresztą obrazki Wasyla Kandinsky’ego czy Kazimierza Malewicza…

— *Dobrze, ale wróćmy już może do tej funkcji Bayesa?*

— Istnieje funkcja rozkładu prawdopodobieństwa zdarzeń, pojętego jako matematyczne oczekiwanie pewnych zajść, na przykład kiedy w ramach jednorodnej serii spodziewamy się wypadnięcia określonej karty. Do momentu ciągnięcia karty, odczytania słowa czy zdania w tekście dysponujemy już jakąś subiektywną wiedzą na temat tego, co pojawić się może, a co nie.

— *W zdaniu zgoda, ale w rzucie kością czy ciągnięciu karty?*

— W grze w kości wiemy przecież, że wypadnie jedna z sześciu wartości oczek, że kostka nie uniesie się w powietrze… Wiele rzeczy wiemy zgoła odruchowo i ta wiedza działa na rzecz apriorycznej informacji. Kiedy określone słowo pojawia się w kontekście zdania, to na jego zrozumienie składa się wiedza aprioryczna (powiedzmy znaczenie słownikowe) oraz konkretne zastosowanie. Jeśli słuchamy na przykład audycji radiowej w obcym języku z zakłóceniami, to łatwiej jest nam ją zrozumieć, jeżeli wiemy, na jaki temat jest ta audycja. W tym momencie bowiem następuje pewne nastawienie według oczekiwanych prawdopodobieństw występowania określonych słów.

Już dawno temu, nie znając jeszcze pracy Nalimowa, skonstruowałem sobie rodzaj współśrodkowych obwiedni, którymi posługuje się człowiek w zakresie ogromnej ilości zjawisk. Jeśli rozmawia pan z kimś, nie wykraczając poza

obszary jego wiedzy czy doświadczenia, to bez względu na poziom jego inteligencji wszystko będzie przebiegało bez zakłóceń. Jeśli jednak wykroczy pan poza jego obszary wiedzy, wówczas od zupełnie — na pozór — roztropnego człowieka może pan usłyszeć kompletne brednie. Jest to, nawiasem mówiąc, typowe dla paranoików. Z takim człowiekiem może pan rozmawiać zupełnie normalnie aż do momentu, gdy wkroczy pan na teren, w który wkręcona jest „śruba” jego obłędu. Pytając na przykład, co planuje on na przyszłość, dowie się pan niespodziewanie, że za parę miesięcy umrze na krzyżu, gdyż jest reinkarnacją Chrystusa.

Koncepcja probabilistyczna pozwala wyjaśnić wiele rzeczy, o które bezskutecznie rozbijali sobie głowy neopozytywiści z Carnapem na czele, a także wielu badaczy z kręgów analitycznej teorii języka i lingwistyki zajmującej się przekładami maszynowymi. Za jej pomocą można wyjaśnić pewne kwestie teoretycznoliterackie, ogniskujące się wokół poetyckiej funkcji języka.

— *Czy mógłby pan dać przykład?*

— Rozkład znaczeń danego słowa obejmuje kilkanaście (powiedzmy) desygnacji. W jednym końcu wachlarza mamy znaczenia najczęściej spotykane, później nieco rzadsze, na końcu znajdą się znaczenia pozasłownikowe, występujące w kontekstach czysto metaforycznych, czyli takich, w których mówimy o „dziwieniu się sobie” słów. W rozkładzie zatem nie jest to „dzwonowa” krzywa Gaussa normalnego rozkładu znaczeń, lecz krzywa „clusterowa” o silnych skupieniach znaczeń. Jeśli zatem bierzemy słowa podług ich niskiej ilościowo występowalności w mowie, to uzyskamy efekty nieoczekiwane. W kategoriach przesyłu informacyjnego oznacza to niespodziankę dla odbiorcy, który nie spodziewa się, że słowo pojawi się w swym najrzadszym znaczeniu. On je naturalnie zrozumie, gdyż ma je już zakodowane, ale ponieważ nastawiony jest

na frekwencje codzienne, stopień atrakcji i oryginalności będzie większy.

— *Z tego wynika, że język literatury powinien oscylować w obszarach „miękkości”? Przecież nie zawsze tak jest?*

— Nalimow uważa, że cały nasz język i nasze myślenie mieści się w dość wąskiej szczelinie. Z jednej strony grozi im nadmierna „twardość”, z drugiej „miękkość”. Zbytnia „miękkość” zwiastuje często obłęd, powiedzmy, schizofrenię. Jeśli zapyta pan schizofrenika, co mają ze sobą wspólnego zegarki i rzeki, to ten bez namysłu może odpowiedzieć, że kamienie. Rozkład częstości występowania słów jest u chorego zaburzony, podobnie zresztą jak u poety, gdy pisze, z tym jednak, że pierwszy czyni to spontanicznie i bezkrytycznie, podczas gdy drugi potrafi to kontrolować. Przecież poeta w rozmowie posługuje się naturalnym tokiem wysłowienia, rezerwując ten drugi typ artykulacji na chwilę, gdy przemawiać będzie jako liryczny podmiot.

Po drugiej stronie znajdziemy języki nadmiernie „twarde”, charakteryzujące się doprowadzającą do drgawek oschłością logiczną. Kiedy się napisało trzydzieści książek, to doskonale się wie, że tę samą kwestię można zaatakować ogromną ilością taktyk narracyjnych. Niedobrze jest wdać się w bujne wielosłowie, które rodzi sto tysięcy wspaniałych, lecz pozbawionych koherencji zdań (*casus* Leopold Buczkowski), ale też nie jest dobrze mówić językiem suchym, okastrowanym do rdzenia logicznego. Optimum mieści się pośrodku.

— *Pan jest bardzo przywiązany do wszelkich ujęć stochastycznych. Lansuje je pan na każdym właściwie terenie — ewolucyjnych przebiegów, kosmologii i kosmogonii, filozofii, teorii literatury i estetyki.*

— Te modele prawdopodobnościowe naprawdę wiele dają. Nie wiem, dlaczego to moje przywiązanie było dla wielu osób kamieniem obrazy. Dzisiaj już się nawet nie orientuję w tych gigantycznych otchłaniach, z których

zaczerpnąłem tę kategorię. W sferze statystyki matematycznej i teorii prawdopodobieństwa nastąpiło rozejście na wiele poddyscyplin. Statystyka, która ongiś służyła do liczenia buszli zboża czy śmiertelności, uważana była za pochodną empirii, gdyż wyszła z przeliczalności pewnych zbiorów i odchyleń od średniej statystycznej. Jeszcze w dziewiętnastym wieku była ona uważana przez matematyków za ubogą krewną, za gałąź stosowaną. Dopiero upadek deterministycznego, Laplace'owskiego i Newtonowskiego obrazu świata, a także wkroczenie mechaniki kwantowej wraz z nieoznaczonościami i falami prawdopodobieństwa ukazały nam, że ostateczne dno rzeczywistości poznawanej i poznawalnej jest właśnie fluktuacyjne, a nie składa się z żadnej ostrej, dającej się do końca ujednoznacznić struktury. Stąd właśnie zrodził się ten wielki awans statystyki, a także kategorii przypadku.

Usiłowałem wprowadzać to w wiele obszarów, które mnie interesowały, w tym także — z nędznym efektem — do literaturoznawstwa, by wytłumaczyć sobie pewne zjawiska, których inaczej wyjaśnić nie potrafiłem. Niektórych moich sformułowań z innych terenów, jak tego, że gatunki w przyrodzie powstają z błądzenia błędu, nie należy rozumieć metaforycznie, lecz dosłownie, bo przecież każda mutacja genowa jest błędem. To wszystko się ze sobą wiąże i odzwierciedla moje rzeczywiste poglądy na przyrodę świata. On po prostu taki jest i to musi się odzwierciedlać w literaturze, w naszym rozumieniu tekstów literackich, w bardzo daleko posuniętej dowolności interpretacyjnej, a także w tym, że polimorfizm języka i wieloznaczność tekstu w miarę rozwoju sztuki coraz wyraźniej uchodzą za wartości dodatnie. Dawniej tak wcale nie było. To jest jedna całość, składająca się na nowy obraz świata, a nie jego jakiś wyizolowany fragment.

— Rozumiem i widzę, że z całej siły ciągnie mnie pan ku tym terenom i sposobom filozofowania, które są panu najbliższe, lecz wydaje mi się, że jeszcze przez moment

powinienem pana zatrzymać. Żyjąc i próbując myśleć w tym, a nie innym miejscu Europy, trudno nie zapytać pana o stosunek do Karola Marksa i marksizmu.

— Mój stosunek do Marksa jest rozszczepiony podług tego, że dał on doktrynę ontologiczną (diamat), teorię rozwoju społecznego ludzkości (materializm historyczny) oraz prognostyczno-aktywistyczny projekt doskonałego ustroju (komunistycznego). Co się tyczy ontologii Marksa, wolałbym, żeby był sobie urządził biblioteczne okole przesunięte w stronę Gibbsa od strony Hegla. Wiem, że zestawienie nie filozofującego empiryka, jakim był Josiah Willard Gibbs, z filozofem czystej maści, jakim był Hegel, brzmi dziwacznie, ale Gibbs jako (zdaje mi się) pierwszy wprowadził w obręb poznawczych rozważań przyrody pojęcia probabilistyczne, których Marksowi zabrakło, i zastąpił je dialektyką. Ale dialektyki w ogóle nie można sformalizować, przez co jest tyle jej wykładni, ilu myślicieli, a ortodoksyjnej broni się z zupełnie pozarzeczowych przyczyn.

— *Czyli z jakich?*

— Z takich, że kiedy ktoś zaczyna kwestionować marksizm w jednym miejscu, może cegiełka po cegiełce puścić go w rozsypkę, aż nie zostanie nic.

Marks szanował Karola Darwina, ale zajmował się nim mało. Autor *Kapitału* był bezgranicznym optymistą co do natury człowieka, którą uważał za wykoślawioną przez opresyjno-eksploatatorskie ustroje socjalne, a nie za skażoną *per se*, jak uważa Kościół. Był zresztą w swoim optymizmie wybitnym przedstawicielem dziewiętnastowiecznej czołówki myślicieli, którym postęp w rozumieniu powszechnie lepszego życia łączył się nierozdzielnie z postępem wiedzy i władzy nad siłami natury. Marks nigdy by nie przystał na to, że postęp może się obracać we własne przeciwieństwo, że dobrobyt miast sycić ludzkie potrzeby, produkuje następne (szkodliwe indywidualnie i społecznie), że zasada „każdemu według

jego potrzeb” nie ma żadnego kresu ani dna, bo człowiek jest w swej pomysłowości samozagrażalnie łapczywy, jeśli go uczynić bezkarnym, czyli, ostatnie orzeczenie przenosząc na wszystkie zamieszkane globy, policja jest, jakem pisywał, stałą kosmiczną. Jeżeli swobody nie są ograniczane żadną sankcją typu karnego ani żadną sankcją uwewnętrznioną typu transcendentalnego („Nie zabijaj” czy też „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”), to nic nie powstrzyma ześlizgów w rozpasanie, w destrukcję, w samozniszczenie, w kompletną inflację wyższych wartości. Między swobodą zażywaną godziwie i niegodziwie nie ma już wtedy żadnej granicy.

Obecnie istnieją dwa typy państwa opiekuńczego — permisyjnie otwarty i represyjnie zamknięty. W *Wizji lokalnej* usiłowałem wymodelować ich nie istniejące na Ziemi ekstrema, aby pokazać, że w obu rodzajach pojawia się Zło, chociaż w silnie odmienny sposób. Państwo opiekuńcze typu kapitalistycznego wytwarza tak zwaną sieć bezpieczeństwa kosztem redystrybucji indywidualnych przychodów. W efekcie coraz więcej ludzi odczuwa słabszą motywację do pracy, bo po co się wysilać, jeśli egzystencjalne minimum można będzie otrzymać, siedząc z założonymi rękami, żyjąc na koszt pracusiów. Lecz gdy takie państwa zaczynają powiększać oka swej sieci, żeby nie każdy mógł się na niej biernie wylegiwać, powstaje ogromna wrzawa protestów, że „tak nie miało być”.

Przykrości egzystencjalne wewnątrz systemu zamkniętego są inne, a motywacja do pracy bywa raczej restrykcją aniżeli pokusą (czyli ma raczej znak ujemny niż dodatni), lecz dla znacznej większości żyjących dziś ludzi są to przykrości nieznane, a gdyby nawet były znane, to sądzę, że większość by je zaakceptowała.

— *A dlaczego?*

— Bo wybierałaby między egzystencją skromną, lecz zabezpieczającą minimum potrzeb życiowych a bytowaniem agonalnym w bezustannej niepewności losu i zagrożeniu

śmiercią z głodu. Trzeba patrzeć na cały świat, a nie na jego najpyszniejsze wycinki. Nie chwalę niczego i niczego nie ganię, lecz tylko relacjonuję stan rzeczy. Marks wierzył w idealny ustrój, w którym wszystkim będzie się żyło tak dobrze, że lepiej już w ogóle nie można. Nie wierzę, aby kiedykolwiek jakakolwiek konfiguracja ustrojowa mogła obdarzyć wszystkich szczęściem. Zresztą widzimy, że w państwach dobrobytu (*Welfare State*, *Wohlfartsstaat*) pojawiają się potężne ruchy, dążące do zniszczenia posad tych państw. Na razie nie ma tam demonstracji przeciw prawu powszechnego ciążenia ani przeciw śmiertelności człowieka, ale poczekajmy trochę. Ruch *Womens Liberation* dociera już do ewolucyjnie zadanej bariery różnic biologicznych płci. W oświadczeniach przywódczyń tego ruchu można wyczytać rzeczy dość szalone, chociaż jeszcze na razie nie domagają się, by w myśl pełnej demokracji mężczyźni też zachodzili w ciążę i doznawali boleści porodowych.

Nawiasem mówiąc, chociaż już o tym wspomniałem w naszych rozmowach, powtórzę, że stanowisko ortodoksji katolickiej wobec antykoncepcji uważam za ciężki grzech w jak najbardziej humanistycznym i ludzkim pojmowaniu. W każdej minucie dnia i nocy, więc i naszej rozmowy, umierają z głodu tysiące dzieci na świecie. Ten, kto nie może ich uratować, nie ma prawa zabraniać użycia środków antykoncepcyjnych. Pozagrobowe satysfakcje tych dzieci nie są opatrzone wiarygodnymi gwarancjami. Eksplozja bomby demograficznej nie jest treścią jakichś prognoz, lecz teraźniejszością.

Wróćmy jednak do rzeczy. Marks został wysłuchany, ponieważ obiecał wszystko tak, że każdy potrafi to zrozumieć bez wyższych studiów. Rozczarowani wdrożeniem jego doktryny nie patrzą na Trzeci Świat, lecz tam, gdzie panuje największy dobrobyt, największa permisyjność i opresyjne minimum. Lecz jednocześnie tam właśnie niczym nie pomiata się tak, jak wolnością. Zgodnie

ze swą naturą, człowiek ceni zawsze najbardziej to, co jest mu odejmowane, a nie to, co ma. Smak chleba jest najwspanialszy w głodzie, a wolności w niewoli. Ale tymi słowami zszedłem już do banałów.

— *Spójrzmy więc na świat, w którym żyjemy.*

— Podług taksonomii ustrojów znamy kapitalizm brutalny, z demokratycznością przeżeraną przez zakusy dyktatorskie, jak w Ameryce Południowej, gdzie obowiązują prawa rynku, a demokracja raz po raz pada w militarnych przewrotach, i cały ten kontynent w olbrzymich długach wobec międzynarodowego kapitału przeżywa ciągłe socjalne trzęsienia, bo rozpalany nędzą żywioł społeczny nie może dojść żadnej formy stabilizacji.

Mamy podobne, lecz nietożsame, hybrydy kapitalizmu i socjalizmu o postaci „otwartej i permisyjnej", głównie w Europie, lecz dobrobytowi powstałemu z tej krzyżówki zagraża niewykonalność stawianych zadań. Opiekuńcza redystrybucja dochodu narodowego tym jawniej osłabia motywację do pracy, im bardziej redukuje zwierzchnią rolę rynku pracy poprzez gwarantowane minimum dla bezrobotnych. Będący u władzy socjaliści upaństwowiają gałęzie wielkiego przemysłu i subwencjonują deficytowe. Deficyty wynikają z dwu przyczyn: z załamań koniunktury oraz z nadmiarowego zatrudnienia. Inflację zaś wywołuje powszechność życia ponad stan, czyli naciski mas powodowane ciągłym niedosytem konsumpcyjnym.

Państwa typu socjalistycznego też mają problemy ekonomiczno-socjalne, bo bezpłatne lecznictwo, oświata i niskie czynsze mieszkaniowe są ogromnym obciążeniem budżetów, a ponadto wszystkie muszą zapewniać pełne zatrudnienie. Pojęcie sprawiedliwości społecznej objawia w każdej praktyce swą względność i tę niewspółurzeczywistnialność powszechnych w tym wieku nadziei, której dowodzi tzw. paradoks Kennetha Arrowa. Rzecz w tym, że cały zbiór wartości, objęty szeroką definicją pełnego zaspokajania rosnących potrzeb, nie jest

do ziszczenia, bo niektóre z nich wzajem się wykluczają. Arrow dowiódł tego matematycznie.

Olbrzymim obciążeniem powszechnym są też zbrojenia. Ostatnio zebrani w USA eksperci wielu dziedzin, wykorzystując komputerowe modele wymiany ciosów atomowych, wykazali, że rezultatem zbrojnego starcia będzie katastrofa całej ziemskiej biosfery. Jeśliby więc nawet pominąć w rachubie wielomilionowe straty ludzkie, okazuje się, że eksplozje ładunków o łącznym ekwiwalencie stu megaton stanowią próg, za którym dojdzie do takiego pyłowego zaciemnienia atmosfery, że ustanie fotosynteza roślin, że przerwą się żywieniowe łańcuchy w globalnej skali i zginą zwierzęta lądowe i morskie, ponieważ ledwie pięć procent energii Słońca docierać będzie przez ponad rok do powierzchni Ziemi. Tymczasem już teraz w arsenałach znajduje się sto razy więcej atomowych ładunków.

— *W takim razie ci w schronach atomowych przetrwają…*

— (*kwaśno*) Niespecjalnie! Niezmiernie kosztowna ochrona ludności czy choćby elit w głębokich schronach nic dać nie może, bo oznacza jedynie przedłużoną agonię takich wybrańców. Tym samym poker wyścigu atomowego ujawnia zarówno swój irracjonalizm w klasycznej koncepcji militarnego „my ich albo oni nas”, ponieważ żadnych zwycięzców nie będzie, jak i całkowitą bezprzedmiotowość pytania: „Kto zaczął tego pokera?”, ponieważ najrzetelniejsza odpowiedź nic nie zmieni. Nie o to chodzi, kto przebije atomowe atuty nowym uzbrojeniem lub blefowaniem, lecz o to, jak się z tej gry wycofać, i to w globalnym wymiarze. Stare powiedzenie, że sztaby generalne zawsze są doskonale przygotowane do wygrania poprzedniej, przeszłością już będącej, wojny, skrywa w sobie teraz groźbę suicydalną.

Antagonizm supermocarstw nie jest jedyną przyczyną powstałych zagrożeń, ponieważ jest moc innych: naruszenie ekologicznej równowagi w biosferze, ocieplenie wywołane

wzrostem spalania wszelkich tradycyjnych paliw, dające znany efekt szklarni, niepohamowane wzrosty demograficzne, niedożywienie i głód Trzeciego Świata, konflikty religijne, klasowe i ekonomiczne, potęgowane technologicznym przyspieszeniem, co pokażę panu na jednym drobnym przykładzie.

Lecznictwo jest coraz bardziej zdane na nowe typy wielce kosztownego oprzyrządowania, a dalszy postęp kuracyjnych sprawności będzie zwiększał w zakresie ochrony zdrowia nierówność, dlatego że na jego udostępnienie wszystkim nikogo nie stać. To samo dzieje się na froncie natalistycznym: łatwiej obniżyć śmiertelność noworodków i dzieci, niż żywić je i zapewniać oświatę. Nowe technologie są albo droższe od starych, jak w medycynie, albo, jeśli masowo wdrażane, tanieją jak informatyka, dają automatyzację, obradzającą i spadkiem produkcyjnego kosztu, i bezrobociem.

W tym wielozakresowo zagrożonym środowisku życiowym po staremu toczą się konfliktowe gry polityczne, jako coraz bardziej anachroniczny i nieusuwalny spadek po minionych czasach. Jedni obwiniają za ów stan naukę, drudzy komunizm, trzeci kapitalizm, lecz każde jednoprzyczynowe wyjaśnienie jest błędne. Można by rzec, że za ten stan rzeczy ponosi winę powszechna nierównomierność rozwoju, poczynając od nauki i jej wdrożeń technicznych, skoro łatwiej o nie aniżeli o dodatkowe techniki ochrony środowiska, ale łatwiej głównie w zakresie niezbędnych dodatkowych kosztów. Jednakowoż z technologii ani nie może się już świat wycofać, ani jej na danym etapie zamrozić. Troski społeczeństw konsumpcyjnych są inne od trosk nędzarzy, lecz w niczym nie zmienia to całościowego obrazu.

Tak czy owak stoimy u schyłku pewnej epoki i czy się to komuś podoba, czy kogoś przeraża, nie ma na to rady. Kształt następnej zaczyna się wyłaniać z chaotycznego zwarcia wielkich i małych spraw i podług możliwości

staram się domyślić niektórych zarysów tego kształtu. Optymistą jestem o tyle, że w ogóle jakiegoś ukształtowania przyszłości wypatruję, jakbym u łoża ciężko chorego liczył na ozdrowieńcze siły jego organizmu, zamiast szukać dla niego mogiły.

— Jeśli spoglądać na pańskie utwory, w których raz po raz napotykamy próby modelowania świata tak, by uzyskać dostęp do powszechnego szczęścia, to odpowiedzi na pytania o możliwości technologicznego sterowania światem, mającego doprowadzić do globalnej paradyzacji, są niemal w stu procentach negatywne. Kompromitacją kończą się próby Trurla, świat z „Powrotu z gwiazd" przypomina nieco „globalną wioskę" Witkacego, zaś Encjanie z „Wizji lokalnej" są godni pożałowania w swoim ubezwłasnowolnieniu bezpieczeństwem. Zdaje się z tego wynikać, że jest pan rzeczywiście przeciwnikiem wszelkich prób socjalnej melioracji. Pańskie światy, mimo iż są podpierane technologiami „wycelowanymi" w szczęście zbiorowości, wcale szczęśliwe nie są, a momentami można się w ogóle zastanawiać nad etyką tych technologii.

— Widzi pan, wartości nie są zasadniczo wywodliwe z niczego, co się poznaje, i ze strony wiedzy nie możemy się spodziewać żadnych wsparć. To zresztą nie jest kwestia moich osobistych przekonań, gdyż można to udowodnić. Niestety istnieją ludzie, którzy są tak zaimpregnowani na logiczną moc argumentów, życzący sobie, aby było tak czy owak — że im w żaden sposób wybić się tego z głowy nie da. Na to po prostu nie ma rady. Jeśli ktoś nie wyraża zgody na *barbara celarent*, to nie ma na niego sposobu. Żaden sylogizm nie ma tej mocy zniewalającej, jaką ma na przykład grawitacja. Nikt bowiem nie podskoczy na wysokość szesnastu metrów, podczas gdy każdy może odmówić przyjęcia do wiadomości pewnych definitywnych ustaleń natury logicznej. Nikt też nie może nam udowodnić, że nie należy zabijać ludzi.

— W „Wizji lokalnej” podjął pan jednak właśnie próbę nadania etyce rangi jakby prawa fizycznego, które chyba nie za bardzo uszczęśliwiło mieszkańców Encji.

— To była próba ukazania takiego świata, w którym udało się właśnie w sposób instrumentalny uzupełnić naturę o prawa równie kategoryczne w sferze nakazów i zakazów jak wspomniane przez pana prawa fizyczne. Chodziło mi o takie *universum*, w którym nie można zabić człowieka tak samo, jak nie można fruwać w powietrzu za pomocą machania ramionami. Proces etyfikacji środowiska naturalnego został na Encji wdrożony w życie w sposób tak samo bezperswazyjny jak podaje się do wiadomości, że nie można oddychać pod wodą. Po prostu nie można było się zbuntować. Wszystko zostało otoczone przez bystry, które są wirusami dobra, wchodzącymi w akcję, gdy komuś grozi poważne niebezpieczeństwo. Ot, poszło dziecko w krzaki i nażarło się szaleju, więc one podnoszą alarm i same zabierają się do odblokowywania układów enzymatycznych w tkankach bądź — jeśli to dla nich zbyt trudne — łączą się z innymi obłoczkami bystrowymi, uzyskując przez to większą operatywność.

— W normalnym jednak świecie — trochę gorzko brzmi tu słowo „normalny” — taka siła byłaby natychmiast wykorzystana do celów represyjnych, a nie altruistycznych.

— Dlatego więc jest to wszystko tak chytrze obmyślone, aby nikt z tej nieogarnionej potęgi nie mógł korzystać. Nikt na Encji nie może „zwrócić się” wprost do etykosfery, by ta jak posłuszny dżin „poszła” i wyrwała nielubianym sąsiadom nogi, zanim obejrzymy się za następnymi delikwentami. Bez względu na wartości tej książki, które są do zakwestionowania, jest to chyba ciekawy pomysł modelarski, gdyż próbowałem doprowadzić instrumentalizm do absolutnej skrajności. Występuje on tutaj w charakterze etycznej protezy świata. Jego fizyka oraz jego fundamentalne własności materialno-energetyczne ulegają takiemu przekształceniu, że świat

z nieprzychylnego przemienia się w *universum* kategorycznie przychylne.

— *No, przecież nie za darmo. Encjanie płacą za to cenę okrojonej porządnie wolności.*

— Zgoda, i właśnie doszedłem do przekonania, co wynika z tej książki, że w podobnej sytuacji wszelkie istoty rozumne bardzo energicznie musiałyby się buntować przeciwko takiemu ograniczeniu wolności postępowania. Ale muszę panu powiedzieć, że do czasu. Proszę bowiem założyć taką dziwaczną fantazję, że ludzka pamięć sięga wstecz do rozkosznego czasu, gdy można było sobie skakać na wysokość stu metrów. Wyobrażam sobie, że przy takim założeniu nie brakowałoby osób, które by uważały obecny stan za pewnego rodzaju ubezwłasnowolnienie grawitacyjne. „Dawniej było fajnie, bo można było skakać strasznie wysoko, a dziś, bracie, żebyś się nawet zesrał, nie podskoczysz wyżej niż na wysokość dwu i ćwierć metra”.

Są religie, które opowiadają nam, że dawniej był Złoty Wiek, że żyliśmy wiecznie i byliśmy w raju, ale zostaliśmy z tych lepszych warunków mieszkaniowo-bytowych wyrzuceni, gdyż zachowaliśmy się niegrzecznie. Mówiąc przez analogię, gdyby w zbiorowości przetrwała pamięć wspaniałej swobody gwałcenia, mordowania, torturowania, wyrywania nóg i podrzynania gardeł, a obecnie nie byłoby to możliwe, ponieważ nowa fizyka zostałaby poszerzona o sfizykalizowaną etykę równie kategoryczną jak prawa ciążenia, to jasne, że postawa wielu ludzi byłaby buntownicza i usiłowaliby jakoś przechytrzyć te zapory. Nie zawsze zresztą po to, aby zrobić bliźniemu to, co mu niemiłe, lecz przede wszystkim po to, by udokumentować swą wolność.

Przyzna pan jednak, że w stosunku do prawa ciążenia nikt na ogół nie ma takich roszczeń. Jest ono tak powszechne, że przyjmujemy je bez dyskusji. Tak samo nikt nie uważa za rzecz skandaliczną, że nie możemy się obejść bez powietrza, i że byłoby znacznie sprawiedliwiej, byśmy

mogli żyć nie oddychając. Technologię naszego funkcjonowania przyjmujemy jako daną, niekwestionowalną i bezapelacyjną, a kwestionować ją zaczynamy dopiero wtedy, gdy osiągamy pięćdziesiąty lub sześćdziesiąty rok życia.

— *Czyli chce mnie pan przekonać, że można człowiekowi odebrać wolność, ale należy to zrobić tak, by imperatyw etyki stał się fizykalną własnością świata, gdyż wtedy — nie mogąc już zrobić nic — sprzeda z rozsądku i rezygnacji wolność za szczęście?*

— Sądzę, proszę pana, że gdyby taki stan trwał przez jakieś dwieście lat, a pamięć o tym, że kiedyś było inaczej, zostałaby włączona do mitologii, wszyscy pogodziliby się z tym tak jak ze swoją śmiertelnością — może i niechętnie, ale jednak. Ta sprawa mnie bardzo interesuje z punktu widzenia dzisiejszych poglądów na niemoralne sposoby wdrażania moralności. Nam się to wydaje niegodne, bo człowiek powinien mieć wolność wewnętrzną, i ten, kto nie ma możliwości zakatrupienia czy zgwałcenia bliźniego swego, jest zubożony wobec tego, kto tę możliwość posiada, lecz z niej nie korzysta, gdyż wyznaje — powiedzmy — imperatyw kategoryczny Kanta. Tutaj się otwiera pole do zajmowania rozmaitych stanowisk. Ja wcale nie chciałem niczego przesądzać, gdyż interesowała mnie tylko odpowiedź na pytanie, czy i jak daleko można by taką instrumentalizację posunąć i co by z tego mogło wyniknąć.

Proszę zauważyć, że w moim zabiegu modelowym nie ma mowy o jakimkolwiek wzroście powszechnego szczęścia. Nie cieszą nas bowiem przypadłości, które nas ominęły. Nie odnosimy z tego powodu żadnych korzyści duchowych ani myślowych. Nie przypuszczam, aby odczuwał pan jakieś lube sensacje z tego powodu, że nie ma pan raka, albo dlatego, że nie wysiadły panu nerki bądź nie wydarzyły się panu dziesiątki rzeczy, które wypełniają opasłe tomy medycyny wewnętrznej. Nikt, komu pociąg urwał nogę, nie jest zadowolony z tego, że nie oberwał mu dwóch. Jakoś tak

jesteśmy skonstruowani. Bardzo dziwną byłaby osoba, która rozumowałaby w następujący sposób: wprawdzie urodziłem się z garbem, ale do tego mógłbym być jeszcze zupełnym idiotą, cierpiącym na ślepotę. Nikt tak nie rozumuje. Garb mu zupełnie wystarczy.

Z tego powodu można powiedzieć, że wszystkie zabiegi instrumentalne, mające na celu polepszenie ludzkiej kondycji nie są wcale jako takie odczuwane. Odczuwa się to tylko w sposób względny — na zasadzie różnicy bodźców — jako pogorszenie tego, co się pamiętało. Możemy usłyszeć, że w Polsce jest gorzej, ale tylko dlatego, że było lepiej, a nie dlatego, że klimat jest u nas gorszy niż w Grecji. Brzmi to może trywialnie, ale jest to kwestia przyzwyczajenia.

Moje próby modelowania przebiegają właśnie w tym porządku. W jakiejś mierze uważam je za oryginalne, gdyż — jak mi wiadomo — nikt jeszcze czegoś takiego nie robił. W swojej rewelacyjności są one jednak dość ograniczone, gdyż nie wynika z nich nic nadzwyczajnego. W *Wizji lokalnej* odnajdzie pan zresztą tego więcej, by wspomnieć choćby kwestię niewykluczonej materialnie szansy uzyskania nieśmiertelności. Cóż, nieśmiertelność ta jednak ma postać tak odrażającą, że prawie nikt jej nie chce. Też możliwe. Po prostu jest tak, że świat samą swoją naturą i nieodmienialnymi własnościami dyktuje warunki transakcji: *„Chcesz, bracie, polecieć na Księżyc? Proszę bardzo, ale musisz za to zapłacić utratą jednej nogi”*. Dotyka to szczególnie tych dziedzin działania, których dotąd w ogóle nie udało nam się zawłaszczyć.

— Słuchając pana zastanawiam się, choć to pewnie dziecinne, co wybrałby pan, gdyby stanął przed panem wybór pomiędzy społeczeństwem permisyjnym i ogłupiałym a zbiorowością, która cierpi z powodu różnych przypadłości, lecz buduje za to wspaniałą kulturę?

— W podtekście stawia mi pan pytanie, czy istotnie cierpienie może być czynnikiem kulturotwórczym. Krztyna

nie zaszkodzi, ale wszystko musi być w miarę. Owszem, są takie konfiguracje zdarzeń, gdy cierpienie może stać się bodźcem, ale to też nie jest reguła o charakterze tezy.

Zna pan pewnie sposób, w jaki Cyganie uczyli niedźwiedzia tańczyć? Stawiali go na rozpalonej blasze, a następnie wytwarzali w nim odruch warunkowy, brzęcząc jednocześnie cymbałkami, tak że potem tańczył przy samym dźwięku cymbałów. Okropne, prawda? Cierpienie niekoniecznie musi pobudzać. Może być też czynnikiem miażdżącym, obracającym zbiorowość w miazgę. Istnieją rodzaje cierpienia, które wręcz niszczą kulturę. Z tym więc bywa różnie i może być tak jak w homeopatii: w małych dawkach bywa korzystne, w dużych zgubne.

Osobiście stoję na stanowisku humanistyczno-postępowym i oświeconym, że gdybym miał do wyboru sytuację, w której dużo ludzi cierpi, lecz tworzy się z tego wspaniała emanacja kultury, i sytuację, którą wyobrażał sobie Witkacy, że panuje ogłupiający błogostan, ale kultura zdycha, to powiadam jednoznacznie: lepiej niech zdycha kultura niż ludzie. Co prawda w razie czego nikt mnie nie będzie pytał o zdanie, ale gotów jestem poświęcić kulturę.

— Wielu ludzi zdaje się uważać, że jedną z poważnych przyczyn niedostatków społecznego bytowania człowieka jest głęboko zakorzeniony w jego naturze atawistyczny czynnik agresji. Inni natomiast powiadają, że jest on nieodłącznym składnikiem, który na dodatek w znacznym stopniu warunkuje rozwój gatunku. Jak pan spogląda na tę kwestię?

— Domyślam się, że odwołuje się pan do książki Konrada Lorenza *Tak zwane zło.* Sięgnąłem po nią ostatnio i ze zdumieniem przekonałem się, że Bóg wie dlaczego utożsamia on zło właśnie z agresywnością. Tymczasem jest bardzo wielu ludzi, którzy wcale nie są agresywni, ale za to są ewidentnie źli. Agresja to nie jest stan, w którym można trwać stale, tylko swego rodzaju aktywacja i podniecenie. Oczywiście nie brak ludzi, którzy w takim stanie będą

wyrządzali swym bliźnim różne nieprzyjemne rzeczy, lecz jest to sprawa w gruncie rzeczy banalna.

O wiele większe zadziwienie i zmartwienie — o czym już wspominałem w jednej z poprzednich rozmów — wywołuje we mnie fakt istnienia ludzi, którzy wyrządzają zło w sposób bezinteresowny i czerpią z niszczenia losów, wartości i wytworów ludzkich spore uciechy. Można to naturalnie wyjaśniać zawiścią, ale łatwo mogę sobie przedstawić sytuację, w której dysponując przyciskiem, którego naciśnięcie powoduje bezkarne wysadzenie w powietrze ćwierćmilionowego miasta, bez trudu znajdziemy amatorów takiej roboty.

— *Co oni by z tego mieli?*

— Nie wiem. Ja prawdopodobnie bardzo bym się niepokoił istnieniem takiego urządzenia i starałbym się za wszelką cenę zabić je gwoździami lub odłączyć przewody, ale są ludzie, którzy mają nieco inne podejście do tej sprawy. To jest trudna kwestia, bo jesteśmy na ogół skłonni sądzić, że wszystko musi mieć jakieś uzasadnienie, bo jest na przykład przesądzone boskim planem stworzenia (więc jeśli ktoś upadł, to znaczy, że zgrzeszył), albo też mamy w głowie schemat manichejski lub zaczynamy być humanistycznie myślącymi naturalistami, powiadającymi, że wszystko jest efektem procesu ewolucyjnego. A może po prostu należy się zastanowić, czy zło jest naprawdę rozłączne względem dobra i można je odciąć, czy też jedno z drugim jest tak zmieszane, iż rozłączyć się w żaden sposób nie dają. To nie jest żadna książka buchalteryjna, w której można poprzenosić w rubryki dobra i zła pewne stany rzeczy, określone własności natury i umysłu ludzkiego, człowiecze i społeczne dążenia.

— *No cóż, pan stoi twardo na gruncie przyrodoznawczym, więc pytanie powinno brzmieć: w jakim celu ewolucyjnie występuje taka bezinteresowność zła?*

— A na nic! Na nic! Ja przynajmniej nie widzę żadnego. Oczywiście można zbudować szereg hipotez. Gdyby ktoś to

u mnie zamówił, mogę się podjąć sporządzenia zespołu naukowych czy quasi-naukowych hipotez. Można na przykład powiedzieć, że to są mechanizmy atawistyczne, które ulegają przełączeniu na wyższy poziom. Powodują one, że nie jest to już agresja w jej pierwotnym rozumieniu, ale jej rezonans. Jeśli wejdziemy w obręb struktur neuronowych, to moc rzeczy daje się już wytłumaczyć.

— Że niby „złącza" mózgowe zostały wadliwie pozłączane?

— A czemu nie? W telefonie też może pan usłyszeć rozmowy, których wcale pan nie chce słyszeć. Po prostu jakieś „kable" się źle w mózgu złączyły. Dlaczego pan się krzywi? Nie mogą się źle złączyć? Mogą! W końcu mózg wraz ze wszystkimi neuronami to bardzo „zawijasowe" urządzenie. Uczciwie przyznam jednak, że na pana miejscu też odczuwałbym umysłowy niedosyt od tego rodzaju wyjaśnień. Tu na pewno coś jest nie tak. Z jednej strony odrzucam hipotezy, które personalizują zło i spychają nas do roli upadłego anioła, z drugiej jednak — jest to moje latentne zmartwienie, które z biegiem lat coraz bardziej się nasila.

Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, wielu rzeczy po prostu nie dostrzegałem. Niby wiedziałem, że się umiera, ale jakoś tego nie doświadczałem, gdyż po prostu nie brano mnie na pogrzeby. Wtedy była taka norma obyczajowa, że dzieci na tego typu uroczystości się nie zabierało. Bo po co? Poza tym świat dorosłych dla dziecka nie jest specjalnie interesujący. Jako dzieci mamy swoje własne sprawy, a jedyne zło, jakiego doświadczamy, to takie, że ktoś nas kopnie lub wsadzi nam cyrkiel w tyłek. Bezinteresowność zła objawiła mi się znacznie później. Zło bezinteresowne istnieje i wcale nie zgadzam się z Augustynem, że jest to brak dobra. Tam jest coś więcej — intencja, aktywna intencja.

— Jerzy Szacki twierdzi, że utopia ma moc przywracania społecznemu światu jego naruszonej równowagi. Czyli

idealizm edukacyjny może być lekarstwem na zło…

— Utopie miały rozmaite postacie i artykulacje w obrębie różnych kultur. Ale w gruncie rzeczy wszystkie sprowadzały się do tego, że jakiś doskonały stan społeczeństwa jest osiągalny. Ja natomiast uważam, i wcale nie jestem odosobniony w tym mniemaniu, gdyż znajduję się tutaj w dobrym i bardzo licznym towarzystwie, że cała kupa nieszczęść pochodzi stąd, iż tego rodzaju koncepcje zrodziły różne ideologie, które doprowadziły do rzeczy koszmarnych. Wmawiano nam przecież, że istnieje coś takiego jak postęp, który raz rozkręcony zaprowadzi nas na jakieś *plateau*, a potem będzie coraz lepiej i lepiej, gdyż przyszłość to obszar coraz lepszych i większych przedmiotów, rzeczy i zjawisk. Sama ta rozpaczliwa chęć osiągnięcia wybornej kondycji prowadzi na ogół do tego, co nazywa się *corruptio optimi pessima*, a wtedy piekło wybrukowane jest dobrymi, a nawet szlachetnymi zamiarami.

— *Czyli co, nasza cywilizacja zwichnęła nogę w progach procesów cywilizacyjnych? Skądinąd wiadomo, że systemy kulturowe mogą posiadać zupełnie odmienną paradygmatykę, co dotyczy również aksjologii…*

— Wiem już, w jakim kierunku pan zmierza. Rzeczywiście interesowała mnie sprawa ogromnego zróżnicowania kultur, czemu poświęciłem nieco uwagi w *Filozofii przypadku* oraz we fragmentach różnych moich książek. Są ostatecznie kultury dionizyjskie i apolińskie; na tym samym lądzie powstały kultury Inków, Majów i Azteków. I kultura aztecka — krwawa, okrutna, przypisana śmierci. W innych także występowały rytuały składania ofiar z ludzi, lecz nie miało to charakteru stałego jak u Azteków. To ciekawe zjawisko zresztą ze względu na to, że sankcja tego potwornego zwyczaju została umieszczona w ich kosmologii. Gdyby z jakichś przyczyn ustało składanie ofiar, rozcinanie piersi przez kapłanów i wyrywanie serc

obsydianowymi nożami, to według ich wierzeń świat przestałby istnieć.

Cokolwiek można na ten temat powiedzieć, nie ulega wątpliwości, że nie było to przejawem złej woli. Ofiary z ludzi były składane w najlepszej wierze. Była to jak najbardziej autentyczna wiara religijna. Wpasowanie tych ofiar w budowę kosmosu i uczynienie z nich zwornika podtrzymującego byt zniewalało ich do tego postępowania.

Nie byłem naturalnie w stanie przeprowadzić żadnych studiów nad tą sprawą, więc muszę wszystko przyjmować na wiarę od różnych fachowców. Oni właśnie zapewniają, iż kwestia sięga w głąb ich języka. Na przykład słońce oznacza nie tylko Słońce, ale również Boga; Bóg Wody czy Much — nie pamiętam już dokładnie — desygnuje fazy Księżyca. Występują tu tego rodzaju aliaże językowo-pojęciowe, że przywołując dane słowo, ewokujemy zarazem cały świat skojarzeń właściwy ich wierzeniom, tak że na zasadzie jakiegoś krótkiego spięcia konieczność składania ofiar jawi się jako kwestia bezdyskusyjna.

W kulturze tego rodzaju jak aztecka nie mogło być zatem wypadków kacerstwa, gdyż kacerz nie miałby za sobą żadnych racji. Psychologicznie nie wydaje mi się możliwe pojawienie się człowieka, który by zaproponował, aby zaprzestać rytuałów ofiarnych, bo —jego zdaniem — słońce i tak będzie wschodziło.

— *W innych kulturach mogło jednak dochodzić do ścierania się poglądów religijnych.*

— Rzeczywiście. Skądinąd wiadomo, że na przykład w Egipcie pojawiały się różne grupy „nacisku religijnego”. Być może wynika to stąd, że istniała handlowa i kulturalna wymiana z państwami ościennymi. Tu nic jednak nie jest pewne. Nie wiem nawet, czy bardzo dokładna znajomość historii cywilizacji Bliskiego Wschodu i wybrzeży Morza Śródziemnego pozwoliłaby na udzielenie rozsądnych odpowiedzi. Generalnie rzecz biorąc, z punktu widzenia empirycznego sytuacja jest niekorzystna ze względu

na nierekonstruowalność wczesnych przebiegów kulturowych, a odnosi się to do wszystkich procesów prawdopodobnościowych. Droga, którą dany proces doszedł do pewnego stadium, jest nieodtwarzalna wstecz, oprócz stanu bezpośrednio poprzedzającego.

— *Zachowały się przecież jakieś kulturowe pozostałości…*

— Z tego wczesnego okresu nie ma żadnych kronik, a pismo kipu wciąż jeszcze nie zostało odczytane. Sytuacja jest taka jak z kubkiem pełnym kości, które po wyrzuceniu na stół powiedzą panu, ile jest oczek, ale nie ma na niebie i ziemi siły, która podpowie panu, jaka była liczba oczek wyrzuconych w poprzednim rzucie. To ulega całkowitemu zatarciu. Jedyna szansa na uwiarygodnienie tego rodzaju hipotez odnosić się może tylko do przyszłości nauki, która pozwoli być może na modelowanie tych nieprawdopodobnie skomplikowanych zjawisk w jakichś potężnych urządzeniach analogowych.

— *Ale jak rozumiem, taka symulacja może dostarczać wyłącznie domniemań, a nie pewności.*

— Oczywiście, że to nie będzie dowód, lecz da to podstawy do mniemania, że tak było. Pewności się nie uzyska. Z pewnego punktu widzenia jest to pocieszające, gdyż uważam, że natura ludzka nie jest na startach ani dobra, ani zła, lecz odznacza się silną nieokreślonością co do swoich późniejszych stanów. Metamorfozy i przemiany kulturowe są niemożliwe do przewidzenia. Rozważania na temat tego, co by się stało z Aztekami, gdyby nie było inwazji Hiszpanów, są zupełnie jałowe. Alboby to wszystko trwało, albo prędzej czy później zderzenie ze światem Zachodu doprowadziłoby tę kulturę do ruiny.

— *O tym może za chwilę, ale wciąż jeszcze nie odpowiedział pan na pytanie, dlaczego jedne kultury były tak „łagodne”, a drugie „okrutne”.*

— Żebym to ja wiedział, drogi panie! Jak wiadomo, były różne próby wyjaśniania świata metodami genetycznymi,

a później strukturalizm zabronił o tym gadać. Nawiasem mówiąc, okazał się on podobny w tej kwestii do behawioryzmu w psychologii, który nie negował wprawdzie istnienia świadomości, ale mówić o niej zabraniał. Wolno nam mówić, że chodzimy, ale nie wolno o tym, że mamy nogi, gdyż wprowadza nas to w bagnisko spraw niedocieczonych. To samo ze strukturalizmem. Po prostu nie wiadomo, skąd się to wzięło.

Kwestia wydaje się nierozerwalnie związana z odwiecznymi pytaniami o jakość natury ludzkiej — czy jest *naturaliter bona*, czy też *naturaliter mala*, bądź jakaś inna. Nie wiadomo, co doprowadza w antropogenetycznych progach nieokreśloną jeszcze naturę ludzką do tego, że raz zastyga ona w formach cywilizacyjnych praktykujących skrajne okrucieństwo, a raz nie. W Peru na przykład ofiary z ludzi składano tylko wtedy, gdy zdarzyło się coś ekstraordynaryjnego — choćby żywiołowa katastrofa.

Proszę zwrócić uwagę, iż ewolucja ofiary w większości wierzeń — od dosłownych aż po symboliczne — trwa już bardzo długo. Widać to po Abrahamie, który zabiera się ochoczo do zarżnięcia syna, lecz na szczęście Pan Bóg w ostatniej chwili odwołuje swe polecenie. Swoją drogą żydowski Pan Bóg ma dziwną skłonność do testowania ludzi, co potwierdza również historia Hioba.

W chrześcijaństwie z ofiarą jest inaczej, gdyż komunia to odnawianie przymierza z Bogiem i wchodzenie w porządek transcendentny. Od mszy do mszy odbywa się odświeżanie procesu włączania się w porządek wieczny. Jest tam, owszem, transfiguracja i przemiana (*corpus meum*), lecz nie ma zabójstwa. W innych religiach jest ono rozsiane w rozmaitym stężeniu, a jedno z najsilniejszych wcieleń uzyskuje w kulturze aztecko-tolteckiej.

— Poprzednio wspomniał pan, że kultura ta prawdopodobnie i tak musiałaby się rozpaść w kontakcie z naszą cywilizacją. Czy wiąże pan to właśnie z tą kwestią?

— To trudna sprawa, ale chyba rzeczywiście do pewnego stopnia sądzę, że totalne załamanie się tej kultury po konkwiście hiszpańskiej wiąże się z tym, iż okazało się, że po zaprzestaniu rytualnych mordów słońce nie przestało wschodzić. Po prostu ze sklepienia został wyjęty zwornik, powodując obsunięcie się całego systemu. Pewnie nie jest to jedyny powód, ale sądzę, że istotny. Bywały różne narody podbite, na przykład Grecja, których kultura wcale się po takim fakcie nie rozsypała, lecz nawet przeciwnie — rozprzestrzeniła się. Widocznie kultura aztecka miała charakter implozywny, bo się załamała, a te rozprzestrzeniające się — eksplozywny. Nie znajduję żadnej rozsądniejszej odpowiedzi.

Golem mówi, że jeśli rozwijająca się grupa pierwotna ma przed sobą jakiś pusty przestwór, to musi go wypełnić. Jej zachowania w takim momencie nie są *a priori* skodyfikowane żadnymi dziedzicznymi mechanizmami, analogicznymi powiedzmy do instynktu owadziego. W mrowisku nie ma tego typu problemów, tam nie ma odstępstw i herezji zachowań, gdyż kastowość i wszystko inne utrwalone jest w genetycznym programowaniu gatunku i społeczności. Natomiast w wypadku ludzi sama wielość i różnorodność kultur w sferze wartości naczelnych zdaje się świadczyć o tym, że nie jest to niczym predeterminowane. Nawet gdyby pan miał wehikuł czasu i pojechał do prapraprapraprapraprzodków Inków i Majów, to znaczy do czasu, gdy formy kultowe były jeszcze nieokrzepłe, nie byłby pan w stanie ustalić, jaką drogę ta kultura czy protokultura wybierze.

— Zatem i tutaj stosuje pan swoją ulubioną kategorię wszechpanującego przypadku?

— To są bez wątpienia procesy statystyczne i losowe, które w okresie rodzenia się kultury z protokultury mają jeszcze w kolejnych generacjach bardzo płytką pamięć wsteczną — bo nie ma jeszcze pisma, więc istnieje tylko przekaz ustny — a zatem proces dookreślania

i umiejscawiania określonych wartości może być dosyć losowy. W tym momencie zaczyna się dopiero ustalanie „adresów”, pod którymi zamieszkują poszczególni bogowie i moce, podobnie jak wszystkie zabiegi kontaminacyjne, łączące Księżyc z jednym bogiem, a Słońce z drugim. To jest trochę tak jak z roztworem, w którym pływają molekuły czy rodniki nie nasycone jeszcze żadnymi walencjami.

Czytałem ciekawą książkę *Le passé cosmologique. De l’assasinat Mexique. Representation du monde et de l’espace*, która pozwala mi mniemać, że moje przypuszczenia nie są zupełnie szalone. Te fragmenty pism i kronik azteckich, które udało się rozszyfrować, wcale nie składają się na jednolity obraz. Państwo azteckie było ogromne, a kodyfikatorem wiary w każdej prowincji była zasadniczo grupa zwierzchnich kapłanów. Zestawienie poszczególnych reliktów pokazuje, że w walencyjności i powiązaniach, a nawet pokrewieństwach między poszczególnymi bóstwami zachodzą dość poważne różnice. Są zasadnicze dysproporcje w relacjach dotyczących tego, który bóg którego zrodził i z którym walczył. Jest w tym wszystkim jakaś cząstkowa jeszcze zgodność, więc wydaje się, iż obserwujemy religię *in statu nascendi.*

Co ważne, nie jest to któraś z kolei wiara. Na przykład chrześcijaństwo pojawia się w postaci insurekcji, która czerpie z judaizmu, z kultur asyryjskich i babilońskich, a nawet wywodzi motyw Syna Bożego z Egiptu. W tym tyglu dookoła Morza Śródziemnego kultury przenikały się osmotycznie i ścierały, więc elementy zapożyczeń wzajemnych są powszechne. Natomiast kultura aztecka była względnie dobrze wyizolowana, więc posiadała silne źródła własne. W początkach szesnastego wieku jej kultowo-kosmologiczny model był już utrwalony i funkcjonował jako dynamicznie stacjonarny, czyli wszystko się już powtarzało, były jakieś cykle i rytmy. Mamy więc dwie fazy: kiedy wszystko jest jeszcze płynne i niedookreślone, ulega dopiero powolnej kodyfikacji

i dogmatyzacji, oraz wtedy, gdy dochodzi do określeń ostatecznych i kultura może już tylko perpetuować przez czas niewiadomy. Zbyt długo to zresztą trwać nie może, gdyż wcześniej czy później dojść musi do zderzenia z inną kulturą. Wtedy rozpoczynają się rozmaite perturbacje, od przypadku do przypadku historycznego wyglądającego rozmaicie.

Krótko mówiąc, proces, w którego wyniku powstają kultury raz rozluźnione i łagodne, innym razem srogie i restrykcyjne, a jeszcze innym razem nawet częściowo samopożerające się, jest losowy. Tak przynajmniej przedstawia się to w oczach obserwatora zewnętrznego. Spoglądając z tej perspektywy na kwestię, którą pan postawił, należy orzec, że nie można stwierdzić, aby ktoś był „winien” lub żeby czyjeś osobowe zło doprowadziło do kulturowego okrucieństwa, które notabene jawi się nam takowym z naszego medyteralnego punktu widzenia. Tu nie ma żadnych autorów. Nikt tego nie wymyślił w pojedynkę.

Jest taki gatunek mrówek, które napotykając wyrwę lub rzekę na drodze, czynią ze swych ciał mosty, po których przechodzą inne. Otóż w żaden sposób nie można lokalizacyjnie ustalić, gdzie u mrówek „mieści się” ta umiejętność. W jakiś sposób naturalnie to „wiedzą”, lecz rozważanie takie jest równie szalone, jak gdyby z sytuacji, gdy wiemy, że czterech ludzi wymyśliło pojęcie zera, wyciągnąć wniosek, że każdy z nich wymyślił jego ćwiartkę. Takie rozważania są nonsensowne. I tak samo jest z ludzkim zachowaniem, które doprowadzało społeczności do tworzenia pewnych mniej lub bardziej spójnych systemów, wierzeń i wprowadzania reguł w sferę zawierania małżeństw, spółkowania, rodzenia dzieci, umierania, leczenia, hodowli czy łowów. Nie można powiedzieć, aby w ludzkim mózgu były jakieś miejsca szczególnie predysponowane do tego, by zajmować się hodowlą, a nie czymś innym. Z tego współdziałania, z tej

międzyludzkiej gry stopniowo powstają pewne układy socjalne.

W tym procesie naturalnie ważnym elementem pośredniczącym jest język, artykułowana mowa ludzka. Jest to jednak dziedzina naszych sporych nieszczęść. W stosunku do natury ludzkiej istnieją sprzeczne, diametralnie odmienne stanowiska, ale co najmniej w takim samym stopniu dotyczy to języka. Jego teorie w swoim rozwoju diachronicznym nie tworzą wcale ciągu kumulatywnego, w którym nowe ustalenia uzupełniają poprzednie, lecz kiedy przychodzi następny przewrót, ustalona już paradygmatyka ulega zburzeniu nieomal w całości.

Języki etniczne powstawały w swoich odmianach losowo i rozchodziły się z okrzepłych na danym obszarze pni, tworząc rodziny złączone pokrewieństwem, jak słowiańska. Nie wiemy na pewno, czy wszystkie języki ludzi pokrywają się z bazową strukturą, lecz wygląda na to, że tak jest. W zasadzie nie ma języków „gorszych” i „lepszych” komunikacyjnie oraz poznawczo. Tyle że w jednym można wyrażać się zwięźlej, a w drugim nie, poza tym różnią się leksyką, gramatyką, składnią. Hipoteza Edwarda Sapira i Beniamina Lee Whorfa, jakoby dany język implikował określony obraz świata, chyba nie da się utrzymać nawet cząstkowo. Zbadanie języka jest wielozakresowo trudne, między innymi przez to, że badamy go językiem i powstają paradoksy samozwrotności. Dziś nie można dotrzeć do mechanizmów narodzin mowy, ale może się to okazać dostępne choć modelowo, kiedy na przykład skonstruuje się grupy automatów wyposażonych w minimum orientacyjnej samozachowawczości oraz w potencjały informacjo-przetwórcze, umożliwiające wykraczanie z prostej sygnalizacji ku symbolizacji stanów wewnętrznych i zewnętrznych.

Należy pamiętać o tym, że etnicznych języków bezkontekstowych i bezkonsytuacyjnych nie ma.

Postrzegana pozajęzykowo sytuacja tworzy pierwszą obudowę przekazowego kanału. Ojczystego języka uczymy się bez jego teorii, bez znajomości reguł gramatycznych itp. i wiadomo dobrze, że można doskonale znać gramatykę języka, lecz nim nie władać, i na odwrót. Gramatyka nie obejmuje idiomatyki, rozbudowanej niejednakowo w różnych językach. Co zresztą jest głównym nieszczęściem tłumaczy beletrystyki, bo jest to otchłań, w którą można wchodzić, lecz nie da się dosięgnąć jej dna. Żeby zaś było trudniej, „lingwistyka” ewolucji, czyli „dialekty” kodu dziedzicznego, jakimi jedne pokolenia „artykułują” pokolenia następne, jest znacznie zawilsza od lingwistyki naszej mowy i ma wiele własności najzupełniej dziś zagadkowych.

Za podstawową różnicę uważam to, że mówimy, piszemy i czytamy liniowo, jedno po drugim, całostkami zdań, które nie mogą mieć dowolnej długości, bo się ich rozumiejąco nie scali, natomiast kod dziedziczny działa czy pracuje całym swoim rozciągłym frontem „naraz”, jest to olbrzymi chór, gigantyczna orkiestra, a nie jakieś solo. Oczywiście następną straszliwą różnicę stanowi to, że słowa pozostają słowami, natomiast „słówka” dziedziczności przekształcają się literalnie w ciała. Nie odstąpię od przeświadczenia, że rozpoznanie tego „przetwórstwa” może nas obdarzyć w dalszej przyszłości takimi możliwościami technologicznymi, o jakich dziś nawet śnić nie można. Niechże się to zwie moim maniactwem, ale jestem święcie o tym przekonany.

— *Ale ponieważ nie wiemy, czy do tych kultur istnieje klucz, czy są zaspawane na wieki wieków amen, proponuję wrócić do naszej cywilizacji.*

— Proces krystalizacji cywilizacyjnej przebiegał w rozmaitych obszarach kuli ziemskiej z dużą niezależnością i niejako wypełniał wszystkie komórki *universum* kulturowego, które były jeszcze do obsadzenia, stąd bierze się ich szeroki wachlarz. W gruncie rzeczy

jest to jednak proces losowy. Jeśli podpowiem panu, że jest to proces Markowa, będzie znaczyło to, iż jest to taki proces losowy, który nie ma głębokiej pamięci, a o obliczu stadium następującego decyduje stan aktualny. Nie decyduje o tym duża głębia logiczna pamięci, gdyż nie jest ona sferą przyczyn współkształtujących to, co ma nastąpić. Dwa wieki trwająca intronizacja empirii, techniki i nauki, a także wyrastające z nich działania instrumentalne rozsadziły monolityczność wszystkich razem wziętych kultur pierwotnych. Nigdzie już nie ma, przynajmniej w dużej jedności socjalnej, stanu właściwego starym kulturom Inków, Majów czy Azteków.

— *Czy pana punkt widzenia powinienem traktowć jako ustalenie nauki czy pana pogląd osobisty?*

— Mimo świadomości, że jest ona tworem dyletanta, mimo świadomości, że jest ona dziurawa i wielozakresowo nie dopracowana, będę stał przy niej rozpaczliwie, ale zarazem z pewną ulgą, która dopuszczalna jest wówczas, gdy nie przemawia specjalista danego fachu, lecz mówi postronny, jak zdarza się to naszym kelnerom: „obsługuje kolega”. Powiadam więc, że jeśli „kolega” zechce w końcu „obsługiwać”, to chętnie przekażę tę sprawę przyszłym generacjom rzetelniejszych fachowców, którzy będą dysponowali bogatszym materiałem faktograficznym i nie poważą się — co niestety zdarzało się samemu Claude Lévi-Straussowi — dyskryminować faktów.

— *Chciałbym zapytać, co sądzi pan o spójności enklaw społecznych typu totalitarnego i możliwości podmywania ich murów?*

— Ideologie typu totalitarnego usiłują przeważnie stać się swoistą reinkarnacją wiary, która jest jednocześnie: jedyną, jednolitą, homogeniczną, niewywrotną, rugującą totalnie ze społecznej świadomości wszelkie alternatywy. Jej rzecznicy instynktownie i odruchowo narzucają społeczeństwu terror i nienawiść wobec wszelkich alternatywnych — bez względu na rodzaj płaszczyzny,

na jakiej są umieszczone — i spójnych systemów myślowych. Stąd w systemach totalitarnych nie może być zgody na żadną inną religię, gdyż może się ona stać archimedesowym punktem oparcia. Wszystko więc musi być zniszczone totalnie.

Jeżeli to się w końcu udaje, a dane społeczeństwo zostaje skutecznie odizolowane od pozostałego świata, zbiorowość taka nie ma żadnych innych alternatyw poza głuchym wyciem nocnym lub podpalaniem rządowych budynków. To znaczy, mogą być dzikie, spontaniczne bunty, jakieś wyrywania nóg, wzajemne zjadanie się bądź inne postaci nihilizmu, lecz nie może pojawić się systemowa koncepcja demokratycznego życia i funkcjonowania, gdyż te nie istnieją już w świadomości społecznej. Regeneracji nie dokonuje się ze środy na piątek.

Wydaje mi się jednak, że w naszym świecie, ze względu na techniki informacyjne, wymianę handlową, kulturalną oraz globalność współczesnego świata uzyskanie takiej doskonałej hermetyczności nie jest możliwe. Wysiłki totalizacyjne, bez względu na ich doraźną skuteczność i siłowe ustabilizowanie, skazane są w długodystansowej perspektywie na kolosalne zaburzenia i perturbacje, które są niezwykle niebezpieczne i dla danego państwa czy społeczeństwa mają charakter wysoce samozagrażalny. Tam gdzie nie ma alternatyw, walenie się totalitaryzmu jest procesem nieprawdopodobnie groźnym, gdyż przeradza społeczność w swoistą miazgę, zdolną — jak wspomniałem wcześniej — do samopożerania.

— Ponieważ krążymy w tej rozmowie nieustannie wśród kwestii związanych z etyką i procesami kulturowego rozwoju człowieka, więc chyba nie będzie od rzeczy, jeśli sięgnę po „Golema” i przeczytam jego orzeczenie, które wydaje mi się zdumiewające: „Po odpowiednio długim czasie, liczonym setkami milionów lat, etyka poszukując swych źródeł i sankcji ulega porażeniu, dowiadując się, że powstała z aleatorycznej chemii kwasów nukleinowych,

których na pewnym etapie stała się katalizatorem i nie może inaczej ratować swojej niezawisłości, jak ignorując to orzeczenie”. Oto ustami swojego komputera wysuwa pan bulwersującą tezę o genezie ludzkiej etyki. Twierdzi pan mianowicie, iż moralność i całe universum wartości, uważanych za humanistyczne, nie są efektem świadomego wysiłku intelektualnego i moralnego homo sapiens, lecz wywodzą się gdzieś z pierwocin już nawet nie antropogenezy, lecz wręcz biogenezy. Czy mógłby pan uargumentować szerzej to twierdzenie?

— Tak, oczywiście. Według nowożytnej koncepcji, która obowiązuje mnie jako człowieka należącego do zakonu empirystów, szlachetne odruchy ludzkie, wraz ze wszystkimi innymi, są zaprogramowane genetycznie. Wartości naczelne, które do pewnego stopnia składają się na kategoryczny imperatyw kantowski, są wywodliwe z osnowy biologicznej. Jest to ukształtowane ewolucyjnie, co można udowodnić matematycznie. Powiem jednak zwyczajnie: jeśli mamy dwa gatunki istot socjalnych i w jednym z nich panuje osobniczy egoizm, a w drugim ujawniają się skłonności altruistyczne, to można wyliczyć procentowo, że gatunek drugi ma znacznie większą szansę zbiorowej przeżywalności. To jest norma ewolucyjna.

Badacze zajmujący się życiem i zachowaniem delfinów oraz innych ssaków wyższych opisują, że delfiny wspierają jak mogą rannego towarzysza, unosząc go co pewien czas na powietrze, gdyż jako zwierzę oddychające tlenem musi się on co pewien czas znaleźć na powierzchni wody. Takich przykładów można podać bardzo wiele. Jest to po prostu uwarunkowane genowo ze względu na to, że gatunki altruistyczne mają większą szansę przeżycia. Wśród gatunków i odmian, które się tak nie zachowywały, przeżywalność była znacznie mniejsza. Tym samym też geny warunkujące ten typ behawioru zostały w toku ewolucyjnym wyselekcjonowane i wprowadzone jako automatyczna odruchowość, będąca znamieniem normy

gatunkowej. Ta norma została wydestylowana i wysublimowana w kodeksy etyczne, postulujące różne rodzaje altruistycznego, a więc nie ksobnego zachowania, a potem kodeks ten został bezwiednie oderwany od swoich rzeczywistych, przyczynowych korzeni typu czysto ewolucyjnego i wprowadzony pod promienie jakiejś transcendentnej sankcji — najczęściej religijnej.

Z punktu widzenia ewolucyjnego jest to tylko późny rezultat trwających przez setki milionów lat mechanizmów selekcji. Na tej samej zasadzie przetrwały i wyszły cało z fazy czysto biochemicznej konkurencji określone czynnościowo struktury, które później oblekły się w protoplazmy ameb. W samym rdzeniu tego wszystkiego tkwi proces krystalizowania się etyk i kodeksów. Nie twierdzę, że jest to jedyne źródło etyki, ale bez wątpienia może być ono w tak odległych czasach identyfikowane.

Oczywiście można poszukiwać innopochodnych uzasadnień, omijających te prastare, biologiczne, czysto darwinowskie korzenie. Można udawać, że się nie wie, lub można nie przyjmować do wiadomości, że to aleatoryczna chemia preferowała pewne rozwiązania, do których można kodeks etyczny sprowadzić. Ci, humaniści którzy zajmują się badaniem naturalnych obowiązków i praw człowieka, bezwiednie zamykają na to oczy i są szczęśliwymi ignorantami, nie zdającymi sobie sprawy z tego, że ta odmienność człowieka, którą głoszą, jest fikcją, gdyż jest ona wrośnięta korzeniami w okres przedrozumowy. Nie ma rady, ale tak właśnie jest.

— *Niezbyt miło jest słuchać, że tak mało zawdzięczamy swojej inteligencji i dobroci.*

— Nie mówię, że to jest wyłączne, ale że to jest dopuszczalne. W każdym razie jest to zgodne z postępowaniem oczywistym dla współczesnych metod naukowego poznania. Nic więcej!

— *Sprawia mi pan przykrość tym sprowadzeniem całej aksjologii do ewolucyjno-biologicznej ruletki.*

— Nie całej! To nie jest tak. To byłoby grubym uproszczeniem. Ona posiada obwody i strefy autonomiczne ze względu na to, że procesy te nie mają charakteru jednoznacznie ciągłego. Wie pan, mrówki czy pszczoły i wszystkie owady żyjące w agregacjach socjalnych zachowują się w dość altruistyczny sposób. Wystarczy jednak pokropić je hormonami, które je wyobcowują, by pozostała część owadziego społeczeństwa — żywiąca dalej w kategoriach antropomorficznych sympatię względem towarzyszy — zniszczyła tę skażoną część osobników. Nie powiadam więc, że jest to redukcjonizm bezwzględny, który nie pozostawia żadnego luzu poza odwołaniem się do tych procesów. Tak nie twierdzę.

— *Ale też żadnej strefy demarkacyjnej nie jest pan pewnie w stanie wyznaczyć?*

— Zdziwi się pan, ale były takie próby. Matematycznie, za pomocą komputerów obliczano, o ile większe szanse przeżycia mają gatunki, w których dochodzi do wysiłków ratowania innych egzemplarzy tego samego gatunku nawet ze śmiertelną szkodą dla ratowników, i okazało się, że gatunek jako całość zyskuje na tym, że są w nim jednostki typu ojca Maksymiliana Kolbego. Komputer nie ma żadnej intencji co do wyniku modelowego symulowania przebiegów. Nie można wykluczyć oczywiście, że to nie jest wyjaśnienie wystarczające. Nie można nawet wykluczyć, że nasze kodeksy etyczne powstały z tchnienia Ducha Świętego, ale wtedy, niestety, rezygnujemy z „brzytwy Ockhama” i z naukowego trybu myślenia.

Zdaję sobie naturalnie sprawę z tego, że cała kwestia jest dosyć dla ludzkości zgrzytliwa. Powiem panu nawet prywatnie, że chociaż jestem niewierzący, to wolałbym, aby tak nie było. Wolałbym! Nie potrafię tego jednak uzasadnić racjonalnie. Niestety, jestem człowiekiem, który nie czuje się w prawie unieważnić fakty tylko dlatego, że one nie odpowiadają moim szlachetnym intencjom i uszanowaniu,

jakie żywię wobec innych i siebie. To bardzo przykre — istotnie! Ale tak jest.

Równie dobrze mógłbym się gniewać na fakt, iż olbrzymi przemysł pornograficzny czerpie kolosalne zyski z tego, że jesteśmy z góry zaprogramowani seksualnie.

— *Jak to rozumieć?*

— Ponad wszelką wątpliwość stwierdzono w masowych badaniach, że dla samca gatunku ludzkiego najprostszy schemat, który można sobie uzmysłowić jako trójkąt sutek i owłosionego łona kobiecego, stanowi sygnał wprawiający go w pewnego rodzaju pogotowie seksualne. Można się na to gniewać i takie urządzenie świata może nam się nie podobać — zarówno to, że tacy właśnie jesteśmy, jak i to, że ktoś na tym ogromnie zarabia — ale to są fakty empiryczne! Na konstrukcję świata i człowieka nie ma żadnego ratunku poza samobójstwem czy nirwaną. Uważam, że nikt nie ma prawa przekreślania prawd, które są niezbite i zarazem silnie deprymujące! Nie wiem dlaczego mielibyśmy poświęcić prawdę dla pięknych, szlachetnych i uwznioślających nasz gatunek wykładni. Jeśli wyjdzie pan ode mnie i silnik pańskiego samochodu się nie włączy — czego nie życzę — to bez wątpienia nie zacznie pan modlitw do Ducha Świętego, lecz udamy się obaj na poszukiwanie mechanika.

W sferze kwalifikowania i diagnozowania natury ludzkiej nie podlegamy jednak takim samym bezwzględnym musom. Mówiłem już panu, że w Stanach Zjednoczonych istnieją fundamentaliści odrzucający istnienie ewolucji naturalnej. My też możemy sobie powiedzieć, że świat powstał parę sekund temu. Bardzo ładnie, prawda? Wszystko, co nam się zdaje pamięcią przeszłości, jest tylko fikcją, spowodowaną tym, że zostaliśmy wrzuceni w byt nagle z predeterminowanymi engramami pamięci. Możemy tak sobie powiedzieć, ale nie ma absolutnie niczego, co potwierdzałoby tę hipotezę. Jej dowolność zupełnie mnie i zapewne pana zniechęca do uznania jej za prawdziwą.

— W jednej z wcześniejszych rozmów stwierdził pan, że dziedziczymy wszystko. Proszę zatem powiedzieć, na ile możliwe jest zdeformowanie przez warunki życiowe tego genetycznego i pierwotnego imperatywu etycznego? Wszak sam pan narzekał na wszechobecność zła w ludzkim świecie. Z powietrza się nie wzięło.

— Rzecz jest skomplikowana przez to, że ludzkość wytwarza kulturę, a ta nakłada na wartości dziedziczne własne restrykcje i modyfikuje nieco przekaz. Na przykład nie ma żadnych genów pochodzenia klasowego, a spotykamy się z tym, co nazywamy solidarnością robotników i kapitalistów, uciskanych i uciskających, podległych władzy i u tej władzy stojących. Po prostu kultura i dany ustrój polityczno-społeczny wprowadzają dodatkowe ograniczenia.

Wszystkie te normy poza tym objawiają się tylko w sensie statystycznej przewagi zjawisk. Jak wiadomo, istnieją w niektórych gatunkach matki pożerające swoje małe — na przykład królice. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że to się zdarza w niewielkiej ilości króliczych miotów. A zatem fakt, że istnieją królice pożerające swoje potomstwo, a także ludzie nie odczuwający gatunkowej solidarności z innymi egzemplarzami gatunku, nie ma głównego znaczenia, gdyż w ewolucji decydują zjawiska statystycznie masowe. Po prostu przewaga ilościowa. Przecież nie każdy odczuwa imperatyw etyczny, każący mu biec do bliźniego, który skręcił nogę. Także zomowcy z pałkami nie mają wcale odwrotnie ustawionych genów. To byłoby śmieszne.

Oczywiście, że czynniki natury ustrojowo-politycznej i kulturowej oraz impregnacja indywidualnego wychowania mogą zdominować wrodzone impulsy. To nie ulega wątpliwości. Na wszystko nakłada się sytuacja indywidualna i grupowa. Skądinąd wiadomo, jak wielkie znaczenie dla charakteru osobnika mają pierwsze cztery lata życia. Wtedy dochodzi do ustalenia pewnych nastawień, których odwrócenie jest niezwykle trudne.

Po prostu dziecko wrasta w rodzinę, rodzice mówią do dziecka, robią „tosi-łapci”, całują i tak dalej.

Nie ulega również wątpliwości, że posiadamy głęboko wrodzone nastawienia czysto dziedziczne. Zostało eksperymentalnie wykryte, że ten typ profilu twarzy, jaki posiada dziecko, budzi u każdego normalnego statystycznie człowieka uczucie opiekuńcze. Widać to do tego stopnia, że można nakreślić abstrakcyjny, uproszczony model dziecięcego profilu (*Gestalt*) i przez nadawanie go lalkom stwarzać to, co nazywa się potocznie szczególnie sympatyczną buzią lalki. Są to nastawienia dziedziczne o charakterze dodatnim, które mają za zadanie chronić potomstwo przed agresją dorosłych osobników. Nie można oczywiście wyciągać z tego wniosku, że nie ma na świecie ludzi skłonnych zabić dziecko. Nie należy mieszać rzeczy, które umieszczone są w różnych porządkach. Fakt, że parę lat temu eleganccy panowie i panie, którzy spadli samolotem w śniegi górskie w Andach, zaczęli zjadać z głodu zabitych pasażerów, nie świadczy o niczym. Imperatyw kategoryczny to jedno, a głód to drugie.

Człowiek ma tę szczególną własność, że może się uczyć, a poprzez to może doprowadzić do odwrócenia biologicznie danych zalążkowych nastawień. Ale proszę zwrócić uwagę na to, że w ogromnej większości — poza sytuacjami silnego pobudzenia emocjonalnego — nie potrafimy zabijać bezpośrednio. Psychologicznie trudno jest przegryźć komuś tętnicę szyjną, wyłupywać palcem oko bądź walić kułakiem w czyjąś twarz tak długo, aż zrobi się z niej krwawa miazga. Dużo łatwiejsze jest to w sytuacji upośrednienia.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że pilot samolotu, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę, początkowo był z siebie dość zadowolony, a dopiero później, gdy dotarło do niego, co uczynił, przeszedł ciężki wstrząs psychiczny i został zakonnikiem. To są te okoliczności, na które nasza plazma dziedziczna i nasze fenotypy są zupełnie nie przygotowane. Powstawało to przez miliony lat, a tutaj nagle coś się

zmieniło. To dzieje się na różnych płaszczyznach i nie da się tego w sposób prosty sprowadzić do wspólnego mianownika. Wszystkie perswazyjne sposoby podtrzymywania etyki, w miarę jak dochodzi do nowych postępów techniki, są coraz bardziej zawodne. Niedługo już możliwe będzie wysyłanie specjalnych aparatów, które według indywidualnego schematu naczyń na siatkówce lub woni ciała odnajdą upatrzonego człowieka wśród miliardów, a potem go ukatrupią.

— Czyli takich jak bohaterka „Maski”. Ale pozwoli pan, że wrócę jeszcze do kwestii „niemoralności” procesów biogenezy, antropogenezy, a może i kosmogenezy. Jeśli zajrzeć do pańskich ostatnich książek, a szczególnie do „Golema” i „Wizji lokalnej”, łatwo się przekonać, że ten ciąg przemian – prowadzących do powstania człowieka – jest dla pana jedną wielką aferą. Pańską filozofię skwitowałbym krótkim aforyzmem: świat jest aksjologicznym skandalem.

— A czy tak nie jest? Mam tu na półce książkę amerykańskiego paleontologa traktującą o historii naturalnej dinozaurów. Autor dosłownie wylewa łzy nad tymi wspaniałymi jaszczurami, które w tak krótkim czasie wyginęły. Pojęcie etyki, przystawione do procesu ewolucyjnego, jest czymś niewspółmiernym, jeśli jednak uprzemy się imputować ewolucji etykę, to trzeba sobie powiedzieć, że jest ona najstraszliwszą, jaką tylko można sobie wyobrazić. Nie wiem, jaki typ osobowego okrucieństwa mógłby się sycić wizją tak potwornego zoocydu. Ewolucja jest przejawem niebywałego bezosobowego okrucieństwa i ze smutkiem trzeba sobie powiedzieć, że rozpoznanie mechaniki specjacyjnej kłóci się silnie z intuicjami etycznymi, które człowiek zawdzięcza chrześcijaństwu.

W głowach ludzkich istnieją nie przebite ścianki. Można być bardzo dobrym ojcem i mężem, a równocześnie bardzo bezwzględnym esesmanem. Jeśli posiada się typ

inteligencji, który każe przebijać te ścianki, wówczas bardzo trudno przystać na hipotezę teodycei i wszechmiłościwego Boga, który stworzył piekło, mające na imię ewolucja.

Byłem kiedyś w amerykańskiej ambasadzie na filmie o owadach. Ich życie, proszę pana, jest w gruncie rzeczy nieustannym zjadaniem się. Ono wręcz wprawia człowieka w osłupienie, ponieważ kiedy modliszka konsumuje żuka, to ten spożywany żuk oczyszcza sobie jeszcze nogą odwłok, podczas gdy od głowy do brzucha został już zjedzony — po prostu u owadów występuje daleko posunięta autonomia poszczególnych części systemu nerwowego. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

— *Przecież pan doskonale o tym wiedział.*

— Zgoda, ale co innego jest wiedzieć, a co innego zobaczyć. To bardzo kłóci się z religijnymi intuicjami. Za czasów Darwina nie obrażałoby mnie, że pochodzę od małpy, ale poruszyłaby mnie — gdybym był wierzący — wiadomość, że dobór naturalny jest aż tak okrutny. Jak to może być, że zasadą ewolucji jest *vae victis*?! Biada słabym i leżącym — tratować wszystkich! Przerażające, prawda? Wysiłek cywilizacyjny sprowadza się chyba do tego, aby unieważnić tę zasadę i przeciwstawić jej coś możliwie skutecznego.

— *Mówił pan jednak wcześniej, że wizja pożerania się gatunków jest uproszczonym obrazem ewolucji.*

— Chodzi o różne sprawy. Hitler, który był socjalnym darwinistą, uważał, że przyszłość należy do silniejszych i sprawniejszych w mordzie. Ewolucja wcale tak nie działa. Między drapieżcami a ich ofiarami powstaje dynamiczna równowaga. Po raz pierwszy modelował to matematycznie Vito Volterra. Dotyczy to też relacji pasożytów i gospodarzy. Zbyt „sprawny” pasożyt zabija swego gospodarza i ginie z nim razem, więc optimum przemieszcza się ku złagodzonej szkodliwości parazytyzmu. Gdy jest nadmiar lwów i brak im zwierzyny, mniej sprawne łowiecko lwy nie

dadzą potomstwa. Liczba lwów zmniejszy się, rozmnożą się antylopy, będzie więcej lwiego jadła i tak powstaje rodzaj sinusoidy w parametrach liczebności obu populacji. Więc zachodzi „pomiarkowanie", lecz nie wynika ono z międzygatunkowych sympatii lub łagodności. Etyczna charakterystyka ewolucji wygląda mniej więcej tak: biada słabszym, chorym, cierpiącym, niezręcznym, a nawet biada brzydszym, podług kryteriów doboru seksualnego. Nie zaspokoją seksualnego popędu i wymrą. Gdyby na teren zoologii i botaniki przenieść jako wzorzec aksjologiczny zasady demokratyczne czy chrześcijańskie, to okaże się, że panuje tam ich odwrotność.

Nawet w stadku kur nie ma równości, lecz jest tak zwana hierarchia dziobania pokarmu (*pecking order*). Przecież samica po porodzie nie daje swemu miotowi równych szans, bo słabsze młode będą od sutek odpychane przez silniejsze, jeśli jest ich więcej niż sutek matki. Ważne jest tylko, żeby samica dostarczała młodym opiekuńczego minimum, o ile oczywiście ustaliła to norma gatunkowego behawioru. Jeśli młode dają sobie radę same, nie powstaje żaden odpowiednik matczynego opiekuństwa. Uczucia powstają wtedy, gdy są ewolucyjnie potrzebne. U wyższych zwierząt mogą się uniezależniać od ich sprawczej przyczyny i stąd na przykład platoniczna miłość, ale stąd też aberracje popędowe, jak homoseksualizm albo pedofilia. Ewolucja toleruje wszelkie takie aberracje, póki nie zagrażają gatunkowi, ale i to jest normą tylko statystycznie ważką. Działa ona jako zabezpieczenie wewnątrzgatunkowe tak, że w okresie godowych walk samce walczą, lecz nie na śmierć i życie. Powstaje rytualizacja zachowań w tej walce, pozwalająca ustalić, kto ma przewagę bez zabicia rywala. I ciekawe, że raczej rogacz przebija tętnicę drugiego rogacza, choć oba są roślinożerne, niżby dwa samce tygrysów walczyły z sobą, aż jeden padnie. U zwierząt zdomestykowanych zdarzają się natomiast częściej „dzieciobójstwa" i podobne dewiacje, ponieważ

długą selekcją hodowlaną człowiek uszkodził mimo woli ich programowanie genetyczne.

— Skoro to całe „towarzystwo” i tak się musi pozjadać, tyle że proporcjonalnie, to trudno liczyć na taki altruizm. Pozostaje nam stary, dobry Pan Bóg.

— Zawsze wydawało mi się — o czym pisałem zresztą w *Non serviam* — że jest rzeczą wysoce niewłaściwą zwracanie się do Pana Boga z jakimikolwiek prośbami. Dla niego bardzo niewygodną rzeczą byłoby odpowiadanie na jakiekolwiek petycje cudami. Jak wiadomo bowiem, Pan Bóg jest wszechmocny i wszystko wie, a świat stworzył doskonały i nawet guzik od gaci nie może nikomu odpaść bez jego woli. Bez niej nie dzieje się nic. Szatan przecież nie ma potencji kreacyjnej. Nie wiem, czy to jest dogmat religijny, ale należy to do nauki Kościoła. Jak to pogodzić z naszymi prośbami o wstawiennictwo? Nie można prosić o nic: ani o zdrowie, ani o pomyślność, ani o niepodległość ojczyzny. Gdyby bowiem Pan Bóg naprawił coś cudem, oznaczałoby to, że rzeczywistość nie jest doskonała. Stan doskonały jest wtedy, gdy niczego już poprawiać nie trzeba.

Psychologicznie modlitwa o instancję Opatrzności niewątpliwie pomaga, bo człowiek złożył podanie w Biurze Niebieskim, więc może zostanie ono pozytywnie rozpatrzone. Równocześnie jest to jednak akt niewiary w doskonałość Stworzenia. Skoro domagam się, aby lokalnie dokonano korekty, to znaczy, że Stworzenie jest niedoskonałe. Jak to inaczej rozumieć? To akt niewiary!

Swoją drogą widziałem we Włoszech kościół, w którym można dać na mszę nie tylko w intencji czyjegoś ozdrowienia, udanej operacji, pomyślnego zdania egzaminu, lecz nawet opadów deszczu. Ale nie przypuszczam, aby miał pan odwagę pójść do księdza, aby dać na mszę w intencji kupienia opon, których nie ma w „Polmozbycie”. Od tego rodzaju niekonsekwencji roi się każdy kodeks moralny i każda teodycea. Ponieważ jednak tkwimy w tym po uszy, więc takich rzeczy nie postrzegamy.

Jeśli zaś się takie rzeczy dostrzega, to związuje się je w jeden mocny węzeł i nazywa absurdem. Mamy rzecz z głowy.

Dla mnie na przykład rzeczą zdumiewającą w lekturze świętego Augustyna lub Tomasza z Akwinu była wiadomość, że Adam w Raju mógł zasadniczo obcować z Ewą seksualnie. Gdyby jednak obcował, to nie miałby z tego żadnej przyjemności, bo jest to chuć szatańska. Muszę powiedzieć, że ten sposób rozumowania naprowadził mnie na koncepcję, która powiada, że ciało ludzkie było odwiecznie terenem bardzo dziwacznych rozczłonkowań wartościujących, przypominających jatkę, w której szanujący się rzeźnik ma na ladzie pierwszej klasy polędwicę, szponder, nóżki, ozór i nic niewarte płucka. Ciało ludzkie w różnych okresach też było „rozcinane" i część górną wciągano do nieba, a dolną do piekła, gdyż znajdują się w niej różne „brzydkie rzeczy". Różne religie ćwiartowały to biedne ciało w rozmaity sposób. Nigdy nie było tu zgodności. Były przecież kulty płodności, prostytucja sakralna. Gdy poznaje się różne kultury, wtedy dopiero pojawiają się relatywizacje, których efekty są na ogół zgubne, bo kiedy dowiadujemy się, że wcale nie musimy nikogo całować w rękę, lecz możemy też potrzeć się nosami, to dochodzimy do przekonania, że równie dobrze możemy na przywitanie z lekka kopać się w zadek. Wtedy wszystko jest możliwe. Taka relatywizacja ma nie najlepsze skutki dla etyki.

— *Rozumiem, że dąży pan do wniosku, iż etyka nie potrzebuje żadnych pozaracjonalnych uzasadnień?*

— Jeżeli można sobie wyobrazić jakiś ideał w dziedzinie etyki racjonalnej, to powinien on opierać się na zasadzie doskonałej symetrii: bądź mi takim, jakim ja jestem dla ciebie. Argumentację na rzecz tej tezy można odnaleźć w *Non serviam*, gdzie personoidy rozprawiają, czy należy służyć Panu Bogu. Jeśli ktoś jest ksobnie racjonalny, to nie potrzebuje żadnej sankcji transcendentalnej, utwierdzającej

etykę na zasadzie nagrody i kary, która czeka w zaświatach. To są reguły moralnościowej buchalterii, według której świat z zaświatem stanowią rodzaj szkoły. Są tam egzaminy końcowe i ten, kto nie zda, zostaje potępiony na wieki, a ten, kto zda, otrzymuje w nagrodę światłość wiekuistą. Russell przychyla się do koncepcji, że jednym z najpotężniejszych motorów rozprzestrzeniania się chrześcijaństwa była obietnica żywota wiecznego oraz pocieszenia, zapewniająca, że im komu się gorzej powodzi tutaj, tym lepiej będzie mu się powodziło Tam.

Ta argumentacja *ad hominem* posiada dużą siłę sugestywną, ale jest mi niepotrzebna. Wydaje mi się, że odkąd zacząłem się starzeć, równocześnie stałem się jakby lepszy w swojej odruchowości. Gdy byłem młody, tak fascynowałem się swoją problematyką, że izolowałem się nieraz od rzeczywistości. Dziś jest to dla mnie znacznie trudniejsze. Potrzebę niesienia pomocy miałem wówczas raczej wyrozumowaną i mawiałem sobie, że jeśli się nie posiada takich odruchów, to trzeba je zastępować protezami wytworzonymi z racjonalnego myślenia. Teraz się to w jakiś dziwny sposób odmieniło. Stałem się miększy i bardziej wrażliwy na cudze biedy.

Przy tym pamiętam o wszystkich paradoksach tej sfery, łącznie z tą Gombrowiczowską, że kiedy widzimy na plaży setki tysięcy poprzewracanych na grzbiety przez wiatr żuków, to w końcu ustaniemy w wysiłku ich odwracania, gdy jest ich za dużo. Oczywiście — empatia, próby wczuwania się w drugiego człowieka. Wszystko to jednak jest rozumowanie *per analogiam*, bo w końcu zupełną pewność możemy mieć tylko co do tego, że sami posiadamy świadomość i odczuwamy ból, podczas gdy inni mogą to wszystko udawać, wydając różne okrzyki, kiedy będziemy wyrywać im nogi. Widzę jednak, że nie zaspokoiłem pańskiej ciekawości?

— Robię miny, bo odpowiedział pan właśnie na pytanie, które miało paść na końcu. Mówiliśmy przedtem o obrazie

świata, który kpi sobie z jakichkolwiek wyobrażeń etycznych, a z drugiej strony, jest jakby aksjologicznie „podwatowany”, niczym bezpieczniki elektryczne, by umożliwić nam trwanie. Jest więc jednak jakiś…

— (*przerywa*) Alboż ja wiem, czy etyka rzeczywiście zapewnia nam trwanie? Przekonałem się, że ludźmi gotowymi z narażeniem własnego życia nieść pomoc innym są często tacy, którzy niczym podobnym wcześniej się nie wyróżniali, a nawet sami nie wiedzieli, że będą się w ten sposób zachowywali. Dopiero czas ostatecznej krytycznej próby wywabiał z poszczególnych jednostek takie reakcje. Sądzę, że tak mogło być zawsze — z rozmaitym nasileniem — w różnych społecznościach i kulturach. Można to znów sprowadzić do biologicznego korzenia, ale to naciąganie hipotez. Po prostu tak jest.

Ludzkość jako całość zachowywała się zawsze nieprzyzwoicie i wielce paskudnie. Jest to gatunek, w którym ze wszech miar przeważa paskuda zachowań zbiorowych nad zachowaniami nienagannymi etycznie. Tak jest i zawsze tak było. W tym zakresie nie widzę najmniejszego postępu. Postęp istnieje tylko w tym sensie, że nastąpiły różne kodyfikacje i władza osób stojących u społecznych sterów została w specyficzny sposób ograniczona. Wolno im nieraz to samo, co było wolno Aleksandrowi Macedońskiemu i Attyli, lecz nie wolno im już tego robić bez argumentacji, obracającej zło w dobro.

Żaden dyktator nie chełpi się publicznie tym, jaką moc ludzi kazał wymordować. Nawet Adolf Hitler wolał się z tym kryć przed własnym narodem. Dawniej tak nie było. Jeden z bohaterów *Wizji lokalnej* powiada, że zmieniły się tylko maniery. Torturuje się, ale nie na publicznym widoku. Kary śmierci też się już publicznie nie wymierza. Katolicyzm złagodniał także, skoro katecheta uczy teraz dzieci, że miłować należy także ateistów. O zabijaniu heretyków nie ma już mowy. A przecież dawniej było to chlubą naszego rycerstwa.

Proszę zwrócić tez uwagę, że w zakresie erotyki i seksualizmu działy się przez wieki różne potworności zupełnie jawnie i były uznawane za rzecz normalną. Po wzięciu obleganego grodu żołnierze otrzymywali często prawo robienia z ludnością, co im się chciało, jako rodzaj nagrody. Żaden dowódca nie może dziś tak postąpić, ale jest to raczej poprawa w manierach, w oficjalnym savoir-vivre, aniżeli w samej rzeczy.

Nawiasem dodam, bo nie mogę się powstrzymać od myślowych odskoków, że moja uwaga w *Filozofii przypadku*, dotycząca pewnych fragmentów *Trylogii*, nie doczekała się żadnego echa, a szkoda. Wyjawiłem tam brzydkie podejrzenie, że matka Zosi Boskiej nieprzypadkowo nosiła właśnie to nazwisko, bo kiedy Azja Tuhajbejowicz po rzezi w Raszkowie podarował ją swemu słudze Halimowi, ów Lipek miał za niewolnicę matkę Boską, i pomyślałem jeszcze mniej przyzwoicie, co też on mógł z nią robić? Sienkiewicz ograniczył się do stwierdzenia, że była to matrona stateczna. Miała wszakże córkę nastolatkę, bo wtedy dziewczęta bardzo wcześnie wychodziły za mąż, więc starsza pani Boska nie mogła mieć nawet czterdziestki. A wówczas trzydziestokilkuletnia, dzieciata kobieta uchodziła za matronę.

Potem z woli sułtana Zosię, Ewkę i panią Boską sprzedano do haremów. Panna Nowowiejska była już brzemienna z Adurowiczem. Turcy potrzebowali janczarów. Handel żywym kobiecym towarem był rzeczą normalną i godziwą na Oriencie. Nie wiem, czy jakiś historyk zajmował się tymi sprawami. Przypuszczam jednak, że ten, kto kupczył owymi nieszczęsnymi brankami, wcale się z tym nie krył.

Dziś handel żywym towarem — jak wiemy — również istnieje, a pornografia w permisyjnych społeczeństwach ma część oficjalnie dopuszczoną, lecz ponoć jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Słyszałem, że wszystko, co nadal zakazane, więc obrazowanie aktów gwałtu, wyżywanie

popędów na dzieciach, znajduje się na czarnym rynku. W Hollywood skodyfikowano erotykę tak dokładnie, że przed trzydziestu laty nie można było pokazać wewnętrznej powierzchni kobiecego uda, a potem kodeks ten został, nie bardzo pojmuję czemu, przekreślony. Pornografia zarzyna erotykę.

Teraz jest strasznie tłumnie na świecie. Im bardziej jest on wypełniony ciżbami ludzi, którzy stają się dla siebie anonimowi, tym jest gorzej. Moja żona trafnie kiedyś powiedziała, że to szczęście, iż nasz syn wychowuje się na osiedlu, gdzie wszyscy się znają. Poza nieliczną grupą pijusów i bandziorów, którzy co trzy tygodnie włamują się do sklepu — ostatnio rzadziej, bo nie ma po co — ogołacając go od sufitu do podłogi, wszyscy się doskonale znają. To jest sytuacja gminy pierwotnej, gdzie powściągi wynikają z tego, że nikt nie jest jednostką anonimową, lecz wciąż znajduje się na wodzy cudzych spojrzeń. W tej sytuacji łatwiej przestrzegać kanonów przyzwoitości. Trzeba lepiej ukrywać swoje brzydkie pociągnięcia względem bliźnich.

Każdy wiek, każda epoka ma swoje koszmary, a natura ludzka jest wciąż jak przykrótka kołdra. Kiedy wciągamy ją na głowę, wystaje brudna noga. Teraz na przykład obserwujemy w skali światowej terroryzm. Wcale nie jestem rzecznikiem konspiracyjnej wizji dziejów, która powiada, że istnieje on dlatego, bo finansują go państwa X lub ruchy Y. Dlaczego nie ma powszechnego ruchu popierania wdów i sierot, który by okradał banki na zasadzie Robin Hooda? Jeśli ludzie nie mają na coś ochoty, to żadna inspiracja nic nie da.

— *Czyli znów kłania się nam koncepcja zła bezinteresownego.*

— Powiedziałem kiedyś na prelekcji u dominikanów: istnieje aktywna chęć zadawania bezinteresownego zła, a jego dystrybucja jest nierównomierna w populacjach. Ja na przykład nie odczuwam takiej chęci. Zapewne chęć

zrewanżowania się za doznane krzywdy nie jest mi obca i sądzę, że odczuwałbym pewne zadowolenie, widząc, jak ja lub ktoś inny otrzymuje satysfakcję na brzydalach, lecz nie wydaje mi się, bym mógł mieć przyjemność z rozłożenia jednym pociągnięciem pióra (jak nasze obecne władze) jakiejś redakcji czy zespołu filozofów. A tymczasem stan wojenny otworzył pole do działalności różnym sfrustrowanym grafomanom i półgłówkom w mundurach, a także partyjniakom w komitetach powiatowych i wojewódzkich, którym uświadomiono, że nikt się z nimi nie liczy, a społeczeństwo ma ich głęboko w dupie (choć dostali w grudniu pistolety, żeby się mogli bronić przed rzekomymi terrorystami z „Solidarności"). Te partyjne kanalie dokonują w ten sposób zemsty za swoją nieudolność, cynizm, nędzę duchową, serwilizm i bezdenną głupotę. Obserwuję to z najwyższą pogardą i obrzydzeniem. Taką potrzebę niszczenia mogą odczuwać tylko ludzie kalecy intelektualnie i głęboko nikczemni. Ja takich potrzeb w ogóle nie potrafię zrozumieć. W kategoriach satysfakcji nie dałoby mi to nic!

Nie istnieje żadna etyka zła, która by nie była mimośrodowa, a zatem taka, w której zło jest autoafirmacją zła. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Zawsze pojawia się pretekstowe wyjaśnienie, głoszące, iż świadczone zło jest ceną, którą trzeba zapłacić za dobro aktualne lub przyszłe. Zawsze chodzi o usmażenie dwóch jaj z okazji podpalenia miasta. Wiele może sprawić ludzkie zacietrzewienie, lecz często na dnie tego korzenia sprawczego podejrzewam zło, które lubuje się w panoszeniu bezinteresownym. Tu było miasto, redakcja, zespół ludzi, działalność, a ja jednym tupnięciem, telefonem czy wystrzałem niszczę wszystko. Jako ślad pozostaje ruina.

Komuniści i umundurowani politrucy pozostawią po sobie taką dewastację świata wartości i smród moralny, że będziemy w tym brodzić wyżej czubka głowy jeszcze przez całe dziesięciolecia. Będzie tak nawet wtedy, gdyby

jakimś szczęśliwym zrządzeniem opatrzności zapadła się pod nimi ziemia (w co oczywiście nie wierzę, ale im z głębi serca życzę). Ten generał [Jaruzelski — S.B.] wziął na swoje sumienie straszną winę. Jeśli nie jest zatwardziałym bandytą, wróżę mu ciężkie umieranie. Wolności pewnie już nie dożyjemy. No, może panu się uda, jeśli ze zgrozy nie ucieknie pan z tego kraju, na co i ja mam coraz częściej ochotę[4]. To są podli i ogłupiali ludzie (nie wiem, czy bardziej ze strachu, karierowiczostwa i serwilizmu, czy ze strachu przed własnym społeczeństwem, które doprowadzili swoją głupotą do ostateczności), wyobrażający sobie, że są Wallenrodami. Nie wiem, czy w to wierzą, czy tylko tak gadają, żeby nie widzieć własnych mord przy goleniu. W każdym razie niszczą wszystko, co ma jakikolwiek sens i wartość. Kulturę i wiedzę mają zaś w szczególnej pogardzie, jak każdy prostak, który w ogóle nie wie, do czego to służy.

— *Czyli po prostu Herostrates!*

— Pewnie, że to stare jak świat. Herostrates przede wszystkim chciał, aby wiedziano, że on istniał. Niczego lepszego w tym celu nie potrafił zrobić. I co, nie wiemy?

— *Wiemy! Zbudowanie biblioteki i zgromadzenie zbiorów to większy wysiłek niż jej spalenie. Patrząc na tę kwestię z punktu widzenia bilansu energii, destrukcja jest bardziej „opłacalna” niż męcząca przecież kreacja.*

— Pański wniosek muszę odprowadzić do *Wizji lokalnej,* w której filozof Xirax, twórca ontomizji, wygłasza Doktrynę Trzech Światów. Ona jest wymyślona, ale logicznie poprawna. Są trzy możliwości: albo świat jest dla swoich mieszkańców obojętny, albo życzliwy, albo też nieżyczliwy. Xirax twierdzi, że świat jest nieżyczliwy, bo: łatwiej w nim niszczyć, niż tworzyć; łatwiej dręczyć, niż uszczęśliwić; łatwiej zgubić, niż ocalić; łatwiej zabić, niż ożywić. Gdyby jednakowo łatwo było wykonywać oba rodzaje czynności, wówczas świat byłby obojętny. Gdyby natomiast łatwiej było

uszczęśliwić, niż zrujnować, łatwiej ożywić, niż zabić, byłby to świat przychylny. Z tego wyliczenia wynika, że nasz świat jest nieprzychylny. Wydaje mi się, że bardzo trudno obalić to rozumowanie.

— *Ja się tego nie podejmuję. Zastanawiam się tylko, czy odpowiedź będzie tożsama dla świata zawężonego do człowieka i dla świata rozszerzonego na kosmos?*

— Przecież pan wie, że nie wszystkie kultury przeciwstawiają istotę rozumną naturze. Są cywilizacje, które uważają, że to jest jedność. Że stanowimy część natury. Nie można powiedzieć, że tak nie jest. Można naturalnie trwać w przekonaniu, że to nie świat jest dla nas niedobry, lecz tylko niedobry jest człowiek dla człowieka. Dobrze, wierzę, że panu z tym łatwiej. Ale kiedy się zabija człowieka, jest to fakt nieodwracalny. Prawda? To nie wynika z natury ludzkiej, tylko z natury świata. To, że łatwiej jest roztrzaskać dowolny przedmiot, niż go odtworzyć, to jest strzałka entropii — drugie prawo termodynamiki! To nie jest wynik tego czy innego systemu wartości — to się dzieje w każdej kulturze! To są dane kosmiczne. Część tych danych dociera do nas w sposób bezpośredni, w postaci na przykład tłukliwości przedmiotów, a część za pośrednictwem ciał, umysłów i uczynków ludzkich. Ale znaki ujemne, którymi trzeba zaopatrywać skutki tych działań, są zbieżne zarówno w sferze społecznych zapośredniczeń, jak i w sferze bezpośrednich stanów świata.

Nie ma takiego środka, który by wskrzesił zamordowanych. Trudno wyobrazić sobie, aby kiedykolwiek mogło być inaczej. Nawet moja wspaniała wyobraźnia nie potrafi wyobrazić sobie świata, w którym można by było za pomocą *ad hoc* uruchomionego zabiegu wskrzesić nieboszczyka w mogile. Zresztą zaraz przybiegną policjanci i „rozwalą” Łazarza. Tego nie można sobie przedstawić jako konstytutywnej własności jakiegokolwiek świata

stworzonego przez naturę czy technologię. Taka jest przyroda świata. Nawet Pan Bóg rozkłada ręce.

— *No, jednak nie do końca.*

— Rzeczywiście, najznakomitszym i najchytrzejszym wynalazkiem wiar, ze szczególnym uwzględnieniem chrześcijaństwa, jest to, że doprawiają realnemu światu dobudówkę transcendentalną, w której wszystko ulegnie naprawie. Cały system zaświatowy jest jednym gigantycznym zakładem ubezpieczeń, w którym wszystko ulegnie wyrównaniu. Mało tego, że tam przebywać mają dusze, ale jeszcze na dokładkę ma się odbyć zmartwychwstanie ciał. Notabene zawsze byłem ciekaw, co wtedy ma się dziać z genitaliami i innymi „urządzeniami", które spełniają funkcje fizjologiczne. Kupiłem sobie nawet w tym celu grubą księgę pod tytułem *Eschatologia*, ale nie dowiedziałem się na ten temat ani słowa. Nie wiem nawet, czy wciąż jeszcze wykłada się o smole i siarce, bo w końcu są już doskonalsze instrumenty, które mogłyby być zainstalowane w piekielnych otchłaniach przez następną generację diabłów.

— *Pan ironizuje, ale w końcu bez tych transcendentalnych i pozatranscendentalnych „przybudówek" dużo łatwiej byśmy się pozjadali.*

— Ja też zawsze twierdzę, że kultura „watuje" i protezuje świat, odwracając mu znaki z nieprzychylności na względną przychylność. Kiedy panu tramwaj odetnie nogę, to zaraz przyjedzie pogotowie ratunkowe; gdy pan będzie tonąć i krzyczeć, to pewnie pana wyciągną; może się pan ubezpieczyć od gradu i pożaru. Cywilizacja wypracowała na przestrzeni wieków sporo instytucjonalnych zabezpieczeń przeciwko losowości wydarzeń. Proszę zauważyć, że jeszcze dwieście lat temu nie było tego wszystkiego. Nie było obowiązku szczepienia i oświaty ani wielu innych rzeczy. Kiedy komuś się tak podobało, to jego dzieci nie uczyły się czytać ani pisać, lecz mogły chodzić

na czworakach w chlewiku. Teraz ten obowiązek antylosowego zabezpieczenia przejęły różne instytucje. Tam zaś, gdzie nie można tego robić realnie, czyni to kultura, a przede wszystkim religia, która jest wielką pocieszycielką. Albo też przychodzi ideologia, która mówi: „no, bracie, nie możesz jeszcze mieć samochodu, ale twoje dzieci będą miały pięć”. Zawsze ktoś panu powie, że jak coś panu nie będzie dane na ziemi, otrzyma pan to za grobem, bo jest tam wielki luz i znacznie przyjemniej. Mamy więc tutaj do czynienia z działaniem podwójnym: realnym (antylosowym) oraz rekompensacyjnym (obiecującym satysfakcję „po drugiej stronie”). Gdyby świat był inaczej urządzony, byłoby to zupełnie niepotrzebne. Gdyby równie łatwo było kogoś wskrzesić, jak ukatrupić, wówczas wszystkich pocieszycieli można by odesłać do domów. Cóż, nie jest pan ze mnie zadowolony?

— *Nie, dlaczego? Po prostu nie sądzę, aby pan w to literalnie i do końca wierzył.*

— Wie pan, gdybym ja ze wszystkim tak sądził, to sam bym wygłosił taką tezę, a nie wymyślał sobie mediatora w postaci Xiraxa. Chodziło mi przede wszystkim o to, aby cywilizacja encjańska była zaimpregnowana taką wizją świata. Wydaje mi się, że mogło tak być — to jest dopuszczalne. Wszystko jest w tej doktrynie ładnie skodyfikowane i podane w postaci niemal sylogistycznej. Właśnie Doktryna Trzech Światów jest powodem, dla którego Encjanie w tej książce budują etykosferę. Oni po prostu odwracają znaki. Światu, który ma znaki ujemne, dorabiają znaki dodatnie, których nie posiada. To jest eksperyment myślowy. W całości się pod nim nie podpisuję. Mówię coś innego: *ad usum Delphini* jestem gotów tezy o nieżyczliwej stronności świata do pewnego stopnia bronić.

— *Cóż, na razie nie możemy sobie zafundować etykosfery, więc co pan proponuje na dziś?*

— Powiem panu, że mimo wszystkich piekielnie lodowatych okoliczności nie rozmyślałem zbyt wiele nad sprawami etyki, bo miałem poczucie, że niczego nowego nie wymyślę. Przyjąłem po prostu na własny użytek taki minimalistyczny kodeks postępowania, którego staram się — nawet gdy nie odczuwam do kogoś sympatii — przestrzegać.

— *Co on głosi?*

— Staram się nie być dla nikogo świnią. No tak! Po co mam być świnią? Nawet gdybym z tego coś mógł mieć, wolę się w takich uczynkach powściągnąć, choć wiem, że nie czeka mnie ani nagroda niebieska, ani piekielna kara. Czasem jest to nawet rzeczą zastanawiającą dla osób bardzo wierzących.

Kiedyś, gdy miałem się żenić i rodzice żony życzyli sobie, aby się odbył ślub kościelny, zaprowadzono mnie do pewnego dominikanina. Byłem już wtedy niewierzący, więc duchowny ten usiłował mnie nawrócić i tchnąć we mnie religijnego ducha. Robił to zresztą w sposób niesłychanie naiwny, rysując przede mną wizję okropnych mąk piekielnych. Tłumaczyłem mu wówczas, że ja się przecież całkiem przyzwoicie zachowuję. Odpowiedział mi na to, że nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym się tak zachowywać. Tymczasem ja sobie takich sylogizmów nigdy nie budowałem. Gdyby nawet Pan Bóg dał mi specjalną licencję na walenie ludzi w mordę, to powiem panu, że nadmiernie bym z niej nie korzystał.

— *Bo za ostateczną sankcję etyki uznaje pan rozum?*

— Tak, proszę pana, ROZUM.

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

Lube czasy

— Kiedy powstała „Solidarność”, doszedł pan do wniosku, że należy wyjechać z kraju. Do dziś zachowałem to na taśmie. Gdy zapytałem dlaczego, odpowiedział pan, że „Solidarność” nie jest zdolna do przejęcia funkcji administracyjnych. To się oczywiście sprawdziło. Skąd pan miał tę pewność już wówczas?

— Nie było to, oczywiście, oparte na analizie rzeczowej. Nie znałem osobiście ludzi z „Solidarności”, ale wiedziałem, że główna różnica pomiędzy sytuacją po 1918 roku i po 1980 roku była taka, że II Rzeczpospolita powstawała z kiepskiego sklejenia trzech zaborów, w których jednakże systemy ustrojowe były dość podobne. Nigdzie bowiem nie został zlikwidowany kapitalizm i były szanse na wytworzenie się przyzwoitej klasy politycznej, zwłaszcza w Austrii, gdzie polscy politycy mieli dużo do powiedzenia, a nawet, co jest charakterystyczne, w Rosji, w Kongresówce, mimo tego, że carat był o wiele bardziej przykry. Przypominam sobie konferencję Piłsudskiego z generalicją, wśród której było kilku generałów wykształconych w Moskwie, którzy mówili lepiej po rosyjsku niż po polsku, ale to byli tak zwani polscy patrioci. W Prusach i w Wielkopolsce pod tym względem było jeszcze lepiej. Do rozsądku politycznego naszych

solidarnościowych mężów opatrznościowych nie miałem natomiast zbyt wielkiego przekonania, więc wyszedł mi z tego scenariusz pesymistyczny. Oczywiście, nie mogłem wtedy wiedzieć, jak konkretnie dokona się proces blamażu politycznego tych różnych Wałęsów i Wachowskich. Ale czułem.

— W rozdziale pod tytułem „Czarna bezwyjściowość sytuacji", który z powodów cenzuralnych nie wszedł do pierwszego wydania naszych rozmów[5]*, wypowiadał się pan nieprzychylnie o obiegu niezależnym i kulturze podziemnej. Nawet się po cichu cieszyłem, że to wyleciało, bo wówczas brzmiało szpetnie. Dziś wiele wskazuje na to, że miał pan rację, bo mało ważnych książek się wtedy urodziło.*

— To prawda, osiągnięcia artystyczne tamtego czasu są bardzo nikłe. *Raport o stanie wojennym* Nowakowskiego i inne podobne dzieła, jak *Kadencja* Szczepańskiego, są dla współczesnej młodzieży głosem z innej epoki. Nikogo to już nie obchodzi, bo panuje jakaś kompletna amnezja — ludzie nie chcą sobie przypominać tych czasów. A młodzi po prostu się tym nie interesują.

W tamtych latach panował jeszcze jakiś święty zapał. Kiedy pod sam koniec PRL-u przyszedł do mnie Jerzy Jarzębski i przyniósł mi pierwszą część *Literatury polskiej po 1939 roku*, ucieszyłem się. W tym tomie mieli swoje hasła tylko niektórzy. Nie pamiętam już nawet, czy się „załapałem" — chyba tak. Potem miał się ukazać drugi tom, ale wcześniej był Okrągły Stół i wybuch wolności. Po jakimś czasie pytam więc Jarzębskiego, kiedy będzie ten drugi tom. A on mi na to, że nigdy. „Dlaczego?" — pytam. — „Bo przedtem wszyscy mieli zapał, a teraz już tylko pytają o kasę". Nikt z autorów haseł, którzy pisali je wcześniej, nie miał najmniejszej ochoty na kontynuowanie pracy. Nastąpiła taka zmiana mentalności wśród intelektualistów

i humanistów, że trzeba było zaprzestać pracy nad tą książką. No i co pan zrobi?

— *Wie pan, ja w tym nie widzę cynizmu. Uczeni nie mają się już z czego utrzymać. Każdy z nich ma drugi, trzeci etat, bo inaczej umarłby z głodu wraz z rodziną. Oni nie mają już możliwości kontynuowania na polu nauki prac charytatywnych.*

— Wielu mądrych ludzi twierdzi, że żyjemy w epoce wielkich, nieprzytomnych wręcz roszczeń, mimo tego że ogólna stopa życiowa (w uśrednieniu oczywiście) jest wyższa niż przed wojną.

— *W czasie stanu wojennego rozmawialiśmy o rozbijaniu kultury polskiej i świadomej destrukcji, dokonywanej przez dyspozycyjnych publicystów i przez władze. Dziś proces ten mamy już za sobą. Czy pana zdaniem pozostały po nim blizny?*

— Generalnie rzecz biorąc, ówczesne działania władz sprowadzały się przede wszystkim do zamknięcia ludziom gąb, wpakowania ich do „internatów” lub zepchnięcia w podziemie. W odpowiedzi powstała bogata ilościowo literatura antykomunistyczna i antyrządowa (od „Zapisu”, poprzez rozmaite niskonakładowe pisma, po powielane na prymitywnych maszynach druki), ale myślę, że przyniosło to wszystko znacznie głębsze, oddziaływujące do dziś skutki. Na przykład arcybiskup Życiński cytował niedawno Józefa Hena, który napisał, że najbardziej ponurą chwilą w PRL-u było dla niego, kiedy w czasie podpisywania książek zauważył niedaleko siebie długi ogonek stojący do kapitana Czechowicza. Pamięta pan tego orła?

— (*śmiejąc się*) *No jakżeż nie! PRL-owski James Bond, który zdemaskował Wolną Europę.*

— Najpierw był szpiegiem u Giedroycia i w Radiu Wolna Europa, a kiedy później wrócił do Polski, ciągle pokazywali go w telewizji. Z tego artykułu, opublikowanego w „Plusie Minusie”, dowiedziałem się, że tenże Czechowicz znów zrobił się strasznie aktywny. On, Gontarz, Poręba

i wszystkie inne draby z tego okresu. Niech pan zobaczy, nawet włos im z głowy nie spadł! Poręba startował niedawno do sejmu z listy PSL-u. Nikt z nich nie został w żaden sposób, choćby moralnie, odrzucony przez środowisko literackie. Nie było żadnych sądów „skorupkowych”, ostracyzmu, nic. Ja natomiast uważam, że sytuacja, kiedy ludzie, którzy robili rzeczy podłe, wciąż zajmują się działalnością publiczną, jest rzeczą głęboko demoralizującą. Przecież oni znów są gotowi działać na wszystkich piętrach kultury, a nawet chcą nią zarządzać. Poza tym nadal mają wspaniałe poczucie suwerenności i uczciwości.

Wie pan przecież, jak olbrzymia była aż do Nobla literatura antymiłoszowska. Nie mieliśmy w kraju nikogo tej klasy, a mimo to opluwano go z wyjątkową zaciekłością! I wszyscy ci opluwacze żyją sobie spokojnie dalej. Docenci marcowi też są dzisiaj habilitowanymi profesorami. Tak się szczęśliwie złożyło, że nie musiałem długo nurzać się w tych paskudztwach stanu wojennego, bo wyjechałem wtedy z kraju. Czułem się do tego stopnia odrąbany od świata, że nie miałem się nad czym specjalnie zastanawiać, choć naturalnie było mi bardzo przykro. Mój zachodni wydawca najpierw pomógł mi uzyskać *fellowship* w Institute for Advanced Study w Berlinie, gdzie spędziłem rok, a potem przez sześć lat siedziałem w Austrii, więc bezpośrednio tego wszystkiego nie oglądałem i nie mogę mówić o konkretnych działaniach. Wyjątkowo tylko zdarzyło mi się brać udział w jakichś doraźnych interwencjach czy akcjach, jak wtedy, gdy ubecja sporządziła fałszywy list Jana Józefa Szczepańskiego do władz, a Bartoszewski i ja natychmiast napisaliśmy w zachodnioberlińskim „Tagesspieglu”, że to jest kłamstwo. Notabene nie mieliśmy żadnych potwierdzeń, że on tego nie napisał, ale ponieważ doskonale znamy Szczepańskiego, więc wiedzieliśmy, że to jest niemożliwe. Potem ta sprawa pomaleńku się

wyjaśniała, ale, jak widać, tego rodzaju ohydy były wówczas na porządku dziennym.

Dziś tego rodzaju postępowanie usiłuje się czyścić argumentami, że Kwaśniewski zachowuje się bardzo zręcznie. Rzeczywiście, przy wszystkich wadach jego komunistycznego pochodzenia robi bardzo dobre wrażenie na Amerykanach i Niemcach. W każdym razie stara się jak może. Nawet jak za Jedwabne przeprosił, zrobił to w imieniu tych Polaków, którzy się wstydzą, a o tych, którzy się nie poczuwają do winy, milczał. Ale to przecież nie zmienia faktu, że wszystkie te małe łajdaki, które niszczyły ludzi i kulturę, nadal bardzo dobrze funkcjonują. Nikt ich na łyso nie ogolił, a nawet nie wyrzucił z wydawnictw.

— *To prawda, we mnie też się od tego flaki wywracają, ale niech mi pan powie na przykład, komu po stanie wojennym nie podaje pan ręki?*

— Hmm… (*chwila milczenia*) Kiedy otrzymywałem honorowe obywatelstwo Krakowa, najpierw na galerii rozległ się hejnał (w zamkniętej przestrzeni sprawiło to wrażenie strasznego huku), a potem wręczano mi rozmaite dyplomy, świadczono honory i ściskano rękę. Nagle patrzę, a przede mną stoi dyrektor Kurz i podaje mi rękę. Niech pan sobie wyobrazi, że uścisnęliśmy sobie serdecznie dłonie. Bo to są takie odruchy. Tylko człowiek o mikroskopijnym wychowaniu może się na to zdobyć, żeby nie podać drugiemu ręki. Pewnych rzeczy po prostu się nie robi.

Ja oczywiście doskonale pamiętam, że on wstrzymał druk powieści z „mojej” serii amerykańskiej fantastyki tylko dlatego, że ich tłumaczem był Barańczak, na którego wprowadzono wtedy zapis cenzury. Kiedy później wznowił tę serię, nieżyjący już dziś fantasta amerykański Philip Dick napisał, że Lem jest złodziejem, bo ukradł jego honorarium dolarowe w Polsce. Wysmażyłem wtedy po angielsku list, w którym wyjaśniałem, że po pierwsze, nie mogłem tego zrobić, a po drugie, nie jestem właścicielem wydawnictwa,

bo prywatnych oficyn w Polsce w ogóle nie ma. Potem wyjechałem do Berlina. Kiedy wróciłem, okazało się, że Kurz tego listu w ogóle nie wysłał do Dicka, tylko schował pod sukno. Pamiętam, że wpadłem wtedy do niego do gabinetu i zrobiłem taki raban, że słychać mnie było na parterze. I po tym wszystkim on mi podaje rękę i serdecznie gratuluje…

— No i oni na tym żerują. Mam kolegę ze studiów, który w stanie wojennym był dziennikarzem i pisał artykuły o chwalebnym wkładzie zomowców w dzieło wolności. Robił to nawet wtedy, gdy został przez nich pobity w jakiejś zadymie. Kiedy po paru latach spotkałem go na ulicy, odruchowo podałem mu rękę. Tak jak pan Kurzowi. Z delikatności. Więc może sami do siebie powinniśmy mieć pretensje, że ci ludzie nadal funkcjonują w kulturze?

— No właściwie tak, ale co można było zrobić? Ostatnio odbyła się spora dyskusja prasowa o Porębie. Między innymi wypowiadał się w niej Jan Józef Szczepański, który z filmu *Hubal*, do którego napisał scenariusz, wycofał swoje nazwisko, bo Poręba zrobił w tekście różne ohydne przekręty. To oczywiście wydrukować można, bo papier wszystko zniesie, ale to nie ma żadnego wpływu na takich ludzi. Ja bym powiedział, że w Polsce nic takiego jak sprężyście reagująca opinia środowisk intelektualno-literackich nie istnieje. Poszczególne jednostki coś tam krzykną tu i tam, po czym schowają się za szafę. Tak po prostu jest.

— Miłosz kiedyś złośliwie napisał, że jesteśmy narodem przebaczającym i łagodnym, bo brzydzimy się gilotyny.

— To się tak tylko mówi. Łagodne narody nie urządzają Żydom Jedwabnego. Notabene napisałem kiedyś na podstawie absolutnie wiarygodnych danych artykulik, w którym podałem, że podczas okupacji w Polsce było kilka tysięcy szmalcowników. Zaraz otrzymałem anonim, w którym oskarżono mnie o to, że kalam rodzinne gniazdo. Tymczasem, proszę pana, ostatnio widziałem autentyczny

komunikat komendy AK, w którym podawano informację, że w Małopolsce działało około 30 tysięcy szmalcowników. Ja już tego tematu więcej nie ruszałem, ale, na miłość boską, taka jest prawda o nas!

— To wszystko znaczy, że nie mamy społecznego systemu odrzucania szumowiny.

— No, nie mamy. Ja bym powiedział, że w dużym stopniu zawdzięczamy to ciężarowi dwóch walców wojennych — niemieckiego i sowieckiego. Nasze społeczeństwo zostało nimi tak silnie przygniecione, że się już nie podniosło. To widać w rozpanoszonym leseferyzmie i postawach typu „moja chata z kraja”… Cała ta sztucznie nadmuchana jak cukierniczy wyrób pseudokulturowa formacja się zawaliła.

— W 1981 roku powiedział pan: „Nie wiem, czy mógłby być w Polsce pozagrobowy antysemityzm. Na Zachodzie musieliby sobie coś takiego wymyślić”. Jak się okazuje, w tym zakresie jesteśmy niezmordowani i doczekaliśmy się rzeczywiście pozagrobowego antysemityzmu. Jaki pan ma stosunek do książki Grossa i sprawy Jedwabnego?

— No, rzeczywiście, jest to bardzo drażliwa sprawa, chociaż powiedzmy sobie uczciwie, że w latach 1945–1946 różne pogromy, choć nie tak straszne jak w Jedwabnem, przetoczyły się przez Polskę. Jestem przekonany, że benzyny do ognia polskiego antysemityzmu w czasie okupacji obficie dolali Niemcy, którzy stali się też nauczycielami sposobów krwawego dopowiadania go do końca. Napisałem na ten temat nawet artykuł, zatytułowany *Sprawa krwawego błota*, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym”. Przypominał on o tym, co się stało sto lat wcześniej, gdy władze austriackie zdjęły osłonę nietykalności z polskiej szlachty ziemiańskiej. Natychmiast pojawił się Jakub Szela, odbyła się rabacja, a „mego ojca piłą rżnęli”. Niech pan zobaczy: nie miało to nic wspólnego z Żydami. Ten sam mechanizm powtórzyli później Niemcy, demonstrując, że można z kolei bezkarnie mordować Żydów. Mało tego, oni z detalami pokazali, jak to się robi.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Sugestywnie ten problem zobrazował podobno Lanzmann w filmie *Shoah*, ale ja go nie obejrzałem, bo dobrze pamiętam te czasy i tego typu obrazy nie były mi do niczego potrzebne.

— No tak, ale sam pan kiedyś powiedział, że z samego tylko namawiania nie powstanie powszechny ruch popierania wdów i sierot. Dla altruizmu, jak dla zbrodni, musi istnieć ugruntowane podłoże.

— Polacy niestety nie należą do narodów pierwszej klasy, szanowanych przez inne nacje. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni niechęcią i czujemy się gorsi od innych. Francuskie powiedzenie *ivre comme un polonais*, niemieckie *polnische Wirtschaft,* amerykańskie *Polish jokes*, rosyjskie *kurica nie ptica, Polsza nie zagranica*, nie świadczą o sympatii. Wiecznie byliśmy gorsi, daliśmy się rozebrać, wszystko, cośmy robili, było kiepskie, a każdą szansę umieliśmy zmarnować. Oczywiste więc jest, że jeśli ktoś będzie stale kopany, musi sobie znaleźć kogoś, kto będzie jeszcze gorszy i wstrętniejszy od niego. Żydzi zawsze się do tego świetnie nadawali. Mogliby też być Cyganie, tylko że ich jest bardzo mało i nawet nie wiadomo, gdzie oni dziś są. Teraz więc pojawili się już ludzie „nominowani" na Żydów, jak na przykład Kwaśniewski. Tak u nas niestety jest. Na dodatek atmosferę antysemityzmu podsycają roszczenia Żydów, którzy wyjechali do Ameryki.

Napisałem niedawno w „Tygodniku", że ożywienie się w Polsce antysemityzmu nie zdziwiło mnie, natomiast fakt, że jedni katolicy mogą nienawidzić, gryźć i podkopywać innych katolików przy współudziale kleru, to była dla mnie okropna niespodzianka.

— Chce pan powiedzieć, że Kościół polski nie ma w tym wszystkim czystych rąk?

— Ani w tym, ani w kwestii stosunku do Żydów. Kościół dziwnie często przez całe dekady sekundował antysemitom. Wie pan, tezy w rodzaju „Żydzi zamordowali Pana Jezusa" na pewno nie służą pojednaniu. Kiedyś widziałem program

telewizyjny, w którym padło pytanie: „Jakiej narodowości był Jezus?” Wie pan, jaka była odpowiedź? „Polak”. Poważnie! Matka Boska — jak wiadomo — była Żydówką, a mimo to jej wizerunek nosił w klapie antysemita Wałęsa.

Na uroczystości w Jedwabnem przyjechał przedstawiciel kardynałów niemieckich, obecna była głowa polskiego Kościoła ewangelicznego, byli rabini, był ksiądz Boniecki (dobrze go znam, bo chrzcił moją wnuczkę), któremu Turowicz przekazał w schedzie „Tygodnik”, byli wreszcie jeszcze jacyś inni starozakonni, ale przedstawiciele polskiego episkopatu zamknęli się w Warszawie i nie chcieli mieć z tym nic wspólnego.

Nie dziwię się, że w „Res Publice” napisano tak wyraźnie, że prymas jest endekiem, a jego nieobecność w Jedwabnem była skandalem. Ja się z tym zgadzam. Dodatkowo życie dopisało do całej tej okropnej masakry niespodziewaną pointę. Nie wiem, czy pan zwrócił uwagę, że w tych żydowskich pogromach brali aktywny udział dwaj bracia Laudańscy. Mnie uderzyło to wyjątkowo nieprzyjemnie, ponieważ do pozytywnych bohaterów zbiorowych *Trylogii* należy właśnie drobna szlachta laudańska. To jest symboliczne zejście polskiej legendy na psy.

— *Czy antysemityzm polskich środowisk klerykalnych jest, pana zdaniem, stałą cechą naszego Kościoła, czy wynika z chęci przypodobania się wiernym?*

— To wszystko ma bardzo głębokie antecedencje historyczne. Warto jednak zawsze przypominać, że kiedy w Europie trwały prześladowania Żydów, Polska stanowiła dla nich schronienie (choć było to naturalnie w interesie szlachty). Niestety, później już nie, i to też trzeba powiedzieć. Nie wiem, czy pan słyszał o wielkiej awanturze o malowidło z katedry w Sandomierzu, przedstawiające Żydów puszczających igiełkami krew z chrześcijańskich dzieci, żeby z nich zrobić ciasto na macę? Po wielu deliberacjach uczeni i politycy doszli w końcu do wniosku, że obraz ma jednak dużą wartość historyczną i musi zostać

na swoim miejscu. Chcę przez to powiedzieć, proszę pana, że dla Polaków to był naprawdę obcy świat, o którym mogą się dziś czegoś dowiedzieć już tylko z książek Singera, skądinąd bardzo dobrych i w dużej części przetłumaczonych na język polski.

Ryzykownym, ale bardzo pięknym uczynkiem ze strony Piłsudskiego było szybkie przyznanie obywatelstwa polskiego sześciuset tysiącom Żydów, którzy uciekli przed bolszewicką rewolucją do Polski. Jak się zatem okazuje, istnieje katolicyzm otwarty i ten „inny".

— Niestety, wszystko wskazuje na to, że hierarchia kościelna reprezentuje dziś ten „inny" katolicyzm. W każdym razie inny niż „Tygodnikowy".

— To prawda. Sprawa antysemityzmu jest chyba zupełnie beznadziejna. Uważam, że to jest próba stopienia lodowca. Z tym trzeba żyć, z tym nic się nie da zrobić.

— A ja myślałem, że pan powie, że społeczeństwo można z czasem wychować. Od roku gazety trąbią w sprawie Jedwabnego i powinny już być jakieś wymierne tego efekty.

— Po pierwsze, nie w taki sposób, bo to jest bardzo skomplikowana sprawa. Po drugie, na to potrzeba trzydziestu lat. A po trzecie, w jaki sposób należy uczyć ludzi tolerancji? Na czym miałaby, według pana, polegać taka edukacja?

— No, nie wiem. Ale kiedy we Francji dochodzi do ekscesów antysemickich, na ulice Paryża wylega sto tysięcy ludzi, a na czele idzie jakiś Mitterrand albo Chirac. To jest oczywiście pokazywane we wszystkich sieciach telewizyjnych.

— I co?

— Przynajmniej publicznie oświadczają w ten sposób: antysemityzm to średniowiecze, wy jesteście w mniejszości, a my jesteśmy przeciw. W Polsce natomiast, gdy w Jedwabnem są obchody, mieszkańcy starannie zamykają okna.

— No właśnie, bo my wcale nie chcemy przepraszać za Jedwabne. Dlatego Kwaśniewski inteligentnie się znalazł, przepraszając Żydów tylko w imieniu zawstydzonych holocaustem Polaków. Ja natomiast napisałem, że się poczuwam do wstydu za ogólnopolski aplauz dla „Wielkiego Brata”. Ten straszny prymityw wyrasta z tej samej gleby. Z tym że tej mentalności tak się szybko nie wykorzeni.

— *A co pan sądzi o pomyśle, żeby Żydzi również przeprosili Polaków?*

— Wszelkie gadanie o tym, że jeśli Polacy przeproszą Żydów, to Żydzi mają przeprosić Polaków, nie ma najmniejszego sensu. Popioły mają przeprosić?

— *Antysemityzm miał dobre warunki do przechowania się pod pokrywką komunizmu, ale w dobie wolnego słowa powinien się chyba z czasem rozwiać. Ale jak na razie, od demokracji rozumu jeszcze nie przybyło.*

— Oczywiście, że nie. Demokracja w niczym nie pomoże tym, którym chodzi tylko o „skok na kasę”. Dziś każdy, kto ma do tego smykałkę, idzie do polityki. Zresztą w niektórych kościołach sprzedaje się *Protokoły Mędrców Syjonu*, *Poznaj Żyda* i Bóg wie, co jeszcze. Za to jak w Ameryce odbyło się zgromadzenie i pochód miejscowych hitlerowców, policja musiała ich ochraniać przed zirytowanymi Amerykanami, bo chcieli im natychmiast przyłożyć. Jak pan widzi, wszyscy mają prawo do wolnej wypowiedzi, i ustalenie granicy wolnego słowa jest strasznie kłopotliwe. Trudno, żebym akurat ja wiedział, co z tym zrobić? Czy ja mam jakąś magiczną różdżkę, która może zmienić świat?

— *Ale ja pana teraz wypytuję nie tylko jako potencjalną dobrą wróżkę, tylko jako specjalistę od duszy narodu. Czy da się wychowywać takie społeczeństwo jak polskie?*

— W tym celu trzeba sobie przede wszystkim uzmysłowić, że Polaków jest około 40 milionów, a „Tygodnik Powszechny”, którego poglądy w sprawach antysemityzmu są narodowi niemiłe, ma tylko trzydzieści tysięcy nakładu.

Książki zaś czyta jeden procent Polaków! Na dodatek każde społeczeństwo jest podzielone i ma swoich Haiderów i Le Penów. Haider siedzi zresztą na ogromnych majątkach żydowskich, które Żydzi sprzedali za grosze, żeby ratować życie.

— Polacy wyjątkowo silnie zaimpregnowani są na propozycje rewizji swojego stosunku do Żydów. Zawsze słyszę: nie byliśmy szmalcownikami, nie mordowaliśmy Żydów itd. Ale kim w końcu byli szmalcownicy? Niemcami? Nie chcemy patrzeć w lustro przeszłości. Czy to jest typowo polska cecha? Jak pan uważa?

— To prawda, co pan mówi o szmalcownikach. To było bardzo rozpowszechnione zjawisko. Ale na szczęście nie jest to typowo polska cecha. Niech pan zobaczy, jak późno i niechętnie Francuzi podjęli temat wydawania Żydów Niemcom. U nas problematykę tę pozostawiono pisarzom takim, jak Hanna Krall czy Henryk Grynberg, który – nawiasem mówiąc – próbuje zrobić coś niemożliwego, bo chce przedstawić trzy do sześciu milionów biografii żydowskich w czasie Shoah. To już nie jest ani sztuka, ani encyklopedia, ale spis ludności. Tymczasem pisarze polscy uznali, że cmentarz żydowski należy do ocalałych z holocaustu, i nikt się specjalnie nie wtrąca do tego, co oni tam robią. W tym oczywiście jest jakieś wygodnictwo…

— Z jednej strony można powiedzieć: ponieważ najwięcej Żydów znajdowało się w Polsce, więc ilość denuncjacji musiała być proporcjonalnie duża, ale też można powiedzieć, że uratować można było więcej osób, zwłaszcza dzieci. Jaka postawa jest panu bliższa?

— To jest delikatna sprawa. Jeden szmalcownik był w stanie przez rok wyłapać nawet kilkuset Żydów, a ilu trzeba było Polaków, żeby przechować jednego? Rozmawiałem kiedyś na ten temat z Władkiem Bartoszewskim, który stał na czele „Żegoty”. Wie pan, co on mi powiedział? Aby uratować jednego Żyda w Generalgouvernement, trzeba było stworzyć siatkę około

ośmiu, dziesięciu Aryjczyków, czyli Polaków. Nie zapominajmy, że na terenie GG Niemcy rozwalali ludzi nawet za podanie Żydowi szklanki wody. Tego gdzie indziej w Europie jednak nie było. Być może równie ciężko było w Rosji. Miałem kilku znajomych Żydów, więc chodziłem do getta, by ich namawiać do ucieczki, ale prawdę powiedziawszy, szanse na ocalenie były mikroskopijnie małe. Nie mieli się gdzie schować. Kiedyś poznałem polsko-austriackiego Żyda, który uciekł pod ubraniami zagazowanych ludzi z Bełżca. Żydzi słuchali go z najwyższą niechęcią i nie dawali mu wiary. Nawet dla nich taki upiór z krainy śmierci był kimś niewiarygodnym. Sytuacja jest tak dalece zła, że nie mamy już nic innego do zrobienia, jak trwać uparcie przy tym, że Żydzi się sami spalili…

— (*kończy zdanie*) *…żeby zrobić Polakom na złość*.

— Voilà!

— *A czy uważa pan, że nasze społeczeństwo należy leczyć, podstawiając mu pod nos relacje na temat stosunku Polaków do Żydów w okresie wojny, czy też, skoro ono tego nie chce jak diabeł święconej wody, należy mu dać spokój?*

— Nie ma żadnej metody, która może zlikwidować całkowicie uprzedzenia. Teraz zresztą, przeważnie wśród młodego pokolenia, antysemitami są ludzie, którzy w życiu żadnego Żyda na oczy nie widzieli. W związku z tym nie przejawiają może tak ludożerczych postaw jak pokolenie ich ojców. Poza tym Żydów u nas prawie już nie ma. Choć są tacy, którzy twierdzą, że wszyscy jesteśmy Żydami. Może więc my obaj też? Pamiętam dość niezwykłą historię, gdy jednego z bardzo aktywnych ONR-owców oskarżono o niezupełnie aryjskie pochodzenie. On oczywiście strasznie się oburzył, ale kiedy strona oskarżająca wyłożyła papiery w sądzie i okazało się, że ma babkę Żydówkę, facet zemdlał. (*śmiech*)

— *To, że Żydów jest u nas jak na lekarstwo, nie świadczy o tym, że antysemityzm jest nieaktywny.*

— To prawda, mam znajomego, z którym chodziłem go gimnazjum. On jest Żydem, ale kiedy przysłał do mnie list, podpisał się przybranym imieniem i nazwiskiem z czasów okupacyjnych. Pomyślałem wtedy, że on widocznie odczuwa jakiś wiszący w powietrzu nacisk antysemityzmu, skoro nie chce się podpisać prawdziwym nazwiskiem. Ponieważ uratował się z holocaustu dzięki tak zwanemu dobremu wyglądowi, po co ma się dzisiaj narażać? Ja go nawet dość rozumiem.

— Pan mówi, że ten nasz antysemityzm nie jest obecnie ludożerczy. Zgoda, ale on się może dość łatwo uaktywnić. W 1968 roku działy się ostatecznie dość nieprzyjemne rzeczy.

— Faktycznie, rok 1968 nie był wprawdzie ludobójczy, bo nie pociągnął za sobą ofiar, ale był w istocie okropny. Wtedy nawet taki cynik i szermierz jak Jerzy Urban był przerażony i gdzieś się schował, nie pamiętam już dziś, w jakiej miejscowości. Demko, czyli Moczar, dobrze wiedział, że to jest materiał łatwo palny. Nawet Gomułka, który przecież miał żonę Żydówkę, też wszedł w tę awanturę. W takim kraju żyjemy, i nie ma na to żadnej rady.

— No dobrze, a co pan odczuwa, widząc dzisiaj Żyda? Ale nie takiego ukrytego, zahukanego, ale pewnego siebie, głośnego?

— Proszę pana, jak ktoś hałasuje, to zawsze będzie mnie denerwował. Chińczyk, Pigmej i Amerykanin. Teraz rzeczywiście pojawiają się już w Polsce tacy Żydzi. Kiedy wracałem z Wiednia do Polski, tym samym samolotem leciała wraz ze mną cała grupa Żydów z Izraela. Najpierw przynieśli im pudła z koszernym jedzeniem, a potem moja żona i siostrzeniec, którzy czekali na mnie na lotnisku, patrzyli zafascynowani, jak tamci wychodzili z samolotu — z długimi pejsami, w białych skarpetkach, najpierw jeden, potem drugi, a potem kolejny. Czysty surrealizm. Niestety, takich Żydów już nie lubię, bo uważam, że przyzwoity Żyd powinien odejść od swojego Pana Boga, gdyż rola narodu

wybranego, przynajmniej w ich rozumieniu, mi nie smakuje. Nie lubię też, gdy ktoś mi podsuwa pod nos swoje papiery, gdy go o to nie pytam, bo mnie to nic nie obchodzi. Mam do tego podejście podobne jak dyrygent amerykańskiej orkiestry, którego ni z gruszki, ni z pietruszki zagadnął dyrygent sowieckiej orkiestry: „U mnie gra sześciu Żydów” — powiada. „A ja nie mam pojęcia — odpowiada Amerykanin — nie przyszło mi do głowy zadać takiego pytania”.

— *Pamiętam pańskie zdanie sprzed lat, że Polska Ludowa ukradła panu sporo lat życia…*

— Czterdzieści!

— *Bez wątpienia musiał więc pan nieraz myśleć o wyjeździe z kraju, zwłaszcza że niektórzy z pana przyjaciół wyjechali i żyli na emigracji. Chciałem zapytać, na ile mocne były to pokusy?*

— Na tyle mocne, że w końcu to zrobiłem. Wcześniej nie miałem po temu żadnych możliwości materialnych. Finansowo ledwie zipałem. Kiedy postanowiliśmy kupić na raty dom w stanie surowym przy ulicy Narwik 21, pan Kistyniów — specjalista od robót wodno-kanalizacyjnych — wziął mnie na bok i powiedział: „Panie, uciekaj pan z tego miejsca! W piwnicy można karpie hodować, dom zgnije i się rozleci”. Ale z kolei moja żona mówiła: „Staszku, ja już nie mam siły mieszkać w jednym pokoju z teściową, na dodatek w samym środku miasta, wymyśl coś”. Cóż było robić? Wzięliśmy sto dwadzieścia tysięcy złotych pożyczki i kupiliśmy… Spłacaliśmy ten dom do ostatniej złotówki, mniej więcej do końca PRL-u. To były czasy, kiedy człowiek musiał się szamotać dosłownie o każdy grosz. Kiedyś żona mnie prosi: „Załóżmy sobie oświetlenie elektryczne w piwnicy”. Ja wtedy pytam: „A ile to będzie kosztowało”? Ona na to: „Czterysta złotych”! „A skąd ja ci wezmę takie pieniądze”?

— *Myślę, że pan mówi teraz bardziej o latach sześćdziesiątych. Za Gierka już było trochę inaczej. Wtedy*

zaczęto pana tłumaczyć w Niemczech, można już było coś kombinować.

— Ale ja jestem Polakiem, więc póki się dało, zakładałem, że moim miejscem zamieszkania jest Polska. Znam dobrze niemiecki i jako tako francuski, więc bym sobie poradził za granicą, ale nigdy nie miałem najmniejszych pokus, aby zamieszkać na przykład w Paryżu. Dopiero kiedy wybuchł stan wojenny i nie mogłem już na to wszystko patrzeć, pojechałem na roczne stypendium do Berlina Zachodniego, gdzie napisałem kilka książek i miałem doskonałe warunki życia, ale bardzo tęskniłem za rodziną. Syn był jeszcze mały, chodził do szkoły, ale nie był szczęśliwy. Kiedy w naszą dzielnicę zapuszczały się patrole milicyjne, wraz z kolegami chowali się po krzakach, bo się bali…

— *To dlaczego nie zabrał pan rodziny ze sobą?*

— Moja żona i syn bronili się przed emigracją rękami i nogami. Tłumaczyłem im, że w kraju nie będą mieli żadnych szans życiowych. Ulegli dopiero wtedy, gdy wyłoniła się perspektywa zamieszkania w Austrii. Niestety mieliśmy tam same zmartwienia, bo ja prawie nie wychodziłem od lekarza, a w Austrii panowała okropna ksenofobia. Gdy ktoś był Polakiem, nie mógł czuć się tam dobrze. Kiedy pewien dziennikarz spytał mnie w Wiedniu, czy przyjechałem po to, aby rozkoszować się słodkim życiem w kapitalizmie, miałem ochotę rozbić mu głowę. Co za głupie gadanie! Owszem, mieliśmy wynajęty ładny domek jednorodzinny (może niespecjalnie duży, ale dla nas wystarczający), w którym było kilka sypialni, dwie łazienki, wspaniałe drzewo śliwkowe w ogródku, ale płaciłem za to trzy tysiące dolarów miesięcznie. Ponieważ nie dawaliśmy sobie z tym wszystkim rady, mieliśmy do pomocy dochodzące Polki, którym płaciliśmy w twardej walucie. Były to zresztą panie z dyplomami, które sprzątały i wycierały kurze. Ciężko było prowadzić taki dom jak nasz. Kiedy zacząłem liczyć, jak długo może trwać ta sielanka, okazało się, że środków starczy nam tylko na pięć lat życia.

Ale na szczęście później pojawił się na horyzoncie Gorbaczow i żona z miejsca powiedziała: „Znów Opatrzność czuwa nad tobą, jakoś z tego wyjdziemy”.

Raz na tydzień przyjeżdżał do nas poczciwy doktor Kraus, z którym rozmawialiśmy o polityce światowej, telewizja austriacka denerwowała mnie, a żona nie była szczęśliwa. Syn chodził do American International School i też czuł się tam nieswojo, choć był bardzo zdolny. Pan Prossinger, nauczyciel fizyki, który przyjechał z Ameryki, namawiał nas, żeby go wysłać na studia do Princeton. Najpierw jednak próbowaliśmy zapisać go do innej angielskiej szkoły, ale dyrektor oświadczył mi po francusku, że mój syn ma już trzynaście lat, więc jest za stary na to, żeby nauczyć się biegle mówić po angielsku. To okazało się oczywiście kompletnym nonsensem, bo po czterech latach mówił zupełnie płynnie. Dziś tłumaczy książki z angielskiego.

— *Nie całkiem rozumiem kwestie finansowe. Dlaczego wyliczał pan swoje możliwości finansowe w Austrii tylko na pięć lat? Przecież przekłady się mnożyły, dom w Krakowie można było wynająć. Czy coś się stało?*

— Kiedy mieszkałem w Wiedniu, miałem tak zwany Arbeitsverbot i władze austriackie oświadczyły mojemu doradcy finansowemu, że jak długo nie będę pisał, tak długo mogę liczyć na ulgi podatkowe. (*widząc zdziwienie*) No tak było! Ale nie dostałem tego na piśmie. Przez pięć lat płaciłem więc tylko ryczałt zaliczkowy, a wyjeżdżając, nie zapłaciłem na szczęście więcej, bo gdyby mi rąbnęli domiar od tego, co zarabiałem, toby mnie zrujnowali finansowo. Poza tym kupę pieniędzy szło na leczenie.

— *Wiem, że był pan tam operowany, ale co pana dopadło, nie wiem.*

— W Austrii schodziłem z jednego stołu operacyjnego, by zaraz potem wdrapać się na drugi. Cierpiałem na krwotoki spowodowane przerostem prostaty, a medycyna austriacka bardzo źle mnie leczyła.

Na szczęście po jakimś czasie okazało się, że istnieje preparat, dzięki któremu mogę funkcjonować. Pięć miligramów dziennie wystarczy mi do życia. Potem chorowałem na uchyłki jelita grubego, więc dr Schissel wyciął mi jego jedną trzecią, dzięki czemu wyleczyłem się… z kataru siennego. (*śmieje się*) Kiedy wróciłem po tym wszystkim do domu, na ulicę Geneegasse, byłem tak słaby, że żona podtrzymywała mnie, żebym w ogóle mógł wejść na schody. Dawniej, jak pan pamięta, paliłem paczkę salemów dziennie. Po tych historiach szpitalnych nie mogłem już w ogóle palić.

— *Czy swój pobyt za granicą traktował pan jako rodzaj półemigracji? Rozumiem, że od początku miał pan zamiar wrócić?*

— Zdecydowanie broniłem się przed azylem, więc kiedy w „Die Welt” napisano, że „Lem wybrał wolność”, sprostowałem natychmiast, że nic podobnego, bo każdy może sobie mieszkać tam, gdzie mu się podoba. Amerykański pisarz może mieszkać w Neapolu lub w Paryżu, więc ja mogę w Wiedniu. Tymczasem dyrektor Kurz w Krakowie, sądząc, że wyemigrowałem, natychmiast przestał mnie drukować. Nie była to sytuacja sympatyczna dla kogoś, kto przebywał za granicą. Nigdy jednak nie myślałem o emigracji i na każde święta Bożego Narodzenia wracaliśmy całą rodziną do domu. Poza tym to, co oświadczyłem żonie po analizie naszych finansów, było absolutną prawdą: pieniędzy na takie życie mogło nam wystarczyć tylko na pięć lat. Żyliśmy więc ze świadomością, że teraz jesteśmy w Wiedniu, a potem jakoś to będzie. O tym, że może nas uratować Gorbaczow, jeszcze nie wiedzieliśmy. Nie chcę już w to wszystko mieszać Austriaków, ale byli koszmarni!

— *No, nie całkiem. Dali panu Österreichischer Preis für Europäische Literatur w wysokości 200 tys. szylingów. To ich główna nagroda.*

— Ale dopóki jej nie dostałem, nie wiedział o mnie w Austrii pies z kulawą nogą. Nagrodę tę pomógł mi zresztą uzyskać, poznany wcześniej w Berlinie, zacny Wolfgang Kraus, o czym skądinąd dowiedziałem się już później. Noo, było wielkie buuum-bumm w cesarskich pomieszczeniach, najpierw wygłaszałem przemówienie, potem dostałem proporczyk, a minister kultury wyciągnął z ukrycia moją żonę na sam przód. Brakowało tylko złoceń i cesarza Franciszka Józefa. No, ale co mam zmyślać, nie byłem tam szczęśliwy.

— Dziwne to wszystko. Na mój rozum, powinien był się pan tam czuć świetnie. A choroby dopadłyby pana tak samo tu, w kraju.

— Ale ja się czuję, proszę pana, Polakiem, a nie Austriakiem! Jak pan weźmie do ręki wielką, trzytomową książkę telefoniczną Wiednia, to zauważy pan, że tam są głównie nazwiska serbskie, chorwackie, czeskie, polskie i niewielka ilość niemieckich. Bo to jest szczątek po monarchii austro-węgierskiej.

— *No dobrze, a jak pana przyjęli i traktowali dziennikarze i media austriackie?*

— O jednym półgłówku już panu opowiedziałem. O innych też mogę. W Austrii nikt się mną nie interesował, choć mieszkaliśmy jakieś trzysta metrów od wielkiego centrum telewizyjnego, gdzie zostałem zaproszony tylko jeden raz. Niech pan zgadnie, z jakiej okazji?

— (*ostrożnie*) *Pewnie nie z okazji nagrody…?*

— Zaprosili mnie tam dokładnie wtedy, gdy do Wiednia przyjechał izraelski czarownik Uri Geller. Później się okazało, że kiedyś był prestidigitatorem, ale jakoś nikt nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Siedział w studiu podczas nagrania tuż koło mnie i miał wyginać wzrokiem widelce. (*ze śmiechem*) Potem skarżył się, że emanuję jakąś paraliżującą energię i dlatego nie może nic zrobić. Dla rekompensaty wyciągnął więc z teczki książkę, w której były opisane jego wcześniejsze dokonania. Więc ja mu

na to: „Co pan nam tu pokazujesz w książce, na stole leży widelec, to go pan zegnij”. Próbował, ale jakoś nie mógł. (*śmiechy*)

Najzabawniejsze było jednak to, że kiedy wróciłem do Polski, dziennikarze austriaccy natychmiast sobie o mnie przypomnieli i przyjeżdżali te kilkaset kilometrów, żebym udzielił im wywiadu. To było bardzo humorystyczne. Austriacy w ogóle są fałszywymi Niemcami, co wyraża się właśnie w tym, że są strasznie nieporządni. Kiedy robili ze mną wywiad w Krakowie, spieszyli się, bo jechali zaraz potem do Lwowa. Po jakimś czasie jednak wracają i mówią: „Musimy powtórzyć nagranie! Zapomnieliśmy włożyć kasetę do kamery”. Cóż było zrobić, wyrzuciłem ich.

— *Wspomniał pan kiedyś o eseju, który opublikował pan w czasie pobytu za granicą w języku niemieckim pod tytułem „Herr F.” O ile wiem, chodzi w nim o Fausta. Dlaczego ten szkic nie ukazał się po polsku?*

— A gdzie ja go miałem drukować? Jak nam zabrali w Krakowie „Pismo”, zaraz poszliśmy z Szymborską, Błońskim i innymi do Krystyna Dąbrowy, który był wówczas sekretarzem miejscowego KW, i mówimy: „Niczego trefnego w «Piśmie» nie ma, siedem numerów już wyszło, więc o co chodzi”? A on na to: „Nie wiecie, w jakich czasach żyjecie!” Wkrótce potem ukazał się pierwszy numer pod nową redakcją, pełen tekstów pornograficznych… Nie było gdzie drukować, sam pan widzi.

Zresztą, prawdę powiedziawszy, nawet mi specjalnie na tym już wówczas nie zależało, bo zaraz potem wyjechałem. Nie widziałem w ogóle sensu w tym, żeby w Polsce publikować historie, dotyczące eseistycznego traktowania epiki w czasach, gdy ludzie siedzą w „internatach”. To był esej odpowiadający na pytanie, dlaczego dalsze uprawianie prozy epickiej, opartej na micie faustowskim, jest już niemożliwe.

— *I dlaczego?*

— Ponieważ trudno dziś o jednostkę, która mogłaby skupić w sobie i reprezentować tak złożony kompleks spraw. Napisałem to po prostu dlatego, że takich tekstów rozmnożyło się okropnie dużo na świecie.

— Czy na Okrągły Stół spogląda pan jak na sukces polityczny, czy jak na ten typ kompromisu, który okazał się korzystny dla strony rządowej?

— Uważam, że to było mimo wszystko rozsądne. Tym bardziej że ostatnio dowiedziałem się, iż Amerykanie bardzo zabiegali nie tylko o sam Okrągły Stół i jego formułę, ale również o to, żeby nasze przejście do wolności było takie mniej więcej, jak Żydów przez Morze Czerwone, czyli żeby jeszcze na dodatek Jaruzelski został prezydentem. Oni tego po prostu chcieli i działali tak, aby to się udało.

— Lider polskich opozycjonistów, Michnik, jednoznacznie opowiedział się po stronie generała. Nawet widziałem niewyemitowane nagranie telewizyjne, krążące w kuluarach na Woronicza, gdzie bratają się przy alkoholu w rocznicę 13 grudnia.

— Mam pewne zastrzeżenia wobec Michnika, który zeswatał się z Jaruzelskim do tego stopnia. Przypuszczam, że odczuwa on swego rodzaju wdzięczność wobec generała za to, iż pozwalał mu jednak pisać książki w kryminale. Chociaż nie dostawał tam chateaubrianda z frytkami, to jednak miał dość dobre warunki do pracy.

— Czy uważa pan zatem, że w polityce trzeba było zastosować „grubą kreskę”? Czy należało PRL-owskich polityków odsunąć na parę lat od polityki?

— A pamięta pan, jak to było w 1918 roku, kiedy nam „Polska wybuchła”? Czy należało usunąć wszystkich generałów carskich, choćby samego Hallera? No, chyba nie. Ci wszyscy ludzie, którzy zasiadali w sejmie austriackim, też okazali się patriotami. A oficerowie i generałowie wychowani w Rosji? W wolnej Polsce bardzo dobrze się sprawdzili. A że to wszystko działo się

w warunkach okropnego zamętu spraw narodowych, to już inna historia.

Poza tym proszę pamiętać, że nie ma jednoznacznego rozumienia „grubej kreski”. Mazowiecki twierdził, że będzie próbował rozpocząć od zera, co dla mnie od początku było niemożliwością, bo politykę robiło się tymi ludźmi, którzy po prostu byli. Wałęsa dostał wprawdzie Nobla i prezydenturę, ale kto wyliczy, jak bardzo zaszkodził Polsce „wojną na górze”? Przecież wiemy, że wprowadził do życia publicznego nieprawdopodobny zamęt i chaos. Dopiero teraz widać, między innymi dzięki tej lekcji, że ludzie inteligentni, nawet złośliwi, są mniej groźni dla kraju niż zadufani idioci. Tymczasem właśnie „zadufków” zawsze mieliśmy i nadal mamy w nadmiarze.

— Herling-Grudziński twierdził, że w Polsce komunistów należało na długi czas odsunąć od władzy, tak jak stało się z faszystami we Włoszech po wojnie.

— Ale tam były też inne siły polityczne. A kto miał rządzić w Polsce? Giedroyc trafnie napisał, że Polską nie mogą rządzić wyłącznie trumny Piłsudskiego i Dmowskiego. My po prostu nie mieliśmy po upadku komunizmu ludzi, którzy nadawaliby się do objęcia władzy. Jak pan pewnie pamięta, już w czasie stanu wojennego mówiłem, że ludzie z „Solidarności” nie nadają się do stworzenia rządu.

— To się rzeczywiście potwierdziło, ale już sama zasada statystyki, którą pan tak lubi, mówi, że po prawej stronie sceny politycznej powinno rodzić się mniej więcej tyle samo kandydatów do sprawnego sprawowania władzy, jak po lewej. Dlaczego po jednej stronie ma ich być więcej?

— To brzmi tak samo, jakby pan mówił: „Ponieważ bigos powinien być przyrządzony równomiernie, nie powinno być w jednym miejscu za dużo kiełbasy, a w drugim za dużo kapusty”. No prawda, ale kto to miał mieszać, Pan Bóg? Niestety, Pan Bóg nie zajmuje się polityką.

— Kiedyś powiedział pan, że w czasie stanu wojennego Kościół odegrał pozytywną rolę, bo starał się być azylem dla

kultury i intelektualistów. Mógł stać się też ostoją dla nowej klasy politycznej.

— Nie, nie. Mnie chodziło o to, że bezpośrednio po wybuchu niepodległości, zwłaszcza po wyjściu resztek wojsk sowieckich z Polski, Kościół jako jedyny posiadał jakąś propozycję, dlatego prawica tak chętnie powoływała się na „program i naukę Kościoła". Ale przecież nie istnieje nic takiego jak na przykład „ekonomia kościelna". W Ewangeliach znajdzie pan, owszem, różne zbożne przypowieści, ale ich charakter jest bardzo daleki od gospodarczych teorii.

— *Stąd dla bezpieczeństwa prawica mówi o „społecznej nauce Kościoła".*

— No nie, daj pan spokój. Ci posłowie, którzy zasłaniają się immunitetem, gdy nie chcą dmuchać w alkomat, albo przychodzą w nocy, by na ścianie w sali sejmowej powiesić krzyż, budzą moją najgłębszą irytację.

— *Kiedy w latach socrealizmu pisał pan „Dialogi", jako pierwszy obnażył pan parkinsonizm systemu centralistycznego. Dlaczego więc dwadzieścia lat temu nie był pan w stanie zobaczyć tego, że imperium sowieckie rozsypuje się jak stara skorupa?*

— Bo zbyt wielka była inercja w naszym myśleniu o komunizmie, a może też, jak wielce uczeni sowietolodzy, okazaliśmy się za mało oświeceni…? Choć ja panu przypominam, że Pilch napisał gdzieś, że ja się domyślałem upadku Sowietów. Bez wątpienia nie miałem po temu danych, więc zostało to wypowiedziane tak słabym piskiem, że nikt prócz niego nie zauważył.

— *Ja niczego takiego nie pamiętam. Pan twierdził, że Związek Sowiecki nie upadnie za naszego życia.*

— Wiedziałem, że ten system kiedyś się rozsypie, ale faktycznie sądziłem, że tego nie dożyję. Nie znaczy to, że nie można było lepiej postawić tej prognozy, ale jak się chcę pocieszyć, biorę do ręki stare prace Hermana Kahna i innych światłych wizjonerów, którzy widzieli tylko

wieczność Sowietów, NRD oraz niezmienność stosunków międzynarodowych, podczas gdy to wszystko przesuwało się w kierunku Euroazji. Poza tym były rzeczy, o których nie miało się jednak pojęcia.

Kiedy pisałem *Summę technologiae*, była ona w rzeczywistości ślepa na politykę, bo inaczej nigdy by się nie ukazała. W *Dialogach* za to udało mi się przemycić analizę strukturalną i czynnościową systemu totalitarnego, przede wszystkim modelu sowieckiego, ale istniały przecież zjawiska całkowicie przewidywalne i nieprzewidywalne. Nieprzewidywalne na przykład było tempo przemian i autokatalityczny sposób, w jaki technologia stawała się coraz bardziej zmienną niezależną cywilizacji i zaczynała już wpływać na świat, co w sposób zakamuflowany próbowałem powiedzieć trzydzieści lat temu na sowiecko-amerykańskiej konferencji w Biurakanie, dotyczącej poszukiwania kosmicznych istot. Stwierdziłem tam mianowicie, że żadnego *plateau*, na które można by wprowadzić ludzkość, nigdy nie będzie. Chodziło mi oczywiście o to, że żadnej „złotej ery" w wersji komunistycznej nigdy nie będzie. Mogłem to powiedzieć tylko w ten sposób, bo inaczej tekst nigdy nie ujrzałby światła dziennego. Dlatego też istnieje kilka jego wersji. Potem powiedziałem, również nie wprost, że podejmowane na świecie decyzje są kolosalnym obciążeniem dla ludzkości, a cały globalny system polityczny absolutnie nie nadaje się do tego, żeby *homo sapiens* mógł funkcjonować tak, jak się to godzi temu gatunkowi. Takich rzeczy nie mogłem jednak otwarcie mówić, bo było to niemożliwe.

— No tak, ale to wciąż nie przybliża nas do odpowiedzi, dlaczego w 1986 roku, kiedy dzieliły nas już tylko trzy lata od Okrągłego Stołu, nadal uważaliśmy Związek Radziecki za potężne imperium zła? Tymczasem tak naprawdę był to suchotnik, który trzymał się ostatkiem sił na nogach. Jak to jest możliwe, że nikt tego nie widział? Dlaczego nawet pan tego nie dostrzegał?

— Ja nie wierzę w to, że papież zrobił cud nad Wisłą. To się stało niechcący, gdy po serii nieudanych doświadczeń ze starymi trupami w roli pierwszych sekretarzy wybrano na *genseka* Gorbaczowa, a ten niespodziewanie zaczął wyjmować pojedyncze cegły z sowieckiego muru, aż nagle wszystko się zawaliło. Kiedy przed laty Chirac rozmawiał na Krymie z Breżniewem, spytał go, czy nie można by trochę poluzować śruby. Breżniew dobrotliwie wytłumaczył mu, że nie można, bo się wszystko zawali. Potem przyszedł Gorbaczow i próbując troszeczkę ten mur wyprostować, wyciągnął jedną cegłę. Wkrótce runął cały mur. To było jednak wydarzenie niespodziewane. Moim zdaniem, gdyby Rosjanie nie mieli tak potężnej schedy nuklearnej po Sowietach, dziś by się liczyli w skali światowej mniej więcej tak jak Słowacja. No tak! Wtedy to była jeszcze utopia, malowanie diabła na ścianie, ale dzisiaj to jest fakt.

— *Pan traktuje to „wyjęcie cegły" jako błąd polityczny czy jako próbę ratowania imperium?*

— Nie mam wątpliwości, że Gorbaczow chciał stworzyć piękniejszą, jeszcze bardziej lśniącą i wypoliturowaną wersję komunizmu. To było naturalnie *contradictio in adiecto*, ale on tego szczęśliwie nie wiedział. Dziś Putin, który wywodzi się ze zdrowego (czyli sztywnego) kręgosłupa KGB, usiłuje odzyskać co się da. A to wpakuje się z butami do Czeczenii, a to twierdzi do upadłego, że „Kursk" zderzył się z amerykańską łodzią podwodną… To są stare numery!

— *Pan przewidywał jednak bardzo poważne konsekwencje ewentualnego upadku komunizmu, a tymczasem nic groźnego nie nastąpiło. Po prostu uszło z niego powietrze.*

— Ej nie, były walki. Przecież Jelcyn kazał bombardować parlament.

— *Ale pan przewidywał konflikt globalny, mówił pan nawet o wyrywaniu nóg.*

— No cóż, chyba lepiej dla nas, że tak się nie stało. Wprawdzie społeczeństwo rosyjskie znów okazało się bierne, jednakże tam zachodzą ciekawe i głębokie przemiany, zwłaszcza obyczajowe. Kiedy ostatnio poproszono mnie o wypowiedź do rosyjskiego „Playboya”, okazało się, że Rosjanki bardzo chętnie pokazują wszystkie swoje wdzięki. W pierwszej chwili nawet nie chciało mi się wierzyć.

— *Mnie to za bardzo nie zaskakuje. Wkrótce rozłożą obyczajowo całą Europę. A już teraz mają, zdaje się, największą na kontynencie zapadalność na AIDS. À propos rozkładania: w jakim kierunku będą działali Rosjanie? Żeby wejść do Unii Europejskiej, a potem ją sobie podporządkować?*

— Oni mogą wejść, ale nie sądzę, żeby to odbyło się na zasadzie trucizny lub ładunku o opóźnionym działaniu. Nie, to jest nonsens.

— *Ale mówi się coraz częściej, że Rosja wejdzie do NATO.*

— No dobrze, ale przeciwko komu? Przeciw Marsjanom? Nie, nie wydaje mi się to prawdopodobne. Z ich strony to jest koniunkturalne zagranie, które im się aktualnie opłaca. Ale to jest tak jak z tramwajem. Może pan wysiąść na każdym przystanku. Rosja wcale nie musi w NATO długo siedzieć.

— *Z bloków politycznych tak łatwo się nie występuje. Poza tym ja się nie martwię o Rosję, ale o nas.*

— A ja bym się nie upierał przy lękach, że pojutrze Putin zje nam bardzo cenne Polesie. Istotnie, jesteśmy ziarenkiem pomiędzy dwoma kamieniami młyńskimi, bo z jednej strony mamy Niemcy, które są nam jakby ostatnio życzliwsze, a z drugiej Rosję, od której odgrodził nas stary, dobry Łukaszenka. Ponieważ on bez wątpienia łatwo by się dogadał z Lepperem, więc zagrożenia oczywiście są.

— *Trzynaście lat temu przywitaliśmy III Rzeczpospolitą. Jak się pan w niej czuje?*

— Gdybym był o ćwierć wieku młodszy, wyemigrowałbym, gdzie by mnie oczy poniosły. Widziałem ostatnio list jakiejś studentki do redakcji „Rzeczpospolitej”, która pisze: „Kiedy tylko mogłam, broniłam dobrego imienia ojczyzny, ale po tym, co ostatnio widziałam w sejmie, chciałabym od niej uciec”. Rozumiem tę dziewczynę. Tylko nie bardzo wiadomo, gdzie sobie szukać azylu.

— *Wszystkie sondaże ewidentnie wskazują, że Polacy są bardzo rozgoryczeni otrzymanym kęsem wolności. Teoretycznie powinni się cieszyć, ale wygląda na to, że są coraz bardziej zirytowani.*

— „Raz do gazety «Słowo Niebieskie» przyszedł malutki staruszek z pieskiem… Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie / Chcieliście Polski, no to ją macie”. To nie jest u nas nic nowego. Ten wiersz został napisany dokładnie dziesięć lat po przewrocie Piłsudskiego, kiedy Gałczyński został zaangażowany przez Piaseckiego do „Prosto z Mostu”.

— *Mnie to narzekanie drażni. Powiedzmy sobie uczciwie, że transformacja była w miarę łagodna, i kto miał głowę, zaczął nowe życie, a kto nie miał, też na tym skorzystał, bo ludzie zaopatrują się dziś w dobrych sklepach, chodzą porządnie ubrani, buduje się i remontuje coraz więcej domów. To nie był ani skok w przepaść, ani nawet na łeb, na szyję.*

— Ale w PRL-u trudno było żywić uczucia zawiści, ponieważ wszyscy dostawali mało i po równo, a jak napisał mój agent literacki: „W Polsce szynka jest artykułem metafizycznym”. Czy pan wie, jak ja musiałem błagać w Klubie Książki i Prasy, żeby mi odłożyli „Herald Tribune”, który czasem przychodził, a czasem nie? Zachodnia prasa to była wtedy naprawdę wielka rzecz. Teraz nie stanowi już żadnego problemu, ale ja do dziś nie mogę się przyzwyczaić do tego, że święta waluta, jaką jest dla nas dolar, kosztuje tylko cztery złote. Przecież kiedyś kupowało

się go za sto dwadzieścia złotych, i to tylko na czarnym rynku.

Przestawienie zwrotnicy ludzkiej mentalności jest bardzo trudnym i powolnym procesem. Obecnie pismo „Wprost” drukuje listy milionerów polskich. A co mnie to obchodzi, ile kto zarabia? Za czasów PRL-owskich każdego, kto się choć trochę wyróżniał, pieczono w słynnym polskim piekle, do którego jeden drugiego ściągał za kapotę. Dostawało się wprawdzie marne pieniądze, ale jednocześnie miało się pewność pracy na państwowym etacie. Czy ktoś u nas wtedy słyszał, że można by zlikwidować jakiś sklep? Niemożliwe. Książki były tanie, ale pracowało na nie całe społeczeństwo, którego naturalnie nikt nie pytał o zdanie. Pewną przykrością była wprawdzie cenzura, ale niektórzy ją nawet trochę lubili, bo zawsze można było powiedzieć, że to przez nią książka jest niedobra.

— *Więc rozumie pan obecną frustrację Polaków? Podziela ją pan?*

— Jestem sfrustrowany tą frustracją, bo ludziom za dużo się zachciewa. Moja szwagierka mieszka na Kornatce koło Dobczyc, na górce nad zalewem. Gdziekolwiek wejdę tam do domu, widzę telewizor, lodówkę, pralkę automatyczną, anteny satelitarne. Standard roszczeń podniósł się kolosalnie i nikt nie patrzy już na to, co się dzieje w Indiach, w Chinach, w Afryce, tylko na to, jak jest tam, gdzie zarabiają po 10 tys. dolarów „na głowę”.

— Chce pan powiedzieć, że jesteśmy żarłocznym społeczeństwem?

— Wszyscy są żarłoczni. Myśli pan, że filmowcy z telewizji niemieckiej, którzy do mnie przyjeżdżają, są zadowoleni? Wcale nie, oni mówią, że za młodego Kohla było im dobrze, bo intendent w ich stacji zarabiał więcej niż Bundeskanclerz, a teraz muszą się ze wszystkiego rozliczać. Wcześniej mieszkali w pierwszorzędnych hotelach, a teraz w byle jakich. Myśli pan, że ich to cieszy? Dlaczego Niemcy tak zwlekali z wypłatą odszkodowań

za pracę przymusową w czasie wojny? Bo liczyli, że byli robotnicy przymusowi z Polski wcześniej wyciągną nogi. Liczyli, że ta forsa zostanie im w kieszeni.

Na drogach kraju są straszliwe korki, bo teraz statystyczny Polak ma samochód. Obliczono, że gdyby każdy właściciel samochodu wziął pasażerów na wolne miejsca w swoim samochodzie, całą Polskę moglibyśmy mieć na kołach. No jasne, niech pan nie macha mi przed nosem rękami, wiem przecież, że oni wpakowali w to pożyczki i kredyty. Ja tu mówię o postawie roszczeniowej oraz witkacowskiej niwelizacji. Społeczeństwo jest biedne, choć my tej biedy nie widzimy, ale są takie grupy, które na dobre dorwały się — jak pisał Żukrowski w *Lotnej* — do cycków krowy… Najpodlejsi z nich są politycy!

— *Nigdy dotąd nie zapytałem, jakie są pana gusta polityczne? Na kogo pan głosuje?*

— Pan mnie pyta o partię polityczną? A gdzie pan widział u nas jakieś partie? Nasi, pożal się Boże, politycy boją się słów jak ognia i żadna formacja nie chce się już nazywać partią. Są różne unie, sojusze, platformy, ligi i dupa Maryni, tylko nie ma partii. To jest niepoważne. Liga Polskich Rodzin? Przecież nawet ich nazwa nie jest po polsku poprawna, bo nie ma przecież Polskiej Poczty ani Polskiego Wojska, tylko odwrotnie, co znaczy, że te osły nie wiedzą, gdzie się stawia przymiotnik. I to oni właśnie afiszują się swoją polskością! Jak mamy trzech Polaków, zaraz pojawiają się cztery poglądy i osiem mniemań, a żadne z nich nie jest wysterowane w realne możliwości. To nie są żadne partie, tylko koła swarliwych gospodyń wiejskich. Można powiedzieć: ile wart jest naród, tyle samo warta jest jego emanacja polityczna.

— *Czy pan kibicuje jakiemuś politykowi?*

— Jedynym wybitnym polskim politykiem był Piłsudski. Nowego nadal nie ma, może się jeszcze nie urodził.

— *Pytałem pana przed chwilą, czy czuje pan sympatię do jakiejś partii politycznej. Puścił mnie pan na liny. Wiem*

jedynie, że marzy się panu na nowo emigracja. Ale to nie jest deklaracja poglądów politycznych. Gdzieś pewnie pan się przecież sytuuje. Czy ma pan poglądy bardziej liberalne, czy konserwatywne?

— Przede wszystkim antyklerykalne.

— *To dlaczego drukuje pan w „Tygodniku Powszechnym”?*

— Bo jest najmniej nieprzyjemny. Poza tym decydują o tym przywiązanie i sympatie personalne, bo w późnych latach czterdziestych debiutowałem właśnie na jego łamach. Co się zaś tyczy moich poglądów na gospodarkę, to nie jestem w stanie panu powiedzieć, kto ma rację: Hayek czy Keynes, bo moja sytuacja jest taka jak z niedouczonym lekarzem. Nie mogę przyjść do pacjenta z podręcznikiem interny i czytać mu raz z tej, a raz z tamtej strony, bo tu konieczna jest diagnoza i zapisanie kuracji wstrząsowej. Nie mam dostępu do wiarygodnych danych, ale sądzę, że rokowania nie są najlepsze. Jak bowiem mówił Stańczyk, mamy w domu masę lekarzy, z których każdy najlepiej wie, co dolega choremu i co należy z nim robić, ale jak nam leczyli Rzeczpospolitą, wiemy, poczynając od Wałęsy, który każdemu obiecał sto tysięcy złotych i zero podatków, a kończąc na Lepperze, który chce zabrać bankom nasze oszczędności i rozdać je wszystkim. (*z gniewem*) Pełni tupetu ignoranci!

— *Skupmy się najpierw na „Tygodniku Powszechnym”, a potem wrócimy do polityki, dobrze? Czy nigdy pan nie myślał, że pańskie nazwisko na łamach organu Kurii Książęco-Metropolitalnej wygląda dziwnie?*

— Mnie się to nawet podoba, że katolicyzm jest tak dużym workiem, iż można w nim sporo różnych rzeczy zmieścić. Chętnie pisuję do „Tygodnika”, bo mogę w nim wypowiadać rozmaite koncepcje, zarówno te, które się episkopatowi podobają, jak i te mniej strawne dla hierarchii kościelnej. Faktem jest również, że chyba przyciągam niektórych księży, szczególnie tych, co się dziwią, że będąc

prawie ateistą lub, jak kto woli, agnostykiem, żywię różne imperatywy moralne, których nie można podczepić pod transcendentalną sankcję. Stąd często mam z nimi korespondencyjne kontakty.

— *Jak zauważyłem, jest pan ostatnio w zgodzie z Kościołem co do tego, żeby za bardzo nie poprawiać natury*.

— A to zależy, w jakiej konkretnie kwestii. Na przykład likwidację wczesnych skutków niszczenia kręgów pacierzowych przez gruźlicę uważam za bardzo dobre posunięcie, bo dzięki temu nie ma już dziś garbatych. Dawniej ludzie padali z tego powodu jak muchy. Ale w wielu rzeczach się nie zgadzamy.

— *I co się wtedy dzieje?*

— Oni mnie nie wyrzucają, a ja się powściągam. Jeśli jednak jakiś redemptorysta sprzeciwia się papieżowi, a jego generał to pochwala, we mnie wszystko się burzy. Czasem mi się wydaje w takich momentach, że niesfornych kapłanów powinno się suspendować, choć zaraz potem sobie przypominam, że jak Bierut wsadził kardynała Wyszyńskiego do Komańczy, to pozostający na wolności biskupi natychmiast zaczęli składać hołdy władzy, a on im to jednak odpuścił. I słusznie, bo co? Miał im nogi powyrywać?

Konflikty czasem bywają. Napisałem kiedyś felieton do „Tygodnika” na temat pewnej kobiety, która z przyczyn zdrowotnych musiała usunąć ciążę, co uznałem za słuszne. I proszę sobie wyobrazić, że pewien bardzo religijny katolik, który działał w redakcji, nazywał się chyba Poniewierski, „włamał się” do mojego tekstu i go potępił. Powiedziałem wtedy redakcji, że ich żegnam. Jakiś czas potem przyszli do mnie Kozłowski i Fiałkowski, żeby załagodzić sytuację. Powiedziałem im: „Jeżeli ktoś może włamać się do mojego felietonu, a mnie się o tym nie zawiadamia, przypomina mi to czasy łagodnego stalinizmu”.

— Pamiętam, że dawniej bardziej podobał się panu islam ze względu na sposób urządzenia zaświatów, ale nie wiem, czy dziś jeszcze trwa pan przy swoim wyborze?

— Ja wcale nie uważam, że wszystkie religie są równorzędne, i ostatnio doszedłem do wniosku, że chrześcijaństwo jest znakomitsze od islamu, choć udowodnić to bardzo trudno, bo w islamskim raju są hurysy i inne tego typu przyjemności. W raju chrześcijańskim jest natomiast dość surowo, więc spodziewałem się masowych ucieczek. Ale dziś sprawy się mocno rozjaśniły i Bogu należy dziękować, że żyjemy w katolickim kraju, bo kobiety nie muszą chodzić w czarnych prześcieradłach lub całunach jak w Iranie, a my nie musimy po parę razy dziennie padać na kolana nosem w kierunku Mekki, co jest może objawem pokory, ale gdybym — mieszkając tam — oświadczył, że jestem agnostykiem, to tak jakbym podpisał na siebie wyrok śmierci przez ukamienowanie. Nie ma co narzekać, pod tym względem jeszcze w nie najgorszym miejscu świata się urodziliśmy. Kiedyś napisałem w liście pewnemu jezuicie: „Jakby się ksiądz urodził w Tybecie, toby ksiądz został mnichem buddyjskim”, on mi odpisał: „To prawda”.

— Sam pan jednak przyznaje, że nie we wszystkich sprawach z Kościołem panu po drodze?

— Przeciwko religii nic nie mam. Raczej przeciwko Kościołowi, bo jestem heretyk i antyklerykał. To, że kobiety nie mogą być kapłanami, specjalnie mnie nie boli, kiedy jednak Papieska Akademia Teologiczna oświadcza, że koniecznie trzeba wyhamować przyrost demograficzny, a spotyka się to ze straszliwymi rugami Watykanu, jestem zawiedziony, bo to jest po prostu zaczopowanie ludzkiego rozwoju w skali globalnej. Jest nas za dużo na świecie już w tej chwili! To nie jest sprawa przyszłości, ale dnia dzisiejszego! Uważam również, że stawianie przez Watykan zapór przed eksperymentami nad macierzystymi komórkami, pochodzącymi z pępowiny embrionu, jest nie tylko nonsensowne, ale i daremne. To jest takie samo mniej

więcej stanowisko jak wtedy, gdy Kościół mówił, że nie należy stosować w operacjach narkozy, bo jeśli Pan Bóg zesłał na nas cierpienie, to trzeba je przyjąć z pokorą, a nie omijać. Uważam, że papież nie ma w tej sprawie racji, ale oczywiście tego nie wolno mi w „Tygodniku” napisać. To jest moje prywatne zdanie. Mogę tylko mówić, co myślę.

— Generalnie jednak nie kwestionuje pan etyki chrześcijańskiej, a nawet, co zauważyłem, w wielu miejscach się pan z nią identyfikuje.

— Urodziłem się w domu, w którym matka była religijna, ale ojciec był agnostykiem, więc ją swoimi przekonaniami przytłamsił. Ale jeśli w rodzinach religijnych wiara jest bardzo wcześnie wszczepiana i pielęgnowana, co nosi nazwę *imprintingu*, wtedy efekty powinny być nie najgorsze. Pan wie, że jeśli mała gęś wykluje się z jajka i zamiast swojej mamy gęsi zobaczy człowieka, to będzie za nim chodziła w przekonaniu, że właśnie on jest „starszą gęsią”. Ładnie to zresztą opisał Lorenz. Potwierdza to duża ilość młodzieży ateistycznej, która teraz jest już oczywiście dorosła, na terenie dawnych Niemiec wschodnich. Ponieważ mieli świecką i materialistyczną Jugendweihe, czyli przysposobienie do życia, które imitowało bierzmowanie i inne praktyki religijne, w latach dzieciństwa łatwo zaszczepiono im agnostycyzm. Stąd tak bardzo Kościołowi zależy na *imprintingu*, bo umożliwia mocny wpływ na człowieka.

— Ale co z tego, jeśli po powrocie z katechezy dziecko włączy sobie telewizor i zaraz się zlaicyzuje?

— Ta laicyzacja zrobiła w Polsce dopiero bardzo mały krok.

— Ja nie wiem, czy można mówić o skromnych początkach laicyzacji, jeżeli codziennie mamy na ekranach „Wielkiego Brata” lub „Łysych i blondynki”. To jest jednak przełom w świadomości katolickiego kraju, który będzie miał dużo poważniejsze konsekwencje niż ktokolwiek sądzi.

— Co do tego zgoda. W tej sprawie Kościół powinien kategorycznie protestować! Nawet niedawno domagałem się tego w „Tygodniku”, bo pojawił się właśnie kolejny program, bodajże pod tytułem „Amazonki”, ale jezuita ksiądz Obirek odpisał mi: „Zmartwienia pana Lema są i moimi zmartwieniami, ale trudno w takiej sprawie fatygować Kościół”. No wie pan, ja uważam, że to jest jednak skandal, gdy zamyka się sześć dziewcząt i sześciu mężczyzn po to, żeby nawiązali kontakty erotyczne, czego już na szczęście nie pokazują. To jest ekshibicjonizm i stręczycielstwo.

— A tam, nie pokazują! Pokazują jak należy. Świeżo poznani faceci i facetki kąpią się razem w pozbawionych drzwi łazienkach, mydlą sobie piersi i kopulują na oczach sześciu milionów ludzi. Kościołowi wygodniej jest udawać, że tego nie zauważa.

— Wypędzanie szatana Belzebubem to rzeczywiście nie jest dobra metoda. Za taką laicyzację dziękuję. „Wielki Brat” jest dla mnie dnem dna. On jest sto razy bardziej obrzydliwy aniżeli niedawna akcja jakiejś grupy ludzi, związanych z tygodnikiem „Nie”, która na kamień, przypominający kształtem ogromną dupę, nałożyła damskie majtki. Tymczasem ciągle widzę na temat Big Brothera artykuły, na przykład Baumana, który uważam za błędny, ponieważ on nie uwzględnia dalszych życiowych konsekwencji u osób, które przechodzą przez ten pseudowspólnotowy mikser. Jego wcale nie obchodzi, co się z nimi później dzieje. Uzyskiwanie takiej kilkutygodniowej popularności jest niebezpieczne, zwłaszcza jeśli pojęte jest jako trampolina do uzyskania wysokiej lokaty uszanowania i zainteresowania społecznego.

— Parę dni temu emitowali program ściągnięty z zagranicy pod tytułem „Wyspa pokus”, chyba go jeszcze nie ma na stałe w „ramówce”, ale na pewno za miesiąc lub dwa już będzie. Kilku młodych mężczyzn i dziewcząt opuszczają swoich partnerów i jadą na wyspę, gdzie są

kuszeni przez inne piękne kobiety i pięknych mężczyzn. To jest próba ich wierności, która wiadomo, jak się kończy. Natomiast zostawionym „na lądzie” mężom, narzeczonym i żonom pokazuje się najlepsze fragmenty uwiedzeń i każe jednym i drugim wypowiadać się na ten temat. Wie pan, taka psychodrama zdradzających i zdradzanych.

— To jest, proszę pana, zwykły zamtuz, czyli burdel. Tego typu mentalność jest dla Polaków bardzo typowa, bo ich nabożność jest szalenie powierzchowna. Milczenie Kościoła w takich sprawach jest samobójcze. Napisałem nawet niedawno, że jest rzeczą zastanawiającą, iż są ludzie, którzy uważają powieszenie na ścianie krzyża do góry nogami za rzecz straszną, ale publiczne dokonywanie eksperymentów na ludziach ich nie przeraża, jakby leżało to poza sferą tabuizacji i nie miało związku z wiarą. To jest taki hipokrytyczny katolicyzm.

— *Odzyskaliśmy wolność. Nikt z nas o tym nawet nie marzył. Ale nie jesteśmy szczęśliwi. Pan jest wręcz rozgoryczony. Pisarze dwudziestolecia międzywojennego też nie byli szczęśliwi w ówczesnej Polsce, ale później wzdychali z tęsknoty…*

— Wie pan, ale niektórych paskudnych zjawisk politycznych wtedy jednak nie było. Przekroczyliśmy w zbyt wielu miejscach granice cynizmu.

— *A czego takiego w Polsce międzywojennej nie było, co jest dziś? Jeszcze prezydenta nie zastrzeliliśmy…*

— (*impulsywnie*) Owszem, przed wojną zamordowano nieszczęsnego Narutowicza, ale żeby ministrów obrony trzeba było brać za halc, bo się za dużo nakradli, a ich famulusów ściągać z promów helikopterami, to już gruba przesada[6]. Takich rzeczy jednak nie było.

— (*perswadująco*) *Ależ były. Rola-Żymierski został zdegradowany za gigantyczną korupcję z maskami gazowymi, które sprzedał do Francji. Na szczęście dla*

niego wybuchła druga wojna światowa i nie poszedł do pudła.

— Ale to były rzadkie przypadki, a teraz wszędzie są afery. Pamięta pan, co o Rzeczpospolitej mówił książę Bogusław do Kmicica: „To jest postaw czerwonego sukna, za który wszyscy ciągniemy, by urwać dla siebie jak najwięcej”. O taką politykę nam chodzi? Co to ma być, wyrywanie poduszek spod głów konających ludzi!?

— *Nie szukając daleko, we Francji jest cała seria afer korupcyjnych: Bernard Tapie, Roland Dumas, Alfred Sirven, Lefloch-Prigent. W Brukseli niedawno jakiś wysoki urzędnik poleciał ze stanowiska, bo handlował na lewo helikopterami. Prezydent Mitterrand od dawna podejrzany był o grube przekręty, a jego syn ma właśnie proces za sprzedawanie broni do Angoli. To nie tylko polska cecha.*

— Panie Stanisławie, Polska faktycznie nie ma monopolu na gnicie, ale proszę sobie wyobrazić, że mnie to naprawdę nie pociesza. Rzeczywiście w Bundestagu zwalono z hukiem kanclerza Kohla, który jeszcze niedawno był noszony na rękach, jak bohater narodowy. Havel, w którego zawsze wierzyłem, bo to jest chyba porządny człowiek, był już bliski utraty prezydenckiego fotela przez Klausa, który na nim najgorsze psy wieszał. Stany Zjednoczone miały swoje afery „rozporkowe”, Rosjanie utopili swoją największą łódź podwodną i zwalali winę na innych. Wszędzie są afery, to prawda, ale chodzi o to, jaki jest ich odbiór społeczny. Gdzie indziej protestują, wyrzucają, wsadzają do ciemnicy, a u nas panuje totalna obojętność. Można kraść i nikt nikogo nawet za kołnierz nie chce łapać. Niech pan posłucha, co taksówkarze mówią o całej naszej klasie politycznej. Mają ich wszystkich bez wyjątków za aferzystów i złodziei! I jest to, zdaje się, prawda. A przy tym, jaka to jest mała grupa ludzi! Jest tak, jakbyśmy mieli niewielką talię zatłuszczonych kart, wszyscy grali nimi w remika, a tylko od czasu do czasu wymieniali się kolorami. A gdzie są następne pokolenia? Nie można nikogo

nowego wykreować? Naokoło pełno ludzi…! Przecież to jest nie-po-waż-ne! Jak społeczeństwo ma ich traktować serio? Traktuję ich tak, jak na to zasługują.

— *Wcale nie jestem pewien, czy jest tak, jak pan mówi. Ostatecznie ludzie poważnie traktują nawet Leppera, który dał już wszystkie możliwe popisy chamstwa w parlamencie, i jak się okazuje — nie ma na niego rady. A nie tak dawno wpuszczono go tam z wielkimi nadziejami. I o czyjej głupocie tu należy mówić: elit politycznych czy całego narodu?*

— Na dwoje babka wróżyła. To u nas nie jest nowe i ciągle kuchennymi drzwiami wraca wiara w jakiegoś chłopka-roztropka. Ostatecznie antecedencją Leppera był już Tymiński, który teraz notabene znów wraca na arenę.

— *Społeczeństwo francuskie lub niemieckie takich polityków by nie przełknęło.*

— Bo nasz naród jest ciemny jak mogiła, a na dodatek przez pięćdziesiąt lat był trzymany pod betonową płytą. Lepper wielki pasztet obelg posypał kruszonką prawdy, i to się strasznie u nas spodobało. Ale już dzisiaj jego notowania spadły. Z tym że za jego karierą stoi ciężka praca mediów. Dziennikarze całymi miesiącami kręcili się dookoła Leppera, aż tu nagle Monika Olejnik oświadcza: (*przedrzeźniając*) „Nie będę już więcej Leppera zapraszała”. Ale to właśnie tacy jak ona go wykreowali, nie kto inny.

— *Powiedział pan dwadzieścia lat temu, że gdyby Związek Radziecki cudem zniknął z powierzchni ziemi, to ani nie runą na nas tony złota od kapitalistów, ani nie pojawi się nowy plan Marshalla, ani Zachód nie będzie chciał nas ciągnąć za uszy. Jak pan dziś ocenia tę prognozę?*

— Po pierwsze, na Zachodzie rzeczywiście nas specjalnie nie kochają (czemu się nie dziwię), po drugie, niektóre pisma polityczne usiłują utrudniać przepływ kapitału zagranicznego (częściowo słusznie), po trzecie, w Unii Europejskiej wcale tak za bardzo nas nie chcą (całkiem

słusznie). Czy my się do niej dostaniemy w najbliższym czasie, naturalnie nie wiem, myślę tylko, że to będzie lepsze dla nas w tym sensie, że jak się ma rozbrykanego konia, który ponosi, dobrze jest mu założyć popręg, uzdę i kantar, a następnie zaprząc go do jakiegoś większego pojazdu. Aby jednak wejść do Unii, trzeba spełnić pewne warunki, które miejscami są mocno restrykcyjne, ale to by się opłaciło. Ciągle jednak słyszymy pohukiwania partii prawicowych, że Europa jest nieprzyjemna. Jest rzeczą zastanawiającą, do jakiego stopnia polskie elity są ślepe i nie chcą widzieć, co się nam opłaca. Na razie więc nawa państwowa dryfuje w postaci luźnych desek. Oczekiwanie, że Unia Europejska lub Duch Święty wyciągną nas z odmętów za włosy, jest szaleństwem.

Przyszłość generalnie rysuje się zatem ciemno, ale nie tylko dla Polski, lecz w ogóle dla całego świata. Na tym tle nasza mroczna sytuacja staje się więc nie tyle może lepsza, co mniej odróżnialna. Każdy kraj bowiem walczy dziś ze swoimi kłopotami jak umie. Japonia? Recesja. Argentyna? Recesja. Rosja? To samo, tylko ratuje ich eksport surowców i wielkich ilości broni. Polska jest tylko małym ziarenkiem (bo nawet nie pionkiem) na szachownicy świata. Bardzo straciliśmy na wadze. Byliśmy słabi, a teraz jesteśmy prawie niedostrzegalni. Dziś lepszą sytuację od nas mają nawet kraje takie jak Czechy.

— *Dlaczego?*

— Bo mają mało katolików, a za to dużo ewangelików. To jest dużo lepsza proporcja niż u nas. Nie ma nic gorszego niż triumfujący Kościół oraz ludzie, którzy trzymają się kurczowo sutanny i sądzą, że to im pomoże w robieniu kariery politycznej.

— *Pan mówi o „ingerencji kapitału zagranicznego”. Nie wiem, z jakiej pozycji? Widziałem pana nazwisko pod protestem przeciwko McDonald’sowi, który wykupił na krakowskim Rynku kamieniczkę, a potem ją wyremontował, żeby sprzedawać w niej coca-colę i Wieś-*

Maki. Czy uważa pan wpuszczanie obcego kapitału do Polski za szkodliwe?

— No, daj pan spokój, trzeba bronić swojej własności, ale hasła „nie oddamy piędzi ziemi” lub „nie rzucim ziemi skąd nasz ród” uważam za grubą przesadę. We wszystkim trzeba być racjonalnym.

— *A więc jednak należy wpuszczać do kraju obcy kapitał?*

— A dlaczego mnie pan nie zapyta, czy należy chodzić po ulicy z zawiązanymi oczami i kieszeniami pełnymi pieniędzy. (*śmiechy*) Bierzcie, kochani, ile chcecie! Przyzna pan, że tak nie można. Istnieje ostatecznie rachunek ekonomiczny, *quid pro quo,* czyli coś za coś. Najpierw stawia się pytanie, co będziemy z tego mieć. Autostrada? Proszę bardzo, zbudujcie, a my ją będziemy wam spłacali przez dwadzieścia pięć lat z opłat za przejazd. Taki interes mi odpowiada, bo autostrada zostanie. Tylko *pacta sunt servanda*, bo niczego nie wolno sprzedawać na wariata, i trzeba rozumieć, że jeśli wchodzi do nas obcy kapitał, to nie jest on rodzajem szlachetnego krezusa w rodzaju Sorosa, który będzie rozdawał pieniądze bez rachuby na zysk. On musi coś z tego mieć.

— *No dobrze, ale przecież wiadomo, że nasi urzędnicy są skorumpowani i sprzedadzą wszystko, byle tylko dostali do kieszeni zwitek dolarów. Kolumnę Zygmunta sprzedadzą tak samo, jak sprzedali zamek w Książu.*

— Dlatego każda taka transakcja powinna być sprawdzona, a winnego należy wsadzić do ciupy. W razie potrzeby tego, co sprawdzał, też należy zamknąć, a akt sprzedaży unieważnić.

— *A jeśli trzeba będzie wtedy wsadzić pół rządu?*

— To niech sobie siedzą, na zdrowie. (*śmiech*)

— *Autostrada, fabryka, huta — to się daje z grubsza wyliczyć. A co z ziemią?*

— Nie można stawiać takich prostych opozycji: nigdy nie sprzedamy — w każdej chwili sprzedamy; zbudujemy wóz Drzymały — spalimy wóz Drzymały. Najpierw stawiamy

cudzoziemcowi pytanie: na co mu ta ziemia? Niech oświadczy, co chce z nią zrobić. Jeśli chce w niej wykopać dziurę, z której wytryśnie dla Polaków nafta, a on przy okazji sobie zarobi, to proszę bardzo. Wyhoduje na polskiej ziemi pomarańcze, kokosy lub nieznane gatunki roślin? Proszę bardzo.

— *W deklaracji zagraniczny nabywca napisze każdą bzdurę, którą mu podyktuje za pieniądze polski prawnik.*

— No jasne, i dlatego każdy taki interes musi być sprawdzany i rozliczany. Na ślepo nie daje się nic. Ale z kolei kiedy kontrahenci proponują nam dobre warunki, nie można się wahać i musi być ktoś, kto weźmie odpowiedzialność. Ostatnio jakaś amerykańska firma za kilkaset milionów dolarów chciała zbudować architektoniczne cudo dookoła Dworca Głównego w Krakowie. Teraz będzie skarżyć do sądu Radę Miejską o dwadzieścia parę milionów dolarów odszkodowania, bo nikt nie chciał niczego podpisać, bojąc się odpowiedzialności. Nie mamy rozsądnych ludzi, nie mamy kompetencji, mamy za to kopalnie ignorantów. Nie mówię już o osobach nawiedzonych, takich jak Macierewicz czy ojciec Rydzyk, bo nie ma o kim gadać. Jak nie ma fachowców pierwszej klasy, to wchodzi druga klasa, a jak nie ma drugiej, pojawia się trzecia.

— *Wie pan, ale hierarchia katolicka też uważa, że nie należy sprzedawać polskiej ziemi.*

— Kościół tak się zna na ekonomii, jak ja na odróżnianiu wczesnego pisma klinowego od późnego. Czyli wcale. Ale nie wiem, czy pan słyszał, że również w tej kwestii pojawiają się „postępowe” głosy wśród episkopatu. No tak, arcybiskup Życiński powiedział ostatnio, że nie należy się martwić o sprzedaż ziemi w ich diecezji, tylko o to, by nie wtargnęła do nas niezdrowa kultura zachodnia. (*śmieje się*) A mnie się wydaje, że ona już dawno wtargnęła i wszystko, co Zachód miał przykrego lub brudnego, już u nas jest. „Wielki Brat”, narkotyki, pornografia, satanizm… Wszystko,

co pan chce. Co może być jeszcze? Na ulicach ludzie tańczyć goło nie będą, bo u nas za zimno. (*śmiechy*)

— Prognozował pan u kresu komunizmu, że jeśli Polska stanie się wolna (co było kompletną utopią), nastąpi taki spadek stopy życiowej, że dojdzie do przerażających ekscesów. Jednak nie doszło do tego…

— Ale doszło do innych przerażających rzeczy. Przed wojną na przykład było naprawdę bardzo biednie, ale nikomu nigdy nie przyszła do głowy myśl, że pielęgniarki mogłyby opuścić chorych w szpitalach. To było niemożliwe, choć one wcale nie zarabiały wtedy zbyt dużo. Przez ostatnie czterdzieści lat ludzie nauczyli się bowiem, że jak się władzę przyciśnie, to ona da. Państwo może, bo przecież jak przychodziły dawniej święta, zawsze „rzucało” do sklepów trochę bananów i rodzynek. To dlaczego teraz nie może tak być? Nazywanie dziś ronda imieniem Edwarda Gierka oznacza, że ludzie niczego nie zrozumieli i nie widzą związku między jego pożyczykami na sumę czterdziestu miliardów dolarów a obecnym długiem narodowym, który sięga osiemdziesięciu miliardów. Wtedy mogli sobie kupić za sto złotych czekoladę i francuskie wino, a bieda była równomiernie rozsmarowana i nikt się nie mógł ubierać u Armaniego, więc mieli poczucie sprawiedliwości. W sprawach górnictwa ludziom się w głowach zakręciło, bo doszliśmy do wydobycia dwustu milionów ton węgla, co było szczytem możliwości, a teraz słyszymy: „Zamykać kopalnie i ratuj się, kto może!” Coraz częściej mamy przez to iluzję złotego wieku za czasów komuny. Ja też mogę powiedzieć, że jak upadł Związek Sowiecki, miałem pięć tysięcy dolarów w postaci papierków PKO i za dwa dolary mogłem kupić moim paniom perfumy „Masumi”. Dziś za osiem złotych mogę sobie kupić najwyżej dwie paczki zapałek. Dawniej więc dolar w Polsce to było coś, a dziś nawet dwudziestodolarówka jest nic niewarta.

Wracając zaś do ekscesów, pragnę przypomnieć Wałęsę, który zaczął „wojnę na górze” i zapewniał wszystkich, że to

jest najlepsze rozwiązanie. Potem przyszły plugawe awantury z blokadami dróg i przejść granicznych przez „Samoobronę”, a jeszcze później Lepperowe popisy w sejmie. To wszystko uszło mu zupełnie bezkarnie. Opisałem w którymś z felietonów, jak oglądaliśmy z żoną te spektakle drogowe, i widząc jednego z tych protestowiczów, powiedziałem: „Popatrz na tych rolników. Chciałbym mieć taki sweter jak ten z brzegu”. Wtedy ktoś napisał do redakcji „Tygodnika”: „Widocznie Lem chce, żeby nastąpiło takie zubożenie wsi, żebyśmy boso i goło chodzili”. Proszę pana, oni nie mają zielonego pojęcia, co to jest bieda. Gdy przed wojną byłem na przysposobieniu wojskowym w Delatynie, dziewczynkom za napełnienie leśnymi poziomkami menażki wojskowej płaciło się pięć groszy. Czasem dawało się pajdę chleba. A pan wie, ile trzeba było wysiłku, żeby takimi poziomkami napełnić menażkę? To była maleńka wieś, a nędza była straszliwa, ludzie chodzili boso, panowała endemiczna kiła, a w zimie dzieci nie mogły chodzić do szkoły, bo nie miały butów. Akcja Boya „Kropla mleka” była ze wszech miar godna najwyższego uznania, a teraz się na nim zdechłe psy wiesza. Jak więc pan widzi, to wszystko poszło trochę inną drogą, ale nie ma się czym szczycić.

— Ludzie już się nauczyli „mieć” i tego nie oddadzą. Nikt nie chce mieć mniej.

— A wie pan, z czego dziś wynika ta postawa roszczeniowa społeczeństwa? Z niebywałej podaży dóbr zagranicznych. Nastała moda na supermarkety, więc dziś tatusiowie nie prowadzą swych pociech do parku albo nad rzekę, ale do hipermarketów, gdzie oglądają towary na półkach tak samo, jak ogląda się obrazy Leonarda da Vinci w muzeum.

Startowaliśmy z trudnej pozycji i niespodziewanie wysforowaliśmy się na pozycję tygrysa ekonomicznego, wkrótce potem jednak zostaliśmy daleko w tyle, bo mieliśmy odchylenie anarchosyndykalistyczne, czyli

za mocne żądania związkowe. Nie wiem, czy pamięta pan zakończenie jednego z Bondów: gdy jego odwieczny przeciwnik ucieka na ślizgaczu, James wdrapuje się na sterówkę i zaczyna się walka, a pozbawiony sternika ślizgacz cudownym zrządzeniem losu omija labirynt ostrych raf koralowych. Przez ostatnie lata szliśmy dokładnie takim samym kursem politycznym, ale nikt nie miał odwagi tego powiedzieć.

— *Pan stwierdził przed laty, że Polacy są nie przygotowani do demokracji i potrzeba im trzydziestu lub czterdziestu lat, żeby do niej dojrzeli. Minęło już trzynaście, czy widzi pan szansę na skrócenie tego pesymistycznego terminu?*

— Absolutnie nie. Dla Polaków to jest i tak o wiele za krótko. Podstawowe prawa obywatelskie nie istnieją, bo to, co mamy, to jest demokratoid, a nie żadna demokracja. Istnieje na przykład pewien średni stosunek pomiędzy konsumpcją a handlową podażą, a także proporcją wielkich konsorcjów międzynarodowych do indywidualnego kupiectwa, a tymczasem wszystko, co się u nas próbuje zrobić, witane jest chóralnym krzykiem „nie". Autostrada? Nie, bo nikt nie chce odsprzedać ziemi. Tymczasem w USA rząd federalny — przy wszystkich amerykańskich swobodach obywatelskich — jest mocen przeprowadzić *high-way* gdzie chce, czy się to komuś podoba, czy nie. Tam więc, gdzie trzeba dużo demokracji, my mamy jej za mało, a tam, gdzie trzeba jej niewiele, mamy za dużo.

W dodatku nie mamy przecież prawdziwej lewicy, tylko postkomunistów, nie mamy też żadnej prawicy (w typie niemieckiej CDU czy francuskich konserwatystów), tylko jakiś zlepek, który przypomina deski z trumny Dmowskiego. Przecież tych wszystkich Giertychów i Macierewiczów nie można żadną miarą uznać za prawicę. Jeżeli ja oświadczę, że jestem sułtanem Zanzibaru, to wcale jeszcze nie znaczy, że nim jestem naprawdę. Przylepianie więc sobie takich

etykietek nie ma najmniejszego sensu, a wiara w nie jest czystym zabobonem.

Dalej aktualne jest powiedzenie margrabiego Wielopolskiego: „Dla Polaków można coś zrobić, ale z Polakami nic”. Gdybym był orientacji prawicowej, tobym się wstydził siedzieć w kotle ich zapiekłych, „potępieńczych swarów”, jak nazywał je Mickiewicz. Polacy potrafią tak do upadłego. W czasie wojny bombardowano już Londyn, a nasi politycy emigracyjni nadal szantażowali się, tworzyli fikcyjne rządy i nie dopuszczali nikogo oprócz „swoich”… Wczoraj atakowano Nowaka-Jeziorańskiego za to, że był „poplecznikiem czerwonego reżimu”. Dziś wziąłem do ręki „Naszą Polskę” i dowiaduję się, że Bartoszewski jest „żydowską kanalią”. No to kto jest dobry, jeśli tak piszą o człowieku, który przez całe życie przeważnie siedział w więzieniach za politykę?

Powszechne niezadowolenie kompletnie rozwarstwiło społeczeństwo. Ci, którym powodzi się dobrze, mają gęby zamknięte na kłódkę i nic ich nie obchodzi. Na klatce schodowej mogą się piętrzyć góry gówna, byle w mieszkaniu stały nowe meble i było spokojnie. Siedzą cicho, nie chodzą na wybory, mają to wszystko gdzieś. To znaczy, że byłby nam potrzebny jakiś super-Grabski lub super-de Gaulle. Ale gdyby nawet Piłsudski wstał z grobu, też nie dałby rady.

Bardzo nieprzyjemnie było mi obserwować proces rozpadu sił politycznych prawicy, jej niesłychane rozdrabnianie się i to piekło nienawiści, które rozpętali. Ja nie wiem, co za instynkt tym rządzi, ale czasem mam wrażenie, że aby to zrozumieć, trzeba się odwołać do kategorii charakteru narodowego, który się przeniósł z wytrzebionej „umarłej klasy”, jaką było ziemiaństwo, na pierwszą generację chłopską, która po wojnie weszła do miast. W największym skrócie mogę powiedzieć, że zgadzam się z tym, co napisał Marek Zaleski w „Res Publice”, że Polska właściwie niczego dobrego nie

odziedziczyła po formacji endeckiej Dmowskiego, i że prawica nigdy nie przeprowadziła żadnej rozsądnej samooceny.

— W czasie, kiedy po prawej stronie sceny politycznej obserwowaliśmy ogromny przyrost partii politycznych i konfliktów, po lewej nastąpiła konsolidacja. Formacja lewicowa ma zatem świadomość przeciwnika, a prawicowa wyzbyła się resztek instynktu samozachowawczego. Dlaczego?

— Właściwie jedynym klejem spajającym najrozmaitsze odłamy prawicy jest antykomunizm, który uparcie aplikuje się lewicy, a ona bynajmniej nie jest zainteresowana restytucją komunizmu. Im zresztą wcale też specjalnie nie zależy na tym, żeby się Polakom żyło coraz dostatniej i szczęśliwie. Nie! Oni są zainteresowani tylko objęciem władzy. Koniec. Kropka. Teraz będą dokonywali rozmaitych uników, żeby zanadto nie ryzykować, bo obciąża nas anachroniczne górnictwo, nie sprywatyzowane huty, których nikt nie chce, a na dodatek ogólnoświatowa recesja, która nie jest oczywiście wynalazkiem polskim.

Jak panu kiedyś mówiłem, moja żona jest spod Dobczyc, gdzie jej dziadkowie mieli dosyć duży majątek, lasy. Teraz, kiedy tyle się mówi o reprywatyzacji, można by o tym pomyśleć, ale ona nie chce nic robić. Ja ją rozumiem, bo też nie robię nic, aby upomnieć się o dwie kamienice mojego ojca we Lwowie. Ale generalnie problem reprywatyzacji wciąż nie jest uregulowany, tylko mówi się, że Polski na nią nie stać. To jest bardzo trudna kwestia. Zwycięstwo lewicy nie pomoże nam w tej sprawie.

Mamy naturalnie pewną grupę dobrze wykształconej średniej klasy, ale oni nie potrafią działać perspektywicznie, opierając się na konkretnych danych. Dlatego mamy tę paradoksalną sytuację, że Polska opadła z sił, a na czoło „trójkąta wyszehradzkiego” wychodzą Czesi, albo Słowacy, a nawet Węgrzy. A przecież to są malutkie kraiki. Dlaczego tak się dzieje? O Czechach można jeszcze powiedzieć, że to

są słowiańscy Niemcy. Ale Słowacy? A Węgrzy? Gdy się spogląda na statystyki ekonomiczne, widać, jak wspaniale wyskoczyli z tego swojego komunizmu gulaszowego (po wielkich zresztą awanturach), a nam od tamtego czasu udało się tylko skutecznie wdeptać w ziemię piękną legendę „Solidarności”. Ja nie wiem, co oni zrobili z tą Polską. Bardzo mądrze napisał George Soros: „Słaby rząd jest akurat tyle wart dla społeczeństwa, ile rząd totalitarny”. No, niech pan zaprzeczy.

— Zaprzeczam, tysiąc razy wolę słaby rząd niż rządy autorytarne. W słabej demokracji zły rząd można zmienić, w systemie totalitarnym można się mu tylko z daleka przyglądać.

— Ale my i tak jesteśmy dość bezradni, a na dodatek mamy złudzenia, jakoby przy pomocy strasznych krzyków patriotycznych i odwoływania się do nieboszczyków, choćby do Dmowskiego, można było zrobić coś roztropnego. Nasza prawica zionie wręcz nienawiścią do byłych komunistów, ale w ogóle nie zauważa, że to wszystko są sprawy dotyczące nawet nie zeszłorocznego śniegu, ale śniegu z końca XIX stulecia. Jaki sens mają te ciągłe awantury o Jaruzelskiego i Kiszczaka? Prawicy wydaje się, że jak się tych starców położy na Madejowe łoże, to się od tego zrobi u nas lepiej. Ja takiej logiki nie rozumiem. Przed nami są zupełnie nowe sytuacje i zmartwienia.

— Choć konsekwentnie omija pan wszystkie pytania o swoje poglądy polityczne, domyślam się, że identyfikuje się pan z formacją wolnościową, a nie postkomunistyczną. Nie ma pan zaufania do lewicy, prawda?

— Zajmujemy się w Polsce rzeczami zbędnymi, a to jest główną areną działalności wszystkich sił politycznych i samorządowych. Te wszystkie kłótnie, jak podzielić administracyjnie kraj, przypominają wiarę w to, że jak się chleb podzieli na grubsze czy cieńsze kromki, to może coś z tego przyrosnąć. Stąd początki rządów ekipy Millera widzę czarno, bo jedynym człowiekiem, próbującym się

temu sprzeciwiać, jest Kwaśniewski, który co prawda jest z ich gildii, ale przynajmniej stara się hamować jej zapędy. Ale od podobnych postaw jeszcze nigdy żadnego wzrostu gospodarczego nie było.

Kiedyś Władek Bartoszewski po rozmowie z Glempem skarżył mi się: „Polacy najpierw idą do kościoła, a potem idą głosować na «czerwonego»". A ja na to: „A na kogo mają głosować?" Bo „czerwony" zachowuje się roztropnie — siedzi raczej cicho, z przodu ma kilka afiszujących się osób, a z tyłu siedzi wyciosana z betonu masa. Cała polska generalicja została wystrugana w sowieckich akademiach wojskowych, a po 1989 roku padła na kolana i szybko się przeżegnała, a teraz siedzi pod sutanną biskupa polowego Leszka Głodzia. (*dobitnie*) Ja nie wierzę w te wszystkie nawrócenia!

— *A na kogo pan głosował w wyborach prezydenckich?*

— Na Kwaśniewskiego. (*z irytacją*) A na kogo miałem głosować?!

— *Ależ ja nic nie mówię, tylko pytam.*

— Mam wrażenie, że Kwaśniewski się sprawdza w roli prezydenta, a to, czy przedtem zjadł większą ilość małych dzieci, jest już dziś bez znaczenia, bo ważne jest, jak się teraz zachowuje. Zresztą za komunizmu on się nie zdążył specjalnie zasłużyć, bo pracował w resorcie kultury fizycznej i sportu, co zresztą nie jest przedmiotem mojej pasji. Widać to po tym, że wkładki sportowe ze wszystkich pism natychmiast wyrzucam, bo mnie w ogóle nie obchodzi, ile metrów i gdzie skoczył Małysz. Nawet mnie nie obchodzi, czy w ogóle skakał. Dla mnie równie dobrze mógł skakać w domu na kanapie.

— *No dobrze, głosował pan na Kwaśniewskiego. A na jaką partię oddał pan głos w wyborach parlamentarnych?*

— Na żadną. Siedziałem w domu. Nie poszedłem.

— *Czyli jest pan w gronie tych pięćdziesięciu procent Polaków, którzy nie chcą mieć swoich reprezentantów*

w sejmie?

— Co pan gada? Ja bym bardzo chciał głosować, ale nie mam na kogo. Nie ma partii, do której miałbym zaufanie. Ale jak pan jest taki dociekliwy, to niech mi pan powie, na kogo pan głosował?

— (*ze śmiechem*) *Zostałem w domu.*

— No właśnie, faryzeuszowa dusza! A niech mi pan w takim razie powie, co w tej chwili jest nam najbardziej potrzebne?

— *Ponowne skonstruowanie prawej strony sceny politycznej i wyeliminowanie z niej wariatów oraz nawiedzonych.*

— (*zawiedziony*) Eee tam! Polsce najbardziej potrzeba tego wszystkiego, na co jej nie stać. Na przykład, należy pilnie budować wielkie zbiorniki retencyjne, ponieważ jest ich za mało. Cierpimy od dziesiątków lat na niedobór wody, a kiedy zaczynają się spływy wód spowodowane opadami, mamy natychmiast powodzie. Widział pan pewnie, jadąc do mnie, poziom wody na Wiśle? A pamięta pan sprawę tego zbiornika retencyjnego, którego nie chciano opróżnić w czasie wielkiej powodzi, która was we Wrocławiu zalała?

— *Politycy uwielbiają nas straszyć, teraz już mówią o załamaniu się naszej gospodarki. Pan w to wierzy?*

— Jedni ekonomiści mówią, że faktycznie jesteśmy już na skraju katastrofy gospodarczej, ale inni kategorycznie zaprzeczają. A ja się na tym wystarczająco nie znam. W każdym razie nigdy nie wieszałem psów na Balcerowiczu. Na pewno mamy niedobre huty, bo są już częściowo przestarzałe, transport jest w okropnym stanie, choć jesteśmy krajem tranzytowym i moglibyśmy czerpać wielkie zyski z ruchu międzynarodowego, ale niestety nie mamy autostrad. Nie da się nawet powiedzieć, że Polskie Koleje Państwowe są na przyzwoitym poziomie. Nie wiem, czy zjeżdżał pan kiedyś powozem ze stromej góry? Konie tego bardzo nie lubią, bo trzeba hamować, a wtedy ich zady niebezpiecznie zbliżają się do wozu, na którym siedzi

woźnica. One lubią ciągnąć, ale nie lubią hamować. A my teraz mamy taką sytuację, w której trzeba zarazem hamować, jak i ciągnąć.

— Jeśli jednak spojrzeć na nasz kraj, wszystko rozkwita. Pana dzielnica, w której nie byłem od dwudziestu lat, porosła domami handlowymi, komunikacja działa bez zarzutu, ludzie wyjeżdżają z supermarketu z wypakowanymi po brzegi wózkami. Jeśli chodzi więc o ogólny obraz naszego kapitalizmu, jest on wcale krzepki i fotogeniczny.

— Infrastruktura do pewnego stopnia rzeczywiście się rozbudowała, ale niech pan spojrzy na Czechy i Słowację. Za czasów Husakowych było u nich najgorzej, a dziś mają fabrykę Volkswagena i ośmiokrotnie większą od nas sieć autostrad. W Polsce zaś mamy tylko wspaniałą dyrekcję autostrad, w której są bardzo dobre pensje. Jako jedyni w Europie mamy półtora kilometra linii metra w stolicy, choć koleje podziemne mają jeszcze większą dyrekcję niż transport, gdzie też biorą na pewno grube pieniądze. Są więc piękne kwiaty, ale do starego śmierdzącego kożucha; jedna noga w nowym bucie, ozdobny czaprak, a druga stopa bosa i widać brudną piętę. Tak wygląda Polska, gdy nie ogląda się jej z trasy Kraków–Zakopane.

— Kiedyś mówił pan, że tkwimy w cywilizacyjnej jamie. Wygląda na to, że jeszcze z niej nie wypełzliśmy, bo rzeczywiście, nie ma u nas autostrad, metra, nowoczesnych pociągów. We Francji TGV jedzie z Lille do Paryża godzinę, a do Brukseli 45 minut, natomiast z Wrocławia do Krakowa jadę 5 godzin, do Warszawy zaś 6 godzin.

— Na te szybkościowe nowości nie ma się co tak rzucać. Między Hamburgiem a Berlinem Zachodnim jest eksperymentalna trasa, po której ślizgał się swojego czasu z gigantyczną szybkością magnetyczny poduszkowiec bez kół, ale jego budowa okazała się tak droga, że Niemcy bardzo szybko sprzedali ten projekt Chińczykom.

— No, ale TGV i komputerowo sterowane metro w Lille funkcjonują znakomicie i można byłoby je kupić, ale jakoś nie widać u nas woli decyzyjnej elit rządzących, żeby wprowadzać w życie takie pomysły. Tymczasem za pieniądze Unii Europejskiej dałoby się taki zakup sfinansować.

— Pan mnie pyta, dlaczego rząd jest złożony z kretynów? Ja tego nie wiem. Wiem za to coś innego: oni walczą między sobą o władzę, a nie o dobro społeczeństwa. Kiedy zaś bogaci się biją, biedakom włosy trzeszczą.

— Przed dwudziestu laty powiedział mi pan, że wkład Polski w naukę światową jest żaden. Minęło trochę czasu, komunizm się zawalił, gospodarka funkcjonuje inaczej. Czy nauka polska staje na nogach?

— Wręcz przeciwnie, front pierwszorzędnych prac naukowych oddala się od nas coraz bardziej i jesteśmy całkiem z tyłu. Spis profesorów i doktorów habilitowanych w *Roczniku nauki polskiej* jest imponujący, ale za to w *Citation index* nauki światowej Polaków w ogóle nie ma. A jeśli już przez przypadek ktoś do niej przeniknie, zaraz zostaje za granicą i natychmiast się naturalizuje. Tak to niestety wygląda!

Jest rzeczą charakterystyczną, że w trakcie zbierania przez WL moich listów do wydania, odnalazł się gruby plik listów do interesującego się moją twórczością, nieżyjącego już, fizyka — profesora Władysława Kapuścińskiego. To był jedyny wypadek, gdy miałem do czynienia z pierwszorzędnym badaczem polskim. Z innymi autentycznymi uczonymi klasy światowej spotykałem się wyłącznie za granicą, na przykład w Niemczech lub w Rosji. My po prostu nie mamy w tej chwili prawdziwej nauki, bo odcięto jej głowę.

Czytał pan wspomnienia profesora Steinhausa? On wymienia tylko straty lwowskie: około czterdziestu nazwisk wybitnych profesorów. Same gwiazdy ówczesnej matematyki. Z wyjątkiem paru Żydów, którzy uciekli

do Ameryki, wymordowano wszystkich. Takiej szkoły naukowej nie można odbudować w jednym pokoleniu. To wymaga czasu, żeby zaś zniszczyć „grzybnię nauki”, zbyt wiele nie trzeba. Niech pan zobaczy, jak się rozleciało środowisko filozofów, skupione wokół Kołakowskiego. Stworzenie takiej formacji kulturowej z otoczką obiecujących uczniów wymaga czasu i selekcji, natomiast jedno uderzenie pięścią i krótki telefon z KC rozbija wszystko w jednej chwili.

Została nam już tylko Maria Skłodowska! Ona zresztą tylko w Polsce tak się nazywa, bo na całym świecie jest znana jako Madame Curie!

— *No, są jeszcze polscy uczeni światowej klasy, choćby Wolszczan…*

— On był jednym z pierwszych, rzeczywiście, ale postępy w badaniach idą w takim tempie, że już jest trochę zapomniany i z tyłu. Teraz każdy większy kraj ma dziesiątki Wolszczanów. Odkryto już wiele nowych planet. W Polsce nigdy by swoich odkryć nie dokonał, bo nie miałby do tego aparatury! (*z gniewem*) Nie ma środków, nie ma grantów, nie ma nic! Przecież pan wie, jaki mizerny ułamek procentu dochodu narodowego idzie na naukę.

— *A nie pocieszają pana na przykład wyniki tegorocznych matur międzynarodowych? Wśród laureatów najwięcej jest Polaków. I to z dużą przewagą punktową nad innymi.*

— No i jaką oni mają przed sobą perspektywę?

— *Pójdą studiować na MIT lub do Harvardu. To chyba nie jest źle. Jeśli nie ma u nas warunków do naukowego rozwoju, to przecież lepiej, że wyfruną za granicę.*

— Ucieczka mózgów jest wyraźna. W zagranicznych spisach uczonych znajdzie pan dużo zanglicyzowanych polskich nazwisk. Wśród badaczy, którzy brali udział w dekodowaniu genomu, widzimy takie nazwiska, jak Sepkowski czy Kaluza. Ten drugi na pewno nazywał się przedtem Kałuża.

— Ucieczka mózgów to jest jedno, a mechanizm zapełniania dziur po nich, to drugie.

— (*sarkastycznie*) Tak, są obiektywne okoliczności, które powodują, że mamy tak niewielu pierwszorzędnych intelektualistów jak na czterdziestomilionowy naród. Rzeczywiście, przejechały po nas kosiarki niemiecka i sowiecka, szalały różne Auschwitze i Katynie, ale minęło już tyle lat, że teraz chyba przyjdzie nam mówić, że najbardziej zaszkodziły nam czasy saskie. Są pewne granice, których nie wypada przekraczać w powoływaniu się na okoliczności łagodzące. (*z pasją*) Żydzi, cykliści… (*wali ręką w stół*) Już nie wiem, czym mamy się tłumaczyć!

— Ważną rolę w popularyzacji nauki i kultury mogłaby w Polsce odgrywać telewizja. Już dawno temu miotał pan na nią przekleństwa. Jakie ma pan z nią dzisiaj stosunki?

— Od czasu, kiedy odbył się pamiętny pojedynek Miodowicza z Wałęsą i kiedy Stomma otworzył Sejm III RP, niczego już praktycznie nie oglądałem w polskiej telewizji, bo zawsze mnie szlag trafiał. Jestem zdany więc na „miskę” satelitarną, gdzie mam czterdzieści programów, ale ja idę spać o 22.00, natomiast dobre programy są zwykle o 2.00 w nocy, więc dziękuję. Czasem wstaję przed świtem, by się gimnastykować, ale o tej porze po ekranie biegają na ogół jakieś panie z gołymi biustami, co mnie w ogóle nie obchodzi.

Od 11 września oglądam już wyłącznie zagraniczne *newsy*, ale ilekroć siadam przed telewizorem (zwykle kilka minut przed rozpoczęciem serwisu informacyjnego), zawsze „lecą” reklamy. Każda stacja ma swoje hasła w rodzaju: „Wszystkiego dobrego!” albo „Najpiękniejsze filmy świata”. A zaraz potem emitują amerykańską papkę. To wszystko jest niewiarygodnie cyniczne. Komercjalizacja bez wątpienia zjada kulturę.

— Telewizja jest taka, jakie są wyniki oglądalności. Jeśli „reale” i „sitcomy” mają po trzydzieści procent widzów, to będą je na pewno emitowali aż do upadłego.

— Bauman też uważa, że społeczeństwo ma dokładnie to, co chce mieć. Kiedyś, gdy żona robiła zakupy w Carrefourze, stanąłem przed ścianą telewizorów. Akurat „leciał” któryś z tych „wielkich bratów” i jakaś dziewczyna prała majtki w umywalce, a towarzyszący jej facet wykonywał takie ruchy, jakby się gimnastykował. Przyznam, że nie wiem, dlaczego najbanalniejsze czynności gromadzą przed ekranami miliony ludzi. Ponieważ jesteśmy kiepsko wykształconymi średniakami, przypuszczalnie chcemy oglądać — na ekranach, w rządzie i w parlamencie — takich samych średniaków. „Big Brother” bardzo dobrze przygotowuje ludzi do tego, aby zostali duchowymi kretynami.

— A pan oczywiście uważa, że trzeba być wychowawcą i dać społeczeństwu po pupie?

— Nie! Dać możliwość wyboru! Niemcy mają osiem razy więcej niż my nadajników telewizyjnych, bo sporo jest kanałów prywatnych. Każdy może znaleźć coś dla siebie.

— No, tam to jest dopiero „sałata”! Niczego ambitnego pan u nich nie zobaczy. Same quizy i brazylijskie seriale.

— To prawda, ale ludzie myślący mają np. niemiecko-francuską ARTE. Jej oglądalność naturalnie pozostaje daleko w tyle za „Big Brotherem”, ale jakaś jest. A u nas nic nie ma.

— To jasne, że pralka może urwać głowę, jak się ją włoży do bębna. Ale dlaczego eksperci tak różnią się poglądami co do tego, jak dalece destrukcyjny wpływ na ludzi ma telewizja?

— Odpowiedź jest bowiem uzależniona od pytania: jaka telewizja? Gdy wyłączy się dźwięk, programy szwedzkie, tureckie i niemieckie niczym się od siebie nie różnią. Wszystko jest zamerykanizowane. Co jednak najgorsze, telewizja świadomie nas od siebie uzależnia i usiłuje (na ogół skutecznie) wytworzyć w nas odruchy warunkowe. W najciekawszych miejscach filmu lub programu, gdy rodzi się właśnie jakaś syntonia emocjonalna, zaraz widzimy, jak

za przystojną dziewczyną, niczym welon ślubny, rozwija się rolka papieru klozetowego, po czym dowiadujemy się, że ten spośród wielu jest najlepszy. Ja się przed tym bronię, a ponieważ używam słuchawek, więc zaraz, gdy rozpoczynają się reklamy, zdejmuję je. Ale ludzie na ogół oglądają reklamy. A czy się wciska Stalina, czy papier toaletowy, to wszystko jedno. Zawsze jest to indoktrynacja oparta na odruchach bezwarunkowych. Gdy papież wygłasza *Urbi et orbi,* nie pakują jeszcze w to papieru toaletowego, ale już niedługo zwalczą te opory.

— *Mówiąc o szkodliwości komercjalnej kultury, myślimy jednak głównie o problemie agresji…*

— W Polsce panuje silna tendencja omfalocentryczna, która ujawnia się w tym, że z prasy i telewizji można się doskonale dowiedzieć, kto komu zrobił coś przykrego i krwawego, ale nie zobaczy pan programów czy artykułów, które usiłowałyby wyjaśnić przyczyny i pokazać podłoże zbrodni. Nie jest obojętne dla psychiki człowieka, czy na co dzień ogląda sceny okrutne i barbarzyńskie, czy sielankowe. Zwłaszcza gdy w tym samym czasie wszystko, co cenne dla kultury, ulega zapomnieniu. Demokracja w zakresie mediów wymaga dużej samokontroli tych, którzy są ich decydentami. Tego jednak w tej chwili brakuje już właściwie prawie wszędzie.

— *Widzowie uwielbiają krwawe newsy. Inaczej by ich nie pokazywano. Czy nie sądzi pan, że jeszcze za naszego życia dojdzie do tego, że przed kamerami ludzie będą do siebie naprawdę strzelać?*

— Niech się pan nie niecierpliwi, niedługo będą. Można już tworzyć wirtualne postacie i do nich strzelać.

— *Znajomy producent telewizyjny spytał mnie jakiś czas temu, czy miałbym pomysł na taki „real”, który telewizja na pewno kupi. Więc ja mu żartem mówię: kup duży kawał lasu, powieś na drzewach pięćdziesiąt kamer i puść na siebie dwie uzbrojone grupy ludzi, niech polują na siebie. On był oczarowany i jedyne, co go martwiło, to*

jak to rozwiązać prawnie. Przyjdzie następny i zrobi to naprawdę.

— Niedawno niechcący nabyłem gruby katalog z bronią do strzelania farbą. Takich rzeczy jest teraz od cholery i trochę. Rozmaite „pokojowe” grupy bawią się właśnie w ten sposób, że wzajemnie do siebie strzelają za pomocą pocisków z kolorowymi, trudno zmywalnymi substancjami. Te polowania są coraz bardziej popularne. Rośnie agresja, ale nie ma mechanizmów jej tłumienia.

— *Ależ lepiej, żeby strzelali do siebie farbą niż pociskami na high-wayach, jak dwa lata temu w USA.*

— Ja myślę, że jesteśmy na złej drodze, bo tego rodzaju gry i zabawy będą się cieszyły coraz większą popularnością, aż dojdziemy do sytuacji, w której stracimy wszelkie opory. A wtedy łatwo może dojść do ostateczności, bo na to nie będzie już żadnej rady, nie pomoże policja ani wojsko.

Przed laty rzuciłem żartobliwy pomysł urządzenia tzw. pomników niesławy, otoczonych spluwaczkami dla niezadowolonych. Znienawidzonych antymężów stanu z masy plastycznej (żeby w ciągu nocy dało się ich naprawić) można by było też okładać kijami. Proponowałem też „wieszalnie”, w których (w ramach wirtualnej rzeczywistości) można by swoich wrogów przejeżdżać samochodami, włóczyć ich trupy, a nawet rozwalać im kamienice itd. Ludzie kochają się bowiem w mordowaniu. Jedyną rozrywką talibów były publiczne egzekucje: obcinanie ręki, nóg, głów.

— *Bo telewizji nie mieli.*

— No tak, zastępowały ją krwawe igrzyska.

— *W panu natomiast krwawe myśli budzą dziennikarze telewizyjni. Czym pana zrazili?*

— Za czasów PRL-u w krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia pracował pan Kruszelnicki, z którym czasem nagrywałem cykle popularnych wykładów. Później retransmitowano je w Warszawie. To była sensowna robota, bo miałem możliwość szerzej się wypowiedzieć. A teraz,

gdy pojawiają się u mnie ludzie z telewizji, od razu oświadczają: „Niech pan mówi do kamery 8–10 minut, a my to później zmontujemy”. Cóż ja mogę powiedzieć sensownego w takim czasie, skoro połowę i tak mi wytną? „Niech pan opowie na przykład o ciekawostkach Krakowa! Albo o swojej pierwszej randce”. Taki jest poziom intelektualny rodzimych produkcji kulturalnych. Zgroza! W radiu jest jednak trochę lepiej.

— *Ale w zagranicznych stacjach pan jednak gości.*

— Owszem, udzieliłem długiego wywiadu ARD, kilka razy mówiłem dla ARTE, dawałem też wywiad Rosjanom z Kujbyszewa, ale z naszą rodzimą telewizją na takich warunkach w ogóle nie chcę mieć do czynienia. A co z tym pana pomysłem, żeby nagrać cykl moich godzinnych wykładów dla pasma kulturalnego?

— *Nie ma z kim pertraktować. Twierdzą, że „gadająca głowa” będzie nudna, że się zastanowią, że nie ma budżetu i takie różne hocki-klocki.*

— Kiedyś, kiedy w telewizji jeszcze tak strasznie nie bano się intelektualistów i nie wypędzano ich sprzed kamer, robiono ze mną różne rozmowy, ale to się już dawno skończyło. Od tego czasu, jak tylko mogę, opędzam się od nich jak od komarów. Zaraz, a pan dalej pracuje w telewizji?

— *Nie, jak dawniej, na uniwersytecie. Nigdy nie byłem na etacie TV. Mój program*[7] *powstaje w systemie produkcji zewnętrznej, co można porównać do sytuacji szewca, który dostarcza gotowe buty do supermarketu, a tam je sprzedają. Ale od kilku miesięcy program „wisi”…*

— Dlaczego?

— *Bo w TV mówią, że na tzw. wysoką kulturę brakuje pieniędzy, co oznacza, że w ogóle nie potrzebują takich programów.*

— Tak? (*szyderczo*) Jasne, po co komu literatura! W Niemczech dość długo nadawali *Kwartet literacki*

z Reichem-Ranickim, gdzie gadali przez godzinę bez przerwy. Niech pan spróbuje wsadzić do polskiej telewizji taki program. Nie ma mowy, bo sam pan mówi, że to są dla nich „gadające głowy”. Niech więc, na zdrowie, emitują od rana do nocy „Wielkiego Brata” i durnowate teleturnieje. Poziom naszej telewizji jest równie katastrofalny jak całego społeczeństwa. Czytałem jakiś czas temu relację Giełżyńskiego z egzaminu wstępnego na dziennikarstwo. — Co pan czytał Mickiewicza? — pyta egzaminator. — Coś czytałem, ale zapomniałem. — A wiersze Słowackiego? — pada drugie pytanie. — Nie znam poezji słowackiej — odpowiada delikwent. (*śmieją się*)

— *Tak samo jest na polonistyce. W ogóle poziom umysłowy społeczeństwa polskiego jest niski.*

— Co tylko potwierdza, że media elektroniczne rzeczywiście miałyby do spełnienia u nas piękną rolę edukacyjną, (*dobitnie*) ale mają to gdzieś! Ludziom brakuje nawet elementarnych podstaw. W każdym numerze „Wprost” są na przykład pouczenia Balcerowicza, które często są roztropne, ale kto to czyta? (*z naciskiem*) Nikt! Ja sam przestałem. To jest przebijanie grochem bardzo grubej ściany. Ten prawie czterdziestomilionowy kraj ma bardzo mało intelektualnie aktywnych publicystów i politologów.

Jako czytelnik odżywiam się głównie tym, co pisze fizyczno-matematyczna elita Ameryki. Od literatury natomiast odszedłem bardzo daleko, zarówno dlatego, że jej nie uprawiam, jak i dlatego, że czytam głównie prace naukowe. Niezmiennie tylko dostaję ogromną ilość tomików rozmaitych młodych poetów, którzy piszą rzeczy straszne!

— *Bo u nas jest więcej debiutów niż w Stanach Zjednoczonych. A co, nie ma tam nic ciekawego?*

— (*ze śmiechem*) Daj pan spokój! Selekcję przeprowadza zwykle krytyka literacka, ale u nas jej wpływ na czytelnictwo jest bardzo słaby. Polska za PRL-u była luźną federacją komitetów wojewódzkich, a teraz jest domeną niskonakładowych pism literackich, więc

w Lublinie mamy „Kresy”, w Krakowie „Dekadę Literacką”, we Wrocławiu „Odrę”, w Katowicach „Fa-art”, w Poznaniu „Arkusz”, jeszcze gdzie indziej „Kwartalnik Artystyczny”, „Borussię”… (*przerywa*) W efekcie w poznańskim nie wiedzą, co piszą na lubelszczyźnie, a w małopolskim — co w pomorskim. Nie ma centralnego organu.

— *A powinien być?*

— Powinien, bo nie da się czytać wszystkiego. Trzeba sobie uświadomić, że na kuli ziemskiej mamy aktualnie 10^{17} bitów informacji. Istnieje już dwieście siedemdziesiąt tysięcy pism naukowych, więc nikt tego strawić nie może. Pewne minimum scalania jest więc wskazane. Przed wojną miał pan z jednej strony „Skamander” i „Wiadomości Literackie”, a z drugiej „Prosto z Mostu”. Może się to nie podobać, ale w ten sposób dokonuje się integracja *main streamu* w kulturze. A teraz mamy kompletną chaotyzację.

Ale to nie jest tak, że nic się nie dzieje. Sam pan powiedział, że ludzie bardzo dużo piszą, nawet na największych peryferiach wydawane są ciekawe pisma.

— *Tak, tylko ile osób je czyta?*

— Teraz, w skali procesu historycznego, już nawet nie jest tak specjalnie ważne, czy spod tej odsuwającej się fali coś wychynie, czy pod tą odrzuconą przez pług skibą jakieś robaczki literackie kręcą się jeszcze na wierzchu czy są głęboko pochowane.

— *To co jest ważne?*

— Niestety, ważne stało się to, że im kto głośniej wrzeszczał, że jest szlachetny, prawy i utalentowany, tym łatwiej mu było być usłyszanym. Ale to jest tylko kolejny dowód na kompletną marginalizację kultury. Nie zachwycam się ani Gretkowską, ani Tokarczuk… (*milknie*)

— *Gretkowska faktycznie robiła sobie swojego czasu hałaśliwą autoreklamę, ale o Tokarczuk na pewno nie da się tego powiedzieć.*

— Czytałem niedawno książkę Tokarczuk o *Lalce*. To jest nie tylko mowa-trawa, ale również dowód na to, że autorka studiowała psychologię w ubiegłych wiekach. *Lalka* to piękna książka o miłości, która z *Hymnem o Perle* ma tyle wspólnego, że Izabela Łęcka mogła nosić sznur pereł. Innych związków nie widzę. Książka ta zirytowała mnie tak, że więcej niż połowy nie uczytałem. Nie wykluczam, że na ostatnich stronach mogły się w niej znaleźć jakieś mądrości, ale wątpię, bo to jest dobre dla dziesięcioletnich dzieci, ale nie dla mnie. Tokarczuk do tego stopnia obraziła mój rozum, że chciałem napisać polemikę, ale uznałem, że gra jest niewarta świeczki, bo musiałbym jej książkę doczytać do końca.

Będąc w Wiedniu, chyba z dziesięć razy przeczytałem tę powieść Prusa, bo jest w niej wiele wspaniałego mięsa — narracyjnego i psychologicznego. Okupacja rosyjska w Kongresówce jest w *Lalce* pokazana bardzo cienko, by nie rzec, że zasmarowana szminką. Nie wiadomo wszak, dlaczego Wokulski miał czerwone ręce i jak sobie je odmroził na Syberii. Niejasne jest, nie tylko zresztą z powodów cenzuralnych, w jaki sposób doszedł do tak wielkiego majątku (na dostawach na pewno nie można się było w czysty sposób takiej fortuny dorobić). Suzin to postać nieprawdopodobna. Przy nim nawet Geist jest realistyczny. A mimo to całość jest znakomita, bo pokazuje rozziew pomiędzy hierarchią polskiej arystokracji, rodziną Łęckich, baronostwem, no i jest ten znakomity stary Rzecki. Świętochowski okropnie opieprzył tę książkę, bo nie rozumiał, że jest znakomita. W ogóle z dużym opóźnieniem doceniono jej klasę. Widać z tego, że rzeczy dobre trzeba ludziom na siłę przez lejek do ust pakować.

— „Lalka i perła" nie jest książką charakterystyczną dla Tokarczuk. Jej powieści napisane są z dużym talentem narracyjnym.

— Być może te niewiasty rzeczywiście bardzo sprawnie posługują się językiem polskim, ale nie mają nam

do opowiedzenia niczego takiego, co by nas mogło wzbogacić. Te wszystkie *Prawieki*, *Podróże ludzi Księgi*, *W czerwieni* do mnie nie przemawiają. Poruszamy się od skrajności do skrajności: albo uciekamy od rzeczywistości albo się o nią rozbijamy. W *Namiętniku* Gretkowskiej już na jednej z pierwszych stron natknąłem się na penisa w stanie erekcji, przeciwko czemu oczywiście nic nie mam. Nie jest to jednak żadna rewolucja, zwłaszcza że zjawisko istnieje już od czterystu tysięcy lat. Marcel Reich-Ranicki miał sporo racji, gdy powiedział, że w Polsce wszystko, co wartościowe, ogranicza się do poezji, natomiast w prozie niczego ciekawego od wielu lat nie ma. Książka przechodzi test prawdy, jeśli przeżyje trzydzieści lat i ciągle ma odbiorców.

Generał Barcz Kadena-Bandrowskiego, a nawet jego *Lenora* reprezentowały jakąś klasę, chociaż on nigdy nie pozbył się swojej nieprzyjemnej maniery stylistycznej. No, ale potem w polskiej literaturze zaczął się długi zjazd w dół. Kiedy przyszli Parnicki i Buczkowski, nie rozumiałem już tego, co piszą (zwłaszcza po *Czarnym potoku*) i nic mnie to w ogóle nie obchodziło. Buczkowski miał wprawdzie świetne tytuły: *Młody poeta na zamku*, *Kamień w pieluszkach*, *Kąpiele w Lucca* — ale czytanie tych książek przypominało mi wspinaczki na szklaną górę. A kiedy w ostatnich latach pojawiły się już takie rzeczy jak dwie łechtaczki Gretkowskiej, uznałem, że w prozie polskiej nastąpił „autokompromitacjonizm”.

— Coś jednak musi się panu podobać, poza dyskursem naukowym.

— Jedyną rzeczą, która mi się ostatnio spodobała, były sołowieckie zapiski Wilka, drukowane najpierw w paryskiej „Kulturze”, a potem w *Wilczym notesie*. Zachwycił mnie także tom Miłosza *To*.

— Skoro wymienia pan Kadena, bliska jest panu polityczna proza interwencyjna. Ale tego typu literatura

u nas nie powstaje. Dlaczego nikt nie napisał nowego „Przedwiośnia”?

— Bo pomiędzy Baryką a Gajowcem istniała jakaś płaszczyzna porozumienia i nieporozumienia, a dyskusja dotyczyła czegoś autentycznie ważnego. A czego może dotyczyć dyskusja pomiędzy Niesiołowskim a Korwinem-Mikke lub między Lepperem a Millerem? Przecież to jest jedna ferajna! Czy o przekrętach można napisać powieść?

— *Można! Dokładnie o tym jest „Generał Barcz”.*

— Teoretycznie można, ale po co? Nic tak dobrze nie pasuje do naszej rzeczywistości jak *Kariera Nikodema Dyzmy*, ale niestety już została napisana.

— *Ale przed wojną, natomiast mnie interesuje powieść współczesna.*

— Nigdy żadne analizy poziomu polskiej klasy politycznej oraz jej losów nie były apetyczne, ale teraz to już jest zupełne dno. Czy wyobraża pan sobie pasjonującą książkę, w której wystąpiłyby typy takie jak Giertych, Kaczyńscy, Macierewicz?

— *Jasne, a jakie typy są u Kadena?*

— Czekajże pan, ale z tego musiałaby wyjść powieść brukowa. Poza tym na polityce trzeba się naprawdę znać, nie wystarczy czytać „Rzeczpospolitą” i „Gazetę Wyborczą”. W tym bagnie trzeba tkwić po same uszy, by rozumieć jego prawa. Ludzie tacy jak Kaden czy Strug znali polityków na wylot, bo byli tak blisko nich, jak tylko można. Obnażyć naszą klasę polityczną to nie jest żadna przyjemność, a jeszcze poważne ryzyko: można dostać w czapę, bo taki narwany pseudopolityk, gdy poczuje się obrażony, pójdzie do kolesia z mafii, żeby odstrzelił paszkwilantowi głowę.

Ostatnia powieść Saula Bellowa *Ravelstein*, którą właśnie przeczytałem, to kolejna historia amerykańskiego profesora, który jest Żydem. Czytałem takie historie już tyle razy, że mnie nie mogła zaciekawić. Ale rozumiem powody, dla których on ją napisał. Po prostu świetnie zna to środowisko. Żaden polski pisarz natomiast nie zna sekretów

polityki. Może snuć tylko sensacyjne intrygi, ale tu znów jesteśmy w obrębie powieści brukowej.

Wyobrażam sobie na przykład powieść, w której byłoby pokazane jak przed dom Berii — co widzieli świadkowie — przyjeżdżają samochody, dowożące mu młode moskwianki porywane z ulic. Wiadomo, że on je tam gwałcił, a potem wysyłał do gułagu. Bez wątpienia można by taką książkę napisać, ale kto się ma za to wziąć? Wszystko w takim przedsięwzięciu jest ohydne.

— *Więc jaka jest pana teza: nie da się dzisiaj napisać takiej demaskatorskiej powieści?*

— A gdzie pan ma niemieckie lub francuskie powieści polityczne o klasie rządzącej? Nie ma. Na świecie wyraźnie zanikł pęd do tego typu powieściopisarstwa. *Political fiction* — owszem, ale tylko wtedy, gdy jest całkowicie zmyślona i ma sensacyjną fabułę.

— *Dlaczego, według pana, pisarze nie chcą się opierać na faktach?*

— Tego nie wiem. Może obrażają ich te fakty?

— *Każda prawdziwa literatura, a już na pewno interwencyjna, jest przykra. Nie widzę powodów, dla których wyschła.*

— A dlaczego kobiety raz noszą krótsze suknie lub włosy, a raz dłuższe? Bo taka jest moda. Teraz jest trend mitograficzny, który notabene uważam za głupi, ale pewnie lepiej się sprzedaje.

— *Pytałem niemal wszystkich pisarzy polskich, dlaczego nie chcą pisać realistycznych powieści współczesnych. I wie pan, co na ogół mówili?*

— Nie wiem, choć mogę się domyślać. Ale ja też mógłbym pana zapytać, dlaczego nie napisze pan powieści o telewizji i jej stosunku do kultury?

— *Bo nikt mi jej nie wydrukuje. Mój kolega, który jest współwłaścicielem Wydawnictwa Dolnośląskiego, ilekroć do niego przyjdę, od razu opowiada mi, że bankrutują. Nie*

będę się czołgał po wydawnictwach. A artykuły na ten temat publikowałem. Nikt się tym oczywiście nie przejął.

— (*ze śmiechem*) A co, uważał pan, że posypią głowy popiołem? Nikomu nie zależy na kulturze, już panu mówiłem. Ludziom zależy na pieniądzach. Żeby napisać dobrą powieść współczesną, potrzeba fabuły, przez którą będziemy mogli ujrzeć otaczający nas świat.

— *Ale ja właśnie to chciałem panu powiedzieć: pisarze twierdzą, że fabuła to przeżytek, ohyda, rozkładające się zwłoki. Fabuła umarła.*

— To jest nieprawda, wszystkie losy ludzkie są gotowymi fabułami. Łatwiej jest jednak uciec w historię lub wyobraźnię, niż napisać dobrą powieść współczesną. Kto się będzie szarpał z takimi trudnymi sprawami. Prawdziwe talenty są odsysane do innych zawodów i dziedzin, bo o wiele lepiej być Mleczką niż pisarzem przedstawiającym życie ubogiej rodziny urzędniczej w III Rzeczpospolitej.

W ogóle pojęcie współczesnej powieści realistycznej jest dziś szalenie nieostre. Wystarczy spojrzeć na przykład na *Miazgę* Andrzejewskiego. On bez wątpienia zamierzał napisać powieść, w której chciał się zmierzyć ze swoim światem. Niestety, trafił kulą w płot. Gdyby ktoś mnie dzisiaj zapytał, która z moich książek odpowiada strukturalnie dzisiejszemu światu, odpowiedziałbym, że *Wizja lokalna*. A dlaczego? Dlatego, że opowiada, w sposób oczywiście żartobliwy, czym stał się nasz świat i co mu zagraża. Z jednej strony mamy Kurdlandię, czyli jak łatwo się domyślić komunę, w której wszyscy mieszkają w brzuchach miastodontów, a z drugiej mamy jakby Amerykę, która nie mogąc opanować swoich strasznych szałów konsumpcyjnych, wymyśliła sobie etykosferę z bystrami. Sama warstwa fabularna jest dość wątła. Jak u Woltera, mój zdziwiony podróżnik przeżywa przygody, ale to jest tylko teatrum, odpowiadające metaforycznie rzeczywistości, w której przechodzimy z jednej fazy

do innej. A ponad tym wszystkim jest pamięć wojny biotechnicznej z fertoletami.

Książka ta powstawała w ten sposób, że najpierw napisałem kilkanaście absolutnie niespójnych wersji, które leżały z dziesięć lat w szufladach, a później pomyślałem: przecież niespójna jest nasza rzeczywistość, a świat widziany z perspektywy „Herald Tribune", „Timesa" i „Prawdy" jest za każdym razem inny, bo zależy od punktu siedzenia, i dlatego scaliłem te wersje w Bibliotece Spraw Zaziemskich. Oczywiście wsadziłem tam też masę żartów. Mimo to ludziom się czyta ciężko, bo lubią, żeby było prosto i kawę na ławę.

— *Ale pan też nigdy nie lubił realistycznego podejścia do rzeczywistości. Jedynie „Szpital Przemienienia" był odstępstwem od zasady. Może dlatego, że był pierwszy.*

— A wie pan, też nie bardzo, ja nigdy nie eksponowałem swojej biografii ani psychologii, stąd byłem zdumiony, gdy pani Malewska po przeczytaniu *Szpitala Przemienienia* była pewna, że musiałem być albo wariatem, albo psychiatrą. Ja to wszystko natomiast wymyśliłem, podczas gdy większość pisarzy zajmuje się chodzeniem ze zwierciadłem po gościńcu. Mnie to nie interesuje. Moje osobiste przeżycia i życiowe pierepałki to głupstwo.

Wróćmy jednak do problemów rzeczywistości, która tak źle się przegląda w lustrze polskiej prozy. Jak ktoś się weźmie bezpośrednio za Polaków, od razu powstają *Szczuropolacy*, paszkwile i pamflety, bo prawdą jest, że ironia, sarkazm oraz szyderstwo to są postawy obronne przed rzeczywistością. Przed nią natomiast chętnie uciekamy w mit. To są jednak koniec końców igraszki dla gawiedzi i każdy dostrzega, że tu jest jakaś luka. Niech pan się jednak nie załamuje, bo przynajmniej mamy powieści obyczajowe.

— (*sceptycznie*) *A niby gdzie?*

— Pisze takie na przykład Chmielewska.

— *Eee, nie o takie mi chodzi.*

— A co panu u Chmielewskiej nie pasuje?

— *To są sympatyczne książki, ale jednak tych kryminalnych perypetii Joanny nie traktowałbym jako diagnozy swoich czasów. Może poza „Lesiem”…*

— Wie pan, w PRL-u ludzie, którzy nie byli ani w partii, ani w opozycji, żyli pod ogromnym ciśnieniem, niemal jak ryby głębinowe. Próbował o tym pisać książki Kisiel (pod pseudonimem Staliński). Choć nie były to wyborne pozycje, podejmował jednak jakieś próby. Ryba głębinowa, jak pan wie, po wypłynięciu na powierzchnię zostaje rozerwana przez ciśnienie wewnętrzne. Świat jest zatem taki, jak w konstatacjach Gombrowicza, który rzekł, że dzisiaj myślenie o filozofii jest roztrzaskane. Jaki system filozoficzny został stworzony w naszej epoce, prócz dekonstrukcjonizmu Derridy?

— *Czesław Miłosz twierdzi, że polska powieść wygasła. Trafnie na przykład zauważył, że naród katolicki nie ma powieści katolickich. Można by dodać, że po pięćdziesięciu latach PRL-u nie ma uczciwych książek o doświadczeniu komunizmu. Można również rzec, że polska proza nie zauważyła nadejścia wolności.*

— Ja nie we wszystkim się zgadzam z Miłoszem. On wykreślił całą polską literaturę aż do Prusa. Cofnąć się ponad sto lat, by znaleźć tylko jedną polską powieść, to już przesada. Czy *Wierna rzeka* Żeromskiego jest nic niewarta? Nie uważam. Jak na tamte czasy historia z dziewiczą krwią miesiączkową była strasznie drastyczna. A *Dwa księżyce* Kuncewiczowej? Tego typu sądy uderzają w niego samego, bo co zrobić na przykład z *Doliną Issy*? To jest też pytanie, do jakiego kanonu pisarz czy krytyk się przyzwyczaił. Jeśli czytał głównie *Rodzinę Thibault* oraz prozę Bernharda, to pewnie, że nic mu się w polskiej powieści nie podoba.

— *Ma pan duże nakłady. Chyba nawet wyższe niż Sienkiewicz. Ostatnio jednak pojawił się panu na krajowym rynku książki prawdziwy rywal. Czy pan dobrze znosi za plecami oddech Sapkowskiego?*

— Agata Christie miała światowego nakładu czterysta milionów, Graham Greene dwieście milionów, więc ja przy nich wyglądam jak ubogi krewny, ze swoimi dwudziestoma ośmioma milionami. Wprawdzie oni startują w innej dyscyplinie, więc mają inny rodzaj czytelników, ale i tak sobie nie wyobrażam, że mógłbym konkurować na przykład z panią Rowling. *Harry Potter* został napisany po angielsku i miał tak kolosalny „pych" reklamowy, że aż rozpętał modę na jakieś lalki, koszulki i czarnoksięskie kapelusze, ja natomiast uprawiam rękodzieło, nie adresuję książek do nikogo określonego, tylko po prostu piszę to, co mnie interesuje. Kiedy w Polsce ukazała się *Summa technologiae*, skwitowana została jedną miażdżącą recenzją Leszka Kołakowskiego. I to było wszystko. Więc to porównywanie nakładów do niczego nie prowadzi. A ile wydrukowali Sapkowskiemu?

— *Dokładnie nie wiem, ale bardzo dużo.*

— Wie pan, nie lubię autorów, którzy w krótkim czasie publikują kilkanaście książek, bo ja w ciągu pięćdziesięciu lat wydałem około czterdziestu pozycji i uważam, że to jest maksimum tego, co można uczciwie w takim czasie zrobić.

— *Sapkowski nie jest już młodzikiem, miał czas to napisać.*

— Tak? Ale za PRL-u był nieznany.

— *Bo wtedy pracował jeszcze jako inżynier. Publikować zaczął później. Być może część książek już miał w szufladzie.*

— Ja panu coś powiem. Kiedy zacząłem drukować w większych nakładach w Stanach Zjednoczonych, leżąc z grypą, zacząłem czytać seryjnie książki wydawnictw specjalizujących się w science fiction. ACE przysyłało mi wtedy pełne skrzynki fantastyki. Muszę panu powiedzieć, że to jest bardzo słaby gatunek, a po drugie — wszystkich tych czarów-marów, magii, wiedźminów i *Pań Bajora*[8] nie

trawię. Nie dość, że mnie to nie obchodzi, to jeszcze nie mam czasu na czytanie.

— *Zaraz, zaraz, czego pan nie lubi: Sapkowskiego, fantasy, science fiction czy w ogóle prozy?*

— (z *udręką*) Na miłość boską, ja już nie umiem zmieścić w moim harmonogramie wszystkich pism naukowych, a pan jeszcze chce, żebym biegał za fantastyką?

— *A czytał pan cykl o wiedźminie?*

— (*z oburzeniem*) Nie, skądże!

— *To skąd pan wie, że Sapkowski jest niedobry?*

— A często używa pan skakanki? No więc ja też jej nie używam.

— *Przez długi czas nie czytałem prozy Sapkowskiego, podobnie jak pan, na zasadzie wiedzy objawionej, że u nas nie mogło się urodzić nic wartościowego w fantastyce, ale kiedy zachorowałem i żona przyniosła mi do łóżka cały stos jego książek, przeczytałem nieufnie najpierw jedną, a potem jednym tchem wszystkie.*

— (*ze zdumieniem*) Wiedźmin? I nie zaszkodził panu?

— *Nie, to się świetnie czyta. To była jedyna przyjemna grypa mojego życia. Sapkowski pisze z ogromnym talentem i inteligencją. Na dodatek budzi mój szacunek, bo właśnie obwieścił, że nie będzie już kontynuował cyklu z wiedźminem Geraltem.*

— A jak mu poszło z eksplozją w świat?

— *Jak długo nie będzie miał jakiejś hollywoodzkiej ekranizacji, nadziei na sukces światowy nie ma. Niestety, film nakręcony na podstawie jego prozy jest nędzny. Jest w nim tylko jedna dobra scena, gdy smok zabija Walczewskiego, który gra błędnego rycerza.*

— Nie rzucam się na każdą książkę tylko dlatego, że jest dobrze napisana. Na świecie istnieje więcej cennych książek, niż mogę ich za swojego życia przeczytać. Nie mam więc nic przeciwko pańskiemu Sapkowskiemu, ale mnie już nie porusza. Za późno. To jest może prymitywne, co teraz powiem, ale za czasów PRL-u nie miałem

możliwości prenumerowania poważnych pism naukowych (z wyjątkiem radzieckiej „Prirody”, która jest zresztą pismem wysokiej klasy), mnie zaś potrzebne było to, co drukowali w Stanach, w Anglii, we Francji; teraz zaś, gdy mogę zamawiać czasopisma we wszystkich językach, jakie opanowałem, jestem już przeciążony lekturą. To zresztą nie są dla mnie przykre lektury obowiązkowe, ale rzeczy, które mnie bardzo interesują. Na przykład tu na biurku leży książka spółki *Ward i Brownlee* pt. *Rare Earth. Why Complex Life is Uncommon in the Universe*. Pochłonąłem ją w ciągu trzech dni. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że moje wysiłki skonsumowania tak dużej ilości informacji z dziedziny nauk ścisłych są skazane na porażkę, bo jestem już stary, mam trochę zaćmy, a pism jest coraz więcej. Widzi pan te stosy nierozpakowanej literatury? Jeden człowiek nie może tego przeczytać, to jest niemożliwe. W czasach Platona nie było z tym specjalnych problemów, ale teraz jest to niewykonalne. W tym kontekście wiadomość, że ktoś potrafi wymyślać inteligentne czytadła, już mnie nie interesuje. Jedyne, co mi się u Sapkowskiego podoba, to zrobienie z wiedźmy rodzaju męskiego. Z tego jednak też wynika, że tam są czary i mary, których — jak powiedziałem — nie znoszę.

— *Są, ale na zasadzie pastiszu. To wszystko zresztą jest podszyte grą literacką. Ale widzę, że uparł się pan jak dziecko, które nie chce zupy mlecznej, choć nigdy jej nie spróbowało.*

— A interesuje pana chiralność, to znaczy spiralność muszli z okresu dewońskiego, a zatem dylemat, czy jest ona lewoskrętna, czy prawoskrętna?

— *Nie, ale nie wykluczam, że to ciekawe. Tej nocy z pana powodu czytałem do świtu tę grubą księgę, mimo że nie jest to moje menu.*

— (*zerkając na okładkę*) Aaa Kaku… „Wizje, czyli jak nauka zmieni świat w XXI wieku”. Ale pan wie, że on nie operuje danymi z pierwszej ręki?

— *We wstępie twierdzi, że wszystko konsultował z najwybitniejszymi uczonymi, w tym ze sporą liczbą laureatów Nagrody Nobla. To nie są zatem dane z „drugiej ręki”.*

— Czytałem różnych autorów, którzy kontaktowali się z duchem Sienkiewicza, ale niestety nie byli do niego podobni. Trzeba czytać oryginały.

— *Ależ pan też się konsultuje u wybitnych uczonych, cała pańska biblioteka o tym świadczy. Przecież nie wymyśla pan kwarków lub teorii nieoznaczoności…*

— (*karcąco*) Ja się nie konsultuję, tylko uczę.

— *Niedawno recenzowałem pracę doktorską Klementowskiego na temat polskiej fantastyki. Autor twierdzi, że ostatnie dwadzieścia lat to czas jej intelektualnej nobilitacji. To już nie jest taka sama tandeta jak wtedy, gdy pan ją jeszcze czytywał.*

— Ależ ja tego, co pan mówi, nie kwestionuję. Ani nie gardzę, ani nie brzydzę się fantastyką, ale ona mnie nie interesuje tak samo, jak nie interesują mnie książki kucharskie. Pan często je czyta?

— *Ja nie, ale moja żona owszem. Nawet w trzech językach.*

— (*rozmarzony*) Ćwierciakiewiczowa! Wiem, wiem, szanuję. Jak to pięknie było, kiedy dziewczyna siadała w kuchni, wkładała makutrę między kolana i ucierała mak wielką pałką. Mój Boże, kutia na wigilię… (*z nagłym oburzeniem*) A dzisiaj nawet nie ma porządnie utartego maku! Więc ustalamy, że pana żona będzie czytała książki kucharskie, pan Sapkowskiego, a ja zostanę przy swoich lekturach. Trzeba rezygnować z tego, co mniej smakuje, na rzecz tego, co bardziej, a wszystko dlatego, że ocean informacyjny, który wyprodukowali ludzie, jest już tak potężny, że można się w nim najwyżej utopić. Na pewno nie można go wypić, więc nawet nie próbuję.

— *Przyjął pan postawę człowieka, który przez pomyłkę wszedł kiedyś do burdelu i do dziś omija konsekwentnie ten*

dom, choć właścicielka przekształciła go na porządną restaurację, a sama skończyła wyższe studia i ufundowała dwa kościoły.

— Są bardzo ładne królewny i z niejedną bym się w młodości pewnie położył do łóżka, ale obecnie jest to już nieaktualne ze względu na moje przeciążenie. Poza tym nie lubię fantasy. Ray Bradbury to jest dość przyzwoita literatura, ale przecież takiej nie ma zbyt dużo. Od czasu do czasu obserwujemy zmartwychwstania, jak na przykład Schnitzlera, gdy opublikował *Casanovę z Heimkehr*, o czym pisał świętej pamięci Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą*, jednakże wiele innych jego opowiadań jest nieczytelnych i trąci papierem.

— Naprawdę dużo się teraz zmienia. Istnieją już na przykład grupy fanów Philipa Dicka, którzy cytują go z pamięci, tak jak pana pokolenie Haška lub Sienkiewicza.

— Ale on też tak od razu się nie przebił, bo najpierw był bardziej popularny we Francji, a dopiero potem wrócił rykoszetem do Ameryki. Produkował zresztą nierówno. Napisałem o nim kiedyś duży esej w jakimś piśmie amerykańskim, który zaczynał się od słów: „Science fiction są to śmiecie z wyjątkami. Dick stanowi właśnie taki wyjątek".

— Ale jego popularność to również dowód na to, że w tym getcie coś się naprawdę ruszyło, a nawet można z niego przedostać się do „main streamu".

— Niedawno była u mnie ekipa z pierwszego programu niemieckiej telewizji i kiedy zmieniano kasetę, dziennikarka powiedziała do mnie: „Pan wie, że jedna pana książka statystycznie przypada na dziewięciu Niemców"? Nie wiedziałem. Większość moich niemieckich czytelników nie wie nawet, że jestem Polakiem: myślą, że te książki były napisane od razu po niemiecku. To jednak pokazuje, że trudniej jest wyskoczyć z polskiej jamy na świat niż odwrotnie, bo nasz język jest dla świata absolutnie egzotyczny. Nie odczuwam jednak żalu z tego powodu,

bo nawet w literaturze polskiej byłem zawsze ciałem obcym.

— *Tak jak na Dicka przyszedł czas popularności po „Blade Runner” Ridleya Scotta, tak samo po nakręceniu w Hollywood „Solaris” przyjdzie i na pana.*

— (*powątpiewająco*) No, ale co ja z tego będę miał?

— *(zastanawia się) Najpierw będą masowe nakłady amerykańskie, a zatem duże pieniądze, następni reżyserzy zorientują się, że można nakręcić „Niezwyciężonego”, „Pilota Pirxa”, „Pamiętnik znaleziony w wannie”, a później zrobią na CD-ROM-ach interaktywnego „Golema XIV”.*

— Wie pan, jest mi wszystko jedno. Pamięta pan tę opowieść o konającym starcu, który prosi, żeby mu przywieziono wszystkie dzieła dotyczące sensu bytu, a po przestudiowaniu ich dochodzi do wniosku, że suma wiedzy na ten temat sprowadza się do czterech słów: „rodzili się, żyli, cierpieli, umierali”. Ja mam podobne wrażenia: gdy się ma osiemdziesiątkę, człowiekowi wszystko staje się obojętne.

— *Naprawdę jest duża różnica, czy jest się Norwidem, którego papiery wrzucą do pieca, czy Lemem, którego rękopisy zostaną zawiezione w zaplombowanych skrzyniach do Biblioteki Narodowej.*

— Norwid, po wcześniejszym zderzeniu z górą lodową, która nazywała się Kalergis, umierał obłąkany i kompletnie głuchy. Ponieważ nie miał takiego aparatu w uszach jak ja, szybko popadł w paranoję, bo ludziom mającym poważne kłopoty ze słuchem często wydaje się, że wszystko dzieje się ze względu na nich, więc rzeczywistość interpretują ksobnie. I potem, tak jak w jego wierszu *W Weronie*, nastąpiło rozejście się z własną epoką, więc „ludzie mówią i mówią uczenie, że to nie łzy są, ale że kamienie, i że nikt na nie nie czeka”.

— *Moim zdaniem jego problem polegał właśnie na tym, że „nikt nie czekał”. Pan natomiast wie, że czekają.*

— Ale on nie dożył osiemdziesiątki.

— Nie dożył, więc nie miał już żadnych problemów. Nie wiem, co chce pan w ten sposób powiedzieć? Że starość jest nie do zniesienia? Tymoteusz Karpowicz, który w przeciwieństwie do pana jest zadowolony ze swojej długowieczności, w ostatnich latach zaczął nawet twierdzić, że „non omnis moriar", bo po jego śmierci w ziemi pozostaną różne substancje i związki chemiczne. Będą one krążyć po wieczne czasy w kosmosie — to jest właśnie wiara w nieśmiertelność.

— Ja wziąłem te sprawy na rozum już w 1949 roku, gdy pisałem *Dialogi*. Wytłumaczyłem w nich zasadę niemożności odtworzenia czegokolwiek z atomów. I tego się trzymam.

— Inżynieria genetyczna zaszła już tak daleko, że jeśli pozostawi pan w tej szufladzie kawałek paznokcia, po dwustu latach ktoś może odtworzy Stanisława Lema.

— Tak, ale to już będzie inny człowiek. Mój brat bliźniak to jednak nie ja. Owszem, pozostawię po sobie to i owo, ale jestem przekonany, że mało co z tego przetrwa z powodu koszmarnego przyspieszenia powszechnej amnezji. Niesłychanie szybko zapominamy.

— Cóż powiedzieć, to prawda. Ale pisarz przynajmniej ma tę pociechę, że go mogą „odkopać" jak właśnie Norwida.

— Teraz już książki nie żyją tak długo jak dawniej. Nawet bestsellery. Poza tym obecnie nawet kręgi odbiorcze się już nie przecinają. Jonathan Carroll, który był nauczycielem języka angielskiego mojego syna w American School w Wiedniu, opowiadał mi o symptomatycznej scenie, którą zapamiętał z księgarni w Los Angeles: wchodzi energicznie kobieta z pomalowanymi na zielono włosami i prosi o pierwszą pozycję z listy bestsellerów. Sprzedawca na to: — Niestety, mamy tylko drugą. — Ja kupuję tylko *number one* — odpowiada dotknięta niewiasta, po czym wychodzi. (*śmiechy*) Moje podejście do książek jest odmienne, ale obawiam się, że jestem w zdecydowanej mniejszości.

— *Przed laty okropnie pan wyrzekał na reżyserów, którzy brali się za ekranizowanie pana utworów. Dalej jest pan z nimi w niezgodzie?*

— W niezgodzie jestem z telewizją, która jest skandaliczna. Reżyserzy zaś starają się robić, co mogą, tylko nie mają pieniędzy. Wojtyszko zrobił kiedyś udaną *Wyprawę profesora Tarantogi*, ale nadali ją tylko jeden raz. Byłem przekonany, że film będzie się cieszył sporym zainteresowaniem, ale nic podobnego. Nie było już więcej emisji! (*zirytowany*) Co mnie pan pociesza tymi ekranizacjami, przecież telewizja i tak ich nie pokaże.

— *Widziałem niedawno telewizyjną adaptację pańskiego „Śledztwa" w reżyserii Krzystka. Była dość udana.*

— A czy pan wie, w jakich warunkach Marek Piestrak kręcił w czasach peerelowskich film na podstawie *Śledztwa*?! U swojej cioci w łazience wywoływał próbne zdjęcia, a na poniemieckiej autostradzie pod Wrocławiem poustawiał wielkie tablice informacyjne w języku angielskim. A potem pojechał z operatorem do Londynu, gdzie o godzinie czwartej nad ranem wynajął taksówkę, jeździł wokół miasta po autostradach i kręcił „na okrągło". A już największą bezczelnością było to, że udał się do Scotland Yardu i oświadczył konstablowi, że jest turystą i chce zwiedzić budynek. On mu pozwolił, więc sfilmował wszystko kamerą z ręki na 35-milimetrowej taśmie. Te partie z windą i korytarzami to oryginalne zdjęcia Scotland Yardu. Wie pan, jak na takie warunki, to i tak jest to mistrzostwo.

— *Bez kultury da się żyć, bez jedzenia się nie da.*

— W książeczce, którą pan dzisiaj ode mnie otrzyma, jest historia pewnego misjonarza, którego Murzyni zaczęli w nocy nacierać czosnkiem, a następnie zmusili do spożycia sześciu kilogramów ryżu z rodzynkami, bo miał być podany w postaci nadziewanej. Podczas kolacji miał smaczną, chrupiącą skórkę.

— *I co pan chce mi w ten sposób powiedzieć?*

— Że nawet jak przyjdzie jakiś wariat i zaprezentuje w salonie sztuki nowoczesnej pieczoną ludzką wątrobę, to zawsze się znajdą eksperci, którzy powiedzą, że to jest wiekopomne dokonanie artystyczne. Kultura kanibali jest taką samą dobrą kulturą jak każda inna, o czym łatwo może się pan przekonać, czytając Lévi-Straussa.

Na naszych oczach natomiast tak zwaną wysoką kulturę zamienia się w proso. To nie jest przypadek, że zarówno w telewizji, jak i w literaturze jest teraz tyle czarów i magii. Niesłychane powodzenie *Harry'ego Pottera* i *Władcy pierścieni* to różne formy ucieczki od rzeczywistości w wymiar mityczny, gdzie za pomocą hokus-pokus można załatwić, co się tylko chce. Czarodziejskimi zaklęciami chcemy poprawić świat. W *Pamiętniku znalezionym w wannie* napisałem kiedyś żartobliwie: „literatura to jest dywersja, polegająca na odwracaniu uwagi".

— *Odwracaniu uwagi od czego?*

— Głównie od tego, co się rzeczywiście dzieje na świecie. Najlepsze społeczeństwo to tępe, odurzone — ideologią, wódką, narkotykami, telewizją — bierne masy. A teraz do dawnych narkomanii dołączyło się kolejne uzależnienie — internetowe.

— *Ryszard Kapuściński, podobnie jak liczni eksperci zachodni, twierdzi, że świat po 11 września 2001 roku nie jest już ten sam. Tego jeszcze nie było w historii świata, żeby jakieś państwo zostało zaatakowane, straciło kilka tysięcy swych obywateli, ale przez długie tygodnie nie wiedziało, kto jest agresorem.*

— Tak, tego w kronikach historycznych rzeczywiście nie odnotowano, żeby mała grupka praktycznie nieuzbrojonych ludzi potrafiła zagrozić całemu państwu, ale ten atak udał się tylko dzięki efektowi zaskoczenia.

— *Ale to jest rzecz decydująca w każdej wojnie.*

— Wie pan, gdy Hitler gromadził masy wojska i sprzętu przy granicy z Rosją, atak niemiecki poprzedziły dziesiątki ostrzeżeń, a mimo to Stalin je zlekceważył. Niewielka grupa

prywatnych ekspertów w Ameryce kilka miesięcy przed atakiem w Nowym Jorku napisała adresowany do administracji w Waszyngtonie i prezydenta memoriał, w którym wskazywała na możliwość tego typu zdarzeń jak 11 września. Nie wiem, czy w ogóle ten raport dotarł do Busha.

— Czy atak na Nowy Jork pana zdaniem był jednorazowym „sukcesem" al Kaidy, czy wstępem do następnych akcji?

— Ben Laden uważał przypuszczalnie ten zamach za detonator, który rozpęta wojnę islamu z Zachodem, ale to się nie udało, bo wszyscy się od niego — poza talibami — odżegnali. Natomiast nastąpiło coś innego, nieprzewidywalnego, jak czasem w bilardzie, gdy jedna bila uderza w drugą, a ta — rozpędem — w trzecią. Ponieważ Amerykanom był potrzebny Pakistan jako baza do ataku na Afganistan, musieli go wesprzeć i zdjąć z niego sankcję za posiadanie broni nuklearnej. To zdenerwowało Indie, następnie jakaś bojówka islamska — podobno z Pakistanu — zastrzeliła kilkunastu posłów w parlamencie i zaczęła się militarna rozgrywka na granicy Kaszmiru.

Niedawno „Newsweek" analizował siły obu stron. Wniosek jest taki, że indyjski potencjał jest większy, ale nie można zostać zabitym dwa razy. Obie strony mogą się zatem łatwo wykończyć, a z tego może się zrodzić pożar światowy. To pokazuje, że stateczność świata jest aktualnie znacznie mniejsza niż wtedy, kiedy istniał układ bilateralny Sowiety–Ameryka, bo po jego rozpadzie przemysł nuklearny dosłownie rozpełzł się po całym świecie.

— Czy po sukcesie w Afganistanie Amerykanie pójdą „za ciosem"?

— Cały świat arabski jest rodzajem wielkiego pałacu z kart, zdrutowanego ropą naftową. Rozwalić Irak pewnie by się dało, ale to może zrodzić efekt domina, bo w tym regionie wszystko jest skomplikowane i wzajemnie powiązane. Arabia Saudyjska na przykład zapewnia

Amerykanów o swoim poparciu, ale wahabici nie dopuścili przecież audytorów amerykańskich do swoich podejrzanych kont. Oni prowadzą nie tylko podwójną, ale poczwórną grę, bo chociaż nie cieszą się miłością swojej ludności, mają u siebie Mekkę, Medynę i Kaabę.

— *Co pan sądzi o częstej ostatnio demagogii, że nie należy bombardować ani Afganistanu, ani Iraku, lecz żywić ubogich?*

— (*niezadowolony*) Niechętnie wdaję się w rozmowy z ludźmi, którzy wygadują tego rodzaju głupstwa. Gdy słyszę krzyki „dobrych dusz" na Zachodzie: „Dialog! Dialog!", to ja się ich pytam: „Z kim?" Na numery z łagodnością wobec terrorystów nikt mnie nie nabierze. Tu naprawdę nie ma z kim rozmawiać. Dialog może być prowadzony tylko z konkretnym partnerem.

Wszystkich „żywicieli" biedaków kazałbym wysłać do Afryki, żeby zobaczyli, co się dzieje z pomocą humanitarną.

— *Ale pod demagogią adwokatów ubogich jest zdrowa myśl: bogaty powinien się podzielić z biednym.*

— Mądra odpowiedź jest taka: jeżeli biedny i bogaty mieszkają nad morzem, to bogaty ma dać biedakowi wędkę i kosz na ryby, a nie gotówkę, bo on ją przepije. Pakowanie przez całe dziesięciolecia pieniędzy w Afrykę doprowadziło tylko do tego, że napełniono kabzy dyktatorom, a głodni biedacy zarażeni śmiertelnym wirusem HIV umierają tak samo jak przedtem. To nie jest takie proste.

— *Ale to nie daje odpowiedzi na pytanie, czy społeczeństwa bogate powinny się zamykać przed ludami biednymi?*

— W 1991 roku, gdy Polska była już wolna, Instytut Polski w Darmstadt zwrócił się do mnie, żebym wypowiedział się na temat przyszłości zachodniej Europy, a w szczególności Niemiec i Polski. Napisałem im, że my się znajdziemy pod protektoratem Watykanu, a kraje zachodnie będą twierdzą obleganą przez nędzarzy całego świata.

Pewna pani napisała na to: „*pessimistische Prognosen eines Futurologen*”. Nie trzeba było długo czekać, parę dni temu horda pięciuset Czeczenów, Afgańczyków i Bóg wie, jakich jeszcze ludów, próbowała przedostać się do Anglii przez tunel pod kanałem La Manche. Proszę pana, Ziemia jest przeludniona, ale Kościół woła: żadnych środków antykoncepcyjnych! Niczego nie wolno używać. *Crescite et multiplicamini*[9], choćbyście się wszyscy podusili. Za grobem jest bardzo dużo miejsca, więc tam się wszyscy zmieszczą.

— *À propos Kościoła: wydawało się, że problem śmierci za wiarę ludzkość na zawsze ma „z głowy”. Tymczasem po 11 września zapachniało znów atmosferą wojny religijnej.*

— Rzeczywiście, kiedy groźna zielona planeta islamu wzeszła ostatnio na horyzoncie, kolizyjność poszczególnych wierzeń religijnych odsłoniła się jakby na nowo, bo z jednej strony zwolennicy fundamentalizmu wezwali do zagłady niewiernego Zachodu, a z drugiej z Watykanu rozległ się głos kardynała Ratzingera, który oświadczył w *Dominus Jesus*, że nikt, kto nie należy do ludu Bożego i rzymskiego Kościoła katolickiego, nie może być zbawiony. Wprawdzie papież w *Urbi et orbi* usiłował niejako zrównać ze sobą (jako monoteizmy równoległe) chrześcijaństwo, mozaizm i islam, ale sprzeczność pomiędzy tym, co powiedział Ratzinger, a co wysuwają na pierwszy plan fundamentaliści islamscy, dosłownie bije w oczy. Mnie się to wydaje nie do pogodzenia.

— *Pan wspomniał Ratzingera, ja natomiast słyszałem równie niepokojące opinie polskiego episkopatu.*

— Bardzo mi żal papieża, który jest okropnie znękany i ma niezmiernie smutny koniec swojego pontyfikatu. Ja też słyszałem, jak Glemp powiedział: „Nie wpuścimy do nas tych, których Jan III Sobieski pokonał pod Wiedniem”.

— Jak możliwa jest tak fundamentalna różnica w poglądach dostojników Kościoła?

— Bo istnieje różnica pomiędzy intelektualną wartością orzeczeń polskiego prymasa i papieża. Katolicyzm, a już szczególnie polski, okazał się w ogóle nie przygotowany na to, co się stało. Nieprzygotowany w sposób czysto intelektualny. Zupełna bezradność! Islamiści głośno wołają: „Allah czeka na nowych morderców", i nie kryją wręcz swoich intencji, a Kościół nie potrafi nawet pojąć, że ktoś tak mówi i w imię tej wiary jest zdolny do ludobójstwa. To jest bezbronność duchowa duchowieństwa, która każe niejako zaklejać część kuli ziemskiej papierem i udawać, że niby nic tam nie ma. A jest! I tego problemu nie da się wyminąć.

— Co zmieniło się od czasu naszej rozmowy sprzed lat w przemyśle militarnym?

— Od dawna pracuje się nad technologiami kryptomilitarnymi, których zasada działania polega na tym, jak pisałem wcześniej, że zjawiska zagrażające zdrowiu i życiu całych społeczeństw (albo poszczególnych grup ludzi) nie będą odróżnialne od działania żywiołowych sił natury. Widział pan, ile krów zostało spalonych i jak wszyscy przelękli się wołowiny? To były dopiero nieśmiałe początki.

— Chce pan powiedzieć, że choroba „szalonych krów" była atakiem terrorystycznym?

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale to nie jest wykluczone. W niedługim czasie na pewno będzie możliwe stworzenie gatunku dających się wysterować szczepów bakteryjnych. Już czytałem o takich próbach.

— Na jaki typ broni i na jakie długoplanowe strategie postawi obecnie Ameryka? Przecież musi się bronić.

— Generalnie widać, że Stany Zjednoczone w strategicznym myśleniu stawiają na *high-tech*. Już nawet batalia afgańska samą swoją specyfiką terenową wymusiła wprowadzenie bomb, które wytwarzały potężny udar

powietrzny oraz cieplny, przez co były tak skuteczne w tunelach i sztolniach. To było bardzo dobrze wykoncypowane. Notabene, wie pan pewnie, że te bunkry zbudowała — dobrym wówczas — mudżahedinom CIA. A do tego podobno nie zachowała sobie planów. Już się nawet tym nie zdziwiłem.

Można powiedzieć, że wszystko, nad czym się teraz pracuje i co może mieć zastosowanie militarne, jest kontynuacją zasady „miecz kontra tarcza". Niepewną równowagę w świecie usiłuje naruszyć Bush, wprowadzając swoją „tarczę antyrakietową". Cała Europa krzyczy wielkim głosem: „Nie róbcie tego, to będzie nieskuteczne".

— *A pana zdaniem to jest prawda?*

— W „American Scientist" czytałem artykuł redakcyjny, w którym dowodzono, że tak jak nie można doprowadzić do tego, żeby w pokerze istniał pułap przebijania, tak nigdy nie będzie można zbudować żadnej skutecznej obrony antyrakietowej, bo pulę rakietową przebija się, zwiększając ilość broni… W tym sensie, że przeciwnik może wysłać większą ilość rakiet niż „tarcza" jest ich w stanie w locie przechwycić.

Poza tym idea „tarczy antyrakietowej" polega na tym, że trzeba kulą trafić w kulę. Strzelanie rakietą do rakiety jest na pewno bardzo trudnym zadaniem. Amerykańska marynarka, która jest w konflikcie z armią lądową, przeprowadziła taką próbę za dwieście milionów dolarów. Oczywiście nieudaną.

Naturalnie wszystkie badania mają sens, ale nie wtedy, gdy ich wagę i wartość mierzy długość kadencji prezydenckiej. Demokracja w ogniu działań technologicznych źle się sprawdza, tym bardziej że coraz mocniej podgryzana jest przez wędrujące kapitały.

Ameryka, śmiertelnie ugodzona, pracuje intensywnie nad nowymi typami elektromagnetycznej broni. Będzie to rodzaj ultrakrótkofalowej bomby, uruchamianej wewnątrz

solenoidu. Da to efekt wielomiliardowego spotęgowania procesu, który zachodzi w kuchenkach mikrofalowych.

— *Czyli będziemy pieczeni jak kurczaki? Co to jest ten solenoid?*

— Rodzaj takiej wielkiej cewy, obok której jest detonator. Gdy następuje odpalenie, energia eksplozji zamienia się w wyniku perturbacji w pęk ultrakrótkich fal. Pisma naukowe sugerują, że takie nieśmiercionośne pociski mogłyby również służyć do rozpędzania manifestacji. Działają one tak, jakby ktoś wyrzucił w przestrzeń „zawartość" kuchenki mikrofalowej.

— *A na jaką odległość to działa?*

— Na razie na parę metrów, w laboratorium. Ale trwają już intensywne prace nad spotęgowaniem mocy promieniowania. Drugi problem stanowi kwestia, jak wyprowadzić te bomby na orbitę, bo strzelanie nimi na ziemi nie ma żadnego sensu, gdyż następuje zbyt szybkie rozpraszanie się promieniowania w atmosferze. Dla pełnego efektu potrzebna jest próżnia pozaatmosferyczna. Operacja zastąpienia pocisków materialnych przez bomby mikrofalowe musiałaby być jednak strasznie kosztowna, bo wysłanie na orbitę ładunku, który spowoduje detonację i kolimację na odległość kilkuset kilometrów, jest na razie poza granicą możliwości ekonomicznych. To się pewnie z czasem zmieni, ale aktualnie to są tylko marzenia fizyków.

— *I myśli pan, że to jest broń przyszłości?*

— Ładunki falowe na pewno mają przed sobą przyszłość, ale ile będą kosztowały, nikt nie wie. A czy będą skuteczne? Też nikt nie wie.

— *Co się zmieniło w strategii wojskowej pomiędzy końcem lat osiemdziesiątych a wojnami naszych czasów?*

— Przede wszystkim zauważalny był strach sztabu amerykańskiego, żeby któremuś z bombowców nie urwało skrzydła lub ogona (nie mówię już nawet o strąceniu maszyny), albo żeby ich lotnik — broń Boże — nie dostał się do niewoli. Bombardowali więc z ogromnych wysokości. To

nie wynika jednak bynajmniej z troski o żołnierzy, ale z okropnego strachu przed głosem opinii publicznej.

— Od czasu interwencji USA w Afganistanie Rosja stała się — rzecz nieprawdopodobna — dyskretnym sojusznikiem Ameryki. Według pana jest to sezonowe zagranie polityczne czy trwała zmiana?

— Putin jest dość zręczny, natomiast Ameryka jest na wyraźnym rozdrożu, bo nie wie, czy terroryzm światowy brać serio i tragicznie, czy wzruszyć ramionami, rzec: trudno, i czekać, co się dalej zdarzy. Natomiast Rosjanie mają nadal wielkie ambicje. Dlatego Putin, który jest znacznie inteligentniejszy od Busha, robi wobec niego różne przyjazne gesty. Z powodu posunięć proamerykańskich pojawiają się różne naciski na prezydenta Rosji, ale jak długo się to opłaca, on będzie kokietował Busha.

— Od lat znam pańską sympatię do nauki rosyjskiej oraz podziw dla możliwości nauki amerykańskiej. Po której stronie jest obecnie pana serce?

— Z urodzenia jestem kosmopolitą, a więc interesuje mnie rozwój nauki niezależnie od tego, czy zajmują się nią fizycy rosyjscy, czy amerykańscy. Rosyjska elita naukowa w znacznej mierze ocalała w epoce pogromu stalinowskiego tylko dlatego, że partia była za głupia, żeby się wspiąć na takie wyżyny myślowe, na jakich poruszali się na przykład Sacharow, Frank czy Kapica. Stąd prawidłowość obowiązywała taka, że im bardziej abstrakcyjna była dana dziedzina (np. matematyka wyższa), tym mniej do gadania mieli marksiści, a więcej prawdziwi uczeni, choć ich praca później przekładała się na konkretne działania. Mówiąc krótko, politrucy byli zbyt ograniczeni, żeby rozumieć, o co tam chodzi. A że Rosjanom zawsze zależało na dominacji militarnej, więc pakowali w te badania wszystkie możliwe środki.

My takiej nauki nie mamy i nie będziemy mieli. Mamy ją teraz na poziomie trzeciej klasy. Nawet dziś, gdy rosyjskie

możliwości są mniejsze, ich uczeni wymyślili tokamaki i mają już za sobą pierwsze — choć na razie nieudane — eksperymenty.

— *Co to jest?*

— To takie toroidalne urządzenie, w którym plazma ma być utrzymywana przez pola magnetyczne. Mówiąc najprościej, chodzi o uruchomienie reakcji termojądrowych typu gwiezdnego cyklu Bethego.

— (*z entuzjazmem*) *No to wielka sprawa! I co, będzie coś z tego?*

— Rzecz polega na tym, aby odnaleźć takie substancje i związki chemiczne, które by tworzyły darmową, elektromagnetyczną osłonę tokamaków. Doświadczenia są ciągle w fazie eksperymentów, więc moment, w którym energia dostarczana przez takie urządzenia będzie większa niż energia, którą się w nie wprowadza, jest jeszcze odległy. Ale to jest jakaś droga ku przyszłości, a nie mur, którego nie da się przebić. Są w tych badaniach pewne postępy.

To jest rzeczywiście bardzo poważna sprawa i pokazuje, jak dalece losy ludzkości są zrośnięte z technologią. Tymczasem wielu mądrych ludzi, jak na przykład Kapuściński, traktuje ją tak, jakby miała zamrzeć. Kategorycznie twierdzę, że tak się nie stanie, bo technologia jest zmienną niezależną od cywilizacji. Jedynym nieszczęściem jest to, że technologia nie jest kierowana przez nas, ale przez komercjalne interesy i siły, które są w dużej mierze anonimowe.

— *Ostatnie lata przyniosły ostre konflikty wokół globalizacji. Jaki jest pana pogląd w tej sprawie?*

— Nie jest sensowne ani potępianie, ani zachwalanie globalizacji. Nie można powiedzieć o niej, że jest taka lub owaka, bo wytwarza ona trendy zarówno zbieżne, jak i rozbieżne. Ostatnio usiłuje nawet dostrzec tak zwany Trzeci Świat i wyciągnąć go z biedy i prymitywizmu.

Nie ma żadnej nauki ekonomicznej, która byłaby oparciem dla naszej wiedzy na temat procesów społecznych

i gospodarczych, mamy za to dzikie hordy wrzeszczące na ulicach przeciwko globalizacji, jakby wiadomo było, co to jest. Internet jest zaśmiecony, politycy niekompetentni, media ślepe i węszące za krwią i sensacją, nauka zmerkantylizowana, brak „sztucznego rozumu". To wszystko jest według mnie jak w bajce o Kopciuszku, który ma przed sobą popiół zmieszany z makiem. Jako autor utworów o ambicjach prognostycznych oraz jako obserwator świata, który przestał uprawiać prozę, widzę w tym wielką niezborność poczynań poszczególnych rządów, które chcą, ale nie mogą, i tłumów, które chcą, ale nie potrafią.

— *Ludzie się boją, że globalizacja im zagrozi, bo jak coś takiego kontrolować? Rządy poszczególnych państw ich przed tym nie obronią, więc kto?*

— Globalizacja jest rzeczywiście mało spójną wiązką procesów, które wykraczają poza gestie poszczególnych rządów, ponieważ rozmaite ciała niewybieralne zaczynają brać górę nad wybieralnymi, a zatem nad władzami państwowymi. Mówiąc inaczej, kapitał przetacza się z miejsca na miejsce i zachowuje się jak woda, która płynie tam, gdzie jest spadek (a zatem taniej) i gdzie kapitalista ma nadzieję zysku. Tam, gdzie się go nie spodziewa, nie uświadczy pan kapitału nawet ze świeczką.

Rachunki ekonomiczne już wykazały, że dla całej ludzkości dóbr nie wystarczy. Gdyby nawet chłonność surowców i energii była tak rozsmarowana po świecie jak masło na chlebie, kołdra i tak będzie za krótka, nie ma na to żadnej rady. Jest tylko jedna rada: planowanie rodziny i badania prenatalne. Ale Kościół na to nie pozwala.

— *Czyli jest pan jednak przeciw globalizacji?*

— Świat naprawdę się globalizuje i wzajemna zależność poszczególnych gospodarek i krajów wzrasta. (*dobitnie*) O autarkicznej gospodarce dziś mogą myśleć tylko Beduini. Nie możemy więc posługiwać się takimi kategoriami, choćbyśmy nawet chcieli. I nikt nie może. Tylko ludzie głupi

mogą w ten sposób rozumować. Dlatego właśnie na przykład Chiny wprowadzają wolny rynek, choć wcale go za bardzo nie chcą, bo się boją, żeby im nie rozsadził komuny.

Poza tym istnieje jeszcze jeden czynnik scalający: rozrost telewizyjnej i sieciowej łączności. W tym wypadku już jestem bardziej sceptyczny, bo ogólna sieciowość spłaszcza i likwiduje hierarchizację rozmaitych kultur.

— Czyli chciałby pan antyglobalistów wziąć na postronek?

— Nie powstrzyma się ani globalizacji, ani antyglobalistów.

— Decyzje o losach świata zapadają coraz częściej nie w gabinetach rządowych, ale w biurach międzynarodowych korporacji.

— Gdy patrzymy na współczesne konflikty, nie wiemy nigdy, gdzie kończy się problem polityczny, a zaczyna ekonomiczny. Z najwyższą trudnością daje się też wyliczyć, gdzie jest koniec interesu narodowego, a początek prywatnego. Konsorcja faktycznie są na ogół międzynarodowe, więc ich skład nie odpowiada żadnym interesom etnicznym. Przed pana przyjściem akurat czytałem artykuł Samuelssona (to dobry ekonomista) w „Herald Tribune”, w którym z najwyższym sceptycyzmem odnosi się do euroizacji monetarnej, twierdząc, że jest to rozwiązanie narzucone przez biurokrację brukselską, więc będzie miało przykre konsekwencje. Układ z Schengen sprawi, że terrorystom łatwiej będzie się przedostawać przez granice.

— Ale na świecie naprawdę robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Trzeba wymyślić jakiś rodzaj niewidzialnego kaftana bezpieczeństwa dla morderców, furiatów i fundamentalistów. Na przykład rodzaj powszechnej betryzacji jak z „Powrotu z gwiazd”.

— W *Wizji lokalnej* próbowałem przetestować inną formę ratunku dla ludzkości, którą można nazwać umownie

łagodnym zniewoleniem elektronicznym. Tylko to jest bardzo drogie. Można uwięzić człowieka, nie trzymając go wcale w kryminale, gdy zainstaluje mu się różne czujniki, sygnalizujące jego pozycję w przestrzeni lub system minikamer, które stale będą śledziły jego poczynania, uniemożliwiając mu poruszanie się tam, gdzie jest to zakazane. Nie jest wykluczone, że dojdziemy do takiej sytuacji, bo niszczycielska działalność człowieka ciągle się potęguje. Jak widzieliśmy, kilkunastu ludzi w parę sekund jest w stanie wyprawić na tamten świat kilka tysięcy mieszkańców dużego miasta.

— *Pozostaje więc tylko kwestia odpowiednich regulacji prawnych.*

— Bezpieczeństwo Zachodu w dużym stopniu zależy obecnie od tego, na ile potrafi on ograniczyć swoje oświeceniowe wolności. Pewien znawca Arabii Saudyjskiej spytał Scholl-Latoura o to, jak się to wszystko rozwinie. A on na to: „Demokracja zwycięży, jeśli przestanie być demokracją".

Ludzkość, a Polska w szczególności, nie dojrzała do demokracji ateńskiej. Tam jakoś się ona sprawdzała, ale chyba tylko na tej zasadzie, że gdy się wszyscy znają, łatwiej się wzajemnie kontrolować, bo znajomym na ogół nie robi się świństw. (*po namyśle*) Choć nasi rodacy tym się nie przejmują, co w Jedwabnem zrobili. (*sarkastycznie*) Na szczęście ostatnio okazało się, że to nie był pogrom, ale egzekucja.

— *Pan od dawna ma na pieńku z demokracją. Ale teraz chyba nie wypada na nią sarkać, skoro to nasza jedyna nadzieja na przyszłość.*

— Demokracja coraz bardziej murszeje. Ostatnio w Stanach Zjednoczonych pojawiło się na przykład szereg doniesień na temat haniebnego sposobu, w jaki były obliczane wyniki ostatnich wyborów prezydenckich. Ze względu na to, że każdy stan ma własne maszyny, które są stare i diabła warte, matematycznie obliczano

procentowość fałszywych wyników i inne temu podobne rzeczy.

— Pan narzeka, ale proszę pomyśleć, że jak długo tego rodzaju raporty się pojawiają, tak długo demokracja jeszcze nie poległa. Na tym ostatecznie polega wolność słowa.

— Kiedyś powiedziałem, i do dziś to podtrzymuję, że różnica między krajem totalitarnym a demokratycznym jest taka, że w demokracji siedzi pan na fotelu dentystycznym i jak wiercą w zębie, może pan krzyczeć do woli, natomiast w ustroju totalitarnym nie wolno nawet pisnąć. Problem tylko w tym, że kiedy wierci się w zębach dziesięciu milionom ludzi naraz, wtedy ich poszczególne protesty zmieniają się w chóralne wycie, co powoduje, że niczego już nie można zrozumieć ani tym bardziej nic na to poradzić. Poza tym należy sobie uświadomić, że erozja etosu demokratycznego znacznie przyspiesza się, a „szare strefy", podbarwione krwią i spermą, błyskawicznie się rozszerzają. Fronty ustawodawcze kuśtykają niezdarnie za tym, co się faktycznie dzieje, więc z każdym dniem jest coraz więcej spraw wołających o pomstę do nieba. Niestety, nic już się nie da z tym zrobić.

— Jaki będzie według pana dalszy rozwój wydarzeń po spacyfikowaniu Afganistanu?

— Mam wrażenie, że nastąpi powolne opadanie tej fali. Interesy poszczególnych państw islamskich są zanadto sprzeczne, aby mogły one stworzyć wspólny front. Czego innego chcą sunnici, czego innego szyici, a jeszcze czegoś innego wahabici lub Egipcjanie… Natomiast prawdziwe niebezpieczeństwo widzę na pustyni Negew. Podobnie niedobrze wyglądają stojące naprzeciw siebie, warczące Indie i Pakistan. To są bardzo trudne do ugaszenia konflikty.

— A dlaczego najbardziej boi się pan konfliktu palestyńsko-izraelskiego?

— Ponieważ wszystkie kraje arabskie mają wspólną ideę zepchnięcia Izraela do Morza Śródziemnego i utopienia w nim wszystkich Żydów. Mimo fatalnych doświadczeń

Arabowie nie porzucili jak dotąd swoich marzeń. Niestety, Izraelczycy mają na pustyni Negew trzysta głowic atomowych, więc jeśli Arabowie znowu spróbują ich wykończyć, będzie atomowa rzeź, bo oni na pewno zdążą wcześniej odpalić większą część swoich rakiet.

To jest nierozwiązywalny konflikt, pat, który będzie trwał bardzo długo. Wszystko jedno, kto będzie u władzy w Izraelu, Szaron, Peres, czy ktokolwiek inny, to się nie zmieni.

— *A po której stronie angażuje pan swoje serce?*

— Niestety obie strony mają rację. To jest swoją drogą zabawne, bo współpraca Palestyńczyków z Izraelem byłaby korzystna dla obu stron, ale czynniki racjonalne mają bardzo słaby wpływ na tego typu sytuacje. Gdy Pakistan „wyjechał” ze swoimi rakietami, Indie natychmiast zrobiły to samo, i tylko patrzeć, jak zaczną do siebie strzelać. Wytłumacz pan im, żeby przestali.

Wizja lokalna

— Kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, dużo uwagi poświęcił pan — świeżej wówczas — teorii „antropic factor”. Na pewno w sporym stopniu wynikało to stąd, że jest to hipoteza pozwalająca myśleć o początkach świata w kategoriach aktu intencjonalnego, co pana wtedy jednocześnie bawiło i intrygowało. Wielki Wybuch nie miał konfiguracji przypadkowego „krzaka”, lecz był tak regularny, jakby ktoś nim sterował.

— Zasada antropiczna powiada, że powstaliśmy jako gatunek w optymalnym momencie rozszerzania się świata. Wcześniej było za gorąco, a w przyszłości będzie zbyt zimno. Ktoś na tej podstawie może oczywiście powiedzieć, że nasza egzystencja została ulokowana w tej, a nie innej epoce nieprzypadkowo, ale to wcale jeszcze nie dowodzi istnienia demiurga.

Wie pan, to jest trochę tak, jak ze zwiększonym prawdopodobieństwem katastrof samochodowych w określone dni tygodnia. Na podstawie analizy częstotliwości wypadków można powiedzieć, że prawdopodobnie w poniedziałek będzie więcej zderzeń czołowych niż na przykład w środę, ale przecież to wcale nie znaczy, że ktoś je tak aranżuje. Tak więc tylko w tym sensie (czyli w sensie statystycznym) można rozpatrywać

moment pojawienia się życia na Ziemi. To właśnie można uznać za wyraz zasady antropicznej.

— *Według pana zatem nie ma tu mowy o interwencji „z góry”?*

— Lokalizacja warunków umożliwiających powstanie życia i cztery miliardy lat ewolucji na Ziemi jest w pewnym sensie przypadkowa, jak i nieprzypadkowa. Przypadkowa w tym sensie, w jakim z ziarna niesionego przez wiatr równie dobrze może wzrosnąć drzewo (jeżeli spadnie na skrawek żyznej gleby), jak i nie zostać nic (gdy zostanie na przykład zjedzone przez kurę). Nieprzypadkowa zaś w tym sensie, że jakiś okres preferencji musiał kiedyś zaistnieć w historii globu. Na pewno nie mógł on przypaść ani na okres wrzenia kosmosu, ani na epokę wielkiego zlodowacenia. Zasada antropiczna nie zakłada predestynacji, czyli takiego zaprogramowania kosmosu, ażeby powstało w nim życie, ale tłumaczy fenomen wyłonienia się życia na Ziemi szczęśliwą koincydencją, równoczesnym zaistnieniem szeregu sprzyjających zdarzeń i okoliczności. Możemy więc mówić o tym tylko w sensie statystycznym.

— *Ale przyzna pan, że jeśli napotykamy tak astronomiczną ilość koincydencji, które zdają się „celować” w człowieka, to trudno instynktownie nie myśleć o Stwórcy.*

— W *De impossibilitate vitae* i *De impossibilitate prognoscendi* z tomu *Doskonała próżnia* pisałem, że jeśli będziemy się cofali ku korzeniom genealogii każdego z nas, możemy dojść w końcu do momentu, w którym się okaże, że przyczyną naszego przyjścia na świat jest defekacja mamutów na brzegu jakiejś rzeczki. Niestety, takie rewelacje niechętnie przyjmujemy do wiadomości.

Kiedyś zaproponowałem następujące rozumowanie (podobnego używał zresztą Dawkins): jeżeli wyobrazimy sobie kogoś, kto śni serię wypadków, które potem się zdarzą w rzeczywistości (bo na ileś wypadków to się musi stać), nie ma wątpliwości, że zostanie uznane, iż miała

miejsce premonicja, czyli uzyskanie (w niewiadomy sposób) wiedzy o przyszłości. Ale czy on to faktycznie przewidział? Nie, bo w rzeczywistości jest on tylko elementem wielomilionowego zbioru, w którym 99,9% innych ludzi śniło coś, co się wcale nie zdarzyło, ale ponieważ właśnie temu jednemu się przytrafiło, więc będzie chodził w glorii proroka, któremu się udało przewidzieć przyszłość.

— *Kiedyś sprawdziłem to pańskie rozumowanie, szacując, ilu osobom „sprawdza się" śmierć bliskich w Nowym Jorku w ciągu jednej doby. Okazało się, że jest ich około tysiąca dwustu. To wcale nie jest mała liczba. Można więc przyjąć tę logikę, ale jeżeli sięgamy miliardy lat wstecz i widzimy te absolutnie niewiarygodne łańcuchy przypadków, jakie ukonstytuowały życie na Ziemi, to przy tym wysiadają wszystkie ruletki i loterie całego świata. Pan natomiast zawsze wyznawał filozofię, według której świat nie jest człowiekowi ani przychylny, ani nieprzychylny. Dlaczego więc zakładać, że nagle zrobił nam taki prezent?*

— Oczywiście, że to jest zdumiewające, ale mnie to jednak jakoś specjalnie nie wytrąca z równowagi, ponieważ rzeczy nieprawdopodobne się jednak zdarzają. Kiedyś w rozmowie z niemieckim filozofem powiedziałem: „Hitler i Stalin bardzo intensywnie współpracowali ze sobą (nie wiedząc o tym naturalnie), ażeby mój syn przyszedł na świat".

— *No, ciekawe. A w jakiż to sposób?*

— Gdyby Niemcy nie napadli na Sowietów, a oni ich nie pokonali i nie zagrabili nam terenów wschodnich, to rodzina mojej żony nie zostałaby wyrzucona z Jagielnicy, a my ze Lwowa, więc nigdy byśmy się z Basią Leśniakówną nie spotkali na studiach medycznych w Krakowie i nasz syn nie mógłby przyjść na świat. Czyli w tym wypadku Stalin z Hitlerem w pewnym sensie ilustrują zasadę antropiczną.

— *Z tego, co czytałem, wynika, że dyskusja na temat Wielkiego Wybuchu wciąż się jeszcze nie skończyła?*

— Spory naukowców rzeczywiście trwają nadal i niemal wszystkie zdradzają znaczne kontrowersje. Chodzi w nich o dość akademickie z pozoru sprawy początku uniwersum i związane z nim gwałtowne rozbłyski promieni gamma. Obecnie przypuszcza się, że są one spowodowane zapadaniem się wielkich gwiazd w „czarne dziury”, które przy okazji produkują ogromne ilości energii.

— *No, ale to chyba było już wcześniej wiadomo?*

— Tak, ale wciąż jeszcze nie wiadomo, dlaczego ta energia jest skolimowana, czyli skupiona w taki sposób, że niektóre z tych pęczków trafiają w Ziemię. To są straszliwe moce, ale na szczęście ich źródła są bardzo odległe od nas.

— *Czyli dotychczas obowiązująca teoria kosmogoniczna się nie potwierdziła?*

— Ona od początku była teoretyczną sztuczką, stworzoną po to, żeby wyjaśnić, dlaczego wszystkie „zmarszczki” wypełniającego przestrzeń Wszechświata promieniowania reliktowego, będącego prawdopodobnie pozostałością po wczesnych stadiach jego ewolucji, są dookoła takie same, co by sugerowało, że impuls świetlny przebiegał przy powstaniu Wszechświata z szybkością większą od ustaleń Einsteina. Obecnie jest to kwestionowane, bo istnieje już kilka możliwych modeli.

— *Ale któryś z nich jest chyba bardziej przekonywający od pozostałych?*

— Jeżeli obserwuje pan pokój, do którego wchodzi kobieta, a potem wychodzi z niego mężczyzna, a jeszcze później słychać dochodzące stamtąd krzyki dziecięce, to ma pan prawo podejrzewać, że doszło między nimi do zbliżenia, w którego efekcie odbył się poród, ale jednak stuprocentowej pewności pan mieć nie może.

— *Dlaczego?*

— Bo być może miało tam miejsce niepokalane poczęcie albo kobieta była już wcześniej w ciąży, tylko niczego nie było po niej widać.

— *Wie pan, sądziłem, że w dziedzinie nauk ścisłych panuje większa zgodność opinii. Po tym, co tutaj słyszę, rodzi się we mnie podejrzenie, że wśród wielkich uczonych każdy sobie rzepkę skrobie.*

— (*z westchnieniem*) No i co ja mam panu powiedzieć? Jest wielu świetnych uczonych, takich jak na przykład Dennis Sciama czy Roger Penrose, sporo godnych uwagi modeli teoretycznych, ale z badaczami jest niestety trochę tak, jak ze spierającymi się politykami: ci mają jedne poglądy, tamci inne. Jest prawdą, że one nie są w pełni kompatybilne, ale czy chciałby pan, aby nauka stała się dogmatyką?

Wybitny angielski astronom Fred Hoyle (chyba jeszcze żyje, musi mieć około osiemdziesięciu ośmiu lat) wraz z Jayantem Narlikarem zbudowali kiedyś teorię, zgodnie z którą Wszechświat się wcale nie rozszerza, lecz jest zawsze taki sam. Tylko że do tego jest niezbędne, żeby w każdym kubiku przestrzeni o boku jednego kilometra powstawał co jakiś czas jeden proton. Potem okazało się, że Wszechświat jednak się rozszerza, a galaktyki faktycznie uciekają. Jak pan myśli, co wtedy zrobił Hoyle?

— *Nie mam pojęcia. Wymyślił nową teorię?*

— Otóż nie, i to właśnie jest ciekawe! Hoyle wcale nie opierał się gwałtownie przed koncepcją Wszechświata, która nie była zgodna z jego pierwotnymi intuicjami, ale też nie zrezygnował całkowicie ze swojej. Dlatego w środowiskach naukowych mówi się, że tego rodzaju koncepcje odchodzą w przeszłość i padają na śmietnisko historii dopiero wtedy, kiedy umierają ich twórcy.

— *W jakim więc stopniu wybitni uczeni są w ogóle w stanie uzgodnić między sobą koncepcje na temat początków świata?*

— Minęły czasy, gdy wszyscy się powoływali na Einsteina. Dziś Sciama mówi jedno, a Penrose drugie. Dotyczy to zwłaszcza tematu kosmogonicznych początków uniwersum.

— Ale zwykle jest jakieś centrum, wokół którego obraca się w danym momencie dyskusja.

— Teraz czymś takim jest koncepcja, według której żadnego początku tak naprawdę nie było. Jest to tak zwana teoria bran, czyli hipoteza dwóch płaskich wszechświatów, z których jeden jest pusty. W efekcie ich zderzenia zrobiło się wielkie bum, a my je nazwaliśmy Big Bang. Proszę sobie jednak uprzytomnić, że nawet gdy pojawia się efektowna koncepcja, to przecież ona nie zatrzymuje prac na innych frontach naukowych, co powoduje, że teorie, wydawałoby się, ogólnie akceptowane ulegają z czasem daleko idącym modyfikacjom i uściśleniom.

Dziś wszystko jest niepewne: stałe nie są stałymi, co dotyczy nawet stałej grawitacyjnej. Wielkie wysiłki, mające na celu wykrycie tak zwanej „boskiej cząstki”, czyli bozonu Higgsa, kompletnie spaliły na panewce. Uczeni czysto teoretycznie ustalili jego masę gdzieś pomiędzy 50 a 150 GeV (gigaelektronowoltów). W Europejskim Centrum Badań Jądrowych szukano go najpierw w paśmie 90 GeV, ale ponieważ nic nie znaleziono, wobec tego podjechano do 110 GeV, i teraz mówi się o teraelektronowoltach. Nie wiadomo, co z tego wyniknie, bo na razie wszyscy oszczędzają i tną naukowcom budżety.

— A dlaczego ten eksperyment jest tak ważny?

— Bo bez niego cała teoria rozpada się w gruz. Bozon miał bowiem umożliwić wyjaśnienie powstania masy, a bez niej nie ma nic. Jesteśmy więc dziś na przejściu pomiędzy złomowiskiem istniejących teorii a nowymi koncepcjami.

— Dotąd — szczerze mówiąc — wyobrażałem sobie, że w dziedzinie nauk ścisłych stąpamy po pewniejszym gruncie. A tu po prostu na wiele pytań nie ma odpowiedzi.

— Kiedy mój syn studiował fizykę w Princeton, zamęczał profesorów, pytając ich, jakim prawem podczas obliczeń odcinają „ogon” nieskończoności. Przyprawiał ich w ten sposób o poważną irytację. Zdesperowani, odpowiadali po prostu: „Tak się robi i już”. Dla pana brzmi to może

idiotycznie, ale taka postawa jest praktyczna i rozsądna, bo z kontynuowania ciągu liczb nic nie wynika. Liczba pi, jaką znamy wszyscy ze szkoły (3,1415926535), to zaledwie jej początek, dlatego są tacy, którzy z lubością zajmują się dalszym wyliczaniem numerycznym, mimo że takie obliczenia nie mają końca. Tak więc jest to kwestia gustu i ludzkiej wariacji logicznej. Ten mikroświat po prostu nie odpowiada naszym naiwnym wyobrażeniom.

— À propos tej liczby pi... Nie wiem, czy pan pamięta, że kiedy przed laty zastanawialiśmy się nad granicami ludzkiej pamięci, twierdził pan, że jej rezerwy zostały już wyeksploatowane do cna. Tymczasem wkrótce potem Japończyk Higaki Toimori z pamięci wyliczył czterdzieści tysięcy miejsc po przecinku liczby pi. Czy to prestidigitatorska sztuczka, czy dowód na to, że mózg ludzki posiada jednak wciąż rezerwy? Jak pan wytłumaczy ten fenomen?

— W mózgu znajdują się rozmaite, oddzielnie działające moduły. Uszkodzenie na przykład modułu barwnego powoduje, że człowiek widzi tylko na czarno-biało. To jest, być może, ciekawe (zwłaszcza dla fotografów i operatorów), ale, jak pan widzi, nic nie jest za darmo. O takim wyniku jak ten, o którym pan mówi, nie słyszałem, ale w mózgach genialnych idiotów, którzy są świetnymi rachmistrzami, zachodzą czasem tego typu zależności — część mózgu odpowiedzialna za zdolności numeryczne wykonuje nadzwyczajną pracę, ale zwykle towarzyszy temu niski poziom inteligencji ogólnej. Czyli ani jedno, ani drugie. Po prostu defekt, który jest zarazem talentem.

— To ciekawe i smutne zarazem, ale wróćmy do głównej kwestii. Z tego, co pan wcześniej powiedział, wynika, że cała teoria inflacyjna na temat początków kosmosu jest jakby rodzajem cery, zrobionej na teoretycznej skarpecie po to, żeby nie prześwitywała goła pięta.

— Inflacyjny model kosmosu wymyślił Alan Guth, żeby uratować koncepcję Big Bang. Według tej teorii,

natychmiast po Wielkim Wybuchu (mniej więcej około 10^{40} sek.) miała miejsce krótka faza, podczas której kosmos zaczął się gwałtownie rozszerzać. Wtedy w „powierzchnię” wybuchu zostały wmrożone pewne nieregularności, które po czterech miliardach lat dostrzegamy jako tak zwane promieniowanie reliktowe, o temperaturze 2,5–3°K. Jest to hipoteza — jak twierdzi Penrose — *ad hoc*, co oznacza, że dalej nie wiemy, czy tak było na pewno.

Jest bardzo możliwe, że za rok albo za sto lat pojawi się genialny uczony, który stwierdzi, że było jeszcze inaczej, tym bardziej że nawet sam Stephen Hawking zgadzał się z koncepcją „wszechświata bez krawędzi”. Nam się bowiem wydaje, że on musi mieć jakąś „krawędź”, czyli początek, ale może wcale nie musi? Są ostatecznie modele, zgodnie z którymi istnieją w naszym Wszechświecie kosmosy schowane w cząstkach elementarnych. Nikt ich oczywiście nie widział. Ponieważ przypominają kształtem butelkę, więc można powiedzieć, że jest z nimi trochę tak jak z żaglowcami skonstruowanymi przez pracowitego modelarza w butelce.

— *Więc w takiej mikroskopijnej cząstce ukrywa się cały Wszechświat? A co tego dowodzi?*

— Jest to hipoteza nie oparta na niczym, oprócz tego, że jest matematycznie możliwa. Stanowi ona duchowy spadek jeszcze z czasów, kiedy się mówiło, że w fizyce jest możliwe wszystko, co nie jest *expressis verbis* zakazane przez prawa natury. Na tej samej zasadzie przyjmuje się istnienie tachionów, które poruszają się z chyżością większą od szybkości światła, ale nikt ich jeszcze nie wykrył.

— *To oznacza, że uczeni mają sporo problemów z utrzymaniem się w obrębie praw fizyki, bo ja czytałem niedawno o jakimś słynnym paradoksie mechaniki kwantowej, zgodnie z którym (jeśli dobrze zrozumiałem) strzałki spinów nie tylko zależą od naszych obserwacji, ale na dodatek wzajemnie się między sobą komunikują, i to*

z szybkością światła, co, jak wiem ze szkół, nie jest możliwe.

— Pan mówi o tak zwanym paradoksie EPR (Einstein-Podolski-Rosen). Według niego rzeczywiście istnieje coś takiego jak oddziaływanie atomów z szybkością większą od szybkości światła. Jednak ze względu na statystyczną niemożliwość wykrycia takiego zjawiska nie możemy skorzystać z wiedzy o nim.

— *Ale samego fenomenu natychmiastowego kontaktu tych cząstek się nie kwestionuje?*

— Samego zjawiska się nie podważa, ale pozostaje poważne pytanie, jak je „złapać za rękę” i wykorzystać do przekazywania informacji. Wiemy, że ono istnieje, ale na razie nic z niego nie możemy mieć. Jest bardzo wiele rozmaitych modeli teoretycznych, które nie są falsyfikowalne, ponieważ każdy z nich ma jakąś płaszczyznę opartą na danych obserwacyjnych. Dotyczy to również tego paradoksu fizyko-logicznego, o który pan zapytał. Mówił o nim już Albert Einstein. Tego typu hipotezy traktuje się jako możliwe do przyjęcia, ale też wiele zależy od tego, kto jest ich autorem.

W efekcie EPR napotykamy bardzo interesującą kwestię, wyglądającą wręcz na absurd: jeśli mamy rozlatujący się atom, a w nim dwa spiny, których strzałki są ustawione w przeciwnych kierunkach, to już „patrząc” na nie, niejako dokonujemy wyboru, w jakim kierunku lecą. Jak to się dzieje, trudno powiedzieć, bo to jest niezgodne z całą naszą wiedzą. Niestety, to jeszcze nie wszystko, bo jeśli te spiny znajdują się w dowolnie dużej odległości od siebie, na przykład jeden w Mgławicy Psów Gończych, a drugi na Ziemi, to określenie kierunku jednego z nich powoduje tym samym ustalenie strzałki drugiego, co by świadczyło, że istnieje jakieś momentalne, ponadświetlne oddziaływanie informacyjne. Jak to wykorzystać? Jeszcze nie wiadomo…

— *Jeśli dobrze rozumiem, ta sama cząstka w jakimś sensie przebywa w dwóch miejscach naraz. Dla laika nie*

brzmi to najlepiej…

— Bo to jest kompletnie sprzeczne z naszą wiedzą i z całym układem logiki kognitywnej, zbudowanym na doświadczeniu zmysłowym. Ale jest to prawda. W świecie kwantów obowiązuje logika kwantowa i nic na to nie można poradzić. Cała masa eksperymentów jasno pokazuje, że w tym mikroświecie dzieje się zupełnie inaczej, niż moglibyśmy sobie wyobrazić. To samo zresztą dotyczy na przykład tunelowania. W skali femtosekund, czyli trylionowych cząstek sekund, jest ono możliwe, ale żeby ołówek tunelował przez kartkę papieru, nie dziurawiąc jej, możliwe jest tylko pod warunkiem, że poświęci się na to kilkanaście kwadrylionów lat, czyli kilkadziesiąt tysięcy razy więcej, niż istnieje kosmos. Teoretycznie również całe powietrze zebrane w tym pokoju na skutek ruchów losowych mogłoby zebrać się w jednym kąciku, a wtedy obaj udusilibyśmy się. Nigdy to jednak nie nastąpi, choć naturalnie teoretycznie taka szansa istnieje. W praktyce jest to szansa zerowa.

— Chciałbym jeszcze raz powrócić do kwestii Wielkiego Wybuchu. Od tego momentu wszystkie ciała kosmiczne oddalają się od siebie z gigantyczną szybkością, a my jesteśmy zaledwie mikrobami na antypodach tego rozszerzającego się świata. Według wspomnianego Hawkinga ten proces będzie trwał tylko do jakiegoś momentu. Do jakiego? I co dalej? Czy kosmos zacznie zapadać się z powrotem?

— Nie. Jak się ostatnio okazało, świat jest „płaski”, więc nigdy do tego nie dojdzie. Teraz już prawie w stu procentach wiemy, że kosmos nigdy nie będzie mógł się zapadać. Kosmiczny kollaps po prostu nie nastąpi. Różnica mas pomiędzy Wszechświatem, który mógłby się w siebie zapadać, a tym, który się wiecznie rozpręża, jest minimalna. Poza tym ogromna większość fachowców twierdzi, że żadnego skurczu nie będzie i Wszechświat będzie się powiększał aż do nieskończoności.

— Dziwię się, bo wielokrotnie czytałem opinie badaczy na temat możliwości kompletnego kollapsu naszego Wszechświata. Czuję się więc wpuszczony w maliny i niepotrzebnie straszony. Oczywiście doskonale wiem, że nam oraz naszym wnukom nic nie grozi, ale tak czy owak interesuje mnie, czy po naszym pięknym universum pozostanie jakaś kupka popiołu?

— Były próby symulacji komputerowej najbliższych stu miliardów lat, w których świetle wygląda na to, że wszystkie gwiazdy zgasną, bo się wypali wodór, wszystkie systemy planetarne sczezną, a przelatujące obok nas ciała kosmiczne wytrącą planety z ich orbit i pozostanie jakaś gigantyczna pustka, w której będzie rozsiany, niesłychanie zresztą rzadko, popiół pierwiastkowy.

— (*z zadowoleniem*) *Czyli zostanie jednak jakiś popiół. A co będzie potem?*

— Odpowiedzi na to pytanie niech pan już szuka na przykład u Isaaka Asimova, który twierdzi, że potem Pan Bóg znów powie: „Niech stanie się światłość". Nie wierzę w to. Jestem przekonany, że wszystko ma swój początek i koniec, łącznie z kosmosem, gwiazdami i z naszą egzystencją. Ale tego już udowodnić nie można.

— W 1987, a zatem w roku ukazania się pierwszego wydania naszych „Rozmów", zaobserwowano wybuch Supernowej. Czy to wniosło coś nowego do naszej wiedzy o kosmosie?

— Nie bardzo, bo to było cholernie daleko — tysiące lat świetlnych od Ziemi. Zresztą nie ma się czym martwić, bo dopiero gdyby wybuch nastąpił dziesięć razy bliżej, zrobiłoby się nieprzyjemnie. To efektowne zjawisko nie wzbogaciło naszych dotychczasowych obserwacji również dlatego, że tę Supernową, nazywającą się Tytus 2, po raz pierwszy zauważono już w 1604 roku.

— A jak dzisiaj prezentuje się nasza wiedza na temat „czarnych dziur"? Czy tutaj też istnieje tak dużo rozbieżnych opinii?

— Po pierwsze, „czarne dziury” nie są już tak czarne jak dawniej, bo obecnie wiemy, że zachowują się one zgodnie z prawem promieniowania, z którego wynika, że każda cząstka, która zostaje wciągnięta pod horyzont zdarzeń, wytwarza antycząstkę, która odlatuje, i czarna dziura w efekcie „paruje”, ale niesłychanie wolno. Im jest większa, tym wolniej paruje, ale jeżeli kosmos będzie istniał jeszcze przez najbliższych dziesięć miliardów lat, wówczas prawdopodobnie wszystkie „czarne dziury” wyparują. Jak wiadomo, nie ma małych „czarnych dziur”, a przynajmniej ich dotąd nie wykryto, dlatego że ich mała powierzchnia musiałaby spowodować, iż nie byłyby one już nawet szare. Ich likwidacja, czyli parowanie, miałoby się skończyć potężną energetycznie eksplozją. Z tym jednak, że to jest czysta spekulacja.

— *Dlaczego?*

— Wie pan, jeżeli narysujemy na kartce dwie równoległe, to według uczonych mogą się one przeciąć w nieskończoności, ale tak naprawdę nikt jeszcze tego nie stwierdził. Są pewne prawa i prawidłowości, które przyjmujemy *à la lettre,* bośmy się do nich już przyzwyczaili, ale przecież nie ma co do tego stuprocentowej pewności. Nawet Hawking nie jest opoką, choć odkrył związek pomiędzy „czarnymi dziurami” a ich zdolnością do promieniowania i zmniejszania się. Notabene „czarne dziury” wymyślił niemiecki astronom Karl Schwarzschild, a potem matematycznie udowodnił ich istnienie, równocześnie jednak wcale nie uważał, że są one fizycznie możliwe. To wyszło mu tylko z rachunków. Musiało minąć trochę czasu, żeby środowisko astrofizyczne zaczęło przychylać się do jego koncepcji. Obecnie już panuje powszechne przekonanie, że w samym centrum praktycznie każdej mgławicy spiralnej z rozwianymi rękawami, takiej jak na przykład Droga Mleczna, znajduje się gigantyczne czarne jądro, które nazywamy „czarną dziurą”. Nikt jej jednak nigdy nie zobaczy. Można co najwyżej zobaczyć tak

zwany dysk akrecji, czyli gigantyczny wir wsysający wirujące dookoła niego pasma materii. Temu wciąganiu towarzyszą straszliwe erupcje gwiazdowe, bo cały kosmos to jest jedna wielka awantura ogniowa.

— *Chciałbym prosić, żeby mi pan wytłumaczył jeszcze jedną kwestię. Czytając Hawkinga, odnalazłem passus na temat „białych dziur” i możliwości przechodzenia przez nie do innego kosmosu, gdzie panują inne prawa fizyki. Jak to rozumieć?*

— Jemu już trochę przeszła ta koncepcja.

— *Astrofizyka wyraźnie lubi „kolorowe” fenomeny, bo w książce Hawkinga odnalazłem również pojęcie „czarnej materii”. Czy rozmawiając z panem dwadzieścia lat temu, coś przegapiłem? Czy ona istniała już wtedy?*

— Nie, nie. Umysł ludzki dąży do wykrycia prostoty, początkowo więc uczonym zdawało się, że mamy do czynienia tylko z gwiazdami, systemami planetarnymi, gromadami kulistymi gwiazd oraz spiralnymi galaktykami Seiferta. Potem jednak okazało się, że to wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, a różnorodność kosmosu jest większa, niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić. Z obliczeń wynika jasno, że nie można wyjaśnić sposobu zachowywania się kosmosu, stosując aproksymacje wagowe wszystkich kilkuset miliardów mgławic. To wskazuje, że musi istnieć jeszcze jakaś niewidzialna materia — zupełnie zimna i ciemna (dlatego mówimy „czarna”).

— *I co to jest?*

— Nie mamy bladego pojęcia! Są naturalnie na ten temat różne koncepcje, przypominające mi przysmaki w sklepie cukierniczym, ale nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy uznać, że składa się ona z takich, a nie innych, nie znanych nam cząstek. Niech pan jednak nie robi tryumfalnych min, bo z tego wcale nie wynika, że *ignoramus et ignorabimus*, bo w końcu uda się wykryć i to.

Takich zagadek jest zresztą znacznie więcej. Mam na przykład w domu *Encyklopedię ignorancji*, która liczy sobie już dwadzieścia pięć lat i rozpadła się trochę ze starości, ale na jej podstawie mogę pana zapewnić, że w czasie tego ćwierćwiecza wiele nurtujących nas zagadek zostało rozszyfrowanych, a niektóre się po prostu rozpłynęły.

— *A które z nich w ciągu ostatnich dwudziestu lat pozostały nadal nie rozwiązane?*

— Ciągle nie zostało ustalone tempo ewolucji biologicznej oraz wpływ, jaki miały na ewolucję życia na Ziemi epoki „wielkiego wymierania". Największe z nich były dwie: pierwsza — tak zwana permska, która miała miejsce około dwustu sześćdziesięciu milionów lat temu i doprowadziła do wyginięcia dziewięćdziesięciu procent całej masy biologicznej w biosferze, i druga — u schyłku okresu kredowego, która nastąpiła po stu trzydziestu milionach lat panowania dinozaurów i spowodowała całkowite rozerwanie łańcuchów żywieniowych. Do jej powstania przyczynił się meteor (ewentualnie kometa) o średnicy około stu kilometrów, który uderzył w Ziemię z taką siłą, że wyrzucił w atmosferę roje swoich szczątków. Spadając, wywołały one na całej planecie olbrzymie pożary.

— *Pana zawsze fascynowała ewolucja i jej mechanizmy stochastyczne, które doprowadziły do powstania życia na Ziemi. Co nowego dziś o nich wiemy?*

— Ostatnio pojawiła się całkowicie nowa, dość składna koncepcja początków życia na Ziemi, która ma ścisły związek z odkryciem najstarszych form życia, nazwanych ekstremofilami, które wytrzymywały temperaturę stu stopni Celsjusza i nie były ani roślinami, ani bakteriami, ani jednokomórkowcami, ani algami. Tlen był dla nich trucizną, więc powstały w głębinach oceanicznych. Istniały tak sobie ponad półtora miliarda lat i nikt im w niczym nie przeszkadzał, więc odbywało się mieszanie elementarne. Można to porównać do sytuacji, gdy ktoś ma w ręku

dziesięć tysięcy miliardów zatłuszczonych kart do zechcyka i nic innego nie robi, tylko tasuje i tasuje. Dzięki temu powstały w końcu algi i zaczęły produkować tlen. Oczywiście dopóki atmosfera się nim nie nasyciła, życie na Ziemi nie było możliwe.

— *Ile czasu to trwało?*

— Jakieś dwieście milionów lat. W końcu te mikroskopijne istoty dały początek bakteriom, a z nich później zrodziły się rośliny i małe organizmy oceaniczne. Aby to życie mogło wypełznąć na ląd, potrzeba było następnych trzystu milionów lat.

— *Jakoś mnie to nie porusza. A właściwie co pana w tych historiach tak bardzo pociąga?*

— (*z niesmakiem*) To, że są bardzo ciekawe! Uwielbiam czytać takie rzeczy, bo dla paleontologów i paleontoklimatologów faza rozwojowa trwająca kilkanaście milionów lat jest krótką chwilką. Dla nas perspektywa ludzkiego życia jest czymś ostatecznym, oni natomiast piszą: *„W krótkim czasie piętnastu milionów lat…”* (*śmiech*)

— *Pamiętam, że zawsze był pan wyjątkowo przejęty losem przedpotopowych gadów. Kiedy wracałem czasem myślami do naszych dawnych rozmów, myślałem, że może to i lepiej, iż wyzdychały, bo trudno byłoby się przy nich wyżywić.*

— A wie pan, co to jest *„das kreative Vernichtungsprinzip im Weltall”*? Można to przetłumaczyć jako „kreatywna zasada zniszczeń”. Czyli gdyby nie było zagłady gadów, które po stu trzydziestu milionach lat swojego panowania zeszły do grobów, nigdy żadne większe od szczura ssaki nie mogłyby się rozmnożyć na Ziemi. A wtedy homo sapiens by po prostu nie powstał. Oznacza to, że rozwinęliśmy się tak wspaniale na zwłokach swoich poprzedników.

— *„Umierać musi, co chce żyć”. A jakim cudem okres tego gadziego holocaustu przeżyły ptaki?*

— Nie wiemy. Istnieje przypuszczenie, że przetrwały zakopane w mule.

— *No, niezły sposób. A co wynika dla nas z analizy tych okresów, gdy życie musiało kapitulować?*

— Krzywa rozkładu życia na Ziemi ma dwa wielkie zagłębienia: permskie (sprzed 250 milionów lat) i pokambryjskie (65 milionów lat). Ale było ich znacznie więcej, o czym świadczy pasmo asteroidów w przestrzeni pomiędzy Ziemią a Marsem, powstałe z formującej się planety, która została rozerwana wpływami grawitacyjnymi Jowisza. Jej szczątki krążą jako meteoroidy. Największa z nich, Ceres, ma kilkaset kilometrów średnicy. Jowisz jednak nie tylko pożera i niszczy, lecz również zachowuje się wobec Ziemi opiekuńczo, spełniając rolę wielkiego odkurzacza.

— *To znaczy...?*

— Minimalizuje, i to w bardzo znaczący sposób, ilość trafień obiektów kosmicznych w Ziemię, a to poważnie stabilizuje istnienie życia na naszym globie. W jakimś sensie naszą tarczą ochronną jest również Księżyc, który jest bardzo nietypowy i zabawny, ponieważ to największy księżyc najmniejszej planety w naszym systemie planetarnym, krążący wokół nas po nadzwyczaj ciasno zawiniętej spirali w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara i oddalający się z szybkością czterech centymetrów na rok. Przez czysty przypadek ma obecnie takie rozmiary, że potrafi całkowicie zasłonić Słońce w czasie zaćmienia. Oczywiście gdybyśmy wyruszyli wehikułem czasu kilkanaście milionów lat naprzód, to okazałoby się, że zaćmienia są już obrączkowe, a tarcza Księżyca jest mniejsza od Słońca.

— *A skąd on się w ogóle wziął nad naszymi głowami?*

— Stąd, że Ziemia została kiedyś uderzona po stycznej przez jakąś inną planetę, która była mniej więcej dwa razy mniejsza od Marsa. Symulacje komputerowe wykazały, że w momencie kiedy obie się już stopiły, powstał zgęstek

w postaci bagietki, który rozpadł się na dwa kawałki. W większym skupiło się metalowe jądro (mówię oczywiście o Ziemi), a drugi stał się jego protoksiężycem, obracającym się wokół niego na wysokości mniej więcej dwudziestu tysięcy kilometrów. Swoimi wpływami grawitacyjnymi spowodował takie pływy, że kora stygnącej Ziemi wyginała się na kilometrowe wysokości. Oczywiście o żadnym życiu nie było wtedy jeszcze nawet mowy.

— *To wszystko szalenie ciekawe, ale ciągle jeszcze nie wiem, przed czym nas chroni Księżyc?*

— On pełni aktualnie w stosunku do Ziemi funkcję bąka, czyli stabilizuje odchylenie jej osi na 23,5 stopnia do płaszczyzny ekliptyki. Bez tego, na skutek skomplikowanego oddziaływania Słońca i wielkich planet, kula ziemska by koziołkowała. Wszystkie planety zresztą koziołkują.

— *Jak często?*

— Na pewno nie ze środy na piątek. Raz na kilkadziesiąt milionów lat.

— *No, to chyba nie ma żadnego znaczenia? Wokół własnej osi obracamy się w ciągu jednej doby, a wokół Słońca w ciągu roku.*

— To jest jednak za szybko, bo w efekcie takiego koziołkowania jedna część kuli ziemskiej narażona byłaby na nadmierne nagrzewanie, a druga na kompletne wychłodzenie. To groziłoby całkowitą likwidacją życia. Gdyby na przykład Ziemia poruszała się tak jak Neptun, na jednym biegunie mielibyśmy straszliwe tropiki, a na drugim Antarktydę z Syberią. Wiadomo to stąd, że na Merkurym, który znajduje się najbliżej Słońca, po stronie zwróconej w jego stronę topi się ołów, ale w jego kraterach wykryto istnienie lodu. Badania astrofizyków wiele zawdzięczają symulacjom komputerowym, które wykazały, że nachylenie ziemskie jest optymalne z punktu widzenia szans życia na Ziemi.

— Czyli znów okazuje się, że nasz układ planetarny został tak sprytnie wymyślony, żeby pozwolić na powstanie życia, a w efekcie na narodziny człowieka…

— No nie, wszystko zależy od tego, z jakiej perspektywy się patrzy na cud. Już Tuwim roztropnie powiedział, że ruch miejski jest sumą cudem unikniętych katastrof.

— Więc może teraz parę słów à propos katastrof… Parę lat temu ominęła Ziemię w bliskiej odległości spora asteroida. Bardzo ciekawie zachowali się wtedy naukowcy i politycy. W Stanach wiedziano, że nadlatuje i poważnie zagraża ludzkości. Grupa uczonych zgłosiła więc projekt, żeby rozbić ją za pomocą rakiet jądrowych, ale zanim został oceniony przez niezależnych ekspertów i wpłynął do Kongresu, szczęśliwie minęła Ziemię. Ta groteskowa historia dobitnie pokazuje, że nawet największe mocarstwa są kompletnie nieprzygotowane do przeciwdziałania takim przypadkom. Rozbicie Pentagonu przez al Kaidę absolutnie potwierdza takie podejrzenie.

— W książce, którą pan tu widzi, noszącej tytuł *Rare Earth*, znajduje się obszerny rozdział poświęcony tej kwestii. Autorzy twierdzą, że uderzenie w Ziemię meteorytu o średnicy trzydziestu kilometrów będzie równoznaczne z zagładą całej biosfery. Przetrwają tylko bakterie.

— A co mówią autorzy na temat strategii ratunkowych?

— Rozbijanie meteorytów jest w zasadzie możliwe, ale należy pamiętać o elementarnej sprawie. Jeżeli roztrzaskamy coś tak ogromnego jak ważący dziesięć miliardów ton meteor, to nie da się tego zrobić w taki sposób, żeby wszystkie odłamki mniejsze niż jeden kilometr średnicy ominęły Ziemię. To jest praktycznie niewyliczalne, ponieważ nie możemy wiedzieć z góry, z czego się składa ten meteoryt i gdzie znajdują się w nim miejsca o mniejszej spoistości. Tego po prostu nie zdążymy ustalić. Jeżeli więc będziemy weń po prostu strzelali na oślep, spadnie nam na głowy nie jeden porządny meteoryt, ale gęsty grad meteorytów, co będzie wejściem z deszczu pod rynnę.

— Nie sądzi pan, że powinny istnieć jakieś wojskowe procedury ostrzegania i przeciwdziałania?

— Są sytuacje, w których rzeczywiście należałoby działać według zasady zwanej „palec na cynglu”, wypracowanej przez sztaby jeszcze w okresie zimnej wojny, czyli gdy tylko zauważymy coś w największej nawet odległości, natychmiast strzelamy. W tej chwili jednak, powiedzmy sobie to uczciwie, niebezpieczeństwo trafienia w obiekt kosmiczny i ściągnięcia sobie na głowy lawiny odłamków jest większe aniżeli nadzieja, że ten meteoryt nas ominie. Liczymy więc po prostu na to, że całą sprawę załatwi za nas ten wielki odkurzacz oczyszczający przestrzeń dookołaziemską, jakim jest wspomniany wcześniej Jowisz. Gdyby go nie było, mielibyśmy się znacznie gorzej.

— Czy istnieją jakieś statystyczne dane szacunkowe, określające, jak duże jest prawdopodobieństwo takiego trafienia? Czy poziom naszego zagrożenia przez meteoryty jest stały?

— Dzisiaj oblicza się, że wielkie katastrofy nie zdarzają się częściej aniżeli raz na trzydzieści milionów lat, z tym że obecnie jakikolwiek kataklizm — meteorologiczny, klimatyczny, nie mówiąc już o uderzeniach w powierzchnię globu meteorytów — musi być znacznie dotkliwszy niż przed wiekami. Po prostu dawniej ludzie mogli gdzieś uciekać, a teraz nie ma dokąd się udać, bo wszędzie jest tłoczno. Gdy wybuchała ongiś Etna, mieszkańcy okolicznych wiosek po prostu porywali ze stołów bochenki chleba i na krzywych nogach, uciekali gdzie pieprz rośnie. Obecnie zaś mieszkańcy delty Gangesu nie mają co ze sobą począć. Przecież nie schowają się w Himalajach. Rosnące zaludnienie globu bardzo utrudnia sytuację.

— Pan mówi o wielkich meteorytach, ale taki mały jak jabłko też może zabić.

— Ziemia przyjmuje w ciągu doby uderzenia setek małych meteorów, ale są one przeważnie na tyle nieduże, że spalają się w atmosferze.

— Ale jakaś ich część pewnie dociera do powierzchni globu. Czyli to prawda, co wyliczyli matematycy, że prawdopodobieństwo śmierci od uderzenia w głowę kawałkiem kosmicznego minerału jest już większe niż od przejechania samochodem?

— Tak, to prawda. Ale nie sądzę, aby to było prawdopodobieństwo dużo większe niż od uderzenia w głowę obluzowaną dachówką na krakowskiej starówce. Statystyki amerykańskie powiadają, że dawniej prawdopodobieństwo trafienia meteoru wielkości pięści na przykład w auto albo w człowieka było dość znikome, ponieważ ludzie byli cienką rzadzizną rozsypani po ziemi. Dzisiaj natomiast zaludnienie jest po stokroć gęstsze, a w megametropoliach siedzimy sobie piętrowo na głowach, więc szansa jest dużo większa. Na to nie ma żadnej rady.

— Uczeni od dawna ostrzegają nas przed skutkami zmian klimatycznych. Na ile poważnie należy traktować te prognozy?

— Świat pod wieloma względami staje się bardziej burzliwy niż dawniej. Również w sensie politycznym jest dziś niespokojniej niż w czasach, gdy istniał podział na Wschód i Zachód, ponieważ podział ten orientował świat tak, jak magnetyczne pole strzałki magnesu. Dziś jednak Ameryka musi stawić czoło zupełnie nowym problemom oprócz tych, które obserwujemy od paru miesięcy. Zostawmy jednak tym razem na boku politykę, bo jednym z poważnych wyzwań, jakie stoją przed USA, jest zbiorowa prognoza zapowiadająca olbrzymie zakłócenia atmosferyczne (m.in. cyklony i huragany), które pojawią się głównie na wybrzeżu atlantyckim. Obliczono, że w przyszłym roku należy spodziewać się strat rzędu stu pięćdziesięciu milionów dolarów, a na przybrzeżnych wyspach setek ofiar śmiertelnych. Nawiasem mówiąc, podobna sytuacja, tylko na znacznie mniejszą skalę, ma miejsce obecnie w Polsce. Myślę oczywiście o zjawiskach rozpętanego klimatu.

— Jakoś nie zauważyłem, by rząd USA specjalnie się tym przejął. Może uczeni przesadzają?

— Szkody ponoszone z tytułu zaburzeń klimatycznych należałoby zbilansować ze stratami, jakie mogłaby ponieść gospodarka USA, gdyby się zdecydowano na redukcje szkodliwych zanieczyszczeń przemysłowych. Jeżeli szaleje wielki pożar, lepiej nie dolewać benzyny do ognia. Bardzo trudno ocenić, co będzie kosztowniejsze. Zmierzyć prospektywne zaburzenia gospodarki, wywołane zmasowanymi i ślepymi atakami sił natury jest trudno, zwłaszcza że nie dysponujemy precyzyjnymi prognozami w zakresie synoptycznej prognostyki globalnej. Nie ma również indykatorów pozwalających na przewidywanie trendów i skali produkcji. Rozmaite wskaźniki giełdowe pokazują, że sytuacja nie jest dobra i łatwo może dojść do recesji i kryzysu. Niektórzy nawet mówią, że tkwimy w nich już po uszy. Decydenci mogliby jeszcze ewentualnie podjąć próby osłabienia procesów wzburzenia klimatycznego, ale nakłada się na to gwałtowny postęp technologiczny. Analogiczna sytuacja ma miejsce, gdy widząc małe dziecko, mamy przekonanie, że będzie ono tylko rosło i rosło. Tymczasem rozwój ma swoje zahamowania i nigdy nie przebiega liniowo.

— W 1984 roku brytyjscy uczeni z British Antarctic Survival odkryli dziurę ozonową i wszczęli alarm. Czy dzisiaj możemy już być pewni, że nie zagrozi ludzkości?

— Dziura ozonowa to nie jest oczko spuszczone na atmosferycznej pończosze. Ozon jest nam potrzebny ze względu na to, że bez niego w jono- i termosferze nie mogą zachodzić reakcje, które pochłaniają szkodliwe dla życia na Ziemi promienie ultrafioletowe. Nikt panu nie powie, czy tę dziurę da się opanować i ustabilizować. Nie wygląda mi jednak na to, bo ci, którzy mogliby coś w tej sprawie zrobić, czyli możni decydenci tacy jak na przykład prezydent Stanów Zjednoczonych, nie chcą robić nic. Oczywiście każdy jakoś się usprawiedliwia. George W. Bush

na przykład twierdzi, że w ten sposób ratuje potencjał ekonomiczny swojego kraju. A przecież wiadomo, że to właśnie wielki przemysł, na którym opiera się jego administracja, wymógł na nim, żeby zrezygnował z planów redukcji emisji spalin do atmosfery. Ta decyzja będzie miała groźne skutki, ale Stany są taką potęgą, że nikt rozsądnie myślący im się nie sprzeciwi.

— *Czy znaczne nasilenie się promieniowania ultrafioletowego, zapowiadane przez uczonych na najbliższe dziesięciolecia, zagraża naszej generacji czy dopiero naszym dzieciom albo wnukom?*

— Nie, bezpośrednio nam nie zagraża, bo zawsze możemy siedzieć w domu lub w piwnicy. Zagraża to jednak biosferze, powodując powolne zamieranie gatunków roślinnych, a potem zwierzęcych. Na nas przyjdzie kolej na ostatku.

— *Ostatnie prognozy uczonych zapowiadają koniec rybołówstwa. Z czego to wynika?*

— Głównie z przyrostu ludności, w wyniku którego zwiększają się połowy. Zapotrzebowanie ciągle rośnie i coraz trudniej je zaspokoić. Cały Ocean Lodowaty jest kompletnie zapaskudzony radioaktywnie przez wraki łodzi nuklearnych, a coraz większe zmiany klimatu powodują perturbacje prądów oceanicznych, które pociągają za sobą przesuwanie się granic zarybienia. Czy pan wie, że Japończycy — mimo zakazów — nadal łowią wieloryby? A przecież ilość rybiego mięsa w oceanach nie jest nieskończona.

— *Wygląda na to, że już moje pokolenie przestanie jeść ryby. Uczeni twierdzą, że to jest perspektywa najbliższych dwudziestu lat.*

— Na szczęście pozostaną wam jeszcze sardynki w oleju. (*śmiechy*)

— *Czytając o doświadczeniach nad żywnością, natknąłem się na opis przeszczepienia ziemniakowi genów flądry, odpornej, jak wiadomo, na zimno, w celu uzyskania mutacji*

kartofla dobrze znoszącego niskie temperatury. Inna próba polegała na usunięciu z orzeszków ziemnych składników alergizujących. To tylko dwa przykłady badań, na które przeznaczane są obecnie olbrzymie sumy pieniędzy. Czy obawy przed genetycznie zmodyfikowaną żywnością są według pana uzasadnione?

— Z doniesień fachowców wynika, że w 80–90% są one całkowicie bezpodstawne i tylko utrudniają zwiększenie produkcji żywności. Eksperymenty mają charakter globalny. Poszczególne przypadki wymagają naturalnie przeprowadzenia szczegółowych badań i ocen pod kątem użyteczności produktów. Nie możemy jednak oczekiwać, że poprawienie walorów smakowych kartofla przyniesie ludzkości jakieś wielkie korzyści.

— Przed laty, kiedy rozmawialiśmy o energetyce atomowej, tłumaczył mi pan, że lęki i strachy ludzi, którzy boją się energii atomowej, są dziecinadą. Później był Czarnobyl. Obecnie zaś znowu czytamy uspokajające wypowiedzi uczonych, że wśród pracowników elektrowni atomowych obserwuje się mniej zachorowań na raka niż w innych środowiskach. Na kilometr mi to zajeżdża propagandą.

— Lokalizacja zbiorowych strachów ludzkich jest zawsze silnie uzależniona od lokalizacji źródeł potencjalnych zagrożeń. To nie jest nic nowego. Często jednak w ogóle nie jest istotne, czy to zagrożenie jest realne, czy kompletnie wymyślone. Propagowano na przykład takie teorie, że w pobliżu central atomowych występuje większa zapadalność na białaczkę. Efektem tych legend jest tylko znaczny spadek cen gruntów w okolicach elektrowni atomowych. Strach ma wielkie oczy.

Istnieje na przykład przesąd, że nie można budować domów pod liniami wysokiego napięcia, tymczasem specjaliści tego nie potwierdzają. Mówi się też, że telefony komórkowe, ze względu na przepływ fal radiowych przez głowę, działają kancerogennie na mózg ludzki. Tymczasem

jedynym jak dotąd sprawdzalnym statystycznie zjawiskiem jest korelacja pomiędzy używaniem komórek w czasie prowadzenia samochodu a liczbą wypadków. W niektórych krajach słusznie więc wlepia się za to bardzo solidne mandaty, ponieważ człowiek nie potrafi robić zbyt wielu rzeczy naraz. Złośliwie mówiono na przykład o prezydencie Geraldzie Fordzie, że nie potrafił jednocześnie spacerować po pokoju i żuć gumy. (*śmiechy*) To jest naturalnie pewna przesada, ale widok ludzi, stojących na ulicy z komórką przy uchu w pozycji żony Lota jest nagminny. Nikt mi nie powie, że szofer, któremu żona zmywa telefonicznie głowę w czasie jazdy samochodem przez centrum miasta, jest w stanie uważać na przechodniów.

— *Ja dość długo broniłem się przed komórką, ale jak pan widzi, też się już poddałem. W efekcie ich umasowienia widać ogromne zmiany w zwyczajach na ulicach, w kinach i teatrach, na zebraniach biznesowych… A jaki będzie skutek wprowadzenia wideofonii komórkowej?*

— (*śmieje się*) No wiadomo: wielki przypływ ogólnego szczęścia. Dzięki Bogu ci, którzy będą go mieli za dużo, zawsze będą mogli ekranik zasłonić dużym palcem albo zalepić go kawałkiem plastra. Od umasowienia Internetu miał nastąpić powszechny wzrost poziomu wiedzy i wykształcenia, ale jak się okazuje, przygniatająca większość internautów używa go głównie do oglądania pornografii. Więc dość łatwo przewidzieć, do czego będzie służyć wideofonia komórkowa. W efekcie otrzymamy „Wielkiego Brata” w wydaniu globalnym. Ponieważ mamy do czynienia z tendencjami ogólnokretynizacyjnymi, w których *reality show* jest zaledwie drobną składową, więc dawki będzie się zwiększać i zaostrzać. To jest dopiero początek zmian.

— *W 1981 roku nie mieliśmy komputerów. Dzisiaj mamy je obaj i chyba trochę narzekamy.*

— Ja nie tak bardzo, bo oddelegowałem do tego swojego sekretarza, pana Wojciecha Zemka, który broni mnie

dzielnie przed informatyką własną piersią.

— No właśnie, a tymczasem na przedmieściach Meksyku widziałem niekończące się slumsy, gdzie ludzie nie mają nic — materace na gołej ziemi i parę garnków. Tworzy się cywilizacja à deux vitesses. Jednych będzie stać na nowe komputery, oprogramowania, dyski, szybkie łącza, miejsca na serwerach, a innych na nic. I tak powoli powstanie nowy „trzeci świat”?

— Tak, na pewno. Cóż ostatecznie wiedzą o komputerach Beduini, którzy siedzą pomiędzy jednym a drugim garbem dromadera na głuchej pustyni i żywią się jego mlekiem. Tymczasem użytkowników komputerów jest coraz więcej, sieci się zagęszczają, tworzy się nowa elita. W efekcie środowisko, w którym żyjemy, stanie się znacznie sprawniejsze od ludzi, którzy nie mają dostępu do technologii informatycznych. To bez wątpienia jeszcze bardziej pogłębi podział na bogatych i biednych.

— Już w tej chwili wyspecjalizowane służby są w stanie doskonale kontrolować, czym się zajmujemy. Im dalej, tym będzie gorzej — prześwietlą nasze pliki, skompaktują rozmowy, czujniki oplotą nas jak macki, a z czasem może nawet będziemy chodzili na laserowych smyczach, połączeni systemem centralnego sterowania z satelitów. (*po namyśle*) *Co ja mówię, już chodzą — każdy pluton komandosów amerykańskich w Afganistanie miał przynajmniej jeden GPS.*

— Opisałem już tę sytuację w *Wizji lokalnej*. Wszystkim będzie kierował jakiś automatyczny Nikt, który uniemożliwi nam na przykład wjechanie samochodem na skrzyżowanie na czerwonym świetle, przekraczanie ciągłej linii podczas wyprzedzania, zatrzyma nam pojazd pod znakiem zakazu i wyłączy silnik, gdy usiądziemy za kierownicą po pijanemu. Takich czujników będzie wokół nas kilkanaście bilionów, kontrolować je będzie system transponderów, a cały glob ziemski obmacywać będzie *global positioning system*. I tak dojdziemy do sytuacji z porzekadła: *quis custodiet ipsos*

custodes. Ja nawet nie bardzo w tej chwili żartuję, bo to jest sytuacja, w której następować będzie stopniowe ubezwłasnowolnienie człowieka, który dostanie się pod opiekę bezosobowych kontrolerów. Nie będzie pan przecież mógł dyskutować z siecią, która zredukuje panu szybkość samochodu w terenie zabudowanym w momencie, gdy musi pan na przykład jechać jak najprędzej, bo akurat umiera panu żona. Niech pan to wytłumaczy mikrokomputerowi pokładowemu, zamontowanemu pod tablicą rozdzielczą! Nic z tych rzeczy. Ja nie mówię, że to się na pewno stanie, ale wyhamować tego typu trendy cywilizacyjne będzie coraz trudniej.

— *Kiedy czasem zastanawiam się nad przyszłością Internetu, dochodzę do wniosku, że on będzie działał właśnie na tej zasadzie. Niczym to się zresztą nie różni od idei pańskich bystrów czy etykosfery, bo człowiek, który będzie na takiej „smyczy" informatycznej, nie zagubi się na przykład w obszarze klęski żywiołowej lub działań wojennych, a jeśli nawet mu się to zdarzy, łatwo będzie go można odnaleźć; kiedy dostanie na ulicy zawału lub wylewu, czujniki natychmiast wyślą informację do sieci… i po chwili znajdzie się w szpitalu. Na pewno dzięki takiemu systemowi będzie można zapobiegać przestępstwom. Nie mówię już o oczywistościach czyli na przykład możliwości porozumiewania się z urządzeniami (na przykład programowaniu za pomocą głosu ekspresu do kawy czy mikrofalówki, włączaniu oświetlenia, uruchamianiu alarmu).*

— Taka wizja rzeczywiście nie jest specjalnie odległa od tego, co opisałem w *Wizji lokalnej*. Etykosfera w moim wyobrażeniu nie jest bowiem jakimś wyższym rozumem, zdolnym pojąć wszystko, lecz systemem zorientowanych na ludzi mikroskopijnych urządzeń, mających optymalizować ich egzystencję. Pod ich nadzorem niełatwo będzie umrzeć, bo w konających natychmiast tłoczone będą przez odpowiednie automaty różne życiodajne substancje.

— Pana zawsze intrygowała kwestia, jak założyć ludzkości kaftan bezpieczeństwa, ale jej nie zniewolić. To jest rzeczywiście poważny problem, bo od takiej opiekuńczości bardzo łatwo przejść do totalnej kontroli. Z inżynierią społeczną bowiem jest tak, że jak już pójdzie się w złym kierunku, to trudno będzie zawrócić.

— Generalnie pytanie brzmi następująco: czy można w ogóle kierować ewolucją takiego systemu? Można, ale nie dowolnie. Da się bowiem wyhodować różne odmiany zboża jarego czy ozimego, ale nie można sprawić, żeby z ich kłosów wysypywały się dynie. Kiedy zatem uruchamia się pewien proces, nadaje mu się autonomię o nieznanych z góry granicach. Poza tym jest druga, równie poważna kwestia: cywilizacji nie da się już zawrócić z raz obranego kierunku. Każdy typ powszechnej kontroli łatwo więc może przyjąć formy totalitarne, a nawet ludobójcze.

— Ostatnio, w związku z awanturami antyglobalistów, rozpętała się dyskusja na temat nowych form ulicznego terroryzmu i przyszłości demokracji. Jak pana zdaniem powinny zachowywać się rządy Unii Europejskiej wobec tych ruchów?

— Gdy jeszcze istniała granica między NRD a RFN, byłem świadkiem niewielkiej manifestacji pokojowej w Berlinie. Pewnie wszystko skończyłoby się na kilku koktajlach Mołotowa, ale niestety jeden z manifestantów wskoczył na przedni zderzak armatki wodnej, ześlizgnął się i wpadł pod koła pojazdu. Oczywiście zginął na miejscu, bo to była duża i ciężka maszyna. Widziałem to z hotelowego okna na szesnastym piętrze, więc mogę zaręczyć, że kierowca był całkowicie niewinny. Trudno jednak sobie wyobrazić, co się rozpętało w mieście po tym zdarzeniu. Najpierw tysiące ludzi chodziło po ulicach z zapalonymi świecami, a potem zaczęło się podpalanie samochodów i dewastowanie sklepów. Ludzie w zbiorowym szale, zgodnie z tym, co napisał Gustave Le Bon w *Psychologii tłumu*, są w stanie istotnie zrobić wszystko.

Aby uspokoić wzburzone emocje, w telewizji wystąpili burmistrz i szef policji, zaklinając się, że będzie miało miejsce porządne śledztwo, ale te zapewnienia bynajmniej nie powstrzymały agresji młodych ludzi. Kamienie leciały jak grad.

Kiedy następnego dnia wracałem około pierwszej w nocy od — mieszkających w centrum — znajomych przez Kurfürstendamm, zauważyłem, że dzielni młodzieńcy niemieccy rozbijają szyby wystawowe i samochodowe wzdłuż całej ulicy. Aby było łatwiej, dziewczęta ciągnęły za nimi wózki, załadowane dużymi kamieniami i płytami chodnikowymi. Widząc to, nie zważałem już na przepisy ruchu drogowego, przejechałem przez pas zieleni i uciekłem.

W takich krytycznych momentach rządy muszą sobie jednak zdać sprawę z tego, że albo jest władza, albo jej nie ma. Słaby rząd jest w takiej sytuacji tak samo zły, jak totalitarny. Trzeba sobie uświadomić, że grozi nam sytuacja analogiczna do tych, jakie znamy z filmów z Jamesem Bondem, gdy podczas karnawału w Rio przez roztańczony tłum ucieka człowiek, za którym gonią uzbrojeni mordercy, ale nikt tego nie dostrzega, bo nawet najstraszliwsze wrzaski o pomoc nie interesują tłumu, który bawi się i tańczy.

Powiem panu, że demokracja, w której agresywne grupy ekstremistów mogą sparaliżować życie kraju, w ogóle mi się nie podoba. Uczestnicy takich manifestacji nie mogą czuć się bezkarni, a państwo nie powinno przypominać trupa szarpanego za nogi. Strach przed „uszkodzeniem” pojedynczych osób jest oczywiście zasadny, ale tylko pod warunkiem, że nie narażają się one same, choćby w taki sposób, jak wspomniany chłopak. W obliczu podobnych wydarzeń trudno mi nie zgodzić się ze zdaniem naszego klasyka: „Gwałt niech się gwałtem odciska”. Tym bardziej że amerykańscy analitycy twierdzą, że terroryzm zbiorowy jest w dużym stopniu terroryzmem dla terroryzmu, a nie

ruchem szlachetnie usposobionych jednostek, pragnących za wszelką cenę poświęcać się dla ludzkości. Gdyby tak było, leprozoria całego świata powinny być wypełnione tą energiczną młodzieżą.

— *Antyglobaliści twierdzą jednak uparcie, że działają w obronie społeczeństwa demokratycznego.*

— Wystąpienia przeciwko globalizacji są tak samo głupie jak masowe protesty przeciwko ruchom chmur. Pewne tendencje światowe są nieodwracalne i żadnymi koktajlami Mołotowa się ich nie zatrzyma. To, że jedni stają się bogatsi, a drudzy biedniejsi, jest prawdą, ale nie zgadzam się na to, żeby mechanizmy, umożliwiające poprawę sytuacji oraz akcentowanie różnic poglądów, były uruchamiane za pomocą granatów, bomb i płyt chodnikowych.

— *Czyli uważa pan, że policja powinna w takich wypadkach strzelać?*

— W Berlinie przedstawiciele demonstrantów oburzali się na policję, która śmiała być niezadowolona z tego, że została obrzucona płytami chodnikowymi. (*śmiechy*) Ale poważnie… Z reguły ofiar po jednej i po drugiej stronie jest tyle samo. Choć naturalnie łatwiej zauważana jest restrykcyjność działań policji, to jedni i drudzy napędzają mechanizm zniszczenia, krzywdząc się wzajemnie. Oczywiście, dostrzegam nienawiść i agresję, z jaką człowiek występuje przeciwko drugiemu człowiekowi. Dlatego nawet jestem zdziwiony, że izraelska policja wciąż jeszcze strzela gumowymi kulami, choć nie zaskoczyłoby mnie, gdyby któregoś dnia armia wjechała czołgami na tereny Autonomii[10]. Zjawiska, o których rozmawiamy, są wyrazem nastrojów zbiorowych indukowanych w społecznościach, mających poczucie przejściowości etapu, na jakim się znajdują.

— *Wróćmy może do spraw związanych z cywilizacją techniczną, choć właśnie okazało się, jak ściśle jest ona*

związana z problemami demokracji i sprawowania władzy. Czy prawdziwy jest pana zdaniem pogląd, że największymi dokonaniami nauki XX wieku była rewolucja kwantowa, molekularna oraz komputerowa i one właśnie stanowią fundament przemian w XXI wieku?

— Niby tak, ale to jest szalenie ogólnikowe stwierdzenie. Studiowałem pod tym kątem podręczniki inżynierii kwantowej, ale wydają mi się tak głęboko zanurzone w marzeniach fizyków, że trudno je traktować z pełnym zaufaniem. Na przykład, jeśli chodzi o prognozowane wzrosty mocy obliczeniowej komputerów, to one rzeczywiście są wykładnicze, ale ja nie wierzę, żeby w wyniku tego procesu powstała „sztuczna inteligencja". Dostałem ostatnio gruby rocznik *Prac kognitywistycznych* na temat jej wykorzystywania do suszenia cebuli. No i co ja mam na to powiedzieć?

— *A ja wierzę. Interaktywność w porozumiewaniu się z komputerami jest już nawet teraz dość daleko posunięta: komputer rozpoznaje miejsce, w którym się znajduje, rejestruje zmiany naszego położenia. Mało tego, on jest w stanie „widzieć" ruchy naszych rąk, skrzywienia warg i policzków, a zatem możemy komunikować mu nasze stany i emocje, a on to „rozumie".*

— Nie bardzo w to wierzę.

— *Dlaczego? Dzięki fizjonomistyce rozpoznaje nasz uśmiech, grymasy gniewu, wzruszenia, lęku. To się już robi doświadczalnie w Massachusetts Institute of Technology.*

— (*sceptycznie*) Ale niczym pan komputera nie rozbawi ani nie przestraszy. Kiedy zaś zacznie go pan rozbijać kilofem, nawet nie krzyknie „ratunku", bo w ogóle nic z tego nie zrozumie.

— *Zgoda, ale zareaguje na nasze stany. To jest duży krok do przodu w kierunku wzajemnej komunikacji.*

— Byle pinczer wie to lepiej, bo już nawet po zapachu poczuje, jak człowiek jest do niego nastawiony. Pewnie pan wie, że w przestrachu wydzielamy zupełnie inną woń niż

wtedy, gdy jesteśmy do stworzenia nastawieni przyjaźnie. Dzięki temu żadnych wilczurów się nie boję, bo je strasznie lubię, a one to czują.

— *No, na tym to się można zdrowo przejechać, jak moja córeczka, która została okropnie zmasakrowana przez psa.*

— Toteż nie przenoszę już tego na tygrysy i na lwy. To mi skądinąd przypomina historię poety Arnolda Słuckiego, podczas zesłania na Syberii wędrował czterdzieści wiorst do fryzjera, gdy nagle napatoczył mu się szakal. On myślał, że to pies, więc chciał go pogłaskać, lecz został pokąsany, co przypłacił takim zakażeniem, że omal się nie pożegnał ze światem. Na świecie dzieją się rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

— *No, dzieją się. Kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz ze sobą, komputerów jeszcze nie mieliśmy, a mózg elektronowy, który widziałem w Instytucie Metod Numerycznych, zajmował całe piętro. Dziś obaj posługujemy się komputerami na co dzień i nie zajmują nam więcej miejsca niż maszyny do pisania. Dokonał się więc ogromny postęp wiedzy.*

— W pewnym sensie tak, ale w innym nie. Istnieje rzeczywiście szansa, że komputery, które dziś kosztują dwa-trzy miliony dolarów, za dwadzieścia lat staną się tanie jak barszcz i będą pracować nie tylko znacznie szybciej, ale również w sposób równoległy, czyli lepiej niż Deep Blue, który dał mata Garii Kasparowowi. Są też optymiści, którzy wierzą, że dzięki opasaniu całego globu ziemskiego gęstą siatką mikrometeostacji przewidywanie pogody będzie znacznie bardziej precyzyjne niż obecnie. Ale to wcale nie jest takie pewne. Po wojnie zdobyliśmy już świadomość, że wiele zjawisk i nieszczęść pozostaje do końca nie rozpoznanych i niepewnych.

— *Prawdziwą rewolucją, moim zdaniem, będzie moment, gdy komputery zaczną uczyć inne komputery. Wtedy ziści się pana marzenie o „sztucznej inteligencji” i „hodowli informacji”.*

— To jest prawdopodobne, ale na razie do tego nie doszliśmy. Owszem, można wyjąć pamięć z jednego komputera i przepisać ją na inny twardy dysk, ale nie ma to nic wspólnego z nauką. Jeśli mamy nauczyciela, który przekazuje uczniowi zespół algorytmów, ucząc go tabliczki mnożenia, i komputer, który przepisuje ze swojego dysku drugiemu komputerowi zawartość *Encyclopedia Britannica*, to w pierwszym przypadku uczeń musi zrozumieć, co przekazuje mu nauczyciel, w drugim zaś nie ma mowy ani o rozumieniu, ani tym bardziej o uczeniu. Od „hodowli informacji", o jakiej pisałem w *Summa technologiae,* jesteśmy jeszcze daleko.

— We francuskiej gazecie z 1896 roku widziałem rysunek, przypominający malarstwo Boscha. Przedstawiał roboty ciągnące pługi i brony po polu. Zdaje się, że dziś nie jesteśmy specjalnie daleko od tej perspektywy. Niedawno na lotnisku we Frankfurcie widziałem w akcji automat wykrywający i niszczący ładunki wybuchowe. W większości hal sportowych krajów wysoko rozwiniętych stoją urządzenia, które nagrywają piłki tenisistom oraz siatkarzom. Doczekaliśmy się także tak zwanych „manów", czyli robotów, które testują w wysokich temperaturach stroje strażaków. Czy nie sądzi pan, że w dziedzinie robotyzacji posunęliśmy się bardzo daleko?

— W moim pokoju jest jej niewiele, ale na świecie jest kilkadziesiąt milionów takich urządzeń. Jesteśmy nimi wręcz otoczeni, ale nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. U nas w kuchni na przykład stoi czajnik, który się wyłącza, gdy zagotuje się w nim woda. Albo żelazko, które pozostawione na spodniach, odcina dopływ prądu lub staje na sztorc, gdy się za bardzo nagrzeje. Są zresztą różnego rodzaju pisma, które reklamują takie gadżety, na przykład amerykańskie „Technology". Nie jest to wbrew pozorom bagatelna sprawa! Nie można jednak korzystać ze wszystkiego, bo to jest niemożliwe.

— Dlaczego podchodzi pan do tych urządzeń z takim dystansem?

— Bo wszystkie mają bardzo wąski zakres działania. Na przykład wentylator może nam napędzić sporo świeżego powietrza, ale niestety kawy już nie zaparzy. Nie ma jeszcze takiej ilości poszczególnych urządzeń tego typu, których wspólna wypadkowa byłaby jakąś postacią inteligencji.

— Są jednak roboty, które potrafią coraz więcej. Kogo jak kogo, ale pana powinno to cieszyć. Pojawiła się już generacja automatów, wyprodukowanych na uniwersytecie w Reading, takich jak Elma, która chodzi jak pies i wyciąga wnioski ze swoich upadków. Są już samouczące się roboty z prototypowej serii Siedmiu Karłów, które potrafią korygować swoje błędy i udzielać sobie wzajemnie rad, w jaki sposób omijać przedmioty. Jedno z muzeów w Los Angeles jest nawet pilnowane przez robota Cybermotion SR2, który zdaniem dyrekcji, jest sprawniejszy niż pies.

— Tak, ma pan rację, ale daleko im jeszcze do doskonałości, bo wciąż nie są wielofunkcyjne. Każdy średnio wytresowany pies potrafi robić rzeczy, jakich żaden komputer nie wykona, choćby przepalił sobie z wysiłku obwody.

— Tydzień temu w „Życiu" czytałem spory artykuł na temat nanorobotyzacji. Jego autor przedstawia w nim wizję technologii medycznej, która wprowadzi nam do żył mikroskopijne „łodzie podwodne" do rozbijania zatorów naczyniowych. Co sądzi pan o takim pomyśle?

— To pomysł jak ze starych filmów science fiction. To jakaś dziecinada z tą flotyllą łodzi podwodnych, wyruszających do boju z zatorami. A może molekuły na atomowych rowerach będą gnały za bakteriami? Te analogie są tyle samo warte, ile twierdzenie, że czerwone ciałka krwi to rodzaj dysków.

Ci, którzy tak dużo mówią dziś o nanotechnologii, nie biorą pod uwagę tego, że — jak na razie — najlepszymi przykładami naturalnej ewolucji nanotechnologicznej są

ludzie. Nie wiem, czy widział pan, jak wyglądają pod mikroskopem elektronowym wirusy? Nawet najmniejsze i najprostsze przypominają stołki o trzech nogach. Każda z nich ma swoją funkcję. Taki wirus nie jest oczywiście żywy, ale kiedy wniknie do organizmu, potrafi wkraść się do odpowiednich komórek i wytworzyć wirion w spirali nukleotydowej, po czym na określony sygnał uruchamia się i przestawia zwrotnice procesów metabolizmu komórkowego tak, że zniewolona komórka zaczyna produkować olbrzymią ilość tożsamych kopii tego wirusa. To jest dopiero technologia, a nie jakieś tam prymitywne „łodzie podwodne".

— *Pan obśmiewa te nanoroboty naczyniowe, a to są przecież urządzenia, które mogą zrewolucjonizować kardiochirurgię. Widziałem fotografię jednego z nich. Jest to rodzaj maleńkiego, pływającego świdra o średnicy mniejszej niż milimetr. Jeśli nauczymy się nimi sterować, wyeliminują by-passy.*

— (*powątpiewająco*) Najpierw trzeba by wiedzieć, gdzie są złogi w tętnicach.

— *O ile mi wiadomo, istnieje już technologia pozwalająca rozpoznać, w którym miejscu układ krwionośny jest zatkany.*

— Ja nie przeczę, że to może być pożyteczne, tylko tłumaczę panu, że istnieją rozmaite związki molekularne, które potrafią się nawet rozmnażać, tylko nie udało się jeszcze zespolić tej zdolności z takim działaniem wewnątrz organizmu, które przynosiłoby mu jakąś korzyść. Niech pan sobie wyobrazi takie molektroniczne roboty, które będą oczyszczały starców z plam barwnikowych lub złogów w arteriach. Na pewno byłyby efektywniejsze.

Oczywiście, trudno orzec, co będzie za piętnaście lat, bo postawiono już w stan gotowości rzeczywiście olbrzymie siły wytwórcze. Pewnego dnia może się okazać, że również te molektroniczne roboty zostaną zastąpione przez jeszcze prostsze metody. Eksperymenty mogą przecież

skoncentrować się na przykład na założeniach konstrukcyjnych w rozwijających się embrionach i prowadzić do tego, by u schyłku życia człowieka w ogóle nie pojawiły się takie patologiczne objawy, jak na przykład powstawanie złogów, amyloidozy mózgu czy uszkodzenia włókien nerwowych. Do tego samego celu można dochodzić różnymi drogami.

— Przed laty sporo rozmawialiśmy na temat książek i przyszłości piśmiennictwa. Uważał pan wówczas, że książka nie przegra z elektroniką i zawsze będzie miała swoich wiernych czytelników. Przyznam, że kiedy zobaczyłem ostatnio projekt czytnika, który zwija się jak folia, nic nie waży i pozwala na przeglądanie zbiorów każdej z księgarń i bibliotek świata, pomyślałem, że to jest jednak podzwonne dla książek.

— Oczywiście, że tak. Ale dla mnie podejście do księgozbioru, wyjęcie z niego *The History of Western Philosophy* Russella i czytanie o świętym Tomaszu jest jednak czymś zupełnie innym niż automatyczne wychwytywanie tekstów przez wyszukiwarkę i wprowadzanie ich na giętką folię. Rzeczywiście, wszystko, co jest zawarte w tych stosach książek w moim pokoju, można już teraz wsadzić do jednego pudełka. Ale czy to jest mi do czegokolwiek potrzebne?

— Oj, nie widzę coś u pana szacunku dla tego typu „high technology".

— Bo mi nie imponuje.

— Ale dawniej imponowała... W „Powrocie z gwiazd" jest scena, gdy bohater wkłada miniaturowy kryształek, na którym mieści się cała bodaj „Encyclopedia Britannica", do czytnika. Wygląda na to, że idziemy w innym kierunku: nie trzeba gromadzić w domu zwałów chipowych kryształków, wystarczy „odpalić" komputer i wejść do sieci internetowej. Pan prognozował zatem postępy miniaturyzacji, tymczasem powstała sieć.

— To proszę wrócić do *Obłoku Magellana*. Tam ten pomysł nazywa się triony. A tak w ogóle, to panu powiem, że miniaturyzacja została zrealizowana już za czasów prekambryjskich, gdy pojawiły się pierwsze wielokomórkowce. Każda niewidzialna gołym okiem komórka zawiera w sobie tak zwany cytoszkielet, w którym są mitochondria, jądro i cała masa różnych przekaźników. Nieżyjący już prof. Jan Dembowski napisał kiedyś książkę o pantofelku pod tytułem *Historia naturalna jednego pierwotniaka*. Proszę sobie wyobrazić, że takiego jednokomórkowca można wyuczyć odruchów warunkowych. Miniaturyzacja to zatem stare dzieje, a natura to wciąż jeszcze niedościgniony mistrz.

— *Nie rozumiem, jaki to ma związek z książkami?*

— To całkiem proste. Żadne miniaturyzacje i giętkie folie nie skokietują kogoś takiego jak ja, kto woli prawdziwą książkę. Dla mnie to są takie same pokusy jak te plastikowe lalki naturalnej wielkości, które dają złudzenie dotykania ludzkiej skóry, mają wszystkie otwory do współżycia seksualnego, a na dodatek mówią czułym głosem. To nawet tak dużo nie kosztuje…

Przypomina mi to opowiadanie Stefana Grabińskiego z 1919 roku pod tytułem *Kochanka Szamoty*, mówiące o śmierci nałożnicy bohatera, która jawi mu się w ciemnościach. On, nie mogąc znaleźć jej twarzy, rozrzuca prześcieradła i znajduje nagi kobiecy tors, a dokładniej mówiąc, jego dolną połowę, która jest potrzebna do kopulacji. Jak się łatwo domyślić, ucieka w szale trwogi. Mnie się taka plastikowa przyszłość nie podoba. Nigdy nie uprawiałem promiskuityzmu, bo mi na tym nie zależało, ale są tacy, którzy upatrują w tym cel życia. Wie pan, *de gustibus non est disputandum*. Ja jestem staroświecki, proszę pana.

— (*ze śmiechem*) *Ale ja pana wcale nie namawiam na seks z manekinem! Po prostu widzę, że moje dzieci i pana wnuczka nie wybiorą już książki, ale zwijany rulon-*

komputer. Zresztą nawet dzisiaj w bibliotece starodruków nie dostajemy do ręki inkunabułów, tylko mikrofisze. Wkrótce one będą miały rozdzielczość lepszą niż oryginały.

— Ale to są rzeczy specjalne. U mnie w rodzinie zaś nową książkę natychmiast się otwiera i wącha.

— Ja również wącham. To się jednak musi zmieniać. Moi dziadkowie każdego dnia o świcie oporządzali zwierzęta gospodarskie. Moje córki zaś jeszcze niedawno były przekonane, że jajka robi się w fabryce. Jak zobaczyły kurę i dowiedziały się, do czego „służy", były zbulwersowane.

— Pewne nawyki miną, oczywiście, ale trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś wącha płachtę plastiku. Co się stało ze słownictwem hippologicznym? Czy pan wie, co to znaczy, że koń strychuje? To znaczy, że obija sobie kostki w czasie kłusa. To jest poważna wada, a konie mają ich tysiące, co w hippice jest rzeczą podstawową. A teraz? Pan ma rację, widok konia jest już rzadkością. Zmieniają się całe olbrzymie połacie słownictwa. Na przykład: „Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa"... Moja wnuczka ma już trudności ze zrozumieniem tego pięknego wiersza, bo takich lokomotyw już nie ma.

— Jak pan wie, raz w roku jestem zapraszany do Francji, gdzie współuczestniczę w międzynarodowym projekcie nauczania na odległość: wykłady nagrywa się na taśmach numerycznych lub CD-ROM-ach, które rozsyła się studentom mieszkającym w najodleglejszych departamentach Francji i Belgii. To wszystko jest jeszcze w powijakach, ale jasno wskazuje na przyszłość systemu edukacyjnego. Student nie będzie się ruszał z domu, tylko otrzyma CD lub połączy się z portalem internetowym. Jak pan spogląda na tę, nieodległą już, perspektywę?

— Rozumiem wprawdzie, że to jest nieuchronne, ale jestem absolutnym przeciwnikiem takiego systemu.

— Ze względu na brak osobistego kontaktu z profesorem lub asystentem?

— Oczywiście. Czy wie pan, co to jest *Körpersprache*? Każdy człowiek, który z kimś rozmawia, zwłaszcza z osobą znajomą, wykonuje pewne ruchy, które są „akompaniamentem” jego słów. Dzieje się to nawet przy rozmowie telefonicznej, choć tych ruchów nie widzimy. Poza tym kolosalne znaczenie ma (w irracjonalny zresztą sposób) osobowość wykładowcy, i nie zmienia tego fakt, że genialni uczeni często bywają bardzo złymi wykładowcami, a przeciętni — genialnymi. Indywidualny kontakt ludzki jest bardzo potrzebny. Nie będzie dla nas korzystne, gdy wszyscy zostaniemy owinięci w elektroniczne kokony. Gdybym się trochę wysilił, wskazałbym panu strony moich książek, na których już dawno wszystko to opisałem i skrytykowałem.

— *Więc uważa pan, że jeśli będziemy kontaktowali się ze sobą „ekranem w ekran”, to nie będzie to samo, co twarzą w twarz?*

— Tak, na pewno, prędzej czy później wywoła to poważne uszkodzenia osobowości.

— *Jeżeli wzajemnie siebie widzimy i słyszymy, to w zasadzie nic więcej nie jest nam potrzebne. Oczywiście inaczej jest z kochankami, którzy muszą siebie dotykać lub z typami, którzy potrzebują komuś obić mordę. Ale w procesie kształcenia, jak się zdaje, ani jedno, ani drugie nie jest potrzebne.*

— Nic, poza autentycznością drugiej osoby.

— *Ale to przecież można uzyskać za pomocą trójwymiarowej projekcji holograficznej, takiej jak w realu w „Powrocie z gwiazd”.*

— Wtedy rzeczywiście będzie to już problematyczne, bo pojawi się nieodróżnialność charakterystyczna dla fantomatyki. Granica pomiędzy tym, co naturalne, a tym, co sztuczne, faktycznie wtedy zacznie zanikać. Iluzja senna, jak wiadomo, udaje jawę w tak wspaniały sposób, że śniący nie jest w stanie rozpoznać, czy śpi, czy jest na jawie. Tak, to już jest bliskie. (*wzdychając, z zadumą*) A jeszcze tak

niedawno Leszek Kołakowski przed perspektywą fantomatyki bronił się rękami i nogami…

— *Człowiek coraz silniej będzie tkwił w świecie wirtualnym. Dziś w celu dokonania operacji finansowej na swoim koncie nie musimy wychodzić z domu, bo posługujemy się wirtualną kartą bankową, a zatem taką, której nie ma. A zbliża się moment, gdy nasze receptory będą podłączane do portów elektronicznych. Wtedy świat wirtualny stanie się dla nas tak samo realny jak jawa.*

— Już dziewięć lat temu pisałem o doświadczeniach, w których uczestnicy eksperymentu prowadzili wirtualny samochód, dzięki czemu mogli dokonywać niebezpiecznych ewolucji akrobatycznych. Po zakończeniu sesji, każdy z uczestników eksperymentu otrzymywał zakaz prowadzenia auta przez co najmniej godzinę, by się przyzwyczaił do jawy i przeszedł ze świata wirtualnego w świat realny. W rzeczywistości wirtualnej bowiem nie mógł nikomu wyrządzić krzywdy, w świecie realnym natomiast — tak. To wszystko świadczy o tym, że iluzja realności tak dokładnie nakładała się w recepcji badanych na rzeczywistość, iż uczeni musieli wprowadzić specjalne reguły rozróżniania i ostrzegania. Nie trzeba zresztą eksperymentów, wystarczy na przykład widok dworcowych hal kolejowych z salami gier, gdzie młodzi ludzie siedzą z głowami w budkach i rękami na *joystickach*, rozgrywając z ogromnym zaangażowaniem jakieś gry. Domyślam się, że oni są tam niemalże jak na jawie.

— *Czy badano w tym eksperymencie, o którym pan mówił, również reaktywność seksualną?*

— To jedno z pierwszych pytań, które dziennikarze zadali po skończonym projekcie: czy można uprawiać seks z komputerem? No więc można, ale porozmawiać z nim ciekawie nie można, bo nie posiada rozumu. Mówiąc brutalnie — łatwiej naśladować dupę, aniżeli ludzki umysł. Między dupą a duszą istnieje większa różnica niż tylko jednej głoski.

— Ale chyba nie ma pan złudzeń, że jesteśmy już bardzo bliscy wizji świata, w którym ludzie, podłączeni do swoich prywatnych komputerów i kasków, przestaną wychodzić z domów, symulując jedynie własne życie, które stanie się sztuczne i wirtualne. Tym samym zbliżymy się do modelu inżynierii społecznej.

— Zważywszy na to, że przed panem jest jeszcze wiele lat życia, a moje dobiega już końca, pan powinien bardziej ode mnie ubolewać nad obecnym stanem rzeczy! Mnie na przykład ogarnia żal, że w zimie nie mogę wsiąść do sań zaprzężonych w konia, okrytego skórzaną derką, spod której wyłania się jego zad. Rozumiem oczywiście, że nowoczesny, wszędobylski jeep jest znacznie sprawniejszy, ale to nie to samo. Na pytanie, czy wolisz mieć romans z uroczą żywą kobietą, czy z jej cudowną kopią, którą można rozpoznać po pieczątce na pośladku: „*Made in*...”, prawie każdy odpowie, że wybrałby tę pierwszą. Prawie każdy.

— Świat jednak wciąż ulega zmianie. Gdyby mnie pan zapytał, czy wolę wycieczkę w góry, czy pogrążenie się w monitorze w zaciszu domowym, ciągle jeszcze wybrałbym góry. Kiedy jednak proponuję mojemu synowi wspólną wyprawę, odpowiada mi, że woli spędzić czas przed komputerem, gdzie odbywa fikcyjne podróże bez konieczności zmiany miejsca.

— Powinien więc pan mu uświadomić, że jeżeli nadal będzie prowadził tak bierny tryb życia, to w niedalekiej przyszłości komputer „przyklei mu się do mózgu”, a on straci kontakt z rzeczywistością. Jesteśmy przecież tak skonstruowani, że bez odpowiedniej dawki ruchu żyjemy krócej. Ja każdej nocy poświęcam piętnaście minut na gimnastykę i właśnie dzięki temu siedzę tutaj z panem i rozmawiam.

— Niestety mój syn należy do generacji, która nie chce słuchać żadnych przestróg ani rad. Proces wirtualizacji życia rozpoczął się już na dobre.

— Trudno. Ja zaś od kilku miesięcy w ogóle przestałem włączać telewizor. Już mnie nie interesuje, co mają mi do przekazania.

— *Rozmawiając z panem, nie sposób ominąć kwestii eksploracji kosmosu. Spora część pana twórczości poświęcona została analizie różnych wariantów nieudanego kontaktu człowieka z pozaziemską inteligencją. Podejrzewam, że gdyby dziś pisał pan powieść na temat eksploracji kosmosu w poszukiwaniu innej cywilizacji, bohaterowie nie spotkaliby nikogo. Bo pan już w taką możliwość po prostu nie wierzy, prawda?*

— Rzeczywiście, nie biorę już takiej możliwości pod uwagę. Nawet jeden z najwybitniejszych astronomów świata, prof. Josif Samuiłowicz Szkłowski, też w którymś momencie zmienił zdanie na ten temat. Niestety umarł, zanim zdążyłem go zapytać: dlaczego?

Kiedy dziś rano żona zapytała mnie: „Dlaczego jesteś taki markotny?”, odpowiedziałem: „Bo czuję się kosmicznym sierotą”. Pewnie zastanawia się pan, dlaczego? Otóż w książce, którą wczoraj czytałem, *Rare Earth: why Complex Life Is Uncommon in The Universe*, napisanej przez dwóch wybitnych uczonych, Petera Warda (paleontologa-geologa) i Donalda Brownlee (astronoma), weryfikowano koncepcję możliwości istnienia wielu zamieszkanych światów. Według autorów, nigdzie w całej naszej Galaktyce, liczącej dwieście kilkadziesiąt milionów gwiazd, nie ma życia. Jeżeli zaś jest, to może dotyczyć wyłącznie bakterii. Na Ziemi egzystowały one ponad dwa biliony lat, a wielokomórkowce rozwijały się przez czterysta pięćdziesiąt milionów lat począwszy od kambru. Ilość warunków koniecznych do tego, ażeby życie mogło „wyskoczyć w górę”, jest tak astronomiczna, że nawet szkoda nad tym spekulować. Niemiłe jest uczucie, że jesteśmy sami we wszechświecie…

— *Jakoś nie doznaję od tego metafizycznego wstrząsu. Dlaczego to jest dla pana takie przykre?*

— Choćby ze względu na to, że nie dysponujemy żadną krzywą dystrybucji i rozkładu, która mogłaby dać obraz naszej wartości. Nie jesteśmy najgorsi, bo prawdopodobnie jesteśmy jedyni we Wszechświecie i to jest bardzo smutne. Moje poczucie samotności i gorycz stają się jednak tym większe, im więcej pokazują nam idiotycznych filmów amerykańskich, opowiadających o nieustannych spotkaniach zbrojnych Ziemian z jakimiś istotami, które nie wiadomo skąd się wzięły.

— Ja wiem doskonale, że na temat wypraw kosmicznych ma pan poglądy sceptyczne. Ale od dwóch lat w NASA mówi się coraz poważniej o perspektywie podróży na Marsa. I to nie są żadne mrzonki, bo prace nad ekspedycją już ruszyły. Co pan na to?

— Proszę pana, ale co my z tego możemy mieć? Mars nie ma pola magnetycznego, a zatem nie posiada ochrony mikrosfery, w rodzaju pasów van Allena. W praktyce oznacza to, że dłuższy pobyt na tej planecie jest dla człowieka śmiertelnie niebezpieczny, bo przecież sztucznej magnetosfery pan mu nie stworzy!

— Tacy głupi to oni w NASA nie są. Amerykanie chcą tam nie tylko polecieć, ale również kombinują, jak się osiedlić.

— Aby z Marsa uczynić planetę mieszkalną, nie wystarczy cały wielodekadowy produkt ziemski! Kropka! To są chore mrzonki ludzi, którzy okropnie się nudzą w NASA, zamiast porządnie ruszyć głowami. Te koncepty są namiastkami projektu prometejskiego, bo zawsze trzeba mieć jakieś gwiazdy przewodnie, ale nic z tego nie będzie. Może pan spać spokojnie.

— Z badań ekspertów (nie potrafię niestety ocenić ich kompetencji) wynika, że eksploatacja kopalinowa asteroidów i Księżyca jest nie tylko możliwa, ale i bardzo opłacalna, ponieważ występuje tam wiele cennych minerałów. Tymczasem pan zawsze twierdził, że Księżyc musiałby być pokryty diamentami, żeby kalkulowało się wysyłać tam rakietę z astrogórnikami.

— Z analiz próbek przywiezionych przez amerykańskich kosmonautów jednoznacznie wynika, że na Księżycu nie ma żadnych pierwiastków cięższych od żelaza. Ża-dnych! Jak więc to się może opłacać?

— *A wodór, hel 3, nikiel i żelazo?*

— One osadzają się na Księżycu dzięki wiatrowi słonecznemu. Hel i wodór rzeczywiście nasycają powierzchnię Księżyca, ale nie są to na tyle interesujące ilości, aby uruchamiać i ekspediować na taką odległość technologie eksploatacyjne. Nie, nie sądzę.

— *Widziałem w jakimś popularnonaukowym piśmie amerykańskim projekt kopalni na Księżycu. Składa się z dwóch pionowych rur-sztolni z poprzecznym łącznikiem komunikacyjno-wentylacyjnym, na powierzchni zaś zaprojektowano sporą kopułę. Wygląda na to, że jakieś laboratoria ostro pracują nad tym projektem.*

— Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli nie będzie się tego finansować z moich podatków. Oni może nawet za ciężkie pieniądze wydrążą tę kopalnię i wjadą do środka, ale niczego ciekawego stamtąd nie wyciągną, bo poza silikatami i bazaltami niczego tam nie ma. Wiemy już, że Księżyc powstał w skutek zderzenia się Ziemi z planetą niewiele mniejszą od Marsa, która oderwała część wierzchniego płaszcza Ziemi. W ogóle zgromadziliśmy już dość dużo informacji na temat Księżyca. Na pewno nie ma na nim żadnych ciężkich pierwiastków. A poza tym nawet gdyby tam były srebro i złoto, to w kontekście gigantycznych kosztów eksploatacji nie mają one żadnej wartości. Błagam, niech pan rzuci w kąt te niemądre popularyzacje i weźmie się za prace wiarygodnych ekspertów.

— (*śmieje się*) *Trochę się staram. Na przykład widziałem niedawno japoński projekt miast podmorskich. Ma być zrealizowany w najbliższym pięćdziesięcioleciu*.

— (*śmiech*) To miasto dokładnie opisałem w *Kongresie futurologicznym*. Mieszkańcy nie mogą opuścić swojego

budynku.

— Japończycy przymierzają się do tego poważnie — fundamentów wprawdzie jeszcze nie ma, ale w projekty wpuszczono już dzikie pieniądze. Budowla przypomina słynne bliźniacze wieżowce w Kuala Lumpur, tyle, że będzie to pojedynczy budynek, postawiony na dnie morza koło Osaki.

— Niestety, to jest teren wybitnie sejsmiczny. Nie pamiętam dokładnie mapy rozłamów płyty euroazjatyckiej, ale jest to wyjątkowo niezdrowe miejsce. Od dawna wszyscy Japończycy czekają na trzęsienie ziemi w Tokio. Im więcej będzie mieszkańców takiego podwodnego miasta, tym więcej będzie ofiar.

— Okropny z pana sceptyk. Oni naprawdę mają zamiar je zbudować. Kolejnym ich zamierzeniem jest uzyskanie eksploatacyjnej prędkości 960 kilometrów na godzinę dla lotu pasażerskiego.

— Przecież francuski concorde osiąga już taką szybkość — około dwóch machów, czyli sporo powyżej prędkości dźwięku. Odległość między Londynem a Nowym Jorkiem pokonuje w trzy godziny, ale na pokład nie wchodzi więcej niż sto osób. Ponadto zużycie paliwa jest tak ogromne, że ceny biletów są astronomiczne. Jeśli kogoś będzie stać na płacenie cen o połowę wyższych niż za normalny bilet, to będą latać. Łatwo jednak przewidzieć, jaka będzie przyszłość tego japońskiego projektu.

— A samoloty hipersoniczne?

— Jest to perspektywa dalsza, ale dość pewna. Te samoloty będą poruszać się na takiej samej zasadzie, jak kaczki puszczane na wodzie.

— Podobno Amerykanie odbyli już loty próbne, tylko bez załogi.

— Tak, bo w tym jest pewien delikatny problem: jeżeli kąt odbicia nie będzie się dokładnie równał kątowi padania, samolot poleci w próżnię i wszyscy zginą. Stąd brak na razie chętnych do siadania za sterami.

— Ale czytał pan pewnie, że od jednego do drugiego wybrzeża amerykańskiego przeleciał samolot, napędzany ogniwami słonecznymi. W jakim stopniu jest on jaskółką zmian w energetyce i komunikacji?

— Tak, widziałem go. (*zastanawia się*) Ale czy ten eksperyment daje realną nadzieję na zmiany źródeł energetycznych w komunikacji? Nie bardzo, ponieważ on miał z dziesięć silników i ogniw-baterii. To był właściwe rodzaj latającego skrzydła, zaopatrzonego na wypadek zachmurzenia w dodatkowe akumulatory. Ten przelot należy chyba traktować jako spektakularne wydarzenie medialne, które nie ma przed sobą przyszłości, ponieważ ilość energii elektrycznej magazynowanej w ogniwach takiego aparatu jest nieduża. Wystarczą dwie porządne chmury, żeby mu zabrakło energii i rozbił się o ziemię. Lądowanie zaś takiego grzmota też jest strasznie niewygodne, bo on jest nieludzko szeroki — dwa razy szerszy niż duży boeing z rozpostartymi do lotu skrzydłami.

— Niemniej w energetyce musi nastąpić jakiś przełom. Uczeni twierdzą, że w przyszłości w gospodarstwach domowych podstawowym źródłem energii będą ogniwa słoneczne. W Hiszpanii czy Portugalii jest ich już zatrzęsienie, wystarczy spojrzeć po dachach. Na ile jest to perspektywa globalna?

— Tam gdzie jest odpowiedni klimat, oczywiście tak, ale już na przykład w Norwegii trudno mi to sobie wyobrazić. Im wyższa szerokość geograficzna, tym bardziej nieprawdopodobne. Ogniwa mogą być pomocne tylko w lecie dla klimatyzacji lub chłodzenia. Sporo nadziei pokładano w tych ogromnych wiatrakach, którymi pokryto pola w Niemczech, ale niestety zabijają ogromną ilość ptaków — te liczby idą w setki tysięcy.

— Samoloty też zabijają ich sporo, ale to jakoś nie zatrzymało rozwoju lotnictwa.

— No tak. Bo technologii w ogóle nie da się zatrzymać. Nikt nie wstrzyma budowania autostrad tylko dlatego,

że zginą tysiące jeży i żab.

— W 1991 roku przyznano na Uniwersytecie Floryda w USA patent za technologię przetwarzania śmieci w paliwo, co opiera się na pomyśle genetycznego łączenia dwóch bakterii w jedną. To podobno bardzo proekologiczna idea. Czy to jest ciekawostka, czy przewrót w energetyce?

— Wszystkie biomasy i niezliczone rodzaje biologicznie przetwarzalnych odpadków mogą faktycznie stanowić znaczące źródło energii, ale potrzeby globalne będą w stanie zaspokoić wyłącznie w skali od jednego do półtora procent. To nie jest zatem zbyt obiecująca energetyka, bo gdybyśmy chcieli podnieść efektywność do kilku procent, musielibyśmy zamienić centra miast w olbrzymie śmietniska. To by się oczywiście dało zrobić, ale po pierwsze — to nie jest zdrowe, po drugie — mało piękne, a po trzecie — rozwiązania i tak podyktują prawa popytu i podaży.

— (*z zawodem*) *A ja myślałem, że jeżeli porządna uczelnia amerykańska przyznała za coś takiego patent, to mamy przed sobą energetyczną rewolucję...*

— Opowiem więc panu o czymś, co widziałem ostatnio na własne oczy na targach motoryzacyjnych w Paryżu. Chodzi o ramę prototypowego samochodu Lotus Elise, która waży 65 kg, a tworzywo, z którego została wykonana, jest równie wytrzymałe jak metal. W USA z kolei testuje się już stroje strażaków z kevlaru, w których można przez jakiś czas wytrzymać temperaturę 400 stopni Celsjusza.

— A słyszał pan o spinoidach, czyli niezmiernie sprężystych nitkach, których budulcem jest substancja analogiczna do tej, jaką wytwarzają pająki? Produkuje się z nich kamizelki kuloodporne, które są znacznie wytrzymalsze od kevlarowych. Odkrycie to pozwoliło na stworzenie koncepcji windy satelitarnej, którą będzie można dostać się na satelitę (planetoskop).

— Odnoszę wrażenie, że stoimy w obliczu odkrycia rzeczy dotąd niemożliwej — materiału odporniejszego

od stali, lekkiego jak powietrze, absolutnie plastycznego i ekologicznego. A wszystko to praktycznie za darmo.

— A pamięta pan Geista z *Lalki*? Prus przewidział te odkrycia, bo ten typ materiału już istnieje i ma swoją nazwę — fullereny. Są to puste klateczki z atomów węgla. Istnieją również tak zwane nanorurki.

— *Czytałem, że tego typu pianki są już stosowane w projektach kosmicznych.*

— Tak, ale na razie nie pokonano bariery kosztów. Koszmarnie drogie! Nie zmienia to faktu, że wizja świata, w którym z każdego materiału będzie można stworzyć nowe tworzywo, jest zupełnie oszałamiająca!

— *Oo, cieszę się, że w końcu docenił pan wysiłki inżynierów. Wie pan pewnie, że projektanci i producenci odzieży twierdzą, że jesteśmy już bliscy technologii ubrań o zmiennych parametrach cieplnych i estetycznych. Będzie można dowolnie zmieniać ich walory termiczne i kolorystykę. Będzie więc tak, jak opisał pan w „Powrocie z gwiazd”.*

— (*z westchnieniem*) A o czym ja nie pisałem...? Z tym, że u mnie były takie stroje, które mrugały oczami i zmieniały kolory w zależności od pory dnia. Oczywiście, dzisiaj to już nie jest żadna science fiction. Umasowieniu tych cudów produkcji odzieżowej przeszkadzają dzisiaj już tylko koszty. Wciąż jeszcze zwyczajna koszulka bawełniana jest znacznie tańsza niż taka, która robi do pana szelmowskie oko.

A pamięta pan może moje humorystyczne pomysły, żeby *vibrio pelerinae* tkały sukno? To jest już zasadniczo możliwe: kładziemy faceta do specjalnej kąpieli, a bakterie utkają na nim śmiertelną koszulę. To nawet dość efektownie by wyglądało, ale te eksperymenty nie mają większego sensu, bo byle chińskie dziewczę szybciej sporządzi taką koszulę aniżeli dziesięć trylionów bakterii. Jest wiele takich kuriozalnych pomysłów, które można

wcielić w życie, ale czy to jest celowe oraz sensowne? Wątpię!

— To są oczywiście przyjemne i zabawne projekty, ale ja wiem, że pana interesują cięższego kalibru wynalazki w zakresie technologii materiałów. Które z tych prac wzbudzają pana respekt?

— Najbardziej intrygują mnie prace prowadzące do masowego wdrażania nadprzewodnictwa elektrycznego, co pozwoli na niewiarygodne oszczędności przy przesyle mocy wysokiego napięcia przy zerowym oporze, a zatem po cenach iście symbolicznych. Do tej pory kable trzeba było wypełniać mieszankami pierwiastków ziem rzadkich, przygotowanych w temperaturze płynnego azotu, co jest bardzo skomplikowane. Nadprzewodnictwo będzie jedną z największych rewolucji, które są wciąż przed nami.

— Ta rozmowa o przyszłości przypomniała mi zdanie Einsteina: „Nigdy nie rozmyślam o przyszłości, bo nadejdzie wystarczająco szybko”. Pan w to chyba jednak nie wierzy, bo ostatecznie przyszłość to pana pasja.

— Tak, to prawda, ale też nie interesuje mnie najbliższa, łatwo dająca się przewidzieć perspektywa. Nie mam powodu, by przejmować się tym, co będzie na przykład za trzydzieści lat, bo jestem dostatecznie stary, żeby przynajmniej ten problem zdjąć sobie z głowy. Jakaś tam przyszłość będzie. Tyle że beze mnie.

— Ale Einstein — jeśli dobrze go rozumiem — uważał, że w ogóle nie należy się nią zajmować, ponieważ rozwój cywilizacyjny i tak nas zaskoczy.

— W pewnym sensie to prawda.

— Co zatem pana najbardziej zaskoczyło?

— Mnie? *Reality show* „Big Brother” i inne tego typu wynalazki.

— Większość prognoz znanych futurologów uwzględnia wyłącznie scenariusze pozytywne. Z panem jest akurat odwrotnie. Dlaczego?

— Przyznam się uczciwie, że nie wiem, o czym aktualnie informują pisma futurologiczne. Periodyki *stricte* naukowe, takie jak na przykład „Science”, „Nature” czy „Priroda” zawsze podają wiadomości ścisłe i ostrożne, natomiast pisma takie jak „Science et vie” lub prasa popularnonaukowa śmiało szybują na skrzydłach fantazji i sensacji, żeby zwiększyć sobie sprzedaż, stąd dowiadujemy się z ich łamów wielu rzeczy, w których styk realizmu z rzeczywistymi możliwościami nauki jest znikomy.

Tę prawidłowość widać bardzo wyraźnie: jeśli magazyn jest adresowany do mas, znajdujemy w nim wszelkie możliwe rewelacje na temat przyszłości, jeśli natomiast jest to pismo naukowe, okazuje się wyjątkowo wstrzemięźliwe w miotaniu długodystansowych wizji. Tam się pisze w sposób prosty i nieodparty: za kilkaset milionów lat jasność Słońca wzrośnie tyle a tyle, czyli na Ziemi stanie się tak gorąco, że wszystkie oceany się najpierw zagotują, a później wyparują. Czy pan to nazwie czarną wizją przyszłości?

(*sarkastycznie*) Jakież to efektowne prognozy rozwoju cywilizacji mieliśmy w ostatnich dziesięcioleciach! Był złotousty Herman Kahn, zachowawczy Paul Kennedy, świeży jak zeszłoroczny śnieg Alvin Toffler, potem Samuel Huntington ze swoją koncepcją walki kultur i wiar, a teraz mamy wysyp koncepcji globalizacyjnych i antyglobalizacyjnych... Co rok to prorok! Z częstotliwością mniej więcej raz na dwa lata pojawia się nowy wizjoner, który udaje uczonego i oczywiście świat widzi inaczej. Wszystko niesłychanie szybko się zmienia, w związku z czym przyszłość i przeszłość wyglądają ciągle inaczej, bo okazuje się, że mechanizmy historiotwórcze funkcjonują nie tak, jak wcześniej uważano. Niczego nie da się sensownie przewidywać, zwłaszcza w polityce i w ekonomii. Niech pan spojrzy, jeszcze niedawno Wałęsa chciał stworzyć w Polsce nową Japonię, a tu bęc (*uderza pięścią w biurko*), i już cesarstwo leży pod obuchem recesji. Wyboiste są drogi

poszczególnych państw ku przyszłości, bo żaden prewidyzm ekonomiczny nie istnieje.

— *Wszyscy odnosimy wrażenie, że cywilizacja jest nakierowywana na nowe tory. Prowadzą one, rzecz jasna, w Nieznane, o którym nic nie wiemy. Ale czy możemy się chociaż zorientować, jaki będzie kierunek naszej wyprawy w przyszłość?*

— Użyję pewnej przenośni: aktualnie znajdujemy się na swego rodzaju tarczy obrotowej, tak jak lokomotywa w parowozowni. Żadna lokomotywa nie może wjechać na wszystkie tory naraz; o wyborze określonego toru decydują względy losowe, kapitałowe, polityczne...

— *Oczywiście, to jasne, że zostanie wybrany tylko jeden wariant rozwojowy. Ale czy on będzie zakładał optymalizowanie warunków naszego życia?*

— Podstawowym sposobem przeciwdziałania rozmaitym trudnościom w skali globalnej, o czym pisałem niedawno w *Prognozie rozwoju biologii do roku 2040*, jest skuteczna likwidacja katastrofalnych kolizji i antagonizmów politycznych świata. Niestety wcale się na to nie zanosi, a na dodatek utrudnia to globalne zagęszczenie. Wszędzie bowiem pojawiają się coraz to nowe konflikty, bo agresorów w dzisiejszym świecie nie brak. Wszystkich mamy naraz: Żydów, Palestyńczyków, Arabów, Basków, Hiszpanów...

— *Tutsi, Hutu, Irakijczyków, Sudańczyków...*

— No właśnie, sam pan widzi, Saddamów na świecie nie brak. Moim zdaniem, powinno się jednak wprowadzić jakieś międzynarodowe regulacje.

— (*sceptycznie*) *Już widzę polityków, którzy się do tego zabierają...*

— No jasne, że nic z tego nie będzie, bo do takiej rzeczy trzeba mieć odrobinę rozumu. Wiadomo na przykład, że nie może pan latać samolotem, nie mając certyfikatu lotniczego, tymczasem prezydentem Stanów Zjednoczonych może pan zostać już tylko na podstawie amerykańskiego prawa jazdy.

— W 1981 roku twierdził pan, że badania nad genetyką rozwiną się w dwóch kierunkach: militarnym i medycznym. Rozmawiałem niedawno z wybitnym genetykiem z Uniwersytetu Warszawskiego, który wrócił właśnie z konferencji międzynarodowej, w której uczestniczyli także specjaliści wojskowi. Wie pan, co mi powiedział? Że uczeni kompleksu militarnego byli rozbawieni poziomem genetyki cywilnej. Okazało się, że uczeni uniwersyteccy nie mają zielonego pojęcia, nad czym pracują laboratoria wojskowe.

— A czytał pan *Wizję lokalną* Stanisława Lema i wie, co to są fertolety?

— Tak, latające wirusy, które powodowały, że płody w łonach kobiet zamieniały się w złośliwe nowotwory.

— Właśnie. A czy pana zdaniem jest to możliwe?

— Tak, możliwe. Chce pan powiedzieć, że w tym kierunku rozwijają się badania?

— Oficjalnie nikt się do tego nie przyznaje. Są pewne rzeczy, które wiem, innych się domyślam, ale lepiej o tym milczeć. Na pewno pan czytał, że Amerykanie kilkanaście lat temu rozpylali w metrze nowojorskim jakiś rodzaj zupełnie rzekomo nieszkodliwych drobnoustrojów, chcąc się przekonać, czy da się rozprzestrzeniać w ten sposób zabójcze drobnoustroje i jakie będą tego skutki. Przez długie lata ten proceder był utrzymywany w zupełnej tajemnicy, ale ponieważ niewinne wirusy komuś jednak zaszkodziły — rzecz się wydała i została nagłośniona przez prasę.

Niedawno przeżyliśmy szaleństwo choroby Creutzfeldta-Jacoba i w Wielkiej Brytanii tysiącami mordowano krowy. Jaką możemy mieć pewność, że to nie była robota jakiegoś wysłannika Saddama Husajna, który przyjechał do Anglii z probówką w kieszeni lub obcasie? Niestety takiej możliwości nie możemy wykluczyć. Tarczę antyrakietową już konstruują, ale tarczy antybakteryjnej jeszcze nie wymyślono. Bioetyka, która jest przeciwna tego typu eksperymentom, przypomina mi dobrą ciotkę na kanapie,

pouczającą, że powinniśmy robić to lub tamto. (*z nagłym krzykiem*) Ale kto i jak?

— *Chciałbym wrócić do tego profesora genetyki, o którym przed chwilą wspomniałem. Skoro nawet wybitny uczony nie potrafi powiedzieć, nad czym pracują jego koledzy w laboratoriach militarnych, to znaczy, że siedzimy na minie. Za dziesięć lat może się okazać, że ona już wcześniej wybuchła, tylko jej skutki zobaczymy później.*

— To jest prawdopodobne. Jak pan wie, po upadku Związku Radzieckiego nagle z nicości wyłoniły się tajne miasta atomowe i biologiczne, które miały tylko numery i były całkowicie odizolowane od świata. Potem okazało się, że mimo wszystkich zabezpieczeń rozpętała się straszna epidemia wąglika, bo śmiercionośne bakterie wyrwały się na swobodę. Ten wąglik (mimo całej grozy, którą ostatnio przeżyła Ameryka) to oczywiście stara sprawa, bo są już nowe, jeszcze niebezpieczniejsze bakcyle. Ale jak się podpisało międzynarodowe konwencje, że eksperymenty nad bronią biologiczną zostaną wstrzymane, to nic nie może być lepiej ukryte niż właśnie broń bakteriologiczna. Laboratoria na pewno znajdują się w głębokich sztolniach pod piwnicami schronów ukrytych wewnątrz Gór Skalistych.

— *W państwach totalitarnych taka tajność jest możliwa, ale w krajach demokratycznych to raczej nieprawdopodobne.*

— Ależ co pan mówi? Przecież gdyby nie kilku nawiedzonych prokomunistycznie oraz chciwych na forsę facetów, Sowieci nigdy by się nie dowiedzieli o amerykańskich pracach nad bombą atomową.

— *Ale to była wojna światowa, dziennikarze mieli zadrutowane gęby. Wybitni uczeni sowieccy domyślali się, w jakim kierunku podążają amerykańskie prace. Również fizycy niemieccy wiedzieli, bo przecież nie budowaliby z takim pośpiechem fabryk „ciężkiej wody”.*

— Proszę pana, przecież do dzisiaj w ścisłej tajemnicy utrzymuje się nawet wymiary bomby plutonowej. Chociaż wiadomo mniej więcej, jaki musi być ładunek, to sposób funkcjonowania tej bomby owiany jest całkowitą tajemnicą. Na szczęście jeszcze nie jest tak, że można sobie pójść do sklepu i kupić książkę pod tytułem *Jak skonstruować w łazience bombę wodorową*.

— *Rozmawiałem kiedyś z szefem kliniki Akademii Medycznej w Warszawie, który powiedział, że nie ma ludzi zdrowych, są tylko źle zdiagnozowani.*

— Zgadzam się.

— *Wszyscy zatem jesteśmy lub będziemy chorzy. Ponieważ jednak istnieje już możliwość sporządzenia mapy genowej człowieka, łatwo domyślić się, że wzbudzi ona ogromne zainteresowanie pracodawców, którzy chętnie dowiedzieliby się, na co zachoruje osoba ubiegająca się o pracę. Może na raka…?*

— Proszę nie zapominać, że w naszym życiu wielką rolę odgrywają czynniki zewnętrzne. Pod ich wpływem proces nowotworowy może zatrzymać się lub cofnąć. Osoby, którym liczono już dni do śmierci, po jakimś czasie można spotkać zdrowe, spacerujące po parku. Nie wiadomo do końca, od czego zależy to, czy choroba może się cofnąć, czy też nie.

Ważne jest też to, że ciąg przemian tkankowych, prowadzących ku procesowi nowotworowemu jest dość długi. Nie jest przecież tak, że człowiek w jednej chwili zostaje rażony rakiem. Rozmaite jest tempo procesu chorobowego i efekty działań terapeutycznych. Ilość wariantów jest tu doprawdy ogromna. Wszystko to sprawia, że odkrycie uniwersalnego lekarstwa na raka jest niemożliwe.

— *Pan teraz odpowiada na pytanie, czy zostanie odkryte lekarstwo na raka, co jest rzeczywiście istotnym problemem, ale mnie bardziej interesuje kwestia, czy nie zbliżamy się do czasów, gdy pracodawca zażąda od swojego*

pracownika okazania mapy genowej, a na dodatek mapy genów jego ojca i dziadka? Jak daleko jesteśmy od takiej perspektywy?

— To zależeć będzie od ustawodawcy. Już dziś możliwa jest na przykład identyfikacja sprawców gwałtu lub mordu za pomocą badań genetycznych, czyli analizy niewidocznych gołym okiem cząstek tkanki na odzieży ofiary. Niedawno w pewnej miejscowości w Niemczech poddano badaniom, polegającym na lizaniu wacika na druciku, osiemnaście tysięcy osób, co pozwoliło na zidentyfikowanie sprawcy zbrodni.

— *Czyli każdy z nas ma absolutnie niepowtarzalną sekwencję genów?*

— Wprawdzie ich sekwencja nie jest czymś niepowtarzalnym, ale powtórzyć się może niezmiernie rzadko.

— *A jak wielkie jest to prawdopodobieństwo?*

— To może powtórzyć się tylko raz na kilkaset milionów ludzi. Dzięki metodzie identyfikacji za pomocą badań genetycznych można praktycznie uzyskać pewność rzędu 99,99%. Identyfikacja odcisków palców jest bardzo ważnym dowodem, ale jeszcze większe znaczenie ma poprawne zinterpretowanie kodu genetycznego.

— *Czy możliwość ujawniania genotypów nie budzi zatem pana obaw?*

— Odcinek genotypu pozwalający zidentyfikować sprawcę jest niewielki. Taki fragment rzeczywiście mógłby stanowić znak rozpoznawczy i służyć na przykład do legitymowania. Nie przypuszczam jednak, by jakikolwiek rząd zgodził się na ujawnianie całych genotypów.

— *A z jakiego powodu?*

— Bo to jest sytuacja przypominająca problem tajemnicy spowiedzi. Był taki przypadek, że niewinny człowiek został skazany za zabójstwo i trafił do celi śmierci, tymczasem ktoś inny wyspowiadał się księdzu z tego zabójstwa. Kapłan, który oczywiście chciał uratować skazanego,

uzyskał w archidiecezji zwolnienie z tajemnicy spowiedzi, ale sprzeciwił się temu prokurator, gdyż jego zdaniem taki precedens mógłby wywołać lawinę podobnych przypadków. Ta historia pokazuje, że z jednej strony zawsze będą się pojawiały silne naciski, z drugiej jednak — nie mniej silne opory. Wykluczam zatem możliwość umieszczania pełnych genomów w dowodach osobistych. Większość państw dąży raczej do zachowania prywatności swoich obywateli.

— *Służby specjalne muszą jednak zatrudniać ściśle określony typ ludzi. Poznanie genomów na przykład kandydatów do pracy w brygadach antyterrorystycznych byłoby dla dowódców rzeczą społecznie usprawiedliwioną. Nie sądzę, aby w takich przypadkach przestrzegano zasad tajności danych osobowych.*

— W tym wypadku rzeczywiście miałoby to znaczenie ze względu na możliwość ustalenia na przykład podatności takiego agenta na choroby, określenia bystrości jego wzroku, wrażliwości na światło, refleksu itd., jednak znajomość mapy genowej byłaby przydatna tylko do pewnego stopnia.

— *Dlaczego?*

— Bo nie istnieje żaden gen decydujący na przykład o talencie do gry w szachy lub rozwiązywania rebusów. Czytałem, że pewien człowiek zdołał wykształcić swoje dwie córki na mistrzynie szachowe, mimo że nie posiadały w tym kierunku żadnych wrodzonych umiejętności. Nie ma więc genów „szachowych” czy genów predysponujących do gry w piłkę nożną. W tym sensie nie ma też genów kwalifikujących człowieka do służby w oddziałach specjalnych.

— *Czytałem, że rysują się szanse na wyprodukowanie naszych ewolucyjnych przodków, których można „wydedukować” z naszych genów.*

— Tym się zajmuje nowa dziedzina nauki — dewolucja. Wiemy już, że ptaki są potomkami dinozaurów (to nie jest

żadna blaga!). Wystarczy „wyłączyć” pewną ilość genów w zapłodnionym jajku kurzym i mogą się wylęgnąć...

— *...dinozaury?*

— Nie dinozaury, tylko pisklęta, które mają zawiązki ostrokolczastych kłów, takie jak *Tyrannosaurus rex*. Tym właśnie zajmuje się dewolucja. W tym kontekście mówi się, że można niektóre geny szympansa, a może nawet samego człowieka, tak „wycofać”, żeby powstał australopitek albo pitekantrop. Na razie jednak tylko się o tym mówi, ale pokusy stojące przed naukowcami są olbrzymie.

— *Coraz częściej mam wrażenie, że te doświadczenia przypominają zabawę dziecka z pistoletem pozostawionym przez ojca w szufladzie. Być może uda się go rozłożyć na części, ale być może wystrzeli i kogoś zrani lub zabije.*

— Uczeni rzeczywiście nie znają jeszcze „klawiatury” ani „zapisu nutowego” genomu, ale już na półślepo eksperymentują, ucząc się na swoich błędach. Z tym, że szczerze trzeba powiedzieć, że jednak trochę już wiedzą, bo udało się na przykład częściowo ustalić, dlaczego jedne klonowania się udają, a inne nie. Prawdopodobnie w ciągu najbliższych lat genom zostanie odcyfrowany do końca, a wtedy różne rzeczy mogą się jeszcze zdarzyć.

— *Największe kontrowersje panują oczywiście w kwestii badań na komórkach embrionalnych. To jest zrozumiałe, bo chodzi o przyszłość ludzkości. To nie są jakieś dinozaury, z których w razie niepowodzeń zrobi się kotlety. Mimo wszystkich możliwych konsekwencji eksperymenty trwają. Więc co z tego będzie?*

— W tej chwili Bush jest między młotem a kowadłem, bo z jednej strony, jako człowiek religijny, usłyszał od papieża, że Kościół absolutnie sprzeciwia się eksperymentalnemu wykorzystaniu komórek embrionalnych, ale z drugiej strony istnieje możliwość robienia eksperymentów na embrionach zamrożonych dla małżeństw, które nie mogą mieć dzieci. Jak wiadomo, jest ich nadmiar, więc naukowcy mają nadzieję, że będzie

można za ich pomocą wyhodować wydzielone cząstki genotypów.

— *W jakim celu?*

— Aby powstały składy organów nadających się do przeszczepów. Będą znacznie lepsze od sztucznych płuc, serc i nerek, bo są naturalne.

— *No, ale gdzie je będą hodować? Pod pierzyną?*

— No właśnie, tu jest problem. Do tej pory nie opracowano jeszcze teorii uteratorów (to moja prywatna nazwa). Chodzi po prostu o sztuczną macicę, bo namawianie kobiet, żeby nosiły w sobie części zapasowe do transplantacji, mocno kłóci się z naszą etyką.

— *Wie pan, to już w ogóle nie jest śmieszne, choć historia łudząco przypomina historię z pańskiego „Przekładańca”.*

— Oczywiście. Z tym, że kiedy go pisałem, była to jeszcze zabawa.

— *A dziś problem jest już realny.*

— Nic na to nie mogę poradzić!

— *A mamy prawo eksperymentować tak, żeby uzyskać osobnika o trzech nogach albo dwóch głowach?*

— Zaczyna się epoka, w której wszystkie nasze wyobrażenia z zakresu etyki i religii będą w strasznych opałach. Apele szlachetnych bioetyków zdadzą się psu na budę, bo nauka musi posuwać się naprzód. A z naukowego punktu widzenia jest wszystko jedno, czy to stanie się w Stanach Zjednoczonych, w Japonii, czy w Singapurze. Jest charakterystyczne, że samoloty skonstruowano mniej więcej w tym samym czasie na różnych kontynentach. Gdyby w jakimś kraju zabroniono prac nad konstrukcjami lotniczymi, wykonano by je gdzie indziej. Technologia nie jest zaraźliwa, ale rozprzestrzenia się szybciej od epidemii.

— *Pan zawsze powtarzał, że nie da się w żaden sposób powstrzymać prac frontu nauki światowej, ale ja widuję od czasu do czasu wypowiedzi wybitnych uczonych, którzy*

stawiają jednak kwestię: co zrobić, żeby powstrzymać rozwój nauki?

— Wiem, również je widuję, ale prędzej powstrzymamy Niagarę aniżeli postęp naukowy. Odkrycia muszą być dokonywane, mimo iż mogą się znaleźć szaleńcy, którzy będą gotowi zagrozić bezpieczeństwu gatunku ludzkiego. Nie można zapobiec wynalezieniu siekiery, dlatego że ktoś zatłucze nią sąsiada, zamiast ścinać drzewa; nie wstrzyma się wynalazku koła, bo ktoś wykombinuje, że można nim bliźniego bardzo dokładnie przejechać i zrobić z niego krwawy placek.

— *Jaki jest pana pogląd na kwestię przerywania ciąży?*

— Uważam, że istnieje mniejsze zło — w postaci pigułki antykoncepcyjnej, która chroni przed zapłodnieniem. Istnieją takie preparaty hormonalne, które nie powodują żadnych skutków ubocznych. Lepszym wyjściem jest niedopuszczanie do zapłodnienia niż niszczenie rozwiniętej już zygoty. Im dalej bowiem posunięty jest jej rozwój, tym bardziej embrion staje się człowiekiem.

— *No właśnie, ale jak zdefiniować ten moment?*

— Tak naprawdę, nie można wskazać momentu, od którego mamy już do czynienia ze stuprocentową istotą ludzką.

— *A zatem należy się zgodzić ze stanowiskiem Kościoła, że lepiej od samego początku potraktować embrion jako życie ludzkie?*

— Zanim cokolwiek powie się na ten temat, warto wiedzieć, że około czterdziestu procent prawidłowo zapłodnionych jajeczek opuszcza kobiecy organizm, nie osiedlając się w błonie śluzowej macicy. Te zygoty są niewidzialne dla gołego oka, więc nie mamy nawet świadomości ich istnienia. Tak się po prostu dzieje i nie ma na to żadnej rady. Poza tym, wie pan przecież, że nawet podczas porodów zdarzają się nieszczęśliwe wypadki. W wielu krajach śmiertelność noworodków jest zastraszająca.

— I co z tego wynika? Że jeżeli natura zabija, to i my możemy?

— Nie, wynika z tego tylko tyle, że naszym życiem — czy tego chcemy, czy nie — od początku do końca rządzi statystyka, niepodległa żadnej dogmatyce religijnej. Choćby się wszyscy klerykałowie całego świata, razem z mułłami i buddystami, zaparli, istnieje frontalna kolizja tego, jak jest, z tym, jak się chce, żeby było.

Proces tworzenia się życia to naprawdę czysta statystyka. Natomiast dogmatycy wszystkich wiar nie chcą o tym słyszeć. A przecież nie wiadomo, czy z danego jajeczka urodzi się święty, czy obrzydliwy grzesznik ani jakie są w tym kierunku preferencje środowiskowe, a jakie genetyczne. W ogóle nic na ten temat nie wiadomo. Nie wiemy nawet tego, dlaczego drobne zmiany wewnątrzmaciczne powodują, że urodzony osobnik staje się człowiekiem głęboko religijnym. Udowodniono już, że ma to związek z silnie rozwiniętą tylną lewą częścią płatu skroniowego. Ale nie da się udowodnić, że tam właśnie rodzi się skłonność do przypisywania bytowi charakteru transcendentnego. Jedni więc mówią, że to jest dar Pana Boga, a drudzy, że to czysto neurofizjologiczna właściwość kory mózgowej. Za cholerę jednak nie wierzę, żeby można było w ten sposób złapać Pana Boga za nogę i zmusić go do składania zeznań, jak się mają te sprawy. Objawienia zdarzają się tylko ludziom.

— Jakoś jednak trzeba określić moment, w którym wyodrębnia się istota ludzka? Gdzie przebiega granica między komórką a człowiekiem?

— Wszystko zależy od konwencji i stanowiska, jakie przyjmiemy w tej sprawie, bo na to pytanie nie ma żadnej biologicznie uprawomocnionej odpowiedzi. Znakomity amerykański logik Willard van Orman Quine, który dożył dziewięćdziesięciu pięciu lat, powiedział, że jak długo komórka może się dzielić na dwie lub trzy części (czyli bliźniaki, trojaczki itd.), nie można jeszcze stwierdzić,

że powstała jakaś identyczna sama z sobą istota. Do czasu kiedy komórka może się podzielić, istnieją tylko przyszłe ewentualności lub — jak pan woli — czyste potencje. W Iranie na przykład urodziły się ostatnio siedmioraczki. Od czego to zależy? Nie wiadomo.

Przy okazji warto powiedzieć, że możliwości rozwojowe pojedynczej komórki są o wiele większe niż jej biologiczne przeznaczenie. Z każdej komórki pańskiego ciała można wyprodukować nowego Beresia, ponieważ w każdej z nich znajduje się kompletny zapis genowy organizmu. To tak, jakby w każdej cegle katedry w Chartres zawarty był jej szczegółowy plan.

Cały proces formowania się organizmu zależy od gigantycznej ilości przypadków, tylko że człowiek woli to widzieć w kategoriach przeznaczenia. Tymczasem, gdy mężczyzna zbliża się fizycznie do kobiety, to może się zdarzyć, że ona zajdzie od tego w ciążę albo nie zajdzie; jeżeli zajdzie, to ją potem donosi albo nie, bo nastąpi ogromne przestrojenie hormonalne organizmu ze względu na to, że płód, zwłaszcza we wczesnych etapach ciąży, staje się w pewnym sensie wrogiem organizmu kobiety, co przejawia się w walce, której objawem są wymioty, zasłabnięcia, rzucawka, rozmaite alergie. To wszystko stwarza niebezpieczeństwa dla płodu, a już na pewno wtedy, gdy matka źle się odżywia, zażywa niewłaściwe leki lub przyjmuje szkodliwe substancje. Poza tym wiadomo, że bariera, jaką stanowi pęcherz płodowy, jest dość krucha. To nieprawdopodobnie długi łańcuch przypadków.

O tym za mało się mówi, ale jeżeli ktoś studiuje medycynę, zostaje wprowadzony w świat koszmarnych pomyłek natury, co jasno sobie uświadamia, widząc wielkie słoje z potworniakami. To są właśnie rezultaty wszystkich wyboczeń rozwoju, które mają zawsze charakter (*dobitnie*) sta-ty-sty-czny! Właśnie dlatego jeden bliźniak jednojajowy może być schizofrenikiem, a drugi nie.

— Więc jak powinno być, pana zdaniem, z przerywaniem ciąży?

— W rozmaitych państwach, gdzie możliwe jest to dopuszczalne, granica została ustanowiona arbitralnie. Osobiście uważam, że jeśli płód ma zawiązki systemu nerwowego i pojawiła się ta maleńka, rytmicznie drgająca komóreczka, która stanie się sercem, to już jest życie. W tym momencie istnieje około 45–50% szans na to, że dziecko urodzi się zdrowe. Jeżeli ciąża potrwa dłużej, szansa oczywiście wzrasta. Jest więc wyłącznie kwestią umowy międzyludzkiej, którą uzgadnia się na poziomie ustawodawczym, do kiedy jest dopuszczalne przerwanie ciąży, a od kiedy nie. Dawniej decydowała o tym sama kobieta, skacząc na równe nogi z szafy, zażywając chininę lub biorąc gorące kąpiele.

— Teraz też może…

— Jednak lepiej jest stosować środki antykoncepcyjne, które w ogóle udaremniają zapłodnienie. Wtedy problem nie istnieje.

— Z pana punktu widzenia. Z punktu widzenia Kościoła jest inaczej. Pan jest z wykształcenia lekarzem. Wyobraźmy sobie, że przychodzi do pana kobieta i mówi, że chce się pozbyć ciąży. Jak pan się zachowa?

— Po pierwsze, kazałbym jej wykonać badania prenatalne. Ponieważ zapadalność na chorobę Downa, szczególnie u dzieci urodzonych przez kobiety po trzydziestym ósmym roku życia jest w Polsce dość duża, powinno się przeprowadzać je u nas rutynowo. Przeciwni temu są jednak niektórzy hierarchowie kościelni. Ale nawet gdyby pan stracił życie nad wszystkimi Ewangeliami, nie znajdzie pan w nich zakazu robienia tych badań. To są zatem zakazy, które wymyślają faceci siedzący w Kuriach. Papież nie może decydować osobiście o wszystkim, zwłaszcza jeżeli dotyczy to tak skomplikowanej dziedziny nauki, jak biologia.

— Na czym polegają badania prenatalne?

— Generalnie chodzi o to, że z wód płodowych kobiety ciężarnej, przez delikatne nakłucie, pobiera się i selekcjonuje pojedyncze komórki. Następnie bada się je, by ustalić ilość chromosomów. Jeśli jest ich w komórce zbyt wiele, a zwłaszcza, gdy stwierdzi się obecność dodatkowego chromosomu nr 21, oznacza to, że dziecko urodzi się z zespołem Downa.

— *Dlaczego Kościół jest tym badaniom przeciwny?*

— Kościół sprzeciwia się tym zabiegom, bo według jego dogmatów „żywe stworzenie jest święte”, nawet jeżeli jest obłąkane i szalenie cierpi, a wraz z nim jego rodzice. Powiem brutalnie: często nawet pies ma więcej rozumu, niż dziecko cierpiące na mongolizm. Dla konserwatywnych hierarchów Kościoła nie jest jednak w ogóle problemem moralnym to, że dziecko urodzi się z wadami rozwojowymi i będzie zachowywać się w sposób daleko odbiegający od normy, a nawet nie będzie mówić. Niedawno sąd brytyjski uznał, że należy poświęcić jedno z bliźniąt syjamskich, żeby ocalić drugie. Tymczasem Kościół chciał, żeby te bliźniaki umarły. No przecież tak nie można! W takiej sytuacji należy ratować życie.

— *Ale którego z nich? Urządzić losowanie?*

— Tego, które ma większe szanse przeżycia. Tymczasem duchowni argumentują w myśl zasady: „Pan Bóg tak chciał — więc tak być musi”. Ale to nie jest uczciwe rozumowanie, bo w myśl tej logiki po upadku papieża w łazience i złamaniu przez niego szyjki kości udowej, należało go tak zostawić, bo widać Bóg chciał, żeby się nie mógł poruszać. A jednak nie, natychmiast zawieziono go do szpitala i wszczepiono mu wkładkę tytanową. Przepraszam bardzo, ale to nie jest ta sama logika…

To wszystko zresztą w znacznym stopniu wynika z tego, że Kościół uparł się przy twierdzeniu, że Pan Bóg stworzył człowieka „na własny obraz i podobieństwo”. Ale co to tak naprawdę znaczy? Niemiecki filozof i biolog Ernst Haeckel słusznie powiedział, że według tej wersji Pan Bóg jest bez

wątpienia gazowym ssakiem, bo jeżeli człowiek jest jego kopią, to *primo* — musi mieć ręce, nogi, ale ponieważ jest niematerialny, więc *secundo* — musi być istotą gazową…

— *Coś mi się ten koncept nie podoba.*

— Toteż ja nie twierdzę, że on jest sensowny, ale za to pouczający. Mniemania o rzekomej doskonałości ludzkiej istoty i jej nienaruszalności są nie do utrzymania. Kościół rzymski mocą orzeczeń *Roma locuta, causa finita* uznał, że ewolucja najpierw była naturalna, a dopiero potem, w którymś momencie Pan Bóg tchnął w tę glinianą kukłę ducha i dzięki temu mamy Stanisława Lema i Stanisława Beresia. Ja bym się na miejscu hierarchii katolickiej przy takich dogmatach raczej nie upierał. Prawdziwych ewolucjonistów, którzy w nie wierzą, nie policzy pan nawet na palcach jednej odciętej ręki.

— *Zauważam, że pan mną tak kręci, żeby nie odpowiedzieć na pytanie o tę kobietę w ciąży, która przyszła do pana i nie chce mieć dziecka. Ale skoro już wysłał ją pan na badania prenatalne i właśnie wróciła z wynikiem, to trzeba jej powiedzieć, co dalej?*

— Gdyby okazało się, że jej dziecko będzie ciężko upośledzonym mongoloidem z zespołem Downa (co zdarza się raz na dziesięć tysięcy porodów) albo zespołem Wilsona (czyli inteligencją niewystarczającą do samodzielnego życia), to uważam, że należałoby umożliwić jej aborcję, pod warunkiem oczywiście, że nie chce mieć takiego dziecka.

— *Pan sobie oczywiście upraszcza problem moralny. Rozważmy więc typową sytuację, gdy przychodzi do pana kobieta, która nie ma badań prenatalnych, ale powołuje się na paskudne okoliczności życiowe. Co pan zrobi?*

— Jest bardzo wiele okoliczności towarzyszących. Decyzję można podjąć dopiero po dokładnym rozważeniu wszystkich za i przeciw.

— *Czyli ilekroć wracamy do konkretów, nie chce pan nic jasno powiedzieć. Jeżeli stwierdził pan, że od momentu*

pojawienia się tętniącego zawiązku serca jest to człowiek, to już nie wolno ingerować?

— Na to pytanie nie ma sensownej odpowiedzi. Między innymi dlatego, że ostatnio okazało się, iż jajeczka kobiet niepłodnych można wspomóc przez wstrzykiwanie niewielkich ilości plazmy pochodzącej od jajeczek innych kobiet, nie naruszając przy tym genotypu. Rzecz warta rozważenia i szlachetna. Ale tą metodą dziecko ma półtorej matki. (*śmiech*) Do takich rzeczy już doprowadziliśmy.

— *Pan raz za razem puszcza mnie na liny, więc znów wrócę do głównej kwestii. Jeśli dobrze rozumiem, mniej więcej powyżej pierwszego miesiąca po zapłodnieniu nie dopuściłby pan do aborcji (o ile nie byłoby groźby Downa). Ale co by pan zrobił, gdyby zgłosiła się do pana zgwałcona dziewczyna w drugim miesiącu ciąży?*

— Kiedy miały miejsce te okropne masowe gwałty kobiet w Kosowie i one zachodziły w ciąże, byłem po ich stronie, mimo że papież namawiał je, żeby rodziły. To było nieludzkie domagać się od nich takiego poświęcenia. Zwłaszcza, że istnieje ponury precedens, o którym nikt nie chce pamiętać. Dzięki „Spieglowi” wiadomo, że armia sowiecka zgwałciła w Niemczech dwa miliony kobiet. W ogromnej większości przypadków te ciąże, za sprawą milczącego porozumienia lekarzy, zostały przerwane. Mimo to urodziło się około pięćdziesięciu tysięcy dzieci. Do niektórych z nich dotarli reporterzy redakcji i przeprowadzili wywiady. W tych rodzinach rozgrywały się straszliwe dramaty — nieszczęśliwe były kobiety, a także dzieci (o ile wiedziały, skąd się wzięły). A przecież dzieci będące skutkiem gwałtu nie ponoszą za to — na miłość boską — żadnej odpowiedzialności. Tymczasem były na ogół dyskryminowane. Uważam więc, że w takich wypadkach lekarz powinien podporządkować się woli kobiety.

— *Ale pytanie, czy on to akceptuje…?*

— Nasza moralność aktualnie znajduje się bez wątpienia pod bardzo ciężkim obstrzałem. Coraz trudniej wypowiadać

arbitralne sądy etyczne. Z ustaleń nauki, a więc również i biologii molekularnej, nie można metodą logicznych wnioskowań wyprowadzać żadnych sądów wartościujących. Nauka daje odpowiedź na pytanie, jak zbudować bombę atomową, ale na pytanie, czy ją zbudować — już nie. Żaden fizyk nie może rozstrzygać kwestii, czy należy ją zrzucić na jakieś miasto, bo takie decyzje należą do ludzi z innej branży.

— *Przy dzisiejszym zaawansowaniu badań genetycznych można już ingerować w konstrukcję genową człowieka. Do czego może to, pana zdaniem, prowadzić?*

— Oczywiście są tacy wariaci, którzy usiłują za wszelką cenę sklonować człowieka[11]. Tego jednak nie uda się dokonać tak szybko, a nawet jeśli się uda — konsekwencje mogą okazać się tragiczne. Będzie jeszcze bardzo dobrze, gdy takie eksperymenty skończą się tylko poronieniem. Eksperymentatorzy raczej na pewno nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, bo front penitencjarny nie nadąża za technologią. Bez jasno zaś sformułowanego prawa nie ma zbrodni. To, co się teraz robi w zakresie ustawodawstwa w tej sprawie, przypomina łatanie dziur w parkanie.

— *Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem? W większości swoich książek z dużą nadzieją odnosił się pan do przejmowania przez ludzi technologii stworzonych przez naturę. Natomiast w stosunku do eksperymentów genetycznych zachowuje pan dużą rezerwę. Czy to nie jest sprzeczność?*

— Z genetyką jest teraz podobnie jak z prekursorskimi eksperymentami w dobie wielkiej rewolucji technologicznej. Podczas pierwszych prób opanowania sztuki latania natura również niczym nie ograniczała człowieka, a jednak zanim opanowaliśmy tę umiejętność, doświadczenia pochłonęły wiele ofiar, bo pierwsi piloci przeważnie roztrzaskiwali się wraz ze swoimi

prymitywnymi machinami latającymi. Teraz w genetyce mamy podobną sytuację. Wielu rzeczy jeszcze nie rozumiemy, ale już zabieramy się do dzieła. Będzie bardzo wiele ofiar. Sklonowanie owcy Dolly poprzedziło dwieście siedemdziesiąt nieudanych prób.

— *Dlaczego się nie powiodły?*

— Nie wiadomo. Jeszcze gorzej wyglądały eksperymenty z myszami. Sklonowane mysie noworodki wyglądały przyzwoicie, ale z biegiem czasu zaczynały puchnąć i z niezrozumiałych powodów zdychały. Trudno wykryć, co sprawia, że niektóre sklonowane organizmy mają patologiczne cechy...

— *Wkrótce rodzice będą mogli zaprojektować cechy i wygląd swoich dzieci. Jak pan spogląda na tę perspektywę?*

— Według mnie mamy prawo ingerować w życie płodowe wyłącznie w celach diagnostycznych. W niektórych obszarach organizmu sterowanie genetyczne jest już jednak możliwe. Jesteśmy w stanie na przykład zmieniać strukturę szpiku kostnego, krwi lub kolor oczu. Natomiast oddziaływanie na inne sfery, szczególnie na centralny układ nerwowy, jest wciąż poza naszym zasięgiem. Kolosalna ilość cech tego systemu, z mózgiem na czele, jest kształtowana przez ekspresję olbrzymiej ilości genów o niejasnej funkcji, na które oddziaływają zespoły hormonów w czasie rozwoju wczesnozarodkowego. Niestety sposób tego oddziaływania ciągle stanowi dla badaczy zagadkę. Jeśli więc ingerowanie w sferę neuralną człowieka stanie się powszechne, efektem mogą być dzieci niezdolne do życia. Daleko nam jeszcze do cieląt czy żyrafiąt, które — rodząc się — spadają z dużej (dla nich) wysokości i od razu stają na nogi. Tak dobrze jeszcze długo nie będzie. Poza tym na ludzki organizm po urodzeniu wywiera wpływ otoczenie, środowisko, sposób wychowania.

— *Chce pan powiedzieć, że proces wychowawczy wpływa na ustrój genetyczny człowieka?*

— Trudno powiedzieć. Znane są przypadki, gdy w bardzo wczesnym wieku jedna z półkul mózgu ulegała u dziecka takim procesom, które wymagały całkowitego jej usunięcia. I wie pan, co się okazywało? Druga półkula była w stanie ją z powodzeniem zastąpić. Ale tylko do pewnego wieku. Powyżej szóstego-ósmego roku życia skutki takiego zabiegu były już katastrofalne.

Gdyby ktoś poszedł w ślady dawnych tyranów i dla okrutnego eksperymentu odizolował na długi czas grupę dzieci od dźwięków mowy ludzkiej, to nie ma żadnych wątpliwości, że będą one bełkotać. Powstanie mowy człowiek zawdzięcza naturalnie ośrodkom mózgu, ale z tego bynajmniej nie wynika, że one wystarczą dla procesu rozwojowego: dziecko uczy się bowiem mowy w swoim środowisku.

Gdyby rozdzielono po urodzeniu braci Kaczyńskich i jednego wychowywano na przykład w Japonii, a drugiego w Finlandii, to byliby naturalnie do siebie podobni, ale jeden mówiłby po japońsku, a drugi po fińsku, więc nigdy by się ze sobą nie dogadali. Nieprawdą jest bowiem, że jednojajowe bliźnięta są ze sobą tak związane, że nawet umierają o tej samej godzinie. To jest gruba przesada. Obserwujemy najwyżej podobieństwa w zakresie żywotności.

— *Widziałem niejedną publikację naukową, w której dowodzono czegoś wręcz przeciwnego.*

— Bo pan czyta popularyzacje zamiast literatury *tout court* naukowej. Poza tym w ostatnich latach okazało się, że uczeni, którzy badali grupy jednojajowych bliźniąt, dokonywali grubych fałszerstw, w zależności od tego, jakie przyświecały im założenia badawcze. Potem więc okazywało się, że wyniki eksperymentów były zawsze dokładnie takie, jakich oczekiwali. Te rewelacje rzucają zatem nader mroczne światło na etykę naukowców.

— *No dobrze, zapewne ma pan rację, ale jaki to ma związek z zamawianiem sobie dziecka o odpowiedniej płci,*

wielkości, karnacji, kolorze włosów i tęczówki?

— Słyszał pan pewnie, że wśród bliźniąt jednojajowych od czasu do czasu zdarza się, że jedno z nich jest normalne, a drugie cierpi na schizofrenię. To świadczy o tym, że zbalansowania pomiędzy zdrowiem a patologią są bardzo subtelne. Znamy liczne czynniki egzogenne i endogenne, które mogą pchnąć człowieka w stronę choroby umysłowej albo normalności. Tak więc droga do obstalowywania sobie potomstwa według katalogów jest niesłychanie długa i ryzykowna, zaś tego efekty mogą być opłakane. Bo wszelka ingerencja, choćby tylko w proporcje pomiędzy płcią męską a żeńską, musi spowodować wielkie nieszczęścia społeczne. Niech pan zobaczy, ilu młodych ludzi w Chinach nie ma obecnie żadnych szans ożenku, bo przez całe dziesięciolecia mordowano nowo narodzone dziewczynki.

— *Jak wielka liczba genów różni Stanisławów Lema i Beresia?*

— Ostatnio dowiedzieliśmy się, że posiadamy nie więcej niż czterdzieści tysięcy genów, więc różnice pomiędzy nami a czosnkiem, cebulą i muszką owocową są bardzo niewielkie. Okazuje się, że mamy takie same geny hormonów oddechowych jak na przykład drożdże, a różnica składu genowego pomiędzy człowiekiem a szympansem wynosi tylko 0,1 %. Niewiele, prawda? Pomiędzy ludźmi różnice te stanowią wielkości rzędu setnych lub tysięcznych procenta.

— *Jaki więc z tego wypływa wniosek?*

— Że wszyscy jesteśmy wyprodukowani przez „genotypową sztancę”. Kiedy staniemy obaj przed lustrem, rzeczywiście różnimy się ogromnie, ale tę naszą odmienność konstytuuje odchylenie zaledwie kilkuset genów.

Oczywiście, prasa naukowa delektuje się informacją, że genotypy wszystkich organizmów — muszek owocowych, drożdży i człowieka — mają podobne składy, lecz tym,

co nas powinno naprawdę interesować, nie są rodzaje genów, ale kolejność włączania i wyłączania ich ekspresji. Dotąd nie było wiadomo, od czego to zależy i gdzie się znajduje mechanizm, który tym steruje, ale teraz okazało się (jest to prawie pewne), że nasz genom składa się w większości z bezsensownych powtórzeń, czyli intronów, które nic nie kodują, tylko tak sobie po prostu są. Rzecz jednak najciekawsza — „palce" grające na klawiaturze genowej znajdują się właśnie wśród tych „pasażerów na gapę". Oznacza to, że niestety od składu tego „śmiecia genowego" zależy, jakie geny będą włączone. Nie chcę się chwalić, ale całą tę koncepcję wymyśliłem na trzy lata przed Richardem Dawkinsem.

Najważniejsze i decydujące o konstrukcji zwierzchniej są trzy grupy genów, zwane HOX, których skład jest niezmienny u prawie wszystkich zwierząt, poczynając od robaków, owadów, płazów, ryb. Decydują one o ogólnej budowie zwierząt, na przykład o tym, gdzie znajduje się głowa, otwór gębowy, tułów i część ogonowa. Naukowcy dopiero teraz zaczynają się dowiadywać, co i gdzie znajduje się w tej splątanej masie kłębków nici (rybonukleazy wyglądają tak, jakby się dziecko bawiło motkiem przędzy i poplątało włóczkę), bo wbrew pozorom to wszystko ma jakiś porządek i nawet drobne przemieszczenia powodują ogromne zmiany w ostatecznej ekspresji genów i rozwoju organizmów.

— *Chce pan więc powiedzieć, że nie opłaca się składać zamówień na dzieci w GenTech-u? Lepiej czekać na niespodziankę od Pana Boga?*

— (*z namysłem*) Pyta pan, czy chciałbym naginać naturę dla prywatnych celów? Nie. Wciąż jeszcze nie dysponujemy wiedzą, która pozwalałaby nam na majstrowanie w układach pnia i podstawy mózgu, gdzie tkwią nasze główne moce twórcze. Zresztą przerabialiśmy już w XX wieku próby tworzenia lepszej rasy. Pradziadek Hitlera nosił nazwisko Schickelgruber, co wiele mówi o jego

pochodzeniu, ale jego wnuk, gdy został führerem, wymyślił eugenikę, według której wszystkich Żydów trzeba było wymordować, a potem stworzył tak zwane Lebensborny, gdzie dobrze zbudowane niemieckie blondyny kopulowały z dobrze zbudowanymi esesmanami. W ten sposób miała powstać wspaniała aryjska rasa. Zbyt udanych rezultatów tego nowatorskiego eksperymentu genetycznego jednak nie odnotowano.

— *Podejrzewam, że sprawi pan zawód swoim wyznawcom. Przecież pan zawsze stawiał na poprawianie świata i autoewolucję.*

— Ale nie na ślepo. Czy człowiek z olejem w głowie będzie wkładał w fundament własnego domu laskę dynamitu?

— *Eksperymenty genetyczne oczywiście na całym świecie już trwają, a my nie mamy na to żadnego wpływu, ani nie znamy ich skutków. Za to na co dzień mamy do czynienia z medycyną. Na ogół ze strasznymi utrapieniami. Według ekspertów najgroźniejszymi wrogami człowieka są bieda, papierosy, alkohol, narkotyki i zatrucie środowiska. Medycyna oczywiście nie potrafi sobie z tym poradzić, więc zamiast przeciwdziałać, próbuje ograniczyć pole swych działań i nie chce zajmować się już profilaktyką ani troską o zdrowie, ale walką z samą chorobą. Wygląda na to, że błądzimy po manowcach i nie obejdzie się bez regulacji prawnych. Bez bioetyki ani rusz. Co pan o tym sądzi?*

— Widzę to trochę inaczej. Według mnie główną przyczyną zła w służbie zdrowia jest komercjalizacja. Każdy widzi, jak straszliwa jest nadprodukcja farmaceutyczna. Lekarz często zapisuje najdroższe leki zagraniczne, podług interesów producentów tych leków, bo stanowi ich ekspozyturę. To jest zjawisko dosyć typowe, szczególnie na Zachodzie, choć oczywiście i do nas już dotarło. Powiedzmy więc, że chce pan wprowadzić bioetykę, ale jak?

Bijąc lekarzy i producentów farmaceutyków pałką po gołej dupie?

— *Więc tym bardziej należy mówić o bioetyce! Lekarstwa są coraz droższe, a dostęp do specjalistycznych urządzeń medycznych coraz trudniejszy. Tworzą się zatem dwie ścieżki: dla bogatych i dla biednych. Niestety biednych jest coraz więcej. Jakaś ustawa powinna regulować dostęp do leków i aparatury.*

— To prawda, ale niech pan będzie realistą, a nie marzycielem. Nie żyjemy na Księżycu. Wszystko rozbija się o pieniądze. Wie pan na przykład, jak ogromne są ostatnio postępy w kardiochirurgii. Żeby zrobić *by-pass*, nie trzeba już rozcinać klatki piersiowej, tylko między żebrami wprowadza się szczypce, którymi sterują roboty, a chirurg przy *joysticku* kontroluje przebieg operacji na ekranie. Po paru dniach chory wychodzi ze szpitala. To jest oczywiście niesłychanie droga technologia, więc musiałby nastąpić cud, żeby stała się ona powszechnie dostępna.

— *Więc przystaje pan na taki elitaryzm w medycynie?*

— Z faktu, że są na świecie ludzie, którzy zjadają innych ludzi, nie wynika, że przystaję na kanibalizm.

— *To nie jest analogiczna sytuacja. My mamy dostęp do leków, lekarzy i aparatury medycznej, ale na świecie w większości są tacy, którzy nie mają nic. Dla intelektualisty nie powinno być więc obojętne, czy prawa do ochrony zdrowia są gwarantowane wyselekcjonowanym jednostkom, czy każdemu.*

— Komunizmu w medycynie oburzeniem nie stworzymy. W latach 1987–1988 miałem bezpośrednie kontakty z placówką szwedzką, która zajmowała się długofalowymi badaniami na temat prognoz epidemiologicznych dotyczących wirusa HIV. Ponieważ sporo już wtedy na ten temat wiedziałem, bo znałem literaturę fachową i rozmawiałem w Wiedniu z wybitnym wirusologiem Manfredem Eigenem, wiedziałem, że na tego wirusa nie ma żadnego radykalnego sposobu, ponieważ jego zmienność

mutacyjna jest tak duża, że w momencie wprowadzania do organizmu chorego szczepionki, zarazek zdążał się już przekształcić, a więc była ona nieskuteczna. Ten wirus ma sto twarzy. Jedyne, co można zrobić, to podawać chorym duże ilości mieszanek leków. Naturalnie, można próbować obniżać ich ceny, ale nie można rozdawać ich przecież za darmo. No i niech pan powie, skąd wziąć na to pieniądze?

— *Kiedy rozprawialiśmy dwadzieścia lat temu na temat przyszłości świata, nie było jeszcze AIDS, za to łatwo było znaleźć w prasie zapewnienia słynnych lekarzy, że epoka wielkich epidemii raz na zawsze się skończyła. Okazuje się, że wybitni eksperci kolejny raz wpuścili nas w maliny.*

— Słyszeć od wybitnych ekspertów durnoty jest rzeczą nader pospolitą. Kiedyś zapytałem wspomnianego przed chwilą noblistę Eigena: „*Panie profesorze, czy przed rokiem uznałby pan za możliwe pojawienie się wirusa HIV*?" Odpowiedział uczciwie: „*Nie*". Obecnie uważa, że w nauce nigdy nie wolno mówić „nigdy". Nie wolno zatem również mówić, że nigdy maszyna cięższa od powietrza nie wzbije się w powietrze, a my nigdy nie zwalczymy raka.

— *Więc wierzy pan w odkrycie lekarstwa na raka?*

— Kłopot polega na tym, że istnieje wieleset różnych rodzajów raka, więc zwalczenie na przykład białaczki wcale nie będzie znaczyło, że nie zapadniemy na przykład na czerniaka. Są to odchylenia od pewnych procesów organizmu, w które zaangażowanych jest około dziesięciu bilionów komórek. Każda z nich może zboczyć z toru swoich normalnych przemian.

— *Coraz częściej słyszymy, że dla ludzkości zabójczy może okazać się wirus grypy. On też łatwo mutuje, prawda?*

— Wirus grypy ma podobne zdolności jak HIV, ale na szczęście ma znacznie wolniejsze tempo mutacyjne.

— *Jak na razie szczepią nas co roku na grypę i jednym to pomaga, a drugim nie. Ale jeszcze nie ma szczepionki*

uodporniającej raz na zawsze, jak przeciwko odrze, ospie lub szkarlatynie.

— Nie ma zastrzyku przeciwko grypie na całe życie, bo co roku powstają nowe mutacje. A są one coraz paskudniejsze, tak genialnie przystosowane do przetrwania, że niech się człowiek schowa. Wirusy są pochodnymi bakterii, które mają za sobą co najmniej cztery i pół miliarda lat życia na Ziemi. Nawet jeżeli damy radę jakiejś epidemii, pojawi się coś nowego.

— *Czytałem opinie lekarzy, że wirusy całkowicie uodpornią się na lekarstwa*.

— To zatem nie byli lekarze, ale panikarze. Wirusy nie tyle się uodpornią, ile będą ulegały mutacji. Najpierw one, potem inne organizmy żywe. W ten sposób dojdziemy do naczelnych. Mam nadzieję, że wie pan, czym jest zmutowana małpa? Człowiekiem.

— *No tak, właściwie żadna rewelacja, ale na co dzień tak nie myślimy.*

— To oczywiście nie zmienia kwestii zasadniczej: choroby są coraz bardziej wyrafinowane, a leczenie coraz droższe. Nie mamy na to żadnego wpływu.

— *Zatem Ian Kennedy ma stuprocentową rację: w medycynie stoimy już w sytuacji otwartego konfliktu pomiędzy dobrem jednostki a dobrem ogółu. Skoro nie możemy leczyć przy użyciu drogich aparatów wszystkich, musimy dokonać wyboru, kogo będziemy ratować, a kogo nie. To jest rodzaj selekcji.*

— I jakie jest, według niego, kryterium tej selekcji?

— *On tego nie pisze wprost, ale łatwo można się domyślić — pieniądze. Z tego, co pan mówi, wynika niestety to samo.*

— (*z westchnieniem*) No i tak będzie.

— *Ale to na pewno nie jest najszczęśliwsza etycznie zasada…*

— Nie wiadomo, czy ona jest dobra czy zła, ale tak właśnie będzie.

— Więc porozmawiajmy jeszcze przez chwilę o tych szczęśliwcach, którzy będą mieli dostęp do najnowocześniejszych technologii medycznych. Eksperci twierdzą, że w ciągu najbliższych dwudziestu, trzydziestu lat będziemy już mieli do czynienia ze sztuczną nerką, wątrobą i płucami.

— Sztuczne nerki już są!

— To wiem, ale ja nie mówię o przykuciu chorego do maszyny w klinice albo o noszeniu przez niego wielkiego plecaka-aparatu, z którym łączą go jakieś kable i rurki.

— Toteż najtańszym sposobem tworzenia sztucznych organów jest wyklonowanie ich z cząstek ludzkiego genotypu za pomocą odpowiedniego uteratora. On musi być oczywiście kompatybilny z tkankami danego ustroju. To jest możliwe, ale według mnie dojdzie do tego dopiero w drugiej połowie tego tysiąclecia.

— Gdyby pan powiedział „w drugiej połowie tego stulecia" brzmiałoby to bardziej prawdopodobnie.

— O nie, to nie nastąpi tak szybko! A jeśli chodzi o możliwość substytucji ludzkiego mózgu, to w ogóle byłbym co do tego sceptyczny.

— O mózgu ja również nie myślę. Byłbym jednak większym optymistą, jeśli chodzi o sztuczne organy. Pierwsza transplantacja serca, dokonana przez prof. Christiaana Nethlinga Barnarda, miała miejsce zaledwie trzydzieści lat temu.

— No, teraz faktycznie robi się je jak transplantacje paznokcia. Ale sztuczne serce to już znacznie większy problem, bo do tego trzeba wyprodukować sztuczne sarkomery, a my jeszcze nawet nie opanowaliśmy technologii tworzenia kurczliwych włókien. A dopiero wtedy będą one przypominały mięsień sercowy, który jest tak zwaną zespójnią, a nie normalnym mięśniem prążkowanym. To jest rodzaj splotu, w którym część włókien pracuje, a część jest tylko rezerwą, która uaktywnia się w chwilach wzmożonego wysiłku. Tymczasem

wciąż jeszcze w kardiochirurgii używa się elektrycznych pomp z elastyczną membraną. Nie życzę tego nikomu!

Są już oczywiście pierwsze egzemplarze sztucznego serca, o czym pisano szeroko w gazetach, ale to bardzo nieprzyjemna historia, bo wkładają nam do środka dość skomplikowaną maszynerię. Mówiło się też o transplantowaniu serca świni, ale najpierw trzeba wyhodować świnię, która byłaby genowo kompatybilna z organizmem ludzkim. Niestety, nikt jeszcze takiej świni nie widział. Na razie kończy się więc, jak zwykle, na parówkach i kiełbasie.

Jesteśmy więc rzeczywiście na przedprożu nowej ery, ale obserwujemy jej bardzo wczesny etap. Widział pan pierwszy rower? Składał się z dwóch drewnianych kół, a cyklista odpychał się nogami. Tymczasem jak wygląda nowoczesny rower górski? Tytanowe cacko, któremu brakuje tylko prysznica. A samolot Farmana-Blériota? Kompletny prymityw, a tu już projektują nowy hiperodrzutowiec na czterysta osiemdziesiąt osób.

— *Muszę powiedzieć, że chyba pan trochę grzeszy, porównując środki współczesnej medycyny do pierwszych bicykli oraz aeroplanów. Sądzę, że bez jej pomocy nie moglibyśmy dzisiaj rozmawiać.*

— Oczywiście, musimy przyznać, że w medycynie dokonał się olbrzymi postęp. Jeszcze w 1860 roku, o czym opowiadał mi ojciec, chirurg na sali operacyjnej miał długą brodę pełną bakterii i manipulował w brzuchu pacjenta nie umytymi rękami. Sprawy sterylności liczą sobie nie więcej niż sto lat.

— *Z moich rozmów z uczonymi wynika, że człowiek nie może zasadniczo żyć dłużej niż 120 lat. Dlaczego tylko tyle?*

— To nie jest jakaś absolutnie nieprzekraczalna granica. We wczesnym holocenie przeciętna długość życia dla naszego gatunku wynosiła dwadzieścia pięć lat. Obecnie wynosi ona przynajmniej trzy razy tyle. Ale czy jest sens przedłużać to jeszcze bardziej? Po co? Oczywiście postępy

medycyny przesuwają tę granicę, ale jesteśmy stworzeni z materiału, który nie jest wieczny. Musimy w końcu umrzeć.

— Jeśli w czasach prehistorycznych nasi przodkowie żyli dwadzieścia pięć lat, za Łokietka czterdzieści, a dziś około osiemdziesięciu, to jaka linia geometryczna ilustruje ten proces? Czy ona się jeszcze może wspinać do góry?

— Nie, bo to jest tzw. krzywa logistyczna Verhulsta-Pearla, mająca kształt bardzo wyciągniętej litery „s”. Ona wznosi się tylko do zagięcia saturacyjnego, a potem biegnie już poziomo. To oznacza, że pojawianie się ludzi, którzy żyliby sto sześćdziesiąt lat, jest obecnie mało prawdopodobne. Dzieje się tak z powodu dużej ilości nieodwracalnych procesów zachodzących w rozmaitych ośrodkach organizmu, a szczególnie w mózgu. Nawet osiemdziesięcioletni ludzie, którzy rozmawialiby z panem tak jak ja, są rzadkością. Procesy sklerotyczne i miażdżycowe dotykają wszystkich, choć ich tempo i intensywność są naturalnie indywidualne. Do tego mamy jeszcze Alzheimera, Parkinsona i inne przyjemności. W rezultacie staremu człowiekowi niedużo trzeba, żeby umarł.

Może zabrzmi to okrutnie, ale naszym celem nie powinno być przedłużanie życia aż do stu dwudziestu lat. Dużo ważniejsze jest, aby starość nie polegała na zniedołężnieniu, powolnym pogarszaniu się jakości organizmu, nieustannym chromaniu i przerabianiu na własnej skórze niezliczonych przypadłości, które odbierają chęć do życia. A przecież zawsze jeszcze może dojść do nich najgorsze — zidiocenie. Takie czterdzieści lat życia po osiemdziesiątce bynajmniej mnie nie kusi. Jaka to przyjemność? Szczęśliwie w Holandii eutanazja została już zalegalizowana, więc komitety lekarskie decydują tam, czy można już gościa zakatrupić, czy jeszcze nie.

— Nie wyczuwam, czy to sarkazm, czy akceptacja? Jaki jest pana stosunek do eutanazji?

— Osobiście chciałbym mieć pod ręką jakiś lek, który mógłbym sobie łyknąć, gdyby mnie ogarnęła czarna desperacja. Ale żeby miał pan całkowitą jasność: generalnie nie opowiadam się za eutanazją, ponieważ jestem bardzo konserwatywny, a poza tym uważam, że nie należy nikomu wkładać do ręki brzytwy. Oczywiście dla siebie samego robię wyjątek. Z tym, że od razu trzeba dopowiedzieć: kij ma drugi koniec, gdyż obserwujemy światowy trend starzenia się społeczeństw, zmniejszanie się odsetka ilości ludzi zdrowych i zdolnych do pracy, przypadających na populację ludzi chorych i ułomnych. To się będzie na pewno nasilało i wzmagało.

— Tak, ale to jest sytuacja krajów wysoko rozwiniętych, gdzie dzietność wyraźnie spada. W perspektywie globalnej — sam pan to często podkreślał — problem jednak wygląda inaczej.

— W Polsce nie można o tym zbyt głośno mówić, więc nie akcentuję tego z pełną mocą, ale rzeczywiście od dawna już twierdzę, że na świecie przeżywamy demopresję i *sex wars*. To bardzo trudna kwestia, bo w krajach o wysokiej demografii nie wystarczy zwykłe zatrzymanie przyrostu naturalnego, ponieważ nastąpiłoby gwałtowne starzenie się populacji.

— Ono i tak następuje…

— Owszem, i dlatego coraz mniejsza liczba osób zawodowo czynnych będzie musiała pracować na coraz większą liczbę emerytów, rencistów i bezrobotnych. Stąd tak częsta, zwłaszcza w krajach drugiego i trzeciego świata, potrzeba posiadania większej ilości dzieci. Bo tylko one będą mogły nas utrzymać.

— Od czasu naszej ostatniej rozmowy w 1981 roku przybyło na świecie około półtora miliarda ludzi, a zatem jest nas obecnie z grubsza 6 miliardów. Jeśli dobrze liczę, co dwanaście lat będzie przybywał kolejny miliard. Co to oznacza? Rozdymanie się miast i powstawanie dwudziesto-trzydziestomilionowych aglomeracji? Perspektywę wojen?

W jakim stopniu demografia zaważy na najbliższym półwieczu?

— Co będzie się działo w najbliższych dziesięcioleciach? Myślę, że dobitnie pokazują to wszystkie eksperymenty ze szczurami, którym pozwala się na swobodne rozmnażanie. Najpierw pojawia się silne pobudzenie, potem ogólne rozwścieczenie, degeneracja gruczołów nadnercza, a na końcu ataki agresji i szału. To wszystko zresztą widoczne jest już obecnie, ale nikt nie zwraca na to uwagi.

Summa, czyli *panta rhei*

— Zastanawiam się, czy pan wie, że w pierwszym wydaniu naszych rozmów znalazł się rozdział, który powstał sam z siebie. Otóż na taśmach było tyle narzekań na świat, który pana irytuje i nie docenia, że złożyłem to wszystko do kupy. Powstał rozdział, który liczył sobie — bagatelka — pięćdziesiąt stron. Miał nosić tytuł „Pisarz niedopieszczony”, ale w ostatniej chwili zmieniłem go na „Księga skarg i wniosków”. Czy świat się od tamtego czasu poprawił?

— To znaczy, czy zaczął mnie doceniać? Oczywiście, że nie! Moja rola w kulturze i nauce była przez dziesiątki lat (jakkolwiek stawałem się coraz bardziej popularny) jakoś dziwnie spaczana. Wyszło o mnie szereg książek po niemiecku, a po polsku nie ma właściwie żadnej monografii, tylko jakiś bełkot o science fiction. Jeden Jerzy Jarzębski próbował coś sensownego o mnie napisać, do czego zresztą musiał się zdrowo podkształcać w fizyce, teorii informacji i trochę w astrofizyce, ale ponieważ jest człowiekiem przeciążonym pracą, powstała z tego niewielka objętościowo książeczka pt. *Zufall und Ordnung. Zum Werk Stanislav Lems* (Frankfurt am Main 1986)[12]. Na szczęście systematycznie pisze posłowia do moich *Dzieł zebranych*. Większa ich cześć już została wydana przez Wydawnictwo

Literackie. Książka Małgorzaty Szpakowskiej *Dyskusje ze Stanisławem Lemem* (Warszawa 1997) zdecydowanie mnie zawiodła. Jedyne, co mi osłodziło te przykrości, to fakt, że w niemieckiej encyklopedii figuruję nie jako autor science fiction, ale jako filozof. Po prostu! U nas natomiast wszystko jest postawione na głowie. Kiedyś zaproszono mnie na konferencję naukową, odbywającą się częściowo na Uniwersytecie Jagiellońskim, a częściowo w Wydawnictwie Literackim. Jarzębski mówił rozsądnie, kilka innych osób też mówiło roztropnie, ale potem wyszła jakaś niewiasta i zaczęła gadać od rzeczy, że pewna planeta w mojej powieści jest kobietą. To było tak okropne, że już więcej nie poszedłem. Druga część tej konferencji odbyła się w Szczecinie, a trzecia w Niemczech. Wtedy Jarzębski zaproponował: „Proszę pana, my te materiały z sesji przeselekcjonujemy i wydamy, dobrze?" Więc ja na to: „Proszę bardzo". Minęło właśnie dwa i pół roku i nic nie zostało wydane[13]. Czy to zachęcałoby pana do wysiłków intelektualnych?

— *A co myśli Stanisław Lem, kiedy zagląda do poważnych prac literaturoznawczych i czyta o swoim pisarstwie jako modelowym przykładzie postmodernizmu?*

— Odkładam do ciemnego kąta, ale na ogół nawet ich nie otwieram.

— *Ale nie może pan lekceważyć faktu, że wszyscy poważni badacze sytuują pana prozę w obrębie postmodernizmu...*

— To śmieszne, bo kiedy pisałem swoje książki, nie było jeszcze żadnego postmodernizmu.

— *Ale to wcale nie znaczy, że z tego powodu nie można być postmodernistą. Pan Jourdain też nie wiedział...*

— (*zniecierpliwiony*) Ale mnie to w ogóle nie obchodzi! Jestem człowiekiem wolnym, piszę więc to, co chcę i potrafię. Jeśli mnie zainteresowało, co może chcieć wypowiedzieć inteligentny i rozumny komputer, starałem

siebie na jakiś czas przerobić na takie urządzenie, ale żebym miał się przejmować, jak to ktoś klasyfikuje, to już przesada. Te wszystkie systematyki i klasyfikacje mnie w ogóle nie obchodzą.

— *Kaczka na stawie też nie wie, że jest kaczką, i jest to sytuacja naturalna, ale jeśli wybitny intelektualista mówi, że nie interesuje go, w obrębie jakiego ruchu umysłowego go sytuują, to jest to już oznaka…*

— (*przerywa*) Prace całej tej szkoły spod znaku Derridy i Lacana znam, chociaż na wyrywki. I powiem panu, że ja w to nie wierzę! (*dobitnie*) Nie wie-rzę! Supersawantki amerykańskie wypełniały jakiś czas temu „Science Fiction Studies” krytycznymi recenzjami mojego *Kataru*, widzianego właśnie przez mikroskopowe okulary Lacana i Derridy. Powiem krótko: to było dla mnie wybitnie mało czytelne. Napisałem kiedyś krótki artykuł, w którym postawiłem tezę, że jeżeli wszystko, co pisze Derrida, jest na serio, musi podlegać testowi samozwrotności. A zatem do jego tekstów też należy zastosować ten sam zespół powątpiewań. Ale wtedy ta metodologia się rozpada. Przestałem czytać Derridę, bo stoję obecnie na tym samym stanowisku, co Wojciech Skalmowski, że to jest ideologia wyłożona sposobem talmudycznym, polegająca na rozszczepianiu włosa na ośmioro.

Wszędzie teraz szerzy się niekompetencja. W „Gazecie Wyborczej” na stronach poświęconych popularyzacji nauki autorzy piszą o rzeczach, o których często nie mają zielonego pojęcia. Na dodatek nikt tego nie czyta. Czasem mam poczucie, że mówiłem przez pół wieku po chińsku, bo nikt niczego nie zrozumiał ani nie zapamiętał.

— *Ale w przeciwieństwie do wielu ludzi pióra może pan mieć absolutną pewność, że cokolwiek zostanie na tym stole, bez żadnych wątpliwości zostanie pieczołowicie zebrane, opracowane i wydrukowane w „Dziełach zebranych”.*

— Wie pan, ale jak biorę do ręki dwa tomy leksykonu encyklopedycznego *Literatura polska*, wydanego w nakładzie dwustu tysięcy egzemplarzy, i przerzucam stronę po stronie, widzę tu szalenie dużo książek, które zmarły wraz ze swoimi autorami. Ten wodospad książek, spływający ze stołów, jest po prostu gigantyczny. Trudno nie pomyśleć, że u nas panuje okropna amnezja.

Owszem, spotykały mnie przez te lata rozmaite splendory, honory, otrzymałem ordery, to i tamto, ale ciągle mam poczucie, że to, co napisałem, poszło na marne. No, nie powiem, zdarzają się człowiekowi drobne przyjemności, jak wtedy, gdy na moim benefisie w Teatrze Stu odczytano list od marszałka sejmu, Marka Borowskiego. Zaczynał się słowami: „Apentuła niewdziosek, te będy gruwaśne...” Wtedy pomyślałem sobie z respektem: „Ooo, ten to mnie czytał!” Bo to jest cytat z opowiadania o Elektrybałcie z tomu *Bajki robotów*. Poza tym pewnie słyszał pan, że na naszym osiedlu kilka ulic ma być nazwanych imionami niektórych moich bohaterów?

— (*gwiżdże z podziwem*) *Nie słyszałem. Ale to mi się podoba! No i jakie są propozycje?*

— Ulica Elektrycerzy podoba się panu?

— *Bardzo. Mówię serio. Tylko już nie wiem, czego panu potrzeba? Jest pan w światowych encyklopediach, tłumaczą pana na wszystkie języki w milionowych nakładach, we własnym kraju ulice będą nosić nazwy z pana książek, a reżyser „Titanica” pracuje w Hollywood nad „Solaris”. To czegóż chcieć więcej? No, chyba że Cameron kupił prawa do tej książki po to, żeby je mieć, a nie po to, żeby ją ekranizować?*

— Producentem jest rzeczywiście Cameron, ale reżyserować będzie Steven Soderbergh, który niedawno dostał Oscara. Ale mówiłem panu, że w umowie jest zastrzeżenie, że mi się w ogóle nie wolno mieszać do tego filmu?

— *I bardzo dobrze. Bo by się pan kłócił jak z Tarkowskim i zaraz byłyby kłopoty.*

— Oni wcale nie wiedzą, że ja się z nim pożarłem. Tarkowski był bardzo bogatą osobowością, ale jego *Solaris* to film (*z naciskiem*) bez-na-dziej-ny. Niestety, facet był uparty jak dziki osioł.

— *(ze śmiechem) No to niech się pan jeszcze poskarży. Co tam jeszcze panu ekranizują w Hollywood?*

— (*niepewnie*) Noo, potem sprzedałem Niemcom prawa do sfilmowania *Kataru*, ale nie wiem po co. Chyba tylko dlatego, że Szczepański był autorem świetnego scenariusza.

— *I kiedy książka będzie ekranizowana?*

— Za dwa lata. Oni dopiero zbierają na to pieniądze. Na razie wystarczyło im tylko na zaliczkę.

— *(ciągle rozweselony) To niech pan powie, jak jeszcze pana na świecie nie doceniają…*

— To wcale nie jest do śmiechu. Pamięta pan z *Summy technologiae* rozdział *Dwie ewolucje* o paralelizmie między ewolucją naturalną biologicznych systemów i maszynami? Dostałem niedawno ze Stanów książkę Georga Dysona pt. *Darwin Among the Machines. The Evolution of Global Intelligence* (*Darwin wśród maszyn. Ewolucja ziemskiej inteligencji*), którą napisał syn znanego fizyka Freemana J. Dysona. To jest porządna praca, ale on ją opublikował trzydzieści lat po mnie! Czy chociaż pies z kulawą nogą wie o tym? Co, miałem do niego napisać list: „Panie Profesorze, ale ja byłem pierwszy!” No więc się nawet nie odezwałem. Czy ciągle mam z kimś chodzić na udry i upominać się, że powinni byli zaznaczyć, że ja to przed nimi wymyśliłem? Poza tym bardzo mnie poruszyło, że nikt na Zachodzie (oczywiście poza Niemcami) nie odważył się przełożyć tej książki. Ani Amerykanie, ani Francuzi.

— *A Rosjanie?*

— Oni? Oczywiście! Jak byłem w Moskwie, gdzie mieszka trzech laureatów Nagrody Nobla, do wszystkich trzech

byłem zaproszony. A w Polsce? Gdzie są ci laureaci nauk ścisłych?! Gdy do Krakowa przyjeżdżają Rosjanie, Ukraińcy lub Niemcy, zaraz pytają: „Mądry starcze, jak żyć? Na czym polega istota człowieczeństwa?”. Polacy takich pytań nie zadają mi nigdy! Przychodzą głównie młodzi ludzie, którzy bardzo chcą zrobić karierę literacką.

— *Ja nie mam zamiaru robić kariery literackiej, więc panu wynagrodzę te przykrości.*

— (*nieufnie*) No dobrze, a w jaki sposób?

— *Siedzę przed panem jak przed mądrym rabinem i mówię: „Rebe, nie mam dużo czasu i ty nie masz dużo czasu. Powiedz mi w kilku zdaniach, co mam robić, żeby się nie pogubić i nie zmarnować życia?” Jak brzmiałaby odpowiedź?*

— Zawsze starać się zachować intelektualną suwerenność i próbować wyrobić sobie absolutnie własny pogląd na wszystkie rzeczy bliższego i dalszego świata. Czytać wyłącznie pierwszorzędnych autorów i pierwszorzędne dzieła, również w literaturze, by u kresu życia móc powiedzieć tak jak słynny matematyk Niels Abel, który w wieku dwudziestu paru lat wymyślił całki eliptyczne: „Czytałem tylko mistrzów, nigdy uczniów”. Iść w ślad za wielkimi rozpoznaniami naukowymi i starać się nimi wzbogacać, ale nie po to, by wypełniać księgi bełkotem. Wreszcie, być racjonalistą krytycznym, który połknął Poppera i Wittgensteina, więc nie dać się wziąć na haczyk nowościom, bo wszędzie są mody, nie tylko w strojach. One wszystkie jednak przemijają i zostawiają za sobą wykołowanych, którzy za bardzo w nie uwierzyli. Pamięta pan, jak Gombrowicz próbował dogonić Sartre’a? A niech pan zobaczy, dziś z Sartre’a nie zostało nic, zupełnie.

— *A czy pan pamięta, jak kiedyś mówił mi pan, że czuje się w kraju jak Gombrowicz w Argentynie — wykorzeniony, na marginesie. Ale przecież tak już dziś nie jest. Obecnie może pan sobie sprowadzić każde zagraniczne pismo*

naukowe, już nie jest pan jak Robinson Crusoe. Pod tym względem nie ma powodu do narzekań.

— W Niemczech mam o wiele wyższe nakłady niż w Polsce.

— *To się powinien pan cieszyć, bo tam lepiej płacą.*

— (*ironicznie*) Ooo, niech pan spróbuje wyciągnąć od zagranicznych wydawców pieniądze, to zobaczy pan, jaka to przyjemność.

— *Obecnie żaden markowy pisarz nie funkcjonuje na światowym rynku książki bez agentów literackich. To oni za niego wyciskają pieniądze z wydawców.*

— Naturalnie mam swoich agentów literackich, ale to jest bardzo skomplikowane. Mój najwierniejszy przedstawiciel, Wolfgang Thadewald, mieszka w Niemczech. Zawsze wykazywał najwyższą akuratność, aczkolwiek nigdy nie był znawcą prawa autorskiego. Pod względem aktywności finansowej był jednak absolutnie niezawodny i niezastąpiony. Dawniej pracował w urzędzie finansowym, teraz przeszedł na emeryturę. Z kolei w Stanach niby mam formalnie reprezentanta z prestiżowej agencji Artists Management Group, ale on zajmuje się głównie sprawami filmowymi, więc interesy nie przekraczające sumy paru tysięcy dolarów niespecjalnie go interesują. Mam swoje „ambasady” w Rosji, ale Rosjanie płacą słabo, więc nie truję sobie tym głowy, wychodząc z założenia, że ziarnko do ziarnka, uzbiera się miarka. Zresztą z rosyjskim agentem porozumiewam się wyłącznie po angielsku. Śmieszne to wszystko, prawda?

— *A doktor Franz Rottensteiner, który pana reprezentował w Austrii?*

— Rottensteiner był moim agentem, dopóki nie poznaliśmy się osobiście. To były zresztą trudne czasy, jeszcze wtedy nie miałem wielu tłumaczeń, a on z rzadka tylko wpadał do Polski. Nie był zresztą zawodowym agentem literackim, ale wprowadził mnie na światowe forum poprzez Anglię, co udało się po wydaniu *Solaris*,

którą przetłumaczono z francuskiego na angielski. Skądinąd na podstawie tego przekładu Soderbergh musi teraz robić swoją ekranizację. Napisał do mnie jakiś czas temu profesor Philmus z Uniwersytetu Concordia: „Na miłość boską, niech pan coś zrobi, to nie jest porządne tłumaczenie”. Okazuje się jednak, że nie można już nic zrobić.

— *Ciekawe, stereotyp Lema to wyobrażenie człowieka, który znakomicie radzi sobie z agentami, umowami i zarządza sprzedażą swoich książek niczym kapitalista kopalnią.*

— A widzi pan, jest inaczej. Ja w ogóle sobie z tym nie radzę i bardzo bym chciał, żeby ktoś zdjął z mojej piersi ten kamień młyński. Na razie nauczyłem się jednego: najgorsi agenci to tacy, którzy zbyt przywiązują się do moich honorariów, by móc się z nimi rozstać. (*po namyśle, pijąc herbatę*) Ale może jeszcze gorsi są „baloniarze”.

— *To znaczy kto?*

— Tłumacze, którzy zaczęli mnie przekładać, sądząc, że uniosę ich, jak w koszu balonowym, gdzieś w finansową stratosferę. Kiedy jednak okazywało się, że tak nie jest, odczepiali się. Normalnie po upadku z takiej wysokości człowiek powinien się zabić, ale im się nigdy nic nie stało.

— *Poniżej pewnie były inne balony, do których się doczepiali. A jak wygląda teraz pański „interes” zagraniczny, jeśli liczyć go w nakładach?*

— W tej chwili w Niemczech mam łącznie ponad siedem milionów nakładu, w Rosji tyle samo, z tym że po upadku Sowietów same tylko moje *Dzieła zebrane* ukazały się w trzech reedycjach — pierwsze ich wydanie miało chyba dwieście tysięcy nakładu. Oni zmienili zresztą sposób wydawania i pojawił się rodzaj rosyjskiego *pocketu*. Papier jest byle jaki, ale książka jest. W Ameryce moje książki sprzedają się umiarkowanie, największym powodzeniem cieszy się *Cyberiada*, nie licząc oczywiście *Solaris*. Właściwie tylko Francuzi, którzy nie lubią importu, okazali

się odporni na Lema. Za to w Hiszpanii jestem dużo bardziej znany. Swoją drogą Hannah Arendt musiała umrzeć, żeby wydano jej pierwszą książkę we Francji.

Ja jestem na tyle wrażliwy językowo i na tyle znam niemiecki, że potrafię odróżnić przekład wybitny od miernego. Najlepszą moją tłumaczką na niemiecki była Austriaczka Irmtraud Zimmerman-Göllheim, która niestety bardzo młodo umarła. Zdolna była, tłumaczyła też znakomicie Białoszewskiego. Kiedy spotkaliśmy się, przyszła z workiem turystycznym. Mówiła taką samą polszczyzną jak ja. Była absolutnym fenomenem lingwistycznym, bo nauczyła się polskiego w niewiarygodnie krótkim czasie. Tłumaczyła *Bajki robotów*, *Kongres futurologiczny* i *Solaris*, zachowując niezwykłą bliskość wobec oryginałów. Przekonałem się zresztą wtedy, że jest bardzo wiele rozmaitych i jednakowo dobrych metod tłumaczenia, ponieważ mój świetny amerykański tłumacz Michael Kandel, który przełożył *Cyberiadę*, śmiało parafrazował, rozbijał transpozycje i oddalał się od tekstu, ale nigdy nie gubił jego ducha. To było zresztą szalenie trudne.

Niestety jest rzeczą przykrą, że tłumacze często mają dewiację egotyczną, co znaczy, że sami chcieliby pisać. (*ze śmiechem*) Dlatego właśnie Kandel, zamiast tłumaczyć, zaczął później pisać okropnie niedobrą fantastykę. Ale mniejsza z tym. Tutaj widzi pan pierwsze rosyjskie wydanie *Summy technologiae*, którą wyposażono w ochronny wstęp pewnego akademika radzieckiego oraz *zakluczitielnoje* posłowie drugiego po to, żeby wyjaśnić, że ja jednak tego i owego nie dociągnąłem. Oni nie mieli kłopotów finansowych z tym wydaniem, więc tłumaczył dziesięcioosobowy sztab ludzi, między innymi Gromowa i uznany astrofizyk rosyjski Panowkin... Później moim najlepszym tłumaczem w Rosji stał się matematyk Szirokow, który przełożył mi utwory groteskowo-humorystyczne, znajdując doprawdy nadzwyczajne

ekwiwalenty językowe. Gdy trzeba było przełożyć *Summę technologiae* na niemiecki, znakomitym tłumaczem tekstów naukowych okazał się Friedrich Griese, ale doszło do awantur, bo on zażądał jakiegoś specjalnego honorarium, gdyż pracował samotnie, a nie w zespole, jak Rosjanie. Doktor Unseld bardzo się przed tym bronił, wtedy Griese zagroził, że w takim razie będzie tłumaczył „na kolanie". Unseld przez długie lata nie mógł przeboleć tego honorarium, ale książka miała w Niemczech powodzenie, bo wyszły dwa wydania, a potem jeszcze „chodziła" jako *pocket*. Później w NRD usiłowali znaleźć tłumacza do tej książki, który by nie pracował za dewizy, jednak w końcu musieli za ciężkie marki zachodnie odkupić prawa na wydanie licencyjne.

— *Słyszałem, że niekiedy wyrzuca pan za drzwi dziennikarzy. Kiedy ich to spotyka?*

— Bywam srogi, rzeczywiście, i faktycznie od czasu do czasu zrzucam kogoś ze schodów. Oczywiście nie dosłownie, tylko w przenośni. I w ogóle niechętnie udzielam wywiadów, ponieważ nie lubię odpowiadać na idiotyczne pytania, a przede wszystkim nie widzę powodu, żeby ktoś zarabiał pieniądze kosztem mojego czasu. Chętnie za to wygłosiłbym wykład dla fizyków, mniej chętnie dla humanistów.

— *A gdyby zgłosiła się do pana prestiżowa uczelnia i powiedziała, że chce u pana zamówić serię wykładów-ekspertyz?*

— Już to parę razy robiłem, bo co jakiś czas zgłaszają się do mnie jakieś instytucje naukowe, ale żeby to stale robić? Nie! Jestem przeciążony pracą, a poza tym mam przecież osiemdziesiąt lat. Samo odwalanie korespondencji to już jest ciężka robota, której sam nie mogę podołać. Niech pan zobaczy, tu na ścianie wisi szarfa Bractwa Gutenberga. Kiedy jej przedstawiciele zwrócili się do mnie, prosiłem ich żeby dali mi spokój, bo naprawdę nie mam już na nic czasu, a oni na to: „Nie będzie Pan miał żadnych obowiązków"!

Przynieśli mi dyplom, więc go sobie powiesiłem. Ale teraz już piszą: „Mamy nadzieję, że Pan do nas przyjedzie, będzie uczestniczył, coś wygłosi”. Czyli kolejna pułapka. A ja już niczego nie chcę wygłaszać i skóra mi cierpnie na samą myśl o tym, co Wydawnictwo Literackie wymyśli na program mojego jubileuszu. To jest przerażające![14]

— *We Wrocławiu istnieje Salon profesora Dudka, w którym raz w tygodniu spotyka się kilkudziesięciu uczonych różnych dyscyplin, by przez kilka godzin dyskutować do upadłego nad jakimś problemem. To powinno by pana zainteresować.*

— W tej chwili już nie. Jestem na to za stary, bo nie ustoję czterech godzin w ogniu dyskusji. Poza tym zauważyłem, że u nas we wszystkich dyscyplinach naukowych, co jest bardzo nieprzyjemne, ujawnia się wyjątkowo dużo zawiści, a nawet nienawiści. Więcej niżby wypadało. Dostrzegam znacznie więcej złej woli niż dokonań. Nie mówię już o tym, że polscy uczeni zbyt często posługują się wiadomościami już przetrawionymi... Dlatego nie lubię nigdzie chodzić, wygłaszać kazań i pouczać. Z poczucia obowiązku przyjmuję tylko czasem dziewczyny i chłopców ze studium literackiego. W Sowietach też były takie szkoły dla pisarzy. Jak przychodzą, zachowuję się jak Gombrowicz, który mówił do adeptów tego typu szkół: „uciekajcie drzwiami i oknami”.

— *Ja słyszałem coś innego od przyjaciół, którzy tam wykładają. Oni mówią, że dość chętnie się pan u nich udziela...*

— Eee tam!

— *... ale potwierdzają, że faktycznie z dużym zaangażowaniem zniechęca pan tych młodych ludzi do pisania.*

— Jasne!

— *No więc dobrze, ale czegoś ich pan tam uczy. Trudno sobie wyobrazić, żeby robił pan to ze złą wolą. Co pan im*

wbija do głów?

— Ja ich konsekwentnie zniechęcam i tłumaczę, że „nikt nie zna dróg do potomności, jeno po samodzielnych bojach…” No wie pan, wykładów im nie robię, bo to nie miałoby najmniejszego sensu, więc opowiadam im, jak to u mnie przebiegało, i tłumaczę, że droga życia pisarza jest dość koślawa, bo ja sam przecież nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że kiedyś zrobię się dla kogoś ważny, a moje pisanie z czasem będzie nabierało coraz większej wagi. Ponieważ z początku miałem ogromną łatwość tworzenia, więc ostrzegam przed taką cechą i nie zachęcam do pisania wierszy (zwłaszcza bez rymu i rytmu), zapewniając, że suma życiowych doświadczeń, a zatem to, że z niejednego pieca chleb się jada, jest ważna dla pisarza. Nie trzeba być koniecznie „zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu”, ale dotykanie życia wzbogaca, uświadamia różnorodność ludzką, a poza tym ujawnia kruchość światopoglądów i ich zależność od wypadków historycznych i ustrojów. Najbardziej jednak zacząłem zniechęcać słuchaczy do pisania, gdy zaczęła się komercjalizacja. Odtąd już zawsze wyjaśniam, że aby zostać pisarzem, trzeba się bardzo w życiu namęczyć, a już najlepiej mieć bogatą ciotkę.

— *Niestety, z tego, co słyszę, nigdzie na świecie* writing schools *nie dają dobrych rezultatów. Więcej pisarzy rodzi się na ulicach niż na tych elitarnych kursach uniwersyteckich.*

— Też tak słyszałem. Barbara Cartland, która miała dziewięćdziesiąt lat, napisała dziewięćdziesiąt książek. Wszystkie miały bardzo wysokie nakłady. Mrożek kupił więc pewnego dnia któryś z jej tomów, żeby dowiedzieć się, jak produkować bestsellery. Przeczytał i wstrząśnięty napisał do mnie list z Meksyku: „Nigdy! Prędzej dam z siebie drzeć skórę pasami, aniżeli napiszę coś takiego jak ona”. (*refleksyjnie*) Ale jednak w końcu złamał się i napisał po angielsku *Wielebnych*.

— *Czym go złamano?*

— Konkursem na sztukę za ćwierć miliona dolarów. Nagrodę ufundował Onasis. Sławek przysłał mi tekst w maszynopisie i pyta, co o tym myślę. Ja mu na to: „Wiesz, dziwaczne”. A on na to: „To nie jest dziwaczne, tylko pod to jury”. (*śmiechy*)

— *No i co? Zarobił coś na tym konkursie?*

— Eee tam, nadesłano coś ze dwa tysiące sztuk, więc nie dostał nawet wyróżnienia. Gdy przyjechał do Krakowa, zaklinał się, że nigdy jej w Polsce nie ogłosi.

— *A dlaczego?*

— Bo tam jest opisana historia anglikańskiego probostwa, na które przyjeżdża dwóch kandydatów na proboszcza: jeden jest przechrzczonym Żydem, a drugi przebraną kobietą. Nie czytał pan tego? Bardzo mi to „smakowało”, ale niestety sztukę zjechano. Było mi smutno zarówno z tego powodu, jak i dlatego, że on ją wydał. A już najbardziej cierpiałem z powodu jego Epifanii.

— *To ta farma w Meksyku?*

— No tak, on ją nabył za ciężki grosz, ale kiedy postanowił wrócić do Krakowa, akurat zaczęły się trząść okoliczne wulkany, a popiół sypał im się na głowy. To była okropnie chybiona inwestycja, bo on nie znał jeszcze wtedy hiszpańskiego, a ze swoją meksykańską żoną Susaną porozumiewał się wyłącznie po angielsku. Kiedy kupili tę estancję, okazało się, że jej obsługa (były tam ze dwie lub trzy dziewuchy) to prostytutki, które w wolnych chwilach uprawiają swój zawód, a zarządca jest zwykłym kryminalistą, który chodzi z wielkim rewolwerem za pasem. Gdy przyjechała z Polski telewizja, nie wpuścił ekipy do środka, więc filmowali jego wypowiedź pod bramą, ale trzeba dodać, że po obu stronach tej bramy nie było nic, bo tam dalej nie ma żadnego ogrodzenia. (*długie śmiechy*) Ale ponieważ Sławek nie znał języka, więc nie wiedział, co kupuje.

— *Ale żona znała!*

— No wie pan, te dziewczyny przecież się przed nimi nie reklamowały: „jam kurwa”! Potem zbudował sobie wieżę, w której miał pisać i rozmyślać, ale na szczęście zauważył, że ona się przekrzywiła, gdy te wulkany się ożywiły, a na jego gospodarstwo zaczął z nieba spadać popiół. Kiedy Susana wybierała się do miasta, zawsze brała ze sobą wielki nóż rzeźniczy, bo tam było dość niebezpiecznie. Sławek też chyba miał rewolwer. Więc z jednej strony był bandyta, z drugiej kurwy, z trzeciej na horyzoncie dymiły wulkany, a na dodatek przyplątała mu się koszmarna historia z tętniakiem. On nie chciał się operować, ale na szczęście Susana zawiozła go do amerykańskiego szpitala, gdzie przeszedł ośmiogodzinną, poważną operację, podczas której założono mu na aortę opatrunek z teflonu. Gdyby nie ona, już by z tego nie wylazł. To stało się dosłownie w ostatniej chwili, gdyż miał już krew w płucach, co znaczy, że był jedną nogą na tamtym świecie. Gdy po przyjeździe do Polski poszedł do Dziatkowiaka (to bardzo znany kardiolog), profesor powiedział mu: „Ten teflon pana przeżyje”.

Wszystko to skłoniło go do powrotu do Polski. Ale niestety z powodu tych wulkanów nikt farmy nie chce kupić, a płacić czynsze czy podatki trzeba. Na dodatek — będąc tam jeszcze i rozumując na pozór logicznie — Sławek doszedł do wniosku, że pewnie niedługo umrze, więc trzeba zabezpieczyć żonę, i wtedy podpisał ze szwajcarskim wydawnictwem Diogenes umowę, że oni w zamian za pięćdziesiąt procent zysków z jego dochodów światowych zajmą się wszystkim. No i teraz jest w kropce, bo żyje, z umowy już się wycofać nie może, a wulkany są bardzo aktywne. Wie pan, takiej historii to i Mrożek by nie wymyślił. (*śmiechy*)

— *Okropna historia, aż wstyd się śmiać. Jakiś czas temu powiedział mi pan, że nie należy za dużo pisać. Dlaczego?*

— Gdy pisze się więcej niż jedną książkę rocznie, zaraz zaczyna się zjeżdżać poziomem w kierunku *Miasta*

atomowego lub *Historii o wysokim napięciu*.

— *Agatę Christie i Simenona pan dość lubi, choć oboje pisali znacznie więcej niż jedną powieść rocznie.*

— Gdy siedziałem w Wiedniu i nudziłem się jak mops, kupiłem sobie wszystkie książki Christie po niemiecku. Było ich z pięćdziesiąt, ale okazało się, że jak się już raz ogarnie ich schemat, pozostałych można nie czytać. Kiedy w czasach PRL-owskich nie mogłem dostać „International Herald Tribune", słuchałem zagranicznych radiostacji radiowych i na ich podstawie próbowałem sobie wyobrazić, co mogliby w „Heraldzie" napisać. Później na ogół się zgadzało, bo przecież z grubsza wiedziałem, co mogą zrobić demokraci i jak na to zareagują republikanie. Wie pan, to wszystko jest bardzo łatwe.

— *Zawsze słyszałem, że uprawianie felietonistyki, zwłaszcza stałej, jest dla pisarza ogromnym obciążeniem psychologicznym, bo zaczyna pracować w rytmie tygodniowym. Pana felietony „chodzą" już od dawna systematycznie w „Tygodniku" i w „Odrze". Czy nie woli pan pisać w swoim własnym rytmie, a nie w rytmie czasopism?*

— Po pierwsze, nie mogę już teraz pisać, bo zrobiła mi się jakaś przypadłość neurologiczna, która sprawia, że na maszynie nie mogę pisać sam, bo coraz częściej nie trafiam w klawisze, a na komputerze nie umiem. Dlatego mam obecnie cały sekretariat – komputer, faks i skaner. Zorganizował mi to wszystko mój sekretarz, pan Wojciech Zemek. Dzięki niemu powstało *Okamgnienie*, bo mu je w całości podyktowałem.

— *Ale mnie interesuje, czy nie ciągnie pana do beletrystyki?*

— Nie ciągnie mnie. Wydałem już ponad czterdzieści cztery tomy prozy i teraz samo tylko administrowanie tym dorobkiem, zwłaszcza w zakresie światowym, znacznie przekracza możliwości zarówno moje, jak i pana Wojtka. Naprawdę! My się już gubimy w tym, bo nagle okazuje się,

że w jednym miejscu wydają mi coś po fińsku, w drugim po łużycku, a w trzecim Baskowie (ci od bomb) wystawiają jakąś sztukę, więc przychodzi czek na sto dwadzieścia dolarów, ale nie wiadomo dokładnie za co. Nie mówię już o większych kontraktach, takich jak z Jamesem Cameronem. „Co pan na to, że 20th Century Fox robi ekranizację pana powieści?” — pytają mnie dziennikarze. A ja nic na to, bo nic nie wiem, ponieważ tak stanowi umowa. Nie jestem już w stanie nawet obejrzeć adaptacji utworów, które napisałem, więc brak mi motywacji, żeby dorzucać drew do tego ognia. Prawdę powiedziawszy, straciłem już apetyt na beletrystykę.

— *Ale teoretycznie mógłby pan dyktować powieści. Dostojewski to robił z dobrymi rezultatami…*

— Tak, oczywiście. Ale do dyktowania prozy fabularnej trzeba mieć „dłuższy oddech”, a ja coraz częściej zaczynam rozumować na zasadzie: jeśli mam już dwadzieścia osiem milionów egzemplarzy nakładu światowego, to czy muszę mieć trzydzieści milionów?

— *Nie o tym mówię, ale o radości pisania, przyjemności wymyślania nowych światów.*

— Kiedyś mnie to bardzo bawiło. Ale dzisiaj? Zupełnie niepotrzebne. Czasem mam wrażenie, że napisałem szereg utworów przypominających trudne do spostrzeżenia szklane łodzie podwodne. Większość z nich jest już na suchym lądzie i osiadła na mieliznach realizacji.

— *No przecież są rzeczy, które muszą pana „kręcić”. Choćby wirtualna rzeczywistość…*

— (*niechętnie*) Musiałbym swoją wyobraźnię wzmóc do wyższej potęgi… Wie pan, napisałem jedno czy drugie opowiadanie o tych możliwościach, ale nie byłem zadowolony. Na przykład wymyśliłem historię faceta, który zamawia sobie komputerowy program świata wirtualnego, w którym może zgwałcić lub zamordować dziewczynkę (na przykład taką, którą widzi przez płot u sąsiada). Nie tylko mojej żonie, ale i mnie samemu to się nie podobało.

Było w tym coś obrzydliwego. Wszystko można napisać, a rzeczywistość staje się coraz bardziej odstręczająca.

— *To jest wizja, która kojarzy mi się ze sceną w realu z „Powrotu z gwiazd”. Nawiasem mówiąc, moja córka niedawno czytała tę książkę po wizycie w Futuroskopie we Francji. Mówiła mi, że wrażenie realności ekranowych zdarzeń jest niewiarygodnie intensywne. A już lada dzień założą nam w kinach hełmy z emitorami na gałki oczne… Wtedy wszystko będzie już jak prawdziwe. Notabene, powiedziałem córce, że pan już nie pisze takich książek, tylko eseje, a ona na to z zawodem: „Dlaczego?”*

— Bo wystarczy.

— *Ale tym sposobem młode pokolenie już się nie załapie na Lema….*

— To nieważne. Czy jeśli ma pan dziesięć tysięcy par bucików do wyboru, czuje się pan wzbogacony? Nie sądzę. Kiedyś uchodziłem za pisarza dla młodzieży i słyszałem ciągle komplementy w rodzaju: „moje dzieci mają wszystkie pana książki”. Już wtedy czułem opór przed pisaniem następnych. Poza tym dawniej przyjemność pisania polegała w dużym stopniu na spuszczaniu wyobraźni z łańcucha. Dzisiaj nie mam już tej potrzeby.

— *Ale dlaczego?*

— Ze względu na to, że znam zbyt wiele faktów, które wymagałyby wyruszania w nieprzyjemną przyszłość. Ona jest naprawdę groźna. Jak długo te wyprawy myślowe odbywały się w przestrzeni *Cyberiady* albo *Dzienników gwiazdowych*, nie miało to jeszcze takiej realnej wyporności jak teraz, bo było trochę jak pływanie we śnie. Obecnie jednak wiele z tych paskudnych rzeczy już się realizuje. Poza tym, kiedy mam w telewizorze czterdzieści programów z satelity, to nawet nie chce mi się do niego podejść. Kiedy wyłączy się w nim dźwięk, nie sposób powiedzieć, czy ogląda się program francuski, turecki, niemiecki czy angielski, bo wszystkie są zrobione na jedno kopyto. Pchać się w ten tłum z powodów materialnych nie

mam potrzeby, a udzielanie pouczeń w huku tych wrzasków jest chyba jałowe. Zbyt dużo jest tych książek i głosów. Kiedy widzę *Harry'ego Pottera*, który ma już miliony wydań, czuję się zniesmaczony, bo nie mam ochoty brać udziału w takim maratonie. Jego warunki są zbyt odstręczające.

— *Ja nie myślę wcale o walce o czytelników, ale o radości, jaką daje zamieszkanie w wymyślonym przez siebie świecie i zarządzanie nim niczym Pan Bóg.*

— Tak kiedyś rzeczywiście było, ale to już minęło. Najlepsze, co można zrobić w mojej sytuacji, to uznać, że nie ma się już niczego nowego do powiedzenia, ale nie w sensie nowych pomysłów fabularnych, bo to jeszcze dałoby się zrobić. Myślę o tej dużo głębszej warstwie pisania. Wie pan, jak kończyli Prus, Żeromski, Sienkiewicz, i pamięta pan chyba ich ostatnie powieści. Ja się zawsze strasznie bałem takiego końca. Lepiej już nic nie pisać niż pisać tak słabo. Nie mam już poczucia, że jeszcze coś muszę. Kiedy jakiś czas temu otrzymałem do korekty *Szpital Przemienienia*, a jest to książka napisana w 1947 roku przez dwudziestosześcioletniego chłopaka, widziałem czarno na białym, do jakiego stopnia to się ze mnie „wylało". Nie było przecież tak, że ja sobie coś z góry planowałem, konstruowałem... Po prostu siadłem i napisałem. W tym był niepowtarzalny urok pisania, kiedy w ogóle nie bierze się pod uwagę tego, czy to w ogóle wyjdzie, czy nie, czy to się komuś spodoba, czy nie. Nic mnie to wtedy nie obchodziło. A dziś muszę powiedzieć krótko: kiedy można już wszystko, nie można nic.

— *Czy chce pan powiedzieć, że tworzenie fabuł i cieszenie się narracją jest znamieniem tylko młodzieńczego wieku? Walkę o utrzymanie się już ma pan za sobą, strasznie dużo pan wie, więc już się uczyć nie trzeba, dziećmi nie musi się pan już zajmować, a wnuki to sama przyjemność. Wydawałoby się, że to jest dobry czas do opowiadania mądrych historii?*

— Mogę racjonalizować, ale to jest pewnie racjonalizowanie wtórne. A być może w ten sposób usprawiedliwiam swoją niemoc? Przecież tego nie wiem. Przez długie dziesiątki lat dopisywałem kolejne części do *Dzienników gwiazdowych* czy *Cyberiady*, a potem poczułem, że już nie warto, bo jest to gleba kompletnie wyeksploatowana. Napisałem jeszcze *Golema XIV*, którego lubię, ale czy można dalej rozmnażać rodzinę hiperintelektualnych komputerów?

— *Rodzinę pewnie nie, ale wykłady Golema można…*

— (*z powątpiewaniem*) Nie bardzo. Najuczciwiej, ale i najprymitywniej byłoby powiedzieć, że po prostu straciłem ochotę, straciłem wiarę, że mogę napisać jeszcze coś takiego jak *Solaris*.

— *Mój Boże, znam większość pisarzy polskich. Nikt nie potrafi opowiadać tak jak pan. Urodził się pan po to, by pisać książki „do czytania”.*

— A kto powiedział, że mam zajmować się literaturą piękną do końca życia? Człowiek przez pewien czas wykonuje swój zawód, ale potem może go zmienić. Pisałem to, co było zabarwione humorem, czasem brakiem humoru. Robiłem, co potrafiłem, książki były emanacją mojej wyobraźni. Każdy powinien robić to, co umie, a mnie się wtedy wydawało, że potrafię pisać. Potem to przekonanie osłabło i zszedłem z kortu. Zainteresowania słabną, okoliczności się zmieniają. Zbyt dużo z tego, co było moją czystą fantazją, nieodpowiedzialnym pławieniem się w fantasmagoriach, stało się realne. I o dziwo, rzeczywistość jest dzisiaj znacznie bardziej karykaturalna niż wytwory mojej wyobraźni. Poza tym na świecie zaczęło się już dziać tyle ciekawych rzeczy, że dalsze wyścigi fantazji z frontem zachodzących zjawisk są daremne. Na moim biurku leży numer „American Scientist”, w którym jest mowa o mikromaszynach atomowych. Nie mam takich motywacji, żeby konkurować z rzeczywistością. W tym momencie już jej nie wyprzedzę. Zacząłem więc

sięgać do materiałów *par excellence* naukowych, które są niewyczerpanym źródłem inspiracji.

Na moją decyzję o zarzuceniu beletrystyki miały również wpływ wydarzenia polityczne. Teraz, kiedy język ezopowych aluzji stał się zbędny, nie walczę z władzą za pomocą pióra. Pozostały jedynie gesty, takie jak podpisywanie deklaracji, których nikt nie czyta. Są rzeczy, które wyszły z mody, albo stały się po prostu jałowe. Niechętnie pisałbym na przykład o ekspansji kosmonautycznej, bo nie wierzę, że ludzie mogliby skolonizować Marsa. A o rzeczach pozbawionych sensu najrozsądniej jest milczeć.

— *Ale pan nie milczy, tylko pisze namiętne sylwy i felietony...*

— Ale to nie są prawdziwe felietony. *Okamgnienie* na przykład napisałem jako konfrontację moich starych, sprzed czterdziestu lat, wizji i marzeń z rzeczywistością. Wtedy opracowałem coś w rodzaju przewodnika po górach. Nawet w najgorszych snach nie przypuszczałem jednak, że ludzie będą się pchali w najmniej ciekawe miejsca. Nie spodziewałem się także tak silnej komercjalizacji. Niestety, głównym celem doskonalenia technologii są względy militarne albo finansowe. To smutne. Kiedy zastanawiam się nad przyszłością ludzkości, czuję niepokój. Mam wrażenie, że stoimy na kolosalnej obrotnicy, takiej jak w parowozowni. Nie wiemy, w którą stronę zostaniemy skierowani. Jeżeli poddamy się naciskom rozwijających się samorzutnie technologii, grozi nam niebezpieczeństwo.

W „International Herald Tribune” widziałem ilustracje pokazujące kurę, która znosi jajko, oczywiście nie byle jakie, lecz zawierające lizozym (antybiotyk). Sąsiadowała z nią koza, z której mleka można wyłowić bardzo wytrzymałe pajęczyny. Za pomocą genów dodawanych zwierzętom naukowcy otrzymują najdziwniejsze rzeczy. Trochę się tego boję. Opowieść o Jasiu, Małgosi i piernikowym domku czarownicy, póki była szczerą fantazją, nie mogła nikomu zaszkodzić. Natomiast

zobaczenie prawdziwej słodkiej chatki i pożarcie całego dachu grozi niestrawnością. Wszystko, co kusi, jest pomiędzy wyciągniętą ręką a owocem. Zerwany, okazuje się zgniły, przejrzały i już nam nie smakuje. Tak jest na przykład z dostępem do informacji.

Co z tego, że wielu ludzi ma dzięki komputerom genialne możliwości przetwarzania danych, jeżeli w każdej chwili mogą być sparaliżowani przez internetowy wirus? Technologia otwiera nowe możliwości czynienia zła bliźniemu. Jako człowiek z natury okrutny, facetów, którzy wymyślają wirusy typu *I LOVE YOU*, chętnie puszczałbym na ścieżki zdrowia i smagał, a na mecie tatuowałbym im na czole napisy „wróg ludzkości numer jeden”.

Irytuje mnie zło i głupota. Zło wynika z głupoty, a głupota się żywi złem. Telewizja jest pełna przemocy i uzwykla wyrządzanie zła. Dzięki technologii spotęgowała się anonimowość zbrodni. Internet ułatwia czynienie bliźniemu, co mu niemiłe. Niedawno czytałem o młodym człowieku, który z hotelowego pokoiku usiłował, nieomal skutecznie, opanować główny komputer lotniskowca amerykańskiego. Gdybym to napisał trzydzieści lat temu, wszyscy by powiedzieli, że zwariowałem. Dziś taki paradoks mieści się w granicach możliwości.

Cała historia ludzkości to jedno mgnienie sekundy na geologicznym zegarze. Żyjemy w tempie nieprawdopodobnego przyspieszenia. Jesteśmy w sytuacji człowieka, który wyskoczył z dachu pięćdziesięciopiętrowego wieżowca i w tej chwili znajduje się na wysokości trzydziestego piętra. Ktoś się wychyla i pyta: „Jak tam?”, a spadający mówi: „Na razie wszystko w porządku”. Nie zdajemy sobie sprawy, jak ogromna prędkość nami zawładnęła. Mając coraz silniejsze technologie, coraz słabiej kontrolujemy kierunek, w jakim one zmierzają.

Zawsze chciałem konfrontować moją twórczość z rzeczywistością, aby dokonać bilansu. Tymczasem

rzeczywistość realizowała moje fantasmagorie zbyt często w karykaturalnych wykoślawieniach. Przykładem mogą być japońskie zabawki. Pisałem kiedyś o takich samoistnych urządzeniach, ale nigdy nie przyszłaby mi do głowy idea masowej sprzedaży elektronicznych piesków i kotków. Mamy w domu psy, ale żadnego z nich nie zamieniłbym na ceramicznego bałwana, który chodzi i udaje, że szczeka. Mój pomysł został zdegenerowany.

— *Wszystkie genialne wynalazki są okupione umasowieniem i trywializacją. Wynalazek druku pięćset lat temu otworzył wielkie możliwości, ale mieli je tylko wybrani. Dziś w każdym kiosku leży masa chłamu.*

— Zapewne. Wells opisywał walki zeppelinów, które ostrogami rozpruwały sobie powłoki. Lotnictwo miało zjednoczyć ludzkość, tymczasem okazało się, że najlepiej nadaje się do bombardowania. Większość technologii ma w marzeniach świetlany awers, który dla prekursorów był jaśniejącą w ciemności gwiazdą, ale życie dodało im rewers, czyli czarną brudną rzeczywistość, mniej lub bardziej trywialną. Czołową ilustracją tego procesu jest wynalazek Forda. Dziś problem sprawia już nawet nie jazda, ale zaparkowanie samochodu. Poza tym podcinamy gałąź biosfery, na której siedzimy. Wszyscy fachowcy o tym wiedzą, ale żaden jeszcze nie wymyślił na to lekarstwa, pomimo że odkrycia naukowe nas zalewają. Ostatnio, ze względu na okropny ścisk, który panuje nie tylko w środkach masowego transportu, ale również w nauce, każdy stara się wymyślić coś innowacyjnego. Jak na znanej rycinie — widać tłum, a z jego środka ktoś woła: „Panie Boże, tu jestem!”

— *To prawda, że wszędzie jest straszny ścisk. Ludzie mają bardzo mało czasu i szybko się żyje.*

— Mnie też go brakuje. Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, a kilka trzeba poświęcić na sen. Jak człowiek niegdyś głodzony gromadzi wiktuały, tak ja ściągam na moją biedną głowę więcej książek i periodyków

naukowych, niż jestem w stanie pochłonąć. Mam pisma sprzed kilku tygodni, których nie zdążyłem nawet otworzyć. Donoszą w nich o odkryciach naukowych, które z każdym dniem się dezaktualizują. Rośnie liczba uczonych, a każdy chce rozbłysnąć jak gwiazda. Spadające gwiazdy, błysnąwszy, gasną. Ze mną jest tak samo. Nawet jeżeli kiedyś byłem prekursorem, moje książki nikogo już dziś nie zadziwią.

— *A jaką przyszłość wróży pan książce? Czy przetrwa?*

— Wkraczamy w dobę cywilizacji obrazkowej, ale myśli nie da się zamienić na obrazki. Dlatego książka przetrwa, chociaż prawdopodobnie zmieni formę. Papier już zamienia się w rodzaj ekranu telewizyjnego. Proszę sobie wyobrazić pokój wytapetowany ekranami telewizyjnymi! Panu się to pewnie podoba, ale mnie napełnia niesmakiem, a może nawet grozą. Ale nic nie poradzę na modę do usprawniania wszystkiego. Ostatnio często spotykamy się z „inteligentnymi" urządzeniami AGD. Ponieważ inteligencji nie można wszczepić maszynom, pojęcie to rozciągnęło się jak worek. „Inteligentna" pralka rozróżnia kolorową i białą bieliznę, dobiera rodzaj proszku oraz temperaturę. Lodówki nie trzeba rozmrażać, bo sama się oczyszcza. To jest raczej skromna inteligencja. Przypomina mi to instynkt muchy, która oczyszcza sobie skrzydełka nóżkami.

— *O cywilizacji naszego wieku wypowiada się pan źle. Po dwudziestu latach od naszego ostatniego spotkania widzę pana jednak w niezłym zdrowiu. Przed wojną ludzie w pana wieku opowiadali już tylko bajki o wojnie w Mandżurii i nikt ich nie słuchał. Pan natomiast nadal wydaje kompetentne werdykty na temat współczesnego świata. Niewdzięcznością jest rzucać klątwy na cywilizację, która trzyma pana przy życiu.*

— Nie mogę występować w charakterze faceta, który przedstawia historię swoich niezliczonych chorób tudzież operacji, których na nim dokonywano, bo byłoby to nieapetyczne. Gdybym panu opowiedział o swoich

dolegliwościach, nie upierałby się pan przy swoim sądzie o moim świetnym zdrowiu. Prawdę mówiąc, ledwie zipię.

— *Tego nie widać...*

— Chwilowo się zmobilizowałem (*śmiech*). Szuflady mojego biurka i szafy są pełne leków, które, nie wiadomo po co, przedłużają mi życie. A świat jest rzeczywiście okropny. Jeszcze trochę się ruszam i trochę pamiętam. Po wojnie powiedziałem do niewiasty, o której rękę zabiegałem, i która została moją żoną, że po moich okupacyjnych przeżyciach nic mnie już nie zmartwi i nie przestraszy. Okazało się to nieprawdą. Potem było bowiem Kosowo, Czeczenia, terrorystyczny atak na Nowy Jork[15]. Koszmar wracał. Jest tylko jeden człowiek na świecie, któremu wszystko się podoba — Francis Fukuyama. Według niego historia się skończyła. Nie szanuję go... Koniec świata jest dla mnie jednoznaczny z końcem mojego życia. Myślę, że jesteśmy śmiertelni po to, żebyśmy tworzyli to, co śmiertelne. *Panta rhei*.

— *Myśli pan często o śmierci?*

— Nie za bardzo. Mnie sama myśl o śmierci nie przeraża, ale mam wyraźne poczucie, że z życiem nie jest tak jak w teatrze, że coś się zaczyna, później następuje rozwinięcie akcji i jakiś epilog, a wszystko się kończy wieńczącym całość akordem. Człowiek rodzi się bowiem w przypadkowym momencie i umiera w takim samym momencie, i nie mamy na to żadnego wpływu. Śmierć w tę kompozycję wsuwa się bezceremonialnie bokiem.

— *Zawsze słynął pan z poczucia humoru. Przyznam, że z żadnym pisarzem polskim nie śmiałem się tyle, co z panem. Ale jednocześnie widzę, że ten humor z latami przyprawiony jest coraz większą goryczą. Jak się ma poczucie humoru do wieku?*

— Niech pan zobaczy moje świeżo wydane *Dyktanda*, a przekona się, jak pisałem trzydzieści pięć lat temu. To było pełne wigoru. Żadna myśl o tym, że autor tych słów

niedługo umrze tam się w ogóle nie pojawia. Przypominam sobie najcięższe lata stalinizmu: medycyny skończyć nie mogłem, boby mnie wzięli do woja, w Konwersatorium pracować nie mogłem, bo ministerstwo je rozwaliło, swojej debiutanckiej książki wydać nie mogłem, bo upaństwowili Gebethnera i zabrali wszystko do Warszawy, więc jeździłem do upadłego pociągami, ale nic uzyskać nie mogłem. Można by się załamać, prawda? A ja w tym samym czasie pojechałem z Romkiem Hussarskim do majora Płońskiego z dowództwa Okręgu Wojskowego, żeby pozwolił nam jeździć po polach bitew w okolicy i zbierać złom na elektryczny samochód, który chcieliśmy zbudować z na wpół spalonego messerschmitta.

— *Głowiński napisał kiedyś zabawny tekst pt. „Starsza pani ponuro patrzy na świat", w którym tłumaczył, dlaczego starzy ludzie coraz bardziej narzekają na świat i nic im się nie podoba. Według niego tak właśnie psychika ludzka broni się przed perspektywą odejścia. Łatwiej bowiem pożegnać świat, którego się nie lubi, niż ten, który wydaje się piękny.*

— Nie wiem, czy to prawda. Ja czuję się odosobniony i osamotniony z wielu powodów. Partnerów do dyskusji straciłem już częściowo ze względów czysto biologicznych, bo po prostu żyli krócej ode mnie. W środowisku literackim zawsze byłem ciałem obcym, bo moje zainteresowania nie pochodzą z dorzecza humanistycznego. Ilość bzdur i chłamu, która mnie otacza, budzi moje autentyczne przerażenie. Kiedy czytam książki i gazety, bo jak mówiłem, telewizora już nie włączam, mam coraz częściej wrażenie, że grzebię w śmietniku. Co tu dużo gadać — naprawdę czuję się coraz bardziej niepotrzebny. A teraz, aby efektownie zakończyć naszą rozmowę, wyciągnę pistolet i zacznę strzelać w pańskim kierunku.

— *Proponowałbym w kierunku psa, bo można go upiec i zjeść, a ze mnie byłoby tłuste mięso.*

— Tak, tłustego rzeczywiście mi nie wolno, bo sam jestem tłusty. A swoją drogą, ciekaw jestem, co pan teraz zrobi z tymi taśmami? To jest niewykonalne.

— *Liczę, że komputer mi pomoże.*

— (*z powątpiewaniem*) Komputer? Sam? Już panu tłumaczyłem, że on jest głupi.

Nota wydawnicza

Tako rzecze Lem to poprawione i poszerzone wydanie *Rozmów ze Stanisławem Lemem*, które powstały pomiędzy listopadem 1981 roku a sierpniem 1982 roku i ukazały się nakładem Wydawnictwa Literackiego w 1987 roku. Obecna edycja przywraca fragmenty, które z pierwszego wydania usunęła cenzura — przede wszystkim obszerne wspomnienia lwowskie z okresu okupacji sowieckiej w rozdziale *Czas nieutracony*. Dodatkowe rozmowy nagrane we wrześniu i grudniu 2001 roku pozwoliły na rozszerzenie pierwotnej wersji książki o trzy nowe rozdziały (*Lube czasy*, *Wizja lokalna* i *Summa, czyli panta rhei*), dotąd nie publikowane, zwiększające o jedną trzecią objętość książki. Zamieszczony w wydaniu z 2002 roku rozdział pt. *Czarna bezwyjściowość sytuacji* w tej edycji zostaje pominięty ze względu na swą polityczną doraźność (reakcja pisarza na stan wojenny).

Autorzy wprowadzili do tekstu pierwszych rozmów szereg poprawek merytorycznych i stylistycznych. W wydaniu elektronicznym dokonano kolejnych korekt.

Indeks nazwisk

Abel Niels
Achmatowa Anna (właśc. A.A. Gorienko)
Adamski George
Adenauer Konrad
Aichinger Ilse
Aleksander III Wielki zw. Macedońskim król macedoński
Amosow Nikołaj M.
Andrzejewski Jerzy
Arafat Jasir
Archimedes
Arendt Hannah
Armani Giorgio
Arrow Kenneth
Arystoteles
Asimov Isaac
Attyla król Hunów
Augustyn święty
Baader Andreas
Bach Johann Sebastian
Bachmann Ingeborg
Bacon Roger
Balcerowicz Leszek
Barańczak Stanisław
Barnard Christian Neethling
Bartoszewski Władysław
Bauman Zygmunt
Bayes Thomas
Beckett Samuel
Beethoven Ludwig von
Bellow Saul

Berent Wacław
Bereza Henryk
Beria Ławrientij P.
Berkeley George
Berlitz Charles
Berman Jakub
Bernhard Thomas
Bethe Hans
Białoszewski Miron
Bieńkowski Zbigniew
Bierut Bolesław
Blake William
Blériot Louis
Błoński Jan
Bochenek Adam
Bohr Niels Henrik
Boniecki Adam
Borges Jorge Luis
Borowski Marek
Bosch Hieronymus (właśc. H. van Aeken)
Bradbury Ray
Brandys Kazimierz
Bratny Roman
Breughel Pieter st.
Breżniew Leonid I.
Broca Paul
Brod Max
Broński Michał
Brown Robert
Brownlee Donald
Brzozowski Stanisław
Bucharin Nikołaj I.
Buczkowski Leopold
Bukowski Charles
Bunsch Karol
Burdecki Feliks
Burek Tomasz
Burroughs William S.
Burtan Halina
Burtanowie rodzina
Bush George jr
Bystroń Jan Stanisław
Calvino Italo
Cameron James
Campbell Joseph
Camus Albert
Čapek Karel
Carnap Rudolf

Carroll Jonathan
Carroll Lewis (właśc. Charles Lutwidge Dodgson)
Cartland Barbara
Castro Ruz Fidel
Cat-Mackiewicz Stanisław zob. Mackiewicz-Cat Stanisław
Cervantes Saavedra Miguel de
Chałatnikow Izaak
Champollion Jean François
Chandler Raymond
Chaplin Sir Charles Spencer
Chirac Jacques
Chmielewska Joanna
Chmielowski Adam
Chomsky Noam
Choynowski Mieczysław
Christie Agatha
Clarke Arthur C.
Conrad Joseph (właśc. Józef Teodor Konrad Korzeniowski)
Cornelius Hans
Courths-Mahler Hedwig
Curie-Skłodowska Maria
Cwietajewa Marina I.
Czapski Józef
Czechowicz Andrzej
Ćwierciakiewiczowa Lucyna
Dali Salvador
Däniken Erich von
Darwin Charles Robert
Dawkins Richard
Dąbrowa Krystyn
Dąbrowska Maria
Dembowski Jan
Demko Mikołaj zob. Moczar Mieczysław
Derrida Jacques
Dick Philip
Dmowski Roman
Doderer Heimito von
Dostojewski Fiodor M.
Doyle Sir Arthur Conan
Drzeżdżon Jan
Drzymała Michał
Dubislav Walter
Dumas Roland
Dürrenmatt Friedrich
Dyson Freeman J.
Dyson George
Dziatkowiak Antoni
Eddington Sir Arthur Stanley

Eigen Manfred
Einstein Albert
Escher Maurits
Farman Henri
Faulkner William
Feoktistow Konstantin P.
Fermat Pierre de
Fetting Edmund
Feyerabend Paul K.
Fiałkowski Tomasz
Fidiasz
Flesch-Bruningen Hans von
Ford Aleksander
Ford Gerald
Ford Henry
Franciszek Józef I cesarz austriacki
Frank Ilja N.
Fredro Aleksander
Freud Sigmund
Fried Erich
Friedman Aleksander
Frisch Max
Fukuyama Francis
Gabin Jean (właśc. J. Alexis Moncorgé)
Gałczyński Konstanty Ildefons
García Lorca Federico
Gardner Martin
Gaulle Charles André de
Gauss Carl Friedrich
Geissler Hans Friedrich
Geller Uri
Gibbs Josiah Willard
Giedroyc Jerzy
Giełżyński Wojciech
Gierek Edward
Giertych Roman
Glemp Józef
Głowiński Michał
Głódź Leszek
Goebbels Joseph
Goedel Kurt
Goethe Johann Wolfgang von
Gołubiew Antoni
Gombrowicz Witold
Gontarz Ryszard
Gorbaczow Michaił S.
Grabiński Stefan
Grabski Władysław

Greene Graham
Gretkowska Manuela
Griese Friedrich
Grochowiak Stanisław
Gromowa Ariadna
Gromyko Andriej A.
Grynberg Henryk
Grzeniewski Ludwik
Guth Alan
Haeckel Ernst
Haider Jörg
Haller Józef
Hanuszkiewicz Adam
Hašek Jaroslav
Hasior Władysław
Havel Václav
Hawking Stephen
Hayek Friedrich August von
Hegel Georg Wilhelm Friedrich
Heidegger Martin
Heinlein Robert A.
Heisenberg Werner Carl
Hen Józef
Herbert Zbigniew
Herling-Grudziński Gustaw
Herostrates
Herzmanovsky-Orlando Fritz von
Hesse Hermann
Himmler Heinrich
Hitler Adolf
Hofstadter Douglas
Hofmannsthal Hugo von
Homer
Hoyle Fred
Hrudnyna
Huntington Samuel
Husák Gustáv
Hussarski Roman
Husserl Edmund
Ingarden Roman
Irvine Andrew
Irzykowski Karol
Iwaszkiewicz Jarosław
Jałowy Bolesław
Jan III Sobieski król polski
Jan Paweł II (Karol Wojtyła) papież
Jaruzelski Wojciech
Jarzębski Jerzy

Jasienica Paweł
Jasieński Bruno
Jastrun Tomasz
Jeans Sir James Hopwood
Jegorow Boris
Jelcyn Boris N.
Joyce James
Jurasz Antoni
Kaczyński Jarosław
Kaczyński Lech
Kaden-Bandrowski Juliusz
Kafka Franz
Kahn Herman
Kaku Michio
Kalergis Maria
Kandel Michael
Kandinsky Wassily
Kant Immanuel
Kantor Tadeusz
Kapica Piotr L.
Kapuściński Ryszard
Kapuściński Władysław
Karpowicz Tymoteusz
Kasparow Garri
Kasprowicz Jan
Kaufman
Kellermann Bernhard
Kennedy Ian
Kennedy John F.
Kennedy Paul
Keynes John Maynard
Kijowski Andrzej
Kipling Rudyard
Kisielewski Stefan (pseud. Kisiel Tomasz Staliński)
Kistyniów
Kiszczak Czesław
Klaus Václav
Klementowski Robert
Klimowicz Adam
Kmita Jerzy
Kobiela Bogumił
Koch Robert
Kochanowski Jan
Kohl Helmut
Köhler Wolfgang
Kolbe Maksymilian święty
Kołakowski Leszek
Komenský Jan Ámos

Komornicki Tomasz
Konwicki Tadeusz
Kopernik Mikołaj
Kornhauser Julian
Korolow Siergiej P.
Korwin-Mikke Janusz
Kott Jan
Kozłowski Krzysztof
Krall Hanna
Krasiccy rodzina
Krasicka Maria
Krassowska Eugenia
Kraszewski Józef Ignacy
Kraus Wolfgang
Kruczkowski Leon
Krupp Alfred
Kruszelnicki Karl
Krzystek Waldemar
Kubrick Stanley
Kuncewiczowa Maria
Kuropieska Józef
Kuryluk Karol
Kurz Andrzej
Kustrzeba Ireneusz
Kuśniewicz Andrzej
Kwaśniewski Aleksander
Lacan Jacques
Laden Osama Ben
Lanzmann Claude
Laplace Pierre Simon de
Laudański Jerzy
Laudański Kazimierz
Laudański Zygmunt
Le Bon Gustave
Le Pen Jean-Marie
Lec Stanisław Jerzy
Lefloch-Prigent Loďc
Leibniz Gottfried Wilhelm
Lem Barbara z d. Leśniakówna
Lenart Philipp
Lenin Władimir I. (właśc. W.I. Uljanow)
Leonardo da Vinci
Leonhard John
Lepper Andrzej
Lernet-Holenia Alexander
Leśmian Bolesław (właśc. B. Lesman)
Leśniadorski Zygmunt
Leśniakówna Barbara zob. Lem Barbara

Lévi-Strauss Claude
Lind Jakov
Lindbergh Charles Augustus
Linneusz Karol
Lorenz Konrad
Lowry Malcom
Lubelski
Lukrecjusz (Titus Lucretius Carus)
Łastowećkij
Łoziński Józef
Łukaszenka Aleksandr
Łukaszewicz Jerzy
Łysenko Trofim D.
Mach Wilhelm
Macierewicz Antoni
Mackiewicz-Cat Stanisław
Malamud Bernard
Malenkow Gieorgij M.
Malewicz Kazimierz
Malewska Hanna
Mallory George
Małysz Adam
Mandelsztam Osip E.
Mann Heinrich
Mann Thomas
Marcinkowski Tadeusz
Markiewicz Henryk
Markow Andriej A. st.
Markowski Zygmunt
Marks Karol
Marshall George Catlett
Mätzig Kurt
Mazowiecki Tadeusz
Meinhoff Ulryke
Meissner Janusz
Meitner Lise
Mendelejew Dmitrij I.
Metternich-Winneburg Klemens Lothar von
Meyrink Gustav (właśc. G. Meyer)
Michnik Adam
Mickiewicz Adam
Miller Henry
Miller Leszek
Miłosz Czesław
Miodowicz Alfred
Mitterrand François Maurice
Mleczko Andrzej
Moczar Mieczysław (właśc. Mikołaj Demko)

Monge Gaspard
Morstin-Górska Maria
Morsztyn Jan Andrzej
Mrożek Sławomir
Mueller-Hill Benno
Muller Hermann
Musil Robert
Nabl Franz
Nabokov Władimir
Naganowski Egon
Nalimow Wasyl W.
Napoleon I cesarz Francuzów
Narlikar Jayant V.
Neumann John von
Newton Sir Isaac
Niesiołowski Stefan
Nietzsche Friedrich
Nikifor (właśc. Epifaniusz Drowniak)
Norwid Cyprian
Nostradamus (Michel de Nostre-Dame)
Nowak-Jeziorański Jan
Nowakowski Marek
O. Henry zob. Porter William Sidney
Obirek Stanisław
Olejnik Monika
Onasis Aristoteles Socrates
Opaliński Kazimierz
Orszulik Alojzy
Ortega y Gasset José
Orzeszkowa Eliza
Oświęcimski
Panowkin Boris N.
Pańczyszyn
Pański Jerzy
Parnas Jakub
Parnicki Teodor
Pascal Blaise
Pasek Jan Chryzostom
Pasteur Louis
Paulhan Jean
Pawlikowska Anna
Pawłow Iwan P.
Pąkciński Marek
Pearl Raymond
Peiper Tadeusz
Penderecki Krzysztof
Penrose Roger
Peres Szimon

Perutz Leo
Pétain Philippe
Philmus Robert M.
Piasecki Sergiusz
Piasecki Stanisław
Picasso Pablo (właśc. P. Ruiz Blasco)
Piestrak Marek
Pilch Jerzy
Piłsudski Józef
Piwowarczyk Jan
Planck Max
Platon
Plotyn
Płoński
Podłuscy rodzina
Podolski B.
Pol Pot (właśc. Saloth Sar)
Poniewierski Janusz
Popper Karl R.
Poręba Bohdan
Porter William Sidney (pseud. O.Henry)
Potocka Delfina
Potocki Jan
Prossinger
Prus Bolesław (właśc. Aleksander Głowacki)
Przyboś Julian
Puget Zofia
Putin Władimir
Putrament Jerzy
Quine Willard van Orman
Quisling Vidkun
Rafael (właśc. Raffaelo Santi)
Ratzinger Joseph
Reich-Ranicki Marcel
Rej Mikołaj
Remarque Erich Maria (właśc. E.Paul Remark)
Rilke Rainer Maria
Robbe-Grillet Alain
Roentgen Wilhelm
Rokossowski Konstanty
Rola-Żymierski Michał zob. Żymierski Michał
Rommel Erwin
Rosen W.
Roth Philip
Rottensteiner Franz
Rowling Joanne K.
Różewicz Tadeusz
Rudnicki Adolf

Russell Bertrand
Rutherford Ernest
Rydzyk Tadeusz
Sacharow Andriej D.
Saddam Husajn
Sade Donatien Alphonse François de
Sadkowski Wacław
Saint-Exupéry Antoine de
Samuelsson Bengt Ingemar
Sandauer Artur
Sapir Eduard
Sapkowski Andrzej
Sartre Jean-Paul
Schiller Friedrich
Schissel
Schnitzler Arthur
Scholl-Latour Peter
Schopenhauer Arthur
Schwarzschild Karl
Sciama Denis
Scott Ridley
Seifert Jaroslav
Sherrington Sir Charles Scott
Sienkiewicz Henryk
Simenon Georges
Sinielnikow
Sirven Alfred
Skalmowski Wojciech
Skarga Piotr
Skiwski Jan Emil
Składkowski Felicjan Sławoj
Słomczyński Maciej
Słonimski Antoni
Słowacki Juliusz
Słucki Arnold
Słyk Marian
Smirnow
Smolka Franciszek
Soderbergh Steven
Sokrates
Solakiewicz Tadeusz
Sołżenicyn Aleksandr I.
Sontag Susan
Soros George
Sprusiński Michał
Staemmler Klaus
Stalin Iosif W. (właśc. I. Dżugaszwili)
Staliński Tomasz zob. Kisielewski Stefan

Stańczyk
Starowiejska-Morstinowa Zofia
Stawiński Jerzy Stefan
Steiner Rudolf
Steinhaus Hugo Dyonizy
Stendhal (właśc. Henri Beyle)
Stern Anatol
Stevenson Robert Louis
Stomma Ludwik
Strobl Karl Hans
Strug Andrzej
Strugacki Arkadij N.
Strugacki Boris N.
Stryjkowski Juliusz
Suchodolski Bogdan
Surdel Stanisław
Suworow Aleksandr W.
Swedenborg Emanuel (właśc. E.Swedberg)
Swift Jonathan
Szacki Jerzy
Szaron Ariel
Szczepański Jan Józef
Szekspir William
Szela Jakub
Szestow Lew
Szirokow Feliks
Szkłowski Iosif S.
Szlachcic Franciszek
Szopen Fryderyk
Szpakowska Małgorzata
Szymborska Wisława
Szymonowic Szymon
Ścibor-Rylski Aleksander
Świętochowski Aleksander
Tapie Bernard
Tarkowski Andriej A.
Thadewald Wolfgang
Tiktin
Todorov Tzvetan
Toffler Alvin
Toimori Higaki
Tokarczuk Olga
Tolkien John
Tołstoj Aleksiej N.
Tomasz z Akwinu święty
Tramin Peter von
Trznadel Jacek
Tuchaczewski Michaił N.

Turczyn
Turgieniew Iwan S.
Turowicz Jerzy
Tuwim Julian
Twain Mark (właśc. Samuel Langhorne Clemens)
Tymiński Stanisław
Umiński Władysław
Uniłowski Zbigniew
Unseld Siegfried
Urban Jerzy
Van Allen James A.
Verhulst Pierre
Verne Jules
Viereck Peter
Voltaire (właśc. François Marie Arouet)
Volterra Vito
Wachowski Mieczysław
Wajda Andrzej
Walc Jan
Walczewski Marek
Wallace Alfred Russel
Wallace Edgar
Wałęsa Lech
Wańkowicz Melchior
Ward Peter D.
Warhol Andy
Wasilewska Wanda
Wat Aleksander (właśc. A. Chwat)
Ważyk Adam
Wells Herbert George
Werfel Franz
West Mae
Whorf Benjamin Lee
Wiener Norbert
Wierzbicki Piotr
Wilczkowa Helena
Wilk Mariusz
Wilson Angus
Wilson Charles
Wirski Feliks
Witkiewicz Stanisław Ignacy (Witkacy)
Wittgenstein Ludwig
Wittlin Jerzy
Władysław I Łokietek król polski
Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II
Wolszczan Aleksander
Wołk Miśku
Womela Stanisław

Worobiow
Woźnicka Zofia
Wróblewski Jerzy
Wyka Kazimierz
Wyspiański Stanisław
Wyszyński Stefan
Zagajewski Adam
Zaleski Marek
Załęcki
Zegadłowicz Emil
Zemek Wojciech
Zenon z Elei
Zieliński Stanisław
Zimmerman-Göllheim Irmtraud
Złotowski Ignacy
Zweig Stefan
Żebrowski Edward
Żeleński Tadeusz (Boy)
Żeromski Stefan
Żółkiewski Stefan
Żukrowski Wojciech
Żuławski Jerzy
Życiński Józef
Żymierski Michał (Rola)

Przypisy

[1] Ukazał się w tomie: S. Lem, *Sknocony kryminał*, [w:] *Dzieła*, t. XVI, Kraków 2009.

[2] Mowa o opowiadaniu pt. *Jedna minuta*, które Stanisław Lem napisał w Berlinie w 1982 roku, po ukończeniu pierwszej serii rozmów. Ukazała się w tomie *Prowokacja* z roku 1984, łącznie z tekstem tytułowym.

[3] Mowa o *Se una notte d'inverno un viagiatore* z 1979 roku, wydanej w Polsce w 2012 roku pt. *Jeśli zimową nocą podróżny*.

[4] Jeszcze w tym samym roku Stanisław Lem wyjechał na wiele lat z Polski; 4 lata później zrobił to samo jego rozmówca. Obaj wrócili do kraju po upadku komunizmu.

[5] W niniejszej edycji nie zamieszczono tego rozdziału z powodu interferencji politycznego żywiołu i publicystycznych emocji, wyrażanych przez pisarza z powodu wprowadzenia stanu wojennego.

[6] Mowa o akcji komandosów Urzędu Ochrony Państwa, którzy na promie do Szwecji zatrzymali uciekającego Zbigniewa Farmusa, asystenta wiceministra obrony, Romualda Szeremietiewa.

[7] Telewizyjne Wiadomości Literackie (TVP 2), na antenie od 1996 do 2011; w tym czasie kilka razy zawieszane

i przywracane.

[8] Umyślne przekręcenie tytułu *Pani Jeziora* (przyp. S.B.).

[9] Rośnijcie i rozmnażajcie się *(Genesis).*

[10] Sześć miesięcy później, we wrześniu 2001 roku, czołgi izraelskie zaatakowały kwaterę Arafata w Ramallah.

[11] W dwa miesiące po tej rozmowie, 26 listopada 2001, media światowe podały informację o sklonowaniu ludzkiego zarodka; w cztery miesiące później o wszczepieniu sklonowanego zarodka ludzkiego bezpośrednio do kobiecej macicy.

[12] Później opublikował ją w znacznie zmienionym kształcie jako *Wszechświat Lema* (Kraków 2003).

[13] Pozycja ta ukazała się w tomie *Stanisław Lem: pisarz, myśliciel, człowiek*, pod red. Jerzego Jarzębskiego i Andrzeja Sulikowskiego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003. Referat, który zirytował pisarza został napisany przez Małgorzatę Glasenapp (*Femina astralis – kobiecość w powieściach fantastycznonaukowych Stanisława Lema*, tamże, s. 256-275).

[14] Odbył się 11 września 2001 roku, w dniu ataku al Kaidy na wieżowce WTC na Manhattanie, więc program ograniczono do symbolicznego minimum.

[15] Rozmowa była przeprowadzana przed 11 września 2001 roku (zob. przyp. 19), kontynuowana w grudniu, a redakcja miała miejsce w 2002 roku.